

Andrzej
Wydrzyński

Ciudad Trujillo



Andrzej
Wydrzyński

Ciudad Trujillo

Wydawnictwo „Śląsk”

Okładkę i obwolutę projektował

Andrzej Kacperek

Copyright by Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1981

Redaktor

Wojciech Janota

Redaktor techniczny

Zdzisław Żak

Korektor

Bronisława Gębska

ISBN 83-216-0133-2

Wydanie V.

Nakład 60 350 egz.

Ark, wyd. 26,4. Ark, druk. 29,5.

Format A5. Papier offset, kl. V/70, rola 84 cm.

Oddano do składania 24.7.1980 r.

Druk ukończono w lipcu 1981 r.

Symbol 32221/L.

Cena zł 80,–

Łódzkie Zakłady Graficzne,

Zakład nr 1

Łódź,

ul. Rewolucji 1905 r, nr 45

Zam. 1845/1103/80.

Wprowadzenie

Dwa pierwsze wydania tej powieści ukazały się pod tytułem *Ostatnia noc w Ciudad Trujillo*. Jednak opisane w niej wydarzenia nie ograniczały się do ostatniej nocy spędzonej w stolicy Republiki Dominikańskiej ani do losów postaci przedstawionych w powieści – lecz padały na ekran o wiele większy, ogromniejący w miarę upływu lat.

Era Trujillo zapowiedziała eksplozję i ekspansję tzw. „piątego świata”, świata terroru, gwałtów i przemocy, skrytobójczych mordów i zamachów, porywanych samolotów pasażerskich i wysadzanych w powietrze domów towarowych, aktów wandalizmu i obalania umów społecznych, niszczycielskich rebelii i zbrojnych interwencji, burzenia elementarnego systemu wartości i moralnego porządku, chorobliwej seksomanii i narkomanii, wznoszącej się ofensywy ekstremistów spod różnych znaków oraz niektórych kontestatorskich poczynań w sztuce, gdzie spustoszenie zaczyna się od niszczenia języka, spójności dzieła i jego warstwy znaczeniowej, umożliwiającej porozumienie się między ludźmi i warunkującej scalenie rozbitego świata.

Tak więc zamysł powieści, jej treść i sens nakłoniły mnie, by w tytule trzeciego wydania poprzestać na pozostawieniu śladu i przekazu, że w dwudziestym wieku naszej ery istniało na mapie ziemi MIASTO TRUJILLO, czyli – tak właśnie brzmi tytuł książki od trzeciej edycji – CIUDAD TRUJILLO *.

* „Ciudad Trujillo” należy wymawiać Sjuda Truchiljo (hiszp.).

Powieść o Erze Trujillo kończyłem w połowie maja 1961 roku. I nagle, w ostatnim dniu maja, ginie przesyty dwudziestoma siedmioma kulami zamachowców generalissimus Rafael Leonidas Trujillo y Molina. Dzięki zbiegowi okoliczności mogłem uzupełnić przedstawione w powieści wydarzenia i wzbogacić ją o inne, nie zamierzone uprzednio zakończenie, tak łaskawie zesłane przez los piszącemu o Dominikanie Trujillo.

Nie mniej pomyślny zbieg okoliczności towarzyszył mojej pracy, gdy przystąpiłem do przygotowania obecnej wersji: w grudniu 1969 roku zginął Rafael Leonidas Trujillo-junior, zwany Ramfisem. Po tragicznej śmierci ojca przejął tron dyktatora i zarazem właściciela Republiki Dominikańskiej. Rządził i zabijał przez kilka miesięcy. W listopadzie 1961 roku opuścił wyspę.

Ten ostatni z rodziny Trujillo absolutny władca Dominikany, zakompleksiony playboy i awanturnik, jadąc z nadmierną szybkością luksusowym ferrari minął na skrzyżowaniu madryckich ulic czerwone światła (dawniej, kiedy jeździł jeszcze drogami Dominikany, zamierał ruch uliczny) – i zderzył się z limuzyną hiszpańskiej księżniczki d'Albuquerque, która również w tej kraksie zginęła.

Może Ramfis uczynił to z nienawiści do wytwornego świata arystokracji i gwiazd filmowych, do tego świata, który był już przed nim zamknięty, a w którym dawniej tolerowano go nie tylko dla jego olbrzymiej fortuny, lecz przede wszystkim dzięki władzy, jaką posiadał? Ośmieszony niegdyś żalonymi i nieudanymi podbojami w Hollywood, w Hiszpanii zamieszkał w komfortowej willi położonej w pobliżu Madrytu, w sąsiedztwie znanych gwiazd filmowych. Ale Ava Gardner nie przyjęła go, a kiedy ponownie wkroczył do jej posiadłości, poszczuła go dobermanem. Linda Christian, była żona Tyrona Powera, wykpiła jego zachody miłosne.

Ramfis, od wielu lat naśladowający bez powodzenia swój niedościgły wzór i ideał – Porfirio Rubirosę, playboya działającego w skali międzynarodowej i męża jego siostry Flor, mógł go naśladować już tylko w jeden sposób: umrzeć jak Rubirosa przy kierownicy rozpędzonego wozu. Tak zginął.

Są ludzie, którzy pod rządami Ramfisa płakali z bezsilności i rozpacz, popełniali samobójstwa. Nie wiem, czy ktokolwiek płakał na jego pogrzebie. Ale

wiem, że o śmierć Ramfisa modliło się wielu Dominikańczyków. Pozostawały im tylko modlitwy do bogów, bo żaden sąd ludzi nie postawił Ramfisa w stan oskarżenia za pospolite morderstwa i nadużywanie władzy, gwałt i rabunek.

W 1961 roku zakończyłem moją powieść słowami „Era Trujillo trwa”. Jednak później, po ucieczce Ramfisa i jego rodziny z Dominikany, zaczęły mnie niepokoić te słowa. Czy było możliwe, by po wszystkich okrutnych doświadczeniach Era Trujillo trwała nadal, by przetrwała nawet rządy tej rodziny?

Po upływie kilkunastu lat od śmierci dyktatora, i od dnia, w którym napisałem „Era Trujillo trwa” – Allan Riding tak ocenił sytuację w Republice Dominikańskiej:

„Dominikana posiada wszystkie formalne cechy demokracji, jale, rząd, parlament i sądownictwo, z tą różnicą, że one w ogóle nie funkcjonują. W ciągu kilku miesięcy prezydent Balaguer skutecznie wymazał partie opozycyjne z mapy politycznej i znalazł formułę utrzymującą kraj na skraju wrzenia politycznego. Parlament aprobejuje jedynie jego postanowienia, a sądownictwo pozabawiono niezawisłości. Rządy Balaguera przypominają styl i władzę zrównoważonego dyktatora... Wokół niego szerzy się korupcja stosowana jako czynnik politycznego nacisku. Balaguer może utrzymać całą machinę w ruchu, ponieważ sam jest tą machiną. Prezydent jest rządem”.

Więc jednak sprawdziły się moje przypuszczenia: *Era Trujillo trwa*. Trwa bardziej, niż dokumentuje jej żywotność przytoczona powyżej opinia. Okazały się prawdą także moje zmyślenia, bez których zresztą żadna powieść nie mogłaby powstać ani istnieć. Nie zdołałem wówczas, kiedy jeszcze rządziła Dominikaną rodzina Trujillo, sprawdzić wszystkich domysłów i przypuszczeń dotyczących istoty trujillońskiego systemu i jego praktyki, wydedukowanych w trakcie pisania powieści zaledwie z kilku znanych mi wtedy faktów. Resztę wymyśliłem.

Dla przykładu: w tajemniczy sposób zginęło wielu przeciwników feudalno-faszystowskiego reżimu Trujillo, zamordowanych przez członków sprzysiężenia dyktatorów „Biała Róża” lub przez agentów policji i wywiadu dominikańskiego. W licznych wypadkach nie ustalono przyczyny zgonu. W powieści zasugerowałem, że zabójstw tych dokonywano za pomocą nakłucia wydrażoną igłą, zawierającą pewną określoną truciznę w silnym stężeniu.

Dopiero w 1971 roku dowiedziałem się, dzięki niedyskrecji pewnego rozgryzonego agenta dominikańskiego wywiadu i zawodowego rewolwerowca, o „metodzie igły”, z którą zaznajamiano funkcjonariuszy służby wywiadowczej A-2. Wspomniany agent wypróbował „metodę igły” po raz pierwszy na studentie dominikańskim podejrzanym o udział w spisku przeciw Ramfisowi. Agent wyprowadził studenta z gmachu uniwersytetu, uspił go w samochodzie chloroformem i wywiózł za miasto. Na ławce w parku Colon wbił uspijonemu długą igłę za prawym uchem. Wydobył ją z ciała, alkoholem wytarł pozostałą na skórze kroplę krwi. I odjechał. Martwego studenta znalazła później policja.

„Metoda igły – stwierdził agent rzeczowo i z uznaniem dla jej skuteczności – nie pozostawia śladów. Istnieje dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że nawet wytrawny lekarz nie rozpozna przyczyny zgonu. Autopsja może stwierdzić tylko wylew krwi do mózgu”.

Tak więc sprawdziło się nawet powieściowe zmyślenie igły. Wspomniany agent pracuje w jednej z wielkich stolic europejskich, szczeni się swą przeszłością i – podobnie jak Ramfis oraz pozostali członkowie rodziny Trujillo – nie odpowiadał przed sądem za swoje zbrodnie. Okazywano mu nawet życzliwe zainteresowanie. Oto pewien człowiek proponuje mu zabicie Fidela Castro, przy współudziale zamieszkałego na Kubie zawodowego mordercy z policji Trujillo, Manuela Perezosa. W związku z planowaną inwazją w Zatoce Świń agent ów przechodził specjalne przeszkolenie w *Tactical Patrol Force*, ponieważ powierzono mu „sprawdzenie” Kubańczyków biorących udział w tej imprezie.

Dalej: Joaquin Balaguer przyjmuje go do osobistej ochrony, a doradca prezydenta do spraw wywiadu, pułkownik Luis Ney Teleda Alvarez, poleca mu zastawienie pułapki na demokratę amerykańskiego Stokely'ego Carmichaela, ponieważ zdaniem owego pułkownika Carmichael podburza komunistów w Ameryce Łacińskiej.

Przyjmuje go do „roboty” szef tajnej policji dominikańskiej pułkownik Jorge Antonio Valderas („potrzebuję porządných, sympatycznych chłopców do roboty szpiegowskiej”), a Anthony Rutz (pracujący w ambasadzie USA w Santo Domingo jako doradca do spraw rozwoju gospodarczego i zarazem jako

szef CIA na Dominikanę) powierza mu również „robotę”: informowanie CIA o nastrojach i stosunku oficerskiego korpusu i wywiadu republiki do Stanów Zjednoczonych.

Okazało się, że nikomu nie przeszkadzała makabryczna przeszłość owego agenta, zawodowego mordercy działającego przez wiele lat przy boku genera-lissimusa Trujillo.

Ponieważ fakty dotyczące życia i działalności tego człowieka odzwiercie-dlają również obraz stosunków panujących w Dominikanie po zgładzeniu Tru-jillo – jeszcze kilkanaście zdań o nim, tym typowym wytworze trujillowskiego systemu rządzenia i wychowywania i zarazem reprezentancie „piątego świata”.

Agent ten w 1971 roku pracował w jednym z podrzędnych nocnych lokali londyńskiego West Endu jako pomywacz i portier wyrzucający na ulicę zapi-tych lub awanturujących się gości. Urodzony w 1942 roku w Ciudad Trujillo (tak wówczas nazywało się Santo Domingo), od piętnastego roku życia uczył się donosić, torturować i zabijać. Upodobał sobie szczególnie, jako sposób doskonały, nacinanie żyłką skóry przesłuchiwanym więźniów i powolne jej zdzieranie. „Łamało to każdego” – tak skomentował własny opis tej niezawod-nej metody śledczej.

Kiedy w 1959 roku grupa Kubańczyków wdarła się na terytorium Domini-kany, człowiek ten był jednym z tych, którzy pojmanych jeńców przywieźli do San Isidoro, bazy oddalonej od Santo Domingo o dziewiętnaście kilometrów; tam skuto ich łańcuchami, oblano benzyną i podpalono, szybko gasząc płomie-nie.

„Później ponownie oblewaliśmy ich benzyną – zwierzał się ów człowiek – i znów podpalaliśmy. Powtarzaliśmy to dwa albo trzy razy. Ale niektórzy faceci ginęli natychmiast na skutek szoku. Innych krępowaliśmy sznurami zostawia-jąc ich na pasie startowym, tam ginęli od uderu słonecznego. Jeszcze innych również wiązaliśmy, łądowniliśmy do samolotu DC-3 i w czasie lotu wyrzucali-śmy ich przez drzwiczki”.

W 1968 roku wspomniany już pułkownik wywiadu Luis Ney Teleda Alva-rez zapytał człowieka, który dzisiaj w nocnym lokalu londyńskim zmywa garnki i talerze, czy chciałby zostać kapitanem.

– Oczywiście – odparł człowiek. Piszę „człowiek”, bo zdaniem humanistów to brzmi dumnie. I człowiek zapytał, domyślając się, za jaką cenę mógłby zostać kapitanem:

– Kogo mam zabić?

Pułkownik wymijająco odpowiedział: „wielką szyszkę”. I dodał: jeżeli agent podejmie się tego zadania, zostanie kapitanem i otrzyma specjalne przywileje.

Agent skinął głową. Zgadzał się.

– A co by pan powiedział – zapytał pułkownik Alvarez – gdyby trzeba było zabić amerykańskiego ambasadora? Pan go zabije. Wtedy spreparujemy dla Amerykanów dowody, że to robota komunistów. Stany Zjednoczone zaczną się domagać, żebyśmy w republice zrobili porządek z komunistami. Ale prezydent Balaguer nie zgodzi się na masowe zabijanie. Powstanie konflikt między nim a Stanami. To stworzy okazję do pozbycia się prezydenta. Wówczas ja przejmę władzę w Dominikanie”.

Agent zauważył, że w tak skomplikowany plan trzeba włączyć więcej osób, bo jednak prezydent ma poparcie, zwłaszcza w północnej części kraju. Wiedział, dlaczego pułkownik wybrał właśnie jego, agenta A-2: miał dostęp do ambasady USA, bo był odpowiedzialny za bezpieczeństwo ambasadora. Sprawdzał, którymi drzwiami będzie wychodził ambasador, kto z FBI będzie mu towarzyszyć, jaką trasę wybierze, jakim samochodem pojedzie i dokąd – i podejmował odpowiednie środki ostrożności.

Na propozycję agenta pułkownik Alvarez zgodził się odroczyć tę sprawę na piętnaście dni, by mógł on wszystko przemyśleć i przygotować. Agent, obawiając się tak wielkiego ryzyka, poinformował szefa służby bezpieczeństwa Departamentu Stanu USA, Cirila Franka, o planach pułkownika Luisa Alvareza. Szef zażądał dowodów, nie mógł w to uwierzyć. Postanowili więc wspólnie, że agent nagra następną rozmowę z pułkownikiem.

Tak się stało. Agent wraz z pułkownikiem Alvarezem przejechał samochodem długą Aleję Bolívara, aż do Alei Maximo Gomez, na której zaparkował wóz. W jadącej za nim furgonetce z firmy cukierniczej rozwijającej sprzedawcom lody, agenci CIA filmowali przebieg tego spotkania. Datę zamachu Alvarez wyznaczył na 21 października.

Tym razem uwierzono agentowi. Powiadomiony o tych planach Waszyngton polecił ambasadorowi, by na kilka dni opuścił Santo Domingo. Do zamachu nie doszło. Nie wymieniano w tej sprawie dyplomatycznych not. W pewnych wypadkach dyskrecja obowiązuje obie strony, lecz niekiedy tylko w protokole oficjalnych przedstawicieli obu zainteresowanych rządów. Natomiast w poufnych czy też w towarzyskich kontaktach wydała się zapewne podwójna gra agenta. Może nielojalny wobec niego pułkownik Alvarez ujawnił Amerykanom, że ów niemniej nielojalny agent podłożył kiedyś bombę w ubikacji amerykańskiego konsulatu? Alvarez nie powiedział oczywiście, że ten nieszkodliwy, ale hałaśliwy zamach bombowy był inspirowany przez wywiad dominikański. Właśnie po tym wydarzeniu dominikańska policja przydzieliła agenta-zamachowca do pomocy urzędnikom Departamentu Stanu prowadzącym dochodzenie w sprawie bomby podłożonej w ubikacji... Można się domyślić, że sprawcy zamachu nie znaleziono.

Dzięki niedyskrecji agenta nie doszło do zamachu wyznaczonego przez Alvareza na 21 listopada. Ambasador USA w Dominikanie nie przyjął agenta w gabinecie. Podziękował za ostrzeżenie i uratowanie mu życia i zarazem za ocalenie dobrych stosunków między rządem USA a władcami Dominikany.

Żegnając agenta, dyplomata powiedział:

– „I niech pan zapomni o tym incydencie. Ja także zapomniałem”.

Agent zwierzył się urzędnikom ambasady, że już nie może wrócić do biura ani do domu, bo pułkownik Alvarez nie wybaczy mu, że ujawnił przed szefem służby bezpieczeństwa Departamentu Stanu zaplanowany przez niego zamach na pana ambasadora.

Odpowiedzieli mu, że to są jego prywatne sprawy, bo przecież on, tajny agent, zna dobrze swój zawód i zapewne przewidział ryzyko podwójnej gry.

– Najważniejsze, że spełnił pan swój obowiązek. Ale pana życie ani pańskie osobiste sprawy nie interesują nas.

– Rozumiem. Jednak muszę pierwszym samolotem wylecieć do Stanów Zjednoczonych. Natychmiast. Tu grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Nie otrzyma pan od nas wizy – powiedzieli.

Tak więc ofiarą przewrotnego planu pułkownika Alvarezá nie padł w rezultacie prezydent ani twórca tego planu, ani ambasador, lecz człowiek, który miał wykonać rozkaz Alvarezá.

Amerykanie odmówili mu prawa azylu w swojej ambasadzie.

Agent telefonuje stamtąd do wydawcy umiarkowanie lewicowego pisma „El National”, Rhadamesa Peny. Pena telefonuje natychmiast do Jotina Curry, reprezentującego w rządzie dominikańskim demokratyczną mniejszość. Obaj spotykają się z agentem tego samego dnia.

Curry jest niezadowolony, że wplątano go w tę sprawę i nie ukrywa tego. Jednak stara się o azyl polityczny dla agenta. Ambasada brazylijska odmawia. Meksykańska wyraża zgodę.

Rhadames Pena publikuje nazajutrz w „El National” – było to w październiku 1968 roku – przedstawioną tu w skrócie opowieść agenta i zamieszcza na pierwszej stronie jego fotografię. Było to ważkim argumentem dla opozycji zwalczającej korupcję i deprawację administracji państwowej.

Na rozkaz pułkownika Alvarezá jednostka dominikańskiej policji otacza gmach meksykańskiej ambasady, w której schronił się agent. Policjanci przebywają również w hallu. Trwa to oblężenie cztery dni.

Czwartego dnia meksykański ambasador wyjaśnia agentowi, że nie może on dłużej pozostawać na terenie ambasady. Konwencja z Caracas, podpisana w 1954 roku, nie pozwala przyznawać prawa azylu wojskowym, a agent jest członkiem wywiadu lotnictwa wojskowego.

– Sam pan rozumie – mówi ambasador.

Przerażony agent rozumie. Jednak wie, co zrobią z nim ludzie Alvarezá. Oprócz niezawodnej „metody igły” czy też praktykowanego w różnych krajach Ameryki Łacińskiej wyrzucania więźniów politycznych z samolotu w czasie przelotu nad dżunglą, lub smażenia ich na pasie startowym bazy San Isidoro – istnieje jeszcze mnóstwo innych niezawodnych metod

Dyplomata pociesza agenta:

– Ambasadę opuści dominikańska policja. Pozwoliłem, by tutaj pozostał tylko jeden policjant. Chociaż teren jest eksterytorialny, musiałem się na to zgodzić, ponieważ udzieliłem panu prawa azylu wbrew postanowieniom konwencji z Caracas, którą mój rząd podpisał. Kiedy wyjdą stąd policjanci, może pan uciekać w dowolny sposób.

Na terenie ambasady pozostał tylko jeden dominikański policjant, lecz pod bramą było ich mnóstwo. „Zabiłem więc tego policjanta – opowie później agent – i przez podwórze przedostałem się na boczną uliczkę”.

Agent łączy się telefonicznie z pułkownikiem Elio Ostrisem Perdomo, adiutantem prezydenta Balaguera. Wyjaśnia mu, w czym rzecz:

– Chciałem ocalić pana prezydenta przed zamachem stanu przygotowanym przez pułkownika Alvareza i dlatego powiedziałem o wszystkim w ambasadzie amerykańskiej. Zamach na ambasadora USA zaszkodziłby przede wszystkim panu prezydentowi. Musicie mi pomóc.

Pułkownik Perdomo nienawidzi niebezpiecznego i ambitnego intryganta, jakim jest doradca Balaguera do spraw wywiadu, pułkownik Alvarez. Postanawia pomóc agentowi i kontaktuje go bezzwłocznie z Balaguerem.

Spotykają się w pałacu prezydenckim, Balaguer i agent.

Sześćdziesięcioletni prezydent jest mężczyzną niskim, szpakowatym, lekko zgarbionym. Wygląda jak dobrotliwy i sterany wiekiem wujaszek. Mówi cicho, sprawia wrażenie nieśmiałego. Lecz to tylko pozory, bo Balaguer nie toleruje żadnych ewentualnych następców w swoim otoczeniu. Z przebiegłością i stanowczością wytrawnego polityka opanował sytuację w kraju, opozycję aprobeuje w ustalonych przez siebie granicach. Podporządkował swojej woli rząd, parlament i sądownictwo. Nie ma w Dominikanie innych bogów poza nim. I nie będzie. Zdecydował po wojnie domowej w 1965 roku, kiedy amerykańska piechota morska opuściła republikę, że tylko śmierć może go usunąć ze stanowiska prezydenta, jeśli wygra wybory. Śmierć tak, ale nie pułkownik Luis Ney Teleda Alvarez.

Z zainteresowaniem wysłuchuje relacji agenta dominikańskiej służby wywiadowczej i zarazem amerykańskiej CIA. Patrzy przenikliwie na człowieka, który należał do jego ochrony osobistej, a później do ochrony ambasadora USA – i który miał po to zgładzić ambasadora, by ułatwić obalenie jego, prezydenta Balaguera.

Poleca, by poproszono do pałacu amerykańskiego ambasadora. Ambasador natychmiast przybywa. W słowach wypolerowanych i łagodnie uśmiechnięty – co należy do dobrego tonu i dobrego stylu amerykańskich mężów stanu – przeprasza Balaguera, że nie poinformował go o tym godnym ubolewania zdarzeniu. Waszyngton prosił, by puścić je w niepamięć i nie niepokoić tym incydemtem pana prezydenta.

Prezydent nie podejmuje uprzejmego tonu ambasadora, nie uśmiecha się. Pyta, jakim prawem agenta dominikańskiego wywiadu wciągnięto do współpracy z amerykańskim wywiadem. Żąda, by ambasador złożył wyjaśnienia.

Agent również przeprasza, że nie doniósł prezydentowi o planach Alvareza. „Popełniłem niewybaczalny błąd – stwierdza – ufając Amerykanom”.

Prezydent wie, że gdyby agent pozostał w Dominikanie, zginąłby jeszcze tej nocy. I nikt nie udzieli później żadnych wyjaśnień dotyczących tego morderstwa. Zapewne powiedziano by, że agent popełnił samobójstwo. Załatwia więc agentowi wyjazd do Hiszpanii.

„Samolotem linii *Iberia* wyleciałem do Madrytu – powie w kilka lat później agent – i bez przeszkód wylądowałem w Madrycie. Łaziłem po mieście i przyjemnie spędzałem czas. Później wstąpiłem do ambasady Stanów Zjednoczonych. Z miejsca skierowali mnie do bazy Torrejon. Stamtąd tego samego dnia wysłano mnie do Waszyngtonu. Z Waszyngtonu pojechaliśmy samochodem do położonej wśród lasów centrali CIA. Tam nagrali moje zeznania na magnetofon, żeby sprawdzić, czy docierające z Dominikany informacje są ściśle. Byli dla mnie bardzo uprzejmi i odesłali mnie do Madrytu”.

Wszyscy byli dla agenta uprzejmi. Jednak po ponownym skontaktowaniu się z CIA agent obawia się, że ktoś go wykończy. Mieszka więc na przedmieściu Madrytu, w skromnym hotelu. Unika ludzi. Lecz pewni ludzie, ci,

którym na tym zależy, odnajdują go. Żeby go zabić? Nie. Jako zawodowemu pistolero proponują podłożenie bomby w ambasadzie amerykańskiej w Madrycie; w ten sposób ma udowodnić, że zerwał współpracę z CIA. Później ktoś, rzekomo z tejże ambasady, poleca mu zabicie byłego prezydenta Dominikany, Juana Boscha, który przegrał w kampanii wyborczej z Balaguerem, kandydując na urząd prezydenta w 1966 roku. Rzekomo w pierwszej chwili agent odmawia, lecz kiedy przypomniano mu, że ma troje dzieci w Stanach Zjednoczonych, dodając, by się nad tym „dobrze zastanowił” – zgadza się. Przyjmuje warunek, że tym razem robota musi być wykonana koronkowo, ma bowiem pozorować zwykły nieszczęśliwy wypadek. Wynagrodzenie? Dwadzieścia albo trzydzieści tysięcy dolarów.

Agent przystępuje do przygotowania zamachu. Pisze miły list do Boscha, nie wspominając oczywiście o powierzony mu robocie. Bosch odpisuje, zaprasza agenta do siebie. Nagle zleceniodawcy wycofują się, odkładają sprawę. Widocznie Bosch nie zagraża już Balaguerowi, chociaż wciąż cieszy się poparciem wiejskiej biedoty i mieszkańców dzielnic nędzarzy w miastach. Zdobył ich poparcie w siedmiomiesięcznym okresie sprawowania prezydentury, której pozbawiła go dominikańska armia w 1963 roku.

Coraz mniej propozycji, wywiady przestają się interesować agentem. Wyrósł już nowa kadra *pistoleros* – rewolwerowców. Unowocześniono też metody likwidowania niewygodnych, chociaż dawne stosuje się nadal, jak strącanie przeciwników politycznych do kraterów czynnych wulkanów lub zrzucanie ich z samolotu przelatującego nad dżunglą. Praktykuje się to również w sąsiedniej Haiti, pod rządami prezydenta François Duvaliera – „Papy Doc”, i jego doradcy politycznego, Cambronne'a, autora złotych myśli w rodzaju: „Dobry duvalierysta powinien być gotów zabić własne dzieci, a dzieci dobrego duvalierysty powinny być zdolne do zabicia swych rodziców dla dobra duvalierysty”. Stosowała „metodę samolotu” także armia południowowietnamska, a w Gwatemali od 1966 roku zginęło bez śladu kilkanaście tysięcy osób, przy czym sporo z nich wyrzucono z samolotu lub zepchnięto do krateru wulkanu.

Rozgoryczony agent musi teraz żyć – jak to sam określa – „z pracy własnych rąk”, nie z zabijania i torturowania. To się nazywa „zejść na psy”! Tak wpływają mu w Madrycie dwa następne lata. W listopadzie 1970 roku przenosi się do Londynu.

Historia tego agenta jest również historią nie ujawnionego w przemówieniach prezydenta Balaguera politycznego życia Dominikany i atmosfery, jaka jeszcze wciąż panowała w tym kraju po śmierci generalissimusa Trujillo, na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Poznawaliśmy w tych latach Księżyc i sąsiadujące z nami planety, ustanawialiśmy międzynarodowe prawa obowiązujące astronautów w kosmosie, lecz nie zdołaliśmy ustanowić międzynarodowych praw, które zabezpieczałyby ludzkość przed terrorem, gwałtem, bezprawiem i samowolą dyktatorów.

Agent dominikańskiego wywiadu urodził się 14 maja 1942 roku w Santo Domingo. Nazywał się Carlos Evertsz Fournier.

„Już nic nie może mnie zaskoczyć, absolutnie nic – zwierzał się Evertsz dziennikarzowi Chrisowi Robbinsowi z brytyjskiego tygodnika »Observer«. – Moje życie wcale nie było nadzwyczajne, nigdy nie żyłem inaczej. Tajnego agenta tak się szkoli, żeby umiał zabijać, a gdyby to było konieczne, powinien zabić nawet własnego brata. Sam wpakowałem raz mojego brata do więzienia. Miał trochę lewicowe poglądy, więc musiałem się postarać, żeby skręcił na prawo. Ale nadal go kocham. Nie, raczej nie powinienem używać słowa kocham, bo właściwie nie wiem, co to znaczy. Kiedy umarł mój stary w 1962 roku (...) tego samego wieczoru bawiłem się na dansingu”. I dalej:

„Próbowałem początkowo przesłuchiwać, ale to nie zawsze dawało rezultat, więc musiałem stosować tortury. Niech pan zrozumie – Carlos Evertsz zwrócił się z prośbą o wyrozumiałość do Chrisa Robbinsa – na tym przecież polegała moja robota. To dla mnie równie dobry sposób zarobkowania, jak każdy inny. Wielu ludzi specjalnie szkoli się w jakimś zawodzie. Dla mnie właśnie zabijanie było zawodem”.

„Niekiedy marzę o tym – dodał Evertsz – żeby zostać stolarzem, murarzem, kierowcą ciężarówki albo księgowym, po prostu normalnym człowiekiem”.

Torturowani przez niego więźniowie zapewne także marzyli, by Evertsz nie był tajnym agentem, ale murarzem lub stolarzem. Jednak Evertsz pomyślał o innym zawodzie dopiero wtedy, kiedy nie pozwolono mu zabijać, a więc wykonywać jedyny zawód, o którym naprawdę marzył. Człowiek ujawnia się w tym, co robi, nie w mówieniu.

Pochylny w londyńskim barze nad zatłuszczonymi talerzami, z których rzuca do kubła resztki jadła – czy przypomina sobie uśpionego chloroformem studenta i igłę wbita za prawym uchem tego chłopca? Czy pamięta o zgwałconych dziewczynach, o Kubańczykach, którym zdierał z piersi pasma skóry, o więźniach politycznych wyrzucanych z lecącego samolotu, o szesnastoletniej dziewczynie, o której powiedział: „Nie wiem, czy była zamieszana w spisek, ale dostaliśmy ją w swoje ręce i zabiliśmy”. Czy przypomina sobie biednego chłopca zakopanego żywcem po szyję za to, że nie chciał oddać wujowi Trujillo swego skrawka ziemi? „Zastrzeliłem go” – powiedział Evertsz. Miał wtedy siedemnaście lat.

Było mnóstwo okazji, by stać się „normalnym człowiekiem”, jednak Carlos Evertsz nie wykorzystał ani jednej, ale zabijał. Jeszcze wtedy nie marzył, żeby zostać kierowcą albo księgowym. „Wykonywał zadanie”, nie zabijał dla żartu. Carlos mówi o sobie: „Byłem porządnym chłopcem, nie jakimś komunistą”.

Po tragicznej śmierci Ramfisa zwierzchnia „porządnego chłopca” stanowiły drugą pomyślną okoliczność ułatwiającą przygotowanie nowego wydania tej powieści, potwierdzając prawdopodobieństwo jej warstwy nierzeczywistej i wątków fikcyjnych (np. postać Tapurucuary).

Sytuacja, w jakiej dzisiaj pisze się i wydaje powieści, wreszcie sytuacja samej powieści jest tak skomplikowana, zaciemniona i przesycona nieporozumieniami, że warto skorzystać z okazji, jaką stwarza ten wstęp, by w poczuciu odpowiedzialności wobec Czytelników i solidarności z nimi przedstawić po bieżnie i częściowo wyjaśnić kilka problemów coraz bardziej niepokojących i zagrażających rozwojowi powieści, urągających rozumowi i usiłującym

zniszczyć więź łączącą piszącego z czytającymi. Po prostu o to idzie, by nie robiono nam „wody z mózgu”.

Fakt, że w jakiejś powieści giną ludzie, nie przesądza o jej gatunku. Wbrew niedorzecznościom i głupstwom powielanym uparcie przez wielu krytyków, w literaturze tematyka nie może być wyróżnikiem gatunkowym. Gdyby ktoś chciał napisać demaskatorską powieść o ludziach wplątanych w wojnę wietnamską, musiałby poznać treść sekretnych dokumentów dyplomatycznych, informacje tajnych agentów, sprawozdania z działalności wywiadów wojskowych i gospodarczych, kulisy skrytobójczych mordów, okoliczności tortur i egzekucji. To samo dotyczyłoby powieści o wyzwalającej się Algierii i działalności ultrasów, o terrorystach z OAS i ich powiązaniach z tajną organizacją byłych SS-manów ODESSA oraz wielu innych utworów, których akcja rozgrywa się na naszym nieuniknionym świecie.

Nie byłyby to powieści „sensacyjne” w znaczeniu, jakie nadano temu określeniu u nas, ani tym bardziej „kryminały”, lecz powieści o podłożu politycznym, których akcja toczy się na tle dziejów najnowszych. Mimo ścigania i poszukiwania morderców, mimo udziału policji i tajnych agentów nie byłaby to – jak się u nas mówi w oficjalnej nomenklaturze wydawniczej – „literatura sensacyjno-rozrywkowa”. Świetna to rozrywka, kiedy członek OAS sztyletuje algierskiego bojownika, kiedy agent trujillowskiej policji zabija studenta ukłuciem igły, kiedy terrorysta z Tacuary morduje demokratycznego działacza!

Zresztą z pewnego punktu widzenia całą literaturę można traktować jako „rozrywkową”, ponieważ rozładowuje ona napięcia psychiczne, sublimuje popędy, łagodzi przyswojenie najbardziej gorzkich prawd o życiu i świecie, wzbogaca nasze doznania.

W piśmiennictwie istnieje oczywiście pewien szczególny gatunek powieści-zagadki, której zamysł sprowadza się do tego, by z matematyczną ścisłością i w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem rozwiązać problem „kto zabił”. Przypomina taki utwór – a są wśród nich także doskonale napisane – zadanie szachowe, w którym osaczanie króla odpowiada osaczaniu mordercy przez detektywa; refleksje i logiczny wywód górują tu nad emocjami i namiętnościami. Taka *detective novel* jest właśnie klasycznym „kryminałem”, literackim równaniem z jedną lub więcej niewiadomymi.

Kiedy opowieść kryminalna przekracza zastrzeżony dla niej obszar i wyzwała się z reguł, jakie sama sobie narzuciła, może się stać powieścią-zwierciadłem, jak wiele innych powieści, przedstawiając ludzkie wzruszenia i namiętności, środowisko, w którym działa przestępca, nastroje epoki i jej obyczaje, cierpienia i walkę człowieka. Taką powieścią może być również powieść sensacyjna, przygodowa, awanturnicza, której twórcami są Walter Scott i Balzac, jak pionierem nowoczesnej opowieści kryminalnej, fantastycznej czy nawet fantastyczno-naukowej jest Edgar Allan Poe.

Rozpoznanie gatunku i jakości prozy powieściowej według nie istniejących kryteriów tematycznych dyskwalifikuje krytyka i jest nie mniej szkodliwym głupstwem, jak żądanie, by powieść przekształciła się w esej, lub domaganie się, żeby usunąć z niej bohatera, zrezygnować z przedstawiania w sztuce namiętności, a rozumne opisanie akcji, fabuły i zdarzenia zastąpić bełkotliwą mową i chaotyczną magmą rozkojarzonych zdarzeń i urojonych stanów pod- i nadświadomości.

„Zrezygnować z namiętności i rozumu – pisał Baudelaire – to znaczy zabić literaturę”. Są tacy, którzy chcieliby ją zabić, jest ich coraz więcej. Rzucają w centrach intelektualnych Ameryki i Europy hasła „Sztuka umarła” albo „Wszystko jest sztuką”. Właśnie oni uznali za papieża współczesnej „antysztuki” chorego umysłowo Węgra, który zniszczył Pietę Michała Anioła. Ralf Brinkmann głosi, że literatura powinna być lekkostrawnym artykułem konsumpcyjnym, zwyczajnym towarem, bo między nią a mydłem czy papierosami nie ma żadnej różnicy. Inny, głośny już Chotjewitz (a dzisiaj łatwiej o rozgłos niż o stworzenie dzieła), postuluje likwidację literatury i w prasie apeluje, by społeczeństwo w tym pomogło. Lucien Goldmann przepowiada, że w świecie przyszłości „życie człowieka będzie pozbawione jakiejkolwiek duchowej treści”. Tuli Kupferberg, reprezentant patologicznego nurtu *pop*, tak zwanego *shockpop*, uważa, że literatura powinna być wulgarna, tworzona językiem lumpów i rynszteków, i że celem sztuki jest publiczne demonstrowanie czynności fizjologicznych, kopulacja, wynaturzenie, pornografia, akty bestialstwa.

„Powieść jako gatunek zaniknie – prorokuje Leslie Fiedler – i skończy się cała literatura narracyjna”. W Polsce wielu krytyków powtarza w rozmaitych wariantach ten błyskotliwy banał, naiwny jak wszelkie proroctwa na temat sztuki przyszłości i nieprawdziwy, bo zaprzecza mu świetny rozwój powieści w XX wieku i stale wzrastające nakłady najwybitniejszych dzieł literatury pięknej. Jak długo będzie coś do opowiedzenia o świecie i o człowieku, tak długo będzie można o tym opowiadać. Temat nigdy nie wyczerpany, jak niewyczerpany jest świat.

Powieść nie musi w przyszłości dominować jako gatunek literacki – może znowu będzie królować tragedia albo epos? – lecz pozostanie na pewno jednym z bezspornych dowodów istnienia świata i człowieka. I nic nie zagrozi jej istnieniu, bo nie sposób wyczerpać zasobów rzeczywistości zmiennej, stwarzającej się i zaprzeczającej sobie samej i nigdy ostatecznie nie poznanej, ponieważ poznanie takie jest niemożliwe.

Sztuka i nauka, działające na zupełnie innych obszarach ludzkiej dociekliwości, ułatwiają poznanie świata i poznanie człowieka, porządkują otaczający nas chaos i dokonują niezbędnej selekcji, by ujawnić to, co jest najbardziej istotne i charakterystyczne dla epoki i sensu istnienia. Rozwój gospodarczy, postęp techniki, wzrost dobrobytu, produkty przemysłu rozrywkowego, do których należą również poczynania kontestatorów na peryferiach sztuki (happeningi, masowe „rozbieranki” w salach koncertowych i teatralnych, wirujące wiatraczki, mrugające światełka i odpadki wystawiane w galeriach sztuki nowoczesnej) – nie zaspokoją potrzeb człowieka, bez względu na to co głoszą teoretycy „nieszuki” i bezradni, pozbawieni talentu „artyści”.

Nie mają oni racji i nie znają prawdy o potrzebach człowieka i jego psychiki, znają ją natomiast ludzie wykupujący w kilka dni stutysięczne nakłady interesujących powieści, krążący niekiedy tygodniami po licznych księgarniach – a jest to już zjawisko powszechne w Polsce – w poszukiwaniu książki, którą chcą mieć dla siebie, na własność, pod ręką, bo bez tej książki ich życie byłoby uboższe, pozbawione elementu niezbęd i niezastąpionego. Wiedzą oni

więcej o świecie, o człowieku i o naturalnej potrzebie sztuki niż niektórzy intelektualni natchnieni własnymi lub zapożyczonymi spekulacjami teoretycznymi, pozbawieni wrażliwości i wyobraźni, tworzący wartości zmistyfikowane, nie mające żadnego odniesienia do rzeczywiście istniejących wartości artystycznych i estetycznych.

Jakkolwiek wydaje się jeszcze sporo powieści-widm, straszących nas anachronicznym widzeniem świata i stosowaniem przeżytych konwencji literackich, szkodliwych dla rozwoju świadomości – nie trzeba zapewne tłumaczyć, że powieść współczesna usiłująca opisać świat, w którym żyjemy i na który jesteśmy skazani, nie może utrwać ani powielać świata stworzonego i odbitego w literaturze tradycyjnej, dziewiętnastowiecznej, podobnie jak współczesna plastyka nie może powtarzać doświadczeń Matejki i Kossaka.

Powstała nowa powieść i przetrwała pomyślnie hałaśliwy zgłębienie uwielbienia wytworzony wokół efemerycznej antypowieści; ta nowa powieść, do której nie można zaliczyć chaotycznych i niezrozumiałych zapisków roszczących sobie pretensje do powieści przyszłości, nie stosuje wielu środków prozy narracyjnej z epoki realizmu krytycznego, nie wygładza chropowatości życia ani go nie upiększa, nie konstruuje losów postaci w sposób uproszczony, nie przedstawia ich życiorysów – lecz wprowadza nas już na wstępie w samo jądro dramatu, w sedno opisywanego zdarzenia.

Ukazuje ona ogólnoludzkie problemy, ale ich nie wyjaśnia ani nie rozwiązuje w sposób uniwersalny, który dotyczyłby wszystkich ludzi, poprzestając niekiedy na przedstawieniu na tym tle losu człowieka i jego kondycji. I właśnie to niepokoi nas, przejmuje i budzi sumienia, a nie usypia ich, jak czyniła tradycyjna literatura skłonna do rozwiązywania wszystkich problemów ludzkiej egzystencji i zapewniania nas o niezmaconym porządku świata. Przywracała światu ład i stabilność, której ten świat nigdy nie posiadał.

Zmienił się cel literatury, inne są jej zadania niż dawniej, wzbogaciły się również dzięki eksperymentom awangardy siły i środki powieści, która nie znajduje odpowiedzi na wiele pytań, lecz potrafi skonstruować te pytania i umie przejąć czytelnika losem postaci. W nowoczesnej konstrukcji, w

odmiennych metodach opisanie świata, także w swym odniesieniu do epoki, jej problemów i sytuacji człowieka w nowych warunkach cywilizacyjnych, kulturowych i obyczajowych – powieść nadal i w sposób jeszcze doskonalszy niż dawniej towarzyszy człowiekowi potwierdzając jego niepokoje, z wątplenia i nadzieje. Taka powieść istnieje, rozwija się i zdobywa poparcie czytelników.

Ale jeszcze nigdy, w żadnym okresie, społeczeństwa nie przeciwstawiły tak silnie swojego własnego stosunku do literatury i sztuki w ogóle niedorzecznym i zmistyfikowanym poglądom krytyki. I chociaż wiele milionów ludzi spędza mnóstwo czasu przed telewizorami, nie potwierdzają oni bynajmniej efektywnej tezy McLuhana, że nastąpił zmierzch konstelacji Gutenberga, i że wkroczyliśmy już w epokę wizualną, optyczną, obrazkową. Wiedzą oni, że ich potrzeb duchowych na pewno nie wyczerpuje telewizja, i że intymnego kontaktu z literaturą nie zastąpią obrazki na ekranach TV i w kolorowych czasopismach ani komiksy. Dla tych ludzi istnienie bez literatury byłoby – jak to nazwał Seneka – grobem ludzi żyjących.

Tylko w epoce dezorientacji spowodowanej głównie nadmiarem informacji często sprzecznych ze sobą, w epoce, kiedy kurczą się granice zdrowego rozsądku i umiaru – tylko w takim czasie można wmawiać ludziom, że właśnie happening lub wprowadzanie publiczności na scenę, domalowywanie lub doklejanie czegoś do istniejącego obrazu stwarza jedyną możliwość współuczestniczenia w tworzeniu dzieła sztuki. Bezpośredni kontakt czytelnika z utworem literackim jest przecież najgłębszą i najbardziej intensywną formą współuczestniczenia w dziele tworzenia dzięki tzw. konkretyzacji i percepcji utworu w wyobraźni i intelekcie czytającego, w jego przeżyciu, kiedy to dopełniają się wzajemne wartości zawarte w dziele i w odbiorcy, powodując powstawanie unikalnych wartości estetycznych. Powieść, będąca zbiorem wartości artystycznych, staje się jakością estetycznie wartościową wtedy, kiedy się ją czyta, podobnie jak fenomen przedstawienia teatralnego rodzi się wówczas, kiedy na widowni znajduje się publiczność.

O sytuacji w życiu literackim decyduje dziś przede wszystkim czytająca społeczność, ignorująca ustalone w środowisku pisarskim hierarchie, nie

zwracająca na ogół uwagi na blask rzucany przez krytykę na poszczególne dzieła i nazwiska ani na jej przemilczenia. Pograżeni w chaosie przypadkowych, koniunkturalnych lub zgoła ignoranckich opinii o poszczególnych pisarzach lub utworach – powinniśmy także wiedzieć, że literatura była, jest i pozostanie wielkim hazardem. „Przypomina kapryśny i niedorzeczny mecz wszystkich z nikim – pisał Graham Greene. – Murowanych faworytów nie ma, zawodnicy mogą przegrać, ich kibice mogą przerznąć z kretesem, a zwycięzcą zostaje jakiś nietutejszy, zabłąkaniec z ostatniego rzędu na trybunie, taki, co zamiast patrzeć na boisko przez cały czas spoglądał na mrówkę pod ławką i w ogóle nie znał reguł gry. Nawet czas, ten rzekomo najsprawiedliwszy sędzia, sromotnie zawodzi”.

O jakości dzieła sztuki decydują tak zwane niezmienniki artystyczne, które pozostają trwałą wartością – podobnie jak wartości moralne i etyczne – mimo przemian, jakie przeżywa sztuka wraz z przemianami świata i z przekształcaniem się widzenia, świadomości oraz wrażliwości człowieka. Nie należy do tych rozpoznawczych, wartościujących elementów fakt, że bohaterem powieści jest aktor, detektyw, górnik, działacz polityczny, policjant, studentka, partyzant, kompozytor, inżynier czy agent wywiadu.

O wartości utworu literackiego decyduje jego intuicyjny i intelektualny zamysł, intensywność zawartości, zwartość i spójność, stopień zależności między autorem a narratorem, między narratorem a bohaterem, wzajemna współzależność elementów strukturalnych i kompozycyjnych, zasób i jakość środków wyrazu, ekspresyjność, indywidualna modyfikacja, wyrazistość postaci (np. osobowość, oryginalność, motywacje działania), rytm prozy oraz myśl i instynkt, które je tworzą, wielowarstwowość i przenikanie się tych warstw, przejrzystość konstrukcji i precyzja języka, styl wynikający z odrębności pisarza i jego temperamentu, umiejętność prowadzenia dialogu nasyconego osobowością bohaterów i określającego, kim są ci zmyśleni ludzie.

Ważną rolę spełnia też wybór tradycji i jaki jest stosunek piszącego do tej tradycji; jeśli twórczy, wówczas pisarz rozbija jej skostniałe formy i wzorce. I wreszcie sprawa najbardziej tajemna, ale i najważniejsza: talent, który w

sposób nieodgadniony, chociaż ujawniający się, obdarza powieść prawdziwym życiem. Powieść napisana bez talentu pozostanie zawsze nudna i martwa.

Niektóre niezmienniki, środki i jakości artystyczne mogą dominować w pewnych okresach i w poszczególnych powieściach na niekorzyść innych, określając formę, styl i metodę przyjętą przez autora; również na tej podstawie można klasyfikować dany utwór. Lecz pretekstem do klasyfikacji nie może być temat. Każdy temat można przedstawić nieudolnie, tandetnie, powierzchownie, w sposób banalny i nudny. Można też nie pojmować istotnego znaczenia tematu i jego związków ze współczesnością i przedstawić go według konwencji obowiązujących dawniej, w innych warunkach kulturowych, cywilizacyjnych, politycznych – jeżeli piszący widzi świat poprzez literaturę minionej epoki, istniejącej dzisiaj w stanie szczątkowym, przekształconej przez zdobycze nauk i nowe przemyślenia filozoficzne, rozwój socjologii, psychologii, matematyki, fizyki, cybernetyki, elektroniki i związane z nimi przemiany, jakie nastąpiły w traktowaniu nauk humanistycznych.

Dotyczą te uwagi k a ż d e j powieści: historycznej, psychologicznej, politycznej, sensacyjnej, środowiskowej, obyczajowej, fantastyczno-naukowej, kryminalnej i wszystkich możliwych wariantów prozy beletrystycznej. Stosowanie wyróżnika tematycznego, tak charakterystyczne w naszym piśmiennictwie krytycznym i recenzenckim, świadczy o wyjątkowej gnuśności umysłów i zapewne ujemnie wpłynie nie tylko na rozwój literatury sensacyjnej, ale w ogóle na rozwój literatury powstającej na naszym kryminalno-sensacyjnym świecie współczesnym.

Wspomniałem o zawodności prorocत्व w odniesieniu do sztuki, w ogóle nie mam zaufania do futurologu. Jej podstawowym błędem jest ufność, że ciągłość i konsekwencje pewnych istniejących lub zapoczątkowanych przemian wynikają z konsekwentnej ciągłości czasu. Futurologi na ogół zapominają, że wszystkie procesy rozwijają się nie tylko ewolucyjnie, ale również rewolucyjnie, gwałtownie, niespodziewanie, zaprzeczając sytuacji poprzedniej. Nie uwzględnia też futurologia prawa odwrotnych skutków.

W sztuce można mówić tylko o tym, co już się dokonało, cała reszta jest wróżbiarstwem. Mówię tu o zjawiskach artystycznych, a nie o poszukiwaniach dokonywanych poza jej obszarami ustanowionymi przez zawarte w niej jakości artystyczne i estetyczne. Faktem jest na przykład, że pewne wartości i funkcje pisarstwa odwołującego się do odwiecznych mitów i symboli przejęła w dwudziestym wieku literatura sensacyjna i kryminalna, jej najwybitniejsze dzieła. Genialną zapowiedzią tej przemiany była *Zbrodnia i kara* Dostojewskiego, *Tajemnicza sprawa* Balzaca oraz m. in. *Śmierć maestra* Raula Whitfielda i *Sokół maltański* Dashiella Hammetta, nazwane przez wybitnego filozofa, socjologa i krytyka R. Cailloisa „autentycznymi arcydziełami” amerykańskiej *detective novel*.

Właśnie w literaturze kryminalnej i sensacyjnej znalazł dzisiaj schronienie pozytywny bohater naszych czasów, walczący ze złem i zbrodnią, detektyw, który własną wizję świata przeciwstawia wyobrażeniom przestępcy i który często w nierównej walce potyka się z mordercą godzącym w podstawowe normy moralne i wartości, na których nasz świat jest wsparty i bez których – jak to wynika chociażby z lektury gazet – świat przeżarty deprawacją, zbrodnią i terroryzmem wypada z zawiasów.

Tak więc mimo mojej nieufności do futurologicznego wieszczania o przyszłości przypuszczam, że w reakcji na obojętność moralną i etyczną oraz „neutralność” i „intelektualizm” współczesnej prozy – nastąpi dalszy rozwój literatury sensacyjnej, kryminalnej i fantastyczno-naukowej wartościującej ludzkie czyny i postawy nie bezpośrednio i dydaktycznie (to nie może być przedmiotem sztuki), lecz dzięki wymowie przedstawionych obrazów i użytych środków.

Rozwijają się też eseje, czego tak bardzo domagają się nawet wybitni krytycy niezdolni do napisania powieści, ci, którzy chcieliby esejem w ogóle zastąpić prozę beletrystyczną. Wbrew niewłaściwie stosowanej przez nich terminologii nie stanie się on powieścią, lecz nadal pozostanie gatunkiem prozy, jakim był zawsze, esejem, a więc szkicem czy rozprawą literacko-naukową na określony temat, który również może i powinien posiadać pewne wartości artystyczne.

W powieści współczesnej wszystkie istniejące gatunki literackie można „przemieszać”, kojarzyć ze sobą, dowolnie je uzupełniać formami właściwymi dramatowi, prozie poetyckiej itp. Można obalać istniejące konwencje i reguły, włączać do powieści nawet fragmenty rozpraw, artykułów, dokumentów – pod warunkiem zachowania spójności dzieła i wzajemnego uzależnienia od siebie wszystkich jej warstw i elementów, by nie stała się utworem chybionym artystycznie i przypadkowo skompilowanym. Znakomitym przykładem tego nowego stylu i zastosowania takiej techniki powieściowej jest *Gra w klasy* Cortazara.

Do jawnych nieporozumień należy natomiast nawoływanie (i realizowanie tych nawoływań), żeby sztuka stała się towarem konfekcyjnym uwzględniającym posłusznie nakazy jednodniowej lub sezonowej mody podporządkowanej rzekomo potrzebom rynku – jak twierdził Ralf Dieter Brinkmann – i żeby tworzenie ani czytanie nie wymagało żadnego wysiłku. Jest to oczywiście nawoływanie do majsterkowania i lekkomyślnego produkowania czegoś, co nigdy nie stanie się sztuką, co nie ma z nią żadnych stycznych i nie spełni jej funkcji estetycznych ani poznawczych.

Zamiast ciężko pracować i męczyć się nad stworzeniem dzieła literackiego – tak radzi Brinkmann – lepiej jest „dłubać w nosie, czytać gazetę, pieprzyć albo iść do kina”. Zalecenia przydatne dla troglodytów albo debili, aie samobójcze dla pisarzy, reżyserów teatru i filmu, dla artystów.

Niektórzy krytycy starają się narzucić pisarzom uogólnienia wyprowadzone z infantylnego odniesienia do sztuki, nie zastanawiając się nad tym, że nieodpowiedzialne „rebelie” mogą być tylko tematem, ale nigdy kanonem ani regułą, ponieważ mając charakter czysto werbalny i nie potwierdzony żadnym dziełem, starają się mówieniem na temat sztuki i opisywaniem, jaka powinna być nowa sztuka – zastąpić jej istnienie.

Na zasadzie podobnego nieporozumienia krytycy zajmujący się plastyką piszą z powagą o nocniku z plastikowymi fekaliami, wystawionym w galerii malarstwa, lub o eksponowanej tam garstce mchu, o rurkach jarzeniowych i modelach spajanych z odpadków (*ready mades*).

Faktem jest, że sztuka współczesna z wielu istotnych przyczyn przeżywa kryzys, i że kryzys ten jest piekłem dla pisarzy z prawdziwego zdarzenia, w ogóle dla artystów – lecz piekło to dotyczy sztuki i jej problemów, a nie błazenady ani majsterkowania, nie ustawianych w galeriach nocników i wieszaków, bo te wbrew wszelkim teoriom i diagnozom pozostaną tylko wieszakami i nocnikami, niczym więcej.

Nie jest też objawem kryzysu sztuki współczesnej „powieść”, której autor zdobywa rozgłos dzięki temu, że na kilkuset stronach nie użył ani razu litery „e” lub dlatego, że zastosował w nieskoordynowanym, pozbawionym sensu i myśli tekście kilkanaście rodzajów czcionek, przeróżne gatunki i kolory papieru, lub jeśli pozostawił w wydanej książce kilkadziesiąt nie zadrukowanych kartek lub ozdobionych byle jakim znakiem czy słowem nie mającym żadnego odniesienia do słowa ze strony poprzedniej ani następnej. Tego rodzaju igraszki oraz nieumiejętność przekazania własnych wizji zawsze były stanem kryzysowym uzdolnień, psychiki, zdrowego rozsądku, dobrego smaku, ale nie sztuki, bo nie dotyczą tak zwanych przedmiotów wartościowych artystycznie i nie wywołują w ich konkretyzacji stanów wartościowych estetycznie.

Jednak włączyli się w tę bez troską i jałową zabawę również teoretycy myślący artyzm i estetykę z jej patologicznymi odmianami, raczej wynaturzeniami. Wypisuje się więc nonsensy o zdystansowaniu literatury przez gwałtowny rozwój techniki, w ogóle nauki – jak gdyby źródła i cele nauki i sztuki nie były jak najbardziej rozbieżne i jakby myśl naukowa wyczerpywała wszelkie możliwości i aspiracje ludzkiego umysłu. „Język nauki zmierza do matematycznej jednoznaczności – pisała George Eliot – natomiast język literatury podąża w zupełnie innym kierunku i stanowi system zakodowanych znaczeń i nie domówień”.

Jak mogło dojść do tak elementarnych nieporozumień, do zatracenia umiejętności widzenia, rozumienia, postrzegania? Wyjaśnił pewne aspekty takiej sytuacji w odniesieniu do innych, ale podobnych w swej istocie zjawisk Mikołaj Kopernik:

„Krótkie życie, otępiałość zmysłów, obrzydliwe niedbalstwo i zbyt częste zaniechania nigdy nie pozwolą nam zbyt wiele wiedzieć. A to, co wiedzieliśmy

wielokrotnie, z biegiem czasu wydziera nam z umysłu kradnące wiedzę, wrogie i przepastne zapomnienie.

Na krawędzi tej przepaści zapomnienia nie pomoże ani niczego nie rozstrzygnie wynajdywanie coraz to nowych formuł, definicji i nazw dla pseudoliterackich trików ani dla faktu wystawiania w zaśmieconych galeriach sztuki nowoczesnej laserów i nadmuchiwanym baloników – nazw takich, jak *Inter-media-arts* (sztuka pośrednia), *Not-arts* (nieszuka), *Minimals-arts* (sztuka minimalna), „literatura, w której autor likwiduje samego siebie”, *Shockpop*, *Environmental-art* (usytuowanie odbiorcy między eksponowanymi przedmiotami), sztuka zerowa, sztuka niemożliwa, sztuka pojęciowa, sztuka komputerowa itd. zawsze z tym dodatkowym słowem *sztuka*, nie przystającym w ogóle do zjawisk będących jedynie *sztuczką*, przejawem zręcznej manipulacji i zyskowej komercjalizacji, sprytu i efekciarstwa zastępującego prawdziwe poszukiwanie i eksperymentowanie.

By kartki papieru wypełnione znakami liter mogły być nazwane utworem literackim, musi ten utwór spełniać pewne określone warunki obiektywne i sprawdzalne. W dziejach sztuki pisania nadszedł moment, w którym trzeba przypominać o podstawowych jakościach i elementach decydujących, czy jakiś tekst można nazwać literaturą. Nie można nazwać dziełem literackim tekstu, który byłby pozbawiony tych elementów, podobnie jak stołu nie można nazwać stołem, gdyby był tylko deską położoną na podłodze.

Nie jest, nie był i nigdy nie będzie literaturą tekst, który nie składa się ze zdań zawierających sens i uzależnionych od siebie. „Jeżeli istnieją utwory, które tylko na pozór mają brzmienie mogące uchodzić za słowne, lecz nie mające żadnego znaczenia – dowodzi Roman Ingarden – wówczas nie mamy do czynienia z dziełem literackim”. Ten ogólny podstawowy schemat musi być uzupełniony przez dalsze determinacje artystyczne i estetyczne. „Uzupełnienie ogólnego schematu do tworu indywidualnego, jakim jest każde dzieło sztuki, jest wprawdzie niezbędne, ale może się dokonać w rozmaity sposób”.

Brak w utworze zdań sensownych i nadmierna luźność jego budowy sprawia, że dany utwór w ogóle nie podpada pod kategorie sztuki, że znajduje

się poza jej granicami, że jest artystycznie bezwartościowy i obojętny estetycznie. W takim wypadku nie podlega w ogóle kompetencji krytyki literackiej i może nim się zająć, na przykład, językoznawca, filolog, socjolog i psychiatra. To samo dotyczy niektórych twórców z wystaw sztuki kinetycznej, gdzie działanie motorków poruszających przedmioty może ocenić tylko mechanik, przypadkowo łączone metalowe rurki i blachy – spawacz, mruganie jarzeniówek i żarówek – elektryk, instalacje wodne – hydraulik, dźwięki wydawane przez rzeźby – akustyk. Tutaj ocena doboru materiału, jakości lutowania i spawania, podłączenia wodociągowych przewodów również przekracza kwalifikacje krytyka zajmującego się plastyką. Tego rodzaju zabawki mechaniczne i inne powinien ganić lub chwalić nauczyciel robót ręcznych bądź pan prowadzący w telewizji kącik dla majsterkowiczów nazwany „Zrób to sam”.

Czym więc powinien się zająć krytyk? Tym, co dzisiaj powstaje na marginesie próżnego zgiełku epoki i efekciarstwa, koniunkturalnej mody i kiczu dla intelektualistów. Nie wolno jednak zapominać, że wszelkie eksperymenty w sztuce są dopuszczalne i pożądane, i że chybione twory jakiegoś nurtu w sztuce nie deprecjonują tego kierunku.

W obecnym chaosie pojęć i przeinaczania znaczeń, w warunkach obalania nie tylko wspólnych jakości estetycznych, artystycznych, ale w ogóle wszelkich innych wspólnych dla ludzkiej zbiorowości jakości etycznych, moralnych i obyczajowych – Carlos Evertsz mógł o sobie powiedzieć, że był przyzwoitym chłopcem.

I tak przedstawia się problem gangsterskiego barbarzyństwa w dialektycznym sprzężeniu z innym ujemnym zjawiskiem ostatnich dziesiątków lat i na tle wielkiej rewolty kontestatorskiej dwudziestego wieku, niszczącej porządek świata, podstawowe umowy społeczne i możliwość porozumienia się między ludźmi za pośrednictwem literatury.

* * *

Ciudad *Trujillo* jest powieścią współczesną, której akcja rozgrywa się głównie w Republice Dominikańskiej; jest powieścią o ludziach naszego wieku i o ich zmaganiu się ze światem. Jeśli utwór ten ma znamiona powieści sensacyjnej, stało się to z nieuniknionej i nie sprowokowanej przeze mnie przyczyny; życie w Dominikanie rządzonej przez generalissimusa Trujillo było przesyczone sensacyjnością i zbrodnią.

A. W.

Tom I

Biała Róża

Zastrzelono go w samo południe.

Na skrzyżowaniu wąskich i hałaśliwych uliczek starego miasta leżał z dwukrotnie przestrzelonym sercem i z jedną kulą tkwiącą w rozłupanej czaszce, wystrzeloną najpóźniej, kiedy runął na bruk, kiedy już nie żył.

Rozpłaszczone ciało spoczywało przez godzinę w pełnym słońcu, u wylotu co najmniej dziesięciu barów, pod progami kolorowych stoisk, w blasku wielokrotnionym przez olbrzymie okna odsłaniające bezwstydnie wnętrza mieszkań.

Kobiety roznoszące smażoną wieprzowinę, handlarze owoców i ryb, sprzedawcy soku i lepkich od upału słodyczy, chłopcy zachwalający z beczelnym przymrużeniem oka pornograficzne pocztówki, leniwi przechodnie i ludzie mieszkający w pokojach z olbrzymimi oknami – ci wszyscy widzieli mężczyznę padającego na jezdnię i tego, który go zabił, oddalającego się spokojnie, niknącego w tłumie.

Ulicą biegnącą obok przejeżdżały autobusy w stronę nowoczesnej dzielnicy miasta, hawańskie autobusy, w których konduktor, biorąc osiem centów za przejazd, pociąga linkę licznika i nie wydaje biletu. Rozbawieni pasażerowie patrzyli przez moment na zwłoki mężczyzny i udając roztargnienie, odwracali twarze powracając do przerwanych rozmów i flirtów, podobnie jak ci wszyscy, którzy przez godzinę stali lub krążyli wokół zastrzelonego.

Siedziałem z Harriet w jednym z otwartych barów ulicznych ukrytych przed spiekotą w wykuszu murów i piłem niezrównaną, mocno paloną kubańską kawę. Harriet pociągała przez słomkę sok z trzciny cukrowej, do którego kazała wcisnąć pół cytryny.

Wtedy padł pierwszy strzał. Odwróciłem głowę i zobaczyłem na środku jezdni skulonego, przerażonego człowieka w białej koszuli i w kapeluszu

panama. Pragnąc się osłonić, w panicznym geście przycisnął do piersi olbrzymi ananas. Wówczas druga kula przebiła owoc.

Teraz sok z soczystego miąższu rozjaśniał krzepnącą krew i w blasku słońca lśnił jak odbicie światła w barwnych szkiełkach. Rozłupany ananas leżał obok, przy dłoni zaciśniętej w paroksyzmie bólu.

Na odgłos drugiego wystrzału Harriet cicho krzyknęła i zerwała się z miejsca.

Szybko przyciągnąłem ją ku sobie.

– Siedź – powiedziałem – siadaj! – i wskazałem dwóch mężczyzn obok nas, rzucających kości. Kiedy padł strzał, na mgnienie oka odwrócili głowy i natychmiast powrócili do gry.

– Spójrz na nich, tak trzeba – powiedziałem do Harriet.

Była blada i przestraszona.

Znowu rozległ się huk, i wtedy Harriet dłońmi objęła twarz zauważywszy, nim się jeszcze odwróciła, jak mężczyzna w białych spodniach i kraciastej koszuli strzela w głowę leżącego. To był trzeci strzał.

– Chodźmy stąd – powiedziała – natychmiast!

Poprosiłem barmana, by podał jeszcze raz sok z trzciny cukrowej i cytrynę dla Harriet, a dla mnie kieliszek aranjezu.

– Czy masz coś wspólnego – zapytała Harriet – z tą... z tym... – i nie patrząc w tamtą stronę, ruchem ramienia wskazała leżącego człowieka. – Boże, chodźmy stąd!

– Nie możemy teraz odejść. Kiedy przyjadą policjanci, ludzie powiedzieli by im, że zaraz po tych strzałach odeszli stąd cudzoziemcy, i opisałiby nas jak najdokładniej. Uczmy się od nich, Harriet! Widzisz, wszyscy tak się zachowują, jakby nic się nie stało.

– Nie mam takiej wprawy jak Kubańczycy.

– Więc ich naśladuj.

– Nie mogę tu siedzieć, proszę cię, chodźmy stąd.

Barman podał nam sok i aranjez.

Powiedziałem:

– Harriet, nie ściągaj spojrzeń tych ludzi. Pij sok, uśmiechaj się do mnie i nie koncentruj na sobie uwagi. Nie umiałbym wytłumaczyć policji, co robię w tej dzielnicy. Twoje miejsce jest w mesie lotniska, a nie tutaj; za dwie godziny

masz odlot. Musisz się z tym liczyć. Uśmiechnij się i pij sok... Jestem przekonany, że morderca także stąd nie odszedł, ale stoi pod jakimś kramem lub siedzi obok nas.

Sięgnęła po szklanę i powiedziała nie wiadomo dlaczego bez związku z tym, o czym do niej mówiłem:

– Z wami zawsze trzeba się liczyć. Kobiety nie załatwiają swoich spraw tak, jak wy... nie strzelają na ulicy do innych kobiet. Mój Boże – wzdrygnęła się z obrzydzenia – ten wasz męski świat, wasze wojny i rewolucje, morderstwa i polityka...

I nagle: – Powiedz, proszę cię, powiedz mi szczerze, czy naprawdę mnie kochasz?

Powiedziałem szczerze, że ją naprawdę kocham.

Od dwóch lat pytała codziennie o to samo i od dwóch lat odpowiadałem codziennie tak samo. Przyzwyczailem się do tego pytania i nie musiałem się nawet zastanawiać nad odpowiedzią, była ona jak odruch warunkowy mózgu wciąż drażnionego dźwiękami o jednakowym natężeniu i tej samej barwie.

Kiedy przyjechał wóz policyjny, niezliczone mrówki i muchy pokrywały twarz umarłego, wtargnęły pod ubranie, wciskały się w kieszenie spodni i w cholewki butów. Policjanci szukali świadków, monotonnie pytali o okoliczności zabójstwa, a ludzie wzruszali ramionami i z takim zdumieniem patrzyli na nich – oczyma, w których przecież utrwałała się scena morderstwa – jakby w ogóle nie wierzyli i po raz pierwszy w życiu usłyszeli, że człowiek może zabić człowieka.

– Po co mnie tu zaciągnąłeś? – zapytała Harriet.

– Harriet, przecież nie wiedziałem, że kogoś zabijają!

– Mogliśmy pojechać do „Tropikany”, tam robią świetne *daiquiri* – powiedziała. *Daiquiri* był jednym z najlepszych napojów kubańskich: w mikserze rozbite na ziarnistą pianę kryształki lodu z sokiem cytrynowym i rumem.

– W „Tropikanie” przynajmniej nie zabijają – dodała.

– Ale tam decydują, kto ma być tutaj zabity.

Niechętnie wchodziłem do westibulu tego wytwornego lokalu z olbrzymimi lustrami i kryształowymi kinkietami i do wnętrza restauracji imitującej dżunglę, gdzie między pniami palm ustawiono kilkaset stolików oświetlonych małymi lampkami. Swobodniej czułem się w takich barach, jak ten, w którym

siedzieliśmy, wśród gestykujących mężczyzn w białych spodniach i kolorowych koszulkach, wśród uśmiechniętych ciemnoskórych dziewcząt o lśniących oczach.

Policjanci przykryli leżącego na bruku płachtami gazet: agent W cywilnym ubraniu telefonował z sąsiedniego baru po karetkę pogotowia, a dwaj inni przepędzali dzieci gromadzące się wokół zastrzelonego. Korzystając z zamieszania wyszliśmy na ulicę. Było upalnie i nawet cień nie chronił przed żarem bijącym z ziemi i nieba.

Harriet była zdenerwowana, zmęczona upałem. Wciąż mówiła o tym zastrzelonym. W podziemiach złoto-brązowej restauracji „Monseigneur” z antycznymi zegarami i dziewiętnastowiecznymi sztychami, tylko skosztowała zamówione danie i odsunęła talerz. Wypiliśmy *ron-collin*, zamrożony cocktail z wody, rumu i soku cytrynowego, i mocną kawę z mikroskopijnych filiżanek.

– Jedźmy już – powiedziała. – Wciąż mi się zdaje, że znowu kogoś zastrzelą. Ten człowiek kupił ananas i nawet nie zdążył zjeść. To było okropne.

Pierwszą napotkaną taksówką odwiozłem Harriet na hawańskie lotnisko Jose Marti. Harriet była stewardesą *Pan Am* w *Latin America Services* i latała wówczas na trasie Nowy Jork – Miami – Hawana – Nassau.

Douglas DC-7B wystartował z lotniska Jose Marti. Daremnie wpatrywałem się w okienko służbowej kabiny Harriet: za grubą szybą nie dostrzegłem jej twarzy, zresztą oślepiało mnie słońce.

Dowiedziałem się później, że mężczyzna zastrzelony w Hawanie, w samo południe 7 sierpnia 1955 roku, nazywał się Manuel Jezus Hernandez. Był uchodźcą z Republiki Dominikańskiej.

Dowiedziałem się także, że mordercy Hernandeza nie ujęto.

We wrześniu 1955 roku wyjechałem z Hawany do Paryża. Wynająłem pokój w skromnym i schludnym hotelu „d'Alma” przy rue de l'Exposition.

Na trzecim piętrze tego hotelu mieszkał Frascuelo Morales. Któregoś wieczoru wyszedł stamtąd, ruszając w kierunku stacji l'Ecole Militaire. Usłyszawszy, że ktoś go woła, odwrócił się i wtedy otrzymał w twarz dwa pociski z wielkokalibrowego pistoletu. Na odgłos pierwszego wystrzału podbiegłem

do okna i dostrzegłem błysk wybuchający w samochodzie stojącym przed hotelem. To był drugi strzał. Wóz natychmiast odjechał.

Dowiedziałem się później, że zastrzelony mężczyzna nazywał się Pedro Frascuelo Morales; uciekł przed rokiem z Republiki Dominikańskiej.

Dowiedziałem się także, że mordercy Pedra nie ujęto.

W październiku 1955 roku wróciłem do Stanów.

W kilka dni po przyjeździe przeczytałem w „New York Herald Tribune”, że mr Andreas Requena, redaktor pisma „Patria”, otrzymał depeszę wzywającą go pod prawdopodobnie brzmiącym pozorem, by o którejś tam godzinie zjawił się na 234 Madison Street. O godzinie wyznaczonej w depeszy – policja wydobyła ją później z marynarki Requeny – i w określonym tam miejscu znaleziono go z twarzą wciśniętą w asfalt, z przestrzelonym karkiem.

Dowiedziałem się, że Andreas Requena był politycznym uchodźcą z Republiki Dominikańskiej.

Dowiedziałem się również, że jego mordercy nie ujęto wówczas ani później.

W listopadzie 1955 roku kroniki prasy codziennej podały, że wśród tajemniczych okoliczności zginął w swym nowojorskim mieszkaniu Sergio Bencosme.

Dowiedziałem się później, że Sergio Bencosme przybył do Nowego Jorku z Republiki Dominikańskiej:

Dowiedziałem się także, że morderców nigdy nie ujęto.

W grudniu 1955 roku, na posiedzeniu Międzynarodowej Organizacji Pracy w Waszyngtonie Maurizio Baez przedstawił memoriał o stosunkach panujących w Republice Dominikańskiej. Następnego dnia zginął bez śladu.

Dowiedziałem się, że sprawców jego porwania, prawdopodobnie morderców, nie znaleziono. Ani tego dnia, ani żadnego następnego.

W styczniu 1956 roku zginął w Porto Rico zbiegły z Republiki poeta dominikański Vigilio Martinez Reina. Kiedy Reina wychodził z kawiarni, wpakowano mu w pierś cały magazynek. Mordercy nie ujęto.

W lutym tegoż roku pod jednym z łuków flawijskiego Colosseum zastrzelono księdza Emanuela Marię Escudé; osiedlił się w Rzymie przed dwoma laty po ucieczce z Republiki Dominikańskiej.

Dowiedziałem się później... – i tak dalej, wciąż to samo; uchodźca z Republiki Dominikańskiej, morderców nie ujęto, nie znaleziono, nie wykryto, nie natrafiono na ślad... A przecież wszystkie ślady z Rzymu i Paryża, z Nowego Jorku i Hawany wiodły do Republiki Dominikańskiej.

W marcu, w kwietniu, w maju...

Miesiąc po miesiącu, niekiedy co tydzień lub nawet w odstępie kilkudniowym padali na ulicach odległych od siebie miast uchodźcy z Republiki Dominikańskiej. Tajni agenci z *Policía Nacional Dominicana* docierali wszędzie, odnajdywali swoje ofiary, śledzili je, zabijali i znikali, drwiąc z wysiłków policji i kontrwywiadu obu kontynentów.

12 marca zniknął bez śladu doktor Jezus Fernandez de Galindez, profesor historii cywilizacji hiszpańskiej na nowojorskim uniwersytecie Columbia. Wszedł do stacji metra Columbus Circle w centrum olbrzymiego miasta, w pełnym świetle dnia, i nigdy więcej stamtąd nie wyszedł, nie dojechał także do miejsca przeznaczenia; nie znaleziono go również w tunelu metra. Po prostu „wyparował” – tak powiedział major Frank Beesley.

De Galindez był uchodźcą z Republiki Dominikańskiej.

To jedna z tych historii, którą warto się zająć, żeby odnaleźć jej epilog. Nie zakończenie, bo właściwie nic nie ma zakończenia i wszystko, co się wydarzyło, istnieje nadal, chociaż o tym nie myślimy – lecz zaledwie epilog, a więc następstwo zdarzenia.

1.

Murphy spojrział na przyrządy i wznosił dłoń w rękawicy z zielonej skóry.

– Dosyć! – zawołał.

Piegowaty chłopiec skinął głową i wyłączył dźwignię regulującą dopływ benzyny.

– Bak rezerwowy jest pełny – zaseplenił.

– Dobra, stary – powiedział Murphy – możesz zabrać swój tankowiec.

Murphy wysiadł z kabiny i podał chłopcu kilka monet.

Zerwał się wiatr i trzepnął go w twarz luźno zwisającymi z hełmu skórzanymi nausznikami; Murphy spiął je pod brodą. Spojrział niechętnie na stojącą obok sekretarkę biura, w którym wynajął samolot: żuła gumę poruszając szczękami z irytującą, krowią powolnością.

– Pani na coś czeka? – zapytał.

– Niby tak...

– Jest coś jeszcze do załatwienia?

– Nie – powiedziała – chyba wszystko jest załatwione. Kwit na kaucję dali panu w biurze?

– Dali.

– Zostaje pan do jutra?

– Nie wiem nawet, co bym dzisiaj mógł robić w tym waszym Linden. Dlaczego mam zostać do jutra?

Wpatrując się w jego chłopięcą twarz, rozwarła zlepię gumą szczęki i wyskandowała:

– Pomyślałam sobie, że pójdziemy wieczorem zatańczyć.

– Taka dziewczyna jak pani powinna mieć kogoś na miejscu, pod ręką. Na przejezdnych nie warto liczyć.

Wzniosła ramiona i poprawiła jasno utlenione włosy, rozsypujące się w podmuchach wiatru. Zmrużyła oczy.

– Szef nie lubi, jak koło mnie kręcą się chłopaki.

– Jednak sam lubi się kręcić?

– Ma już sześćdziesiąt lat, ale wie pan, on wygląda na sto dwadzieścia. A to nie jest zabawne, prawda? Gdybym znalazła jakąś inną robotę, powiedziała-bym mu, co o nim myślę. Czytał pan taką powieść Nabokowa, o tym starszym panu i tej młodziutkiej dziewczynce...

– Czytałem. Ale pani ma na pewno trochę więcej lat niż Lolita.

– Właśnie. Lolita. Tak się nazywała książka, tylko, wie pan, nie mam pamięci do tytułów. Ja mam na imię Lana.

Zaśmiała się, nie wiadomo dlaczego. Murphy miał już dość próżnej gadaniny; dla tej dziewczyny nie warto opóźniać lotu, nawet dla najpiękniejszej ze wszystkich nie mógłby tego zrobić. Niech już się odzepi, pomyślał, bo zaczęły być nieuprzejmy.

– Wie pani, ile mam lat? – rzucił szybko, nie dopuszczając Lany do głosu.

– Mam dopiero dwadzieścia dwa i lubię kobiety pod trzydziestkę. Pani jest dla mnie za młoda.

– Mam już dwadzieścia pięć.

– Właśnie, to samo chciałem powiedzieć. Musi pani poczekać na mnie z pięć lat.

– Pan chyba żartuje. Normalny facet lubi takie młode.

Udał, że nie słyszy jej odpowiedzi i odwrócił się w stronę piegowatego chłopca; stał wsparty o wózek ze zbiornikiem benzyny i gapił się na Lanę.

– Staruszkule – powiedział Murphy – zawołaj mechanika. Niech jeszcze sam sprawdzi stery i motory phoenixa i przygotuje do latania ten dziurawy nocnik.

Chłopak ocknął się.

– Dobrze, proś pana.

Pobiegł, w stronę hangaru, licząc po drodze pieniądze.

Utleniona sekretarka nie dała za wygraną. Zbliżyła się do pilota i poprawiła sprzączki jego kombinezonu. Cofnęła się o pół kroku.

– Szef pytał się – powiedziała – dokąd pan odlatuje. Nie wypełnił pan tej rubryki.

– Niech pani powie szefowi, że jeszcze nigdy nie pytałem go, dokąd on odlatuje. Kto chce zarobić kilka dolarów, musi pilnować własnego nosa.

– Czasem mamy nieprzyjemności i dlatego. Kiedy coś się stanie, policja stanowa grozi, że zamknie szefowi budę. Mieliśmy raz taką historię, że...

– Niech mu pani powie, że lecę do Chattanooga, w Tennessee.

– Dobrze, zapamiętam... Ma pan tam kogoś?

– O to także szef pytał?

– Pan mi się bardzo podoba, panie Murphy, muszę to szczerze wyznać.

Kiedy pan wraca?

Zbliżył się mechanik. Był to człowiek stary, siwy i zgarbiony; miał czoło wąskie na dwa palce i lewą rękę znacznie krótszą od prawej. Powiedział:

– Wszystko obmacałem. Będzie pan zaraz startować?

– Tak.

– Już się robi.

Murphy spojrział na sekretarkę.

– Do zobaczenia, Lana, była pani bardzo miła. Do widzenia. I pupka do góry.

Ale Lana nie odchodziła.

– Zaczekam tutaj, panie Murphy.

– Nie, proszę już iść... Kobiety nie powinny stać przy pasie startowym, to przynosi pecha... Teraz mi pani powie, że pilot nie może być przesądny, że kobiety także latają, że pani wszystkim przynosi szczęście i jeszcze mnóstwo innych rzeczy. Ale proszę już nic nie mówić. Znam to na pamięć, latam już sto lat. Będzie lepiej, jak pani pójdzie do biura.

– Zrobione! – zawołał stary mechanik, niezgrabnie gramoląc się z kabiny – można fruwać. Życzę panu kraksy przy pierwszym lądowaniu.

– Dziękuję, chłopcze – uśmiechnął się Murphy, podając mu zmięty banknot. – Masz tu na cukierki. Z panią już się pożegnałem – zwrócił się do Lany. – I niech się pani nie martwi dziadkiem. Doświadczenie starszych mężczyzn znaczy więcej niż nasza młodość. Miałem kiedyś siedemnastoletnią dziewczynę, która porzuciła mnie dla dżentelmena po czterdziestce.

Spojrzała z nienawiścią.

– I umarła później ze szczęścia, co?

Udawał, że nie słyszy. Poprawił na głowie hełm z zielonej skóry, poklepał puszyste krążki osłaniające uszy, i spojrzawszy na Lane, stuknął w nie palcem, oznajmiając tym gestem, że nie dociera do niego jej głos.

– Do widzenia! – krzyknęła Lana. – Do zobaczenia, panie Murphy! Będę czekać na pana!

Wsiadając do kabiny, słyszał jej wołanie, ale nie odwrócił głowy.

Wystartował.

Okrążając lotnisko szerokim łukiem, dostrzegł w dole zmniejszającą się sylwetkę Lany.

Zadarła głowę ku niebu i przysłoniła oczy dłońmi splecionymi nad czołem. Jej szczęki żuły gumę coraz szybciej i rytmiczniej; poruszały się niczym automat. Piegowaty chłopak wpatrywał się w nią jak urzeczony.

– Co się gapisz? – zapytała gniewnie.

– Nie, ja tylko tak sobie – sepleniał z wypiekami na twarzy – jak nie ma nic do roboty, zawsze lubię na coś się patrzeć. Casem to stoję tysi albo styry godziny i patzę się na coś...

Jezu, co za natrętna babka – pomyślał Murphy – wpije się w człowieka jak kleszcz i nic nie kapuje, że człowiek tylko o tym marzy, żeby się odczepiła; z takimi nie ma co zaczynać. Jak przylecę znowu do Linden, to ona nawet moją walizkę zanieś na dworzec albo do hotelu, byle się tylko nie odczepić. Jezu, na takie babki nie ma rady... Ale diabli wiedzą, czy w ogóle wrócę do Linden; mogę nie wrócić, to jest całkiem paskudna sprawa.

Przeleciał nad Nowym Jorkiem. Wymijając na krańcach miasta kilkanaście innych samolotów, obniżył lot nad East-River, podciągnął maszynę nad zady-mionym Brooklynem i spojrzął na wydłużony masyw Long Island. Tu miał wylądować, w Amityville.

Wyspa wyglądała z góry jak rozwartą łapa olbrzymiego kraba.

2.

Nowy Jork. Czterdziesta Piąta Ulica. Drugie piętro posępnej oficyny, na które wchodzi się po trzeszczących i zmurszałych schodach. Na drzwiach skrzynka na listy i wizytówka przypięta mosiężną pluskiewką.

W marcu tegoż roku zatrzymała się przed moimi drzwiami młoda dziewczyna i nieśmiało nacisnęła taster dzwonka. Usłyszałem cichy i krótki terkot, jednak nie podchodziłem do drzwi. Upłynęła chyba minuta. Pomyślałem, że ktoś, kto chciał mnie odwiedzić, nagle zrezygnował i odszedł. Ale schody nie trzeszczały, więc myliłem się. Ten ktoś jeszcze wciąż czekał.

Kiedy zbliżyłem się do drzwi, dzwonek znowu zaterkotał, tym razem nieco głośniej. Czekałem. Upłynęła następna minuta.

Nie miałem pojęcia na co czekam i dlaczego nie otwieram, i dopiero później zastanowiło mnie moje dziwactwo. Upłynęła jeszcze minuta. Zaskrzypiały schody, ale delikatnie, ostrożnie, jak skrzypią wtedy, kiedy schodzi po nich dziecko albo kobieta w lekkich pantoflach.

Nacisnąłem klamkę i wyjrzałem na korytarz. Zobaczyłem wąskie plecy, młodej, zgrabnej dziewczyny. Usłyszawszy skrzeczenie zawiasów, w popłochu odwróciła głowę. Miała długie ciemne włosy opadające na ramiona i okalające twarz o typowej amerykańskiej urodzie, znanej ze stu tysięcy reklam, z wielu filmów i rewii. Ale ta twarz była subtelniejsza, zwłaszcza w wykroju ust i w wyrazie wilgotnych oczu; tym różniła się od nieco wyzywającej i przesłodzonej urody przeciętnej amerykańskiej piękności.

Stała przede mną o kilka stopni niżej, uniosła głowę.

– Dzwoniłam do pana – powiedziała – dwa razy dzwoniłam, ale nikt nie otwierał. Pomyślałam, że pana nie ma w domu.

– Z kim pani chciała rozmawiać?

Wskazała dłonią wizytówkę.

– Pan nazywa się Mike Wynn?

– Proszę, niech pani wejdzie.

Wprowadziłem ją do gabinetu, wskazałem jeden z foteli stojących przed biurkiem i usiadłem obok niej, w drugim fotelu.

- Proszę pana... Nie wiem jak zacząć, ale mam wielką prośbę...
- Proszę zacząć od siebie. Moje nazwisko pani już zna.

Splotła dłonie złożone na udach.

– Nazywam się Loretta Flynn, jestem studentką... Studiuję historię sztuki na uniwersytecie Columbia, mam dwadzieścia jeden lat. Mój ojciec jest kongresmanem. Ale może już wystarczy?

- Na razie tak. Kto panią skierował do mnie?
- Nikt. Czytałam o panu.

Pomyślałam, że siedzi przede mną jedna z tych naiwnych i egzaltowanych dziewcząt, które zasugerowane tym, co o mnie od czasu do czasu pisano, przesyłały czułe listy lub nawet odwiedzały mnie, by wyznać swoją miłość. To było bardziej kłopotliwe niż zabawne. Powiedziałam:

– Proszę w te głupstwa nie wierzyć. Pani wie chyba, co potrafią wymyślić nasi dziennikarze, żeby tylko zarobić kilka dolarów i utrzymać nakład gazet.

Domyśliła się, o co ją pośadzam.

– Wiem. Ale umiem odróżnić tanią sensację od faktów. Niech pan nie sądzi, że przyszłam tutaj, by zachwycać się panem i błagać o odrobinę wzajemności, chociaż naprawdę podziwiam to, co pan zrobił... i pana odwagę. Nawet gdybym była zakochana w panu, nie zdobyłabym się na to, by przyjść tutaj i wyznawać miłość. Nie jestem w panu zakochana.

Odetchnąłem. Teraz już mogłem bezkarnie powiedzieć:

– Szkoda, panno Flynn – i uśmiechnąć się do niej.

Uśmiechnęła się także. Przyjrzałem się baczniej jej twarzy i dostrzegłem, że ma zaczerwienione, podpuchnięte od płaczu oczy. Domyśliła się, że zauważyłem ślady łez. Rozkurczyła dłonie splecione na udach.

– Pani płakała.

Uśmiechnięte usta wykrzywiły się nagle jak do płaczu, zadrżał jej wyrazisty podbródek. Skinęła głową. Nic nie powiedziałem, wiedząc, że czeka na pytanie dlaczego płakała. Powinna sama przezwyciężyć nieufność albo wstyd. Dotknęła leżącej na stole paczki Windsorów.

– Można zapalić? Przepraszam, ale zapomniałam zabrać moje papierosy, nawet nie mam przy sobie torebki. Chyba zostawiłam w wozie. Ostatnio to roztargnienie...

– Pali pani takie same papierosy?

– Nie. Palę Melachrino, i to dużo...

Gatunek papierosów, jej pantofle, kostium świadczyły, że nie ma kłopotów z forszą.

Uniosłem pamiątkową zapalniczkę zrobioną z przeciwpancernego pocisku i podałem jej ogień. Odruchowo cofnęła twarz przed płomieniem wysokim na kilka cali.

– Przecież taką maszyną można wywołać pożar! – zawołała. Uniosła głowę, by zobaczyć, czy sufit nie jest zakopcony.

– Umieć się z tym obchodzić. To zapewne jedyna zapalniczka w świecie, która od dziesięciu lat daje ogień za każdym razem, przy jednym naciśnięciu dźwigni.

Sięgnąłem na biurko po ulubioną popielniczkę, ogromną, w kształcie rozdeptanego cylindra, i postawiłem ją na stoliku, przy którym siedzieliśmy. Loreta Flynn była zaskoczona.

– Wygląda jak mózdzierz artyleryjski! Do czego to służy?

– Owszem, można by przerobić ją na mózdzierz, ma pani rację. Ale to po prostu bardzo wygodna popielniczka, z różnych przyczyn wygodna. Niekiedy mam klientów, którzy chcą mnie wpakować w jakąś podejrzaną sprawę. Wówczas, stawiając lub przesuwając popielniczkę, naciskam małą płytkę umieszczoną na dnie cylindra. Ma on podwójne dno, a w utworzonej tak komorze znajduje się magnetofon.

– Włączył pan?

– Nie.

– Dlaczego pan o tym mówi? Żeby mnie ostrzec?

– Powiedziałem po to, by wzbudzić w pani większe zaufanie. Ma pani coś ważnego do opowiedzenia i zwleka pani. Obawiałem się przez chwilę, że zacznie pani płakać. Dlatego o nic nie pytałem. Proszę się uspokoić. Myślę, że już pani się oswoiła z tym pokojem i ze mną... Słucham.

– To bardzo skomplikowana sprawa.

– Nie wygląda pani na dziewczynę, która przyszłaby do mnie z byle głupstwem. Na pewno nie wyobraża sobie pani, że mógłbym śledzić jakiegoś

chłopca, którego pani... którym pani się interesuje.

– To jest naprawdę poważna sprawa. Musi mi pan obiecać, że zostanie między nami... I że bez mojej wiedzy...

– Te formalności możemy opuścić. Proszę kolejno i dokładnie opowiedzieć, co zaszło. Dopiero wtedy powiem, czy ta sprawa w ogóle mnie interesuje i czy potrafię pani pomóc w czymkolwiek.

– Pan przecież może każdą sprawę...

Znowu grała na zwłokę. Przerwałem jej:

– Nie, nie każdą. Jeżeli pani przyjdzie z chorym gardłem do kardiologa lub okulisty, ten odeśle panią do laryngologa, chociaż także jest lekarzem. Podobnie bywa w naszym fachu. Słucham panią.

– Więc po kolei, tak?

Spojrzałem na sufit.

– Można jeszcze papierosa? Pozwoli pan?

Podałem ogień, nic nie mówiłem.

– Opowiedziałam już panu – zaczęła po chwili – że studiuje na uniwersytecie Columbia. Słuchałam tam wykładów z historii cywilizacji hiszpańskiej, prowadził je profesor de Galindez...

– Doktor Jezus Fernandez de Galindez?

– O tak! Czy pan znał profesora?

– Proszę opowiadać dalej.

– Dwunastego marca – podjęła – ach, nie! Muszę panu jeszcze powiedzieć, że profesor de Galindez był...

– Był?

– Tak, właśnie o to chodzi, że nie mogę powiedzieć „jest”. To najgorsze w tej sprawie i po to przyszedłam do pana. Ale proszę, musi mi pan dać słowo, że wszystko, co powiem, zostanie między nami. Bardzo o to proszę.

– Dlaczego?

– Bo jeżeli ktoś się dowie, że powiedziałam... Wówczas mogą mnie zabić, zrobią to na pewno.

Zajrzała mi w oczy. Chciała sprawdzić, czy poważnie traktuję tę groźbę.

– Zabiją mnie – powtórzyła z determinacją.

3.

Murphy wylądował na lotnisku Amityville. Samolot tak ustawił, by w każdej chwili można było startować. Na wyspie nie czuł wiatru; powietrze było przejrzyste, niebo jasne. Rozluźnił metalowe kółka spinające pod brodą rzemyk zielonego hełmu, zdjął go z głowy; wewnętrzny brzeg skóry był wilgotny od potu. Chciał go osuszyć i sięgnął do kieszeni po chusteczkę, lecz jej nie znalazł. Pomyślał, że w apteczce powinna być lignina.

Do samolotu zbliżył się dozorca z obsługi lotniska, dotknął otwartą dłonią zniszczonego daszka okrągłej czapki. Murphy poruszył w odpowiedzi hełmem trzymany w ręku. Zauważył, że dozorca utyka na prawą nogę. Źle się stało, że tu lezie, pomyślał; w tej chwili nikt nie powinien być w pobliżu samolotu, nikt nie powinien ze mną rozmawiać.

- Dzień dobry. Jak się pan czuje?
- Jak w dzień przed ślubem – odburknął. To było jedno z tych powiedzonek, których się nauczył w szkole pilotów.
- Przynieść panu sandwicze i kawę?
- Thanks. Mam w termosie pięćdziesiąt litrów.
- Kawy?
- Z cukrem.
- I nic panu nie trzeba?
- Żebyś zostawił mnie w spokoju, nic więcej.
- Myślałem, żeby przynieść panu gazetę.
- Nie umiem czytać.

Dozorca obojętnie słuchał odpowiedzi Murphy'ego i przyjmował je, jakby miały sens. Przyjrzał się maszynie, później spojrzął w niebo. I stojąc tak, z głową zadartą ku górze, zapytał:

- Kiedy pan odlatuje?
- Czekam na kogoś.
- To na pewno będzie jakaś dama. Na damę pan czeka? Już ja wiem.
- Na list polecający do prezydenta USA.
- Lubię, jak ktoś opowiada dobre kawały. Pan ma dar do kawałów.

Okręcił się na lewej nodze i powiedział nie opuszczając zadartej głowy:

- Ma pan czyste niebo. Kryształ.
- Zamawiałem pogodę w Białym Domu.
- Nikogo tam nie znam.
- Niech pan już sobie pójdzie.
- Jakby pan co potrzebował, proszę zawołać Ralpha. Czasem można czegoś potrzebować. Nazywam się Ralph Bulloch.
- Nigdy nie zapomnę.

Dozorca stuknął palcami o daszek czapki i pokusztykał w stronę dyżurki.

Murphy jeszcze raz sprawdził wszystkie przyrządy; powiedziano mu, że w Amityville nikomu nie wolno zbliżyć się do maszyny, nawet mechanikom. W porządku, pomyślał, można latać na tym nocniku. Spojrzał na zegarek: było pięć po trzynastej.

W pół godziny później przez bramę lotniska przejechała karetka sanitarna. Wjechała na pole startowe i zatrzymała się o kilka metrów od phoenixa.

4.

Zabiją mnie – powtórzyła Loretta Flynn. – Nie wiem, jak to się stanie, nie wiem kto, i nie wiem kiedy, ale w tej chwili pomyślałam, że na pewno mnie zabiją. Jestem w takiej sytuacji, że nie powinno mi zależeć, jeszcze panu o tym powiem... lecz już teraz wiem, że w momencie śmierci byłabym przerażona. Chciałabym żyć...

Przypomniałem sobie kręte uliczki starej dzielnicy Hawany i mężczyznę, który strzelał trzykrotnie, i tego, który upadł na bruk, przyciskając do piersi ananas rozłupany kulą, i obojętność wszystkich, którzy to widzieli, i zdławiony okrzyk Harriet. Przypomniałem sobie, jak pod hotelem „d'Alma” w Paryżu Frascuelo Morales otrzymał w twarz dwie kule. Dziwaczny przypadek, jakich jest zresztą wiele, sprawił, że byłem świadkiem tych obu śmierci, ale nigdy nie chciałem zobaczyć, jak umiera Loretta Flynn.

– W porządku, proszę się nie obawiać – zapewniłem dziewczynę – ma pani moje słowo, że na nic przykrego panią nie narażę. Proszę opowiadać.

– Dwunastego marca, po wykładzie profesora Galindeza, wyszłam razem z nim z gmachu uniwersytetu – powiedziała Loretta.

– Czy po raz pierwszy wychodziła pani razem z profesorem? Proszę w trakcie opowiadania wspominać o takich szczegółach.

– Ależ nie w tym rzecz, to całkiem inna sprawa!

Dotknąłem jej dłoni wspartej o popielniczkę.

– Proszę wnioski pozostawić mnie i ograniczyć się tylko do faktów.

Była speszona i zdenerwowana, nawet zawstydzona.

– No więc nie, nie po raz pierwszy, jeżeli panu na tym zależy. Często wychodziliśmy razem. Piszę pracę o architekturze Azteków z okresu Montezumy i profesor pomagał mi w dotarciu do różnych źródeł, na przykład...

– Dobrze. Wyszła pani razem z profesorem.

– Już mówiłam. Zaraz na rogu jest drogeria, tam chodzimy czasem coś zjeść. Wstąpiliśmy także tego dnia... Ach, tak – uśmiechnęła się ironicznie – pan żąda szczegółów. Więc profesor Galindez zamówił kefir, a ja piłam herbatę z cytryną i jadłam lody. Rozmawialiśmy o Cortezie, w związku z moją pracą o Montezumie, zdaje się, że już powiedziałam panu. Później, mniej więcej po godzinie, odwozłam profesora moim imperialem do stacji metra. Wie pan, Cortez w Tenochtitlán...

– Do której stacji?

– Columbus Circle. Profesor mieszka na Fifth Avenue 30.

– Czemu nie zawiozła pani profesora wprost do domu?

– Chciał jechać metrem. Czy to ma jakieś znaczenie?

– Pani wie więcej.

– Żona pana profesora oczekiwała go zawsze na przystanku metra przy Fifth Avenue. Dlatego chciał jechać metrem. Żona bała się o pana profesora.

– No i?

– I jego żona nie doczekała się... Właśnie po to przyszedłam do pana.

– Może profesor w ogóle nie pojechał metrem?

– Nie wiem, Boże, przecież, ja nic nie wiem! Profesor pożegnał się ze mną, wysiadł z wozu i zszedł po schodkach w głąb metra.

– Widziała pani, jak schodził?

– Tak, widziałam. Właśnie podeszły do wozu dwie moje koleżanki, z tego samego roku, i poprosiły, żeby je gdzieś podrzucić. One także widziały, jak profesor pożegnał się ze mną i schodził na peron, chociaż wolałam, żeby nie zobaczyły mnie z profesorem.

– Dlaczego?

– Bo to nie jest wygodne dla studentki, kiedy widuje się ją z profesorem. Będę bronić mojej pracy i wtedy koledzy mogą pomyśleć, że profesor uzgodnił ze mną pytania... Ale jestem na to za ambitna, a on jest zbyt uczciwy.

– Pani wie więcej.

– Proszę mi wierzyć, że to nie ma nic wspólnego ze zniknięciem profesora Galindeza!

– Być może. Jednak jeszcze raz powtarzam: pani wie więcej.

– Bo wciąż plotkują, że mnie coś łączy z profesorem. Pan rozumie, o co im chodzi? Dlatego byłam niezadowolona, że koleżanki widziały mnie razem z nim.

– Dlaczego pani ukrywa coś przede mną? Muszę wiedzieć co najmniej tyle, ile wie pani.

– Pomijam te osobiste szczegóły, bo historia ze mną i jego żoną nie ma najmniejszego związku ze zniknięciem profesora! Niech pan mnie nie męczy, naprawdę, nie mam sił do tego wszystkiego...

– Kto pani powiedział, że profesor zginął?

– Odwiozłam te koleżanki i wróciłam do domu, dalsze wykłady miałam dopiero po południu. Po upływie godziny, od chwili kiedy weszłam do domu, zadzwoniła żona pana profesora i pytała o niego. Była bardzo zdenerwowana; już od dawna czegoś się bała i dlatego zawsze czekała u wylotu metra.

– O której to było? Ten telefon?

Nie wiadomo dlaczego spojrzała na swój mały zegarek, płaski jak dziesięciocentówka.

– O trzynastej trzydzieści mniej więcej.

- O której de Galindez wchodził do metra?
- Kilka minut po dwunastej. Pamiętam dobrze, bo jedna z koleżanek spojrzała na zegar wmontowany w wozie i powiedziała, że ten zegar śpieszy się o pięć minut. Nigdy go nie reguluję, zresztą wolę, żeby trochę śpieszył, nie lubię spóźniać się na wykłady.
- Więc dzwoniła żona profesora. Dlaczego do pani?
- Ona orientuje się, że profesor mnie lubi, nawet zaprosiła mnie kiedyś do domu, na obiad... Zapraszała mnie jeszcze kilka razy, ale więcej tam nie poszłam.
- Było pani przykro z uwagi na to, co łączyło panią z profesorem. Nie lubi pani dwuznacznych sytuacji.
- Bawiła się guzikiem beżowego kostiumu. Cicho powiedziała:
- Tak. Profesor mnie kochał, ale nie mógł rozwieść się z żoną. Tłumaczyłam mu, że to nie ma sensu, że powinniśmy się rozstać... Ale nie mogłam, nie umiałam zrezygnować, ani on. To był wspaniały człowiek, niestęchanie odważny, o ogromnej wiedzy... Nie wiem, czy pan się orientuje, kim on był... Przedstawicielem rządu Basków, uczestnikiem hiszpańskiej wojny domowej...
- Po stronie czerwonych?
- On był rewolucjonistą, zawsze; miał dużo kłopotów z tej przyczyny. To mi niezmiernie imponowało, pan wie, jak mało jest ludzi o własnych przekonaniach, sprzecznych z wyświechtanymi poglądami i mentalnością środowisk, w których żyją... Profesor de Galindez przebywał przez siedem lat w Republice Dominikańskiej i napisał oskarżycielską książkę przeciw reżimowi, jaki tam panuje... Książka ta ma tytuł *Era Trujillo*...
- Czytała ją pani?
- W maszynopisie. Nikt jej nie chce wydać. Profesor zainteresował już trzech wydawców, ale ci otrzymali pogróżki, że zostaną zamordowani, jeżeli podpiszą z profesorem umowę na druk tej książki. Mam w domu jedną kopię, pan profesor mi przyniósł. W Stanach nikt nie wyda tej pracy.
- Czy ktoś wie, że u pani jest kopia?
- Nie. Nie wspomniałam nawet policji. Bo już byłam wzywana dzisiaj na policję w sprawie zniknięcia profesora, a później był u mnie jakiś major w cywilnym ubraniu, zdaje się z wywiadu, i dziekan wywołał mnie z wykładu.

Ten major męczył mnie przez godzinę, prawie torturował pytaniami, i gdyby nie to, że dwie koleżanki, już mówiłam panu, te, które zabrałam do wozu pod stacją Columbus Circle... więc gdyby one nie po, twierdziły, że stały przy mnie, kiedy profesor schodził do metra, byłabym aresztowana.

– Kto tak powiedział?

– Tak powiedział major. Oni w ogóle podejrzejawają mnie, major nawet mówił, że naumyślnie wplątałam profesora w ten „romans”, to znaczy, że rozkochałam go w sobie celowo, żeby po przestudiowaniu jego zwyczajów wprowadzić go w pułapkę i umożliwić porwanie. To było tak ohydne, że dostałam ataku hysterii, chociaż jestem zawsze spokojna i opanowana. Boję się, że jeśli nie znajdą sprawców, to mnie zaaresztują. Zresztą mam przecucie, że profesor żyje, bo gdyby go zabili, policja znalazłaby zwłoki. Prawda?

Przypomniałem sobie, jak w grudniu 1955 roku zniknął w Waszyngtonie Maurizio Baez. Nie znaleziono sprawców porwania i nie znaleziono jego zwłok.

– Czy coś powiedziano pani na ten temat?

– Tylko tyle, że przeszukano dokładnie cały węzeł metra wokół Columbus Circle, ale na żadnej stacji ani agencji policji, ani nikt inny nie widział profesora. Profesor zszedł do metra, ale już stamtąd nie wyszedł. Nie wiadomo, czy w ogóle wsiadał do wagonu. Nic nie wiadomo.

– Może opuścił Columbus Circle, kiedy pani odjechała?

– Nie, to niemożliwe. Umówił się z żoną przy przystanku na Fifth Avenue i wiedział, że ona czeka na niego. Fernandez był dla niej bardzo dobry, troskliwy i męczył się tą sytuacją... że kochał się we mnie.

– A pani?

Zaczęła płakać. Dławiła ten płacz w gardle, ale nie mogła powstrzymać łez.

– Kocham go wciąż... Czy pan znał profesora?

– Jeszcze jedno pytanie, na które może pani nie odpowiadać: czy łączyło was coś bardziej intymnego i od kiedy?

– Czy moja odpowiedź ułatwi panu pracę?

– Nie musi pani odpowiadać na to pytanie. Ale, tak mniej więcej, zaczęły się częściej spotykać od roku?

– Mniej więcej.

– W tym czasie opracowano plan porwania, o to mi chodzi. Jak nazywał się major, który z panią dzisiaj rozmawiał?

– Dziekan powiedział, kiedy przyszedł po mnie na salę wykładową, że czeka major Beesley. Później major się nie przedstawił. Nie zdążył, bo zaraz zaczął krzyczeć na mnie.

– Frank Beesley. Wojskowy rzeczoznawca przy Komisji do Spraw Ameryki Łacińskiej.

– Czy pan chce się porozumieć z majorem w tej sprawie?

– Zastanowię się nad tym.

– Właśnie major mnie ostrzegł, że nie wolno mi pisać ani słowa dla dobra śledztwa. I dla mojego własnego bezpieczeństwa. Być może, że dopiero wieczorem prasa poda wiadomość o zniknięciu de Galindeza. Major mówił, że to jedna z tych najbardziej skomplikowanych i drażliwych spraw, z jakimi oni mają do czynienia... Czy pan nie może czegoś zdziałać bez porozumienia się z majorem? Obiecałam mu, że będę milczeć, żądał tego... Dlaczego pan się uśmiecha?

– Pani o wiele mniej grozi niż mnie, jeżeli zajmę się sprawą porwania de Galindeza. Jednak nie mam zamiaru babrać się w tej historii. Wspomniałem, że wiem, kim jest major Beesley: jeżeli nawet rozmawiałbym z nim, to tylko dlatego, by pani pomóc, nie zaszkodzić.

– Jak pan mu wytłumaczy? Będzie pytał, skąd pan wie o tym. Ostrzegął, że natychmiast mnie zaaresztują, jeżeli komuś powiem o porwaniu profesora i o jego rozmowie ze mną... Zresztą... nie chciałam o tym mówić, ale po rozmowie z Beesleyem pomyślałam, że on może mieć coś wspólnego z porwaniem, zdarzają się takie rzeczy, prawda? Boję się tego majora. Tacy ludzie jak de Galindez są niewygodni nie tylko dla policji generalissimusa Trujillo. Są niewygodni dla wszystkich. Profesor miał różne przykrości także tutaj...

– Panno Flynn, jestem pierwszym i ostatnim człowiekiem, któremu pani przedstawiła taką wersję zniknięcia de Galindeza. Jest pani bardzo dziecinna i naiwna. Nie ma pani pojęcia, o jak wielkie niebezpieczeństwo ociera się pani w

tej aferze. Czy wie pani, dlaczego nie chcę wziąć tej sprawy? Nie tylko dlatego, że nie wolno mi przekraczać zakresu moich uprawnień zawodowych i wtrącać się w polityczne afery, niekiedy zdarzało się, że nie liczyłem się z tym. Nie chcę ruszać tej sprawy dlatego, ponieważ – powiem pani szczerze – ponieważ miałbym do czynienia z ludźmi bezwzględnyimi, którzy mogą się zastanowić przed zabiciem Moskita, ale którzy nigdy nie zawahają się przed zabiciem człowieka... Proszę, niech pani zapali.

Widziałem, jak silnie zgryzła ustnik papierosa.

– Przyszłam tutaj... Tak, po co właściwie przyszłam? – odezwała się po chwili Loretta Flynn. – Chyba nie po wsparcie moralne – dodała drwiąco, by skarcić mnie za moją rezerwę.

– Żeby znaleźć poszlaki przeciw komuś innemu – powiedziałem – i tym samym oddalił podejrzenia skierowane przeciw pani.

– Nie tylko po to, chociaż to jest ważne. Nie chciałabym, żeby mój ojciec dowiedział się, co łączyło mnie z profesorem... Rozpieszcza mnie, jest dobry, troskliwy, ale i okropnie zazdrosny. Ma tylko mnie, nikogo więcej, i nie może pogodzić się z myślą, że wyjdę kiedyś za mąż. – Dodała ciszej: – Kiedy prasa poda szczegóły zniknięcia profesora, wówczas łatwo można się dowiedzieć całej reszty. Czy może mnie pan przed tym uchronić?

– Ponieważ spotkała pani przy Columbus Circle dwie koleżanki, prasa mogłaby podać ogólnikowo, że studenci odprowadzali profesora do stacji metra. Frank Beesley potrafi to załatwić, i na pewno już załatwił z uwagi na dobro śledztwa. Czy jest jeszcze jakiś powód, dla którego pani tutaj przyszła? Myślę, że tak.

Spojrzała mi w oczy i powiedziała bez zająknięcia, nawet chępliwie:

– Kocham Fernandę. Kocham go i nie chcę nikogo innego. Proszę, niech pan go gdzieś znajdzie, niech pan go szuka! Oni na pewno nie zabili Fernandę. Mieli tysiące okazji do popełnienia zwykłego morderstwa, ale długo musieli czekać na okazję porwania. Wierzę, że Fernandez żyje...

– Czy nie zastanawiała się pani nad różnicą wieku? De Galindez mógłby być pani ojcem... Może lepiej zapomnieć i zainteresować się którymś z kolegów? Przepraszam, że wtrącam się w takie sprawy, ale...

– Tym więcej go kocham. To był pierwszy mężczyzna, który naprawdę mnie zainteresował, który dzięki swemu doświadczeniu kochał mnie bardziej, niż mógłby kochać młodszy od niego.

Nie cierpię kolegów, tych zarozumiałych smarkaczy... Mało wrażliwi, mają ograniczoną wyobraźnię i są tak wygłodzeni, że myślą tylko o jednym... Fernandez kochał mnie nie tylko jako kobietę, ale także jak pełnowartościowego człowieka, równego sobie.

– Rozumiem, panno Flynn. To mi wystarczy.

Pochyliła nisko głowę.

– Mam własne oszczędności i piękną biżuterię... Mogę panu dać honorarium, jakiego pan tylko zażąda. Ojciec nie wtrąca się w moje finansowe sprawy, nie ogranicza mnie w wydatkach, i nie musi wiedzieć... Jeszcze dziś mogę panu przywieźć... Przepraszam, że mówię tak otwarcie o tych drażliwych sprawach...

Wstałem; szkoda było mojego czasu i jej daremnych nadziei.

– Loretto, zostawmy finansowe sprawy, nie należy mi się honorarium. Porozmawiam z majorem Beesleyem i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by prasa pominęła pani nazwisko. Zorientuję się także, jak było z tym porwaniem.

– Ale policja mnie podejrzewa!

– Nonsens, panno Flynn. Jeżeli w całą historię wkroczył major Beesley, znaczy to, że podejrzewają kogoś zupełnie innego, kto im już robił setki podobnych kawałów. Zakochanymi studentkami historii sztuki zajmuje się policja stanowa, a nie major Beesley.

Spojrzała pokornie, z błyskiem nadziei w oczach.

– Czy mam w to wierzyć?

Wyjaśniłem jej, że w myśl obowiązujących u nas przepisów dopiero w siedem dni od chwili czyjegós porwania sprawę automatycznie przejmują władze federalne, zakładając, że w tym czasie porwaną osobę przewieziono poza granice stanu, w którym popełniono przestępstwo. Tym razem *G-men* natychmiast przejęli śledztwo; byłem o tym przekonany.

– Gdyby zaszło coś nowego – powiedziałem jeszcze – proszę do mnie zadzwonić.

– I zajmie się pan odnalezieniem Fernandezza? Na tym najwięcej mi

zależy, po to tu przyszedłem; inne sprawy były pretekstem... Zajmie się pan profesorem?

– Nie, panno Flynn. Powiem pani szczerze: chciałbym jeszcze kilka lat pożyć na naszym dziwnym świecie i mniejsza o to, czy sparszywieje on jeszcze bardziej czy nie i czy przypadkiem nie wysadzą tej planety w powietrze. Mam tu jeszcze coś niecoś do załatwienia i proszę, żeby pani pozwoliła mi przeżyć te kilka lat. Bardzo o to proszę.

5.

Krępy mężczyzna o smagłej twarzy wyskoczył z sanitarki wjeżdżającej na lotnisko Amityville i drobnym, szybkim krokiem podszedł do Murphy'ego.

To on, pomyślał Murphy, nikt inny. Rudy facet z baru „Colorado”, który namówił mnie na to wszystko, właśnie tak go opisał: krępy, smagły, z łysiną wyglądającą jak tonsura. I powiedział, że ten gość przyjedzie sanitarką. Przyjechał sanitarką i ma łysinę jak tonsura; nawet zdjął kapelusz, żeby ją pokazać; a może jest mu tylko gorąco i dlatego zdjął kapelusz.

– Halo – powiedział Murphy – czy przyjechał pan w sprawie chorego?

– Halo – powiedział krępy mężczyzna. – Ten, kto zna hasło, powinien się nazywać Gerald Lester Murphy.

– Tak się nazywam. A pan?

– Występuję w imieniu rodziny chorego, jestem jego lekarzem. Już go przywieźliśmy. Czy przygotował pan odpowiednie miejsce? Tutaj? Dobrze. Trzeba otworzyć klapę, ale proszę się ostrożnie rozejrzeć, czy ktoś nas nie obserwuje. Nie? Dobrze. Niech pan otworzy, wsuniemy tam nosze.

– Czy chory nie będzie się męczyć?

– Dlaczego ma się męczyć?

– Tam jest zła wentylacja.

– Spokojna głowa. Daliśmy mu zastrzyki usmierzające ból – środki nasenne, nieszkodliwe dla zdrowia. Wytrzyma.

– Na pańską odpowiedzialność. Nie jestem lekarzem.

– Nie potrzebujemy lekarza. Niech pan otwiera.

Zaraz, pomyślał Murphy, nie pali się. Równie dobrze mógł przyjść na to lotnisko detektyw i wtedy ładnie bym wyglądał. Są ważniejsze sprawy niż otwieranie kłapy. Można się narażać, ale trzeba wiedzieć za ile. Zapytał:

– Zielone papierki są?

Krępy mężczyzna niecierpliwie wyszarpnął z kieszeni szarą kopertę i podał ją Murphy'emu.

– Tu są pieniądze i papiery chorego, gdyby nie daj Boże doszło do przymusowego lądowania. Na razie dostaje pan drugą ratę.

– To będzie dopiero połowa. Miałem dostać dwie trzecie.

– Trzecią ratę dostanie pan na Florydzie, lotnisko Lantana. Resztę forsy już na miejscu. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, dołożymy premię. Niech pan nigdzie nie ląduje poza Lantaną; chory tego nie wytrzyma. Maksymalna szybkość, unikać wstrząsów. Proszę otworzyć klapę, podjedziemy karetką. Szybciej!

Kierowca sanitarki włączył tylny bieg i zatrzymał się, tuż pod kadłubem. Wysiadł i wraz z tym krępym otworzył drzwi karetki. Szybko wsunęli do wnętrza samolotu okryte prześcieradłem nosze, umocowali je pasami, zatrzasnęli klapę. Kierowca wszedł do sanitarki i zapuścił motor.

Ten z łysiną w kształcie tonsury podał Murphy'emu rękę.

– W Lantanie czeka nasz pilot, Octavio de la Maza. On wręczy panu trzecią ratę i razem z panem polecą do miejsca przeznaczenia. De la Maza powie panu wszystko co trzeba. Niech pan już leci. Każda minuta opóźnienia może zadecydować o życiu chorego. Niech pan startuje. Wszystko jasne? Zaraz, chwileczkę... Nie jest tak, jak powinno być.

Odwrócił szczupłą, smagłą twarz i ruchem podbródka wskazał stojącego w oddaleniu dozorcę.

– A ten, co tam się gapi, kto to jest?

– Ralph Bulloch, dozorca lotniska.

– Zauważył coś?

– Chyba nie, musiał w tej chwili nadejść.

– Ma coś z nogą?

– Kuleje na prawą.

- Wygodniej jest, jak się kuleje na lewą nogę. Łatwiej chodzić. Wszystko jasne, panie Murphy?
- *Of course,*

6.

Major Beesley był w biurze osiągalny tylko dla kilku osób, ale nie dla mnie. Dzwoniłem trzy razy, zbywano mnie byle czym. Wieczorem zatelefonowałem do prywatnego mieszkania Beesleya.

- Halo, Frank.
 - Halo, Mike. Od razu poznałem twój przepity baryton. Co u ciebie, stary? Mam przecucie, że chcesz mnie zaprosić na ślub.
 - Nie, Frank, nie będzie ślubu.
 - Zaskoczyłeś mnie. Ta mała Harriet Claire już wysiadła?
 - Wysiadła. Nie byłem dla niej odpowiednim gościem. Zasłużyła sobie na kogoś lepszego.
 - Spotkałem ją kilka miesięcy temu...
 - Tak, Frank, ale to było kilka miesięcy temu, sam powiedziałeś.
 - ...i Harriet mówiła wtedy, że się z nią ożenisz.
 - Ona zawsze tak mówiła, nie ja. Chyba nie mylisz nas. Jest do mnie podobna, ale trochę ładniejsza.
 - Nie chcesz, żebym o tym gadał?
 - Nie odgrzebujmy umarłych, Frank. W przeszłości człowiek nigdy nie ma nic do roboty. Chciałbym się z tobą zobaczyć.
 - Kiedy? Wolałbym odłożyć to spotkanie. Mam teraz paskudną sprawę na warsztacie.
 - Jak daleko do mety?
 - Zbyt blisko, żebym był z tego zadowolony. To taka paskudna sprawa, że nie wiem, co szef powie, kiedy dojdę do mety. Kto wie, czy na mecie nie trzyma taśmy któryś z naszych chłopców... Masz coś pilnego?
 - Bardzo, Frank. Inaczej bym nie dzwonił.
- I po co się w to pchasz, pomyślałem. Szukasz guza? Mało ich masz? Kiedy wreszcie nauczysz się obojętności, bez której, tak jak bez umiejętności milczenia,

możesz skrócić kark? Co ciebie obchodzi pensjonarska miłość Loretty Flynn? Stop, stop, Mike, take it easy – uspokój się; wiesz dobrze, że nie chodzi o miłość Loretty Flynn, ale o jeszcze jedną grandę, jedną z tych, które zawsze będą ciebie obchodzić...

– Dobra, Mike – powiedział Beesley – możemy się spotkać. Co wybierasz?

– Jeżeli masz ochotę, wpadnij do mnie. Nie wychodzę dzisiaj z domu. Przygotuję ci to, co tygrysy lubią najbardziej.

– *Yes, sir* – powiedział Frank Beesley i odłożył słuchawkę.

Zadzwoił telefon. Odczekałem chwilę, ale telefon wciąż dzwonił.

– Halo.

– Dobry wieczór panu.

– Kto mówi?

– Mówi Loretta Flynn.

– Dobry wieczór, Loretto, jak się pani czuje?

– Jestem trochę spokojniejsza. Wytłumaczyłam sobie wiele spraw po naszej rozmowie, ale nerwy nie są posłuszne. Pan wie, jak to jest: nie mogę czytać, ani spać, ani nawet gapić się bezmyślnie w telewizor... Czy pan coś załatwił w tej sprawie?

– Zacząłem załatwiać i mam nadzieję, że skończę jeszcze dzisiaj wieczorem.

– A później?

– Nie rozumiem.

– Co pan robi później? Czy nie zechciałby pan przyjechać do mnie? Moglibyśmy pójść do jakiegoś lokalu; mam ochotę na coś mocnego.

Właśnie, pomyślałem, tylko tego mi brakuje do szczęścia, nic więcej.

– Jeżeli załatwiam coś dla pani, nikt nie powinien nas widzieć razem w publicznym, lokalu.

– Przecież nie będziemy tańczyć. Pan wie, że po tej historii nie mogę tańczyć... Zobaczymy się u mnie i tu zostaniemy. Zapraszam pana na kolację. Jeżeli jestem natrętna, proszę mi o tym powiedzieć.

– W tej chwili nic jeszcze nie wiem. Może później.

– Och – przerwała – niech pan mnie źle nie rozumie! To nie jest sprawa sympatii, ani tym bardziej nagła miłość, ale... Ale tylko pan potrafi mnie uspokoić i tylko przy panu czuję się bezpieczna. Boję się czegoś. Mam przeczucie, że coś mi zagraża... Pan sam mnie nastraszył, i proszę teraz zająć się mną. Niech pan mnie nie opuszcza.

– Proszę na razie nie wychodzić z domu i nie przyjmować nikogo obcego. To wszystko, co może pani zrobić. Porozumiem się z kimś w pani sprawie i za dwie godziny zadzwonię. Wtedy zobaczymy, jak będzie z naszym spotkaniem. Niech pani poszuka teraz jakiejś głupiej, najgłupszej audycji w radio – o to nigdy nietrudno – i postara się zrozumieć, o co tam chodzi.

– Spróbuję – powiedziała bez przekonania. – I będę siedziała przy telefonie.

Czekałem, aż odłoży słuchawkę. I wreszcie sam odłożyłem, bo Loretta także czekała.

7.

Murphy przeleciał nad Mayport, okrążył Jacksonville. Po raz pierwszy w życiu leciał nad Florydą.

Co później? Lantana jest tylko etapem. A dalej? O tym dowie się w Lantanie. Jezu, pomyślał, tyle tych tajemnic, że można dostać czkawki. Grunt, że dobrze płacą. Czy trafi mu się jeszcze taki lot? Zbyt dobrze płacą, żeby wszystko było w porządku. Wszędzie, gdzie zbyt dobrze płacą, coś jest nie w porządku. Tak samo jak wtedy, kiedy za mało płacą. Cholerny świat, zawsze coś jest nie w porządku.

Spojrzał w dół.

St. Johns River. Wolałby być bardziej na południu Florydy, bliżej celu. Na przykład nad jeziorem Okeechobee. Takie nazwy przyciągają jak magnes, działają na wyobraźnię jak filmy o polowaniu na lwy. Jeszcze kiedyś musi polecieć do Chihuahua.

Poprawił stery.

A ten stary ha noszach, w bagażniku? Chyba się nie ocknął po zastrzyku. Wpakowali mu jakiś zastrzyk, żeby nie cierpiał, żeby spał... Niech śpi. Jeżeli

ktoś ma rodzinę siedzącą na dolarach, może spokojnie spać. Spokojny sen w samolocie wymyślono dla facetów nadzianych dolarami.

Sprawdził kurs.

Teraz leci na wysokości De Land. Więc kazali mu wylądować w Lantanie, chyba dobrze pamięta, tak, w Lantanie, tam czeka Octavio de la Maza. Weźmie od niego trzecią ratę i polecą z tym starym na noszach i z Octaviem po czwartą ratę. Zdąży i wszystko będzie okay. Premię także odpalą. Odpocznie dzień albo dwa – jeżeli mu pozwolą, bo mogą nie pozwolić. Wróci znowu do Linden, odda maszynę i znowu zjawi się Lana. Żując gumę, znowu zaproponuje mu tańce i znowu przyczepi się jak kleszcz.

Znowu, znowu. W życiu wszystko tak się powtarza...

I co dalej? Dobrze płacą, ale czy nie wpakował się w jakąś kabałę? Co go to zresztą obchodzi? Nic mu nie mogą zrobić.

Może jednak zrobią? Jeżeli to poważna sprawa, nie pozwolą mu wrócić, mogą go wykończyć. Jezu, tego się nie spodziewał. Przecież zażądali, żeby nikomu nie mówił, dokąd leci. To jednak brudna sprawa. Nie myśli o tym po raz pierwszy, od początku wiedział, że ryzykuje. Ale był w podłym nastroju i dlatego przystał na taką awanturę.

Przypomniał sobie Martę.

Zacisnął szczęki i ostro poderwał maszynę. Spokojnie, spokojnie, tam leży ten stary na noszach. Wyrównał lot. Marta...

Przebywał w małym pensjonacie w pobliżu New Fair Haven, nad jeziorem Ontario. Tam ją poznał. Jeszcze tego samego dnia, kiedy Marta przyjechała, wyszli po kolacji i zwiedzili kilka barów. Wrócili nad ranem. Ich pokoje były położone obok siebie. Przebrała się, przyszła do niego. I tak się zaczęło. Żadna z kobiet nie wzbudziła w nim tyle namiętności. Marta mówiła:

„Gerd, kiedy tylko mnie dotkniesz, ogarnia mnie pożar. Tracę poczucie czasu... Nikogo nie chcę, pragnę tylko ciebie... Ach, Gerd, to jest cudowne i szalone, prawda? Gdyby za szczęście trzeba było płacić życiem, moje byłoby już oddane w zapłacie”. – Mówiła z egzaltacją, jak bohaterka melodramatu.

Powiedziała, że co najmniej od roku jest sama. Zawiodła się na kimś i miała dosyć mężczyzn. „Dopiero ty, Gerd”...

Po tygodniu powiedziała, że jedzie do Utica – tam mieszkała, tam musi

„coś pilnego” załatwić. Ale wróci do niego, przyjedzie do New Fair Haven za kilka dni, najpóźniej za tydzień. Chciał kupić dla niej bilet, zapytał, czy wraca autobusem, czy koleją – ale powiedziała, mu, że jej stary przyjaciel, Oswald Thoen, będzie tutaj ze swoim wozem. Rano dzwonił, że przyjedzie w sprawach firmy i może ją zabrać.

Leżała obok niego – ciepła, zmęczona, półprzytomna, ale wciąż nienasycona, podobnie jak on. Jej chłodne dłonie były niespokojne i wstrząsał nimi dreszcz, kiedy go dotykała.

Pomyślał, że to może się skończyć, może nawet dzisiaj, i ta myśl zaboląła dotkliwie. Spojrzał na zegarek.

„Jest już późno, musisz się ubrać”.

Ubrała się i usiadła przy nim.

O osiemnastej przyjechał Thoen.

Słyszała, jak zatrzymywał wóz, później jego kroki na schodach – kroki Oswalda Thoena.

Pobiegła ku drzwiom.

„Tylko spakuję się, Gerd, i zaraz przyjdę. Oswald zaczeka u mnie”.

Upłynęło dziesięć minut.

Murphy sięgnął po niedzielny „New York Times”; czytał ogłoszenia. Kończyły się jego zasoby, należało rozejrzeć się za jakąś pracą. Po chwili usłyszał stuk zatrzasku w drzwiach pokoju Marty – po diabła zamyka drzwi? – później stłumione głosy i prawie równocześnie... O tak, nie miał już wątpliwości.

Zmiał gazetę, opuścił ją na ziemię i leżał nieruchomo, z sercem nagle porażonym. Wiedział, co tam się dzieje. Nastawił radio, głośno, coraz głośniejsze, aż uszy bolały.

Może Thoen ją zmusił? Mówiła przecież, że nic ją nie łączy z Oswaldem, że jest on przyjacielem rodziny. Mówiła, że nikogo już teraz nie chce, że pod dotknięciem innego mężczyzny czułaby wstręt, odrazę, że przepełniona jest tylko nim, Murphym – i coś jeszcze mówiła, już nie pamięta co; wszystko jedno, o czym mówiła. Pomyślał, że na tym świecie o wiele mniej zrobiono niż powiedziano, niż obiecano...

Upłynęło pół godziny, może więcej, kiedy w sportowym płaszczu z rudozłotej tkaniny weszła do jego pokoju, już od progu mówiąc z jakimś pośpiechem, natychmiast, w tym samym ułamku sekundy, w którym otwierała

drzwi – że Oswald nie radzi załatwiać jakiegś tam sprawy w Utica, tak jak ona zamierzała, bo to się nie opłaca, że raczej trzeba...

„Nie mówiłaś mi o żadnej sprawie do załatwienia”.

„Nie? Widzisz, zapomniałam. Ale tu chodzi”...

„Dobra, niech sobie chodzi. Jest już późno i nie zdążysz mi opowiedzieć. Zostaw to!”

„Czemu jesteś taki ponury, co się stało?”

„Nie wiesz?”

„Godzinę temu byłeś w innym humorze”.

„Tak, ale to było godzinę temu”.

„Nie rozumiem”.

„Marta, przecież coś zaszło w ciągu tej godziny!”

„No wiesz!”

„Wiem, wiem. Tak samo dobrze jak ty”.

„Nie opowiedziałam ci jeszcze wszystkiego, nie zdążyłam”...

„Szkoda. Trzeba było powiedzieć. Byłbym przynajmniej przygotowany”.

„Gerd, o czym ty myślisz? Na co chciałeś być przygotowany? Więc nie masz do mnie zaufania? Podejrzewasz, że ja”...

„Marta, to nie ma nic wspólnego z zaufaniem ani podejrzeniami. Idzie mi o pewien fakt, który zaistniał, chodzi mi tylko o coś, co się wydarzyło. Wiem, że samo wydarzenie to zbyt mało, żeby coś więcej o tym powiedzieć i że przychyny i klimat wydarzeń są stokroć ważniejsze. Ale to było zbyt gwałtowne i niespodziewane”.

„Gerd, obrażasz mnie... Boże, to straszne, co ty mówisz... I to teraz, po kilku dniach... Gerd, nie mogę ci tego wybaczyć – wołała z emfazą – znowu się zawiodłam. Zraniłeś mnie, jak inni... Boże, więc ja naprawdę muszę być sama”...

Zdumiała go ta tyrada; trwała dość długo. Więc jak – uległ halucynacji? Nie słyszał, jak szczękniętą zamek, i nie dobiegły go żadne odgłosy z tego pokoju obok, z jej pokoju, w którym była z Oswaldem?

„Wszystko jest w porządku – powiedział – nie martw się. Moja reakcja świadczyła tylko o tym, że zależy mi na tobie, że nie chcę cię stracić. W porządku, Marta, naprawdę, możesz już iść. Thoen czeka, może się niecierpliwi”.

„Przed godziną byłam najszczęśliwszą z kobiet. Teraz jestem najbardziej upokorzoną... Boże, jaka byłam głupia, wierząc, że można być szczęśliwą dłużej niż tydzień... Zraniłeś mnie, wszystko zepsułeś!”

Murphy sprawdził kurs na Lantanę.

8.

Beesley przyszedł późnym wieczorem.

Przyniosłem z lodówki gin, puszkę soku pomidorowego i płaski termos z kostkami lodu. Beesley przepadał za Bloody Mary.

– Wzruszasz mnie, Mike – powiedział Beesley. – Gdyby jakaś dziewczyna tak dobrze pamiętała o tym, co lubię i co mi smakuje, to ożeniłbym się już dawno. Nie nabrałeś mnie, właśnie takie rzeczy tygrysy lubią najbardziej.

Sięgnął po gin, drugą dłonią ujął puszkę soku i przechylał oba naczynia nad pękatą, niską szklanką, do której wrzucił uprzednio trzy kostki lodu.

– A ty? – zapytał podając mi puszkę.

– Piję przeżegnany gin.

Uczyliłem puszką znak krzyża nad szklanką czystego ginu.

Piliśmy małymi łykami.

Powiem mu teraz, pomyślałem, o czym dowiedziałem się od Loretty; nic jej za to nie zrobią, chyba że sami maczali palce w porwaniu Galindeza.

– Co masz do mnie, Mike?

Opowiedziałem o odwiedzinach Loretty Flynn, zapewniając Beesleya, że jestem jedynym człowiekiem, któremu, mimo jego zakazu, Loretta, opowiedziała historię porwania Jezusa Fernandez de Galindez.

– Z tą małą będziemy mieli jeszcze kłopot – powiedział Frank.

Dorzuciłem jeszcze jedną kostkę lodu do ginu; zbyt szybko rozgrzewał się w dłoni. Zapytałem:

– Dlatego, że opowiedziała mi o tym?

– Z innych przyczyn. Wieczorne gazety – nie wiem, czy już czytałeś – piszą na pierwszych stronach o porwaniu Galindeza. O porwaniu – rzucił ciszej, jakby do siebie – diabli wiedzą, czy to w ogóle było porwanie. – Dodał: – To na pewno nie było porwanie. – I jeszcze dorzucił: – Zresztą nic nie wiadomo.

– I ja tak myślę, Frank. Sprzątnąć kogoś to sprawa wygodna i najłatwiejsza. Porwać, przewozić, ukrywać – to zbyt duże ryzyko. Ale sam pomyśl: porwano go w biały dzień, z centrum ogromnego miasta. Czy to nie większe ryzyko?

– Ludzie, których o to podejrzewam, ponoszą największe ryzyko, jeżeli w rachubę wchodzi zemsta. Dla znęcania się nad człowiekiem, z którym mają porachunki, potrafią poświęcić dziesięciu własnych ludzi.

– I tym razem kogoś poświęcili?

– Nie wiem, Mike, jeszcze nic nie wiem. Ale kogoś poświęcą na pewno, to zwykła kolej rzeczy, oni nie lubią świadków. Przy jednym człowieku zabitym przez nich znajdujemy zazwyczaj kilka innych trupów, a wśród nich niekiedy zwłoki mordercy.

On wie więcej, o wiele więcej. Zaczniemy z innej strony. Zapytałem:

– Kim był de Galindez? Słyszałem o nim, kiedy zeznawał przed Komisją do Badania Działalności Antyamerykańskiej, i pamiętam, jak się stawał, odmówił nawet dalszych zeznań. Ale tu kończy się moja wiedza o Galindezie.

– Jeżeli pamiętasz o tym przesłuchaniu w komisji, wiesz, o co poszło. Doktor Galindez był uczestnikiem wojny domowej w Hiszpanii i odegrał tam dość znaczną rolę. Po upadku Republiki Galindez schronił się we Francji, w 1939 roku. Później, obawiając się hitlerowskiej okupacji i znając doskonale hiszpański, postanowił przedostać się do Republiki Dominikańskiej. Wkrótce po przyjeździe do Ciudad Trujillo otrzymał katedrę prawa.

– Tutaj – wtrąciłem – na uniwersytecie Columbia wykładał historię cywilizacji hiszpańskiej...

– Nie tylko. Galindez ukończył kilka fakultetów, pisał pracę o kulturze Majów i Inków, zajmował się historią ustawodawstwa w Ameryce Łacińskiej i prawem międzynarodowym. Był to umysł tak wybitny, że przebaczone mu

nawet udział w wojnie domowej w Hiszpanii. Nie mógł narzekać na brak tolerancji. Zgubiło go jedno: zatarg z władzami Republiki Dominikańskiej. Przebywał tam do 1946 roku. Jak długo wykładał prawo, nikt nie miał do niego pretensji, ale kiedy został radcą prawnym ministerstwa pracy, wówczas ujawnił swoje poglądy na stosunki panujące w Dominikanie. Cuchnie tam, Mike, cuchnie bardziej niż gdziekolwiek na świecie.

– I wtedy Galindez „wychylił się”? – zapytałem.

– Tak. Na wykładach mógł głośić, co mu się podobało, to była tylko teoria; ale tu, w arbitrażowych sprawach strajkowych, zaczynała się praktyka. Trujillo lubi piękne teorie, najbardziej demokratyczne, co mu nie przeszkadza w coraz bezwzględniejszym umacnianiu swojego feudalnego i zarazem faszystowskiego reżimu. Parlament nadał mu ostatnio tytuły: *Benefactor de la Patria* i *Salvador del Pueblo* – dobroczyńcy ojczyzny, zbawcy ludu. Znasz hiszpański?

– Mniej więcej. Więc Galindez wyjechał z Dominikany w 1946 roku?

– Właściwie to była ucieczka. Następnego dnia, czy też tej samej nocy, byłby aresztowany. W Dominikanie takie aresztowanie równa się śmierci.

– Słyszałem o jego książce *Era Trujillo*. Wiesz coś o niej?

Beesley uśmiechnął się, ale nie zapytał, skąd ja o tym wiem.

– Gdyby nie ta książka, może zostawiliby go w spokoju. Doktor Galindez zbierał do niej materiały przez siedem lat swego pobytu w Dominikanie, a po przyjeździe do Nowego Jorku poświęcił tej pracy jeszcze dalsze trzy lata. Tak powstał najbardziej oskarżycielski dokument przeciw rządowi tego nowożytnego Kaliguli, Trujillo i jego mafii. Mafii tak groźnej, że nawet Federalne Biuro Śledcze na ogół przegrywa z nią lub wycofuje się z rozgrywek...

– Czy tylko dlatego, że tamci są tak groźni i sprytni?

Beesley jeszcze raz się uśmiechnął, wiedział, o co pytam.

– Masz rację, nie tylko. W interesy Dominikany wplątane są nasze potężne towarzystwa i koncerny monopolistyczne, na przykład *United Fruit Company*.

– I *United Fruit Company* ma więcej do powiedzenia, niż FBI?

– Może i tak się zdarzyć, w poszczególnych sprawach... Nie miej do mnie pretensji, Mike, że się w tym babram, ale jestem tylko rzeczoznawcą. Możesz mi wierzyć, że w sprawozdaniach niczego nie ukrywam. Ale wróćmy do tej książki, w której dostało się trochę i nam. Dzieło doktora Galindeza ma około 750 stron maszynopisu, a wymowa wykorzystanych tam dokumentów jest wstrząsająca. Otóż doktor Galindez przedłożył *Erę Trujillo* komisji senackiej uniwersytetu Columbia jako swoją pracę habilitacyjną.

Może Beesley wie, że Loretta Flynn ma kopię, może w ogóle wie o wiele więcej, niż mówi?

– Czy ktoś jeszcze ma maszynopis?

– Jedna kopia jest w sejfie bankowym, wiemy w którym. Co do reszty nic nie wiadomo – odparł Beesley.

– Powiedziałeś, że Galindez oddał swoją pracę na uniwersytecie Columbia... Chyba rektor nie zapomniał jej w szatni?

– Zwrócono ją profesorowi dla dokonania kilku formalnych poprawek. Senat uniwersytecki przyjął w zasadzie pracę Galindeza.

– Co się z nią stało?

– W dniu porwania Galindez miał ją przy sobie. „Wyparowała” razem z nim. Bo on po prostu „wyparował”, nie umiem tego inaczej nazwać. Powiem ci, Mike, że gdyby doktor Galindez nie rozrabiał, miałby święty spokój, nawet w Dominikanie, gdzie doskonale mu się powodziło, i także tutaj, w Stanach. Zaczynał robić poważną karierę naukową i dobrze zarabiał.

...kariera, zarobki, sława i ten święty spokój, zresztą nieosiągalny, chociaż tyle starań mu się poświęca – to jest dużo, ale przecież nie wszystko. Frank wie o tym, lecz woli udawać głupiego, jak wszyscy, jak prawie wszyscy. I mają ten upodlający spokój.

– Nazywasz „rozrabianiem” niechęć do zaakceptowania jakiegoś ustalonego porządku, sprzeciw przeciw temu, co uważa się za godne zwalczania?

– Mogę być przeciwny czemuś i wcale nie muszę o tym mówić. Na tej

zasadzie żyje większość Dominikańczyków. Zresztą nie tylko oni.

– I dlatego tak właśnie żyją nie tylko oni... Wypijesz jeszcze?

– Sam sobie przyrządę. Mieszam na oko sok z ginem, ale gdybyś sprawdził, przekonałbyś się, że jest pół na pół, z dokładnością do milimetra... Mike, chciałem ci jeszcze powiedzieć, że w domu doktora Galindeza znaleźliśmy na biurku kartkę włożoną w podręczny kalendarz, własnoręcznie napisaną przez niego.

– Przypuszczałem, że wiesz więcej. I co tam było?

– Galindez napisał: *Nader poważne przyczyny skłaniają mnie do oświadczenia, że gdyby przydarzyło mi się cokolwiek, wówczas sprawcami tego wypadku będą agenci...*

– I dalej? Jacy agenci?

– Z policji Trujillo. Ale tego Galindez nie napisał, nie mógł napisać, bo się bał. Jego żona była w nieustannym lęku; codziennie odprowadzała go do metra i codziennie oczekiwała go na przystanku. Galindez wiedział, że zorientujemy się natychmiast, o jakich agentach wspomniał, jeżeli „zdarzyłoby się cokolwiek”. Zdarzyło się – i wiemy, jacy agenci spełnili jego obawy – jeżeli tak można się wyrazić. Żona Galindeza pokazała nam także kilka anonimów z pogrózkami, z ostatniego roku.

– Poszlaki są tak silne, że możecie zabrać się do tych łajdaków.

Beesley dwoma palcami uchwycił puszkę z sokiem i rozkołysał ją nad stołem; wpatrzony w jej wahadłowy ruch, mówił:

– Jesteś albo szalony, albo naiwny. Dobrać się do Trujillo na podstawie poszlak? Spodziewasz się, że ktoś na to pozwoli? Bez konkretnych dowodów, bez wyraźnych śladów, bez jednego przynajmniej *pistolero* w więzieniu? Trujillo jest najpotężniejszym dyktatorem strefy karaibskiej, nic mu nie możemy zrobić. A Republika Dominikańska jest jedynym krajem Ameryki Łacińskiej, który ma dodatni bilans płatniczy. Jakie sankcje możemy zastosować? Militarne? Sami sprzedajemy im broń. Gospodarcze? Dominikana spłaciła wszystkie, długi zagraniczne.

– Czy wobec wszystkich państw jesteśmy tacy delikatni i oględni?

– Pozwól mi skończyć. Wobec tych, gdzie to się opłaca Stanom.

Przyjmujemy czterdzieści procent całego eksportu dominikańskiego: cukier, kawę, banany, kakao, tytoń i jeszcze jakieś surowce. Naszymi towarami i surowcami wypełniamy sześćdziesiąt procent ich importu. Nie wiesz także, że nasze inwestycje w tym kraju, liczącym zaledwie trzy miliony ludności, wynoszą sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Drobiazg, ale to się liczy.

– Chcesz powiedzieć, Frank, że w zestawieniu z tymi liczbami śmierć Galindeza nic nie znaczy?

Beesley przestał kołysać puszką, postawił ją na stole i przeczesał dłonią swoje rzadkie, siwiejące włosy.

– Mike, musisz przyznać, że trzeba brać w rachubę takie zależności. Ale nie przypuszczaj, że to nasza jedyna orientacja. Stanowczo zwalczamy i potępiamy metody agentów Trujilio i ich konspiracyjną działalność w Stanach. Ścigamy ich tak samo jak innych zbrodniarzy, ale te cyfry także się liczą.

Przyznałem mu rację i opróżniłem szklankę do dna. Czułem na języku aromatyczny, piekący posmak jałowca.

– Dziękuję, Frank. To była pouczająca lekcja... ekonomii politycznej.

9.

Sprawdził kurs na Latitane, skontrolował przyrządy, poprawił ułożenie ciała w fotelu. Uświadomił sobie nagle, że ten krępy, smagły mężczyzna, który przybył sanitarką na lotnisko Amityville, nie podał swojego nazwiska. Okryte prześcieradłem ciało, spoczywające na noszach, wprost z sanitarki wsunęli w kadłub jego maszyny, jak wkłada się ciasto do pieca. Po co ta konspiracja? I te cztery raty... Dlaczego nie zaliczka i po wykonaniu zlecenia reszta umówionego wynagrodzenia? Na każdym etapie kontrolują go. W Lantanie skomunikuje się z nim Octavio de la Maza, wsiądzie do kabiny i będzie go pilnować aż do ostatniego etapu podróży. Podróży dokąd? Jezu, nie wpakowałby się w taką zabawę, gdyby nie Marta!

Marta... Kiedy tylko wróciła do Utica po tej historii z Thoenem, zatelefonowała do niego. Że cierpi, że ją skrzywdził, że jeszcze nikt nie zadał jej tyle

bólu. Wieczorem dzwoniła jeszcze raz. Że jednak nie może z niego zrezygnować, że powinien mieć do niej zaufanie, że nikt nie istnieje dla niej poza nim. Ze mając go, jest najdumniejszą z kobiet.

Następnego dnia otrzymał telegram: „Kocham ciebie” i dwa listy. Pisała, że jej serce jest czyste, ale że ma w sobie jakąś uległość, której sama nie może sobie wybaczyć, a on, Gerald – ponieważ go kocha – mógłby ją z tego wyzwolić, wyleczyć. Szału dostaje na myśl, że on może należeć do innej kobiety. „O Gerd, pisała, zaczekaj, będę u ciebie za kilka dni, może pojutrze, a gdybyś zadzwonił po mnie, jeszcze dzisiaj rzucę wszystko i przyjadę!”

Pisała także o swoim żalu – bo przecież oddała mu wszystko i dopiero będąc z nim zrozumiała, co to znaczy „oddać się” mężczyźnie, a przecież on nie był pierwszym w jej życiu. „Nie kochasz mnie, Gerd, dopiero teraz uświadomiłam to sobie, ale to nieważne, to mnie już nie obchodzi, bo moja miłość zaślepia mnie i zastępuje mi Twoją i wypełnia mnie całą. Jeżeli ktoś kocha jak ja, nie dba już o wzajemność”.

Pytała jeszcze, dlaczego on nie ma do niej zaufania, i to na początku ich miłości, po dniach i nocach, które były tak wspaniałe... Nie zdoła zrozumieć, dlaczego on, Gerd, nawet przez sekundę mógł ją źle osądzać.

„Nie będę Ci teraz tłumaczyć moich spraw, nie mogę o tym pisać, jestem zupełnie wykończona, złamana i tak bardzo nieszczęśliwa. Ten gwałtowny skok z ogromnego szczęścia w nicość... Już chyba nic więcej nie udźwignę, chcę zostać sama, ale gdzie zostać, jeżeli nie ma już dla mnie miejsca w życiu?”

„Gerd – wołała w ostatnim liście – zadzwoń do Utica. Będę trzy dni czekać, wpatrzona w telefon, nie śpiąc i nie jedząc. Przyślij telegram, napisz, żebym wróciła, i napisz, że to nieprawda co pomyślałeś. Nie umiałabym Ciebie oszukać”.

A przecież mnie oszukała – pomyślał.

Leciał wzdłuż Indian River.

Pod nim, na ziemi, od której się wreszcie oderwał, leżało podobne do kartonowej makietki Cocoa Rockledge. Był moment, że chciał zawrócić, polecieć do Utica, do Marty... Znaczyła dla niego więcej, niż przypuszczał, powinien jej przebaczyć. Zresztą pisał o tym w ostatnim liście, w jedynym liście do niej, o

którym nawet nie wspomniał, że jest ostatni, w którym nie napomknął, że wyjeżdża z New Fair Haven i nigdy tam nie wróci, ani do niej.

„Nie miałem racji, pisał, nie gniewaj się. Żyłas w swoim świecie, w który nagle wtargnąłem, ale nikt nie dał mi prawa, bym wprowadzał w twoje życie jakieś korekty. Albo inaczej: z tego stałego wymiaru swojego życia uciekłaś, by być ze mną, jestem ci za to wdzięczny, ale kiedy mnie opuszczasz, musisz wrócić w ten ustalony od lat, codzienny krąg, musisz tam wrócić jak ja, jak inni wracają. Wszystko jest w porządku, Moja Śliczna, nie martw się. Liczy się tylko, jaka jesteś będąc ze mną, jaka jesteś dla mnie, a Twoje sprawy z innymi ludźmi nie mają znaczenia. Tylko tak można kochać, żeby się nie zadręczyć – nauczyłaś mnie tego. Zrozumiałem to, pisząc list do Ciebie. Bądź spokojna, wszystko jest jak ma być, jest dobrze, jest najlepiej. Brak mi Ciebie”.

Jednak wyjechał z Fair Haven, nie czekając na Martę, i dwa dni włóczył się po nowojorskich barach; przepił prawie wszystkie oszczędności. Marta nie kłamała pisząc, że go kocha, ale kłamała, że z Oswaldem nic nie zaszło – wciąż o tym myślał. Wybaczyłby jej, wierzył w to przebaczenie, ale musiałyby mu powiedzieć, dlaczego była wtedy z Oswaldem, po co i jak to się stało.

Obraz tej sceny podniecał go w okrutny sposób i jadowicie zatruwał wyobraźnię. Wiedział jednak, że Marta nie powie, co zdarzyło się w jej pokoju. Może nawet nie zaprzeczy i potwierdzi milczeniem jego podejrzenia, ale nigdy mu nie opowie, co wtedy zaszło między nią i Oswaldem Thoenem. Dlatego uciekł z Fair Haven, dlatego przystał na propozycję rudego mężczyzny z baru „Colorado”.

Właśnie ten rudy typ zaproponował mi po kilku kieliszkach ten lot, omówił różne szczegóły i wyłożył forszę na kaucję, którą trzeba było pozostawić w Linden za samolot. Pokazywał mi swój sprężynowy nóż – co to był za nóż! Dałbym za taki nóż dziesięć dolarów.

Jezu, a gdyby Marta wyjechała bez tych wszystkich historii z New Fair Haven i dopiero gdzieś po drodze, albo już w Utica, oddała się Thoenowi, i wtedy nic bym nie wiedział, jaka ona jest, i nic bym nie wiedział, że ona to

później zrobiła z Thoenem, i czekałbym na nią, jak wariat, w tym nudnym pensjonacie, czekałbym, aż znowu Marta przyjedzie i nie pętałbym się po barach, i nie spotkałbym tego rudego gościa w „Colorado”, i nie leciałbym teraz do Lantany? Jezu, jak to wszystko jest pomyłone i całe życie zależy od jednego głupstwa i nigdy nie wiadomo, co wybrać i jak się skończy taka czy inna historia! Ale chyba mam gdzieś pod ręką ten koniak Camus?

Z umieszczonej na udzie kieszeni kombinezonu wydobyl płąską butelkę i odkręcił złocony kieliszek stanowiący szczelną zakrętkę. Przytknął do ust gwintowaną szyjkę i łyknął spory haust koniaku.

Zorientował się, że lecąc nad chmurami zboczył o kilka stopni na zachód. Trzeba to poprawić; dosyć tej wycieczki po niebie, dosyć myślenia o Marcie, dosyć wspomnień, bo oni płacą, żebym leciał z tym na noszach, i trzeba to zrobić, za to mi płacą. Jak wszystko dobrze pójdzie, mogą mi dać jeszcze jakąś robotę, czemu nie. I nie ma co myśleć o tych bredniach z Martą, Thoenem, listami i telefonami, i o tym moim liście, Jezu, że też wysiliłem się na taki list, pisałem go chyba pół dnia, nigdy taki nie byłem...

Jest ważna robota do odwalenia – myślał Murphy – a ja rozkleiłem się, jak dwunastoletni szczeniak, którego złapali w sklepie na kradzieży cukierków. A kto wie, czy w Lantanie nie skierują na mój samolot karabinów maszynowych...

10.

Beesley znowu bawił się puszką z sokiem pomidorowym.

– Dziękuję, Frank, to była pouczająca lekcja... Jednak de Galindez także coś niecoś mnie nauczył.

– Żeby palców nie pchać tam, gdzie mogą je uciąć? – uśmiechnął się.

– Nie. Że własne wygody, sława, pieniądze, dobre stanowisko, kariera i tak zwany święty spokój to nie wszystko, na czym człowiekowi zależy. Ty wiesz o tym.

Frank wzruszył ramionami, już się nie uśmiechał.

Wziąłem z biurka leżącą tam książkę, otworzyłem ją na zaznaczonej stronie i przeczytałem:

Niektórych rzeczy nigdy ci nie wolno móc znieść. Nigdy nie wolno się zgodzić na znoszenie pewnych rzeczy. niesprawiedliwości i przemocy, i hańby, i wstydu. Obojętne, czy jeszcze jesteś młody, czy już jesteś stary. Ani dla opinii morowego gościa, cni dla forsy, zdjęcia w gazecie czy konta w banku. Po prostu nie wolno ci się z nimi pogodzić. To chciałeś powiedzieć?

– Ja? – zapytał zaskoczony Beesley. – Mnie o to pytasz?

Odłożyłem książkę na biurko.

– Nie, panie majorze – powiedziałem – nie pan. Ale tak kończy się cytat. Właśnie chciałem to powiedzieć.

– Komu? – zaśmiał się Frank. – Czytelnikom Mickey Spillane'a, pożeraaczom komiksów, wyznawcom snów fabrykowanych w Hollywood, facetom uganiającym się z wywieszonym ozorem za dolarami od rana do nocy? Do kogo chcesz iść z tą ewangelią? Gdzie znajdziesz wiernych?

– Frank – powiedziałem – tu nie idzie o poglądy polityczne, religijne, czy jakieś inne. Ale coś takiego, o czym ci czytałem, żyje w niektórych ludziach, starych i młodych, i ci ludzie nie mogą znieść pewnych rzeczy. Bez względu na ich przekonania, bo to jest silniejsze od forsy, zaszczytów i spokoju. Czasami myślę, że bezinteresowne niezanoszenie pewnych rzeczy jest już tylko organem szczątkowym ludzkości, który całkiem zanika... Jednak tacy ludzie, jak na przykład Galindez, przekonują mnie, że nie wszystko jest stracone.

Beesley wstał; byłem zadowolony, że już wychodzi, chciałem zadzwonić do Loretty Flynn.

– Byle tylko twoje sumienie, Mike, nie obudziło się w związku z porwaniem Galindeza. Nie wtrącaj się w to, zostaw sprawę specom bez sumienia. Takim, co znają lepiej niż ty plugawą stronę życia, i wiedzą, że trzeba znosić pewne rzeczy. Zostaw tę sprawę takim jak ja.

– Takim – podjąłem jego ton – którzy wiedzą, jak to plugastwo można wzbogacić, prawda, Frank? Także takim.

Beesley przecząco potrząsnął głową. Żałowałem, że podjąłem rozmowę,

trzeba było milczeć albo przytaknąć. Powinien już wyjść, i tak nic więcej nie powie.

– Mogę cię zapewnić – powiedział – że nie mamy nic wspólnego ze zniknięciem Galindeza. W każdym prawie wypadku, z jakim mam do czynienia, liczę się z najbardziej nieprawdopodobnym rozwiązaniem, ale tym razem ewentualność współudziału któregoś z naszych ludzi całkowicie odpada. Rozumiesz, już się nam przejadły bandyckie wyczyny tego półanalfabety z Wysp Karaibskich. Departament Stanu jest wściekły. Tolerowanie takich stosunków nie przynosi nam chwały w polityce międzynarodowej. Przeczytaj tylko, co pisze prasa.

– To znaczy, że jednak prowadzicie śledztwo. Ale chyba liczysz się z tym, że nie będzie można wykorzystać materiałów dochodzenia? Z przyczyn wyższego rzędu, na przykład z uwagi na interesy *Fruit Company*”?

– Jestem przekonany, że nie. Czy nie pojmujesz, że oni po prostu z nas kpią? Zadaniem pewnych organów jest zabezpieczenie spokoju obywateli i one właśnie czują się odpowiedzialne za porwanie Galindeza. Musimy mieć dowody przeciw agentom Trujillo, chociażby tylko po to, by udowodnić naszą przewagę i uspokoić opinię publiczną. Brakuje nam tylko jakiegoś zdarzenia, które stanie się iskrą, pretekstem do dużej awantury.

– Jeszcze jedno morderstwo?

– Nie wiem, Mikę. Zostaw to komuś innemu.

– Dziękuję, Frank. Chyba jest tak, jak powiedziałeś... Muszę zatelefnować do Loretty, obiecałem jej. Czeka przeszło godzinę... Kiedy się zobaczymy?

Zbliżyłem się, by go pożegnać, lecz Beesley usiadł. Widocznie chciał usłyszeć, o czym będę mówił z Loretą.

– Nie przeszkadzaj sobie – powiedział – możesz do niej dzwonić.

– Jest roztrzęsiona, przestraszyła ją, Frank. Chyba się z nią umówię, trzeba ją uspokoić.

– Twoja sprawa, Mike.

Podszedłem da aparatu i nim uniosłem słuchawkę, zapytałem Beesleya:

– Czy nie pogniewasz się, Frank, jeżeli powiem, że wypłaczesz ją z tej historii? Chciałbym ją także zapewnić, że nie masz pretensji o to, co mi

opowiedziała o porwaniu Galindeza i twoim przesłuchaniu.

– Możesz jej to powiedzieć. Nie mam pretensji.

– Frank, jeszcze raz o Galindezie. Autostrady są chyba kontrolowane? Tak pomyślałem. Ale byłoby dobrze, gdybyście przekazali do wszystkich punktów kontrolnych w przygranicznych stanach polecenie notowania prywatnych samolotów przelatujących nad ich terytorium.

– Oni chyba tak robią. Ale to jest myśl. Masz rację, będziemy codziennie ściągać raporty. Sądziś, że Galindeza przewiozą samolotem?

– Wykluczam kolej. Nie mogą go przecież wpakować do kufra, jeżeli zależy im na żywym człowieku. Gdyby zależało im na martwym, zostawiliby trupa na stacji Columbus Circle. Pozostaje tylko samochód albo samolot.

Nakręciłem numer Loretty i czekałem dość długo, nim ktoś podniósł słuchawkę.

Dotarł do mnie głos starej kobiety.

– Tu mieszkanie kongresmana Flynna. Słucham, proszę.

– Dobry wieczór pani. Czy można mówić z panną Flynn?

– Panna Flynn przed chwilą zasnęła, proszę pana. Dzisiaj źle się czuła i wolałabym nie budzić... Jestem kucharką u państwa Flynn, a kiedy panienka śpi, telefon przelącza się do pokojówki albo do mnie. Zostawi pan jakąś wiadomość? Może to jakaś ważna sprawa i trzeba obudzić pannę Flynn? Bo panienka mówiła pokojówce, że ktoś ma dzwonić w ważnej sprawie, ale nie wiem kto...

Lubi mówić, pomyślałem, i od niej sporo można by się dowiedzieć bez proszenia.

– Niech pani nie budzi – powiedziałem – dziękuję. Ale proszę sprawdzić, czy panna Flynn na pewno śpi.

– No przecież śpi... Zaniostałem jej szklankę mleka, ale już spała.

– Kiedy to było?

– Było jakie pół godziny temu.

– Może pani teraz sprawdzi, czy panna Flynn jest u siebie w pokoju i czy śpi. Jeżeli nie śpi, proszę ją poprosić, zaczekam przy aparacie.

Beesley przypatrywał mi się uważnie.

– Czego się obawiasz, Mike? – zapytał. – Sądziś, że mogło coś zająć?

– Po to sprawdzam – powiedziałem – żeby tak nie myśleć.

– Interesujesz się Loretta? Prywatnie?

Słuchawkę przykryłem dłonią.

– Tylko tyle, żeby ją uspokoić. Jeżeli w wieczornych gazetach nie wymienio jej nazwiska, uspokoiła się trochę i zasnęła.

– Nie ma tam jej nazwiska – powiedział Frank.

Usłyszałem w słuchawce przyspieszony oddech starej kobiety.

– Proszę pana... Czeka pan jeszcze?

– Tak, jestem.

– Panna Flynn śpi, proszę pana. Spokojnie oddycha i ma dobry sen. Te młode dziewczęta strasznie się przejmują...

– Dziękuję pani.

– Zostawi pan jakąś wiadomość dla panienki? Bo będzie się pytać, kto dzwonił.

– Nie, dziękuję pani. Chyba zatelefonuję później.

Odłożyłem słuchawkę. Patrzyłem, jak Beesley, trzymając puszkę soku i butelkę ginu, przechyla je i wąskimi strumieniami wlewa oba płyny do kieliszka.

– Mike – zapytał – czy naprawdę zerwałeś z Harriet?

– Nie zrywa się na żarty, Frank.

Po chwili:

– I już ci na niej nie zależy?

– Zależy mi, Frank, ale to nie ma nic do rzeczy.

– Trudno uwierzyć, żeby ona ciebie zostawiła...

– Więc nie wierz w to. Ja z niej zrezygnowałem i nie ma o czym mówić.

Harriet potrzebuje kogoś lepszego.

– Przepraszam, Mike, że tak wypytyję. Ale chciałem... Czy pozwolił, żeby się z nią umówił?

– Frank, powiedziałem ci już, że rozstałem się z Harriet i nie mam nic do pozwalania lub zakazywania. Nie robiłem takich rzeczy nawet wtedy, kiedy byliśmy razem. Zawsze mogła robić to, na co miała ochotę.

– Czy mógłbym ją teraz zastać w domu, gdybym stąd zadzwonił? Pozwolisz?

– W tym tygodniu ma dyżur. Wiesz chyba, że od dwóch lat jest stewardesą *Pan-American World Airways*.

– O ile pamiętam, ty ją wpakowałeś do *Pan Am*.

– Trochę pomogłem. Tam można dobrze zarobić. Harriet zna francuski i hiszpański i ma doskonałe warunki.

Beesley powoli, łyk po łyku, opróżnił swoją szklankę. Wydało mi się, że chciałby jeszcze o coś zapytać i szuka odpowiednich słów.

– Mike, na jakich liniach lata Harriet?

– *Latin America Services*. Interesuje cię jeszcze na jakiej maszynie? Douglas super – 6 clipper. Chcesz adres? Powiedzieć ci także, jakie kwiaty lubi, który numer butów nosi i ile cali ma w talii? Kąpie się codziennie, używa kosmetyków Heleny Rubinstein i pali papierosy Gold Flake. Wystarczy, czy chcesz wiedzieć coś jeszcze?

Beesley zaśmiał się wymuszenie.

– Tak się zachowujesz, jakbyś jeszcze wciąż był zakochany. Gdybym jej to opowiedział, natychmiast wróciłaby do ciebie.

– Ona wie, że nie ma do czego wracać. Nie mówmy o tym, Frank, nic nie rozumiesz. Nie możemy być dłużej razem, i to wszystko. Znasz chyba sto tysięcy podobnych historii, w których dwoje ludzi, mimo miłości i tych wszystkich różnych intymnych spraw, rozstaje się i nie wraca do siebie... Frank, czy zostawicie w spokoju Lorette Flynn?

– Zostawimy ją w spokoju. My. Ale nie wiem, czy oni. Możesz jej powiedzieć, żeby nie obnosiła się z tą historią i nie robiła szumu. Tylko wtedy może mieć pewność, że nie stanie się nic złego. Powiesz jej?

– Powiem. Łykniesz jeszcze?

– Zrób mi raczej kawy. Pół filiżanki, ale żeby była wrząca i gęsta jak melasa.

Zrobiłem mu kawę gęstą jak melasa, parzoną po amerykańsku; miałem specjalną maszynkę, która wyłączała się automatycznie dopiero wtedy, kiedy war zabulgotał.

Beesley nie czekał aż ostygnie, wypił wrzątek.

– Mike – odezwał się odstawiając filiżankę – chyba nie masz zamiaru szukać de Galindeza? Jeżeli wpadłoby ci coś takiego do głowy, uprzedź mnie o tym.

- A ty? Będziesz go szukać?
- Nie mam wyjścia. Wiesz, to jedna z tych rzeczy, które robi się pod terrorem i tylko wtedy, kiedy nie można się od tego wykryć... O ile pamiętam, nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Wydawało mi się, że pytał major Beesley, któremu na takie pytania nie muszę odpowiadać bez porozumienia się z adwokatem.
- Nie żartuj, Mike. Ja ciebie pytam, Frank. Prywatnie i po przyjacielsku.
- Co zrobisz, jeżeli odpowiem, że mam zamiar szukać Galindeza?
- Wówczas usłyszysz to samo, co już kilkakrotnie powiedziałem: odwal się od tej historii.
- Ty wiesz więcej, Frank.
- Wiem. I tylko dlatego powtarzam, żebyś się odwalił od tej brudnej historii. Zapomnij, że w ogóle wpadło ci do głowy, żeby się tym zajmować.
- Postaram się, Frank.

11.

Dobrze usiadłem – pomyślał Murphy lądując w Lantanie. Krótko, miękko, bez jednego podskoku. To śmieszne i smutne, żeby taki pilot jak ja pętał się bez stałego zajęcia.

W Lantanie czekał Octavio de la Maza. Poznali się natychmiast, chociaż nie spotkali się nigdy przedtem. De la Maza przygotował sandwicze, grejpfruty, banany i kilka puszek owocowych soków. Szybko podszedł, kiedy Murphy wysiadł z kabiny. Był niski, drobny, miał małe i delikatne dłonie. W wąskich, zaciśniętych ustach i w wydatnym podbródku było coś okrutnego.

- Gerald Lester Murphy?

Murphy ściągnął zieloną rękawicę.

- Octavio de la Maza?

Uścisnęli sobie dłonie, skinęli głowami.

– Wszystko gra? Bez przymusowego lądowania? Jak motory? Co słyhać z pacjentem? – Octavio mówił po angielsku ze śpiewnym hiszpańskim akcentem.

Zajrzeli do wnętrza. Na trzech rzemieniach zwisały nosze z ciałem otulonym w białe prześcieradło. Octavio szybko opuścił klapę i sprawdził automatyczny zatrząsk.

– Zgadza się.

– Myśli pan, że dobrze zniósł podróż?

– Tak na oko...

– I sądzi pan – zapytał Murphy – że on jeszcze żyje? Może odślonimy prześcieradło i sprawdzimy...

Octavio zatrzepotał drobną dłonią.

– Niech się pan tym nie przejmuję, Murphy. Dostał pan ładunek i leci pan z tym fantem tam, dokąd trzeba dolecieć. Reszta należy do lekarzy. Pan nie studiował medycyny? No więc. Oni już dobrze wiedzą, co trzeba zrobić z chorym i jak go uspić, żeby zniósł taką podróż.

– Pieniądze pan przywiózł?

– Proszę – powiedział Octavio sięgając do wewnętrznej kieszeni lotniczej wiatrówki. – Nie musi pan liczyć. Resztę otrzyma pan na miejscu.

Na miejscu, pomyślał Murphy. Gdzie leży to tajemnicze miejsce? Powiedziano mu, że dowie się o tym w Lantanie. Floryda na pewno nie jest celem tej niezwyklej podróży.

– Czy jeszcze gdzieś lądujemy po drodze?

– Nie. Tu uzupełnimy zapas paliwa i lecimy dalej.

– Pan pilotuje?

– Nie. Odpowiadam tylko za chorego.

– I za mnie? – zapytał Murphy. – Będzie mnie pan pilnować?

– Za chorego – odparł z naciskiem de la Maza. – Pan za siebie sam odpowiada. I za wykonanie umowy zawartej z rodziną chorego. Mnie płacą za coś innego.

– Ale pan jest pilotem?

– Tak.

– Dokąd lecimy? Chciałbym przejrzeć mapę i zorientować się w kursie.

– Niech pan coś przekąsi, Murphy... Połowę drogi ma pan już za sobą. Niech panu na razie wystarczy ta informacja. Resztę powiem, kiedy wzniesiemy się dwie mile ponad Lantanę.

– W kierunku?

- Na wyspę Andros. W przedłużeniu ma pan Santiago de Cuba.
- A więc na Kubę?
- Nie. Resztę powiem panu w górze. Na wysokości Baracoa weźmiemy inny kurs. Wystarczy tyle dla orientacji?

– Haiti?

De la Maza znów zatrzepotał dłonią.

– Niech pan więcej nie pyta, Murphy. Już powiedziałem, kiedy pan otrzyma dalsze informacje. Nie, nie lecimy do Haiti... Nie lubi pan bananów? Proszę wziąć.

– Dziękuję, wolę już kartofle... A tam, dokąd lecimy, jak długo mogę zostać?

– To zależy od pana, Murphy. Pan powie ostatnie słowo, nie my.

Głos Octavia tak dziwnie zabrzmiał, że Gerald odczuł niepokój. Może stać się również tak, że stamtąd go nie wypuszczą. Jest świadkiem jakiejś afery, gangsterskiej albo nawet politycznej, diabli wiedzą. Ale nie ulega wątpliwości, że to paskudna afery, w którą dał się nieopatrznie wciągnąć.

– Nie rozumiem – powiedział.

– Ja także nie zrozumiałem pańskiego pytania. Chyba musi pan wrócić do Linden i oddać tam maszynę, nie? Może pan także zostać u nas, kilka dni... Śpieszy się panu z powrotem?

– Nie.

– Nie czekają na pana?

– Kto?

– Rodzina, żona, może jakaś dziewczyna...

– Matka myśli, że mam robotę. Już pół roku bujam staruszkę, że dobrze mi się powodzi. I nie mogę się u niej pokazać, jak długo nie dostanę jakiejś przyzwoitej roboty. Wie pan, matka na dwa lata przeniosła się do murzyńskich baraków i szorowała podłogi czarnuchom, żebym tylko mógł skończyć szkołę pilotów...

– Rozumiem – powiedział Octavio. – Matka.

Siedzieli na kamiennej ławie, wspartej o budynek biura nawigacji, i obserwowali dwóch mechaników krzątających się przy maszynie. Octavio wrzucił do drucianego kosza resztę bananów i napoczętą puszkę soku pomarańczowego.

- Więc nikt na pana nie czeka?
- Żony nie mam. Znałem ostatnio jedną dziewczynę, całkiem niezłą, ale to się skończyło. Pan nie ma pojęcia, jakie dziwki żyją w Stanach.
- Pan mówi o Marcie? Tej znad jeziora Ontario?
- Do cholery – powiedział Murphy – do ciężkiej cholery! Dlaczego wpychacie swoje przeklęte nosy w moje sprawy, kiedy ja nie wtrącam się do waszych interesów?

De la Maza położył dłoń na kolanie Geralda.

– Murphy, niech pan posłucha. Mieliśmy skomplikowaną sprawę do załatwienia. I musieliśmy wiedzieć, komu ją można powierzyć... Za te, pieniądze sto tysięcy facetów poleciałoby z dziesięcioma chorymi nawet do Wilkes Land na Antarktydzie. I przez rok całowałiby nas za to po rękach. Musieliśmy wiedzieć, komu można dać zarobić. Cała reszta w ogóle nas nie obchodzi. Kiedy odwali pan swoją robotę, może pan wracać do babci, do mamusi, do Marty. I dokąd pan tylko zechce.

- Ale mam trzymać język za zębami, co?
- Musi pan trzymać język za zębami. Pan wie, Murphy, zęby są tak długo dobre, jak długo można nimi coś przegryźć.
- Baliście się, że mogę wam zrobić jakiś kawał?
- Mógł pan wywieźć chorego i zażądać okupu od rodziny. Gość, którego wieziemy w bagażniku, ma bogatą rodzinę. Oni woleli pierwszorzędnie zapłacić niż dawać się później szantażować. Murphy, czy odpowiada panu taka wersja?

Murphy pomyślał: jeżeli wiedzą, że nikt na mnie nie czeka, mogą ze mną zrobić, co zechcą. Ale samolot? Szef biura w Linden dałby znać policji... Nie, jesteś głupszy niż oni, samolot odda byle kto i pokaże kwit...

– Jeżeli wszystko będzie okay, to rodzina zrzeknie się kaucji, którą ma pan odebrać w Linden. Dostanie ją pan jako premię – mówił pogodnie Octavio. – Dbamy o pana jak o oseska w inkubatorze. Niech pan będzie spokojny. Nie boimy się żadnych kawałów. I pan także niech się nie boi.

- Dziękuję, Octavio. Z taką forszą dam sobie radę przez kilka miesięcy. Poślę matce tyle dolarów, że zapomni na zawsze, jak myła podłogi czarnuchom.
- Pan nie lubi Murzynów?

– Nic do nich nie mam. Nie pochodzę z południa.

– Mnie drażni ich zapach.

– Muły na wschodzie nie cierpią zapachu białych. Różnie bywa z tymi zapachami.

De la Maza zgasił papierosa, rozkruszając w palcach żarzący się tytoń.

– Niech pan powie mechanikom, żeby przestali się już pieprzyć z maszyną. Pozwoliłem im na to, bo nie chcę wzbudzić podejrzeń. Startujemy.

– Czemu pan im tego nie powie?

– Mogliby zapamiętać mój hiszpański akcent. Nie lubię tego.

Murphy kazał odejść mechanikom, dał im kilka dolarów. Podeszli do lśniącego kadłuba maszyny.

– *Haga Ud. el favor de tornar asiento* – powiedział po hiszpańsku Octavio de la Maza.

– *No he comprendido* – odparł Murphy – nie zrozumiałem. Znam najwyżej sto słów po hiszpańsku.

– Powiedziałem: „proszę, niech pan siada”. Ma pan dobrą wymowę i szybko nauczy się pan po hiszpańsku. To dobrze. *Muy bien* – bardzo dobrze.

– *No lo dudo* – odparł Murphy – nie wątpię.

– *Brillantemente!* – zawołał z emfazą Octavio – doskonale!

Siedzieli już w kabinie, zapięli pasy.

– Czy nie pomyślał pan, de la Maza – rzucił Murphy patrząc przed siebie i sprawdzając działanie sterów – czy nie pomyślał pan, że ja jednak zapamiętam ten hiszpański akcent?

Octavio zaśmiał się, naturalnie i szczerze, bez tej złowieszczej nuty, którą Gerald spodziewał się usłyszeć.

– Murphy, czy bardzo pan się pogniewa, jeżeli nie odpowiem na to pytanie?

12.

W nocy zbudził mnie telefon.

– Kto mówi?

– Kongresman Flynn, Jack Flynn.

- Nazywam się Mike Wynn. Słucham pana.
- Czy moja córka jest u pana? To znaczy, chciałem zapytać, czy pan wie, gdzie jest moja córka?
- Nic nie rozumiem. Dlaczego miałyby być u mnie, a nie, na przykład, u Binga Crosby albo u Marylin Monroe?
- Przecież pan do niej telefonował i umówiliście się na wieczór.
- Wieczorem pańska córka spała. Dzwoniłem, kiedy spała, i powiedziałem pańskiej kucharce, żeby nie budziła panny Flynn.
- Flynn zastanawiał się nad czymś.
- Tak, nasza kucharka mówiła, że ktoś dzwonił i prosił, żeby nie budzić mojej córki, miała tylko sprawdzić, czy śpi. Ale później dzwonił pan jeszcze raz i wtedy telefon odbierała moja córka. Dzwonił pan, prawda?
- Nie telefonowałem później i nie rozmawiałem z pana córką.
- Znowu chwila wahania.
- Myślałem, że byliście w jakimś lokalu, i chciałem się dowiedzieć, o której pan ją odprowadzał. Wcale nie wmawiałem panu, że moja córka tam jest, może tylko źle się wyraziłem. Słyszałem dużo o panu i wiem, że jest pan przyzwoitym człowiekiem.
- No więc nie rozmawiałem z nią, nie telefonowałem i nie byłem w żadnym lokalu ani nie odprowadzałem Loretty. I wcale nie jestem przyzwoitym człowiekiem. Wszystko o czym pan mówi, nie zgadza się z faktami.
- Boże, chyba nie chce pan powiedzieć...
- Panna Flynn ma chyba trochę znajomych. Proszę tam zadzwonić, powinien pan szukać.
- Ma znajomych, ale przecież pan nie pozwolił jej spotykać się z nimi, z nikim! I nie pozwolił pan wychodzić do miasta! Loretta powiedziała mi, że była u pana w sprawie tego nieszczęsnego profesora.
- Dobra, dobra, ja wiem w jakiej sprawie; zostawmy nazwiska w spokoju. Więc dlaczego wyszła? Chyba mówi panu, dokąd wychodzi o takiej porze.
- Bo ktoś dał znać, że pan chce się z nią zobaczyć. To było koło jedenastej, może trochę później. Miała z sobą zabrać jakiś maszynopis, pan kazał jej to zabrać i przywieźć do „Montany”...

No więc tak, gra toczy się dalej. Dlaczego nie uprzedziłem Loretty, że tylko ja sam mogę się z nią umawiać, dlaczego nie ostrzegłem przed jakimkolwiek pośrednictwem w ustaleniu naszego spotkania, dlaczego wciąż jestem tak naiwny i nieostrożny i wbrew pozorom czujności nie doceniam tych łajdaków! Przecież to trudna i skomplikowana sprawa, ta afera z Galindezem i z tym egzemplarzem *Ery Trujillo*, który on dał jej do przeczytania czy na przechowanie. Teraz dziewczyna za to zapłaci, a oni już wiedzą, że była u mnie, i mogą teraz zapolować na mnie, szybko to rozszyfrowali.

Usłyszałem chrapliwy, astmatyczny oddech.

– Dlaczego pan nic nie mówi, co z panem? – dopytywał natarczywie Flynn. – Co to wszystko ma znaczyć, jeżeli pan nie dzwonił ani nikomu nie kazał dzwonić? Trzeba natychmiast zawiadomić policję, to moja córka, moja jedyna córka!... Panie Wynn, co robić?

– Zachować spokój, to najważniejsze. Proszę zostawić policję i natychmiast zawiadomić majora Franka Beesleya; on zajmuje się tą sprawą. Zaraz przyjeżdżam do pana. Do nikogo więcej proszę nie dzwonić. Trochę cierpliwości i rozwagi, panie Flynn!

Podał mi dwa numery Beesleya, sam nie chciałem tracić czasu na dzwonienie. Ale przeraził się, usłyszawszy to nazwisko, wiedział, czym zajmuje się major.

Ubrałem się byle jak, zbiegłem na dół i wyprowadziłem z garażu mojego studebackera. Po dwudziestu minutach zatrzymałem wóz przed domem kongresmana Flynna. Beesleya jeszcze nie było.

Siwy, jowialny pan, nieco wystraszony, czekał na mnie w hallu. Podał mi rękę i poczęstował cygarem, którego nie przyjąłem.

– Dzwonił pan do Beesleya? – zapytałem.

– Tak, znalazłem go pod tym pierwszym numerem. Powiedział, że natychmiast przyjedzie. Co się mogło stać? Czy pan się domyśla? Wszystko, co posiadam, jest do pana dyspozycji. Cały mój majątek...

– Proszę dokładnie powtórzyć, co panna Flynn powiedziała – o tym drugim telefonie, rzekomo ode mnie, czy też z mojego polecenia.

Powtórzył to, co już słyszałem. Reszta szczegółów nie miała znaczenia.

Do licha – pomyślałem – przecież Beesley wiedział, że mam spotkać się z Loretą. Popełniłem chyba fatalny błąd, mówiąc mu o tym. Loretta błagała, żebym przed nikim, a zwłaszcza przed nim nie ujawniał jej odwiedzin u mnie, bp przecież major zabronił o tym mówić. Beesley mógł zemścić się za to gwałtstwo, chociaż powiedział mi, że to nie ma znaczenia i że powinienem uspokoić Loretę. Oczywiście, nie mógł mi nic innego powiedzieć, tylko coś takiego, tylko tyle, że to nie ma znaczenia. To zresztą nie musiał być Beesley, może któryś z jego współpracowników, może taki, który pracuje nie tylko dla Beesleya, ale zarazem dla tych, co porwali Galindeza; muszą mieć tutaj współpracowników.

– I co teraz, co powinienem zrobić? – pytał zatrwożony Flynn. – Niech pan coś poradzi, pan zna się na takich...

W jego obecności obejrzałem pokój Loretty, półkę z książkami, szuflady i zakamarki biurka. Nie znalazłem *Ery Trujillo*, nie znalazłem nic podejrzanego. Poszukiwania prowadziłem machinalnie, nie wierząc w ich skutek, nic tu nie było do szukania. Rozmowa telefoniczna, w której ktoś powoływał się na mnie, wyjaśniała wszystko.

– I gdzie ona może być, jak pan myśli? Co to za rękopis, który kazali jej zabrać? Kto o tym wiedział?

– Czy pańska córka sama odbierała ten drugi telefon?

– Tak i później powiedziała pokojówce, że dzwonił ktoś w imieniu pana, umówił was w „Montarne” i prosił – to znaczy, że niby pan prosił – żeby Loretta przyniosła jakiś rękopis.

– Jaki? Nie powiedziała jaki?

– Nie, nic nie powiedziała. Ale to był spory pakiet, w dwóch plastikowych teczkach – zdaje się zielonych. Córka często przynosi i wynosi różne skrypty i tecki. Nie przywiązywałem żadnego znaczenia do tego faktu...

– Do najważniejszego faktu, panie Flynn. Tak przypuszczam.

– Skąd pan wie?

– Nic nie wiem. Powiedziałem, że przypuszczam.

– Czy to ma może coś wspólnego z porwaniem doktora Fernandez de Galindez?

– Prawdopodobnie tak.

– On tu bywał u nas, u mojej córki, pomagał jej w zbieraniu materiałów do pracy o Montezumie... Zaniepokoił mnie pan tym przypuszczeniem, że to może mieć coś wspólnego z Galindezem... Nie mówiłem jeszcze panu, że pracuję w Komisji do Spraw Ameryki Łacińskiej. Wiem tak dużo o podobnych sprawach, że nie powinien pan dziwić się mojemu przerażeniu...

– Rozumiem pana – powiedziałem – jestem także bardzo zaniepokojony. Ale nim cokolwiek postanowimy, musimy czekać na Beesleya. Czy pana zawiadomiono o porwaniu Galindeza?

– Po raz pierwszy usłyszałem o tym od mojej córki, kiedy dzwoniła do nas żona profesora Galindeza. W kilka godzin później, nim jeszcze sprawa przedostała się do prasy, zawiadomiono mnie o tym oficjalnie. Jestem wiceprzewodniczącym Komisji... Ale mojej córce nic nie mogą zrobić? Prawda, nic jej nie zrobią?

– Co pan postanowił w sprawie Galindeza?

– W porozumieniu z prokuratorem okręgowym nakazałem jak najsurowsze śledztwo. Między innymi, na pewno zajmie się tym major Frank Beesley jako rzeczoznawca do spraw działalności wywiadu Republiki Dominikańskiej. Ale nie znam majora osobiście, czytam tylko jego sprawozdania, niestety, dość często. Beesley nie ukrywa faktów, są przerażające. Pan nie ma pojęcia, co agenci Dominikany wyprawiają z emigrantami, a zwłaszcza z uciekinierami.

– Trochę jestem zorientowany.

– Trujillo jest chyba obłąkany ze strachu i doprawdy, nie wiem, czym by to skończyło się dla niego, gdyby nie miał w swojej policji tak bezlitosnych i sprytnych ludzi. Jego agenci działają wszędzie, chyba w każdym kraju, i mordują nie zostawiając tropu. Trupy to jedyny ślad ich obecności. Gdyby zamordowani nie pochodzili z Dominikany, nigdy nie wiedzielibyśmy, dlaczego zginęli... Czy nie pomyślał pan, że oni porwali moją córkę/, żeby mnie szantażować? Może chcą wymusić obojętność albo neutralność Komisji wobec porwania Galindeza? Umożnienie śledztwa?

– Zgodziłby się pan na taką zamianę?

Flynn zastanawiał się nad moim pytaniem, zapewne po raz pierwszy musiał przemyśleć taki problem. Powiedział cicho:

– Mam tylko Loretę, panie Wynn, nikogo więcej. Zrzekłbym się sprawy,

niech ją prowadzi ktoś inny... Jestem już starym i zmęczonym człowiekiem, i jeżeli kiedykolwiek się uśmiecham, to tylko przy mojej córce. A ten uśmiech dla gazet... pan wie, jak jest z tym uśmiechm dla gazet. Wszyscy działacze polityczni muszą się optymistycznie uśmiechać. Ten uśmiech bardziej się liczy w opinii publicznej niż fiasko takiej czy innej akcji...

Loretta uśmiechała się podobnie jak Flynn przed kamerami reporterów. Patrzyłem na jej fotografię stojącą na ogromnym biurku, w gabinecie kongresmana, dokąd przeszliśmy po pobieżnym przeszukaniu pokoju dziewczyny. Ramka była zrobiona z wąskiego skrawka bawolej skóry. Loretta uśmiechała się na tym zdjęciu, ale jej oczy były smutne.

– Może jednak zdecyduje się pan na jakieś działanie? – zapytał nerwowo Flynn. – Jestem jej ojcem i nie mogę... Pan musi mnie zrozumieć! Dla was to jeszcze jedna sprawa, a dla mnie jedyna córka.

Dotknąłem jego ramienia

– Na razie trochę cierpliwości, musimy poczekać na Beesleya. Dano mi dzisiaj do zrozumienia, co prawda półoficjalnie, ale jednak, żebym odczepił się i nie wtrącał do sprawy, którą przejął wywiad. Jest pan kongresmanem i wie pan równie dobrze jak ja, że nie wolno mi działać poza prawem ani bez zgody oficjalnych przedstawicieli prawa. Zawsze działałem w obronie prawa, nigdy obok, nigdy przeciw sprawiedliwości.

– Mamy tu do czynienia z bezprawiem...

– Jest pan zdenerwowany, ale przecież wie pan doskonale, o czym mówiłem. Z bezprawiem mamy dość często do czynienia, ale to nie powód...

– Potrafiłbym pana ochronić.

Zapalałem papierosa, patrząc mu w oczy. Powiedziałem:

– Nie, niech pan nawet nie łudzi się. Pan może działać tylko w sposób legalny, a ci, którym nie podoba się moja interwencja, mogą zastosować nieco inne sposoby... Byliby zresztą w porządku, ponieważ mnie ostrzegli.

– Nie znam się na tym. Pan chyba przesadza. Gdzie on jest, ten Beesley?

Flynn niecierpliwił się, nie wiedział co począć; ogarnęła go rozpacz, straszliwy lęk o życie ukochanej córki.

Nie odzyska jej – pomyślałem. Oni nie bawią się w Stanach szantażami ani kidnaperstwem, a gdyby postawili na taką kartę, gdyby powiedzieli mu, że córka jest zakładnikiem w ich rękach, i jeżeli nawet on by się zgodził i przyjął ich warunki, nawet wtedy nie pozwolą jej wrócić do ojca, bo musiałyby wracać z jakiegoś miejsca, w którym ją trzymali, i musiałyby wracać od ludzi, których zapamięta. Obojętne, czy byli w masce, czy bez maski, bo to są dwa ślady – ślady, które mogłyby nam wystarczyć, podczas gdy oni nie zostawiają śladów; Flynn sam powiedział, że nie zostawiają śladów, tylko trupy...

Do pokoju wszedł major Beesley. Przywitał się uniesieniem z Flynnem, później ze mną.

- Ty kazałeś do mnie telefonować?
- Tak, przecież to twoja sprawa. Beesley zwrócił się do Flynna:
- Co się stało?

Flynn jeszcze raz powtórzył to wszystko, o czym już wiedziałem. Byłem niepotrzebny. Przeprosiłem obu mężczyzn i wyszedłem.

Wróciłem do domu.

13.

Panie de la Maza – odezwał się Murphy – czy może mi pan powiedzieć, jak jest z tym starym na noszach? Lubię wiedzieć, w co się bawimy.

Lecieli nad wyspami Bahama. Po prawej stronie wyłoniły się z mgły wielkie masywy Andros Islands.

– Starym? Skąd pan wie, czy nasz pasażer nie jest młodym człowiekiem, może nawet młodszym od pana?

– Nie widziałem go. Jednak taki bezwładny i uśpiony wrak kojarzy mi się ze starością. Pan wie, Octavio, że to mnie nic nie obchodzi, ale bądź co bądź warto wiedzieć, jaki balast równoważy lot maszyny.

– Niech pan wyrówna kurs na Great Inagua; to jest właśnie ta rzecz, o której powinien pan wiedzieć.

– Lecę na Baracoa, tak jak pan powiedział.
– Proszę poprawić kurs na Great Inagua. I niech pan zapamięta, że ten na noszach jest chory na raka gardła. Po operacji, którą mu zrobiono w Nowym Jorku, ma kilka przerzutów. Tam, dokąd lecimy, jest pewien znachor z sekty Vaudou, który potrafi go z tego wyciągnąć.

Murphy sprawdził współrzędne. Lecieli teraz na Great Inagua.

– Czy rak gardła to przenośnia? – zapytał. – Chciał pan powiedzieć, że ten facet za dużo mówił i dlatego zachorował na gardło? Już widziałem takich.

– Murphy, nic o tym nie wiem i nigdy niczego nie ukrywam za przenośnią. Nie wiem, skąd bierze się rak krtani. Jak dotychczas, zauważyłem, że właśnie pan za dużo mówi. Co pana może obchodzić prócz forsy za taką robotę? Nie warto wpychać nosa tam, gdzie można stracić całą twarz.

– To czysto sportowe zainteresowanie. Dawniej kupowałem „The Argosy Magazine” i różne inne i nazywałem się mnóstwo historii o gangsterach i szpiegach. Wydawało mi się zawsze, że jestem jednym z tych dzielnych amerykańskich chłopców, którzy łapią przestępcę albo sami są przestępcami, ale takimi, których nikt nie może złapać. Nie myślałem o tym, czy są po stronie prawa, czy nie; obchodziło mnie tylko, czy są silniejsi, sprytniejsi i mądrzejsi od swoich przeciwników.

– To mi się podoba Murphy. W tej chwili robi pan coś dla takich, którzy są silniejsi i mądrzejsi. O resztę może pan być spokojny. Kiedy wylądujemy, niech pan o nic nie pyta i zapomni o tym gościu na noszach. *Nada mas* – dodał – to wszystko.

– *Si, naturalmente* – powiedział Murphy – ależ tak, oczywiście. To nawet więcej niż wszystko.

– *Le agradecerá infinito...* – odparł również po hiszpańsku de la Maza – będę panu bardzo zobowiązany. Jeżeli zechcą panu coś powiedzieć, zrobią to bez pytania. Jeżeli nie, wszystkie pytania będą daremne.

Tak, pomyślał Murphy, wszystkie pytania mogą być daremne. Przypomniał sobie Martę i jej nylonowy, półprzejrzysty szlafrok, w którym wchodziła wieczorami do jego pokoju. Zadał jej sto pytań i na każde mu odpowiedziała, a jednak nie odpowiedziała na najważniejsze. Oswald Thoen, stary przyjaciel

jej rodziny z Utica, Jezu, to miał być ten stary bezinteresowny przyjaciel, który wiedział więcej niż on...

Jest tyle pierwszorzędnych dziewcząt na cholernie złażdaczonym świecie, a ja uczepiłem się tej jednej! Jezu, co się z człowiekiem dzieje, kiedy zapomni, że są jeszcze inne pierwszorzędne dziewczyny! Po cholere tę całą zabawę, jeżeli człowiek ma się później męczyć, nie spać i przepijać ostatnie pieniądze? Jezu kochany, co za dziwka z tej Marty...

Zacisnął szczęki i przełknął wzbierającą w ustach ślinę. Zamrugał powiekami, by zetrzeć mgłę powlekającą źrenice, ale nie mógł się pozbyć tej przesłony.

– Jest pan zdenerwowany – powiedział de la Maza.

– A pan? – rzucił zaczepnie Murphy. – Znam się na tym.

Octavio powiedział:

– Panie Murphy, ja nie mam kłopotów z moją dziewczyną. Ona wie, co bym zrobił, gdybym miał przez nią jakieś kłopoty albo w ogóle.

– Co by pan zrobił?

– Ona wie, panie Murphy.

14.

Męczyłem się, nie mogłem zasnąć. Jeżeli stało się, jak przewidywałem, odpowiedzialność spadała na mnie, na mnie i na Beesleya. Można było założyć, że oni nie chcą mieć żadnych świadków, i że wszystko, co żyło wokół Galindeza, musi być zniszczone. Bali się jego książki, w której Galindez przeciwstawiał swoją wiedzę, swój humanitaryzm, autorytet moralny i głębokie poczucie sprawiedliwości ich barbarzyństwu, ich zakłamaniu, ich bestialstwu. Bali się, bo tyranów bardziej przeraża zbuntowana myśl niż rewolty. Przeciw uzbrojonym ludziom mają czołgi i pałki policji, ale brak im racji moralnych dla przeciwstawienia się umysłom, które nie dały się zniewolić.

Dreżyło mnie poczucie winy wobec Loretty i jej ojca, chociaż w pewnej mierze usprawiedliwiała mnie nie tylko to, że zabroniono mi wtrącać się w sprawę porwania Galindeza, ale także i okoliczność, że jednak trudno było

przewidzieć tak tragiczny koniec. Tragiczny, wiedziałem już, że tragiczny...

Nie mogłem zasnąć. Położyłem proszek nasenny na stoliku, nie chciałem go zażywać. Wystarczyła pewność, że tabletki jest blisko, tuż pod ręką, obok szklanki z wodą. Ostatnio nadużywałem tych rujnujących zdrowie środków, zresztą całe Stany połykały dziennie tony luminalu i bromu, a ci, którzy ścigali nielegalnych dostarczycieli marihuany, heroiny i innych narkotyków, nawet nie przypuszczali, że istnieje w Stanach olbrzymia, wielomilionowa armia nieuleczalnych już narkomanów, połykających dzień w dzień rozliczne odmiany *sleeping pills*.

Po kilku godzinach niespokojnego snu usłyszałem natarcywy dźwięk. Myślałem, że ktoś dzwoni do drzwi, ale to był telefon.

Natychmiast, jeszcze w półśnie, sięgnąłem po słuchawkę. Nim zdążyłem zgłosić się, usłyszałem:

- Pan Wynn?
- Pan Wynn jeszcze śpi – powiedziałem.
- Czy można wiedzieć, kto odbiera telefon?
- Mike Wynn.
- Przez sen?
- Tak mi się wydaje.
- Obudziłem pana? Przykro mi, ale...
- Przepraszam, czy to pan Flynn?
- Tak. Muszę się natychmiast z panem zobaczyć. Koniecznie i natychmiast.

Pomyślałem, że policja trafiła na jakiś ślad albo Loretta wróciła. Nonsens, jeżeli wróciła, gwałtowne żądanie Flynn'a nie miało uzasadnienia; byłbym mu niepotrzebny, zwłaszcza o tej porze.

Jednak zapytałem:

- Może wróciła panna Loretta?
- Nie. Dlatego muszę się z panem natychmiast zobaczyć. Ale natychmiast.
- Czy major Beesley wie o tym? Uprzedzałem pana, że Beesley czy też jego szefowie nie życzą sobie mojej interwencji.
- Majora Beesleya zaprosiłem również. Będzie u mnie za godzinę. Pana wolałbym ujrzeć u siebie nieco wcześniej. Przyjdzie pan? Posłać może wóz?

Usiadłem na tapczanie, już zupełnie rozbudzony. Pojadę i wybiję mu z głowy to dzwonięcie. Niech się odczepi i zostawi mnie w spokoju.

– Ponieważ nie traktuję pana jak klienta – powiedziałem – bo klienci zazwyczaj do mnie przyjeżdżają, będę u pana za pół godziny. Prywatnie, jako znajomy pańskiej córki.

– Dziękuję, czekam na pana – odparł Flynn.

Wziąłem zimny prysznic, wypilem szklankę soku pomarańczowego, ugryzłem dwa kęsy z tabliczki prasowanych fig i po chwili siedziałem za kierownicą studebackera.

Nie wiedziałem, czego chce ode mnie kongresman Flynn. Jednak chciałem wiedzieć.

15.

Minęli już Crooked i Acklins i zbliżali się do zgniecionego obwarzanka Great Inagua, z jaskrawym, bijącym w oczy blaskiem olbrzymiego jeziora w samym środku wydłużonej od północy wyspy. Wyglądała jak kleks na oceanie.

– Myślałem właśnie – odezwał się Murphy – że człowiek niepotrzebnie zastruwa sobie życie. Ostatecznie kobiety dobrze wiedzą, co mają robić i mogą robić, co tylko chcą, jeżeli nikt im za to nie płaci, żeby robiły coś, czego nie chcą robić. Trzeba tylko na to patrzeć, co robi dziewczyną i jaka jest wtedy, kiedy przychodzi do człowieka, ale nie trzeba sobie zawracać głowy tymi rzeczami, które ona robi poza tobą, kiedy już odeszła do swoich własnych spraw.

Pamiętał, co Marta wyznała mu o sobie i innych mężczyznach: „Nie jestem święta – mówiła – i nie udaję świętej, ale nie przeżywałam dotychczas tego, co przeżywam z tobą. Byłam niekiedy z mężczyznami nawet nie z nudów, ale całkiem po prostu, żeby ułatwić sobie życie, kiedy stawali się zbyt natarczywi. Z tobą wszystko działa się inaczej”.

A Thoen, Thoen! Co ją z nim łączyło? Dobra, stało się, już nie o to chodzi, ale jakie były motywy? Sam fakt nic nie znaczy i nic nie mówi, najważniejsze są przyczyny, okoliczności i to, co Marta odczuwała...

Pojął nagle, że dalsze myślenie o zdradzie Marty zaczyna go podniecać; widział w wyobraźni ją i Thoena i zapragnął jej silniej niż kiedykolwiek.

– Murphy – odezwał się de la Maza – czy pan znał jednego gościa, który nazywał się Thoen? Oswald Thoen?

Murphy spojrział z wściekłością na Octavia, Przeraziła go i zdumiała ich wiedza o nim.

– Nie, nie znałem. Czy muszę znać wszystkich facetów w Stanach?

– Chciałem panu tylko powiedzieć, że Thoen zginął w udanym wypadku samochodowym. Meblowa ciężarówka zrobiła miazgę z jego wozu. Wbił się na kierownicę, jak na pal, i nawet nie było warto zbierać go z przedniego siedzenia. Myślałem, że pan go znał. Jeżeli pan nie znał Thoena, niepotrzebnie o tym mówię.

16.

Flynn miał zgaszone, głęboko wpadnięte oczy. Nosił ten sam garnitur z ciemnopopielatej flaneli, w którym widziałem go wczoraj; spodnie były zmięte, kłapy załamane. Wiedziałem już, że nie kładł się do łóżka, że nie spał, a po zmiętych kłapach marynarki poznałem, że siedział w nocy przy biurku opierając pierś o jego brzeg. I może tak drzemał pochyliwszy głowę przed fotografią Loretty, uśmiechającej się na tym zdjęciu tylko ustami, bo oczy były smutne. Wprowadził mnie do gabinetu.

– Jadł pan śniadanie? Niech pan siada. Może cygaro?

– Jeżeli można, proszę o mocną kawę.

– Kawę już kazałem przynieść. Nie zje pan nic?

– Nie, dziękuję. Jedyne, na co mam ochotę, to wyspać się. Dostanę przez pana zawału serca. Teraz chcę spać.

– Zdaży pan. Proszę mnie posłuchać.

Przeszedł za biurko i usiadł w fotelu, którego oparcie było tłoczone w takiej samej surowo wyprawionej skórze bawołu, z jakiej zrobiono ramkę okalającą zdjęcie Loretty.

Flynn przyciął cygaro srebrną kulką, w której wyżłobieniu ukrywały się ruchome ostrza.

– Dziękuję, że pan się pospieszył – rzekł Flynn. – Muszę panu wyznać, że zaprosiłem dzisiaj do siebie jednego z szefów Międzynarodowej Agencji Detektywistycznej, która obchodzi właśnie pięćdziesięciolecie swego istnienia. Zna pan agencję Williama J. Burnsa?

– Czy istnieje Amerykanin, który nie znałby agencji Burnsa? Pracowałem u nich przez rok.

– I zrezygnował pan?

– Nie mógłbym już tam wrócić. Wpakowałem się kiedyś, dość nieopatrznie, w głośną szpiegowską aferę, może pan słyszał...

– Lucy Merris alias Erika Stumpf? Włochy, niedobitki wywiadu niemieckiego, jakieś dwa mikrofilmy, szalony pościg i tak dalej?

– Coś w tym rodzaju. A propos, ostatnio miałem wiadomość, że Erika Stumpf pojawiła się w Argentynie i prawdopodobnie spotkała się z byłym sekretarzem Hitlera, Martinem Bormanem, w małej miejscowości na pograniczu Brazylii... Mój udział w tej głośnej awanturze uniemożliwia mi pracę w agencji Burnsa, na czym mi zresztą wcale nie zależy. Oni unikają spraw szpiegowskich. Więc spotkał się pan dzisiaj z przedstawicielem Burnsa. I co na to Burns?

– Pan wie, że to najpotężniejsza firma detektywistyczna, właściwie olbrzymia armia prywatnej policji, zatrudniająca stale przeszło dwanaście tysięcy ludzi, wśród nich wielu byłych podoficerów i oficerów policji. Dlatego postanowiłem skorzystać z ich pomocy. Jej stałymi klientami są takie firmy, jak General Motors, General Electric, Standard Oil i Du Pont...

Wtrąciłem:

– To także jedna z przyczyn, dla której nie interesuje mnie praca w agencji Burnsa. Pociąga mnie nawet najtrudniejsza robota dla pojedynczych ludzi, którym coś grozi, którzy wpadli w matnię bez wyjścia. Ale nie interesuje mnie wspomaganie wielkich koncernów.

Ktoś zapukał. Flynn nacisnął jeden z guzików sterczących z płaskiego, obitego skórą przycisku. Wtedy rozsunęły się drzwi wiodące do gabinetu. Pokójka wniosła kawę, whisky i oszroniony syfon. Zauważyłem, że ma podpuchnięte i wilgotne oczy, zapewne przed chwilą płakała. W tym domu

wszyscy mieli skłonność do płaczu; byłem pewny, że kucharka ma także za-
łzawione oczy.

Nie zważając na obecność dziewczyny, Flynn mówił dalej cicho i wyraźnie.

– Tak, ale oni mają rocznie około sześciu tysięcy wypadków do rozwikła-
nia, tych właśnie, z którymi zgłaszają się prywatni, pojedynczy ludzie...

– Zgoda. Jednak nie przyjmują trzech kategorii spraw: związanych z roz-
wodami, polityką i szpiegostwem. – Uśmiechnąłem się. – Podobnie jak ja. Wo-
lę polegać na doświadczeniu starego Burnsa; on wie, czego należy unikać.

– Robią odstępstwa, panie Wynn, na pewno robią odstępstwa. Kiedy przy-
jeżdża do Stanów Zjednoczonych jakaś wybitna osobistość, władze zwracają
się do Burnsa o ochronę tych osobistości, i Burns przyjmuje takie zlecenia.
Wróćmy do sprawy! Ponieważ zatrudniają znakomitych fachowców, ponieważ
pan odmówił swego udziału w tej historii, ponieważ liczyłem na moje wpływy
i stanowisko, zaprosiłem do siebie przedstawiciela Burnsa i zrelacjonowałem
mu szczegółowo całą sprawę Galindeza i mojej córki. Wyzaczyłem olbrzymie
honorarium i obiecałem poparcie Komisji do Spraw Ameryki Łacińskiej.

Mamy diabło naiwnych kongresmanów, pomyślałem. Czy wszyscy są tacy
naiwni? Powiedziałem:

– A przedstawiciel Burnsa odparł: *Look, mister Flynn*. Jest nam bardzo
przykro, ale nie możemy się podjąć prowadzenia tej sprawy. *Sorry, mister
Flynn*, niestety, agencja Williama J. Burnsa nie załatwia takich spraw. Poleca-
my natomiast nasze usługi w każdej innej.

Flynn nie był zaskoczony moją przenikliwością. Opowiadał dalej:

– Tak było. Wtedy powiedziałem, że gdyby oni podjęli się rozsąpnięcia
sprawy zniknięcia mojej córki, wówczas uzyskałbym dla nich aprobatę kontr-
wywiadu.

Znowu odegrałem rolę przedstawiciela agencji Burnsa. Założyłem prawy
kciuk za brzeg kamizelki na wysokości piersi i włożyłem cygaro do ust.

– *Just a moment, mister Flynn*. Nie traćmy czasu. Jeżeli nasza agencja

ma rocznie sześć tysięcy spraw do rozszyfrowania, to znaczy, że na jeden dzień, licząc z grubsza trzysta dni pracy w roku, przypada dwadzieścia spraw. Te dwadzieścia spraw czeka na mnie w biurze, mister Flynn. *Time is money*. Niech pan z pełnym zaufaniem pozostawi sprawę w rękach policji i wywiadu. *Sorry, mister Flynn!*

– I w tej samej chwili – mówiłem dalej – agent Burnsa sięgnął po kapelusz leżący pod krzesłem i wstał. Zgadza się, panie senatorze?

Flynn skinął głową.

– W przybliżeniu. Więc pan wie, jak oni się zachowują, nawet wobec mnie.

– Grzecznie, ale stanowczo. Byłem kiedyś jednym z nich. I zachowywałem się tak samo.

Byłem jednym z nich przez cały rok i musiałem odejść, kiedy opublikowano materiały z mojej eskapady do Włoch, z tego nieudanego pościgu za Eriką Stumpf. Imponowała mi organizacja Burnsa i doskonałe przygotowanie jego ludzi, którzy w razie potrzeby grali bezbłędnie role gońców, sprzątaczek, wóznych, ulicznych sprzedawców i konduktorów w międzynarodowych wagonach sypialnych, marynarzy na prywatnych jachtach i na transatlantykach. Umieli poprowadzić autobus i lokomotywę, samolot i skuter, motorówkę i dreżynę, wygłosić na uniwersytecie odczyt o elektronice lub teorii kwantów. Na bankietach i oficjalnych przyjęciach detektywi Burnsa, chroniąc znakomite osobistości i słynne kolekcje biżuterii, zjawiali się anonimowo jako jedni z wielu zaproszonych gości, w doskonale skrojonych smokingach, rozmawiając, jeśli ich ktoś zagadnął, z bezbłędnym akcentem w języku francuskim, niemieckim czy włoskim i brali udział w dyskusji na temat Joyce'a, Ezry Pounda, Salvadora Dali i Sartre'a.

Powiedziałem do Flynna:

– Jedyne, co mogłoby się ewentualnie przydać w tej sprawie, to dostęp do ich kartoteki. Zarejestrowali prawie sto pięćdziesiąt tysięcy osobistości ze świata przestępców, bandytów, fałszerzy, oszustów i typów podejmujących się mokrej roboty. Przypuszczam, że agenci Dominikany, działając na obcym

terenie, muszą niekiedy szukać pomocy w miejscowym podziemiu. Ale – proszę mi wybaczyć – i w tym wypadku nie na wiele się przyda pańska osobista interwencja. Bardziej skuteczne byłyby natomiast moje prywatne znajomości z ludźmi Burnsa. Wie pan jednak, że moja sytuacja...

– Wiem – rzucił niecierpliwie Flynn. – Wiem, co chce pan powiedzieć, wiem! Słyszałem już, że Beesley ostrzegał pana.. Jednak Beesley jest pionkiem. Mógłbym się porozumieć z ludźmi, od których Beesley jest zależny...

– Właśnie ci ludzie udzielili mu odpowiednich instrukcji. Panie Flynn, mam prośbę i zarazem dobrą radę: zostawmy to lepiej w ich rękach.

– Będę się starał w Waszyngtonie, żeby panu pozwolono zająć się sprawą mojej córki. Potrzebna mi jest tylko pańska zgoda. Dam panu tyle, ile oferowałem agencji Burnsa, i otworzę panu konto dla wszelkich związanych z tą sprawą wydatków, których nie mam zamiaru kontrolować. Po raz pierwszy w życiu nie interesują mnie pieniądze.

Wstałem.

– Niestety, proszę mi wybaczyć.

Flynn również wstał.

– Więc pan odmawia? – powiedział przestraszony, bezradny, zawiedziony w tej ostatniej nadziei. – Odmawia pan ojcu Loretty?

Nagle zwrócił głowę w kierunku okna i wsłuchiwał się przez chwilę w pisk hamulców samochodu, który skręcał na lewo, w przecznicę wzdłuż prawej ściany jego willi. W czasie naszej rozmowy kilka razy tak samo reagował na podobne odgłosy.

Tknęło mnie złowrogie przeczucie.

– Czy pan wyjeżdżał od wczoraj? – zapytałem. – Od chwili, kiedy dowiedział się pan o zniknięciu córki? Nie, nawet wcześniej: od chwili wyjścia Loretty z domu?

– Nigdzie nie wyjeżdżałem. Czekałem na nią całą noc. Z przedstawicielem agencji Burnsa rozmawiałem tutaj, w moim gabinecie, tak jak z panem. Czy to ma jakieś znaczenie? Błagam pana.

– Wolałbym, żeby nie miało...

– Niech pan mówi jaśniej! – prawie krzyknął.

Dobiegł nas nieco bliższy niż poprzednio zgrzyt hamulców i odgłos piskliwego poślizgu opon. Jakiś wóz zatrzymał się pod bramą wiodącą do ogrodu willi Flynna. Ni stąd ni zowąd zapytałem:

– Może to Loretta?

Flynn nawet nie podszedł do okna. Usiadł i sięgnął po cygaro wsparte o brzeg srebrnej popielniczki obitej z zewnątrz bawołą skórą.

Rozległ się dzwonek, ktoś czekał na otwarcie bramy wjazdowej.

– Dlaczego pan zapytał o Lorette? Wierzy pan, że może niespodzianie wrócić? Naprawdę pan tak przypuszcza? Tak? Błagam pana!

– Myślałem właśnie o niej i może dlatego...

Potrząsnął głową, skurczył się w fotelu.

– Nie, to nie była Loretta. Chyba przyjechał major Beesley... Córka jeździ ostatnio imperialem i wiem, jak zatrzymuje wóz przed domem. Nigdy nie hamuje tak ostro... Słyszał pan pisk opon? Wiem, jak to jest, kiedy wraca córka. Zawsze czekałem na nią, kiedy wracała później niż zwykle, i nasłuchiwałem, jak podjeżdża pod garaż. To nie Loretta.

17.

Nie przelatywali nad Great Inagua; ominęli wyspę, mając po lewej stronie Little Inagua, a po prawej Mayaguanę. Pod nimi była cieśnina Caicos. De la Maza orientował się, które terytoria należy omijać. Przed nimi leżała niewidoczna jeszcze Española.

Trzeba jednak powiedzieć temu Dominikańczykowi, że znałem Thoena, pomyślał Murphy, albo że słyszałem o nim, bo Octavio i tak wie, że znałem Thoena, i nie ma co ukrywać. Oni bardzo dużo wiedzą. Skąd oni tyle wiedzą? Octavio musi mieć do mnie zaufanie; gdyby nie wiedział, że coś słyszałem o Thoenie, po co by mówił o tym udanym nieszczęśliwym wypadku?

– Wie pan – odezwał się Murphy – coś sobie przypominam. Oswald

Thoen. Nie widziałem go nigdy na oczy, ale chyba słyszałem o tym gościu. Przeciętny facet. Niewyraźny jakiś.

– Dlatego tylko powiedziałem o katastrofie na autostradzie, bo myślałem, że pana zainteresuje.

– Właśnie Marta mówiła o nim, od niej słyszałem to nazwisko, ale zapomniałem.

– Co mówiła? Pamięta pan?

– No, jak byliśmy nad Ontario, Thoen miał po nią przyjechać i odwiedzić ją do Utica. Kiedy przyjechał, Marta przyszła się pożegnać, ale tego Thoena wcale mi nie przedstawiła. Co mnie może obchodzić jakiś Thoen?

– Pewnie. I co potem?

– I nic. Pojechali. On ją odwoził do Utica.

– Czy Marta mówiła mu coś o panu? Co?

– Nie wiem co. Skąd mogę wiedzieć, czy ona coś mówiła, jeżeli pojechali do Utica, a ja wróciłem do Nowego Jorku?

– Pewne, że nie może pan wiedzieć. Człowiek zadaje czasem głupie pytania.

– A pan coś wie?

– Kiedy nasz człowiek pojechał do New Fair Haven, żeby w tym pensjonacie popytać o pana, zobaczył tam kilka telegramów i listów od Marty. Były także telefony, dzwoniła do pana. Marta szukała pana i chyba musiała coś powiedzieć temu Thoenowi, żeby on pana także szukał. Były takie miejsca w Nowym Jorku, gdzie Thoen rozbijał się za panem. Pytał i pytał, jakby mu za to płacili w złocie.

– Chyba Marta mu kazała. Bo ja miałem jej dość, wie pan, właśnie przez tego Thoena. Ona z nim kombinowała. A jemu chyba zależało na niej, to była pierwszorzędna dziewczyna i znalazłby pan całą stertę facetów, którym mogło na niej zależeć. Na pewno Marta kazała, żeby mnie szukał i przywiózł do niej.

– Naszym ludziom nie podobało się takie szukanie. On ich trochę denerwował, ten Thoen.

– Ale to przeze mnie. Chciał coś zrobić dla Marty.

– Może przez pana, a może przez coś innego. Kto to wie? Nikt nie wie.

– Głowę bym dał, że przeze mnie. Marcie zależało, żeby on mnie znalazł. Dogodziłem jej, pan wie.

Murphy zaśmiał się.

– Nigdy, nic nie wiadomo, Murphy. Już po rozmowie, kiedy nasz człowiek dogadał się z panem co do tego chorego, żeby go przewieźć wynajętym samolotem, Thoen także para szukał. Diabli wiedzą skąd, ale on orientował się, że pan jedzie do Linden. Czym pan jechał?

– Wziąłem taksówkę. Może kierowca taksówki powiedział Thoenowi, bo nikt więcej nie słyszał ode mnie, że jadę do Linden. Ale nawet taksówkarz nie wiedział, po co tam jadę. Nie spowiadałem się taksówkarzom.

– I miał paskudnego pecha Oswald Thoen, że znalazł kierowcę tej taksówki. Nim dojechał na lotnisko, żeby się tam popytać o pana, wpadła na niego meblowa ciężarówka. Niektórzy ludzie mają naprawdę paskudnego pecha.

– Panie de la Maza, czy listy i telegramy od Marty zostały w New Fair Haven?

– Potrzebne panu te śmiecie?

– Nie. Wyrzucam listy od kobiet.

– Słusznie, panie Murphy. Kazaliśmy to wyrzucić. Takich kawałków nie wlecze się za sobą. Nie warto, mówię to panu z własnego doświadczenia.

– I ja tak myślę. Ale pan chyba ma dziewczynę albo żonę, coś pan mówił o jakiejś dziewczynie.

– Dziewięćdziesiąt procent zdolnych gości wpada przez kobiety. Nie będzie pan pisać do Marty?

– Nie. W ogóle nie lubię pisać listów. Nawet nie odpisuję.

Pomyślał: teraz ją dopiero rąbnęło. Nie ma już ani Oswalda, ani mnie, i będzie musiała kogoś innego poszukać. Sprzątnęli Thoena, bo wpadł na mój trop. Może to był także zdolny gość, ten Oswald Thoen, ale Octavio mówi, że dziewięćdziesiąt procent zdolnych gości wpada przez kobiety... Jezu, co za dziewczyna, można objechać pół świata, i ciągle człowiek będzie myśleć o takiej jak Marta. Także była bardzo zdolna.

– Ja tam nie żałuję tego Thoena – powiedział Murphy. – Niewyraźny facet.

– Pewnie – powiedział Octavio. – W czterdziestu ośmiu stanach Ameryki ginie rocznie na autostradach czterdzieści tysięcy osób albo i więcej, a przeciętna to sto dwadzieścia trupów na dzień, tych z wypadków samochodowych, może i więcej. I dlaczego z tych czterdziestu tysięcy miałby pan żałować właśnie jakiegoś Thoena? To byłoby śmieszne. Co, panie Murphy?

– Nie ma potrzeby – potwierdził Murphy. – Kto wie, może nawet dobrze się stało z tą ciężarówką. Bóg czasem wie, co robi. Nikt nie powinien wiedzieć, że brałem samolot w Linden.

– Czy pytali na lotnisku, dokąd pan leci?

– Powiedziałem, że do Chattanooga, Tennessee.

Po chwili de la Maza:

– Niech pan zboczy teraz na południe i ominie wyspę Caicos, tam jest baza wojskowa. Później nie będziemy mieli takich przeszkód. Słyszał pan?

– Myśli pan – zapytał Murphy – że temu na noszach dobrze jest w bagażniku?

– Niech się pan o niego nie martwi. Jest tyle milionów nieszczęśliwych ludzi, a pan martwi się o tego jednego.

– Może się zbudził?

– Niech pan o tym nie myśli.

– Zdawało mi się, że tam coś stuka.

– Niech stuka, panie Murphy.

18.

To nie był wóz Loretty – powtórzył Flynn. Mogła z domu nie wyjechać, pomyślałem, mogła w ogóle nie wyjechać, chyba nie porwali jej z zatłoczonego hallu „Montany”, ani nie zatrzymali wozu, kiedy tam jechała, musieli zrobić to – co? Co musieli zrobić? – gdzieś w pobliżu, w ogrodzie, pod bramą, musieli to zrobić, nim wsiadła do wozu.

– Proszę pana – zapytałem – czy ktoś słyszał, jak córka wyjeżdżała z domu?

– Wczoraj, po tym telefonie?

– Wczoraj, wczoraj.

Był zaskoczony moim pytaniem, drżały mu ręce.

– Zaraz, niech pan pozwoli... Siedziałem wtedy w gabinecie i Loretta tu weszła, żeby powiedzieć dokąd idzie, i że to pan polecił...

Uczyniłem niecierpliwy gest dłonią.

– Wóz trzyma w garażu?

Flynn był wystraszony.

– Tak, garaż jest... Wjazd do garażu jest tuż pod oknem mojego gabinetu... Z wnętrza domu zjeżdża się do garażu specjalną windą. Przypominam sobie, no tak! Słyszałem, jak winda zjeżdżała, bo radio było włączone, a kiedy winda działa, odbiór jest zakłócony, słychać trzaski... Dyktowali właśnie notowania giełdy i ja...

– No więc zjeżdżała windą. Co dalej?

– Nie mogę sobie uprzytomnić... Zaraz... Nie pamiętam, czy słyszałem warkot silnika... Dyktowali właśnie notowania giełdy, i ja...

Ktoś zapukał. Flynn włączył automat rozsuwający drzwi. Uchyliły się bezszelestnie.

Wszedł major Beesley, z nim dwóch ludzi w cywilnych ubraniach, o twarzach zmęczonych i smutnych.

– Halo, Mike. Znalazłeś coś? – zapytał. I zwrócił się do Flynna: – Skąd ten alarm? Co się stało?

– Tak, Frank – powiedziałem – chyba znalazłem to, co trzeba było znaleźć. Flynn spojrzał na mnie z niepokojem i niedowierzaniem.

– O czym pan myśli, panie Wynn?

– Gdzie, co? – zapytał Beesley.

Jeden z cywilnych agentów gapił się przez okno, drugi obojętnie wpatrywał się w zawieszony na ścianie obraz Diega de Rivery.

Zwróciłem się do Flynna:

– Gdzie jest winda, ta do garażu?

– Chce pan zobaczyć garaż?

– Nie traćmy czasu, niech pan prowadzi. Frank, chodź ze mną. Niech pan prowadzi – powiedziałem do skamieniałego z przejęcia Flynna. Chyba już domyślał się, dlaczego chciałem zjechać do garażu. Bo jeżeli imperial w ogóle nie wyjeżdżał...

Przed wejściem do windy poprosiłem Flynna, by zaczekał na górze. Chciałem zjechać na dół z Beesleyem i jednym z tych facetów w cywilu, z którymi Frank przyjechał.

– Jak otwiera się garaż od frontu, kiedy chce się wyjechać z wnętrza? – zapytałem Flynna.

Wydało się, że Flynn nie słyszy mnie lub nie wie, o co chodzi. Musiałem powtórzyć pytanie. Odpowiedział:

– Kiedy przednie koła wozu naciskają na ruchomą płaszczyznę podłogi przed drzwiami, wówczas te drzwi rozsuwają się automatycznie, na pół minuty. Później, kiedy już wóz wyjedzie, same się zasuwiają.

– A jeżeli ktoś chce wjechać od strony ulicy?

– Dźwięk klaksonu jest zsynchronizowany z elektrofonicznym urządzeniem, automatem umieszczonym w mikrofonie przy drzwiach garażu. Po naciśnięciu klaksonu przy moim wozie albo wozie córki, bo nasze klaksony mają ten sam dźwięk, drzwi otwierają się i wóz wjeżdża do środka.

– Otwierają się także na pół minuty?

– Na pół minuty. Ale czy pan przypuszcza... czy to możliwe... Błagam pana.

– Nic nie przypuszczam. Czy jest jakiś inny sposób otwierania drzwi garażu z zewnątrz?

– Kluczem od elektromagnetycznego zamka. Ale wtedy trzeba samemu rozsuwać drzwi.

– Łatwo chodzą?

– Bardzo, wystarczy lekko pchnąć. Nawet dziecko potrafi je rozsunąć.

Beesley był nie mniej zaskoczony niż Flynn, ale nic nie mówił; wiedział, że nie lubię pytać na próżno i bez przyczyny.

Weszliśmy do windy. Była dość obszerna, zmieściłoby się w niej co najmniej pięć osób. Nim zamknąłem drzwiczki, zapytałem Flynną stojącego na korytarzu:

– Jak zapala się światło na dole?

– Są dwa kontakty, przy wejściu do garażu i przy wyjściu z windy. Ale kiedy winda zatrzymuje się na dole, światło włącza się automatycznie. Tak samo przy wjeździe wozu do środka.

Zjechaliśmy na dół. Światło nie włączyło się automatycznie. Otaczała nas ciemność.

Poszukałem dłonią kontaktu, znalazłem. Naciskałem kilkakrotnie wypukły guzik, jednak wciąż otaczała nas ciemność. Dobrze, że Flynną tu nie ma.

- To było do przewidzenia – powiedziałem. – Masz latarkę?
- Ned ma latarkę – odparł Beesley. – Ned – zwrócił się do agenta w cywilnym ubraniu – poświęć nam trochę! Zrób coś nareszcie dla dobra Stanów Zjednoczonych.

Jaskrawa plama światła przesuwiała się powoli po murach i kątach garażu, metr po metrze. Zatrzymała się na sportowym mercedesie, później na limuzynie ford, którą zapewne jeździł Flynn, wreszcie na imperialu Loretty.

Podeszliśmy bliżej, obejrzelśmy wnętrza wszystkich trzech wozów, obszukaniliśmy miejsca pod wozami, zajrzeliśmy do kanału używanego przy przeglądzie podwozia.

Zauważyłem, że imperial stoi tuż przed elastycznym pasmem podłogi biegnącym wzdłuż rozsuwanych drzwi garażu. Pomyślałem, że można pchnąć przednie koła wozu na to ruchome pasmo o półmetrowej szerokości i wyjść przed rozsuwające się drzwi. Później można pchnąć wóz do tyłu, tak by przednie koła zjechały poza ten pas, i wyjść z garażu. To była łatwa sztuczka, ponieważ drzwi rozsuwały się na pół minuty.

– Frank – powiedziałem – jeżeli imperial jest w garażu, to znaczy, że Loretta w ogóle nie wyjeżdżała z domu.

– Mogła pójść piechotą albo wziąć takse.

– Nie, Frank, Loretta zjechała windą do garażu. Stary, tuż po pożegnaniu z nią, słyszał, jak zjeżdżała w dół.

– Winda chodzi bezszelestnie. Nie mógł słyszeć, jak zjeżdżała w dół. Powiedział ci, że słyszał?

– Winda w ruchu zakłóca odbiór, w radio były charakterystyczne trzaski. Stary słuchał wtedy notowań giełdy. Można dokładnie sprawdzić czas.

– Więc trzeba przeszukać cały dom. Mike, czy pomyślałeś, że winda była na górze? Kiedy wsiadaliśmy do windy, była na górze.

Po diabła wjeżdżać na górę – pomyślałem – kiedy można wyjść na ulicę? Mordercy oddalają się od miejsca zbrodni, zwłaszcza zawodowi mordercy.

Zbliżyłem się do windy i nacisnąłem małą dźwignię. Klatka natychmiast wzniosła się w górę.

– Jak widzisz – powiedziałem do Beesleya – to bardzo łatwa sztuczka,

żeby windę posłać na górę. Nie trzeba się zaharować na śmierć, żeby ją tam posłać.

Usłyszeliśmy szelest. Winda opadała w dół. Wewnątrz stał wystraszony Flynn; stał tam nieruchomo nawet wtedy, kiedy winda zatrzymała się już na dole.

– Posłaliście mi windę? – zapytał. – Co tu się dzieje?

Agent Beesleya stał w kącie garażu i oświetlał jeszcze przez chwilę twarz Flynna, nim skierował promień na dużą skrzynię z piaskiem przeciwpożarowym; byliśmy oddaleni od niej o osiem kroków. Ned podniósł umocowane ukośnie wieko i oświetlił wnętrze skrzyni. Czekaliśmy, co powie.

Nic nie mówił; patrzył tak samo obojętnie i bez ruchu, jak przed chwilą przez okno.

Skierował światło na nas: na mnie, na Beesleya i na Flynna wciąż jeszcze stojącego nieruchomo w klatce windy, jak mumia. Wreszcie odezwał się, po raz pierwszy od chwili, gdy wszedł do tego domu.

– Boss.

– Co tam znalazłeś, Ned? – Boss przyjdzie.

– Znalazłeś coś, Ned? – powtórzył Beesley.

– Boss przyjdzie.

Żaden z nas nie poruszył się.

– Nie możesz powiedzieć, Ned? – zapytał Beesley.

Boss sam zobaczy.

– Chodź, Mike – powiedział Frank.

Beesley powoli szedł w kierunku skrzyni. Ned prowadził go światłem latarki i był chyba zniecierpliwiony, że Beesley idzie tak bardzo powoli.

Stałem w miejscu, nie zbliżyłem się ani o krok.

Wiedziałem, co Ned znalazł w skrzyni z piaskiem.

19.

De la Maza spojrział na zegary kontrolne i sięgnął po mapę.

– Murphy, proszę poprawić na północny wschód i kierować się na

Montecristi – wskazał miejscowość na lotniczej mapie – i później niech pan leci wzdłuż wybrzeża, na Puerto Plata.

- Lądujemy w Republice Dominikańskiej?
- W Republice.

A więc w Republice Dominikańskiej – pomyślał Murphy – w kraju, o którym krążyły najdziwniejsze wieści. Zaczął szukać w pamięci wiadomości zdobytych na kursie geografii. Pamiętał, że Hispaniola to druga co do wielkości wyspa w grupie Wielkich Antyli, oddzielona od Porto Rico cieśniną Mona, od Kuby cieśniną Windward. Z zachodu na wschód biegną przez wyspę cztery pasma górskie oddzielone równinami: Sierra de Monte Christi, Cordillera de Cibao, Lona Barranca i Sierra de Borohuca...

- Zaskoczyło to pana? – zapytał de la Maza.
- Nic mnie nie obchodzi, dokąd mam lecieć. Martwiłbym się tylko, gdyby pan powiedział, że do Lizbony, bo nie starczyłoby benzyny.

Co jeszcze pamięta? Tak, są dwa wielkie jeziora na Haiti: Lago de Enriquillo i Lac Saumatre. Klimat? To także pamięta: wilgotny, gorący, niezdrowy. Żółta febra. W porze deszczowej na równiny spadają strugi wody. Na tych gorących i błotnistych nieckach rośnie bujna podzwrotnikowa roślinność, są tam olbrzymie plantacje cukrowe. Na wyżynach tytoń i jarzyny, a w okolicach górzystych, między kaktusowymi gajami, rosną olbrzymie akacje i rozciągają się plantacje bawełny.

Chyba to wszystko, co wie. Nie, pamięta więcej. Obszar Republiki Dominikańskiej? Około pięćdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych, dokładnie nie może sobie przypomnieć. Żyją tam potomkowie konkwistadorów hiszpańskich, pierwotna ludność indiańska, sprowadzeni niegdyś Murzyni, Kreole, Syryjczycy, Turcy i trochę przybyszów z Europy Środkowej. Generalissimus Trujillo, nędza i przepych, skrytobójcze mordy, armia szpicli i strach...

Ogarnął go dreszcz emocji.

Jezu, niech diabli wezmą wszystkie dziwki w Stanach! – myślał Murphy. – Tam sobie trochę posiedzę, w tej przeklętej Dominikanie, i poderwę jakąś czekoladową lalkę; nikt mi tego nie zabroni, nie obchodzą mnie ich parszywe sprawy polityczne... Coś się chyba zmieni, może zacznie się wielka przygoda?

W Stanach umierałem, z nudów, a tutaj może coś się zacznie. Jezu, to życiowa szansa, niech skonam, jeżeli jest inaczej!

Zwrócił się do Octavia.

- Jak tam jest z lotniskiem w Puerto Plata?
- Nie lądujemy w Puerto Plata. Znad Puerto Plata lecimy na południe, do Ciudad Trujillo. Siedemdziesiąty południk. Pan wie, to stolica Republiki.
- Santo Domingo.
- Tak było kiedyś, przed erą Trujillo. Teraz nazywa się Ciudad Trujillo.
- Nic do tego nie mam, panie de la Maza, ale u nas na kursie to się nie podobają chłopcom, ta nowa nazwa stolicy.
- Dobry kawał. Co mają do tego chłopcy z kursu?
- Santo Domingo jest najstarszym miastem obu Ameryk, pan wie, że założył je brat Krzysztofa Kolumba, Bartolomeusz. I to jest ważne nie tylko dla Republiki Dominikańskiej, ale dla Ameryki Północnej i Południowej.

De la Maza sprawdzał kurs na mapie. Mruknął, nie odrywając od niej oczu:

- Rząd tak uchwalił, a to znaczy, że jest w porządku. Jeżeli każdy typ ze Stanów miałby do powiedzenia, co w Dominikanie jest w porządku, a co nie jest, to po co nam rząd w Republice? Niech pan sam powie, Murphy, czy nie mam racji?
- Jeżeli rząd uchwalił – odparł pojednawczo Murphy – to chyba jest w porządku... W Ciudad Trujillo macie grób Krzysztofa Kolumba, co?
- Jest grób Krzysztofa Kolumba. Ale Hiszpanie mówią, że u nich jest jego grób. Łżą jak psy.
- No pewnie – powiedział obojętnie Murphy – nie może być dwóch grobów jednego faceta. Jeszcze nie widziałem gościa, który leżałby w dwóch grobach.
- Ale jeden wścibski Jankes upiera się, że są dwa groby Kolumba. Profesor chirurgii z uniwersytetu Yale, Charles Goff, słyszał pan o nim? Wie pan, Murphy, ja się tym specjalnie interesowałem, takie moje hobby. Mój znajomy, kapitan Miguel Angelo Paulino, był przy otwarciu grobu Kolumba w podziemiach naszej katedry, bo ambasador USA wystarał się temu profesorowi z

Yale o takie pozwolenie. Ktoś musiał pilnować, jak otwierali grób.

– Ten kapitan Paulino jest z policji?

– Tak. Nie orientuję się, czy pan zna tę historię, można umrzeć ze śmiechu. Uczni kłócą się o dwie rzeczy: kiedy urodził się Kolumb, i wymieniają daty między 1430 a 1456, i gdzie jest jego grób. Jedni mówią, że w Sewilli, gdzie go pochowano w 1506 roku, w klasztorze Las Cuevas.

– Mnie się wydaje, panie de la Maza, że chyba umarł w Hiszpanii. Ale tam wylał wtedy Gwadalkiwir i zatopił podziemną kryptę, w której był grób Kolumba.

– Zgadamy się – mówił de la Maza tonem eksperta – że umarł w Hiszpanii, w miasteczku Valladolid. Jednak siostrzenica Kolumba, Doña Maria de Toledo, wykupiła od mnichów w Sewilli szczątki Kolumba. To było w 1544 roku, ale na kilka tygodni przed powodzią, o której pan wspominał. Właśnie w tym roku wylał Gwadalkiwir, tak napisano w starych kronikach.

– Słyszałem, panie de la Maza, że Marii de Toledo nie udało się wykupić zwłok Kolumba, za żadne pieniądze. Mnisi z klasztoru powiedzieli, że szkoda gadać.

– Niech pan w to nie wierzy, Murphy, taką bujną mogą wymyślić tylko Hiszpanie. Znałem kilku, to byli łgarze nie z tej ziemi. Doña Toledo wykupiła trumnę z Las Cuevas i wywiozła ją na Haiti, bo tutaj mieszkała. I właśnie tu kości Kolumba spoczywały sobie spokojnie aż do 1796 roku. Potem wywieźli je na Kubę, a po stu latach przewieźli znowu do katedry w Ciudad Trujillo.

– Jeszcze wtedy nie było Ciudad Trujillo, no nie, tylko Santo Domingo. Brat Kolumba tak nazwał to miasto, bo założył je w niedzielę... Zaraz, niech pan da powiedzieć! Już sobie przypominam, że wtedy mieszkali tutaj Indianie z plemienia Tainos Arawakos, a całą wyspę Kolumb nazwał La Española.

Octavio de la Maza zniecierpliwił się.

– Panie Murphy, historię Dominikany mam w małym palcu! W telewizji wygrałem kiedyś tysiąc dolarów w konkursie na historię Republiki. To jest mój konik i niech pan nie opowiada, co było i jak, tylko słucha.

– Dobra, czemu pan się denerwuje? Coś niecoś człowiek widział i słyszał.
– Nie ma się o co kłócić. Jak przylecimy do Trujillo, pokażę panu grób Kolumba, dlatego chciałbym, żeby pan wiedział, o co chodzi.

– A co z tym profesorem z Yale? Zaczął pan mówić, że ambasador się wy-
starał...

– Właśnie. Ten wścibski Charles Goff otworzył grób Kolumba i mierzył wszystkie kosteczki, które tam znalazł. Każdą, nawet najmniejszą, fotografował po kilka razy. Potem ogłosił, że znalazł tam część szkieletu, który należał do mężczyzny w wieku pięćdziesięciu – sześćdziesięciu lat, zmarłego na wadę serca czy na tle reumatyzmu stawów. Miał metr i siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, silną muskulaturę i mocny kościec.

– I udowodnił, że to szkielet Kolumba?

– Udowodnił, panie Murphy, i nikt o to nie ma pretensji. Na dnie trumny Goff znalazł małą, spłaszczoną kulę ołowianą, a z historii wiemy, że Kolumba ktoś postrzelił z pistoletu przed jego wyprawą morską i że tej kuli z ciała nie wyjęto, bo później Kolumb miał często kłopoty ze zdrowiem. Wie pan, ucho-
wał się taki list z jego podróży morskiej, z datą 7 czerwca 1503, i tam Kolumb pisał: „Morze było tak burzliwe, że moja rana otworzyła się na nowo”. I co pan na to?

– Wszystko jest w pierwszorzędym porządku, panie de la Maza. Nie rozumie tylko, dlaczego pan się przyczepia do tego chirurga.

– Zaraz, będzie i o tym. Goff zamknął grób, wziął swoje pomiary i fotografie i poleciał z tym do Hiszpanii. Miał sto tysięcy kłopotów, żeby dostać się do tamtejszego grobu Kolumba, ale wreszcie mu się udało; to jeden z tych, co wiedzą, z kim trzeba pogadać i jak. Otworzył grób w klasztorze Las Cuevas, mierzył kosteczki, ważył i fotografował. Na razie nic nikomu nie powiedział, może się bał o własną skórę, jak u nas, i wrócił do Yale. Dopiero wtedy ogłosił swoją rewelację, że nawet najdrobniejsze kosteczki znalezione w Sewilli uzupełniają bez reszty braki w tym szkielecie, który zbadał w naszej katedrze. Rozumie pan, Murphy: u nas grób Kolumba z niekompletnym szkieletem, a reszta kości w Sewilli.

– No, wie pan chyba, jak jest w życiu – powiedział Murphy. – Mogło być i tak, że mnisi z klasztoru sprzedali za dobre pieniądze szkielet Kolumba, ale zostawili trochę kości w starej trumnie, na wypadek, gdyby król się wtrącił. Mogli za to wisieć, nie? Ale jak mieli trochę kości, zawsze mogli się wytłumaczyć, że grób Kolumba zniszczyła rzeka w czasie tej wielkiej powodzi, a oni z narażeniem życia ocalili resztę kości.

Octavio był zirytowany.

– I po cholere tłumaczę panu przez pół godziny? Żeby pan powtarzał te same bujdy? Sam pan mówił, że nie może być dwóch grobów jednego faceta.

– No a te fotografie i pomiary Goffa? I że kosteczki pasują? To jest jakiś dowód, nie?

– *La mierda* – zaklął Octavio. – Nie zna pan życia. Jak się chce, można zmontować fotografię zabitego faceta w odrzutowcu model 1960, i to faceta, który nie żyje od pięciu lat. – I dorzucił lekceważąco: – Co pan tam wie o fotografiach! Już fotografowałem rzeczy, których w ogóle nie ma.

Po chwili, chcąc udobruchać de la Maze, Murphy wydobył z kieszeni płaską butelkę koniaku.

– Łyknie pan? – zapytał.

Octavio bez słowa przyjął butelkę, przelał trochę do złożonej nakrętki i zwrócił koniak Murphy'emu; ten przytknął szyjkę do ust.

– Murphy – odezwał się Octavio, wycierając o spodnie palce zwilżone koniakiem – Murphy, kiedy pan będzie u nas, niech pan za dużo nie gada. Nie lubimy gości, którzy się pchają w nie swoje sprawy, jak ci chłopcy z kursu, o których pan mówił. I jak ten wścibski mędek z Yale, Goff. Nie lubimy takich, co mają gęby dwa razy większe niż powinni mieć.

Murphy skinął kilkakrotnie głową.

– Mógłbym u was trochę zostać? – zapytał. – W Ciudad Trujillo?

– Kiedy wysadzimy naszego pacjenta, to pogadamy. Niech pan się o nic nie martwi, panie Murphy. Takich jak pan lubimy.

Kiedy Murphy spojrział mu w twarz, Octavio mrugnął porozumiewawczo; Murphy odpowiedział przymrużeniem oka i uśmiechnął się niepewnie.

Jezu, dlaczego on mruga? – pomyślał. Czemu od razu nie powie, o co chodzi? Nie trzeba było tyle gadać o Kolumbie, ale niech mi stery nawalą, jeżeli ten Goff nie jest mądrzejszy od cwaniaków z Dominikany.

20.

Ekipa śledcza nie znalazła śladów, które mogłyby naprowadzić na trop mordercy. Zbadano zamek elektromagnetyczny w drzwiach garażu. Jego wewnętrzne ścianki były pokryte kurzem, nie używano go bowiem od kilku lat. Na zwartej powłoce pyłu odkryto zadrapania pozostawione przez stalowy drucik, którym morderca otworzył drzwi. To wyjaśniło wszystko, prawie wszystko...

Więc: ktoś orientował się, że Loretta skontaktowała się ze mną, że nawet u mnie była. Śledzono ją zapewne. Ktoś domyślał się lub wiedział – ale skąd? od kogo? – lub tylko przewidział, że Loretta umówiła się ze mną w sprawie następnego spotkania, że miałem do niej dzwonić. I wtedy sam zatelefonował, występując w roli mojego przyjaciela, którego rzekomo prosiłem o wyznaczenie pannie Flynn spotkania w „Montanie”.

Albo: ten ktoś „zagrał w ciemno” i nic nie wiedząc o jej telefonie i moim, późniejszym, licząc tylko na to, że istnieje prawdopodobieństwo naszego ponownego spotkania, zadzwonił do niej i powiedział w moim imieniu, żeby natychmiast przysłała do „Montany”. Taka wersja – zgodził się z tym major Beesley – była najbardziej prawdopodobna.

W tym czasie ktoś inny, oczywiście jego wspólnik, wśliznął się do garażu otwierając drzwi specjalnym wytrychem. Tam czekał na Loretę, wiedząc już o tym, że ona przyjdzie po wóz. Wyłączył automat zapalający światło po opadnięciu windy i czekał na Loretę, która rzekomo na moje zlecenie miała przynieść do „Montany” maszynopis olbrzymiej pracy doktora Galindeza *Era Trujillo*.

Loretta zjechała do garażu. Ponieważ światło się nie zapaliło, wyszła z windy, by przekreślić kontakt lub podnieść dźwignię uruchamiającą automat,

znajdującą się, jak stwierdziliśmy później, w metalowej skrzynce umieszczonej tuż pod wyłącznikiem. Może nawet nie wychodziła z windy, może przeraziła ją ciemność.

I wtedy dosięgła ją dłoń mordercy.

Morderca ukrył zwłoki dziewczyny w skrzyni z piaskiem. To było dobrze pomyślane.

Ponieważ drzwi garażu zatrasnął za sobą i ponieważ zamek elektromagnetyczny nie miał od wewnątrz otworu na klucz – o czym mógł wcześniej nie wiedzieć – pchnął po lekko pochyłej podłodze jeden ze stojących tam wozów. Był to imperial Loretty. Przednie koła nacisnęły na elastyczny pas podłogi, drzwi rozsunęły się automatycznie. Wtedy morderca stanął przed maską i tym razem pchnął wóz do tyłu, by zwolnić nacisk kół na automat. Wyszedł z garażu. Po piętnastu czy dwudziestu sekundach drzwi zasunęły się ponownie.

Wypróbowaliśmy dwukrotnie tę historię z przesuwaniem wozu. Beesley, ja i Ned. Wszystkie moje przypuszczenia sprawdziły się. Sposób, w jaki dokonano tej zbrodni, był oczywisty; nie mieliśmy co do tego wątpliwości. Nie mieliśmy też wątpliwości, kto to zrobił i na czyje zlecenie, jakkolwiek morderca nie był nam znany i nawet nie pomyśleliśmy, że kiedykolwiek go ujmiemy. Maszynopisu *Ery Trujillo* nie znaleźliśmy ani w garażu, ani gdzie indziej, tego maszynopisu, o którym Flynn powiedział, że był umieszczony w dwóch plastikowych zielonych teczkach.

Natomiast – fenomen najbardziej niepokojący – problematyczne było samo morderstwo. Loretta nie żyła, lecz nic nie wskazywało na to, że została zamordowana. Gdyby leżała nie w skrzyni, ale obok windy czy w samej windzie, można by pomyśleć, że zmarła na udar serca.

Po zrobieniu zdjęć przez ekipę śledczą wydobyto zwłoki Loretty ze skrzyni. Przeniesiono je do innego pomieszczenia i poddano najdokładniejszym oględzinom. Ale nie znaleziono żadnych śladów szamotania się, a tym bardziej walki z napastnikiem, żadnych sińców, plam, zadrapań, ukłuć... Im dokładniej badano jej ciało, tym bardziej stawała się czymś niepojętym przyczyna jej śmierci: Loretta była – co potwierdził jej lekarz domowy – zdrową dziewczyną, dobrze odżywioną, wysportowaną, wypiełgowaną, o doskonale

działających organach i gruczołach wewnętrznych.

W dzień później, po przeprowadzeniu sekcji zwłok, otrzymaliśmy wyniki ekspertyzy: wątpliwe ślady duszenia się, może zadławienia krtani, nikłe ślady nagłego skurczu czy też porażenia serca – bez wyraźnych przyczyn, bez objawów zatrucia, bez typowych zmian w organizmie, jakie pozostawiają znane medycynie trucizny.

– Może to była jakaś inna trucizna – zwrócił się do mnie Beesley – nie rejestrowana w medycynie sądowej, nie, znana toksykologom? Można założyć, że istnieje coś takiego, to przecież jest możliwe teoretycznie, ale wtedy...

– Wtedy – dokończyłem za niego – powstaje inny problem: w jaki sposób i jaką drogą wprowadzono truciznę do organizmu. Na ciele Loretty nie ma najmniejszego nawet ukłucia czy zadrażnienia. Chyba że zmusił ją ktoś do połknięcia tej trucizny... To chciałeś powiedzieć?

– Eksperci wykluczają taką możliwość – odparł Beesley. – Twierdzą, że w takim wypadku musiałyby pozostać jakieś ślady w przełyku, jelitach, żołądku, na błonach śluzowych, w zawartości moczu... Cudów nie ma, Mike. Loretta nie połknęła trucizny.

– A jednak ją otruto.

– Nie wiem.

– Uduszono ją?

– Może, ale w jaki sposób?

– Wciśnięto twarz w poduszkę?

– I ona ani drgnęła, czekała nieruchomo na śmierć? Nonsens. Wiesz, ile na to trzeba minut? I jak człowiek wtedy walczy? Rozpaczliwie.

– Ale chyba wierzysz, że ją zamordowano?

– Z jednej tylko przyczyny: widzieliśmy jej zwłoki.

– Czy tylko? – zapytałem. – Pomyśl, Frank: wyłączony automat zapalający światło po zatrzymaniu się windy w garażu; ostre, świeże ślady stalowego drutu we wnętrzu zakurzonego zamka elektromagnetycznego; wreszcie zwłoki Loretty ukryte w skrzyni z piaskiem. To trzy przesłanki, raczej fakty przemawiające za morderstwem. Dodaj do tego, że Loretta była śledzona, że ktoś w

moim imieniu zapraszał ją do „Montany” i wreszcie, że zażądano od niej, by wzięła z sobą pracę Galindeza, której nie znaleźliśmy przy niej. Czy można mieć jeszcze jakieś wątpliwości?

– Tak – odparł Beesley.

Siedzieliśmy w gabinecie Flynnna, w fotelach stojących przed biurkiem, obitych bawołą skórą. Czekaliśmy już pół godziny, jednak Flynn nie przychodził.

– Można mieć wątpliwości – powtórzył Beesley. – Człowiek, który wszedł do garażu, znał na pewno swój fach, znał go doskonale. Oni nigdy nie posługują się partaczami. I człowiek ten mógł założyć, że nikt z domowników nie orientuje się dokładnie w treści ostatniej telefonicznej rozmowy Loretty, że nikt nie wie o maszynopisie *Ery Trujillo* i że Loretta ma go przynieść z sobą. Może nawet zażądał od niej, by nikomu nie wspominała o tym? Człowiek ten miał wszelkie dane, by popełnić coś w rodzaju zbrodni doskonałej, jeżeli miał do swojej dyspozycji tak straszliwą i nie znaną nikomu truciznę. A jednak wychodząc, nie włączył automatu zapalającego światło i zaniósł zwłoki Loretty do skrzyni zamiast pozostawić je przy windzie. Jeżeli dodamy do tego, że mógł nie liczyć się z możliwością badania przez nas wnętrza mechanizmu elektromagnetycznego zamka, wówczas zrzucił podejrzenie na domowników lub po prostu podsuwał myśl o nieszczęśliwym wypadku. Czy potrafisz uzasadnić, dlaczego nie stawiał na takie rozwiązanie, prostsze i wygodniejsze? Domyślasz się, dlaczego tak postąpił – pytał Beesley.

Domyślałem się, dlaczego.

– Frank – powiedziałem – morderca wcale nie chciał zacierać śladów. On zostawił je specjalnie.

– Po co? Żeby ostrzec Flynnna? Żeby zmusić go do wycofania się ze sprawy porwania Galindeza? Wpłynąć na umorzenie śledztwa?

– Tak właśnie przypuszczam. Przypuszczam także, że nie idzie tu tylko o sprawę Galindeza. Flynn, pracując w tej komisji, musi wiedzieć o wiele więcej. Więcej niż ty, Frank, bo przecież komisja otrzymuje raporty nie tylko od ciebie. Prawda?

– Zajmuję się wyłącznie działalnością policji i wywiadu krajów Ameryki Środkowej na terenie Stanów.

- Myślisz, że Flynn zechce ci powiedzieć coś więcej?
Beesley potrząsnął głową.
- Nie zależy mi na tym. Moja rola w sprawie tego ostatniego morderstwa jest skończona. Sprawę przejęło Federalne Biuro Śledcze i chyba CIA. Być może, że Flynn wie coś więcej, ale o tym porozmawia z nim ktoś inny... Wychodzisz, czy jeszcze zaczekasz na Flynnna? Mam niewiele czasu.
- Zaczekam. Chciałbym się z nim pożegnać.
Beesley wstał i poklepał mnie przyjaźnie po ramieniu.
- Pójdę, już, Mike. Śmierć Loretty przekonała cię chyba, przed czym chciałem cię ostrzec.
- Frank, czy nikomu nie wspomniałeś o mojej rozmowie z Loretą?
- Nie, Mike. Schowałem to dla siebie. Ale już wiesz, co ci groziło?
- Tak, Frank. Jeżeli moja niedoszła klientka nie żyje, nie ma o czym mówić.
- I ja tak myślę – powiedział Beesley. – Nie ma o czym mówić.

21.

W białych murach miasta odbijały się promienie zachodzącego słońca. Zbliżali się do Ciudad Trujillo.

- Lotnisko General Andrews – powiedział Octavio de la Maza. – Naprowadza pan?
- Tak.
- Już się zbliżamy. Niech pan przygotuje maszynę do lądowania.
- Daleko z lotniska do miasta?
- Dwie mile do centrum śródmieścia.
- Będą na nas czekać?
- Niecierpliwie – odparł Octavio. Spojrzał na duży lotniczy zegarek umocowany srebrną bransoletą do przegubu dłoni, skierowany tarczą w dół. – Nie spóźnimy się, przylatujemy planowo.
Murphy odebrał sygnały z lotniska.

– Jest pan zmęczony?

Murphy był blady, zacisnął usta.

– Stało się coś?

Murphy milczał, szamotał się z dźwignią wysuwającą podwozie. Octavio nachylił się i szarpnął ją silnie, aż znalazła się we właściwym położeniu. Powiedział:

– Widzi pan, już jest dobrze. Murphy:

– Za pierwszym razem także było dobrze.

– I co?

– Coś tam zaskoczyło... Cofnąłem ją i próbowałem drugi raz.

Znowu szarpnął dźwignię, wprowadził ją w pierwotne położenie i jeszcze raz przechylił do dołu. Opadła bez oporu, jak złamana.

– I co? – zapytał niespokojnie de la Maza.

– Drobiazg.

– Co pan chce powiedzieć? Nie znam tych maszyn.

– Niech pan jeszcze raz spróbuje.

– Szkoda czasu. Wyskoczyły jakieś tryby albo linki puściły. Niech pan zobaczy, dźwignia rusza się luźno, jak słomka w szklance.

Po raz drugi okrążyli lotnisko.

– Chyba nie będziemy skakać? – zapytał Murphy.

Octavio z trudem opanował drżenie warg. Złożył kurczowo obie dłonie i ścisnął je między kolanami.

– Murphy, musimy dowieźć tego gościa na noszach. Sam Trujillo czeka na tego gościa... Czy pan rozumie, co to znaczy? Niech pan coś zrobi; mówię panu, że Trujillo czeka.

Murphy krzyknął:

– A czy pan rozumie, że nic nie mogę poradzić, nawet gdyby czekał sam Pan Bóg?

– To jest właśnie tak, jakby czekał sam Pan Bóg – dobitnie powiedział Octavio. – To nawet coś więcej.

– Jesteśmy teraz bliżej tego prawdziwego Pana Boga – mówił Murphy opanowanym głosem – niż tego wymyślonego przez was. Niech pan zapnie oba

pasy. Te pieprzone phoenixy miały zawsze coś z podwoziami. Jakiś feler konstrukcyjny. Dlatego wycofano je z turystycznego lotnictwa. W Linden zapewnili mnie, że podwozie jest przerobione. Niech pan mocno zaciśnie klamry pasów.

– Łądujemy na brzuchu?

– Jeżeli się uda.

– Nie przypuszcza pan, że to nie jest przypadek? Chyba jakiś skurwysyn urządził nas tak w Lantanie. Niech pan stara się siadać na murawie, poza pasem startowym... Fatalna historia, szanse są chyba minimalne...

– Niech pan już nic nie mówi – powiedział ochryplym głosem Murphy.

Jeszcze dwukrotnie okrążył lotnisko, po czym zboczył na południe i długim skosem zbliżał się do lądowania. Postanowił, że wyłączy motory. Oprawa podwozia była półokrągła, gładka, co stwarzało możliwość łagodnego poślizgu.

* * *

Pułkownik Abbez, stojąc w oknie gabinetu komendanta lotniska, dojrzał lęk w oczach rozbieranego personelu. Dyżurnych ogarnęła panika. Abbez czekał już od pół godziny na przylot phoenixa. Zauważył, że samolot szybko opada w dół, ukosem i nagle, na kilka metrów przed ziemią, wzbija się raptownie w górę.

Manewr ten powtórzył się dwukrotnie, a teraz znowu maszyna zawyła i ostrą świecą wzbija się pod niebo.

Krążyła nad lotniskiem jak przerażony ptak nad zagrożonym gniazdem.

Kilka osób w panice biegło w stronę gmachu komendy lotniska. Ci ludzie gestykulowali i krzyczeli.

Jęczała syrena wozu strażackiego.

Tuż za nim pomknął ambulans.

Abbez zauważył, że sanitarka, której kazał czekać na przylot maszyny przy pasie startowym, cofnęła się na tylnym biegu o kilkadziesiąt metrów.

Za plecami pułkownika Abbeza stał jeden z pilotów *Compania Dominicana de Aviation*.

– Oliveira – powiedział Abbez – co ten dureń wyprawia? Czemu nie łąduje?

– Próbuje siadać bez podwozia. Ale nie wiem, czy to się uda.

Abbez odwrócił się od okna.

– Musi się udać. Idź tam. Gdyby maszyna się rozbiła nie trzeba strażaków ani ambulansu. Każ im odjechać. Nasza sanitarka tam podjedzie, nikt więcej. Idź już.

Oliveira wybiegł z pokoju.

22.

Po wyjściu Beesleya czekałem jeszcze dziesięć minut na Flynna. Patrzyłem uporczywie na zdjęcie Loretty i nie mogłem się oswoić z myślą, że ona nie żyje. Gdybym nie umówił się wówczas z Beesleyem i posłuchał Loretty – prosiła mnie o spotkanie – może nie doszłoby do tej zbrodni. Gdyby, gdyby... Gdyby cokolwiek wiedziało się z góry, zwłaszcza o zamiarze popełnienia zbrodni!

Pomyślałem także, że mimo olbrzymiej armii pracowników kontrwywiadu, policji stanowej, Federalnego Biura Śledczego i instytucji o podobnym charakterze, mimo Międzynarodowej Agencji Detektywistycznej Williama J. Burnsa oraz innych biur detektywistycznych – w USA co trzy minuty i czterdzieści pięć sekund usiłuje się dokonać morderstwa... Co pięćdziesiąt minut popełnia się morderstwo z premedytacją.

Tak zginęła Loretta.

Gdyby nie doszło do zamordowania Loretty, statystyka zbrodni, sporządzana tak skrupulatnie przez Federalne Biuro Śledcze, uległaby zaledwie nieznacznej zmianie... Czy ta minimalna poprawka miałaby jakiegokolwiek znaczenie dla statystyki? Jednak jej śmierć uczyniła z Flynna starca. Kiedy wszedł do pokoju powłócząc nogami – zgarbiony, o poszarzałej twarzy, z głębokimi cieniami pod oczyma – nie mogłem ukryć przed nim, jak wstrząsnął mną jego wygląd.

Powiedział:

– Proszę wybaczyć, że kazałem czekać na siebie tak długo... Czy major Beesley wyszedł?

– Prosił, żebyśmy pana pożegnał w jego imieniu. Śpieszył się dokądś, zresztą on już nie prowadzi tej sprawy.

Flynn okrążył biurko i usiadł w fotelu. Sięgnął po cygaro, później po nożyk ukryty w srebrnej kulce. Ale nie obcinał cygara. Wydawało się, że brak mu sił na przekręcenie tej kulki.

– Tak, Beesley już nie prowadzi, a pan nie zdążył poprowadzić. Sam się tym zajmę.

– Jak pan to rozumie? Wytropienie mordercy pańskiej córki wydaje mi się nieprawdopodobieństwem.

Niecierpliwie poruszył dłonią. Nie zapalone cygaro uderzyło o płytę biurka.

– Morderca! – powiedział urągliwie. – Morderca! To dobre dla pana. Tego samego mordercę również ja mogłem wynająć. Gdybym mu dał choćby połowę sumy, którą panu oferowałem jako honorarium, człowiek ten nie tknąłby mojej córki. I zamordowałby na moje zlecenie tego, który kazał Lorette zabić... Ale nigdy nie wynajmuję morderców. Człowiek ten był tylko zawodowym mordercą, niczym więcej. Działał, jak działa rewolwer w czyjejs dłoni. Nie robił tego dla idei.

– Sądzi pan, że nie wiem o tym? I że obwiniam tylko mordercę? Moja zawodowa naiwność, polegająca na tym, że przede wszystkim ścigam bezpośrednich morderców, nie sięga aż tak daleko.

– Wiem, wiem... Niech mi pan wybaczy. Nie o to chodzi.

Starannie przycinał cygaro, jakby to był skomplikowany zabieg chirurgiczny; obcięty koniec wyrzucił ze srebrnej kulki do stojącej na biurku popielniczki.

– Wracam od pewnego wpływowego człowieka – odezwał się po chwili – od mojego przyjaciela, którego poparcie umożliwiło mi kiedyś wygraną w wyborach do Kongresu. Nie domyśla się pan, o kim mówię?

Nie domyślałem się.

– Nie pokazują nam w telewizji – mruknąłem – kto kogo popiera w wyborach, jak, i ile go to kosztuje. Pokazują reklamy i Mickey Mouse oraz uśmiechniętych polityków.

– W tym dniu, kiedy znaleźliście w skrzyni... – zaczął Flynn.

Roztrzęsionymi palcami zapalał cygaro, starał się zapanować nad drżeniem głosu. Nie odzywałem się więcej, czekałem na dalszy ciąg.

– ...w tym dniu poprosiłem do siebie pana i Beesleya, by wtajemniczyć was w mój plan... Chciałem, byście w moim imieniu poszukali ludzi, którzy zagrażali mojej córce, i w zamian za jej ocalenie sprzedali im bezcenną dla nich wiadomość, raczej informację o przemilczeniu przez nas pewnego faktu. Daliby mi dziesięć takich dziewcząt jak Loretta i milion dolarów, żebym nie przekazywał tej wiadomości nikomu innemu.

– Ale teraz pan im tego nie sprzedaje? I przekaże pan informację komuś innemu?

– Niech pan posłucha...

– Panie Flynn, czy pan był szczęśliwy?

Nie zdziwiło go moje pytanie. Zamyślił się, wysunął dolną wargę.

– Kiedy żyła Loretta – powiedział. – Tak, byłem szczęśliwy, nie miałem powodu, żeby myśleć inaczej.

– Tak przypuszczałem.

– Można się było domyślić, pan ją przecież poznał. Ale dlaczego pan o tym mówi? Loretta była...

– Nie wierzę w ludzi szczęśliwych. Wierzę tylko w egoizm i brak wyobraźni. Oto tajemnica szczęścia.

– Tak pan to tłumaczy? Sądzi pan, że ludzie uważający się za szczęśliwych są egoistami pozbawionymi wyobraźni?

– Pańska córka nie była szczęśliwa. Niech pan popatrzy tutaj, na fotografię Loretty, na jej oczy.

Spojrzał, lecz nie dostrzegł w jej oczach smutku, który mnie zaniepokoił.

– Była ładna i zdrowa, dobrze się uczyła. Spełniałem każdy jej kaprys... Nic jej nie brakowało, panie Wynn.

– Może egoizmu? Wcale nie uważała, że uroda, pieniądze i modny wóz potrafią uszczęśliwić człowieka. Czy pan wie, że Loretta podziwiała Galindeza za jego odwagę i za to, że brał on udział w wojnie domowej w Hiszpanii, i...

– Jestem zbyt trzeźwy i doświadczony, by wierzyć w złudzenia, które

pchnęły kiedyś profesora Galindeza, Hemingwaya czy innych wybitnych ludzi do udziału w tej wojnie...

– Niech pan mnie źle nie zrozumie, nie chcę tego powiedzieć o panu, ale sądzę, że przynajmniej co drugi człowiek chociaż raz w życiu nie był łajdakiem. Tak dzieje się. Wtedy, kiedy wierzy się, na przykład, w sprawy, które pan nazywa złudzeniami.

Flynn spokojnie wypuścił kłęb dymu z cygara i słuchał uważnie.

– Więc o to panu idzie?

– Tylko tyle chciałem panu powiedzieć... Co pan miał do odstąpienia w zamian za ocalenie Loretty?

Odłożył cygara i splótł obie dłonie. Drżały, więc oparł je o kant biurka.

– Słyszał pan o zamachu na prezydenta Wenezueli?

Słyszałem. Kilka dni temu, w Caracas, zielony oldsmobile, model z 1954 roku, eksplodował na szosie, którą przejeżdżał prezydent Wenezueli, Betancourt. Wybuch nastąpił w momencie, kiedy wóz prezydenta zrównał się z zielonym, pustym wewnątrz oldsmobilem. Trzech członków osobistej ochrony prezydenta poniosło śmierć, Betancourt odniósł rany. Sprawców zamachu nie znaleziono. Tyle dowiedziałem się z prasy.

– Czy pan wie – zapytał Flynn – kto to zorganizował? Jest pan jednym z kilku ludzi, którzy dowiedzieli się o tym wcześniej niż prasa... Mam do pana bezgraniczne zaufanie. Może dlatego, że miała je moja córka. Ona znała się na ludziach lepiej niż ja.

Flynn przerwał, jakby zastanawiał się, czy ma mówić dalej. Sięgnął po cygaro spopielone już do połowy i obejrzał długi stożek jasnego tytoniu; popiół był tak, lekki, że nie opadł do popielniczki.

– Nasz wywiad zebrał i przedstawił niezbite dowody, że zamachu dokonano na zlecenie Rafaela Leonidasa Trujillo, dyktatora Republiki Dominikańskiej. Trujillo zlecił wykonanie zamachu pewnemu pułkownikowi, jednemu z głównych filarów policji; nazywa się on Garcia Abbez. Współpracował z nim Juan Manuel Sancia, awanturnik podający się za generała wojsk Wenezueli. Przybył on z Caracas do Ciudad Trujillo, gdzie oczekiwał go pułkownik

Garcia Abbez, i tam wspólnie opracowali plan zamachu na prezydenta Wenezueli.

– I podstawiono na szosie do Caracas, którą miał przejeżdżać prezydent, oldsmobile z materiałem wybuchowym?

– Były w tym wozie dwie skórzane walizki wypełnione sześćdziesięciu kilogramami materiału wybuchowego, który podłączono z detonatorem kierowanymi falami radiowymi. Kiedy limuzyna prezydenta Betancourta znalazła się na wysokości oldsmobile'a...

– Rozumiem, to dość łatwa sztuczka. Postanowiliście opublikować te materiały?

– Nie możemy tego zrobić. Pan chyba rozumie, że nasz wywiad nie ma nic do roboty w Ciudad Trujillo, i że nie ma prawa do zbierania materiałów przeciw suwerennemu państwu...

– W którym Stany zainwestowały sto pięćdziesiąt milionów dolarów.

Przypatrywał mi się przez chwilę, nim powiedział:

– Chociażby dlatego. Ale nie tylko dlatego.

– Wiemy zarazem – dodałem – że ich wywiad działa u nas, nie licząc się z naszą suwerennością.

– W takich wypadkach zawsze trzeba udawać, że nie wie się o tym. To jedno z podstawowych, nie, pisanych praw dyplomacji. Są naturalnie wyjątki...

Pomyślałem o jego córce.

– Ale pan już wie – powiedziałem – jakie przybiera formy...

– To nie ma znaczenia dla polityki międzynarodowej.

– I ja tak myślę – powiedziałem drwiąco. – Panie Flynn, pozostał więc tylko jeden sposób, żeby opublikować materiały zebrane przez nasz dzielny wywiad: przekazać je anonimowo, lub za poręczeniem pełnej dyskrecji, wywiadowi Wenezueli.

– To najlepszy sposób i o tym właśnie rozmawiałem z pewnym człowiekiem, wspominałem o nim panu, który mnie poparł w czasie wyborów. Dlatego spóźniłem się na nasze spotkanie; proszę mi wybaczyć. Jeszcze dzisiaj prezydent Betancourt oskarży Trujillo w przemówieniu radiowym. Za dwa lub trzy dni reprezentant Wenezueli w Organizacji Państw Ameryki Łacińskiej przedstawi delegatom tych krajów dowody, które wykażą, jaką rolę odegrali w

zamachu na prezydenta Romulo Betancourta Trujillo i pułkownik Garcia Abbez.

Pomyślałem, że uprawiają beztroską i pasjonującą zabawę.

– I Trujillo znacznie bić się w piersi, zamknąć się w klasztorze i posypie głowę popiołem?

Flynn zniecierpliwiał się.

– To skomplikuje znacznie jego sytuację w strefie karaibskiej i zmusi go do ograniczenia chorobliwych ambicji... Mówię panu o tym, ponieważ materiały są już przekazane do Wenezueli. Być może, że Betancourt właśnie przemawia, w tej chwili... Zażąda sankcji.

– Więc pan, za zatajenie tych materiałów...

– Nie mówmy już o tym. Chciałem ratować tylko córkę, nikogo więcej nie mam. Zresztą mój plan był naiwny. Niech pan wreszcie zrozumie, że wykrywanie tych spraw nie należy do nas, lecz do kontrwywiadu Wenezueli. Ostatecznie nie mamy z nimi umowy na przekazywanie takich informacji. Ale niech mi pan wierzy: od tej chwili nie dam im spokoju, ani w ich działalności na zewnątrz, ani w ich sprawach wewnętrznych, w miarę moich kompetencji... Czy pan wie coś więcej o książce Galindeza? Czy można to gdzieś zdobyć?

– Nie wiem, ile kopii miał de Galindez. Jeden egzemplarz *Ery Trujillo* zniknął razem z profesorem, drugi miała pańska córka. O jednym wiem, że profesor Galindez złożył go w sejfie bankowym.

– Gdzie, w jakim banku? – ożywił się Flynn.

– Proszę się porozumieć z jego żoną.

– Postaram się, żeby ta książka wyszła... Jeżeli nie u nas, to w Argentynie. Mam tam pewne możliwości *.

* Książkę dr Jezusa de Galindeza, pt. *Era Trujillo*, wydano później w Argentynie, gdzie cieszyła się olbrzymim powodzeniem.

Flynn podszedł do podręcznego baru. Wyjął syfon, szklanki, butelkę whisky i postawił to na stoliku umieszczonym między dwoma fotelami. Usiadł obok i zapytał odkręcając korek butelki:

– Czy Loretta mówiła panu... Napije się pan?

– Proszę – podsunąłem szklankę. – Chyba Loretta nie powiedziała mi nic więcej, niż pan o niej wiedział.

– Chciałem się zapytać – zaczął Flynn – czy mówiła panu coś o doktorze Galindezie. Zastanawiałem się czasami, zwłaszcza ostatnio, czy ich łączyło... Wie pan, o co mi chodzi. Coś więcej niż szacunek studentki i życzliwość profesora. Nie wtrącałem się w jej życie intymne.

Przecież ci nie powiem, pomyślałem, jak możesz w ogóle pytać, to były ich sprawy, w które wdarłem się z racji mego zawodu, ale o których ty nic nie powinieneś wiedzieć, jeżeli Loretta sama nie powiedziała. Widocznie nie chciała, żebyś wiedział.

Zaprzeczyłem.

– Nic o tym nie wiem, panie Flynn. I nie przypuszczam, żeby tak było, jak pan myśli. Ale czy pan zastanowił się, czym może się skończyć pańskie zainteresowanie Dominikaną i działalnością jej policji?

Powoli zakręcał korek butelki i dopiero kiedy ją odstawił, odpowiedział:

– Zastanawiałem się. Ma pan rację, byłem egoistą. Lojalnym, neutralnym i wygodnym egoistą. Mógł mi pan zarzucić równie dobrze oportunizm. Po tym tragicznym wypadku... z moją córką. Nic z tego we mnie nie zostało, chyba nic. A jeśli coś zostało, zniszczę to w sobie, panie Wynn. To jest postanowienie dojrzałego człowieka, który wiele w życiu przeżył i wiele widział i zbliża się już do kresu swej drogi. Postanowienie nieodwołalne... Czy pan jest katolikiem albo... Czy w ogóle wierzy pan w Boga?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, nie miałem czasu. Wiem tylko, że na pewno wierzę w wartość takich postanowień, jakie pan podjął. To w tej chwili jest chyba najważniejsze, nie sądzi pan?

– A jeżeli mi się nie uda?

– Taka próba jednak się liczy; samo postanowienie także się liczy.

– Gdzie? Kto to liczy? O kim pan myśli?

– Mam na to mój pogląd, a pan ma swój. Jest pan przecież katolikiem, wierzy pan w niebo. Chyba wystarczy panu świadomość, że w niebie wszystko się liczy. Ja nie stawiam na żadne pośmiertne obrachunki.

– Tak, może i tak – powiedział cicho Flynn – nie wiem jednak, czy tam sprawiedliwie liczą. Nie mam tej pewności. Trujillo także wierzy w Boga, ale liczy chyba na specjalne względy. Mam coraz więcej wątpliwości, panie Wynn.

– Myśli pan o śmierci Loretty?

– To było bardzo niesprawiedliwe. Powinien był zginąć morderca, nim zbliżył się do niej. Uśmiecha się pan? Wiem, że jestem naiwny...

Powoli sączyłem whisky; nudziła mnie ta rozmowa, brałem w niej udział z litości nad nim.

– Powinno się stać coś innego – powiedziałem. – Kongres powinien był już dawno zająć się takimi historiami, nie zważając na te sto pięćdziesiąt milionów dolarów amerykańskich inwestycji w Dominikanie. Nasza lojalność wobec tych dolarów i sześćdziesięciu procent amerykańskiego importu w Dominikanie rozzuchwała Trujillo i jego policję. Gdybyśmy się tym wcześniej zajęli, żaden morderca nie odważyłby się czekać z trucizną w garażu kongresmana na jego córkę w Nowym Jorku, ani porywać profesora amerykańskiego uniwersytetu z centrum miasta, na oczach obywateli wybierających kongresmanów.

Flynn był zmęczony; głębiej wtulił się w fotel, raz i drugi poruszył beznaście dłonią.

– Pan nie rozumie tych spraw... I niech pan nie sądzi, że wiem o wszystkim... Chciałem się tylko zorientować, czy pan chciałby mi pomóc, jeżeli znajdą jakieś trudności... na przykład ze zdobyciem materiałów albo odnalezieniem kogoś na podstawie danych, jakie panu dostarczę. Są sprawy, na których pan zna się lepiej niż ja. Mogę liczyć na pana?

Szuka frajera, pomyślałem. Ale nie ten adres, źle trafił. Miałem już dość polityki. Powiedziałem:

– Nie.

– Dlaczego? – zapytał.

Nie odpowiedziałem. Chciał mnie zrobić w historię, w której oni stracą trochę dolarów, ale za którą ja jeden naprawdę zapłacę, może najwyższą cenę.

23.

Wspaniale pan to zrobił – powiedział Octavio. – Wie pan, dobrego pilota najlepiej poznać po lądowaniu – zażartował. Był blady, z jego twarzy ściekały strugi potu.

Nim wydostali się z kabiny, już pomknęła w ich stronę karetka pogotowia. Murphy'emu przypomniało to scenę z Amityville; wszystko odbywało się tak samo, ale na filmie puszczone w odwrotnym biegu. Sanitarka podjechała blisko, pod sam kadłub. De la Maza i młody mężczyzna w mundurze porucznika pilotów dominikańskich zbliżyli się do kabiny bagażnika. Nim wydobyli nosze, Octavio sięgnął w głąb kadłuba i roztrzęsionymi rękoma poprawił przescieradło, które ześliznęło się z chorego pasażera. Szybko wsunęli nosze do sanitarki.

Kierowca wychylił głowę.

– Gotowe? – zapytał po hiszpańsku.

– Jazda! – zawołał Octavio.

Wóz natychmiast odjechał.

Murphy rozprostował stężałe mięśnie, zdjął hełm z zielonej skóry, otarł rękawem spocone czoło, ziewnął. Octavio i porucznik zbliżyli się do niego.

– To jest Julio Ruiz Oliveira – powiedział Octavio, wskazując na porucznika. – A to Gerald Lester Murphy.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Podziwiam pana – powiedział szczerze Oliveira. – To doprawdy cud, tak wylądować jak pan. Genialnie pan to zrobił.

– Trochę szczęścia, nic więcej – odparł Murphy. – Co z maszyną?

– Zaraz przyjdą ludzie i zajmą się maszyną – powiedział Oliveira. – Niech się pan nie martwi, mamy doskonałych mechaników.

– Pójdziemy coś przekąsić? – zapytał Octavio.

– Chyba później – odparł Oliveira. – Pułkownik Abbez czeka na was w biurze lotniska. Specjalnie tu przyjechał z ministerstwa. Chodźmy – zwrócił się do Murphy'ego. – Jest pan zmęczony?

– Nie. Możemy iść.

Octavio wziął go pod rękę. Szli w kierunku portu lotniczego.

– Pułkownik Abbez to bardzo ważna figura, przyjaciel Trujillo – mówił poufnym tonem do Murphy'ego. – Musi pan na nim zrobić dobre wrażenie.

– Po co? Mam odebrać moją forszę, to wszystko.

– Niech pan mnie posłucha, Murphy. Proszę zrobić na pułkowniku jak najlepsze wrażenie. Od tego dużo zależy.

– Jak się robi dobre wrażenie?

De la Maza zwrócił się do Oliveiry.

– Julio, powiedz mu, jak się robi dobre wrażenie.

– Musi pan być uśmiechnięty, zadowolony, wdzięczny za to, że panu powierzono ten lot, i zachwycony uprzejmością pułkownika nawet wtedy, gdyby był on ordynarny i przykry dla pana – powiedział Oliveira.

– I niech pan wygląda na człowieka, który wie, o czym można mówić, a o czym nie – dodał Octavio.

– Wy też tak robicie? – zapytał Murphy.

– Wszyscy tak robią – odparł Ruiz Oliveira. – Czasem przychodzi to z trudem, ale zawsze się opłaca... Octavio, wypuścimy się dzisiaj, zajrzemy wieczorem do jakiejś sympatycznej knajpki?

Octavio potrząsnął głową.

– Umówiłem się z Juaną. Zresztą wszystko zależy od sytuacji, dam ci jeszcze znać.

– Juana Managua – wyjaśnił Julio – narzeczona Octavia. Kiedy pan ją pozna, proszę uważać na siebie. Można się w niej natychmiast zakochać i człowiek nawet nie wie, jak i kiedy to się stało. Octavio postrzelił już trzech takich, którzy byli zbyt natarczywi wobec Juany.

Murphy spojrział na Julia. Był tego samego wzrostu co on, opalony, smukły, z silnie zarysowanymi mięśniami pod letnim obcisłym mundurem. Twarz miał szczerą, pogodną, ale w ustach czaił się gorzki wyraz, dziwnie kontrastujący ze świeżą cerą i wesołym spojrzeniem. De la Maza wyglądał przy nich niepokojąco: drobny, szczupły, niższy o głowę.

– Macie tu chyba świetne dziewczyny, co?

– Genialne – powiedział Julio. – Zapłacie pan jeszcze z rozterki, kiedy trzeba się będzie zdecydować, którą wybrać.

Weszli do olbrzymiego jasnego hallu. Policjanci stojący przy obrotowych drzwiach, zobaczywszy Octavia, nawet nie zapytali o paszporty; zaszalutowali otwartymi dłońmi. Octavio odpowiedział na ukłon skinieniem głowy.

– Gdzie czeka pułkownik? – zapytał Julia.

– Na drugim piętrze, zaprowadzę was. Jest tu już od pół godziny. Nasłuch otrzymał wiadomość z Puerto Plata, że minęliście granicę i zawiadomił o tym pułkownika Abbeza.

24.

Flynn czekał na moje wyjaśnienie, jednak milczałem. Niech gdzie indziej szuka naiwnych.

– Czy pan wie – zapytał Flynn – że Trujillo wymordował już przeszło pięćdziesiąt tysięcy podejrzanych o opozycję i przeciwników politycznych? Niech pan do tego doda żyjących i prześladowanych, zaszczutych strachem, śledzonych, uwięzionych...

– Proszę o tym powiedzieć w Kongresie albo na konferencji krajów Ameryki Łacińskiej, panie Flynn. Niech pan mnie nie rozczula. Lubię sobie popłakać, ale wtedy, kiedy nikt nie widzi.

Wstał, przechadzał się po pokoju. Kiedy w swej powolnej i monotonnej wędrówce zatrzymał się tuż za moim fotelem, usłyszałem jego głos:

– Wiem, że się pan nie boi, pan nie należy do tchórzliwych... W pańskiej odmowie kryje się coś zupełnie innego.

Przypomniałem sobie Hawanę i wąską uliczkę z ogromnymi oknami, i mężczyznę, który leżał na bruku, i plamę krwi, po której spływał sok z roztrzaskanego kula ananasa, przerażenie Harriet i milczenie tych wszystkich, którzy byli świadkami morderstwa.

– Czemu pan milczy? – pytał Flynn. – Pan przecież wie, że nie mogę go zmusić do udziału w moich zamierzeniach. To sprawa dobrej woli, i nie tylko dobrej, woli.

Przesunąłem się w bok i odchyliłem głowę do tyłu, by widzieć twarz Flyna. Wciąż stał za mną.

Powiedziałem:

– Panie Flynn, czy pan nie pomyślał, że niektórzy pańscy koledzy, wielcy finansiści, może nawet jakieś komórki w sztabie czy w CIA, chętnie utopiliby tę sprawę, umorzyliby śledztwo i zapomnieli najchętniej nie tylko o Galindezie, ale i o pańskiej córce?

– Może tak jest... Ale pan się nie orientuje, że Departament Stanu ma poważne zastrzeżenia do polityki Trujillo, wewnętrznej i zagranicznej. Pan o tym nie wie, a ja nie mogę mówić o wszystkim, nawet z panem. Ostatecznie Departament Stanu...

Po co on tyle mówi, do czego zmierza? Przerwałem mu, podejmując początek jego ostatniego zdania.

– Ostatecznie Departament Stanu nie poparł kandydatury Estrella Ureny w jego rozgrywce wyborczej z generałem Trujillo. Na interwencję Waszyngtonu czekało wówczas dziewięćdziesiąt procent Dominikańczyków. A teraz z awanturniczego generała wyrósł niebezpieczny generalissimus... Mamy w tym własne zasługi.

– Myli się pan. Nasz konsul, zgodnie z poleceniem Departamentu, interweniował wtedy u generała Trujillo.

– A jednak Trujillo „wygrał” wybory, unicestwiając naprzód opozycję. Czy wie pan, co napisał wówczas w swoim raporcie dla Waszyngtonu konsul amerykański w Santo Domingo? „Liczba głosów, które otrzymał Trujillo, jest znacznie wyższa od liczby wszystkich wyborców”. Faktycznie Trujillo był jedynym kandydatem.

Flynn podszedł do jednej z półek i wskazał na rząd książek.

– Panie Wynn, znam trochę lepiej to wszystko. Widzi pan? Tu jest książka byłego korespondenta tygodnika „Time”, Williama Krehma, *Demokracje i tyranie w strefie karaibskiej*. Tu jest dzieło Alberta Hicksa *Krew na ulicach*, tutaj ma pan pismo „Free Labour World” i alarmujące raporty komisji Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych... Czy zna pan *The Dominican Republic Under a Feudal Seigneur, A Blot on the Western Hemisphere*? Mogę panu pożyczyć, dowie się pan jeszcze więcej... więcej niż wolno mi powiedzieć. Tu jest zbiór artykułów proamerykańskiego pisma „Vision”. W lutym pismo doniosło, że Teofil Guerrero zniknął bez śladu... To chyba trzydziesty dziennikarz, który tam niknie bez śladu...

– I teraz pan chce, żebym ja zniknął bez śladu? Żebym „wyparował”, jak mówi major Beesley.

Flynn stanął przede mną.

– Gwarantuję panu jak najdoskonalszą ochronę. I takie pełnomocnictwa, żeby nikt nie odważył się pana tknąć. Będziemy pana pilnować...

– Nie lubię, kiedy w trakcie mojej roboty ktoś depcze mi po piętach. To obniża wydajność pracy, panie Flynn.

– Pan żartuje, Wynn.

– Zgadł pan. I może na tym żarcie skończymy niepotrzebną rozmowę; do niczego ona nie prowadzi.

Wstałem, pochyliłem głowę i czekałem, aż Flynn wyciągnie dłoń na pożegnanie. Cofnął się, podszedł do półki i sięgnął po kilka książek.

– Niech pan przeczyta, dobrze?

– Krehma i Hicksa mam u siebie – odparłem. – Jeżeli pan tak uprzejmy, poproszę o te inne, które pan przed chwilą wymienił.

– Chciałbym, panie Wynn, żeby pan szybko to przeczytał i odwiedził mnie znowu. Będę na pana czekać.

– Przeczytam, ale nie wiem kiedy. Pan rozumie, że od czasu do czasu muszę zarobić kilka dolarów.

– Mógłbym panu pomóc, wszystko jedno w jakiej formie...

– Dziękuję, nigdy nie korzystam z zapomóg, na razie nieźle mi idzie... Do widzenia, panie Flynn. Niech pan będzie bardzo ostrożny. *Take it easy*, to dobra dewiza; powoli, nie śpiesząc się, panie Flynn!

Podał mi rękę.

– Loretta była oczarowana panem, powiedziała, że jest pan wspaniałym człowiekiem.

– Nieporozumienie. Loretta była wspaniałą dziewczyną, panie Flynn. Takie dziewczęta są trochę egzaltowane i przesadzają w ocenie ludzi, widzą w nich własne cechy.

– Kazać pana odwieźć? Nie zauważyłem pańskiego wozu na dole.

– Zaparkowałem go na sąsiedniej ulicy.

Koło mojego studebackera krążył podejrzany typ. Miał bardzo jasne włosy i cerę albinosa. Kiedy wyjąłem klucz od stacyjki, podszedł do mnie.

- Czy to pański wóz? – zapytał.
- Po numerze rejestracyjnym poznaję, że mój.
- Bo ja, jeżeli pan pozwoli...
- Chciał pan kupić? Niech pan się wstrzyma. Jak wygram na loterii trochę forsy, dam go panu za darmo.

Zaśmiał się, sucho strzelił palcami. Zauważyłem, że ma przekrwione białka oczu.

– Myślałem – powiedział – że pozwoli pan umyć i oczyścić wóz, ja się znam na takiej robocie.

– Dziękuję panu, sam się tym zajmuję. A pech chce – zażartowałem, bo już domyśliłem się, że facet zna się nie tylko na myciu wozów – że nie mam czasu, bo właśnie żona rodzi w szpitalu i jadę się dowiedzieć, czy mamy chłopca czy dziewczynkę. Może pięcioraczki?

Podał mi dolara, nie przyjął.

– Nie jestem żebrakiem, proszę pana. Chciałem sobie zarobić, ale to mi nie wychodzi.

Dobra, teraz go mam, pomyślałem. Teraz będzie mój.

– Niech mi pan zostawi adres, może znajdę robotę dla pana, dałbym znać. Na stacji benzynowej albo... Albo w jakimś garażu – dodałem z naciskiem.

Nie był speszony, kiedy odpowiedział:

– Nie mam adresu... Wie pan, jak jest: w dzień muszę coś zarobić, a nocuję czasem u znajomych, czasem w domu noclegowym, pod mostem albo w parku... Ale za kilka dni mógłbym do pana zadzwonić i zapytać, czy pan coś znalazł.

Ustawił mnie, pomyślałem. I podałem mu naprędce wymyślony numer, z literami Brooklynu. Powtórzył go kilkakrotnie.

Ponownie podsunąłem mu banknot dolarowy, tym razem przyjął.

– Zapamiętam – powiedział. – Dziękuję panu. Nazywam się Roney. Życzę panu chłopca, z chłopcami jest mniej kłopotów.

Odjeżdżając, nie wiedziałem, co o tym myśleć. Przypadek jakich wiele czy świadoma inscenizacja? Trzeba zapamiętać tego Roneya.

W domu oczekiwała mnie depesza.

Od Harriet Claire.

Pisała, że nie może mnie zastać, kiedy telefonuje, więc wysyła depeszę. Chciała, żebym się z nią zobaczył, podała nazwę swojego hotelu i adres. Pytała, czy mam ochotę na spotkanie, czy nie zapomniałem o niej. I na końcu: „Cieluję – Harriet”.

Nie zapomniałem, ale nie miałem ochoty na spotkanie z panną Claire.

25.

Oliveira wprowadził ich do pokoju, w którym czekał Abbez.

Pułkownik Abbez miał twarz zniszczoną i okrutną, o drapieżnych rysach. Zimne i wąskie oczy utkwił w Murphym i przypatrywał mu się przez minutę, nim kordialnym gestem wyciągnął rękę w jego stronę. Jego basowy głos zadudnił:

– Witam pana, Murphy. Dziękuję za pomoc. Jest pan dzielny pilot, bardzo dzielny. Nie miał pan kłopotów? Brawo, brawo.

– Dziękuję, panie pułkowniku. Wszystko było w porządku.

– Moje nazwisko Abbez. Dzielny, dzielny młody człowiek. Pytanie było, czy kłopotu nie miał, czy dobrze leciał? – mówił Abbez łamaną angielszczyzną.

– Dobrze, panie pułkowniku – odparł Murphy. – Wszystko odbyło się zgodnie z planem. To ja dziękuję za powierzenie mi tego lotu.

– Ładnie. A co takiego przywiózł nam do kraju dzielny pilot? Co za towar? Co za pasażer?

Murphy był zaskoczony. Chyba ten niesamowity gość dobrze wiedział, co przewieziono na pokładzie samolotu.

– Miałem pasażera. Chorego pasażera.

– Dobrze miał podróż? Chory człowiek zadowolony?

– Ja?

Octavio pochylił się ku niemu.

– Pan pułkownik pytał, czy pasażer jest zadowolony z podróży.

– Ach, tak! Bardzo zadowolony. Pogoda była dobra i nie cierpiał od wstrząsów.

– Ładnie. Ja zadowolony – powiedział Abbez. – Dziękuję. – Sięgnął po kopertę leżącą na biurku. – Tu pieniądze, pilot uczciwie zarobił. Nie dolary, ale nasz pieniądz. Pesos. Jeden peso to jeden dolar, całkiem równy. Dobry pieniądz.

Murphy schował kopertę do kieszeni kombinezonu.

– Czy pan pułkownik pozwoli, żebym tu został kilka dni? To by mi pasowało.

Abbez nie zrozumiał o co prosi Murphy.

– Kilka dni? Co kilka dni? – Spojrzał na Octavia. – Gdzie on chce zostać? – I dodał tonem usprawiedliwienia: – *No he comprendido*.

– Chciałbym poznać Ciudad Trujillo – wyjaśnił Murphy. – Słyszałem, że to piękne miasto.

Abbez uśmiechnął się.

– Piękne, bardzo piękne. Generalissimus doktor Rafael Leonidas Trujillo y Molina sam zaplanował budowanie miasta. Jemu zawdzięczamy miasto.

– Nie wiedziałem nawet, że generalissimus jest także architektem – powiedział Murphy.

Abbez zapytał Octavia:

– Co on powiedział?

– Że generalissimus jest na pewno wielkim architektem – szybko podrzucił Oliveira i natychmiast zwrócił się do Geralda: – Generalissimus Trujillo jest genialnym człowiekiem i zna się na wszystkim. To największy i najmądrzejszy człowiek wszystkich czasów. Od kiedy rządzi generalissimus, rozpoczął się najważniejszy rozdział w dziejach całej ludzkości, Era Trujillo.

– *Si, si, es verdad* – rzekł z aprobatą Abbez – tak, to prawda... Dzielny pilot przyjdź do mnie jutro przedpołudnie do ministerstwa. Tam rozmawiać przyjacielsko jedna godzina.

Zapytał Octavia po hiszpańsku:

– Kapitanie, czy pan już przygotował tego człowieka? Czy on orientuje się w sytuacji... I czy wie, jak wygląda sprawa jego odlotu?

Octavio pospiesznie przechylił głowę w stronę Murphy'ego, jakby ostrzegał Abbeza, że Murphy zna hiszpański.

Pułkownik skinął głową i szybko zbliżył się do Murphy'ego.

– *Habla Ud. español!* – zapytał. – Czy mówi pan po hiszpańsku?

– *Se un poco... el español...* – znam trochę hiszpański – mówił powoli Murphy.

Se un poco – powtórzył pułkownik, nie przejęty bynajmniej popełnioną omyłką. Murphy jest przecież w ich rękach i mogą z nim zrobić, co chcą. – *Se un poco* – jeszcze raz powtórzył. – Ładnie.

Po chwili.

De dónde es natural Ud.? – Skąd pan pochodzi?

– Urodziłem się... – zaczął Murphy po angielsku, ale zaraz poprawił: – *He nacido en Trenton, New Jersey.*

Okrutna twarz pułkownika wykrzywiła się w koszmarnym uśmiechu; widocznie był zadowolony. Odszedł w głąb gabinetu i stanął przy oknie. Octavio i Julio również się uśmiechnęli, jak na komendę. Widząc to, Murphy uśmiechnął się nie mniej przepisowo.

– *Dónde vive Ud.?* – zapytał Abbez – gdzie pan mieszka?

Ruiz Oliveira, udając, że przypatruje się Murphy'emu, szepnął półrozwartymi wargami:

– Powiedz, że tutaj.

Murphy powiedział:

– *Ahora... vivo an Ciudad Trujillo* – teraz mieszkam w Ciudad Trujillo.

Abbez poklepał dłońmi nadmiernie wypukłą klatkę piersiową i ryknął śmiechem; przypominał Murphy'emu goryla z ogrodu zoologicznego. Octavio i Julio zgodnie zarechotali, czekając czujnie na moment, w którym Abbez przestanie się śmiać. Przestał dość raptownie, oni także.

Abbez zbliżył się. Sprawdził, czy górny guzik jego bluzy jest zapięty. I wyciągnął ciężką, owłosioną rękę.

– Ładnie. Dzielnym pilot idzie do hotelu. Jutro ministerstwo, jedenasta. Mój adiutant czeka. *Hasta mañana*.

– Dziękuję, panie pułkowniku, będę jutro o jedenastej w ministerstwie.

Abbez spojrział zwięzonymi szparkami oczu.

– Ja wiem, że pan będzie... Kapitanie – powiedział po hiszpańsku do wyprężonego Octavia – pan zostanie. Oni mogą odejść, zaczekają na dole.

Murphy i Oliveira wyszli z pokoju.

Abbez, nie ruszając się z miejsca, skinął na Octavia; ten podszedł blisko i przechyliwszy głowę, prawie dotknął konchą uszną mięsistych ust pułkownika.

Abbez mówił:

– Ładnie. Pilot do jutra będzie żyć. Są poważne kłopoty z porwaniem Galindeza, bo moi *pistoleros* uziemili jedną dziewczynę, córkę senatora Flynna. Miała kopię tej załganej, idiotycznej książki. Dobra, niech Murphy żyje do jutra; później zobaczymy. Tak będzie wygodniej po tej historii z Flynnem. Jest także boy dla tego pilota, ma pilnować jego telefonów, korespondencji, rzeczy i tak dalej. Wiesz, że pilot nie może stąd odlecieć. Już nigdy. Może wymyślimy coś dla niego. Nie ma rodziny?

– Matkę, panie pułkowniku. Pokazywał się u niej raz na rok, więc to nie ma znaczenia. Okłamuje ją, że gdzieś pracuje, ale chodzi bez roboty. Jeden gość, Oswald Thoen, wypytywał się o niego, i *pistoleros* musieli go zdmuchnąć. Dobrze to zrobili, czysto, bez poszlak. Byłem przy tym, później okrężną drogą poleciałem do Lantany i tam czekałem na Murphy'ego.

– Ładnie. Pokój dla pilota zarezerwowany w hotelu „Cosmos”. Obok służbówka dla boya. Wstąpisz do ministerstwa i weźmiesz od mojego adiutanta wizę; wieczorem dasz pilotowi. Masz czas wieczorem?

– Chciałem coś załatwić – nieśmiało zaczął Octavio. – Taką prywatną sprawę. Ale jeżeli pan pułkownik... Ja oczywiście...

– Ładnie, nie trzeba, należy ci się trochę odprężenia. Pójdzie z nim Oliveira. Niech go zaprowadzi do dobrego burdelu, niech go zaleje totalnie. Trzeba wyciągnąć z niego wszystko, co się da. Od tego zależy, co z nim zrobimy.

Pan wie, że nie warto ryzykować z gówniarzami.

– Czy pan pułkownik pozwoli...

– Możesz mówić.

– On nie jest gówniarzem, panie pułkowniku. Jeżeli damy mu jakąś robotę, oczywiście nie u nas, na kolanach podziękuję. W Stanach nie znalazł roboty, jest rozgoryczony. To dobry materiał.

– Trzeba dzisiaj zajrzeć mu do flaków. Na dole czeka wóz, czarny plymouth. Niech Murphy jedzie z boyem do hotelu, a ty rozmów się w sprawie wieczoru z Oliveira. Można mu chyba zaufać?

– Oliveira lubi dużo gadać, panie pułkowniku. Ale jego nikt nie kupi.

– O to chodzi, żeby go nikt nie kupił. Niech tylko dobrze pracuje, wtedy wypuścimy z więzienia jego ojca i siostrę. Możesz mu tak powiedzieć. Na razie trzymamy go na próbę i obserwujemy.

– Można coś powiedzieć?

– Mów.

– On uważa, że ojciec i siostra są niewinni.

– Profilaktyka, Octavio, profilaktyka. Więzienie więcej uczy niewinnych niż tych, co naprawdę zawinili. –Zaśmiał się krótko, dodał: – Niewinny w więzieniu ma sto razy więcej powodów do radości niż winny, bo może jeszcze stamtąd wyjść. Winnych raczej nie wypuszczamy, dla zasady... Idź już!

– Tak jest, panie pułkowniku. Wszystko będzie załatwione. Zorganizuję coś na wieczór.

– Ładnie. Przyjdiesz jutro z meldunkiem o Murphym. Dziesiąta godzina. Weźmiesz także sprawozdanie od Oliveiry. Do jedenastej postanowimy, co zrobić z tym pilotem. Orientuję się, z jakim trudem znaleźliście odpowiedniego człowieka do przewiezienia Galindeza. Specjalnie tu przyjechałem i czekałem na was. Jasne, ja wiem, że Murphy oddał nam dużą przysługę. Ale nie lubię świadków. Bardzo nie lubię.

– Jeszcze jedno, panie pułkowniku.

– Mów.

– Jak będzie z jego samolotem? W ciągu kilku dni musimy ten grat odesłać do Linden, bo zrobią szum.

– Nie zrobią szumu. Dzisiaj się wyreperuje, a jutro któryś z naszych ludzi poleci do Linden, odda samolot i odbierze kaucję. Zostanie w Nowym Jorku, właśnie tam kogoś potrzebujemy. Niech Murphy da wam kwit z tej firmy, która wynajmuje samoloty.

– Czy mam lecieć do Linden?

– Ty na rok wysiadasz z roboty, tego wymaga sprawa Galindeza.

– Wszystko będzie załatwione, panie pułkowniku.

– Ładnie. Idź już.

* * *

De la Maza spotkał w hallu Oliveirę i Murphy'ego.

– Co mówił stary? – zapytał Oliveira.

– Powiedział, że jest z nas zadowolony – odparł de la Maza.

– O tym mówił przy nas – wtrącił Murphy.

– Przy was mógł mówić z grzeczności. Mnie podał oficjalną ocenę.

Chodźmy już, pan Murphy musi wypocząć.

Murphy:

– Co o mnie powiedział?

De la Maza:

– Że jest zadowolony.

Oliveira:

– Nic więcej?

De la Maza:

– Że jest bardzo zadowolony.

Przed wyjściem z lotniska czekał czarny boy z podręczną walizką Murphy'ego wyniesioną z samolotu. Nim wsiedli do plymoutha, Ruiz Oliveira umówił się z Murphym na wieczór: przyjdzie po niego do hotelu, o dziesiątej.

Boy bezczelnie przypatrywał się Murphy'emu.

– A ten chłopak? – zapytał Murphy. – Skąd on do mojej walizki?

– To pański boy – wyjaśnił Oliveira. – Zostanie z panem, jako tako zna angielski.

- Nie potrzeba mi boya. Przecież w hotelu jest służba.
- Pan ma zawsze za dużo do powiedzenia – odparł de la Maza. – To jest właśnie boy z „Cosmosu”, przydzielony do pańskiej dyspozycji.
- Niech pan coś przekąsi i wyśpi się do ósmej – dodał Oliveira.
- No więc? – zapytał de la Maza. – Możemy się chyba pożegnać. Zostanę z Juliem i uzgodnię z nim jeszcze, gdzie się spotkamy, bo ja przyjdę później.

Murphy nie kwapił się z pożegnaniem. Chciał jeszcze o coś zapytać, zastanawiał się nad tym pytaniem.

– Słucham – odezwał się Octavio cofając wyciągniętą dłoń. – Ma pan coś jeszcze?

– Panie de la Maza, mam tylko jedno pytanie... Pan wie, że znam trochę hiszpański...

- Pułkownik Abbez jest z tego zadowolony.
- Wydawało mi się – ciągnął Murphy – że pułkownik powiedział coś o moim odlocie i o mojej sytuacji, kiedy jeszcze nie dowiedział się od pana, że trochę rozumiem po hiszpańsku. Mówił, że nie mogę stąd odlecieć, czy coś podobnego...

De la Maza zaśmiał się.

– Nonsens. Pułkownik nic takiego nie powiedział.

– Musiałem źle zrozumieć.

– Na pewno źle pan zrozumiał. Tak sędzę.

Murphy zwrócił się do Oliveiry:

– Czy to prawda? Pan także nic nie słyszał?

Oliveira: – Nie zauważyłem nic podejrzanego.

– To znaczy, że jutro mógłbym odlecieć?

De la Maza:

– Natychmiast po remoncie maszyny. Dobrze pan lata, ale bez podwozia nie uda się panu wystartować. Niech pan zaczeka do jutrzejszej rozmowy z panem pułkownikiem. Może trafi się interesująca robota związana z pana powrotem do Linden. Zarobić w obie strony to ideał dla frachtowców i samolotów. Do zobaczenia, panie Murphy. Na pewno źle pan zrozumiał słowa pułkownika.

Czarny plymouth odjechał.

Murphy siedział przy kierowcy, boy na tylnym siedzeniu.

Wjechali do Ciudad Trujillo.

Olbrzymi neon odcinał się ostro od ciemniejącego nieba.

Murphy przeczytał: „Bóg i Trujillo”.

26.

Nie miałem ochoty na spotkanie z Harriet Claire. Ostatni raz widziałem ją przed trzema miesiącami.

– Harriet – mówiłem jej wtedy – nie rozmawiajmy o tym. Jeszcze nie, czekaj. Zapomnijmy na razie o naszych przeklętych problemach, o tych sprawach, którymi trują się wszyscy wokół, i my... Zapomnij, że mamy coś do rozstrzygnięcia. Potrafisz zapomnieć?

Działo się to u mnie w domu. Harriet spoczywała w fotelu. Siedziałem przy niej, na poręczy oparcia.

Od chwili przyjścia Harriet była niespokojna i myślała tylko, co miałem jej powiedzieć: czekała na to, jak na wyrok. Nie wiedziała jednak i nie rozumiała, że tylko ja mogłem być naprawdę skazany, przez nią.

– Obiecałeś, że powiesz. Dlaczego nie mówisz? Czemu odkładasz? – pytała Harriet. – Musimy to jakoś załatwić.

– Harriet, moja śliczna, czy nie potrafisz tak zrobić, żeby przez jedną godzinę nie mówić o tym ani o nic nie pytać? Proszę.

Odsunęła się, odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na mnie jak ekspedientka w sklepie patrzy na klienta płacącego fałszywymi pieniędzmi.

– Zdaje się... Możesz już nie mówić. Domyślam się, co chcesz powiedzieć. Lepiej nie mów.

Żałowałem już, że zaprosiłem ją do siebie na ostatnią rozmowę. Wszystko zepsuła. Zależało mi, żebyśmy byli jeszcze raz z sobą, ostatni raz, i żeby pamięć tego spotkania, może ostatniego, nigdy nie przeminęła, żeby trwała we mnie nie mniej silnie, jak wspomnienie pierwszej nocy spędzonej z Harriet.

– Harriet – powiedziałem, odsuwając się również – Harriet, czy naprawdę łączy nas tylko ten jeden temat i nic więcej? Czy cała twoja miłość, o której tak wiele mówiłaś, skoncentrowała się na tym jednym pragnieniu? Porozmawiajmy,

dzisiaj ostatecznie, tak jak chciałaś, i powiem ci szczerze, co myślę, ale nim to nastąpi, podaruj mi jeszcze godzinę, dorzuć tę jedną godzinę do kilkunastu miesięcy, które spędziliśmy razem. Bądź wspaniałomyślna.

Przysunęła się bliżej i przytuliła twarz do mego ramienia.

– Mike, to nie ma sensu. Sam wiesz, jak się skończy pożegnalna godzina. Znowu ci powiem, kiedy mnie przytulisz, że jest mi wszystko jedno, i że zgadzam się na to, co tylko zechcesz, byle cię nie stracić. Powiem ci, że godzina z tobą wynagrodzi mi wszystko, nawet gdybym przez całe życie miała być nieszczęśliwa, i że stać mnie na taką cenę... Mike, to do niczego nie prowadzi, ty wiesz. Nie mogę tak dłużej, zrozum mnie, nie mogę...

Pocałowałem ją, lecz to w niczym nie przypominało smaku naszych pierwszych pocałunków. W ruchu jej warg było coś z tego drżenia ust, które pojawia się, kiedy kobieta płacze.

– Mike...

Znałem ten ton i głębokie brzmienie jej głosu. Teraz powie, że bym ją rozebrał, i na godzinę czy dwie zapomni o swoim „wielkim problemie”. Będzie ze mną, tylko ze mną, skupiona i oszołomiona. I wtedy dopiero się ocknie, kiedy już znowu będzie ubrana i gładko uczesana, ze szminką nałożoną na wargi, i wówczas zacznie znowu mówić, znowu o tym samym, ale dzisiaj już po raz ostatni.

Stało się, jak przypuszczałem.

Kiedy po dwóch godzinach stanęła przede mną, już ubrana i gładko uczesana, ze szminką na ustach, z zegarkiem na przegubie dłoni, w pończochach, ale jeszcze bez pantofli – zapytała:

– No więc? Co postanowiłeś?

– Chodźmy stąd – powiedziałem. – Pójdziemy do *snack-baru* i tam pogadamy. Jesteś cudowna, że jednak przyszłaś do mnie.

– Nie chcesz tutaj rozmawiać?

– Nie, Harriet, nie tutaj.

Pochyliłem się i pomogłem jej włożyć pantofle; podnosząc stopę wsparła się dłonią o moje ramię.

Po raz ostatni, Harriet, wszystko dzieje się po raz ostatni.

Nigdy więcej nie pochylę się tak przed tobą i już nigdy nie poproszę, żebyś przyszła do mnie. Może nawet się zgodzisz – myślałem – nie wiem, ale nie poproszę, nie chcę twojej wspaniałości, nie, nawet nie to, tylko nie umiem być wdzięczny, nie chcę być wdzięczny, nikomu. Swojej ceny, o której mówiłaś, także nie zapłacisz: nieszczęściem całego życia za godzinę ze mną. Tak się tylko mówi. „Nieszczęście”, „szczęście”, jakie to naiwne, banalne i nieprawdziwe. Mamy w życiu coś do zrobienia i ostatecznie każdy załatwia swoje sprawy, jak tylko umie, nie licząc się z nikim.

Weszliśmy do wąskiego *snack-baru* i usiedliśmy na wysokich stołkach przyśrubowanych do podłogi, w samym kącie, tam gdzie metalowa bariera długiej lady przytykała do drewnianej boazerii ściany.

– Martini – powiedziałem do barmana. Znał mnie, zaglądałem tu od czasu do czasu. – Dla pani dodatkowo *cheese cake*. – Harriet miała, dziwaczny zwyczaj zagryzania alkoholu sernikiem.

– Dry Martini czy specjalne?

– Ochrzcić gin i dodać krople cytryny.

Pyzaty i pogodnie uśmiechnięty barman nalał do kieliszków po trzy czwarte ginu i po jednej czwartej gorzkiego wermutu. Przechyliwszy najeżoną kolcami podstawkę ze świeżo wyciśniętym sokiem cytrynowym, strząsnął z niej po kilka kropel do kieliszków; umieścił je na małej tacce i przysunął w naszą stronę. Obok postawił talerzyk z sernikiem.

– Te będą po dolarze i dwadzieścia pięć centów, proszę pana.

– Dlaczego tak dużo? – zapytała Harriet, która w napięciu obserwowała przygotowania barmana.

Wyszczrzył zęby w przyjaznym uśmiechu i wskazał tabliczkę zawieszoną nad barem:

Nasz bezkonkurencyjny Dry Martini – dolarów 0,70.

Tenże z doskonałymi radami gości – dolarów 1,40.

Harriet głośno przeczytała napis. Ponieważ barman powiedział, że płacimy po dolarze i dwadzieścia pięć centów, zapytała:

– Więc dlaczego tak tanio?

– To specjalna ulga dla pana Wynna.

Zwróciła się do mnie:

– Znają cię tutaj? Z kim piłeś martini?

– Z całym mnóstwem gości, których nie powinnaś znać, Harriet. To kompromitujące znajomości.

Zaczekała, aż barman się oddali, i powiedziała:

– W ogóle nie wiem, co robisz, kiedy latam kilka mil nad ziemią. Nie wiem, z kim się spotykasz, i nie znam twoich przyjaciół. Gdybyś został moim mężem, byłabym o wiele spokojniejsza.

Będziesz i tak spokojna, pomyślałem, zaoszczędzisz sobie stu tysięcy zmartwień i myślenia o tym, z kim się spotykam. Za godzinę będziesz zupełnie spokojna, Harriet, w każdym razie bardziej spokojna, niż sobie tego życzyłaś. Będzie mi źle bez ciebie i będę czekać, wiedząc, że już nie przyjdiesz. Lecz nic się nie zmieni w tym, co myślę o kobietach, którym bardziej zależy na małżeństwie niż na miłości. Większość kobiet poświęci największą miłość dla byle jakiego małżeństwa. Większość marzy tylko o tym, żeby nazywać się żoną. Dobrze, Harriet, będziesz żoną, taką jak milion innych, ktoś się o to postara, ale nie ja...

– O czym tak myślisz, Mike? – zapytała Harriet. – Czy po to mnie przyprowadziłeś do *snack-baru*, żeby myśleć o swoich sprawach?

– Wypij do końca, to ci powiem.

– W takim tempie?

– Nad następnym kieliszkiem posiedzimy dłużej.

Wypiliśmy.

Zamówiłem jeszcze dwa martini, takie jak poprzednio.

27.

Julio Ruiz Oliveira znał wszystkie nocne lokale Ciudad Trujillo i wiedział, w których można bawić się najlepiej. Zwiedził z Murphym, kabarety śródmieścia i teraz, z pewnym trudem, zataczając się lekko, dobrnęli do przedmieść i pograżyli się w wąskich uliczkach cuchnących stęchłymi rybami i zgniłymi owocami mango.

Tu lokale nie były tak eleganckie i czyste jak w nowoczesnej dzielnicy, ale

Murphy szybko zorientował się, że są weselsze, bardziej bez troskie i pozbawione tej charakterystycznej sztywności, jaką wprowadzają bogaci cudzoziemcy i wytwornie ubrani ludzie. I zapewne mniej szpicli towarzyszyło tutaj ich wędrowni i Dominikańczykom siedzącym przy stolikach pochłapanych tłuszczem, lepkiem sokiem owoców i winem o kwaśnym odorze.

Weszli do tawerny „La Habana”, mieszczącej się w grubych murach starej budowli, z której pozostały tylko fundamenty i piwnice. Miała w sobie coś z atmosfery podobnych lokali w Barcelonie; Oliveira przez rok przebywał w Hiszpanii i wspomniawszy Murphy'emu o tym zaskakującym podobieństwie.

Murphy rejestrował pierwsze wrażenia: oszołomiony alkoholem gitarzysta z olbrzymią szczęką, kilka sennych dziewcząt ze szminką rozmazaną na policzkach i ustach, rozpierających się łokciami na stołach i kontuarze baru. Obok gitarzysty półnaga tancerka w szkarłatnej pelerynie luźno zwisającej z ramion; Murphy dostrzegł jej dziką, klasycznie południową urodę, mięsiste usta i długie rzęsy, wysoko zakreślone brwi i delikatne, ruchliwe nozdrza wąskiego nosa.

– To świetna tancerka – powiedział Oliveira – nazywa się Monika Gonzales.

Przy stolikach siedziały pochylone ku sobie postacie kobiet i mężczyzn, jakby czekające na kogoś, kto rzuci hasło do zabawy. Na wszystkich ścianach wisiły plakaty z podobizną generalissimusa Trujillo.

Wybrali stolik ustawiony przy parkiecie.

Oliveira rzucił na gitarę banknot. Wtedy gitarzysta z olbrzymią szczęką sięgnął po banknot leniwym ruchem, obejrzał go i wsunął pod płaski czarny kapelusz z rondem ocieniającym pół twarzy. Poprawił ten kapelusz, zsunął go jeszcze niżej na oczy i końcami palców uderzył w struny. Zaczarował ich tym jednym akordem.

Zsunęła się szkarłatna peleryna z obnażonych ramion tancerki. Miała na sobie wąskie majteczki, brzuch, krągły i gładki, był odsłonięty. Spod krótkiego bolerka zawieszzonego na dwóch ramiączkach, przy każdym ruchu Moniki Gonzales wyzierały doskonale ukształtowane piersi; tylko dwa krążki wielkości srebrnej półdolarówki osłaniały sutki.

– Jezu – szepnął zachwycony Murphy – to jest dopiero laleczka! Widzisz te płuca?

Nim wstąpili do „La Habana” przepili do siebie w kabarecie „La Altagracia” i poprzysięgli sobie dożgonną przyjaźń. Mimo zawarcia tego braterskiego sojuszu Oliveira pił mniej niż Murphy i opuszczał co drugą czy trzecią kolejkę, tak manewrując, by Murphy tego nie zauważył. Szumiało mu jednak w głowie i jego ruchy stawały się coraz bardziej niepewne.

Uczepił się ramienia Murphy'ego.

– Co wypijesz, Gerald? Zamów, co tylko zechcesz, a ja ci złego słowa nie powiem, jakbyś nawet opróżnił wszystkie butelki za ladą, mówię ci, Gerald, wybieraj, na co masz ochotę, płacę... Albo zamówmy dobre, stare wino, takie, które trzyma w piwnicy ten gość z wąsami szczura – mówiąc to, wskazał na właściciela tawerny „La Habana”.

Murphy był zahipnotyzowany biodrami tańczącej na parkiecie Moniki Gonzales. Wpatrzony w nią i wsłuchany w coraz szybsze i głośniejsze klaskanie kastanietów, mruknął, nie patrząc na Oliveirę:

– Zamów mi, bracie, coś konkretnego, bo to wasze wino już mi z uszu wycieka; i wszystkie wnętrzności pływają w tej cholernej cieczy. Zamów mi, bracie, *double*... no, sam wiesz, *double-scotch*. Jeden porządny *double-scotch*.

– *Si señor* – usłyszał Murphy basowy głos. Przy nim stał barczysty Mulat z wąsami szczura.

Gitarzysta rwał struny w przyspieszonym rytmie *quarachy* i śpiewał ciepłym, lirycznym barytonem.

Murphy patrzył jak urzeczony na wijące się i podrygujące w nagłych podrzutach giętkie ciało tancerki.

Jezu, to jest dziewczyna – pomyślał – takie ciało można tylko wymyślić... Człowiek pęta się po tym stukniętym świecie i nawet do głowy mu nie wpadnie, że są takie ciała! Dla mnie bomba.

Julio trzepnął go w kark brzegiem dłoni.

– Gerald, jedno oko już ci wyskoczyło, wisi na nitce... Nie gap się tak, pójdziemy później do takiego wesołego domku, gdzie możesz mieć lepsze babki niż te, które u was pokazują w Hollywood na obrazkach.

– A z tą – pytał Murphy – z tą można by pójść? Znasz ją, Julio? Poszłaby ze mną? Co? Tylko nie mów, że ze mną pójdzie. Koniec świata.

– To Monika Gonzales – może ci już mówiłem – jedna z najlepszych tancerek w tej najgorszej republice świata. Naraziła się synowi Trujillo i wyrzucili ją z baletu dominikańskiej opery. Nie wolno jej także tańczyć w wielkich lokalach, policja zabroniła. Teraz już schodzi na psy. Pije za dużo, a to wykańcza tancerki.

– Taką babkę wyrzucić, Jezu! Ty byś takiej nie wyrzucał, co, Julio? No powiedz, wyrzuciłbyś czy nie? Ale popatrz, ona wcale nie jest wykończona.

– Rozumiesz, Gerald, jest wykończona, bo taniec ją męczy. Wódka, brak snu, nikotyna. Takie życie wykańcza serce. Tancerki są delikatne i nie mogą sobie pozwolić na takie życie.

– Ale nie wygląda na wykończoną, Jezu, sam popatrz! Julio, wcale tak nie wygląda – upierał się Murphy. – Ona wcale nie jest wykończona.

– Tak ci się zdaje, bo kiedy tańczy, wpada w trans. Monika pije czasem jak poganiacze mułów, bo kiedy ją wylali z baletu, miała właśnie podpisać kontrakt na następny sezon jako primabalerina. Zapraszali ją także na solistkę do *The Teatro Colón* w Buenos Aires. Znasz chyba te reklamy o argentyńskiej *Opera House. The Teatro Colón – the pride of all Argentina – is said to be the largest in the world...* Kroiła się olbrzymia kariera. Monika miała wtedy siedemnaście lat.

– A co ma do niej Trujillo?

– Syn Trujillo zapraszał ją wtedy na jakieś przyjęcie do siebie, a ona odmówiła, bo tam się wyprawia straszne świątwa. Ramfis Trujillo ją zapraszał.

Murphy kręcił niedowierzająco głową, nie był przekonany, nie wierzył.

– Z takim ciałem mogłaby znaleźć gdzie indziej dobrą robotę, nie mów, Julio... Takie ciała są w cenie na całym świecie. Mogłaby nawet do Moskwy pojechać i tam także dostałaby się do baletu. Widziałem kiedyś na filmie pierwszorzędnny balet z Moskwy. Jakieś jezioro, chyba łabędzie. Dobrze mówię? Wiesz, ja jestem przeciętny facet, ale oglądam kino w telewizji.

– Nic nie rozumiesz. Nie wypuszczą jej stąd. Niby jest wolna, ale żyje jak w więzieniu. Nie ona jedna.

– Mogłaby uciec, Julio. Jezu, czemu nie uciekniesz?

– Tylko nie proponuj jej czegoś takiego. Monika wie, że wszędzie by ją znaleźli. Nawet pod ziemią.

– Kto?

– Z jednym takim gadałeś, kiedy angażował cię do przewiezienia Galindeza. Tacy ludzie znajdują każdego, nawet na biegunie. Mógłbyś się w pingwina zamienić, a oni wywąchają, że to jesteś ty. I pokażą cię palcem.

Murphy spojrzał przytomniej.

– Ja przewoziłem Galindeza? Jakiego Galindeza? Ten facet na noszach nazywa się Galindez?

Oliveira był zaniepokojony, udawał zdumionego.

– Mówiłem, że Galindeza? Co ci wpadło do głowy? Musiałem powiedzieć coś po hiszpańsku, a ty się przesłyszałeś. Za dużo wypiełeś.

– Cholera, tu każdy coś kręci. U was są paskudne stosunki, Julio, nie podoba mi się historia z tą tancerką. Ty, popatrz tylko, jak ona wygina dłonie w przegubach; wydaje się, że są z gumy... Czytałem trochę, co się u was wyprawia, i jeżeli tak jest naprawdę, to mówię ci, Julio, że w Dominikanie są parzywe stosunki.

– Jeszcze się przekonasz, Gerald, sam zobaczysz. Tylko trzymaj pysk, z nikim nie gadaj o tych sprawach... Ja także udaję kogoś innego, zawsze, nawet kiedy biorę jakąś dziewczynę do łóżka. U nas trzeba się bać wszystkiego i wszystkich. Każdy dom ma szpicla, każda ściana ma uszy, każda ulica sto par oczu, każdy kelner pracuje dla policji... Gerald, nie mówiłem ci jeszcze, że od trzech lat gnoją w kryminale mojego ojca i moją siostrę, Dolores. Ma teraz dziewiętnaście lat. Co ty tam wiesz. To wspaiała dziewczyna.

– Za co ich wpakowali?

– Na urodziny Trujillo oklejano wszystkie domy plakatami z jego genialną buzią. Jeden plakat, malowany na dykcie, przyczepili do okna pokoju, w którym pracował mój ojciec, i to zasłaniało mu całe światło. Powiedział siostrze,

żeby wyszła na balkon i przesunęła ten plakat bardziej w stronę balkonu, żeby odsłonić okno.

– Julio, co ty opowiadasz... Nie wolno przesuwać plakatów?

– Jeden z sąsiadów – ciągnął Oliveira – stał na drugim balkonie i widział, jak Dolores przesuwa dyktę. Zadzwoił na policję. Za kilkanaście minut przyjechał wóz policyjny i zabrał Dolores razem z ojcem, chociaż plakat wisiał na balkonie. Oskarżono ich, że chcieli go zerwać. Siedzą już trzeci rok... Zobacz, Gerald, podobne plakaty wiszą tutaj...

Murphy rozejrzał się, i wtedy dopiero spostrzegł, że z każdej ściany patrzą na niego małe, ukryte pod łukami brwiowymi przenikliwe oczy generalissimuśa Rafaela Trujillo. Wokół tej prymitywnej, tępej twarzy tyрана i rozpustnika – lub pod nią – twarzy wymuszenie uśmiechniętej, ozdobionej na wydłużonej górnej wardze angielskim wąsikiem à la Hitler, widniały olbrzymie napisy:

NIECH ŻYJE GENIALNY TRUJILLO
WIERZĘ W BOGA I W TRUJILLO
ZBAWCA I ODKUPICIEL – TRUJILLO
TRUJILLO JEST MOIM OBROŃCĄ
TRUJILLO – WIELKI WYBAWICIEL AMERYKI

Poza estradą, na której wirowała coraz szybciej Monika Gonzales, na ścianie stanowiącej tło dla jej zwinnych ruchów, największy plakat głosił:

Trujillo
Przewodnik Świata – obrońca Pokoju
Największy Wróg Komunizmu

Murphy coraz trzeźwiej patrzył na otaczające go plakaty i slogany. Uśmiechnął się, wzruszył ramionami; nie znając Dominikany, nie pojmował, na czym polega groza i strach codziennego życia w tym kraju.

– To są głupie, kawały, a nie propaganda. Powiedz mi, Julio, nikt u was nie umiera ze śmiechu, kiedy patrzy na te idiotyzmy?

– Zgadłeś, Gerald, taki śmiech naprawdę kończy się śmiercią. Widziałeś w śródmieściu czterometrowy, pokryty złotem posąg Trujillo? W tym kraju jest

dwa tysiące pomników Trujillo, w najrozmaitszych pozach. Na koniu, z książką, na kuli ziemskiej, z dziećmi, otoczony aniołami... Zobaczysz słynny olbrzymi fresk, wykonany przez wielkich artystów, na którym Trujillo stoi razem z Krzysztofem Kolumbem.

Oliveira rozejrzał się, pochylił głowę i zniżył głos do szeptu.

– Na autobusach, taksówkach, lokomotywach i traktorach, na dworcach kolejowych i budynkach publicznych, na kioskach i nawet na rowerach znajdziesz nazwisko: „Trujillo”. Wszędzie, dokąd się tylko ruszysz, przeczytasz napis: „Wierzę w Boga i Trujillo”, „Tylko Trujillo ciebie uszczęśliwi”, „Trujillo – zbawca ojczyzny”, „Trujillo – największy człowiek w dziejach Ameryki” – Trujillo – geniusz, filozof, mędrzec, budowniczy, obrońca uciśnionych, pierwszy i największy szef państwa, stwórczyni i zbawiciel Republiki... Mówię ci, Gerald, rzygać się chce, wszyscy od tego chorują...

Murphy słuchał niezbyt uważnie. W tej chwili Monika Gonzales kończyła swój taniec; gitarzysta, szarpnąwszy silniej strunami, wziął ostatni akord, ona zaś z gracją pochyliła się w ukłonie, i zalotnie uśmiechnięta posłała Murphy'emu pocałunek.

– Widziałeś, Julio? Widziałeś, co ona zrobiła? Jezu!

– Zrób teraz tak samo... Tak, dobrze. Wygląda na to, że wpadłeś jej w oko, chyba pójdzie z tobą. Tylko błagam cię, nie opowiadaj jej, z czym tu przyleciałeś!

– Taka przygoda kosztuje chyba wagon forsy?

– Dałaby ci w twarz, gdybyś chciał jej zapłacić. Ona z nikim nie pójdzie za pieniądze. Nie poszła nawet do Ramfisa Trujillo.

– Myślisz, że kochałaby mnie tak sobie, za nic?

– Za to, że się jej podobasz. Ale to jeszcze nic pewnego. Nawet gdyby dzisiaj z tobą poszła, nie licz na to, że przyjdzie do ciebie jeszcze kiedyś. Monika nie chce mieć kochanka. Czasami ma swoje kaprysy, jak księżniczka, której się nudzi, i to wszystko.

– A ten gitarzysta? Wolałbym z nim nie zaczynać. Dolną szczęką mógłby tłuc kamienie.

– To tylko jej akompaniator, mówią nawet, że jakiś wujek. Nie wiem na pewno. Może pracuje dla policji i pilnuje Moniki, żeby się nie urwała z

Republiki? Nikomu tutaj nie wierzę. Cieszę się, Gerald, że ciebie poznałem, bo z tobą można szczerze porozmawiać.

– Pewnie – potwierdził Murphy – ze mną możesz gadać o czym chcesz.

28.

Chociaż działo się to przed trzema miesiącami, pamiętałem jak najdokładniej wszystkie szczegóły ostatniego spotkania z Harriet.

– Dwa martini, jak już wiesz – powiedziałem do barmana.

Siedzieliśmy z Harriet w przytulnym *snack-barze*, który odwiedzałem od czasu do czasu.

– *Sure* – powiedział barman – robi się, panie Wynn.

Napełnił dwa nowe kieliszki i uprzątnął opróżnione przez nas.

– Słucham, Mike – powiedziała Harriet.

– Podtrzymujesz swoje ultimatum?

– Nie mogę inaczej. Sam pomyśl. Przeszło rok chodzimy z sobą i przekonałeś się, tak jak ja, że jest nam dobrze razem, prawda, Mike? Powiedz, że jest nam dobrze. Tak dobrze, jak nikomu innemu.

– Nie może być lepiej, Harriet – powiedziałem. – Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być lepiej z jakąś inną dziewczyną.

– Widzisz. Ja także nie wierzę w coś takiego, ale nigdy nie chciałabym tego sprawdzać.

Poruszałem słomką kostkę lodu pływającą w kieliszku.

– Czy może być prostsze wyjście – jeśli nam jest tak dobrze – jak to, żeby zostać z sobą? Harriet, nie powtarzaj tego, co ci radzi matka, nie mów nic z nawyku, z przyzwyczajenia do powtarzania komunałów, ale zastanów się, czy nie jest zbrodnią rozstawać się, jeżeli jest nam tak dobrze?

Podniosła kieliszek do ust.

– Mój Boże, kto mówi o rozstaniu? Pobierzmy się, zamieszkajmy razem i wszystko będzie okay.

– Harriet, moja miła, czy naprawdę nie możesz się obejść bez urzędowego stempla na naszym związku?

– Wszyscy, którzy kochają się naprawdę, pobierają się ze sobą. Czekałam na to przeszło rok i dłużej nie mogę czekać. Chcę mieć dom, męża i dziecko. Taka już jestem.

– W ten sposób zamienimy naszą miłość na szacowne życie rodzinne. To jest zupełnie coś innego. Może z inną poszedłbym na to, kto wie, ale nie z tobą, Harriet, nie z tobą, bo ciebie jedną kocham.

– Ładna miłość, dziękuję.

– Harriet, o tym nic nie mów, błagam cię, nie mów nic o mojej miłości. Tak wiele znaczy ona dla mnie, że nie chcę jej zamienić na nic innego, na coś takiego, co proponujesz.

– I wolisz mnie stracić?

– Tak, Harriet, wolę ciebie stracić niż moją miłość do ciebie. Bo to jest coś więcej.

– Nie można się z tobą porozumieć, Mike, zawsze musisz mieć rację.

– Ty ją będziesz miała, jeżeli ode mnie odejdziesz. Do ciebie należy ostatnie słowo.

Nie przekonałem jej; upierała się przy swoim, wciąż powtarzała to samo.

– I jak długo będziesz mnie kochać? Jeżeli nie zostanę twoją żoną, opuścisz mnie któregoś dnia. Ja wiem, jak to jest. Matka mi mówiła.

Harriet, pomyślałem, nic nie wiesz. Wiesz tylko, jak można w znany od wieków i doskonale wypróbowany sposób zniszczyć miłość. Dobrze, załóżmy, że jesteś moją żoną. I pewnego dnia przestajesz mnie kochać albo ja ciebie. Małżeństwo stwarza niezliczone szanse, żeby przestać się kochać. Co wtedy? Czy nie lepiej być w takiej sytuacji osobno, żeby odpocząć od siebie, zacząć znowu tęsknić i wrócić? Zostałabyś przy mnie, jako żona, nie kochając mnie? Albo czy zostałabyś, gdybym ja ciebie nie kochał? Tak, Harriet, zostałabyś, wiem o tym, bo jesteś wychowana jak miliony innych dziewcząt: nauczono ciebie, że miłość jest mniej ważna niż małżeństwo, że miłość szybko przemija, a małżeństwo to świętość, która powinna trwać aż do zgonu. Och, Harriet,

dziękuję, wysiadam, mnie to nie bawi. Komiczne, może tragiczne nieporozumienie.

Usłyszałem jej głos, jakby z oddalenia.

– Wypij, Mike. Czemu nic nie mówisz? O czym myślisz?

– O tym, co powiedziałaś.

– Myślałam, że nie słyszałeś.

– Słyszałem, Harriet. Przykro mi o tym mówić i wstydziłbym się przysięgać, czy tylko zapewniać cię, że nigdy cię nie opuszczę. Małżeństwo wcale nie jest, w moim pojęciu, tym najważniejszym powodem do pozostania przy kobiecie, której się już nie kocha. Po co komu taka męczarnia? Chyba gdzieś czytałaś, że ludzie wymyślili rozwody... Jak mam cię przekonać, że jestem uczciwy i że dlatego cię nie opuszczę, bo dla zachowania miłości zgodziłaś się kochać jak wolny człowiek, bez więzów, bez sankcji, bez przymusu.

Na nic te argumenty. Harriet była trzeźwa i praktyczna; zazdrościłem jej. Dziewczyna zrobi karierę.

– Moja matka nigdy się na to nie zgodzi – powiedziała Harriet. – Ona mnie kocha.

– Twoja matka. A ty?

– Moja matka ma rację.

– Przecież nie zna mnie, nic o mnie nie wie.

– Chce, żebym była szczęśliwa.

Dotknąłem jej dłoni, zamknąłem ją w mojej pięści.

– Harriet, przed godziną, kiedy leżałaś przy mnie, mówiłaś, że nie możesz zostać sama, że nikogo nie chcesz prócz mnie, że poświęcisz wszystko, byle tylko zostać ze mną. Bo inni nudzą cię i śmieszą.

– Chyba tak powiedziałam, ale to działa się w wyjątkowej chwili, rozumiesz, a poza takimi chwilami jest ileś tam tysięcy powszednich dni i sto tysięcy godzin, w których nie będę się przytulać... Wtedy myślę inaczej.

Odwróciła wsparcią na ladzie dłoń i zacisnęła ją na mojej ręce.

– Harriet, czy nie możesz pojąć, że kiedy to mówiłaś, byłaś naprawdę sobą? Wtedy jesteś najprawdziwsza, autentyczna, nie skażona przesadami, kominatami ani praktycznymi poglądami twojej matki i zapominasz o pozorach. Opamiętaj się, Harriet!

- Właśnie się opamiętałam – powiedziała wysuwając dłoń z mojej pięści.
- Ocknęłam się już. A wtedy, kiedy mówiłam ci coś innego, byłam oszołomiona.
- I odchodząc ode mnie, będziesz przekonana, że postąpiłaś słusznie?
- Słusznie i zgodnie z tym, co każe mi moje uczucie do ciebie.
- Wyjątkowo rozsądne i trzeźwe uczucie.
- Trudno, jestem kobietą i muszę być rozsądna.
- Masz rację, Harriet. Mówiłem ci straszne głupstwa. Nie gniewaj się. Zawsze słuchaj mamusi, nawet w noc poślubną.
- Widzisz! – zawołała tak głośno, że barman odwrócił się w naszą stronę. Podsunąłem mu mój kieliszek; kieliszek Harriet był opróżniony do połowy.
- I dla mnie – powiedziała do barmana, szybko wypijając resztę martini. Przez kilka minut siedzieliśmy nad napełnionymi kieliszkami i nie odzywaliśmy się do siebie. Milczenie przerwała Harriet:
- Nie będę już pić, bo się rozplaczę.

29.

Murphy szarpnął Oliveirę za rękaw.

- Julio, popatrz! Ten gość ze szczęką mamuta wstał i bierze gitarę na plecy.
- Monika również wstała, otuliła się szczelniej peleryną.
- Oni już idą, zobacz! – zawołał Murphy.
- Nie martw się. Wróć. Monika tańczy jeszcze w kabarecie „Aristos”, niedaleko stąd. Ma tam swój numer w programie rewiowym. Wróci za pół godziny i wtedy możesz ją poprosić do naszego stolika. Gitarzyście dasz trochę forsy, żeby spłynął.
- Murphy zerwał się z miejsca.
- Chodźmy do tego kabaretu, gdzie ona tańczy. Wyjdziemy zaraz za nimi. Bo trafi się ktoś inny. Jezu, co za ciało!
- Oliveira siłą ściągnął go na krzesło.
- Nie możemy się stąd ruszyć. Zaraz powinien przyjść Octavio, wstąpi

tu ze swoją dziewczyną. Umówiłem się z nim w „La Habana”.

– Ktoś może mu powiedzieć, że jesteśmy w tym kabarecie! Zawsze znajdzie się taki, co dużo mówi i wszystko wie.

– Octavio przyniesie ci tymczasową wizę, wkładkę do paszportu. Jeżeli teraz zahaczyłaby ciebie policja, bez tych papierów musiałbyś przespać się w więzieniu. Dopiero następnego dnia Abbez wyciągnąłby ciebie z aresztu.

– Ja bym jednak zaryzykował. Widziałeś jej płuca?

– I zamiast z Moniką spałbyś dzisiaj ze szcurami w celi więziennej. Siedź ty lepiej spokojnie, oni zaraz wrócą, razem z jej płucami.

Kiedy Monika Gonzales, prawdopodobnie urażona, że nie idą za nią, przechodziła wyniośle obok ich stolika, Murphy sięgnął po olbrzymie purpurowe kwiaty stojące przed nim w glinianym wazonie i rzucił je pod stopy tancerki.

Spojrzała na niego ogromnymi, ciemnymi oczyma, poruszyła powiekami powleczonymi złotą szminką i musnęła jego usta wewnętrzną stroną dłoni, ale na tak krótki moment, że nie zdążył nawet pocałować jej palców.

– Będziesz z nią spać – powiedział cicho Oliveira, kiedy tancerka, odprowadzana ich wzrokiem, znikła za drzwiami tawerny. – Trafiteś. Twoja.

– Jezu – jęknął Murphy – kto by pomyślał. Taka maskotka ze mną, koniec świata, bracie, powiadam ci, koniec świata. W Stanach musiałbym mieć harmonię zielonych.

Nagle szarpnął Julia za rękaw.

– A gdyby tam kogoś znalazła? W tym drugim kabarecie może się jej trafić jakiś lepszy facet.

– Uspokój się, z nią nie tak łatwo. Wybredna dziewczyna. Gerald, nie pij dużo, bo zaśniesz, kiedy Monika przytuli się do ciebie.

– Zjem grejpfruta, z tego się trzeźwieje. Są sposoby.

Mulat z wąsami szczura podał im koszyk z owocami. Leżały w nim ogromne ananasy, grejpfruta i cassawy, pigwy i kajmity. Murphy przeciął grejpfruta na dwie części i wbił łyżeczkę w soczysty miąższ.

– Julio, czemu ciebie nie capnęli za te plakaty? Pomyślałem sobie, że

jeżeli twój stary siedzi razem, z siostrą już trzy lata... Dlaczego ty nie siedzisz? Coś tu nie gra.

– Gerald, ja dla nich nie pracuję jak Octavio. Octavio jest równy gość, ale musisz z nim uważać. Abbez albo ktoś z jego wywiadu dają mi czasem jakąś łatwą robotę tylko po to, żeby mnie wypróbować. I wtedy mnie pilnują.

– A co w ogóle robisz? Jak trafiasz zielone?

– Jestem nawigatorem, ale właściwie kończyłem lotniczą szkołę inżynierów mechaników. Miesiąc temu puścili mój samolot na inną trasę, a teraz kupili dwie nowe maszyny boeing 707, i na jednej mam latać, w lotnictwie cywilnym. Nim zamknęli ojca, latałem w wojskowym. Wiesz, nie było mnie w domu, jak ich aresztowali. Kiedy wróciłem, czekało w mieszkaniu dwóch agentów. Zmasakrowali mnie do nieprzytomności. Leżałem w szpitalu siedem tygodni... W szpitalu jest przed każdym łóżkiem napis: „TYLKO TRUJILLO MNIE UZDROWI”. Człowiek gapi się na to przez cały dzień, i wreszcie głupieje albo rezygnuje, jak ja. Pomyślałem wtedy, co zrobić, żeby zabić w sobie nienawiść do tej ohydy, jak zabić w sobie nudę, poczucie samotności i lęk, jak żyć w nieustannym zagrożeniu.

– Jeżeli miałbym takie problemy jak ty, tobym stąd nawiał. Znajdzie się jeszcze miejsce na świecie dla jednego faceta. Świat jest mały, ale ty się na nim zmieścisz.

– Jesteś naiwny, Gerald. Oni potrafią każdego znaleźć, wszędzie, nigdzie się przed nimi nie schowasz. Zresztą nie mogłem zostawić tutaj ojca i siostry, chciałem im jakoś pomóc... I tam, w szpitalu, patrząc w każdej sekundzie na twarz Trujillo, która śniła mi się nawet w nocy, zrozumiałem, że tylko wtedy uniknę niebezpieczeństwa, kiedy niczym nie będę odróżniać się od mojego otoczenia, kiedy przystosuję się do klimatu Ery Trujillo. Wmawiałem w siebie, że nie mam żadnej osobowości, że nie mam sumienia, że muszę się podporządkować bez reszty ludziom generalissimusa. Dać się poniżyć i milczeć. To proces, który tutaj przechodzi każdy wrażliwy człowiek.

– Ale potem jest już łatwiej, nie? Bo wiesz, mnie polityka w ogóle nie obchodzi. To nie są problemy dla mnie, Julio. Jak człowiek pcha się w takie rzeczy, zawsze go dostaną w swoje łapy. I już nie wypuszczą.

– Pewnego dnia zrozumiesz, że stałeś się ofiarą polityki, jak każdy z nas. Tutaj wszystko aż śmierdzi od polityki. Są tylko dwa miejsca, gdzie nie ma portretów Trujillo: więzienia i klozety. Czy wiesz, że Jacinto Peynado, spryciarz, który zmontował za publiczną forszę ten olbrzymi neon w śródmieściu: „BÓG I TRUJILLO”, kandydował za to na prezydenta Republiki?

Oliveira nie rozumiał, że opowiadanie o koszmarnych warunkach życia w takim ustroju nie działa na wyobraźnię ludzi, którzy sami nie doświadczyli tych warunków. Toteż Murphy zapytał z głupia frant:

– Może także wymyślę coś podobnego i zostanę przynajmniej ministrem waszej Republiki?

– Przechadzaj się po bulwarach Trujillo, niosąc przed sobą namalowany na kartonie napis: „Kocham tylko Trujillo”. Byli i tacy. Ale ty jeszcze wciąż nie rozumiesz, na czym ten obłęd polega: Trujillo nie zawsze sam stara się o fanfary, aureolę i piedestał. On wie, że już nie musi dbać o to. Jest u nas sto tysięcy zawoszonych wazelinarzy, głównie członków Partii Dominikańskiej czy militarystycznej organizacji studentów, tak zwanej Gwardii Uniwersyteckiej im. Trujillo, która ma w uczelniach specjalne przywileje. Ci właśnie stoją na głowie, żeby wymyślać coraz tonowe pochlebstwa.

– Gdyby u nas jakiś facet zainstalował w Nowym Jorku neon: „Bóg i Kennedy”, wsadziliby go do zakładu dla obłąkanych. Julio, nie gniewaj się, ale ja nie mogę się połapać w takich historiach. Jestem równy, ale przeciętny.

– Przecież widziałeś ten neon! Właśnie ci mówię o tych stu tysiącach czy raczej tylko dziesięciu tysiącach zawoszonych wazelinarzy, którzy nie dają się prześcignąć w nowych pomysłach. Trener, który organizuje pokaz gimnastyczny, tak ustawia zawodników na boisku, zęby dla tych, co siedzą na trybunach, ułożył się z nich napis: „Wielki Trujillo” albo coś w tym rodzaju. Patron wioski, w której urodził się Trujillo, nazwał ją Nowym Betlejem. I teraz wszyscy to powtarzają. Urządza się pielgrzymki do tej wsi, ciemnym chłopom każe się czołgać na kolanach do jego kołyski... Boże, jak ci ten koszmarny wy tłumaczyć? Jak ci to przybliżyć?

Murphy z zainteresowaniem przypatrywał się twarzy Julia. Nie rozumiejąc

jego pasji, był zdziwiony namiętym tonem, jakim ten oskarżał swój kraj, a raczej jego ustrój.

– Julio, wcale się nie uspokoileś po tym biciu, kiedy leżałeś w szpitalu. Ciebie to ciągle gniecie, uwiera jak źle zrobiona plombka. Na twoim miejscu nie zwracałbym sobie głowy generalissimusem Trujillo. Władza niech sobie robi co chce, byleby tylko mnie, na dole, dali dobrze zarobić i nie wtrącali się, jak podrywam laleczki albo kiedy jem lody. Lubisz pistacjowe? Dla mnie bomba.

Oliveira wsparł brodę na zaciśniętych pięściach i powtórzył za Murphym:

– Tak, chyba się nie uspokoilem. W ogóle nie wierzę w spokój człowieka na takim świecie, jak on dziś wygląda. Mówisz, że w Stanach wybuchłby śmiech, gdyby ktoś wywiesił na cześć waszego prezydenta taki neon, jaki wymyślił u nas Jacinto Peynado. Ale czemu nie śmiejecie się z Komisji Badania Działalności Antyamerykańskiej, która najwybitniejszych artystów i pisarzy ściąga na policyjne przesłuchania, która wygnała Chaplina do Szwajcarii? Czytałeś chyba *Polowanie na czarownice w Waszyngtonie* Berta Andrewsa. Nie śmiejecie się, bo w tych rejonach działa już strach, ordynarny, zwykły ludzki lęk o własną skórę.

– Byleby mnie dali spokój – powtarzał uparcie Murphy. – Reszta się nie liczy.

– I to jest największa choroba naszego wieku, twoje: „byleby mnie dali spokój, a na górze niech się, dzieje, co chce”. To się źle skończy, zobaczysz; taka postawa wcale nie przynosi spokoju. Ludzie nigdy nie będą mieli spokoju, zawsze będą przerażeni, coraz bardziej. Państwa teraz silniej ingerują w życie osobiste jednostki, ograniczają je, i po latach znowu trzeba będzie zaczynać wszystko od początku, od powstania Spartakusa i Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Wciąż budujemy bastylie, które później trzeba burzyć. Wiesz, myślę o mojej siostrze, Dolores, To cudowna dziewczyna. Ona tam płacze... Murphy, to trzeba zburzyć i kamień na kamieniu nie powinien zostać. Wszystko zburzyć...

– Julio, mnie to naprawdę nic nie obchodzi, nie nadaję się do robienia rewolucji. Płacę podatki tym facetom na górze, a oni mają pilnować moich spraw.

– Za twoje podatki – powiedział Oliveira zmęczonym głosem – przysła broń dla Trujillo... Nie gniewaj się, że tyle gadam. Ale tu nie ma do kogo gęby otworzyć, więc korzystam z okazji. Człowiek musi kiedyś wylać z siebie trochę żółci, bo się nią udławi. W ciągu dnia wygłupiam się jak inni i czasem zatracam poczucie rzeczywistości; wydaje mi się wtedy, że wszystko gra jak należy. Ale kiedy jestem sam albo kiedy wypiję za dużo, jak dzisiaj, wówczas ten jad wyłazi wszystkimi porami i czuję, że się dławię milczeniem, chciałbym wtedy wyć...

– Masz, wypij jeszcze – powiedział Murphy. – I weź się lepiej w garść, bo kiedyś naprawdę palniesz jakieś głupstwo i nie pozbierasz kawałków, na jakie ciebie pokroją.

– W garść! – prawie krzyknął Oliveira. – Weź się w garść – powtórzył ciszzej. – Najwyższa góra w Indiach Zachodnich nazywa się *Pico Trujillo*, największe fabryki noszą imię Trujillo... Ulice Trujillo, parki Trujillo, szkoły Trujillo, biblioteki Trujillo, plantacje Trujillo... Dwie prowincje dominikańskie nazwane są jego imieniem: Trujillo ze stolicą San Cristobal i Trujillo Valdez, ze stolicą Bani. Sierocińce Trujillo, znaczki Trujillo, torty à la Trujillo... Drużyna polo, do której należy syn Trujillo, nigdy nie może przegrać, w żadnym meczu... Weź się w garść, to dobre! Powiadam ci, Gerald, tylko wyć do słońca albo do gwiazd. Nic więcej nie można zrobić.

– Zawsze można wypić i pobawić się z laleczkami... Julio, czemu Monika nie wraca? Może ktoś ją poderwał w kabarecie „Aristos”? Nic tak człowieka nie ustawi, jak dobra dziewczyna.

– Zazdroszczę ci, Gerald – powiedział ze smutkiem Oliveira. – Nawet bardzo.

– Czego? Moniki?

– Nie, nie Moniki. Ale twojego zainteresowania Moniką. Kiedy widzisz kobietę, cały świat przestaje dla ciebie istnieć, umiesz się wyłączyć.

– No, nie całkiem, ale tak trzeba – odezwał się po chwili Murphy. – Myślę na ten przykład, kto leżał na noszach w bagażniku phoenixa. Julio, słowo honoru, ja ciebie nie sypnę. Możesz powiedzieć, jak bratu.

– Tam był jeden gość, którego oni chcą rozpracować.

– Co to znaczy „rozpracować”?

- Naraził się i chcą go starannie wykończyć.
- Wydaje mi się, że on już nie żył, kiedy z nim leciałem. Może to był trup?

Nie wierzę, żeby można było uciszyć człowieka na tak długo. To nie pasuje.

– Przypuszczasz, że warto ryzykować przewiezienie trupa przez kilka granic? Czy zaglądałeś pod prześcieradło, którym go owinęli? Czy nie pomyślałeś, że oni mogli go uśpić? Licząc się z tym, że zbudzi się w czasie podróży, zalepili mu usta plastrem. Związali ręce, nogi i całe ciało razem z noszami. Widziałem już ludzi z plastrem na ustach. A ty?

– Cholera, nie pomyślałem o tym – powiedział Murphy. – Jezu, mogło być właśnie tak. Chcą się czegoś dowiedzieć?

– Wszystko wiedzą. Chcą się zemścić. Jego ból, jego rozpacz, jego bezsilność jest dla nich ważniejsza niż to, co mógłby im powiedzieć. Noc w noc będą go budzić co piętnaście minut, żeby przeczytać mu dwie strony z książki *Meditaciones morales*, którą spłodziła żona Trujillo, Maria, i z której zdają egzamin wszyscy uczniowie i studenci Republiki. I tak przez całą noc, co piętnaście minut, wciąż te same dwie strony. Następnej nocy znowu budzenie co piętnaście minut i znowu w kółko dwie dalsze strony; będzie ich słuchać na stojąco albo w przysiadzie. W dzień trochę tortur, tyle, żeby nie skonał, a po ocuceniu znowu dwie strony budującego dzieła pani Trujillo. To potrwa może miesiąc, może więcej, ale trwać będzie aż do skutku.

– To znaczy?

– Aż ten gość dostanie pomieszania zmysłów.

– A później pošlą go do czubków czy wypuszczą?

– Wypuszczą? Chyba wpuszczą do dołu z niegaszonym wapnem, na więziennym podwórzu. Albo zawiozą do bazy San Isidoro i tam żyłetkami natną mu skórę na ciele, zedrą ją pasami, a później położą go w pełnym słońcu na pasie startowym, żeby się usmażył.

– Niech to szlag trafi.

– Niech trafi. Gerald, mamy tylko dwie szanse. Albo tak silna partyzantka, jaką zorganizował na Kubie Castro, ale wtedy wy się wtrąćcie, albo...

– My? Julio, ja się nie wtrącam. Nigdy. Mnie urządzają, tylko dobre dziewczyny i trochę zielonych. Znasz coś lepszego na tym świecie? Ja jestem

przeciętny, pogodny Amerykanin. Rozumiesz? Równy gość, ale przeciętny. A ta wasza druga szansa?

– Zdecydowana i radykalna interwencja Waszyngtonu. Wam Trujillo także nie odpowiada, macie go dość. Departament Stanu wściekał się, kiedy ujawniono, że generalissimus wysłał do Wenezueli grupę dywersantów, którzy mieli zamordować prezydenta Romulo Betancourta.

– W telewizji to grali, widziałem.

– U nas nie grali – odparł Oliveira. – Ale Waszyngton mógłby dać ultimatum: albo w Dominikanie będzie demokracja, jak u was, albo Trujillo ustąpi.

– Nie bądź Robin Hood – powiedział Murphy. – Trujillo na to nie pójdzie, bo demokracja rozwaliby mu cały interes. Może i zawoszony interes, ale dobry. Maszynka do robienia pieniędzy.

– Tak, to bardzo dobry interes. W takim wypadku pozostaje tylko trzecia szansa – Oliveira zniżył głos do szeptu – zamach na Trujillo. Ale obawiam się, że wtedy władzę objąłby jego syn, Ramfis. Mówiłem ci o nim?

– U nas pisali o Ramfisie na pierwszych stronach i czasem grali w telewizji. Słaby jest.

– U was może słaby, ale nie w Dominikanie. Kiedy był w Stanach, wydawał rocznie milion dolarów. Właśnie tyle wasz rząd wpłaca rocznie Dominikanie jako pomoc na rozwój gospodarczy republiki. Dlatego jeden z członków Kongresu zaproponował dla kawału, w Waszyngtonie, żeby rząd USA wpłacał bezpośrednio milion dolarów na konto dwu popularnych aktorek z Hollywood, Zsa-Zsa Gabor i Kim Novak, a nie na konto Dominikany.

– Ale Ramfisowi nie wyszło z tymi gwiazdami, odpadł.

– Gerald, młodzi ludzie mają swoje idole, rozumiesz, jakieś wzorce, które chcieliby naśladować. Ramfis marzy, żeby stać się takim, jak słynni w skali międzynarodowej playboye, Porfirio Rubirosa i Ali Khan. Może to legenda, ale im nie oparła się jeszcze żadna kobieta. Idiotki, które mają w sobie coś z potworów.

– O Jezu, żadna! To jest życie, nie? Tylko rok tak żyć, a później można wykorkować. Mnie by pasowało. A Ramfis zna tego Rubirose?

– Przyjaźni się z nim i ubóstwia go. Porfirio Rubirosa ożenił się z jego siostrą, Flor. Z Ramfiszem dziewczyny spały ze strachu, z głupoty albo z rozkazu przerażonych o swoje majątki i posady rodziców. Ramfis marzył, żeby go kochały, chciał wzbudzić w nich namiętność. Rubirosa tłumaczył mu, jak to się robi i na czym polega sztuka uwodzenia. Ale Ramfis jest bez wdzięku. Ma gładką lalkowatą twarz, buzię kretynka, wiesz, okrągłe oczy i małe usta. Nosi sztywny zabawny wąsik i jest śmieszny, kiedy uwodzi dziewczynę. Albo przerażający.

– Mówiłem ci, że dla mnie jest słaby. Pokazywali go w gazetach i w telewizji. Dla mnie jest słaby.

– Jako uwodziciel jest bardzo słaby. Jednak on tylko na to stawia. Tutaj urządzał orgie, zmuszał do uległości żony i córki ministrów i oficerów, wciąż wybuchały skandale. Trujillo miał tego dość. Wybrał mu ładną żonę, która w przeciągu sześciu lat urodziła Ramfisowi sześcioro dzieci. Ale to go nie urządziło. Nadal marzył o uwodzeniu pięknych i sławnych kobiet, bo to miało przynieść mu rozgłos Rubirosy i Ali Khana. W 1958 roku wyruszył na podboje do Stanów czteromasztowym jachtem „Angelika”.

– Pokazywali w telewizji, sto siedem metrów długości. Jezu, gdybym miał taką balię, na zawsze skończyłbym z lataniem.

– Na pierwszą ofiarę Ramfis wybrał Zsa-Zsa Gabor.

– Ładna sztuka.

– Zaczekaj. Zaprosił ją na obiad. Posłał po nią białego cadillaca i eskortę dwunastu policjantów na motocyklach, specjalnie wynajętych. Około stu zaproszonych gości czekało już na jachcie „Angelika”, a osiemdziesięciosobowa załoga witała ją w strojach piratów. Wspaniała ucztą. Pod koniec goście obrzucali się garściami astrachańskiego kawioru. Zsa-Zsa zgodziła się spędzić noc na jachcie. W Dominikanie sporo dzieci nie zna smaku mleka, ale do wanny, w której miała się kąpać Zsa-Zsa, stewardzi włali dwieście pięćdziesiąt butelek szampana *don perignon*.

– O Jezu – jęknął Murphy. – Jezu, to był ubaw!

- Kąpał ją Ramfis w stroju masażysty z tureckiej łaźni.
- A ona nie umarła ze śmiechu?
- Na kąpiel mu pozwoliła, ale później wyprosiła go za drzwi. Tak twierdzą jedni, inni inaczej. Ramfis obawiał się, że Zsa-Zsa umówiła się z którymś z gości na tę noc, i aż do rana siedział pod drzwiami. Rano kazał umieścić na drzwiach kabiny złotą tabliczkę: „Tu spała Zsa-Zsa”.
- A gdzie i kiedy spała Kim Novak?
- Ramfis pojechał z Kim Novak do Las Vegas. Tam przegrał w kasynie gry czterdzieści milionów dawnych franków, w ciągu jednej godziny. Następnego dnia Kim dostała w podarunku szmaragdowego mercedesa i namiętny list: „Kocham, pragnę panią poślubić”. Nie znał jeszcze odpowiedzi aktorki, ale już zwołał konferencję prasową. „Panowie – powiedział dziennikarzom – postanowiłem poślubić Kim Novak. Jestem szczęśliwy”. Tego samego dnia gazeta „Los Angeles Times” przypomniała, że Ramfis ma w Dominikanie żonę i dziesięcioro dzieci.
- Ale wpadka! Ja bym wyszedł. I leżał jak śledź na szynach, co?
- Kim Novak natychmiast wyjechała z Las Vegas.
- A Ramfis został na lodzie.
- Jednak ten lód się nie załamał. Ramfis zapomniał o obu wielkich miłościach, i w miesiąc później oszalał z miłości do dwudziestoczteroletniej gwiazdki Debry Paget. Dostała od niego naszyjnik z olbrzymich rubinów, szmaragdowego rolls-royce'a i propozycję zawarcia ślubu w Meksyku. Popłynęła z tym pechowym playboym na „Angelice” wzdłuż meksykańskich wybrzeży.
- I wyrolował ją?
- Chciał tylko tego, ale Debra odłożyła namiętność na noc poślubną. Ramfis był wściekły. Zapomniał, że Debra Paget nie jest obywatelką dominikańską, a więc, że nie jest jego własnością. I zapomniał o dobrych radach doświadczonego Rubirosy. Odbezpieczył pistolet i zażądał, żeby mu się oddała.
- Zmiękła? Poszła na te ruchy?
- Chyba nie. Nazajutrz jacht odpłynął do Acapulco. Stamtąd Debra natychmiast odleciała do Los Angeles. Po tych trzech próbach z aktorkami Ramfis był skompromitowany w hollywoodzkich kręgach. Zastawił tam milion

dolarów albo nawet dwa miliony. I wrócił do tatusia. Tatuś mianował go szefem zjednoczonych sztabów armii... Taki człowiek objąłby rządy w Dominikanie, gdyby zginął generalissimus.

– To znaczy, że nie ma już dla was żadnej szansy?

Julio Ruiz Oliveira nie odpowiedział.

Nie było żadnej szansy. Julio jej nie znał.

30.

Ktoś usiadł w pobliżu nas, zamówił *whisky and soda* i czarną kawę.

– Harriet – powiedziałem, zniżając głos do szeptu – nie mogę z ciebie zrezygnować, ale przeczuwam, że zmusisz mnie do tego. Znałem dużo kobiet. Kiedy spotkałem ciebie, pomyślałem, że wszystkie dawne miłości i miłości miały tylko taki sens, żebym zrozumiał, jak bardzo jesteś inna, żebym nauczył się ciebie kochać. Gdyby nie to, może żałowałbym wielu z tych nocy spędzonych z innymi. Nie wróciłbym do żadnej z nich, nie chcę także żadnych innych kobiet. Byłem zawsze dumny, że taka dziewczyna, jak ty, należy do mnie.

– Mówisz o wszystkim, Mike, tylko nie o tym, co najwięcej mnie w tej chwili obchodzi.

– Więcej niż miłość. Prawda?

– Uważam to za warunek zabezpieczenia naszej miłości. Taka jest prawda.

– Ten papirek ze stemplem... Tak, to pierwszorzędną gwarancją. Gdybym ciebie zdradzał, mogłabyś mnie zaskarżyć do sądu, gdybym ciebie opuścił, mogłabyś wystąpić o alimenty, gdyby odwiedziła mnie kiedyś jakaś dziewczyna, mogłabyś wyrzucić ją za drzwi, gdybyśmy się rozchodzili, miałabyś prawo do części mego majątku, do mieszkania... O to chodzi? To chcesz sobie zabezpieczyć? Mogę ci wszystko zagwarantować, nawet więcej, bez stempla.

– Mówisz z pogardą, Mike. Wcale o tym nie myślałam.

– Więc po co ci to, do licha, powiedz mi wreszcie, po co? Co taka gwarancja ma wspólnego z naszą miłością? Błagam cię, pomyśl, to raczej może ją

zabić. Jeżeli wierzysz mi, jeżeli uważasz mnie za człowieka uczciwego, po co ci jakakolwiek gwarancja ze stemplem?

Miała łzy w oczach, otarła je ukradkiem.

– Pożycz chusteczki, widzisz, zapomniałam swoją u ciebie. Zawsze coś zapominam.

Wyjąłem chusteczkę i osuszyłem kilka łez na jej policzkach.

– Myślałem, że nigdy ode mnie nie odejdiesz; w każdym razie byłem pewny, że nie opuścisz mnie wtedy, kiedy będzie ci ze mną dobrze. Przyczyna, którą podajesz, jest natury sakralnej, może towarzyskiej, jest na pewno irracjonalna. Proponuję ci coś o wiele ważniejszego, bardziej istotnego, co nadzwyczaj rzadko zdarza się między ludźmi. Nie wolno z tego zrezygnować. Oddaję ci w zamian moje życie, ale nie mogę ci dać tego, czego żądasz, bo to jest dla mnie bez wartości. Powiem ci więcej: spełnienie tego warunku umniejszyłoby cię w moich oczach i zabiłoby coś, na czym najwięcej mi zależy... Harriet, nie odchodź ode mnie.

Sięgnęła po kieliszek.

– Mam jednak ochotę... Mogę wypić? Pozwalasz? I nie boisz się, że zacznę tutaj płakać? Nie rozumiem ciebie, przestałam rozumieć, o co ci chodzi, nie rozumiem twojej miłości i nie rozumiem twojego lęku... Nie możemy się dogadać w tak prostej dla mnie sprawie, a to dopiero początek naszej drogi, i nie wiem, co będzie później.

– Później odejdiesz, a jeszcze później będę czekał, aż wrócisz. Bo chyba wrócisz.

– Od innego mężczyzny... I przyjmiesz mnie wtedy? Nie chcę nikogo innego.

– W jakimś sensie nikt mi ciebie nie może zabrać. Nie mogę sobie wyobrazić, że możesz należeć do kogoś innego, że będziesz z nim tak, jak byłaś ze mną. Ale to nie jest ten największy ból, którego boję się najbardziej.

– Nie rozumiem ciebie, Mike. Gdybym wiedziała, że jesteś z kimś innym, oszalałabym z zazdrości.

– Z zazdrości nie szaleje się, Harriet. Z zazdrości popełnia się nieobliczalne głupstwa, małe i nędzne, upokarzające obie strony. To nie są głupstwa na

miarę prawdziwego szaleństwa.. Harriet, skończmy już, nie ma o czym mówić.

Z trudem powstrzymywała łkanie. Nie wołając barmana zajętego przy przeciwległej stronie baru, odliczyłem pieniądze i zostawiłem je na tacce z opróżnionymi do połowy kieliszkami. Podtrzymałem Harriet, schodzącą z wysokiego stołka, wyszedłem z nią na ulicę.

Szliśmy w kierunku mego domu; chciałem z nią spędzić ostatnią noc, po której, w aurze zmęczenia i senności, łatwiej można się rozstać nad ranem. Przypuszczałem, że Harriet także tego pragnie.

Zatrzymała się pod bramą.

– Mike, zaczekaj...

– Chodź do mnie. Wypijemy jeszcze trochę, może coś zjesz i pójdziemy spać. Odlatujesz jutro po południu?

– Tak. Ale o dwunastej muszę zgłosić się w brooklyńskim biurze *Pan Am* na 459 Foulton Street.

– Dobrze, Harriet. Odwiozę cię o jedenastej.

– Mike... nie chcę iść do ciebie. Zawołaj taksówkę, pojedę do hotelu... Tak będzie lepiej. Najchętniej poszłabym dzisiaj spać do matki, ale niestety, matka mieszka w Luizjanie.

– Bardzo bym chciał, żebyś została ze mną. Nawet gdyby to było po raz ostatni.

– O tej godzinie, którą spędziłam dzisiaj z tobą, także mówiłeś, że jest ostatnia.

– Masz doskonałą pamięć, Harriet. Przepraszam cię, że zapomniałem. Nie gniewasz się? Zresztą wszystkie godziny są ostatnie.

– Nie żartuj.

– Powiedziałem to poważnie. Nie wolno prosić kobiety o noc, nie wolno powtarzać takiej prośby. To jest upokarzające dla obu stron.

– Zawołasz taksówkę?

– Mój grat stoi na podwórzu.

– Nie, nie odwoź mnie. Złap taksę.

– Chodź, Harriet, mogę cię odwieźć. Zawsze, kiedy tylko masz coś do załatwienia, dzwoń po mnie. Będę cię odwozić, dokąd chcesz. Zaoszczędzisz

sporo na taksówkach, pieniądze przydadzą się na wyprawę ślubną.

- Przestań! – krzyknęła.
- Przepraszam cię, Harriet.

Wsiadliśmy do wozu, zapuściłem motor.

- Mike...
- Chcesz zostać u mnie?
- Nie, odwieź mnie do hotelu. U ciebie już nigdy.

31.

Juana Managua miała twarz spokojną, o zmysłowych oczach i ustach, ale było w niej coś tak dziewczęcego, nieomal dziecinnego, że dojrzała namiętność, skryta w jej nieruchomych mięśniach i rysach, wydawała się tylko pozorem. Gdy Juana weszła do tawerny, zwyczajem tutejszych kobiet przepuszczając przed sobą Octavia, przypominała Murphy'emu modny i coraz popularniejszy typ dziewcząt w stylu „Baby Doll”, głośny dzięki filmowi pod takim tytułem, zakazanemu przez cenzurę USA. Europejskim odpowiednikiem tego bardziej stylu niż rodzaju urody – jeśli idzie o charakterystyczny infantylny seks – była Brigitte Bardot.

Octavio przedstawił Murphy'emu dziewczynę.

– To jest Juana Managua – powiedział. – Siadaj – zwrócił się do Juany, i wskazując Murphy'ego, dodał: – To jest nasz stary przyjaciel z Nowego Jorku, doskonały pilot. Opowiadałem ci już, że uratował mi dzisiaj życie, lądując na brzuchu maszyny.

– Nie wyglądam na takiego, prawda? – zapytał Murphy.

Czekał, żeby Managua zaprzeczyła.

Juana w pierwszym odruchu przysłoniła źrenice ciężkimi powiekami i następnie, powoli je unosząc, odsłaniała swoim oczom młodzieńczą twarz Murphy'ego; tak pokerzyści zaglądają w karty, odsłaniając je skrawek po skrawku. Murphy był wyższy od Octavia, który sięgał Juanie do konchy usznej.

Powiedziała po hiszpańsku, że go nie rozumie.

– *No le comprendo a Ud.*

Murphy zapytał Juanę, czy mówi po angielsku.

– *Habla Ud. inglés?*

Odpowiedziała, żeby mówił powoli, wtedy wszystko zrozumie:

– *Cuando habla Ud, despacio, comprendo todo.*

Octavio spojrział na nich podejrzliwie. Murphy pomyślał, że tylko ludzie południa tak jawnie okazują zazdrość. Zauważył, że de la Maza położył na udzie Juany drobną, kościstą dłoń; pod tym dotknięciem Juana lekko zdrząła.

– Możesz do niego mówić po hiszpańsku – powiedział – on trochę rozumie po hiszpańsku.

– Piliście już coś? – zapytał Oliveira.

– *Xères* – odparł Octavio. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni bluzy i wyjął z niej podłużny kartonik, podał go Murphy'emu.

– Tu ma pan wizę tymczasową, proszę tego nie zgubić.

– Do kiedy ważna?

– Tam jest napisane. Na trzy miesiące. Wystarczy?

Juana Managua, patrząc przed siebie, powiedziała:

– Octavio, zamów coś mocnego.

– Nie pij, Juana, lepiej nie pij, bo znowu zaczniesz rozrabiać. Ty nie umiesz pić.

– Jest okazja, żeby się nauczyć – odpowiedziała. – Zamów. Ale coś mocnego.

– Juana, nie chciałbym, żebyś dzisiaj rozrabiała. Nie pij więcej, bo zaczniesz rozrabiać.

Powoli, jak manekin, zwróciła ku niemu nieruchomą twarz. Przysłoniła oczy powiekami.

– Zamów, Octavio.

– Juana, zachowujesz się jak rozkapryszone dziecko.

Managua zwróciła się do Oliveiry:

– Julio, ty mi załatw coś do picia. Octavio wciąż nie rozumie, że jestem bardziej rozkapryszonym dzieckiem aniżeli kobietą, i że on na tym lepiej wychodzi, niż gdyby było odwrotnie.

– Słuchaj, Julio – powiedział de la Maza – ja sobie nie życzę...

Wtedy wtrącił się Murphy; wciąż trzymał w ręku wizę i oglądał stemple.

– O Jezu, Octavio, jak dziewczyna chce się napić, to niech jej nikt nie przeszkadza. Lubię laleczki, które piją ze mną noga w nogę... A ta wiza – zapytał, wskazując na trzymany w ręce dokument – jest na trzy miesiące?

– Już powiedziałem, na ile jest – mruknął niechętnie de la Maza, zaprzęnięty Juana.

– Po co? – zdziwił się Murphy. – Mogę zostać kilka dni, nawet tydzień, ale nie dłużej. Zaczekam, aż naprawią ten dziurawy nocnik, na którym przyleciałem, i znikam.

Octavio i Julio wymienili między sobą szybkie, niby przypadkowe spojrzenie. Murphy to zauważył.

– Nie ma się co śpieszyć – uprzedził go de la Maza. – Może trafi się panu za grubszą forszę jakieś dobre zlecenie na powrotną drogę, zorientujemy się w ciągu kilku dni. Pan wie, pieniądze nie dają szczęścia, ale bez nich człowiek nawet nie pomyśli o szczęściu. Zresztą jutro porozmawia z panem pułkownik Abbez, on najlepiej poradzi, co i jak. Niech pan zaczeka do jutra.

– W porządku – powiedział Murphy – ja nic nie mówię, tylko przypominam.

Jeżeli przynieśli wizę – pomyślał – a jutro ma ze mną gadać ten goryl Abbez, to nie ma strachu. Jakby chcieli mnie wykończyć, zrobiliby to dzisiaj. Ale że jestem naiwniak, to jestem, bo komuś w Stanach trzeba było powiedzieć, dokąd lecę, bo jakbym nie wrócił za tydzień, mogliby z tym pójść na policję, ale nie, co ja kombinuję, przecież wcale nie wiedziałem, dokąd lecę, tyle, że do Lantany na Florydę, a gdzie później już nikt nie wiedział, oni chytrze to obmyślili, szkoda gadać, i dopiero Oliveira chlapnął, że facet na noszach nazywał się Galindez, czy jakoś tam...

Zamyślony, sięgnął po połówkę grejpfruta i nacinał jego mięszk brzegiem łyżeczki. Od czasu do czasu łakomie spoglądał na Juanę, lecz ta zdawała się tego nie widzieć.

Tawerna zapełniła się, było w niej hałaśliwie i coraz duszniej. Monika Gonzales już wróciła z pobliskiego kabaretu. Otulona niebieską peleryną, siedziała przy wysokim kontuarze baru. Posępny gitarzysta przykucnął pod ścianą, przy swoim stoliku, i paznokciami rozczapierzonej dłoni uderzał leniwie i rytmicznie

w struny. Obok stał tęgi Dominikańczyk w ubraniu z białego kortu i starał się wy tłumaczyć gitarzyście, czego domaga się od niego młody Amerykanin w teksasach z żaglowego płótna i w papuziej koszulce nylonowej, wyrzuconej na wierzch spodni. Amerykanin nosił tak zwaną egzystencjalistyczną, krótko strzyżoną brodkę okalającą twarz; wyglądał jak typowy reprezentant „zbuntowanych” bitników.

– Drogi chłopcze – mówił do gitarzysty – *my dear boy*, znasz może „Gorące usta”? Nie? *Well*, ale na pewno znasz „Czarne pończoszki małej Maud”?

Gitarzysta przecząco potrząsnął głową i paznokciami wybijał wciąż ten sam rytm na strunach, powtarzając monotonicznie: – *No puedo comprender*, nie mogę zrozumieć, *no puedo...*

Bitnik zwrócił się do towarzysza w białym ubraniu:

– Quito, na rany Chrystusa, powiedz temu gangsterowi, co ma zagrać, zapytaj go, może on zna „The Farmer in the Dell” albo „Little Rock Getaway”, no, zapytaj... Quito, albo wiesz, powiedz mu, żeby zagrał „Tiger Rag”, na rany Chrystusa, przecież on musi coś znać, w każdej knajpie za kilka dolarów chętnie zagrają takie kawałki.

Tęgi mężczyzna w białym ubraniu daremnie perswadował; bitnik wczepił się palcami w ramię gitarzysty i zaczął nim tarmosić. Dominikańczyk, trzymając gitarę na kolanach i nie odrywając palców od strun, na których wystukiwał niezmiennie ten sam rytm, jednym uderzeniem lewej dłoni zrzucił z siebie rękę Amerykanina.

W tym momencie weszli do „La Habana” trzej policjanci dominikańscy i zatrzymali się przy drzwiach kołysząc ciężkimi pałkami z gwajakowego drzewa. Na sali zapanowała cisza. Policjanci rozeszli się po sali i podchodzili do gości, żądając dokumentów.

Jeden z nich, najstarszy rangą, zbliżył się do stolika, przy którym siedział Murphy; nim ten zdążył mu podać swoją wizę, Octavio mignął przed oczyma policjanta prostokątem czarnej legitymacji. Dowódca patrolu zasalutował i odszedł od nich, kierując się w stronę baru. Pozostali policjanci popychali przed sobą dwóch mężczyzn i zapłakaną dziewczynę.

– Co od niej chcą? – zapytał Murphy.
– Może nie zapłaciła podatku – powiedział Octavio.
– Jakiego podatku?
– To prostytutka – wtrącił Oliveira. – Takie jak ona muszą płacić podatki w Urzędzie do Spraw Prostytucji. Rozumiesz, dyrektorem tego urzędu i właścicielem wszystkich domów publicznych jest brat generalissimusa, Romeo Trujillo. Ma twardą rękę i żadnej z nich nie popuści.

– I co z nią zrobią?
– Dadzą jej baty – odparł Octavio. – Na drugi raz przyniesie w zębach cały zarobek. A stąd ją wzięli razem z tymi dwoma, bo widocznie chciała zarobić coś na boku.

– Ładnie – powiedział Murphy parodiując intonację głosu pułkownika Abbeza. – Ładnie – powtórzył tak samo.

Octavio i Julio wybuchnęli śmiechem, Managua zaś, nie wiedząc, dlaczego się śmieją, siedziała milcząca i nieruchoma niczym upozowana modelka na wystawie domu mody. Jej nieruchomość fascynowała.

Policjanci wychodzili już z tawerny. Komendant patrolu odwrócił się w drzwiach i wymachując gwajakową pałką, zawołał:

– Co tu, cmentarz? Ty, stary łajdaku z gitarą, do roboty! Do roboty, Monika, pokaż gościom, jak się rusza tyłkiem! Jazda, wszyscy mają śpiewać! No, żeby nie powtarzał! *Andad muchachos, andad hombres!* Pokażcie cudzoziemcom, jak się bawi najszcześniejszy kraj pod słońcem! A co, może nie jest najszcześniejszy?

Mulat z wąsami szczura pchnął Monikę Gonzales na parkiet, krzyknął ostro do gitarzysty, klasnął w dłonie. Na sali wszczął się ruch, podniosły się głosy. Monika rzuciła niebieską pelerynę na kolana Murphy'ego, jej ramiona gwałtownie drgnęły, zakolysały się biodra. I tak zastygła, jak posąg, czekając aż opadnie na struny wzniesiona dłoń gitarzysty.

– *Hasta la vista, hombres!* – zawołał jeden z policjantów – do widzenia!

W minutę później wydawało się, że zabawa trwa od kilku godzin, że nie wchodzili tu w ogóle policjanci, że nie wyprowadzili dwóch mężczyzn i płaczącej dziewczyny, że Mulat z wąsami szczura nie wypchnął tancerki na parkiet.

Mieszali trunki, pili na umór. Oszołomieni ludzie, zataczając się, potrącając stoliki i wywracając krzesła, przechodzili z miejsca na miejsce, wymieniali uściski, częstowali się, pokrzykiwali do siebie z jednego kąta sali w drugi.

Juana Managua wypła jeszcze dwa kieliszki i nagle ocknęła się; znikła senna drętwota jej twarzy, pozostała tylko zmysłowość, przedtem wyczuwalna, ale utajona, a teraz ujawniona, wyzwolona w błyskach oczu, w obrzmiałych wargach, w szybszych gestach.

– Octavio – krzyknął pijany oficer marynarki, znajomy de la Mazy – Octavio, powiedz Juanie, żeby zatańczyła, niech tańczy!

Inni podchwycili to żądanie. Juana spojrzała na Octavia.

– *Se permite?* – zapytała wyniośle, jakby przesądzała sprawę, wymuszając tym zaczepnym tonem jego zgodę. I wskoczyła na stół, nim Octavio zdążył powiedzieć:

– *Se permite* – wolno.

Lekkie drzenie przebiegło wzdłuż przegubów dłoni i kostek stóp; jak kręgi na wodzie przechodziło to falowanie w stronę ramion i bioder, w rytmach coraz szybszych i gwałtowniejszych, aż poruszyło całym ciałem Juany i uniosło jej ramiona i stopy, które zaczęły uderzać o płytę stołu w rytmie przytłumionego, ale wściekłego fandango.

Monika Gonzales podbiegła do ich stolika i przytrzymując dłońmi twarz Murphy'ego, musnęła jego usta rozchylonymi wargami. Chciał ją przytrzymać, ale zwinnie wymknęła się z jego objęć i odskakując do tyłu, zatrzymała się na parkiecie, rozglądając się wokół, jakby szukała partnera. Młody Dominikańczyk, siedzący dotychczas przy barze, zsunął się szybko ze stołka i stanął tuż przy niej na czubkach palców, ciasno zwierając uda i pięty, prężąc ciało i wznosząc do góry ramiona. Jego dłonie, zawieszzone nad głową, poruszały się półkoliście w gwałtownych i urywanych drgnięciach, jakby natrafiały na opór powietrza. Monika zawirowała wokół niego.

– Murphy – zapytał Octavio – zostanie pan u nas?

– Jezu – zawołał Murphy – tu jest tak byczo, powiadam ci, bracie, tak byczo, że nic mnie stąd nie ruszy. Julio naopowiadał mi takie tam różne historie,

ale powiadam panu, tu można żyć, reszta się nie liczy...

Octavio przechylił się w prawo, do Oliveiry.

– Ty, mówiłeś mu coś? Co mówiłeś?

Oliveira spojrział nagle otrzeźwionym, czujnym wzrokiem.

– Zamknij się – szepnął. – Chciałem go wy badać.

– Dobra – odparł de la Maza. Jednak czuł, że Julio kłamie.

– Nie wierzysz? – zapytał niespokojnie Oliveira.

De la Maza wzruszył ramionami.

– Coś ty, nie ma o czym mówić.

– Chciałbym, Octavio, żebyś mi wierzył. Nie narzekałbym, gdyby u nas ludzie mieli do siebie trochę więcej zaufania. Ta podejrzliwość...

– Mamy czas. Trzeba wykończyć naprzód z pięćdziesiąt tysięcy takich facetów jak Galindez, a wtedy przyjdzie czas na zaufanie... Ty, nie myślisz, że Juana już za długo wygłupia się na stole?

– Zostaw ją, Octavio, co ci szkodzi. Niech się trochę wygłupia. To dobra kąpiel psychiczna.

– Co się zmywa w takiej kąpeli? – zapytał podejrzliwie Octavio.

– To dla odprężenia – powiedział ostrożnie Oliveira – nic więcej. Kiedyś trzeba się odprężyć.

– A co on? – de la Maza wskazał kciukiem Murphy'ego.

– Odporny, można się z nim dogadać. Za dobrą dziewczynę i trochę forsy głosowałby nawet na Hitlera.

– Niech tylko Juanę zostawi w spokoju. Widziałeś, jak się na nią gapił? Musisz mu powiedzieć, że nie lubię, jak ktoś tak patrzy na Juanę.

– On ma już kontakt z Moniką. Chyba wyjdą razem.

– To dobrze.

– Dlaczego?

– Zamów jeszcze butelkę.

Gitarzysta coraz silniej szarpał struny, wybijał takt olbrzymią stopą. Ochrypłym, melodyjnym barytonem śpiewał na całe gardło.

Kłębił się dym, uderzał w nozdrza zapach mocnego wina, z brzękiem spadały pod stoły puste butelki. Kilku zataczających się mężczyzn otoczyło stół, na

którym tańczyła Managua. Krążąc wokół niej pokrzykiwali i sucho klaskali w dłonie.

Mulat z wąsami szczura przepychał się zręcznie przez tłum, docierał do każdego kąta rozległej sali i podawał stałym bywalcom piwo *President Especial*, przemycane z sąsiadującej z Dominikaną republiki Haiti. Grubym paznokciem przezornie zdierał barwne etykiety z wilgotnych butelek. Podsunął jedną z nich bitnikowi z bródką, który niezmordowanie, z pijackim natręctwem dopraszał się o „Gorące serce” i „Czarne pończoszki małej Maud”. Łyknął haust piwa i rozpląkał się na ramieniu białego Dominikańczyka.

– Quito, przetłumacz mu, co on ma zagrać, Quito, dlaczego nie chcesz przetłumaczyć?

Tęgi kompan bitnika klepał go pulchną dłonią po plecach i do tego taktu fałszywie śpiewał „Old Man River”.

Na ulicy rozległo się kilka karabinowych wystrzałów, zadzwoniły szyby, ktoś krzyknął.

Wtedy Monika Gonzales, wirując wokół parkietu, uniosła wyżej nogę i zgarnęła nią ze stolików otaczających parkiet szklanki i karafki z cienkiego szkła.

Kiedy zbliżyła się do stolika, na którym Juana wystukiwała obcasami rytm fandango, jednym skokiem znalazła się na kolanach Murphy'ego i chroniąc się przed upadkiem, nagimi ramionami otoczyła jego szyję.

Beztraska i szaleństwo ogarnęły wszystkich, lecz wyczuwało się w tej dziłości rozpaczliwą chęć zapomnienia o policjantach z gwajakowymi pałkami, o płaczącej dziewczynie wypchniętej z tawerny, o strzałach karabinowych na ulicy i o patrzących przenikliwie z każdej ściany okrutnych oczach zbawcy ludu i wyzwoliciela ojczyzny, generalissimusa Rafaela Leonidasa Trujillo y Molina.

32.

Nazajutrz przypomniałem sobie sprawę zabójstwa Sergia Benkosme, którego zamordowano w jego nowojorskim mieszkaniu w listopadzie 1955 roku. Natychmiastowa sekcja zwłok wykazała nikłe pozostałości

nieznanej trucizny, ale kilku ekspertów sprzeciwiło się takiemu rozpoznaniu. Na ciele Bencosmego nie znaleziono najmniejszego śladu ukłucia czy zadraśnięcia i pozostało tajemnicą, w jaki sposób można było wprowadzić do jego organizmu jakąkolwiek trującą substancję.

Podobnie stało się z Loretą Flynn.

Zadzwoiłem do majora Beesleya, telefon był zajęty. Dopiero za trzecią próbą uzyskałem połączenie.

– Halo, Frank.

– Kto mówi?

Powiedziałem mu, kto mówi. Był zdziwiony.

– Sam łączyłeś się ze mną?

– Przecież słyszysz, że jestem połączony, i wiesz, że nie mam sekretarki.

– Myślałem, że... Bo wiesz, ja do ciebie także dzwonię od kilku minut i telefon wciąż zajęty. Zdarza się. Masz coś?

– Przede wszystkim skrupuły, że zabieram ci czas. Jeżeli także dzwoniłeś, świetnie się składa.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. Można do ciebie przyjechać? Dość pilna sprawa.

– Dobra, przyjeżdżaj.

Beesley przyjechał. Usłyszawszy jego kroki na schodach, czekałem w otwartych drzwiach. Nim jeszcze przestąpił próg, zapytał:

– Czy przyjąłeś propozycję Flynnna?

– Nie. Skąd wiesz, że Flynn coś mi proponował?

– Dzisiaj rano otrzymał anonimowe ostrzeżenie: jeżeli nie chce zginąć tak, jak jego córka, niech zostawi w spokoju sprawę Galindeza. Polecono mu też, by nie zawiadamiał o tym ostrzeżeniu policji.

– I Flynn zawiadomił policję?

– Mike, powinieneś rozwiązywać krzyżówki. Trafieś.

– Znam trudniejsze zagadki. Więc co z Flynnem?

– Zadzwoił do mnie. Rozmawiałem z nim w południe. Uważa, że po śmierci Loretty nie zależy mu już na niczym i może śmiało ryzykować, bez

względu na konsekwencje. Przygotowuje dla Kongresu materiały dotyczące działalności policji dominikańskiej.

Weszliśmy do mojego gabinetu i usiedliśmy przy stoliku, na którym stała olbrzymia zapalniczka z miedzianej łuski pocisku i popielniczka w kształcie odwróconego cylindra.

– Napijesz się? – zapytałem.

– Nie, za godzinę mam odprawę.

– Musicie teraz dobrze pilnować Flynn'a.

– Willa jest stale pod obserwacją, jeździmy także za starym. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdybyśmy dopuścili do sprzątnięcia kongresmana? Dobrali się już do nas za Lorette, żądają wszechstronnego śledztwa, domagają się szybkiego wyniku dochodzeń.

– Frank – powiedziałem – nie gniewaj się, może nie ma sensu, co ci powiem, ale mnie się jednak zdaje, że cała historia z Dominikaną i tropieniem jej agentów nie bardzo odpowiada niektórym ludziom od was, w Pentagonie, w CIA, czy diabli wiedzą, gdzie jeszcze.

– Jak to rozumiesz?

– Po prostu, przecież wiesz, o co mi chodzi. Są ludzie, którzy wolą to zatuszować. Przeczytaj dzisiejszą prasę: zaproponowaliśmy Dominikanie sześćset milionów dolarów w formie dostaw sprzętu wojskowego, w zamian za możliwość przeprowadzenia prób z rakietami na ich terytorium.

– To jeszcze nie znaczy...

– Frank, nie bujajmy się. To znaczy, że popieramy Trujillo. Mało: że ubiegamy się o jego względy.

Beesley zniecierpliwił się.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że powinniśmy popierać dominikańskich komunistów? Przypuszczam, że nie to chciałeś powiedzieć?

– Czemu się zgrywasz, Frank? Nie mogę się tylko pogodzić z popieraniem łajdaków i morderców. To ostatecznie nic mnie nie obchodzi, ale kiedy już o tym mówimy...

– Nie jesteś logiczny. W Argentynie upadł dyktator Peron, w Wenezueli dyktator Pérez Jiménez, w Ekwadorze Camillo Pencoé Enriquez wprowadził takie reformy, że działa tam legalnie partia komunistyczna, w jednym froncie z socjalistami. Jego związki zawodowe należą do czerwonej federacji. Wiesz

także, co dzieje się w Gwatemali i jakie zmiany wprowadził tam Avenali, a później Arbenz...

– Zapomniałeś o Kubie.

– Pamiętam nazbyt dobrze. Są wiadomości, że Fidel Castro ma olbrzymie poparcie Rosji. Obalił Batistę. To już nie są rebelie i zamachy ambitnych generałów. Pod pozorem demokratycznych haseł i bajeczek o wolności otwiera się szansę dla komunistycznej inwazji. Im bardziej nędzny kraj, tym szerzej otwarty dla czerwonych. Nie możemy sobie na to pozwolić. Gdyby w Dominikanie znalazł się ktoś rozsądniejszy od Trujillo, uzyskałby natychmiast nasze poparcie. Ale w obecnej sytuacji Trujillo jest najmocniejszym ogniwem w antykomunistycznym froncie. Nie umiesz myśleć historycznie, Mike.

Zaśmiałem się. Historia była bardziej konsekwentna niż nasze myślenie. Zresztą chodziło o politykę.

– Frank, na tym świecie są różne historie i jest kilka sposobów historycznego myślenia. Ale nie wiem, czy ma sens wysyłanie broni za sześćset milionów dolarów do tego kraiku, który dysponuje już prawie czterdziestotysięczną armią, tysiącem samolotów i silną flotą z licznymi kontrtorpedowcami. Czy popieranie reżimu, który przynosi hańbę Ameryce i naszym czasom, którego istnienie odbiera nam moralne prawo do oskarżania Rosji, czy to właśnie nazywasz historycznym myśleniem?

– Nie przekonasz mnie, Mike.

– Nie mam takiego zamiaru, Frank. I sam nie życzę sobie, żeby mnie ktoś przekonywał.

– Co chciałeś mi powiedzieć? – zmienił temat. – Po co dzwoniłeś?

– Chciałem ci przypomnieć śmierć Sergia Bencosmego.

– Nie pamiętam szczegółów. Za dużo było tych śmierci... Ktoś z Republiki Dominikańskiej?

– Zginął tak samo jak Loretta Flynn.

– Podobnie zginęło jeszcze kilka osób.

– Czy zabezpieczyliście dla badania toksykologiczno-chemicznego wycinki ich narządów wewnętrznych i płyny ocieklinowe? Można by teraz zrobić analizę porównawczą.

– Przechowujemy w chłodni wycinki płuc, jelit, żołądka, mózgu i takich

dróg trawiennych, jak wątroby, śledziony i nerki. Zdaje się, że z trzech podobnych przypadków. Nie wiem, czy także z Bencosmem. Dołączyliśmy teraz wycinki pobrane przy sekcji zwłok Loretty.

Kiedy Beesley mówił o wycinkach z ciał zamordowanych, nie znanych mi osobiście ofiar, słuchałem tego z zawodową obojętnością. Ale gdy wspomniał o Lorecie, wzdrygnąłem się i słuchałem go z tak ściśniętą krtanią, że nie mogłem mu odpowiedzieć, kiedy zapytał, czy powinni zrobić analizę porównawczą.

– Niekiedy są olbrzymie trudności nawet z wykryciem związków kwasu cyjanowodorowego – ciągnął Beesley. – Trucizna, która zabiła Lorettę i kilka innych osób, jest o wiele doskonalsza, z tym, że w tych wypadkach podejrzenie o otrucie jest czysto hipotetyczne. Wszystko zależy od trwałości trucizny, od odporności na działanie rozmaitych czynników do chwili wprowadzenia jej do organizmu i od skomplikowanych procesów przemiany materii. Hydroliza, utlenianie, reakcja z aldehydami i tak dalej. Decyduje też Ilość. Cyjanek tylko dlatego wykrywa się na ogół dość łatwo, ponieważ otruci przyjmują olbrzymie dawki, zawsze więcej niż trzeba, żeby umrzeć. Mordercy z Dominikany wiedzą dobrze, jaka dawka uśmierca. Zresztą powtarzam, że w tych wypadkach problem otrucia jest hipotezą roboczą, uzasadniającą dla śledztwa fakt popełnienia zbrodni. Nie umiera się tylko dlatego, że zjechało się windą do garażu.

– Zróbcie analizę porównawczą, może coś znajdziecie.

– Spróbujemy... Czy domyślasz się, po co przyszedłem? Mam sprawę do Harriet Claire.

– Nie przypuszczasz chyba, że wykąpię ją i ciebie, położę was do łóżka i rano przyniosę śniadanie. Nie wymagaj zbyt wiele, nie będę pośredniczyć... Widziałeś się może z Harriet?

– Nie. Nie ukrywam jednak przed tobą, że to świetna dziewczyna, i że chciałbym mieć taką żonę.

– Masz olbrzymią szansę.

– Dlaczego?

Pomyślałem: nie, tego ci nie powiem, Beesley. Nie powiem ci, że Harriet jest jedną z niezliczonych kobiet, dla których małżeństwo jest czymś więcej niż miłość. Mężczyźni szukają miłości, kobiety zaś szukają męża. Tak nas wychowano,

tak nam to przedstawiono w stu tysiącach książek. Miałbyś większe szanse niż ja, ale ona ciebie nie lubi, powiedziała mi, że ciebie nie lubi, Beesley. Chociaż, kto wie...

– No więc czego chcesz od Harriet? – zapytałem.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Czego chcesz od Harriet – powtórzyłem – i dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

Beesley sięgnął po moje papierosy, zapalił.

– Powiedziałeś mi, że Harriet lata teraz w *Latin America Services*?

– Od początku latała na tych liniach, ale pół roku temu przeszła na dłuższą trasę.

– Jaką?

Recytowałem jak uczeń zapytany przez profesora:

– Nowy Jork, Miami, Camaguey, Kingston, Port-au-Prince, Ciudad Trujillo, San Juan, Caracas...

Frank podniósł rękę i opuścił ją, jak policjant kierujący ulicznym ruchem, kiedy zatrzymuje samochód.

– Stop! – zawołał. – Daj złapać oddech. Powiedziałeś, że na jej trasie jest Ciudad Trujillo?

– Tak.

– Teraz ja ci coś powiem, i powiem więcej niż wolno mi powiedzieć. Zależy mi jednak, żebyś był jako tako zorientowany.

– Proszę, mów.

– Chciałbym cię, po pierwsze, uspokoić co do naszych intencji w sprawie odnalezienia Galindeza lub choćby śladów porwania.

– Wasze intencje... – zacząłem, lecz Beesley nie dopuścił mnie do głosu, był zniecierpliwiony.

– Wiem, Mike, że opowiadasz świetne kawały, ale kącik humoru odłożmy na później. Szukając Galindeza mieliśmy kilkanaście koncepcji i nie wiedząc, która z nich jest słuszna, przy pomocy naszych najlepszych ludzi sprawdziliśmy wszystkie i jeszcze kilka innych. Nie obchodzą cię szczegóły ani wyniki nieudanych poszukiwań. Natrafiliśmy jednak na interesujący trop, najbardziej prawdopodobny. Tego samego dnia, kiedy zniknął Galindez, jakiś młody człowiek wypożyczył w Linden turystyczny samolot ze sporym bagażnikiem, typu phoenix.

- Żądał maszyny z bagażnikiem?
- Tak. I pilot ten odleciał – tak powiedział sekretarce biura wynajmu samolotów – do Chattanooga, Tennessee.
- Chyba nie wierzysz, że był jednym z tych przyjemnych facetów, co porywają profesorów z Nowego Jorku i podają swój adres... Znacie dokładnie godzinę porwania Galindeza. Czy pokrywa się z nią godzina odlotu tej maszyny?
- Z Linden wystartował wcześniej, ale nie wiadomo, gdzie się podziewał. Bo w przeszło godzinę później stacje kontrolne na wybrzeżu Filadelfii zarejestrowały przelot takiej maszyny.
- Czy samolot już wrócił do Linden?
- Nie. Dowiedziałem się, że miał kraksę na lotnisku General Andrews, w Ciudad Trujillo.
- Czy na pewno ten sam samolot?
- A kto dzisiaj lata phoenixami na Wyspy Karaibskie? Są lepsze samoloty.
- Dlatego spośród kilkuset maszyn prywatnych, które tego dnia wyleciały z Nowego Jorku, wybraliście tę jedną?
- Tego nie muszę ci tłumaczyć, wybrałbyś tak samo. Zresztą ty sam podsunąłeś mi pomysł z kontrolą lotów prywatnych. Przypuszczam, że w samolocie wywieziono Galindeza. Ale nie wiem, gdzie pilot wstąpił po Galindeza. Bo z Linden wyleciał sam, z małą walizeczką.
- Kto podpisał kwit gwarancyjny w Linden?
- Młody pilot bez stałego zajęcia, Gerald Lester Murphy.
- Czy możecie możliwie szybko poszukać go w Ciudad Trujillo? Macie tam swoich ludzi.
- Już go znaleźliśmy. Wszystko dzięki kraksie, to był świetny znak rozpoznawczy.
- Skąd pewność, że on kraksował? Czy macie obserwatora na lotnisku i ten wam o tym doniósł?
- Pracuje tam dla nas jedna taka, zresztą bardzo ładna... Mogę ci tyle powiedzieć, jest tancerką. Murphy przespał się z tą dziewczyną i przynajmniej dziesięć razy wychwalał się przed nią, jak mistrzowsko lądował na brzuchu maszyny.
- Czy ten znakomity pilot powiedział tancerce, jakiego miał pasażera?
- Nie. Nie pomogły żadne sztuczki.

- I biedna dziewczyna niepotrzebnie się fatygowwała.

33.

Gerald Lester Murphy obudził się z dokuczliwym bólem głowy i wyschniętym gardłem. Rozejrzał się półprzytomnie, wyciągnął dłoń i natknął się nią na ścianę. Był sam. Usłyszał chlupotanie wody wpadającej do wanny.

– Monika! – zawołał w stronę łazienki. – Monika! W drzwiach zjawił się czarny boy.

– Boy, gdzie jest ta pani?

– Pani wyjść, *señor comandante*.

– *Adonde?* – zapytał Murphy – dokąd?

– Pan mówić po angielsku, czarny boy rozumieć, *señor comandante*.

– Nie mów mi „panie majorze”, nie jestem majorem.

– *Si, señor*. Pani wyjść i powiedzieć, że nie wracać. *Señor* nie czekać.

Escudero wiedzieć, że pani nie wracać.

– Nazywasz się Escudero?

– Czarny boy Escudero. Escudero dobry boy.

Murphy ziewnął.

– *Que hora es?* – zapytał.

– Pan mówić po angielsku. Jest dziesięć godzin. Pan wstawać, ja przygotować gorąca kąpiel. Pan być zaraz dziesięć godzin i trzydzieści minut w hall „Cosmos”. W hall czekać *capitán* de la Maza. – Mrugnął bezczelnie okiem. – Pani być zadowolona, *señor*. To mówiła pani.

Murphy usiadł na tapczanie, przejechał dłonią po krótkiej szczecinie włosów.

Escudero zajrzał do łazienki.

– Woda być pełna, pan iść.

Pół godziny później Murphy spotkał w hallu „Cosmosu” Oliveirę. Zapytał podając mu rękę:

– De la Maza nie przyjdzie?”

– O dziesiątej miał być w ministerstwie, tam na nas czeka. Tak powiedział.
– Na pewno składa meldunek, co? Obserwował mnie, prawda? Powiedz mi prawdę, Julio.

– Synałeś mnie po pijanemu, Gerald. Mówiłeś do Octavia, że opowiadałem ci niestworzone historie.

Murphy był zaskoczony. Zawstydził się swego gadulstwa, poczuł się głupio.

– Nic nie pamiętam, Julio, nie mam pojęcia. Ale to chyba nic groźnego. W żartach coś powiedziałem, tak?

Przed wejściem do „Cosmosu” czekał na nich czarny plymouth, ten sam, którym wczoraj przyjechali z lotniska General Andrews. Oliveira kazał wysiąść kierowcy i zaczekać w hotelu; sam usiadł za kierownicą.

– Nie bój się o ten meldunek, Gerald. Octavio jest z ciebie zadowolony. On ci nie zaszkodzi, bylebyś tylko nie ruszał Managuy... Najważniejsze, że podobałeś się Abbezowi. Wszystko zależy od pułkownika Abbeza.

Co zależy od tego goryla? Co znaczy „wszystko”? – pomyślał Murphy. Chcieli go zabić, jak tylko przyleciał, i zrezygnowali z tego? Może wczoraj, po pijanemu, naraził się komuś? Może źle zrobił, że słuchał zwierzeń Oliveiry? Mogła to być również prowokacja... Nie, chyba nic takiego nie powiedział, w gruncie rzeczy nie obchodzą go rządy Trujillo. Ma inne zmartwienia.

– Gerald – powiedział Oliveira, kiedy zatrzymał ich na skrzyżowaniu czerwony sygnał – Gerald, specjalnie kazałem szoferowi wysiąść, żeby z tobą pogadać. Być może, że Abbez proponuje ci pracę. Powinieneś ją przyjąć, tak będzie lepiej.

– A gdybym się nie zgodził?

– Nie wiem, co by się stało, gdybyś się nie zgodził. Jednak lepiej mnie posłuchaj i przyjmij wszystko, co ci w ministerstwie proponują. Jeżeli w ogóle coś proponują.

Murphy zaniepokoił się. Do uporczywego bólu głowy i przykrej zgagi dołączył się strach.

– Mogłem się narazić, prawda? Nie są chyba zadowoleni, że wzięłem Monikę do hotelu... Byłem tak klasycznie zalany, że nawet nic nie pamiętam z tej nocy.

Oliveira uśmiechnął się; ukazał się zielony sygnał, nacisnął więc starter i w tłoku samochodów czarny plymouth powoli ruszył do przodu.

– To jedyna dziedzina życia – odezwał się Julio rozpędzając wóz – w której Trujillo jest tolerancyjny. Trujillo jest nie tylko jednym z najbogatszych ludzi, ale i najbardziej rozpustnym. Poza granicami kraju nikt w to nie wierzy, ale jeszcze do niedawna obowiązywało u nas tak zwane „prawo pierwszej nocy”, znane przed kilku wiekami w Europie jako *jus primae noctis*. Wychodząca za mąż dziewczyna, która podobała się generalissimosowi, musiała z nim spędzić pierwszą noc po ślubie... U nas kobiety są bardzo uległe, a ten zabieg zapewniał mu kontrolę żon nad wielu dygnitarzami w administracji i w wojsku. Od jakiegoś czasu ucichły takie historie.

– Powiem ci, Julio, że to całkiem dobry pomysł.

– Jeszcze nie wszystko, Gerald. Trujillo urządza wspaniałe uczyty, na wzór dawnych władców Wschodu, które najczęściej kończą się szalonymi orgiami. Kiedy przyjęcie dobiega końca i Trujillo zaczyna się nudzić, rozkazuje żonom i córkom swoich dworaków i zaproszonych gości, żeby rozebrały się do naga, w obecności swych mężów, ojców czy braci. I wtedy zaczyna się zabawa, którą Trujillo lubi najbardziej.

– Można nie przyjąć zaproszenia albo przyjść bez kobiet. No nie?

– Można. W Nowym Jorku albo Waszyngtonie. Ale nie u nas. Trujillo zgnoiłby wtedy w więzieniu całą rodzinę zaproszonego. Nie wierzysz? W Stanach wyszło już kilka książek na ten temat; szkoda, że nie czytałeś o Dominikanie.

Murphy nie wiedział, w co wierzyć z opowieści Oliveiry, a co odrzucić. Ale jaki cel miałby Oliveira, żeby go okłamywać, żeby przesadzać? Czy chciał go nastraszyć i nakłonić do wyjazdu? To było nieprawdopodobne, bo przecież przed chwilą namawiał go, żeby został tutaj i przyjął każdą propozycję Abbeza. W takim razie mówi prawdę.

– Julio, u nas dziennikarze roztrąbiliby zaraz takie historie na cały świat. Tylko polują na skandal i nikt im nie może kazać, żeby cicho siedzieli. Chyba są u was jakieś niezależne gazety?

– Wszystkie nasze gazety są prywatną własnością Trujillo. Zrozum, Gerald, o co idzie. Dam ci przykład: u was jest wielki koncern prasowy Hearsta i z nim w jakichś zasadniczych sprawach politycznych muszą się liczyć redaktorzy jego gazet. U nas taka zależność doprowadzona jest do absurdu i mamy tylko jeden koncern Trujillo i tylko jedne wytyczne dla wszystkich gazet: od Trujillo i jego kliki. Dziennikarz, który nigdy nie napisał, że Trujillo jest równy Bogu, że jest zbawcą ojczyzny, genialnym wodzem, największym obrońcą pokoju i wolności, i który nie odkrył, że wszyscy Dominikańczycy żyją w raju stworzonym przez Trujillo, taki gość nie ma co szukać w naszych redakcjach. I nie może się poskarżyć ani w radio, ani w telewizji. Trujillo sam obsadza wszystkie stanowiska w prasie i w propagandzie.

– Ja bym też tak robił. Facet chce wiedzieć, kto będzie o nim pisać i co będzie pisać.

– Wiem, ty również byś tak robił. I na to nie ma rady. Bo nie rozumiesz, na czym polega istota sprawy. Ale może zetkniesz się kiedyś z dominikańską policją albo potkniesz się o kogoś z licznej rodziny Trujillo. Wtedy zrozumiesz. Opowiadałem ci już o Ramfisie i o jego braciszku, Rhadamesie.

– O Rhadamesie nie. Chyba także się udał?

– Jak wszyscy z rodziny Trujillo. Rhadames ma ulubioną zabawę: kiedy wypije, przychodzi do więzienia i tam znęca się nad więźniami. Torturuje ich, bije. Przyjaźni się z największymi zbirami, szczególnie z pewnym agentem wywiadu lotniczego, A-2. Nazywa się on Carlos Evertsz. Znam tego łajdaka. Miał piętnaście lat, kiedy sypał kolegów ze szkoły, pod pretekstem, że mają komunistyczne poglądy. Kilku z nich przypłaciło to życiem. Później stał się ulubieńcem wuja Trujillo, wówczas kapitana, Ramona Moliny Ureny. Mieszkaliśmy wszyscy w tej samej dzielnicy Ciudad Trujillo, w Eusanche Orama. Właśnie Urena polecił Carlosa do A-2 i zabierał go często do swego majątku. Tam uczył go polować i zabijać ludzi.

– A kogo zabijali i po co? Julio, czasem mówisz takie dziwne rzeczy, że człowiek sobie myśli: takiego filmu jeszcze nigdzie nie grali. Najlepsze westerny wysiadają.

– Grali, u nas. Wujek Urena wciąż powiększał swoją farmę, wokół której były nędzne poletka *campesinos*, biednych chłopów. Urena wyrzucał ich stamtąd. Jeżeli nie chcieli się wynieść, wtedy ich zabijał. Robił to w obecności Carlosa. Później jemu kazał zabijać. Carlos sam mi opowiadał, jak pewien *campesino* nie chciał oddać swojej ziemi. Wtedy kapitan Ramon Molina Urena kazał swoim peonom zakopać go w ziemi, aż po szyję.

„Urena – tak opowiadał Carlos – powiedział do mnie: Carlos, teraz ty go zastrzel. No i zastrzeliłem, strzelałem w głowę wystającą z ziemi”.

Murphy poczuł obrzydzenie.

– Na to nigdy bym nie poszedł – powiedział – za żadne pieniądze. Taka robota mi nie leży.

– Carlosowi wszystko leży, każda robota. W Akademii Wojsk Lotniczych pułkownik Ramos Troncoso kazał mu szpiegować kolegów, czy przypadkiem nie mają lewicowych poglądów. Carlos znalazł takich. Siedmiu kadetów aresztowano, może nawet zabito, a dwunastu wyrzucono z Akademii. Kiedy Carlos ją ukończył, pułkownik Jose Luis Leon Estevez, zięć generalissimusa Trujillo, przeniósł go z lotnictwa do tajnej służby wywiadowczej. Prócz służbowych zleceń dawał Carlosowi również prywatne zadania. Żona pułkownika Esteveza zdradzała go, a później wykańczała swoich kochanków, żeby milczeli. Ale zakochała się w jednym lotniku, nazywał się Caanan.

– Trafia się – powiedział Murphy. – Dziwki także mogą się zakochać. Znałem taką jedną, Jezu, to była bombowa dziwka! Ale co tam, mów.

– Powtórzę ci, co opowiedział mi Carlos. „Na rozkaz pułkownika Esteveza złapaliśmy tego Caanana i zabraliśmy do naszej bazy *Kilometro 9*. Tu czekał na nas Estevez. Rozkazał jednemu z żołnierzy wykastrować Caanana. Facet rył ziemię nogami – powtarzam ci dosłownie zwierzenia Carlosa – a Estevez zastrzelił go, zabrał członek i dał go swojej żonie. Ta nie powiedziała ani słowa”.

– Daj spokój, Julio, tak nie może być. W żadnym kinie czegoś takiego nie grali. Nie może być.

– Wszystko może być – odparł Julio – jeżeli prasa dominikańska służy wyłącznie prywatnym interesom rodziny Trujillo. I właśnie ten Carlos otrzymał

od syna Trujillo, Rhadamesa, połączany rewolwer z wygrawerowaną dedykacją „Carlosowi od Rhadamesa”. Obaj organizowali niesłychane orgie, wlokąc na nie córki najlepszych rodzin Dominikany. Rhadames uwiódł raz trzy siostry. Spał z nimi w tym samym domu, w którym Carlos zabawiał się z innymi dziewczynami.

– Jak dziewczyna nie leci na człowieka, jaka w tym przyjemność? Wiesz, ja jestem przeciętny i w nic się nie wtrącam, ale takiego gościa sam bym wykastrował. Gówniarska zabawa.

– Jeśli powiesz o tym głośno, zginiesz.

– Julio, nauczyłem się już mówić cicho, tak cicho, żeby nawet sam nie usłyszał.

– To przyda ci się w Republice Dominikańskiej.

– Przydałoby się jeszcze coś na kaca – powiedział Murphy. – W nocy byłem jak pijane dziecko we mgle, mówię ci, Julio, widziałeś kiedyś faceta w proszku? Ja byłem w proszku. Wczoraj oddałbym resztę życia za jedną noc z Moniką Gonzales, a dzisiaj nawet nie pamiętam, jak to było. Pech, co? Myślisz, że Monika nie wróci?

– Chyba nie. Jesteś cudzoziemcem, a ona musi być ostrożna.

– Chciałbym jej postać jakiś podarunek.

– Możesz to zrobić. Ale nie załączaj żadnej kartki, nie pisz, że to od ciebie, bo ci odeśle. Takie rzeczy jak z tobą ona robi bezinteresownie albo nigdy.

– Jeżeli prezent ma być anonimowy, po co wysłać?

– Ja bym wiedział po co – powiedział Oliveira. – Ale nie wysyłaj, jeżeli sam nie wiesz po co. W ogóle zostaw ją w spokoju, tak będzie lepiej.

– Dla niej?

– I dla ciebie.

– Chyba pošlę jej kwiaty.

– Poślij.

– I załączę kartkę – powiedział Murphy.

Plymouth zatrzymał się pod gmachem ministerstwa.

34.

Mike, jesteś roztargniony – powiedział Beesley – przestań myśleć o Harriet. „Gdyby nie nasza tancerka, nigdy nie dowiedzielibyśmy się, że niejaki mister Murphy przybył tego dnia do Ciudad Trujillo i że miał kraksę na lotnisku General Andrews. Sama kraksa nie zwróciłaby naszej uwagi. Dopiero dzięki informacji uzyskanej od mego agenta dowiedzieliśmy się o tym i sprawdziliśmy, że na lotnisku lądował bez podwozia samolot typu phoenix. Dowiedzieliśmy się także na punktach kontrolnych, czy przelatywał tego dnia phoenix i o której godzinie. I poszukaliśmy w kartotekach, gdzie i kto ma jeszcze phoenixa w Stanach. Okazało się, że taką maszynę ma biuro wynajmu samolotów w Linden. Tam znaleźliśmy na kwicie gwarancyjnym podpis Murphy'ego. Ponieważ takie samo nazwisko przekazała nam dzisiaj w nocy nasza agentka z Ciudad Trujillo, stąd wniosek, że jedyny konkretny ślad porwania Galindeza pozostawił Murphy.

– Frank, to jest coś więcej. Najbardziej ważkim śladem był brak Galindeza, brak maszynopisu jego pracy, list, który pozostawił w domu, i tak dalej. Śladami w znaczeniu kryminalistycznym są wszelkie zmiany w świecie zewnętrznym, które pozostają w związku z danym przestępstwem i z tej przyczyny pozwalają wnioskować o czynie. Pamiętasz chyba teorię Zanggera, który określił ślady jako naturalne odpadki zdarzeń – *naturgesetzlicher Abfall*. Ale to, o czym ty mówisz, Frank, stanowi już tak zwany trop. Można zacząć działać.

– Trzymałbym się tu raczej definicji Schneickerta, który określił ślady jako wszystkie spostrzegalne i nadające się do wykorzystania poszlaki. Poszlaki, Mike. Mamy tylko poszlaki.

– Powtarzam ci jeszcze raz, że to, co powiedziałeś o Murphym, jest już tak zwanym *tropem*, a nie *śladem*. Meinert uważa, że śladem jest każda zmiana wywołana w otoczeniu w następstwie działań lub zdarzeń, które dają nam podstawę do wnioskowania, w jaki sposób ją spowodowano. Każde poszczególne

zjawisko, które jest wynikiem działania sprawcy, to tak zwany ślad. Następujący po sobie czy bieżący szereg śladów, a więc to, czym ty już dysponujesz, nazywa się tropem. Jesteś już na *tropie*, Frank. Każde zdarzenie lub nawet zaniechanie działania zaznacza się w rzeczywistości, pozostawia jakieś znamiona, a więc ślady. Próba zatarcia śladów pozostawia nowe ślady wzbogacające naszą wiedzę o przestępstwie, okolicznościach, osobie poszukiwanej, sposobie, kolejności zdarzeń itd. Uzupełnianie tych śladów pozwala na to, by nasze poznanie rozwijało się w odwrotnym kierunku od biegu czasu, to znaczy: od odbitych i odkrytych przez nas śladów – do zdarzenia, które zaszło w przeszłości. W ten sposób od informacji uzyskanej przez dominikańską tancerkę trafiliście na lotnisko w Linden. Teraz z lotniska w Linden powinniście dojść do stacji metra Columbus Circle.

– To najważniejsze ogniwo. Drogę Galindeza do metra już znamy, znamy też, jak sam zakładasz, drogę z Linden do Ciudad Trujillo. Ale prócz tego nieznanego odcinka, o którym wspomniałeś, jest jeszcze jeden: droga od aparatu telefonicznego, z którego w twoim imieniu rozmawiał ktoś z Loretą, do jej garażu.

Dlaczego Beesley o tym przypomniał? Czemu pomija znaczenie tropu i zmienia temat? I po co w ogóle przyszedł? Czego chce od Harriet? Zacząłem wikłać się w domysłach. Beesley wiedział więcej.

– Frank – zapytałem – czy sądzisz, że Harriet powie nam coś ciekawego na temat tej drogi od telefonu do garażu? Dlaczego ona?

– Do Harriet mam inną sprawę, kto wie, czy nie ważniejszą...

– Czemu sam jej nie powiesz? Nie spotykam się z Harriet.

– Harriet nie może się domyślić, że w sprawę, którą ma nam załatwić, wmieszana jest policja. Powiem ci wprost: Harriet powinna skontaktować się z Murphym. Znają ją już w Ciudad Trujillo jako stewardesę *Pan Am* i nie zwrócą na nią uwagi. Wiem, co chcesz powiedzieć, Mike: że przecież nie zna jej całe miasto. Tak, ale nam chodzi tylko o kasyno pilotów na lotnisku General Andrews.

Co za idiotyczna koncepcja! – pomyślałem. – Niech się odczepią od Harriet i nie narażają jej na takie kontakty. I niech mnie nie używają do pośrednictwa między wywiadem a Harriet. Wystarczy, że z naszych podatków utrzymuje

się Beesleya i tysiące innych.

– Frank – powiedziałem – czy przypuszczasz, że Murphy siedzi w kasynie pilotów, żuje gumę, pije whisky i czeka na Harriet dzień i noc?

– Murphy posłał kwiaty naszemu agentowi, tej tancerce, i dołączył kartkę, że zaangażował się jako pilot w dominikańskich liniach lotniczych. Napisał, że zrobił to dla niej, bo chce być tam, gdzie ona, wiesz, taka typowa podrywka. Niech więc Harriet sprawdzi, czy on rzeczywiście jest tam pilotem i na jakiej trasie będzie latać. W tej zupełnie przypadkowej rozmowie niech go zapyta, po co w ogóle przyjechał do Ciudad Trujillo. Coś w tym rodzaju i bardzo delikatnie, bardzo ostrożnie.

– Nie możesz tego zlecić swojej tancerce?

– Pracuje w niesłychanie trudnych warunkach, obserwują ją. Jej ponowny kontakt z Murphym mógłby ją narazić, bo przecież oni wiedzą, z jakim towarem Murphy przyleciał. Jeśli idzie o Murphy'ego, uważamy tancerkę za spaloną. Wystarczy nam, co zrobiła dotychczas w tej sprawie.

– Ściągnąć Murphy'ego chyba nie możecie, prawda? To byłoby zbyt ryzykowne.

– Nie wypuszczą go. Wtedy by go zabili, to nie ulega wątpliwości. A nam najbardziej zależy na tym, żeby żył. Będzie jedynym dostępnym świadkiem w sprawie Galindeza, kiedy przyjdziemy z tym do Trujillo.

– Rozumiem. W tej sytuacji może się z nim skontaktować tylko przypadkowo poznana w kasynie dziewczyna, na tyle ładna i pożądana, żeby chciał z nią gadać.

– Tak, Mike. W tej chwili to nasza jedyna szansa. Jeżeli Harriet będzie sprytna, nic jej nie grozi.

– Tylko tyle, że Murphy się z nią ożeni. On na pewno lubi się żenić, tak jak ty, Frank.

– To uderza w ciebie Mike, nie w nią. Pozostał jeden problem: czy Harriet nie wyda się podejrzane, że po trzech miesiącach milczenia nagle dzwoniś i umawiasz się z nią tylko po to, żeby pogadać o Murphym?

Sięgnąłem po leżącą na biurku depeszę od Harriet, podałem ją Beesleyowi.

– Właśnie proponuje mi spotkanie. Przeczytaj.

Beesley przeczytał, położył depeszę na stoliku.

– Wszystko nam sprzyja, Mike. Załatwisz?

– Spróbuję. Korzystałem kilkakrotnie z twojej uczynności i może teraz się zrewanżuję.

– Wymyśl jakiś pretekst, ale taki, żeby ani Harriet, ani Murphy nie mieli pojęcia, że to obchodzi kogoś z wywiadu. Musimy zostać w cieniu.

– Zobaczymy, co da się zrobić.

35.

Abbez przyjął ich w gabinecie urządzonym z niesłychanym przepychem. Patrząc na złocenia, purpurę i ciężkie kryształły jednego z prominentów reżimu, można było uwierzyć opowieściom o fantastycznych, przekraczających wszelkie wyobrażenia bogactwach Trujillo, liczącego własne złoto w tonach, posiadającego najrzadsze kolekcje klejnotów. Z bram i balkonów jego pałacu zwieszały się na łańcuchach ciężkie bryły czystego srebra, pływalnie i łazienki były wyłożone złotem i najdroższymi marmurami świata.

Murphy był olśniony wnętrzem gabinetu Abbeza.

Pułkownik Garcia Abbez siedział za biurkiem, obok niego stał Octavio de la Maza.

Na tylnej ścianie, nad rzeźbionym i obitym purpurą tronem Abbeza, wisała w złotych rzeźbionych ramach olbrzymia fotografia Rafaela Trujillo: tęga, przerosła tłuszczem twarz, podkreślona podwójnym podbródkiem, niskie czoło powiększone postępującą łysiną, mięsisty nos, okrągłe, lekko odstające uszy i szeroki uśmiech obnażający białe zęby, drobne i drapieżne.

Kilkanaście kroków dzieliło Murphy'ego od biurka Abbeza.

– Proszę bliżej – powiedział Abbez, nie wstając.

Murphy szedł ku niemu, kiedy otworzyły się boczne drzwi. Ukazał się w nich wysoki mężczyzna w mundurze majora policji dominikańskiej.

– To jest Gerald Lester Murphy – powiedział Abbez do mężczyzny w mundurze majora. – A to – zwrócił się do Murphy'ego – major Miguel Angelo Paulino.

Miguel Angelo Paulino... Murphy przypomniał sobie to nazwisko; pisano o tym człowieku sporo, gdy był jeszcze kapitanem... Kiedy straszliwe tornado zniszczyło stolicę Dominikany, wówczas Miguel Angelo Paulino podsunął dyktatorowi zuchwały pomysł: wykorzystać skutki szalejącego tornado i wymordować wszystkich podejrzanych.

Następnego dnia prasa podała, że tornado przyniosło śmierć prawie trzem tysiącom mieszkańców stolicy, liczbę rannych ocenia się na osiem tysięcy. Pisano dalej, że rząd śpieszy z pomocą ofiarom i ich rodzinom, ale obawiając się wybuchu epidemii i nieodzownej zwłoki w pogrzebaniu tak wielkiej liczby ofiar, musi je spalić. Zbierano więc ciała zabitych, układano w wielkie stosy, oblewano je benzyną i palono. Murphy przypomniał sobie, że akcją tą kierował Miguel Angelo Paulino. To on stał przed nim w mundurze majora policji.

– Niech pan mu powie, majorze – powiedział Abbez – co chcemy dla niego zrobić.

Major podał rękę Murphy'emu.

– Jesteśmy z pana zadowoleni, panie Murphy. Pan pułkownik Garcia Abbez jeszcze wczoraj był tak łaskaw i podziękował osobiście... Czy podoba się panu Ciudad Trujillo? Czy już się pan przekonał, że te wszystkie brednie, jakie o nas wypisuje się w Stanach, są wysrane z brudnego palca komunistów i wrogów wolności?

– Podoba mi się tutaj – odparł Murphy.

– Jest pan młodym dzielnym człowiekiem i szkoda, żeby się pan zmarnował. Mamy dla pana propozycję, która otworzy panu drogę do wielkiej kariery. Interesuje to pana?

– Tak, panie majorze.

– Pan jest na pewno porządnym i sympatycznym chłopcem, a nie jakimś komunistą.

– Nawet nie znam komunistów, panie majorze.

– Ładnie – wtrącił Garcia Abbez. – Generalissimus ma kłopoty z komunistami,

nie trzeba ich znać. Niech pan mu powie – zwrócił się do majora – kto ja jestem i czym się zajmujemy, ale ogólnie.

– Pan pułkownik – wyjaśnił major Miguel Angelo Paulino – reprezentuje taką instytucję, jaka na przykład w Argentynie nazywa się SIDE. Słyszał pan o czymś takim? Jest to superwywiadowcza służba przy urzędzie prezydenta państwa, a więc najwyższy organ kontrolujący pracę wszystkich formacji policji, wywiadu i kontrwywiadu. Mózg, serce i dusza naszej Republiki. To wielki zaszczyt, że pan pułkownik Garcia Abbez raczył pana przyjąć.

– Wielki, panie majorze – odparł Murphy – ja to wyczuwam.

– A to jest – ciągnął major – pan Octavio de la Maza, który z odznaczeniem ukończył *Batalia de las Carreras*, czyli Akademię Wojsk Lotniczych. Dzięki jej szefowi, a jest nim pułkownik Ramos Troncoso, szkoła ta wychowuje dzielnych ludzi oddanych bezgranicznie naszemu ukochanemu generalissimusowi Trujillo. Nad wychowaniem pilotów i w ogóle młodzieży dominikańskiej czuwa też zięć generalissimusa, Jose Luis Leon Estevez. Kryształowy człowiek i wielki humanista, który polecił pana naszej opiece.

Murphy przypomniał sobie, co Julio opowiadał mu o tym wielkim humaniście i o lotniku Caananie...

– Chyba pan zetknął się już z ujemnymi opiniami o życiu w Republice Dominikańskiej?

– Co tam – powiedział Murphy – mnie się tutaj podoba.

– A co pan czytał?

– Jakieś takie. Jak człowiek się nudzi, to czyta albo ogląda telewizję. A jak się później znów nudzi, to wcale nie przypomina sobie, co czytał, tylko znów coś czyta albo ogląda obrazki.

Abbez zwrócił się do majora:

– Nie przejawia – zapytał po hiszpańsku – zbyt wielkiej inteligencji?

– Nie zauważyłem – odparł major – raczej przeciętną.

– Ładnie – powiedział Abbez. – Nam są potrzebni porządni i sympatyczni chłopcy, którzy nie są komunistami. A w Boga wierzy?

Octavio przełożył ostatnie zdanie, skierowane do Murphy'ego.

– Czasami wierzę. Jak jest mi smutno i ciężko, to wierzę.

– Tutaj – wtrącił major – nie będzie panu smutno ani ciężko. W Dominikanie nikomu nie jest ciężko. Chyba, że ktoś jest komunistą.

Wciąż o tych komunistach, pomyślał Murphy. W bazie lotnictwa *Kilometro 9*, gdzie mieścił się sztab wywiadu A-2, więźniom politycznym wrywano obciążkami paznokcie, żyletkami nacinano na piersiach skórę i zdzierano ją pasami. Octavio o tym opowiadał. Agenci A-2 podkładali w kościołach bomby i strzelali do księży, zrzucając winę na komunistów, by wzbudzić przeciw nim nienawiść wśród pobożnych Dominikańczyków.

– Nigdy nie widziałem komunistów – powiedział.

Abbez skinął głową, uśmiechnął się życzliwie.

– Niech pan mu powie – zwrócił się do majora – że nie musi się kontaktować ze swoją ambasadą. Nie życzymy sobie.

Major do Murphy'ego:

– Do ambasady USA nie ma pan po co chodzić. Wszystkie formalności z nami pan załatwi.

– No pewnie, panie majorze – przytaknął Gerald Murphy – po co mi ambasada? Ale pan major powiedział, że ma dla mnie propozycję, żebym się nie zmarnował.

– Damy panu stopień oficera lotnictwa cywilnego. Generalissimus Trujillo zakupił ostatnio nowe samoloty dla linii lotniczych *Compañía Dominicana de Aviation*. Generalissimus Trujillo proponuje panu objęcie posady drugiego pilota na maszynie boeing 707. Pierwszym pilotem będzie znany już panu kapitan Octavio de la Maza. Na inżyniera mechanika w tej załodze mianowaliśmy zaprzyjaźnionego z panem Julia Ruiz Oliveirę. Gaże w naszym lotnictwie są bardzo wysokie, a pan, jako cudzoziemiec, otrzyma specjalny dodatek.

Abbez skinął dłonią, major umilkł.

– Kontrakt podpisujemy na trzy lata – wtrącił Abbez.

– Może na rok, panie pułkowniku? – zapytał nieśmiało Murphy, olśniony jednak propozycją majora. – Musiałbym się zorientować...

– To jest możliwe. Niech będzie na rok. Ale dziwi mnie zastrzeżenie – powiedział major. – Propozycja generalissimusa jest korzystna i szlachetna.

– Właściwie wszystko jedno – szybko poprawił Murphy. – Niech będzie na trzy lata. Dziękuję panu.

– Ładnie – powiedział pułkownik. – Niech się pan uczy hiszpańskiego, panie Murphy. Całe życie trzeba się uczyć.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Major wyciągnął rękę w stronę Murphy'ego i dodał, żegnając się z nim:

– Proszę pamiętać, że pańskim najwyższym zwierzchnikiem jest generalissimus. *Compania Dominicana de Aviation* jest prywatną własnością generalissimusa Leonidasa Trujillo. Potrzebujemy takich dobrych pilotów jak pan. A pan jest dobry.

– Dziękuję, panie majorze. Dziękuję, panie pułkowniku. Postaram się zasłużyć na zaufanie.

Major podszedł bliżej.

– I niech pan jeszcze zapamięta, że od spraw politycznych są u nas specjaliści, niech się pan w te rzeczy nie wtrąca. Wtedy żaden z nas nie będzie się wtrącać w pańskie prywatne historie, i w to, czy pan śpi z Moniką Gonzales, czy z jakąś inną. Lubi pan kobiety?

– No... nie powiedziałbym, że nie, panie majorze.

– Słusznie – odparł major. – Przyjemna rozrywka, byle w miarę i nie na służbie. Młodzi ludzie muszą gdzieś wyładować nadmiar energii. Wszystko jasne?

– Jeszcze ten samolot pożyczony w Linden...

– Pan pułkownik postanowił – wtrącił de la Maza – że zaraz po remoncie tej maszyny odleci nią do Linden specjalny pilot, któremu pan odda kwit. Może pan...

Miguel Angelo Paulino powstrzymał Octavia. Powiedział:

– Pilot ten odbierze w Linden kaucję, którą chcieliśmy ofiarować panu jako premię za mistrzowskie lądowanie w tak trudnych warunkach, zagrażających życiu naszego chorego przyjaciela. Ale taką sumę wypłacimy panu na miejscu, w naszej walucie... Chciał pan coś powiedzieć?

– Wolałbym w dolarach, żeby posłać matce.

– Dobrze. Niech pan tak napisze matce, jak powiem: dowiedział się pan

w Nowym Jorku, że linie dominikańskie potrzebują pilotów. Wynajął pan samolot, żeby zrobić na nas dobre wrażenie, zgłosił się pan tutaj i otrzymał doskonałą pracę. To wystarczy. Życzyłbym sobie, żeby pan pokazał komuś ten list, niech, go przeczyta kapitan de la Maza. Kapitan de la Maza sam go wyśle. O chorym, którego pan wioził, niech pan zapomni na zawsze. Nie było żadnego chorego, żadnych noszy. A po drodze, w Lantanie, nikogo pan nie zabierał do samolotu. Po prostu przyleciał pan do Ciudad Trujillo, licząc na dobrze płatną posadę. Otrzymał pan taką posadę. Jesteśmy skwitowani. Zgoda?

– Oczywiście, bardzo dziękuję, mogą panowie na mnie liczyć... Jestem naprawdę szczęśliwy, że panowie tyle dla mnie zrobili.

Abbez uderzył o stół ciężkim sygnetem.

– Lubimy lojalnych ludzi. Może pan odejść.

– Kontrakt prześlemy do „Cosmosu” – powiedział major. – *Hasta mas ver!*
– dodał po hiszpańsku – do zobaczenia.

– *Hasta la vista!* – powiedział Murphy – do widzenia.

Abbez nie wstał, nie podał mu ręki. Wzniósł na moment owłosioną dłoń i opuścił ją na biurko.

Murphy wyszedł, przepuszczając przed sobą Octavia. Za nimi podążył Julio Ruiz Oliveira.

Abbez sięgnął po słuchawkę, ale nim ją podniósł z widełek, powiedział do majora:

– Myśli pan, że dobrze zrobiliśmy?

Miguel Angelo Paulino zatarł dłonie.

– W każdej sekundzie możemy się wycofać, panie pułkowniku. Nie będzie ani jednej godziny w życiu Murphy'ego, aż do dnia jego śmierci, w której moglibyśmy stracić go z oczu.

– Ale to jest jednak zabawne, co? – zapytał Abbez. – Gdyby nie ten przykry wypadek z Loretą Flynn, który nadał rozgłosu sprawie porwania Galindeza, Murphy już dzisiaj by nie żył. Ma chłopak szczęście. Czy Monika Gonzales zgłosiła się rano u pana? Co powiedziała?

– Wypytywała Murphy'ego jak tylko się dało o ten lot, po co tu przyjechał i z kim leciał. Podsuwała mu nawet myśl, że on kogoś przewoził, ale Murphy nic jej nie powiedział. To druga przyczyna, dla której chłopak jeszcze żyje.

- Pan ufa tej tancerce, majorze?
- Tak, bo ona to robi ze strachu. Mniej ufam tym, którzy donoszą nam za pieniądze.

36.

Zatelefonowałem do Harriet. Powiedziałem jej, żeby wstąpiła do mnie, ale odmówiła. Miała charakter albo była tylko uparta. Ale karierę powinna zrobić.

- Może przyjechać do ciebie – zapytałem – do hotelu?

Nie chciała, żebym przyjeżdżał do hotelu.

- W porządku. Więc gdzie się spotkamy?

Przypomniała mi ten mały *snack-bar*, w którym rozmawialiśmy po raz ostatni, trzy miesiące temu. Przeprosiła, że nie chce przyjść do mnie i że nie zaprasza mnie do siebie, ale ona wie, jak by to się skończyło.

Ja też wiedziałem, jak by się skończyło.

- Dobrze, czekam na ciebie w barze.

Nie czekałem długo. Zjawiła się w kilka minut po moim przyjeździe. Wyglądała ślicznie. Kiedy obserwowałem, jak zgrabnie wspina się na krzesło barowe, chciałem ją pocałować. Ale nie zrobiłem tego.

- Jesteś czarująca, Harriet, coraz ładniejsza.

– Dziękuję ci, Mike. Jak zawsze jesteś uprzejmy i wiesz, co można powiedzieć kobiecie po tak długiej rozłące. Pomyślałam już, że o mnie zapomniałeś.

- Tak się czuję, jakbyśmy się nigdy nie rozstawali.

– Ja czuję się inaczej.

- Jak z kimś obcym?

– Mike, zamów dla mnie zwykły Dry Martini i *cheese cake*. Tu mają świetne ciastka z serem.

– Jeszcze się od tego nie odzwyczaiłaś? Od tych ciastek z serem do Dry Martini?

- Nie miał mnie kto odzwyczaić. Z nikim się nie spotykałam w tym czasie.

Nie myśl tylko, że dla ciebie tak robiłam. Po prostu nie miałam ochoty... Mike, czy ty mnie zdradziłeś?

Skinąłem na barmana wpatzonego w obrazki komiksu o wszechmocnym supermanie. Poprosiłem go o ciastko z serem i Dry Martini dla Harriet.

– Dla pana martini przeżegnane wermutem?

– Nie, daj mi *double whisky on the rock* – zamówiłem podwójną whisky na skale, czyli na kostce lodu, bez wody.

Harriet starała się mnie powstrzymać.

– Podwójną whisky? Czystą? Co ty wyprawiasz?

– Harriet, słyszałaś przecież, że nie czystą. Prosiłem, żeby dodał lód. Pozwól mi wypić to, co mi smakuje.

– Na pewno łązisz teraz z jakąś dziwką i od niej nauczyłeś się pić samą whisky.

– Z lodem, Harriet.

– Nie muszę tego dodawać, nie wyobrażam sobie whisky bez lodu.

– Ale wyobrażasz sobie, że mogę spokojnie siedzieć przy tobie i nie de-nerwować się.

– Czym? Nie przypuszczam, żebyś cierpiał.

– Zostaw to mnie. Nigdy nikomu nie opowiadam, czy cierpię czy nie. Moja sprawa. Ale nie mogę się z tym pogodzić, że ciebie straciłem.

– Zauważyłam, że jakoś sobie radzisz.

– Nie.

– Co nie?

– I tak nie zrozumiesz.

– Mój Boże, Mike, czego nie rozumiem? O co znowu chodzi?

– Jak zawsze: tylko o ciebie.

– Możesz do mnie wrócić, ale tylko tak, jak ci powiedziałam.

– Mogę cię kochać tylko tak, jak sam wyobrażam sobie miłość. Nie umiem tak kochać, jak wszyscy się kochacie, bo to zabija miłość. Nie zmuszaj, żebym ci powtarzał wszystko od początku. I sama nie wracaj do tego tematu.

– Nie odpowiedziałeś mi na jedno pytanie.

– Nie zdradziłem ciebie. Nikogo nie chcę poza tobą, Harriet. Inne mnie nudzą.

– Możesz sobie zdradzać. To mnie już nic nie obchodzi. Naprawdę.

– Muszę ci wierzyć. Byłaś zawsze bardzo uczciwa i nigdy mnie nie okłamywałaś. Więc wysiadasz.

– Ale to nie jest prawda, Mike, że nic mnie nie obchodzi.

– Wiem.

– Czemu tak późno odpowiedziałeś na moją depezę?

– Bałem się tego spotkania... Harriet, do licha, dokop się wreszcie do jakichś głębszych pokładów wyobraźni, pomyśl o tym, co ja czuję. Nie umiem sobie poradzić bez ciebie. Nie wiedziałbym nawet, co zrobić z inną dziewczyną.

– Och, na tych sprawach znasz się aż za dobrze. Obejdiesz się bez podręcznika.

– Jesteś strasznie głupia, Harriet.

– A ty jeszcze głupszy.

– Chyba dlatego, że wciąż liczę... Zresztą nie ma o czym mówić.

– Skończ, dlaczego nie kończysz? Jeżeli już zacząłeś mówić... Spotkaliśmy się chyba po to, żeby porozmawiać. Na co liczysz?

Barman postawił przed nami kieliszki i talerzyk z sernikiem dla Harriet.

– Zjedz szybko to ciastko – powiedziałem – bo nie znoszę widoku słodyczy w pobliżu alkoholu.

– Dawniej znosiłaś. – Zwróciła się do barmana: – Proszę zabrać ciastko.

– Niedobre? Nie takie pani chciała? Kilka godzin temu przynieśli z piekarni, są naprawdę doskonałe.

Harriet podsunęła talerzyk w kierunku barmana.

– Mój znajomy nie cierpi widoku ciastek w barze.

– Przecież pan Wynn sam zamawiał – powiedział barman. – Pani także słyszała.

– On już jest taki.

Kiedy barman odszedł:

– Mike – powiedziała Harriet – dzisiaj już się nie bałem tego spotkania... Było ci smutno beze mnie, prawda?

– I wciąż jest mi smutno.

– Teraz, przy mnie?

– Tym bardziej. Weź, wypij trochę... Wiesz, co to jest samotność?

Z Harriet mogłem tylko tak rozmawiać.

Przytknęła kieliszek do ust, spojrzała naiwnie i ustami dotknęła powierzchni płynu. Jednak nie piła.

– Czytałam w nocy artykuł o kosmonautach. Czekałam na twój telefon i czytałam takie różne rzeczy w „Atlantic Monthly” i w „Harpers Magazine”. Nie mogłam zasnąć. Autor wspominał, że pilot rakiety międzyplanetarnej w przestrzeni kosmicznej, oddalony od Ziemi setki mil, będzie się czuł strasznie samotny. I że ten problem trzeba jakoś rozwiązać. Chodzi ci o coś takiego?

– Samotność kosmonauty może być niczym w porównaniu z samotnością człowieka żyjącego wśród innych ludzi. Zwłaszcza kiedy myślę o tobie.

Poczułem, jak Harriet dotyka mnie kolanem.

– Mike, wcale nie musisz być samotny.

Odsunąłem nogę, nie chciałem, żeby mnie dotykała.

– Jeżeli przyjmę twoje warunki, będę bardziej samotny, bo przy tobie. To byłoby najgorsze.

– Nigdy nie zrozumieję, dlaczego tak bardzo się boisz małżeństwa.

No dobrze, pomyślałem, powiem jej coś niecoś po raz ostatni, powiem, chociaż to nie ma sensu i szkoda każdej sekundy na mówienie.

– Harriet, posłuchaj dlaczego. Bo wraz z twoją propozycją, potraktowaną jako warunek, wkrada się w naszą miłość element spekulacji. Bo ten papierek, który dostaniesz w urzędzie stanu cywilnego, czy też tak zwana zmiana twojej pozycji towarzysko-społecznej, ma dla ciebie większą wartość niż sama miłość, która jest fenomenem o wiele rzadszym niż śluby... Bo mając w życiu mnóstwo ograniczeń, zakazów i sankcji, zagrożony zewsząd paragrafami, przepisami i konwencjami, szantażowany warunkami, na których pozwalają mi egzystować wśród ludzi – nie chciałbym w moim życiu prywatnym, uczuciowym; intymnym stwarzać sobie jakichkolwiek barier, zakazów czy zabezpieczeń za pomocą kodeksów, dokumentów i stempli z amerykańskim orłem. Miłość i ograniczenia, które tylko ona mi narzuca, to jest wszystko, co mogę ci ofiarować, ale to jest najwięcej, co można dać drugiemu człowiekowi. Nie opuszczę ciebie.

– Mike, zrozum, że ja...

– Wypij, Harriet, natychmiast wypij do końca. Nic nie mów, ten temat jest wyczerpany.

Wypiłem whisky, zamówiłem jeszcze jedną. I Dry Martini dla Harriet. Poprosiłem nawet, żeby barman przyniósł te obrzydliwe ciastka z serem. Chciałem coś jeszcze dla niej zrobić, ale nie wiedziałem co. Poprawiłem abażur lampki, która raziła ją w oczy, zdmuchnąłem popiół, który spadł z mego papierosa na ladę baru. Szukałem, co jeszcze można zrobić dla Harriet, ale nic nie znalazłem.

– Gdybym się na to zgodziła – zapytała Harriet – czy zabrałbyś mnie dzisiaj do siebie na noc? Prawda?

– Nie tylko na noc. Natychmiast bym cię zabrał, nawet na wieczór i na następny dzień.

– Widzisz, Mike, jaki ty jesteś.

Nie wiedziałem, o co jej chodzi i co złego dostrzegła w moim pragnieniu. Mogła się domyślić, zresztą na pewno wiedziała, że nie poszedłbym z żadną inną dziewczyną, tylko z nią, bo to przecież nie był problem fizjologiczny, ale coś zupełnie innego, niż ona myślała lub mogła sobie wyobrazić. Nie powiedziałem jej o tym. Nie rozumieliśmy się. Przegrałem.

Harriet mówiła:

– Widzisz teraz sam, że nawet nie wiesz, co masz powiedzieć. Powinieneś przyznać mi rację. Miłość nie może się ograniczać tylko do tego. Ale ty jesteś strasznie uparty.

Już mnie denerwowała.

– Harriet, błagam cię, przestań ćwierkać. Za mało przeżyłaś, żeby cokolwiek zrozumieć... Słuchaj, Harriet, mam do ciebie pewną prośbę, ale nie wracajmy już do tamtego tematu, nie ma po co. Z tego gadania nic dobrego nie wyjdzie. Mam do ciebie inną prośbę.

– Słucham, Mike. Tylko nie taką, żebym poszła do ciebie. Bo znowu znacznie się wszystko od początku. Ty wiesz Mike, co wtedy dzieje się ze mną: zgadzam się na wszystko, byle tylko być z tobą... Będzie się to przedłużać i przedłużać, i znowu kiedyś dojdzie do takiej rozmowy, jak ta sprzed trzech miesięcy albo ta dzisiejsza. Postanowiłam sobie coś i muszę w tym wytrwać. Na razie jakoś wytrzymuję, i mam to nareszcie poza sobą.

- Skończyłaś? Dziękuję. To mi naprawdę wystarczy, nie musisz nic dodawać.
- Jaką masz prośbę, Mike?
- Latasz do Ciudad Trujillo. Siedzisz tam po kilka godzin, czasami nawet do rana czekasz na odlot, nie wiem dokładnie. Prowadzę teraz pewną trudną sprawę, tak skomplikowaną, że zacznę wkrótce podejrzewać krasnoludki o popełnienie tego przestępstwa.
- Morderstwo?
- Nie – skłamałem – idzie tu o kradzież klejnotów z pięknej i słynnej kolekcji.
- Naprawdę?
- Naprawdę. I potrzebny mi jest pewien drobny szczegół, mogłabyś mi w tym pomóc. Jeżeli zechcesz. Jest wyznaczona duża nagroda, oddałbym ci połowę pieniędzy, miałybyś na posag.
- Mike, jak możesz!
- Przepraszam cię, Harriet. Wróćmy do sprawy. W Ciudad Trujillo zaangażowano pewnego pilota, nazywa się Gerald Lester Murphy. Obywatel amerykański.
- Mam go poszukać?
- Wykluczone. Tylko przebywaj jak najwięcej w kasynie lotniska General Andrews, on tam musi się zjawić. Każdy nowy pilot lubi się pokazać, przepić do kogoś w kasynie, poflirtować z dziewczętami. A stewardesy są chyba najbardziej zmysłowymi ze wszystkich dziewcząt na świecie.
- Tak, są ładne – uśmiechnęła się. – Ale chyba, tak jak je znam, nie mają szczęścia w miłości. Zapytaj którąkolwiek z nich.
- Ładne dziewczyny czują się zawsze nieszczęśliwe, chyba że są głupie, wtedy jest inaczej. Zresztą ty stanowisz wyjątek i należysz do szczęśliwych, bo jesteś nie tylko kochana, ale i uwielbiana.
- Przez ciebie?
- Tak mi się wydaje.
- Mów lepiej o tym pilocie.
- Zapamiętaj jego nazwisko i podtrzymaj rozmowę, jeżeli zwróci na ciebie uwagę. Zapytaj go, tak zupełnie od niechcienia, kiedy przyjechał i po co, od kiedy tam pracuje. Wtedy on ci opowie, jak lądował na brzuchu, kiedy zacięło się podwozie w jego phoenixie.

– Skąd wiesz?
– Młody człowiek lubi się przechwalać. Jestem pewny, że zechce ci zaimponować. Wtedy zapytasz go, z kim leciał, czy miał jakiegoś pasażera i czy nikomu nic się nie stało przy tym karkołomnym lądowaniu. Nic więcej, Harriet, to wszystko.

– Jeżeli tylko tyle...

– I trochę więcej. Bo to musi wynikać z twojego własnego zainteresowania. Pamiętaj, Harriet: nie możesz sobie pozwolić na najmniejszą aluzję do tego, że ktoś inny interesuje się tym, co on ci powie.

– Czy ten Murphy ma coś wspólnego z kradzieżą klejnotów?

– Nie. Raczej chodzi ewentualnie o jego pasażera, ale on nic nie wie o tych klejnotach i nie może wiedzieć. Zresztą nie mamy do niego żadnych pretensji, o nic. Ani do pilota, ani do faceta, który go wynajął.

– Tym lepiej, Mike. Nie lubię pomagać policji w dostarczaniu więźniów. Mamy tak dużo policjantów, że powinni sobie świetnie radzić bez mojej pomocy. A dla ciebie mogę to zrobić. Chciałabym bardzo, żebyś był jeszcze bardziej sławny.

– Dopij, co masz w kieliszku, i zjedz wreszcie to potworne ciastko. Znałem jednego gościa w Buffalo, który zawsze zamawiał w barze, gdziekolwiek się znalazł, gin i dzbanek kefiru. I tym popijał każdy kieliszek ginu. Żona jednego z moich przyjaciół, Christin, zresztą czarująca kobieta, potrafi wypić butelkę whisky, ale potrzebuje do tego co najmniej dziesięć szklanek gorącej herbaty. Z tego wszystkiego wolę już twoje *cheese cake*. Zjedz ciastko, nie wstydz się, Harriet.

Zjadła.

– Dokąd pójdziemy?

Wskazałem jej przeciwległą stronę ulicy.

– To mój wóz. Jeżeli chcesz, odwozę cię do hotelu.

– I nie wstąpisz do mnie? Obiecujesz?

– Nie wstąpię.

– Już ci nie zależy, Mike, ja wiem.

– Kto ci powiedział?

– Dlaczego nie zaproponowałaś, żebym pojechała do ciebie? Dawniej byłeś inny. Dlaczego?

– Z tej samej przyczyny, dla której nie wstąpię do twojego pokoju w tym hotelu.

Otworzyła torebkę i spojrzała ukradkiem w lusterko.

– Dobrze – powiedziała zamykając torebkę – jedźmy. Wczesnie rano mam odlot.

Wsiedliśmy do studebackera. Nacisnąłem starter.

– Odwozisz mnie do hotelu? – zapytała Harriet.

– Tak sobie życzyłaś.

– I nic mi nie powiesz? Nic więcej?

Oparła głowę na moim ramieniu. Chyba pojedzie do mnie.

– Harriet – powiedziałem – nie przytulaj się teraz, bo zaraz zapłacimy mandat.

Nadal trzymała głowę na moim ramieniu.

– No to zapłacimy, ja stawiam. A teraz zawróć wóz i pojedziemy do ciebie. Chyba nie wyrzuciłeś jeszcze moich pantofli nocnych ani szczoteczki do zębów...

Nie wyrzuciłem.

37.

De la Maza, Oliveira i Murphy kierowali próbnym lotem olbrzymiej maszyny boeing 707. Trasa okrążała pierścieniem Morze Karaibskie, jej punkty styczne z ziemią wyznaczono w stolicach wszystkich państw tej strefy.

W pogodnym nastroju, flirtując z filigranową stewardesą Nicole, wylecieli z Ciudad Trujillo do Port-au-Prince, stamtąd do Santiago de Cuba i Hawany, później do Kingston na Jamajce. Motory pracowały idealnie, zegary kontrolne i przyrządy pomiarowe działały precyzyjnie.

– Cieszysz się jak dziecko, któremu rodzice pozwolili po raz pierwszy wsiąść na huśtawkę – powiedział Oliveira do Murphy'ego.

– Lubię latać. Nie masz pojęcia, ile się namordowałem, żeby złożyć egzamin. Moja stara głodowała przez kilka lat, żebym tylko mógł się uczyć. Posłałem

jej dzisiaj rano kupę forsy, przez bank, bo to pewniejsze. Ciekaw jestem, kiedy dostanie te słodkie, zielone papierki.

– Jesteś zadowolony? – zapytał Oliveira.

– Widzisz, bracie – odparł Murphy – można u was żyć. Co mnie obchodzą te wasze historie z Trujillo, kiedy można żyć. Trujillo sam żyje i daje innym żyć.

– Za jaką cenę?

– Ja nie narzekam.

– Zamknij się, Gerald. Jeszcze kiedyś pogadamy. Jesteś naprawdę dzieckiem na huśtawce.

Z Kingston boeing 707 leciał do Belize, Gwatemali, San Salvador u i Tegucigalpy. I dalej: Managua, San Jose, Panama City, Barranquilla...

Kiedy znaleźli się nad terytorium Wenezueli, lądowali w Maracaibo, na lotnisku Grano de Oro. Urzędnik dominikańskich linii lotniczych, który leciał wraz z nimi, konferował przez dwie godziny z przedstawicielami *Aerovías Venezolanas*, którzy nie zgadzali się na lądowanie dominikańskich samolotów na wenezuelskich lotniskach w Maracaibo i Caracas. Ustąpili wreszcie i zgodzili się na lądowanie w Caracas, tylko tym razem, by boeing 707 mógł wysadzić kilku pasażerów na tamtejszym lotnisku Maiquetia. Załogi dominikańskiej nie wypuszczono poza obręb portu lotniczego.

De la Maza odszedł wraz z urzędnikiem, brał udział w naradzie z *Aerovías Venezolanas*. Oliveira i Murphy pili kawę stojąc przy szerokim oknie mesy.

– Słuchaj, Murphy – powiedział Oliveira – nie mów nic przy Octaviu o Trujillo ani nie wspominaj o naszej rozmowie. Dzisiaj, w obecności Octavia, znowu zacząłeś coś gadać.

– Boisz się o własną skórę?

– Przede wszystkim a, twoją. Bądź co bądź oni mi bardziej ufają niż tobie. Chcą nawet zwolnić z więzienia ojca i siostrę. Abbez tak powiedział. Jesteś dla nich bardziej niebezpieczny niż ja.

Murphy nie wierzył, wyduł pogardliwie usta.

– Co w tym masz, Julio, żeby mnie straszyć? Przypuszczam, że Abbez jest mi wdzięczny za załatwienie tej waszej sprawy. Dodaj do tego lądowanie bez podwozia. Oni chyba najbardziej starają się o takich facetów, którzy coś dla nich zrobili.

Julio odstawił na parapet opróżnioną filiżankę.

– Gerald, tacy, którzy coś dla nich zrobili, zawsze są niebezpieczni, takim grozi najwięcej. Czy wiesz, kim był major Ventura Simo?

– Nie wiem, Julio. Ale opowiadaj, lubię takie historyjki.

– Dobrze, opowiem. Ventura Simo otrzymał od Trujillo polecenie skontaktowania się z wybitnymi działaczami emigracyjnymi i miał podstępem pozyskać ich zaufanie. Wiesz, jaki osobisty urok mają kanalie i jak potrafią zniewalać towarzystwo, w którym się znajdują. Na tej zasadzie Ventura zdobył zaufanie emigracji i wmówił grupie najaktywniejszych działaczy, że ruch powstańczy odnosi zwycięstwa w Dominikanie. Właśnie wtedy były u nas poważniejsze zamieszki, ich prasa to roztrąbiła, a ludzie z emigracji dali się nabrać. Ventura Simo namówił ich na przelot w rejon y zdobyte rzekomo przez partyzantów. Chcieli walczyć.

– I Ventura przywiózł ich do Ciudad Trujillo?

– Tak. On i jego ludzie już nawet nie zważali na zachowanie pozorów w czasie lotu. Sterroryzowali swoich pasażerów. W kilkanaście minut po wylądowaniu straszliwie zmasakrowano wszystkich działaczy. Ventura Simo awansował na pułkownika.

– No więc?

– Iw tydzień później znikł z listy żywych pułkowników. Za dużo wiedział. W przeddzień twojego przylotu został zastrzelony administrator Dominikańskiego Banku Rezerwy, Juan Morales. To był ten słynny organizator wszystkich interwencji przeciw kubańskim partyzantom, musiałeś o nim słyszeć. Skontaktował się z majorem armii Fidela Castro, Williamem Morganem. Morgan zobowiązał się, że za siedemdziesiąt osiem tysięcy dolarów przewiezie grupę wybitnych współpracowników dyktatora kubańskiego Batisty, którzy podejmą w zagrożonych rejonach wielkie akcje dywersyjne przeciw partyzantom.

– Przewiół?

– Wylądował z nimi w samym centrum okręgu partyzanckiego armii rewolucyjnej i oddał ich w ręce Castra. Dolary, które dostał, przeznaczył na fundusz zapowiadzianej przez Castra reformy rolnej. Wtedy pułkownik Abbez, który sam skontaktował Moralesa z Morganem, kazał zabić Moralesa. Chcesz więcej?

– Mów, Julio. Już ci powiedziałem, że lubię takie kawałki.

– Jeszcze przed miesiącem dominikańskim ministrem pracy był Marrero Arista, jeden z najbardziej zasłużonych współpracowników Trujillo. Lecz wiedział już tak dużo, że w czasie jego pobytu w Waszyngtonie wmontowano w motor i zbiornik jego lincolna aparacik zapalający benzynę. Kiedy Marrero Arista przyleciał z Waszyngtonu, wszedł do swego lincolna i w drodze z lotniska do domu spłonął żywcem razem ze swoim kierowcą. To także dobry kawałek, co?

– Głodny jestem – powiedział Murphy. – Czy miałbyś coś przeciw temu, jakbym zaproponował skromny *lunch-time*? Kieliszek koniaku pod delikatne mięsko z kraba? To nam wystarczy do Caracas.

Z Caracas wystartowali do Port-of-Spain, następnie do San Juan – i przeleciawszy nad cieśniną Mona, powrócili do Ciudad Trujillo.

Tuż po wylądowaniu boeinga 707 przyleciał na General Andrews samolot Pan Am super dacota – 6 clipper. De la Maza wprost z kabiny udał się wraz z urzędnikiem dominikańskich linii do biura na Calle el Conde, by złożyć tam sprawozdanie z próbnego lotu; Murphy i Oliveira obserwowali z okna kasyna lądowanie amerykańskiej maszyny. Załoga boeinga czekała w kasynie na de la Mazę, który miał przywieźć rozkład dalszych lotów.

– Siadają także w niektórych z tych miejscowości, gdzie myśmy byli – powiedział Oliveira wskazując lądującą maszynę. – Lecą z Nowego Jorku i przez Miami, Camaguey, Kingston i Port-au-Prince przylatują do Trujillo. Później zahaczają o naszą trasę i przez Paramaribo, Belem, Rio, San Paulo i Montevideo idą na Buenos Aires.

– To coś dla mnie – powiedział Murphy. – Czy będziemy latać do północnych stanów?

– Ty nigdy – odparł cicho Oliveira. – I nawet nie próbuj starać się o coś takiego. Masz i tak fantastyczne szczęście, że nie wpakowali ciebie na linie wewnętrzne Dominikany.

– Jezus, Julio – powiedział Murphy – czemu mnie tak straszysz?

Załoga super dacoty weszła do kasyna. Oliveira znał nawigatora, który właśnie zbliżał się do nich. Usiedli po chwili przy stoliku pokrytym grubym

szkłem; rozmawiali o typach samolotów, ich zaletach i wadach. Oliveira, wezwany przez kogoś, oddalił się na kilka minut.

– A ta mała dziewczuszka – zapytał nawigator wskazując dominikańską stewardesę – kto to jest? Zna ją pan?

– Leciałem z nią pierwszy raz – odparł Murphy – to Nicole, pierwszorzędna dziewczyna. Dobrze mówi po angielsku i śmieje się z byle czego. Mogę ją panu przedstawić. Szałowa laleczka, nie?

Nawigator zagwizdał na znak aprobaty.

– *I see*, niech ją pan poprosi do naszego stolika. Chciałbym się za to jakoś zrewanżować, ale za dwie godziny lecimy dalej, i nie będę mógł wypić z panem. W Trujillo mamy najdłuższy postój, czekamy na pasażerów innych linii.

– A może by tak towar za towar? – zaśmiał się Murphy. – Widzi pan dziewczynę, która stoi tam, przy drugich drzwiach? I tak się rozgląda, jakby po raz pierwszy w życiu zobaczyła ludzi. Patrzyłem przez okno, jak wysiadała z waszej maszyny i widziałem, jak ona chodzi. Jezu, ona ma fantastyczny chód, *you know*, pan to musiał zauważyć. Dobre dziewczyny poznaje się po chodzie.

Nawigator spojrział w kierunku wskazanym przez Murphy'ego.

– To nasza stewardesa – powiedział. – Latam z nią od roku, może trochę więcej.

– Jest uczynna? Lubi te rzeczy?

– Szkoda zachodu. Każdy z nas próbował i każdy odpadł w przedbiegach. Powinna być raczej kapłanką kwakrów albo przewodniczącą Armii Zbawienia. Ostatnio coś ją gryzie. Może zerwała ze swoim chłopcem, jeżeli w ogóle kogoś miała. Taki nastrój sprzyja poderwaniu, ale mówię z panem uczciwie, szkoda zachodu. W taką dziewczynę nie warto inwestować.

– Ja bym w to zagrał – powiedział chełpliwie Murphy. – Jakoś mi to wychodzi. Powiadam panu, poderwałem tutaj genialną laleczkę, najstynniejszą tancerkę w Ameryce Środkowej. Nikt by jej nie dostał, nawet za milion dolarów, a ze mną poszła za nic. Jeżeli z tamtą się udało, uda się z tą. Może ją pan zawołać? Ja tymczasem pójdę po małą Nicole. Right?

Nawigator super dacoty uśmiechnął się łobuzersko.

– Yup, chief – powiedział. Energicznie odstawił krzesło i ruszył w kierunku stewardesy.

– Co się stało, Jed? – zapytała, gdy stanął przed nią. – Nie trać czasu i nie zwracaj sobie głowy. Już ci mówiłam, że nic mi nie jest i nie potrzebuję waszego współczucia.

Nawigator objął ją poufale ramieniem i spojrzął w kierunku Murphy'ego, który holował do ich stolika smagłą i filigranową Nicole.

– Po co ta mowa? Podobasz się temu młodemu pilotowi, widzisz go? On jest z Nowego Jorku, ale tutaj pracuje. Prosił, żebym ciebie przedstawił, wpadłś mu w oko. Mówię ci, chłopak wariuje za tobą. Chodź do nas, nie będziesz tu chyba marzyć przez dwie godziny.

– Przedstawił się? Wiesz, jak się nazywa?

– Lester Murphy, coś takiego.

– Dobrze, Jed. Mogę się do was przysiąść – powiedziała Harriet Claire. I uśmiechnęła się.

38.

Upłynął tydzień i nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Dwukrotnie telefonował Beesley, pytał o Harriet i czy już dostałem od niej informację w wiadomej sprawie. Nie, Frank, powiedziałem, Harriet nie dzwoniła, nie wiem, kiedy przylatuje do Nowego Jorku. Mam zresztą mnóstwo własnej pracy, nie denerwuj się, Frank. Kiedy tylko dowiem się o czymś, natychmiast zadzwonię.

Nad miastem przeszła silna burza, było ponuro i zimno. Nie chodziłem do kina; od kiedy rozstałem się z Harriet, nigdy nie chodzę sam do kina. Widowiska telewizyjne były od tygodnia tak infantylne, że wyłączyłem aparat, odszukałem zarzucony gdzieś pokrowiec i ukryłem pod nim telewizor. Pomyślałem, że w flanelowym pokrowcu wylęgną się mole, przenikną w głąb aparatu i zeżrą go w ciągu kilku miesięcy, miałbym wtedy spokój. Ale w pokrowcu nie było moli.

Prawie codziennie zaglądałem do przytulnego *snack-baru*, w którym dawniej spotykałem się z Harriet. Piłem dwie *whisky on the rocks* i wracałem do domu. W „New York Post” przeczytałem, że Mr Flynn, członek Kongresu, oskarżył władze Republiki Dominikańskiej o porwanie doktora Jezusa Fernandez de Galindeza i przedstawił na to dowody.

Wkrótce przedstawiciel Republiki Dominikańskiej wyraził zdziwienie, że Mr Flynn – *ogólnie szanowany członek Kongresu, broni tak niebezpiecznego przestępcy, jak Galindez, groźnego komunistę i złodzieja, który przed wyjazdem z Republiki okradł kasę dominikańskiego Ministerstwa Pracy.*

Władze Republiki Dominikańskiej – czytałem w „Daily Mirror” – gotowe są przedstawić dowody popełnionej przez Galindeza kradzieży. Jeżeli o tym dotychczas nie dały znać policji federalnej USA, to tylko dlatego, by umożliwić wspomnianemu przestępcy rozpoczęcie nowego, uczciwego życia. Rząd Dominikany słynie z humanitarności.

I dalej: *Wątpimy w czystość intencji i uczciwość każdego członka Kongresu, który w okresie wzmożonej penetracji komunistów na naszym kontynencie ośmiela się bronić kogoś z czerwonych prowodyrów.*

Do sprawy porwania, o której mówił Flynn, nie nawiązano ani słowem w tym półoficjalnym oświadczeniu władz dominikańskich. Dziennik „Sun” w redakcyjnym komentarzu domagał się od FBI energicznego śledztwa i publicznego wyjaśnienia wszystkich okoliczności porwania Galindeza, przypominając, jak ogromne sumy przewiduje budżet państwowy na utrzymywanie Federalnego Biura Śledczego. *Chcemy wiedzieć, za co płacimy.*

Wyciąłem te artykuły i wsunąłem je do pękatej już teczki, w której gromadziłem notatki i większe publikacje dotyczące Dominikany. Czułem, że będzie mi to potrzebne, że jeszcze kiedyś tam pojedę, i wbrew moim wszystkim oporom i wstrętom, jakaś siła zmusi mnie do tego wyjazdu.

Tego wieczoru, kiedy znalazłem w skrzynce pocztowej list od Harriet, również wracałem ze *snack-baru*. Harriet pisała:

Mike, mój drogi, zupełnie przypadkowo spotkałam w Ciudad Trujillo pana G. L. M. wiesz, tego pana, o którym rozmawiałeś ze mną. Nie gniewaj się,

że piszę o tym, ale jestem w Buenos Aires, gdzie dla jakiegoś drobnego remontu czy konserwacji czegoś tam poczekam na powrotny lot do Nowego Jorku trzy dni albo i więcej. To miły chłopak ten G. L. M. i na pewno nie ma nic wspólnego z klejnotami, wiesz, o co chodzi.

Dowiedziałam się czegoś, co Ciebie zainteresuje, i może właśnie chodzi Ci o tego człowieka. G. L. M. opowiadał mi o tej kraksie na General Andrews, tak jak przewidziałeś (Ty jednak znasz ludzi, Mike!) i chwalił się, że drugi pilot, który był razem z nim w samolocie, mało co nie umarł ze strachu. Nie wiem tylko, skąd G. L. M. leciał z tym dominikańskim pilotem, bo to był Dominikańczyk, i nie wiem, czy coś jeszcze było w jego samolocie, nie mogłam tak wprost wypytwać. Ale chyba się zobaczę jeszcze z tym sympatycznym chłopcem i jeżeli dowiem się czegoś, zaraz dam Ci znać.

Kiedy już miałam wyjść z kasyna, gdzieśmy się spotkali, przyszedł właśnie ten Dominikańczyk, który tak się bał, kiedy G. L. M. lądował bez podwozia. On jest pierwszym pilotem w ich załodze i wiem tylko, że ma na imię Octavio, a kiedy G. L. M. powiedział coś do niego i wymówił jego nazwisko, było tam jakieś „de la”, jak u Francuzów.

Ten Octavio „de la” wygląda trochę jak Chińczyk, ale nie ma skośnych oczu. Jest drobny i ma bardzo małe ręce, ale to może być ten człowiek, którego szukasz, on wygląda na takiego, który by potrafił to zrobić, wiesz, z tymi klejnotami.

Całuję Cię, mój drogi. Czy jeszcze wciąż się upierasz? Dużo myślałam o naszej ostatniej rozmowie i o tej przedostatniej, i muszę Ci powiedzieć, że...

I tak dalej; reszta listu nie odbiegała od tego, o czym mi już tyle razy Harriet mówiła.

Zadzwoiłem do Beesleya. Poprosił, żebym przyjechał do niego z listem od Harriet.

Przyjechałem.

Uważnie przeczytał list i powiedział, że już zna nazwisko pilota, z którym leciał Murphy: Octavio de la Maza. Właśnie mężczyzna o takim nazwisku oraz inny jeszcze pilot, Julio Ruiz Oliveira, bawili się z Murphym w tym lokalu,

gdzie tańczy ich agentka. Od niej znają nazwiska towarzyszy Murphy'ego. Jak wynika z listu Harriet, Murphy lata razem z de la Mażą i być może również z Oliveira.

Beesley powiedział mi jeszcze, że informacje Harriet mają ogromne znaczenie i posuwają sprawę śledztwa o milę naprzód. Podziękował mi i poprosił, bym nakłonił Harriet do dalszej dyskretnej obserwacji Murphy'ego.

– Ten szczeniak zakocha się w Harriet – powiedziałem.

– Chyba nie boisz się konkurencji szczeniaków – odparł Beesley. – W każdym razie ja odpadam jako konkurent, dla dobra sprawy.

– Obawiasz się – zapytałem – że Harriet, od chwili kiedy skontaktowała się z Murphym, może być obserwowana nawet tutaj, w Nowym Jorku? Dlatego odpadasz?

– I tutaj, i tam – odparł Beesley. – Ale zgubisz Harriet, jeżeli jej o tym napomkniesz. Ty wiesz, Mike, jak niefortunnie zachowują się kobiety, którym się powie, że są śledzone. Natychmiast się sypią. Sam pomysł z listem był bardzo ryzykowny. Niech Harriet nigdy nie pisze w listach o takich sprawach. Wyobraź sobie, że remont ich maszyny odbywa się w Ciudad Trujillo, a nie w Buenos Aires, i że ona stamtąd wysłała takie wiadomości! Nie ujrzelibyśmy jej nigdy więcej ani Murphy'ego. Powiedz jej, żeby więcej nie pisała.

Opuszczając mieszkanie Beesleya – byłem tam zresztą nie więcej niż piętnaście minut – powiedziałem:

– Frank, powiem Harriet tylko tyle, żeby zostawiła w spokoju tego G. L. M. bo nie potrzeba mi więcej informacji, i żeby w ogóle zapomniała o mojej prośbie. Ani ona, ani ja nie mamy najmniejszych zobowiązań wobec pana Dullesa, jego CIA ani waszej komisji. Jeżeli go spotkasz...

– Nie żartuj, Mike. Nigdy z nim nie rozmawiałem i nie pracuję dla CIA.

– ...powiesz mu ode mnie, że solidaryzuję się z tą częścią prasy amerykańskiej, która nie zawsze mu ufa i oskarża go o kompromitowanie Stanów... To nie ma znaczenia, Frank, czy pracujesz dla Johna Fostera Dullesa czy dla *United Fruit Company*. Oni tobie płacą, Frank, nie mnie, a nawet gdyby mi zapłacili, nie mam zamiaru narażać naiwnej Harriet. Jeżeli macie za mało własnych

detektywów, odkupcie ich sobie od agencji Burnsa, *Railway and Inspection Company*, *Pinkerton's National Detective Agency* czy *National Corporation Service...*

– *Look here*, Mike...

– Frank, list od Harriet jest wszystkim, co mogłem dla ciebie zrobić. Zostawcie Harriet w spokoju!

Beesley stanął między mną a drzwiami. – Mike, daj dojść do słowa! Niczego od ciebie nie żądamy ani od Harriet; załatwiła więcej, niż się spodziewałem. Chciałem ci tylko powiedzieć, że gdyby ona jeszcze jakoś przypadkiem...

– Frank, nie będzie takich przypadków, nie licz na te przypadki. Wybij sobie z głowy przypadki i zostaw Harriet w spokoju.

Podał mi rękę.

– *That's all right*, Mike – powiedział – w porządku.

– *That's right*, Frank – powiedziałem – w porządku.

Pochłonięty własnymi sprawami i kłopotami kilku niecierpliwych klientów, którym potężne towarzystwo nie chciało wypłacić skromnych ubezpieczeń, prawie zapomniałem o Galindezie i Loretcie, myśląc w wolnych chwilach jedynie o Harriet. W dniu, w którym upływał miesiąc od chwili, kiedy przysłała mi list z Buenos Aires, nagle zatelefonowała.

Przywitałem ją tak, jakby nic między nami nie zaszło, jakbyśmy nie mieli poza sobą tych dwóch rozmów w małym *snack-barze*. Ale Harriet nie zareagowała na mój serdeczny ton, była powściągliwa jak nigdy. Zapytała, czy przydały mi się jej informacje. Powiedziałem, że już znaleźliśmy w Stanach sprawcę kradzieży klejnotów, ale to nic, dziękuję, że spełniła moją prośbę. I przepraszam, że niepotrzebnie obarczałem ją takim głupstwem.

– Nic nie szkodzi, Mike.

– Zobaczymy się, Harriet?

– Nie, Mike, naprawdę dzisiaj nie mogę, o piątej rano mam odlot.

– Do Ciudad Trujillo?

– Tak.

- Spotykasz się z Murphym?
- Masz coś przeciwko temu?
- Nie, Harriet. Możesz się spotykać, z kim chcesz.
- Ty także.
- Wiem... Może zakochałaś się w tym smarkaczu?

Zaczęła się śmiać, wypadło to sztucznie.

- Mówisz głupstwa. Tak prędko, na zawołanie, nie potrafię się zakochać.

Mike, mówisz straszne głupstwa.

- Ale on zakochał się w tobie, prawda?
- Nie wiem... Chyba tak. Zresztą znasz mnie. Nie jestem łatwowierna ani lekkomyślna.

- Dlaczego tak długo nie dzwoniłaś do mnie?

– A ty?

– Obiecałaś w liście, że zadzwonisz, kiedy będziesz w Nowym Jorku. Tak napisałaś, Harriet.

– Gdyby ci zależało, nie pamiętałbyś o mojej obietnicy. Mogłeś sam zadzwonić. Telefon masz w domu i nie musisz chodzić do automatu.

- Długo zostajesz w Trujillo?

– Wyobraź sobie, że odkomenderowali moją maszynę do wycieczki organizowanej na naszych liniach. Zawozimy tych pasażerów także do Ciudad Trujillo, nasza dacota będzie tam czekać na nich kilka dni. Tak samo na każdym innym lotnisku; wiesz, właśnie na tym polega wycieczka, żeby zwiedzili...

- Harriet, te dni w Trujillo spędzisz z Murphym?

– Czy ja wiem... Ale tam jest strasznie nudno, i chyba będę się z nim spotykać... Mike, powiedz coś miłego.

- Mogę zaraz po ciebie przyjechać, Harriet.

– Chętnie, Mike, ale byłabym rano bardzo zmęczona...

- Masz do odlotu dziesięć godzin.

– Ja wiem, ale chciałabym się porządnie wyspać. Mike, powiedz mi coś miłego na dobranoc.

Powiedziałem:

– Śpij spokojnie, Harriet – i odłożyłem słuchawkę. Po kilku minutach Harriet zatelefonowała.

- Gniewasz się na mnie?
- Nie powiedziałem ci tego... Było mi z tobą bardzo dobrze, nawet najlepiej i nie mogę się gniewać.
- Prosiłam, żebyś mi powiedział coś miłego.
- Jutro, albo pojutrze, Murphy powie ci mnóstwo miłych rzeczy.
- Jesteś złośliwy. To bardzo przyzwoity chłopak.
- Nie przypuszczam, Harriet, żeby ci było z nim tak dobrze jak ze mną.
- Nawet mnie nie pocałował, Mike. Chyba teraz mi wierzysz?
- Jeżeli nie chcesz przyjechać do mnie, to jest bez znaczenia.
- Wierzysz mi czy nie?
- Harriet, skończmy już rozmowę. Musisz się wyspać.

Wtedy powiedziała:

- Mike, Gerald chce się ze mną ożenić.
- Doskonale się składa, ty to lubisz. Poślę wam jakiś ładny prezent.
- Tak obojętnie to przyjmujesz? Potwór!
- Och, Harriet, idź już spać.
- Na pewno mnie nienawidzisz.
- Kocham ciebie... Rozumiesz, Harriet, ja wcale nie jestem przyzwoity i na pierwszą noc z tobą nie czekałbym tak długo jak on. Za bardzo bym ciebie kochał, żeby tak długo czekać. Ale macie przed sobą kilka dni, wystarczy, zdążycie to załatwić.
- On nie jest taki.
- Wiem, że jest lepszy ode mnie, na pewno jest lepszy. Sama powiedziałaś, że jest przyzwoity. Powinniście pobrać się, Harriet. Będzie z was bardzo przyzwoita para. Przyślecie mi ślubne zdjęcie, też przyzwoite.
- Mówisz poważnie?
- O czym?
- No, Mike, przecież powiedziałaś, że powinnam wyjść za Geralda.
- Poradź się w tej sprawie matki, ona się na tym zna. Harriet, proszę cię, idź już spać. I nie opowiadaj mi o tym przyzwoitym Geraldzie, nie cierpię takich przyzwoitych facetów. Kup sobie zeszyt w skórzanej oprawie, pisz pamiętnik i tam zanotuj wszystko, co chciałabyś mi opowiedzieć o Murphym. Nie będę tego czytać, ale pisz.

- Mike, jesteś zazdrosny i wściekły. Bez powodu.
- Zawsze ci mówiłem, że zasłużyłaś sobie na kogoś lepszego niż ja. Dobranoc, Harriet, śpij dobrze.

Odłożyłem słuchawkę. Kiedy telefon jeszcze raz zabrzączał, wiedziałem, że to Harriet. Jeżeli było nieprawdą, co myślałem o niej i o Murphym, znaczyłoby to, że Harriet szantażuje mnie swoim przyzwoitym chłopcem. Ale źle wyszła, nie lubię takiej znaczonej karty.

Telefon wciąż dzwonił.

Nie podniosłem słuchawki. Przegrałem z Harriet.

Następnego dnia przeczytałem w „Newsweek”, że Kongres Republiki Dominikańskiej uchwalił rezolucję wzywającą prezydenta Trujillo do anulowania układów z USA, między innymi układu o amerykańskiej pomocy wojskowej i o udostępnieniu terytorium Republiki Dominikańskiej Stanom Zjednoczonym dla przeprowadzenia prób z dalekosiężnymi raketami.

Uchwalona rezolucja głosi – czytałem dalej – że Republika Dominikańska nie potrzebuje 600 milionów dolarów oferowanych jej przez rząd USA w formie dostaw sprzętu wojskowego.

Tyle informacja. W dziale komentarzy „Daily News”, w artykule „Odwet dyktatora”, redakcja wyjaśniła, że cytowana rezolucja: ...jest przejawem *osobistego odwetu Trujillo za krytykę, z jaką spotkał się w Stanach Zjednoczonych syn prezydenta Republiki Dominikańskiej, Rafael Trujillo.*

Przebywa on w Stanach Zjednoczonych – donosił komentator – gdzie studiuje w akademii wojskowej. Przedmiotem krytyki naszej prasy jest oburzający styl życia młodego Rafaela Trujillo, który spędza większość czasu w Hollywood, w towarzystwie najpiękniejszych gwiazd ekranu i co ponieźniejszych statystek. Kupuje im kosztowne toalety, najdroższe wozy i klejnoty. W kołach amerykańskiego Kongresu wysunięto zarzuty, iż Rafael Trujillo trwoni na nieustanne zabawy olbrzymie, sięgające setek tysięcy dolarów sumy, czerpiąc je bez ograniczeń z kasy rządowej Republiki, zasilanej przez Stany Zjednoczone.

„New York Journal-American” przypomniał, że Rafael Trujillo, syn dyktatora Rafaela Leonidasa Trujillo, mając dziewięć lat otrzymał od Jacinta Peynado rangę pułkownika, a dwa lata później, w jedenastym roku życia Rafaela,

Peynado mianował go generałem.

Młody Rafael Trujillo jest szefem sztabu lotnictwa, posiada tytuł doktora praw, jest generalnym inspektorem wszystkich placówek dyplomatycznych Republiki Dominikańskiej, generałem armii i ma kilka innych stanowisk przynoszących mu olbrzymie dochody.

Biały Dom – czytałem w „Daily Worker” – nie wygra wojny z tym dwudziestokilkuletnim młodzieńcem. Biały Dom zapomniał, że rodzina Trujillo jest nietykalną świętością, że „rząd” Republiki nie ścierpi jakiegokolwiek krytyki któregoś z członków świętej rodziny Trujillo...

Wyciąłem te artykuły, schowałem je do teczeki.

39.

Pułkownik Garcia Abbez rozpiął górny guzik bluzy.

– Słuchaj, de la Maza – powiedział gburowato – rozmawiałem dzisiaj z generalissimusem.

– Słucham, panie pułkowniku. Jak się czuje generalissimus?

– To człowiek o imponującym zdrowiu. Widzę w tym coś nadnaturalnego, podporządkowanego innym prawom niż te, jakie dotyczą nas wszystkich. Fenomenalny człowiek, o boskich przymiotach.

– I ja tak myślę, panie pułkowniku – powiedział de la Maza.

– Słuchaj. Generalissimus był tak łaskaw i wyjaśnił mi szczegóły zatargu Republiki z Białym Domem. Chodzi o te sześćset milionów dolarów w formie dostaw broni, w zamian za udostępnienie naszych terenów dla budowy stacji kierujących lotem rakiet z atomowymi głowicami. Rakiety mogą być wystrzelone w razie potrzeby z Meksyku, ale u nas muszą być stacje kierunkowe. Generalissimus odrzucił propozycję.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Wcale tak nie jest, jest trochę gorzej. Liczymy się z tym, że oni przygotowują odwet natury prestiżowej, godzący w dobre imię Republiki Dominikańskiej,

stanowiący nowy żer dla wrogów wolności i demokracji w Ciudad Trujillo.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Przypuszczamy, że wypłynie jakaś sprawa, może porwania Galindeza. Flynn coraz wyżej podskakuje w Komisji do Spraw Ameryki Łacińskiej. Mamy informacje, że posiada jakieś dowody, może tylko poszlaki, ale w każdym razie coś tam mają przeciw nam.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Zostaw w spokoju to idiotyczne „tak jest”. Porusz trochę mózgiem i sam powiedz, co o tym myślisz.

– Pozwolę sobie zauważyć, panie pułkowniku, że jedyne, co mogłoby przydać się im w tej sytuacji, to Murphy. Ale Murphy'ego mamy u siebie i nikt go nie dostanie.

– Murphy może zostać u nas aż do śmierci, i nie stanie się inaczej. Mam natomiast wątpliwości, czy to, o czym Murphy wie, także pozostanie u nas razem z nim. Zupełnie inna sprawa.

– Tak jest, panie pułkowniku. Ale nie wiem, co pan pułkownik ma na myśli. Murphy jest dobrze strzeżony i nigdy tak się nie zdarza na żadnym lotnisku, żeby oddalił się chociażby na krok ode mnie albo od Oliveiry. Za to mogę ręczyć.

– Ładnie. A jak to wygląda w Ciudad Trujillo?

– No, tu ma większą swobodę, panie pułkowniku. Nie można inaczej tego zorganizować. Zależy nam na tym, żeby Murphy niczego nie podejrzewał. Nie może się zorientować, że jest śledzony. W domu pilnuje go ten mały Escudero.

– Ładnie. Ale kto go pilnuje, kiedy jest z tą swoją dziwką?

– Ze stewardesą *Pan Am*? Harriet Claire – już przesłałem wcześniej jej nazwisko do pana pułkownika – uchodzi za jego narzeczoną, w każdym razie za jego dziewczynę. Nie możemy zmusić Murphy'ego do celibatu. Spotykamy się razem z nimi, ja i Oliveira.

– Nie bądź za mądry, de la Maza. Jeżeli uważa się Harriet Claire za jego narzeczoną, to trzeba także pomyśleć o ślubie. Narzeczone wolą być żonami.

– Chyba tak nie jest, panie pułkowniku. Murphy w ogóle lubi kobiety i szybko mu się nudzą. Jeżeli sprawy zajdą zbyt daleko, to podsuniemy mu jakąś inną dziewczynę.

– A z waszą stewardesą, Nicole, nic nie chwyciło? Specjalnie ją przydzieliłem do waszej załogi.

– Nie, Murphy na to nie poleci. Nawigator maszyny, w której Claire jest stewardesą, interesuje się Nicole. To może nam się przydać, nie przeszkadzamy im.

– Ładnie. Czy Murphy śpi z tą swoją?

– Nie wiem, panie pułkowniku.

– Escudero też nie wie, nikt nie wie.

– Być może, że ona się nie zgadza.

– I dlatego musimy się liczyć z tym, że Claire nie znudzi się Murphy'emu. Musisz na nich uważać. Nie życzę sobie, żeby Claire i Murphy spotykali się bez świadków. Miłość zamienia niedoświadczonych i zmysłowych ludzi w sentymentalnych idiotów, i Murphy może się wygadać. De la Maza, chyba wiesz, czym to grozi. Więcej nie trzeba, żeby nas skompromitować i przekreślić wszystko, co zdołaliśmy w tej sprawie. Jeżeli coś takiego się stanie, zapłacisz za to. Generalissimus nigdy nam tego nie wybaczy.

– Panie pułkowniku, mam chyba trochę więcej zasług... A w tej sprawie nic mi nie można zarzucić. Prowadziliśmy ją bezbłędnie.

– Ładnie. Nie mamy do ciebie pretensji. Bez takich ludzi jak ty generalissimus miałby sto razy więcej kłopotów. Musimy oszczędzać naszego wybawcę.

– Dziękuję, panie pułkowniku. Przypuszczam, że nie dam powodu...

– Chciałbym mieć meldunek o każdym ich spotkaniu. Postaraj się o to, by nigdy nie byli sami. Ładnie, już nic nie mów. Możesz iść... Nie, zaczekaj.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Czy z Murphym mogłoby się coś zdarzyć, rozumiesz, coś bardzo prawdopodobnego? Zależy mi na twojej opinii.

– To jest ostateczność, panie pułkowniku. Orientuję się trochę w obecnej sytuacji i uważam, że zniknięcie Murphy'ego mogłoby być iskrą zapalną. Trzeba odczekać.

– Trzeba było tę iskrę od razu zgasić, kiedy Murphy po raz pierwszy przyjechał do Ciudad Trujillo. Pomyślałem dzisiaj rano, że kraksa wyjaśniłaby

wszystko. Nie wykorzystaliśmy tej szansy. Dlaczego?

– Przecież... Taki był rozkaz, panie pułkowniku.

– Kto wydał ten rozkaz?

De la Maza milczał, wpatrzony uległe w twarz pułkownika. Abbez drwiąco wydał wargi i zmrużył oczy.

– Nie pamiętasz?

– Pan pułkownik powiedział wówczas, że sytuacja nie sprzyja takiej decyzji. Chodziło o pewne komplikacje związane ze śmiercią córki kongresmana Flynn; pan pułkownik chyba pamięta.

– Tak, zawsze chodzi o coś nieprzewidzianego, zawsze o coś takiego rozbijają się nasze najlepsze plany. Jakiś demon zła wplącze się we wszystko. Nigdy nie ma właściwej atmosfery dla spokojnej i uczciwej pracy... Skąd to się bierze, de la Maza, te kłody pod naszymi nogami?

– Nie wiem, panie pułkowniku.

Abbez zaplął górny guzik bluzy.

– Niech pan szybko zlikwiduje romans Murphy'ego i Claire.

– Tak jest, panie pułkowniku.

40.

Ułynęło kilka miesięcy. Nic nie wiedziałem o Harriet. Nie pisała, nie telefonowała, nie byłem już jej potrzebny.

Pomyślałem, że przeniesiono ją na inną trasę i nie zatrzymuje się już w Nowym Jorku. Oszukiwałem siebie, domyślając się oczywiście, że pochłonęła ją bez reszty nowa miłość, miłość z *happy endem*, mająca się zakończyć uroczyste ślubem, mężem, dziećmi, wspólną sypialnią i uregulowanym życiem seksualnym obojga małżonków. Śliczne, słodkie i przyzwoite.

Wstąpiłem do głównego biura *Pan Am*, na 135 E. 42nd Street, New York 17. Dowiedziałem się, że przez trzy miesiące Harriet latała na trasie Nowy Jork – Ciudad Trujillo – San Juan – Nowy Jork, z wycieczkami organizowanymi w ciągu całego roku przez *Pan Am*, *Special Passenger Fares*.

Uprzejmy urzędnik wskazał mi afisz reklamujący tę imprezę:

*17 DAY EXCURSION – TOURIST CLASS dol. 135.20
AVAILABLE ALL YEARS FROM NEW YORK ONLY.*

– Panna Claire – dodał urzędnik, jakby domyślał się, o co mi chodzi – sama starała się o przeniesienie.

Zapytałem.

– Wycieczki zatrzymują się na kilka dni w Ciudad Trujillo?

– Prawie przez tydzień. Reflektuje pan? Nie? Ostatnio musieliśmy przenieść pannę Claire na linię *Latin America All Cargo Services*, do tej samej załogi, z którą latała poprzednio. Panna Claire jest doskonałą stewardesą. Dzięki jej trosce o podróżnych otrzymujemy sporo podziękowań od pasażerów. Nasza opinia o panie Claire...

– Tak, wiem – powiedziałem – dziękuję panu. Ja również z nią latałem i byłem bardzo zadowolony z panny Claire.

41.

Julio Ruiz Oliveira odwiedził Murphy'ego w „Cosmosie” i wtedy Murphy, chcąc z nim swobodnie rozmawiać, posłał Escuderę po lód i butelkę whisky. Zauważył, że Escudero ociąga się i niechętnie wychodzi.

– Julio – powiedział Murphy po wyjściu boya – chciałbym zerwać kontrakt z *Companiá Dominicana de Aviation*. Co o tym myślisz?

– Zwariowałeś? Kto ci da lepszą robotę?

– Znajdą się tacy.

– Powiedz prawdę: czy Harriet namówiła cię do tego?

– Już wiesz, że chcemy się pobrać. To świetna dziewczyna. Spodziewam się, że będzie dobrą żoną. Z taką można się wszędzie pokazać, ma klasę. Ona mnie ustawi.

– Nie możecie z tym poczekać?

– Ustaliliśmy już ślub na pierwszego grudnia.

– Gdzie ma się odbyć ten ślub?

– Tam, gdzie mieszka matka Harriet. W Merryville, Louisiana.

– Ustaliłeś datę i miejsce ślubu, nie mając pojęcia, czy *Compania* zgodzi się na zerwanie kontraktu? Słuchaj, Gerald, miłość uderzyła ci na mózg.

– Jeżeli nawet formalności potrwią dłużej, zawsze dostanę zwolnienie na ślub. Przynajmniej na tydzień. Już teraz należy mi się dwa tygodnie urlopu.

– Wybij to sobie z głowy.

– Może mi nareszcie powiesz, co kryje się w tym twoim straszaniu? Może przestaniesz gadać o swojej przyjaźni i dasz mi wreszcie jakiś dowód, że naprawdę jesteś moim przyjacielem?

– Gerald, nie pal się do tego ślubu. Nie chodzi mi o Harriet, to jest dobra dziewczyna i nie będziesz mieć z nią kłopotów. Nie zacznij się puszczać, kiedy będziesz latać. Ale chodzi o coś innego...

– No?

– Zrozum wreszcie, że po tej robocie, jaką odwaliłeś dla Abbeza, z przewiezieniem tego gościa na noszach, nie możesz stąd wyjechać. Masz i tak zdumiewające szczęście.

– Do cholery, czy całe życie mam tutaj siedzieć?

– Chyba tak, Gerald. Postaraj się tylko, żeby to życie trwało jak najdłużej.

Dopowiedz sobie resztę.

– Mogą mnie sprzątnąć?

– Mogą.

– Nie jestem obywatelem Dominikany. Ktoś się o mnie upomni.

– Nie licz na to. Są ważniejsze sprawy niż interwencja ambasadora, z którą sobie łatwiej poradzą niż z tym, co mógłbyś powiedzieć.

– Julio, dam im słowo honoru i przysięgnę na wszystkie świętości, że nigdy się nie wygamam. Podpiszę im, że zgadzam się na śmierć, jeżeli kiedykolwiek ujawniłbym tę historię z gościem na noszach.

– Wtedy byłoby za późno, oni wolą się zabezpieczyć... Gerald, do diabła, znasz trochę życie i nie udawaj naiwniaka! Dla nich zabić ciebie to tyle, co pacnąć moskita.

– Słuchaj, Julio, zdecydowałem się na to i nie mam zamiaru ustąpić. Takiej dziewczyny jak Harriet nie spotyka się co drugi dzień. Znalazłem kogoś, kto idealnie nadaje się na żonę, i nie zrezygnuję z tego, nie chcę jej tracić. Chyba

można się u was do kogoś odwołać, szukać pomocy w jakimś urzędzie, w sądzie, w policji, diabli wiedzą gdzie. Coś przecież można załatwić!

– U kogo? Z kim? Gdzie? U brata Trujillo, u syna Trujillo, u szwagra Trujillo, u ciotki Trujillo, u kuzyna Trujillo, u siostrzeńca Trujillo albo u stryja Trujillo? U nich chcesz to załatwiać?

– Nie chcesz powiedzieć, że tylko jego rodzina...

– Właśnie to chcę powiedzieć, nic innego. Swoją nieograniczoną, nieodpowiedzialną przed nikim władzę Trujillo opiera głównie na swojej rodzinie. Trujillo ma stu pięćdziesięciu kilku bliskich i dalekich krewnych. Właśnie oni zajmują najwyższe i najbardziej intratne stanowiska w policji, w dyplomacji, wojsku, administracji, parlamencie, koncernach, w sądzie, we wszystkich ministerstwach, we wszystkich dwudziestu dwóch prowincjach i w dystrykcie głównym, Distrito de Santo Domingo, którego stolicą jest stolica całego państwa, Ciudad Trujillo. Nie ma żadnej kompetentnej instytucji, której by nie pilnował któryś z członków rodziny Trujillo. Ten kraj jest jego prywatnym folwarkiem.

– A konstytucja, co jest z waszą konstytucją?

– Gerald, nigdy nie chciałeś słuchać, kiedy o tym mówiłem. Ale teraz, jak widzę, bardzo cię interesuje. W samą porę, bo zaczynam bać się o ciebie. Nasza konstytucja jest tyle warta, ile papier, na którym ją wydrukowano...

– W porządku, w takim razie nie mów mi o niej. Poradź mi co zrobić, żeby się stąd bez trudu wydostać. Musi być jakieś wyjście.

– Dla ciebie nie ma żadnego.

– W takim razie ucieknę.

– Gerald, nie szalej. Dałbyś im wspaniały i całkowicie uzasadniony pretekst do zamordowania ciebie i wyjaśnienia w prasie, że postrzeliła cię straż graniczna przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy.

– Nie mogę w to uwierzyć! Nic mi nie potrafisz poradzić? Julio!

– Tylko jedno: nie zdradź się przed nikim, że w ogóle pomyślałeś kiedyś, choćby przez sen, o zerwaniu kontraktu z *Compañía*.

Murphy, siedząc dotychczas na tapczanie, wyciągnął się teraz na nim.

– Julio... Gdybym uciekł, oni by ciebie za to rąbnęli? Wiem, że ty masz mnie pilnować...

– Nie pomyślałem o tym, Gerald. Nie przypuszczaj tylko, że boję się o siebie. Gdybym wiedział, że udałaby ci się ta ucieczka, namawiałbym cię na nią. Wiem jednak, że ci się nie uda.

– Porozmawiam o moim zwolnieniu z de la Mazą. On jest lepiej zorientowany.

– Nie radzę ci, Gerald. Nie rób tego. Ja jestem wierny przyjaźni, a Octavio jest wierny reżimowi. Jemu imponuje Era Trujillo.

– Nie mam innego wyjścia. Porozmawiam z nim ostrożnie, tak, żeby się nie domyślił, o co mi chodzi.

– Nie radzę ci, nawet gdybyś miał rozmawiać bardzo ostrożnie. I nikomu nie mów, że ujawniłem ci, w jakiej jesteś matni. Schowaj to dla siebie. Teraz już nic nie mów, zdaje się, że wraca Escudero, tak, to on. On także ciebie pilnuje. I nie wysyłaj go z domu, kiedy ja przychodzę, bo to wygląda bardzo podejrzanie. Narażasz siebie i mnie. Wciąż myślę o mojej siostrze. Ona tam płacze w więzieniu. A ja...

Zaskrzypiały drzwi, przeciąg wyduł zasłonę w oknie. Escudero wszedł bez pukania. Przyniósł lód i butelkę whisky.

42.

Upłynął jeszcze jeden miesiąc, nim znowu usłyszałem głos Harriet. Poczułem w tym momencie, jak bardzo dręczyła mnie tęsknota za nią i jak niecierpliwie czekałem na jej telefon.

– Halo, Harriet. Cieszę się, że jesteś.

– Mike, nie gniewaj się, że tak długo milczałam. Tym razem muszę ci powiedzieć coś ważnego. Wiesz, Gerald się oświadczył. On jest taki chłopiący...

- Kochasz go?
- Tak, Mike – cicho powiedziała. – Jesteś na mnie bardzo zły?
- Jeżeli go kochasz, jestem bardzo dobry.
- Nie gniewasz się na mnie?

...i nagle przypomniałem sobie Hawanę: Harriet sączyła przez słomkę sok z trzciny cukrowej, do którego wgniotła pół cytryny. Ja piłem *aranjuez*. Wtedy padł strzał. Manuel Jezus Hernandez otworzył usta i wyprostował się stając na palcach, jak baletnica. Później znowu strzał, rozłupujący olbrzymi ananas, którego Hernandez nie zdążył zjeść i tylko osłonił się nim – tą żalosną tarczą. Wyglądał jak tragicomiczny clown na arenie cyrkowej, któremu drugi błazen spłatał figla.

Przypomniałem sobie także okrzyk Harriet – właśnie teraz, kiedy przeraziła mnie wiadomością o zaręczynach z Murphym. Chciała stamtąd uciekać, ale zamówiłem dla niej jeszcze jeden sok z trzciny cukrowej, ponieważ wiedziałem, że nie mogliśmy stamtąd uciekać...

Usłyszałem głos Harriet, przytłumiony oddaleniem i obcy.

- Mike, co się stało, dlaczego nic nie mówisz?

...mignęła mi przed oczyma twarz człowieka, który wychodził z paryskiego hotelu d'Alma przy rue l'Exposition. Nazywał się Frascuelo Morales. Ktoś go zawołał; wtedy Frascuelo odwrócił się i przyjął w twarz dwie kule Andreas Requena, Sergio Bencosme, Maurizio Baez, Vigilio Martinez Reina – poeta, który schronił się w Porto Rico, Emanuel Maria Escudo, ksiądz znaleziony pod jednym z łuków Colosseum, z kilkoma kulami w ciele. I Galindez porwany ze stacji Columbus Circle...

– Mike, błagam cię, odezwij się! Co się stało, halo, Mike – wołała zaniepokojona Harriet.

A Loretta Flynn? Gdyby teraz żyła, zatelefonowałbym do niej; ona rozumiała więcej niż Harriet, Harriet Claire, która nie wie nawet, co jej grozi.

- Harriet, słuchaj, zupełnie zwariowany pomysł ten twój ślub!

– Mike, nareszcie! Dlaczego zwariowany? Co się stało, że milczałeś tak długo?

– Jakaś przeszkoda na linii, ale teraz dobrze słyszysz, prawda? Harriet, wybij sobie to z głowy albo jeszcze zaczekaj...

– Mówisz tak, bo jesteś zazdrosny. Wciąż myślisz, że mam zamiar wrócić do ciebie.

– Tak, wciąż myślę, że kiedyś do mnie wrócisz. Ale teraz nie o to chodzi, proszę cię, zaczekaj z tym. Czy po ślubie chcesz się przenieść do Ciudad Trujillo?

– Nie, skądże; ślub weźmiemy tam, gdzie mieszka moja matka, w Merryville. To już postanowione.

– Jeżeli nie przeniesiesz się do Ciudad Trujillo, sprawa jest beznadziejna.

– Dlaczego?

– Murphy ma chyba kontrakt. Nie wiem, czy go wypuszczą... Nie wierzę.

– Ma trzyletni kontrakt, ale tam jest klauzula, że po roku obie strony mogą wypowiedzieć umowę. Gerald chce z tego skorzystać.

– Powiedział już komuś, swoim szefom?

– Nie, na razie trzymamy to w tajemnicy.

– Więc niech nie mówi, nikomu! Błagam cię, Harriet, trzymajcie to nadal w tajemnicy i odłóżcie datę ślubu. Kiedy miał się odbyć?

– Pierwszego grudnia. Nie chciałabym odkładać, takie odkładanie przynosi pecha. Mike, nie cieszysz się, że jestem nareszcie szczęśliwa? Ty się wcale nie cieszysz, prawda? Jesteś okropny.

– Jestem przerażony. Uwierz mi, Harriet, tu nie chodzi o mnie. Zresztą nie wydaje mi się, żeby *Compania Dominicana de Aviation* zgodziła się na zerwanie kontraktu. Tysiąc razy ważniejsze instytucje niż te, które chciałyby, żeby Murphy wrócił do kraju, wcale mu tego nie proponują i zostawiają go w spokoju. Bo wiedzą więcej.

– Dlaczego? Mike, nic nie rozumiem z tego, co mówisz. To są jakieś fantazje; chyba sam wiesz, że każdy pilot może wymówić pracę. Gerald zna teraz doskonale cały obszar nad strefą karaibską i *Panagra* natychmiast go zatrudni.

– Jaka *Panagra*?

– To nasz skrót dla *Pan-American-Grace Airways*.

Świetnie – pomyślałem – idealne loty dla Murphy'ego! Antyle i republiki Ameryki Środkowej. Murphy ma chyba fioła. Harriet także.

- Dzwonisz z Buenos Aires?
- Tak, właśnie przyleciałam z Ciudad Trujillo.
- Jak będziesz w Nowym Jorku, chciałbym się z tobą koniecznie zobaczyć.
- I poprosisz, żebym przyszła do ciebie?
- Nie, Harriet. Teraz nawet gdybyś sama prosiła, nie przyjąłbym ciebie tutaj. Zrozum mnie dobrze, Harriet. To nie ma nic wspólnego z naszą przyjaźnią, ale po tym przyzwoitym chłopaczku nie mam już ochoty... Zaczekaj, nic nie mów. I zapamiętaj: aż do naszego spotkania trzymajcie buzie na kłódkę, ty i Murphy. Nikomu nie mówcie o małżeństwie. A on niech nawet nie piśnie, że ma zamiar zerwać kontrakt.
- Ale Mike, termin naszego ślubu...
- Zamknij się, Harriet, i słuchaj, co mówię. Jeszcze dzisiaj muszę z kimś porozmawiać, później dam ci znać, jak macie postąpić.
- Chwila milczenia. Nad czym ona się zastanawia?
- Mike... boję się, że chcesz nam przeszkodzić... Ale chyba nie jesteś taki.
- Jeżeli mi nie wierzysz, odłóż słuchawkę i daj mi spokój. Międzynarodowy kabel nie nadaje się do takich rozmów.
- Dobrze, Mike. Zrobię, jak powiedziałeś.
- Murphy jeszcze tego nie rozgłosił? Na pewno?
- Nie, chyba nie. Umówiliśmy się, że wykręcę dzisiaj do niego. I dowiem się co i jak.
- Dobra, Harriet, dowiedz się co i jak.

43.

De la Maza odwrócił się, podszedł do okna i mówił do Murphy'ego obserwując ruch uliczny.

- Nie rozumiem pana. Proszę mi wybaczyć, znam życie, ale nie mogę tego zrozumieć. Ma pan świetne stanowisko, możliwości dalszej kariery, doskonałą

gażę i specjalny dodatek, jak zagraniczni eksperci. Nie miał pan pracy, Murphy, kiedy przygarnęliśmy pana, ani żadnych widoków zaczepienia się o coś, a teraz chciałby pan nas porzucić. Znam życie, ale tego nie mogę zrozumieć.

– Jestem naprawdę wdzięczny i bardzo zadowolony z tych warunków, w jakich teraz się znajduję, panie de la Maza. Ale to jest sprawa mojego małżeństwa, już panu mówiłem, no nie?

Da la Maza odwrócił się gwałtownie od okna; musiał coś takiego podpatrzeć kiedyś w teatrze.

– Murphy, porozmawiajmy jak mężczyźni. Pozwoli pan, żebym powiedział, co myślę o panie Claire? Czego się o niej dowiedziałem?

– Proszę, chociaż nie interesują mnie żadne plotki.

– Słyszeliśmy, że ona prowadzi się... niemoralnie. Żyje z dwoma osobami z załogi daczki, i coś intymnego łączy ją z kilkoma urzędnikami *Pan Am*.

– Wystarczy, niech pan więcej nie mówi. To nie ma sensu, panie de la Maza!

– Przepraszam, jeżeli pana uraziłem. Jednak uważałem za swój obowiązek... Być może, że to tylko plotki. Ale na dnię każdej plotki...

– Zostawmy to. Niech mi pan uwierzy, że zachowam całkowitą dyskrecję na temat lotu z Amityville i z Lantany; daję słowo honoru. Zawdzięczam wam dużo i nigdy tego nie zapomnę. Zawsze możecie na mnie liczyć. Ale teraz musicie mi pomóc.

De la Maza zatrzepotał w powietrzu drobnymi dłońmi.

– Trudno. Stanie się, jak pan sobie życzy. Nie mamy prawa...

– To znaczy, że mogę złożyć pismo w sprawie zerwania kontraktu?

– Oczywiście, Murphy. Jest pan przecież wolnym obywatelem Stanów. Proszę mi wierzyć, że rozstajemy się z wielkim żalem, nie chcieliśmy stracić tak dobrego pilota. Jest pan zadowolony?

– Bo wie pan, podejrzewałem, że będą jakieś takie przeszkody...

– Nonsens. Kto panu o tym powiedział? Cóż to za pomysły? Dominikana szanuje prawa człowieka.

– Po prostu nie jestem naiwny i liczyłem się z tym, że musicie żądać ode mnie dowodów lojalności, by mieć jakąś pewność... No nie?

– Nie ma powodu. Przystępstwa pan nie popełnił, i nigdy nie proponowaliśmy panu nic niezgodnego z prawem. Otrzymał pan od nas jedną jedyną propozycję: objęcie dobrego stanowiska w *Compania Dominicana de Aviation*. Tego się trzymajmy. Nic więcej się nie zdarzyło. Prawda?

– I ja tak myślę, panie de la Maza.

– I nic pana nie nakłoni do pozostania tutaj? Decyzja jest nieodwołalna? Trudno, szkoda, żałuję... Niech pan nas dobrze wspomina, Murphy. I niech pan nie wierzy nikomu w brednie o przeszkodach w wyjeździe; przecież może pan żyć, jak pan sam zadecyduje. To pańska sprawa, nie nasza.

44.

Zatelefonowałem do Beesleya. Historia była zbyt skomplikowana, żebym mógł cokolwiek postanowić bez jego wiedzy. Bałem się o Harriet. Niech zostanie z Murphym. Nic na to nie poradzę, ale nie mogę dopuścić, żeby stało się jej coś złego.

– Poproszę majora Beesleya.

Zaspany kobiecy głos powiedział mi, że pana majora Beesleya nie ma w domu.

– Kiedy przyjdzie?

Dowiedziałem się, że wróci „bardzo późno”.

– Zadzwoń później. Przepraszam.

Usłyszałem ziewnięcie, później szmer odkładanej słuchawki.

Postanowiłem, że będę tak długo dzwonić, aż złapię Beesleya. Chciałem mu podziękować za skojarzenie małżeństwa Harriet Claire z Geraldem Lesterem Murphym. Chciałem mu także zaproponować, żeby był świadkiem na ich ślubie. Pozna wtedy przyzwoitego chłopca, rozsądną dziewczynę i praktyczną mamusię Harriet.

45.

„Also Plaza Hotel”? – zapytała telefonistka – Łączę panią z Ciudad Trujillo. Proszę mówić.

- Tak, pani – usłyszała Harriet – tu nie mieszkać pan Murphy.
- Kto mówi?
- Czarny boy od pan Murphy, pani.
- Escudero?
- Tak. Pani znać Escudero?
- Poproś pana Murphy do telefonu.
- A kto mówić, pani?
- Harriet, Harriet Claire. Nie poznajesz głosu, Escudero?
- Nie poznać głos przez telefon. Kiedy pani przylecieć Ciudad Trujillo?
- Escudero, zawołaj natychmiast pana.
- Pani dzwoni z Północna Ameryka?
- Z Buenos Aires. Gdzie jest pan Murphy?
- Pan Murphy nie być w domu, pani.
- Dlaczego? Miał czekać na mój telefon.
- Pan nic nie mówić, pani.
- Gdzie pan jest?
- W miasto.
- Escudero, kiedy pan wróci, niech zaraz telefonuje do mnie. On zna mój numer w Buenos Aires. Zapamiętasz? Powtórz.
- Escudero mieć dobra pamięć. Pan wrócić i zaraz dzwonić do Buenos Aires, pan znać numer. Tak, pani?
- Dobrze, Escudero, dziękuję.
- Escudero odłożył słuchawkę i prawie natychmiast znów ją podniósł. Wykręcił numer, czekał.
- Tak – powiedział po hiszpańsku – mówi Escudero. Dzwoniła Harriet Claire, jest w Buenos Aires. Co mam mówić, jeśli jeszcze raz zadzwoni? Powiedziałem jej, że pan Murphy wyszedł z domu. Prosiła, żeby telefonował do niej, jak tylko wróci. On zna ten numer w Buenos Aires. Ona stamtąd dzwoniła.
- Bardzo dobrze. Jeżeli jeszcze raz zadzwoni, powiedz coś takiego, żeby ona tutaj przyjechała.

– Ta pani i tak przyleci, panie de la Maza. Będzie tu za kilka dni.
– Dobrze, to byłoby całkiem dobrze.
– Jeżeli nie uda się jej rozmawiać z panem Murphy, będzie zaniepokojona. Powiedziała, że pan Murphy miał dzisiaj czekać na jej telefon. Dziwiła się, że go nie ma.

– Masz rację, Escudero. Odłóż słuchawkę, ale czekaj przy telefonie. Zaraz porozmawiam z panem Murphy i dam ci znać, co masz powiedzieć tej pani... Szkoda. Nie wiedzieliśmy, że będzie do niego telefonować.

O północy Escudero znowu usłyszał głos Harriet.

– Escudero?
– Tak, pani.
– Dlaczego pan Murphy nie zatelefonował? Chyba już wrócił.
– Nie, pani.
– Co się stało?
– Dzwonić pan de la Maza, pani znać kapitana de la Maza, i powiedzieć, że pan Murphy być w szpital, pani. Pan Murphy bardzo chorować.
– Boże, Escudero, co mu się stało?
– Boy nic nie wiedzieć. Dzwonić kapitan de la Maza i powiedzieć.
– Escudero, słuchaj. Zaczekam przy słuchawce, a ty weź książkę telefoniczną i znajdź numer tego szpitala, w którym leży pan Murphy.
– Escudero nie wiedzieć, jaki szpital, pani. Escudero nic nie wiedzieć, ani choroba, ani telefon, ani szpital. Pani przyjechać szybko, dwa dni, trzy dni, i pójść do szpital. Pan Murphy czekać, pani przyjść. Tak powiedzieć kapitan de la Maza. Kapitan wszystko wiedzieć, pani.
– Escudero, czy to był jakiś wypadek?

Czarny boy słyszał urywany oddech Harriet, wyczuł w jej głosie podniecenie i lęk – i rozkoszował się tym wrażeniem. Czuł swoją wyższość nad bezradną i oddaloną o tysiące kilometrów białą kobietą, przerażoną i bezbronną.

– Może wypadek, może samolot. Escudero nie wiedzieć, pani.

– Przecież pan Murphy nie miał żadnego lotu od chwili, kiedy sama wyleciałam z Ciudad Trujillo!

– Czarny boy nie wiedzieć. Może febra, może malaria, nic nie wiedzieć, pani. Wiedzieć pan kapitan. Pan kapitan de la Maza powiedzieć: pani przyjechać i mówić w szpital. Pan Murphy czekać, pani.

– Dziękuję, Escudero.

Harriet zamówiła jeszcze jedną rozmowę z Ciudad Trujillo. Podała numer telefonu de la Mazy.

– Trzeba czekać – powiedziała telefonistka. – Są zamówienia na dwie godziny, proszę pani.

– Proszę mi dać błyskawiczną.

– Na biuro *Pan Am*?

– Tak samo, jak dwie poprzednie rozmowy: „Also Plaza Hotel”, telefon 31-5011.

46.

Jeszcze raz połączyłem się z Beesleyem. Była pierwsza w nocy. Zgłosił się.

– Gdzie ty się pętasz, Frank?

– Od południa jestem w domu, w ogóle nie wychodziłem.

– Przecież dzwoniłem do ciebie!

– Więc to ty byłeś? Tak, ktoś dzwonił, ale odbierała moja znajoma. Nie wiedziałem, Mike, że to ty, i dlatego kazałem jej powiedzieć...

– Frank, z frontu dominikańskiego nowe wiadomości, niezbyt wesołe. Musisz coś poradzić.

– Wykładaj karty – powiedział Beesley. – Byłem pewny, że taki zaprzyęszony wróg CIA zwróci się kiedyś do mnie i poprosi o pomoc.

Zrelacjonowałem mu zwierzenia Harriet, opowiedziałem o matrymonialnych planach Murphy'ego. Powiedziałem, że kazałem Harriet milczeć na ten temat, jej i Murphy'emu, i wstrzymać jego podanie o unieważnienie kontraktu. Co dalej?

Był zaskoczony, ale odpowiedział bez namysłu:

– Tylko to, Mike, nic więcej. Tylko tyle, ile powiedziałaś Harriet. Natychmiast po jej przyjeździe musisz się z nią zobaczyć. Jeżeli sprawa posunęła się dalej, niż ona ci mówiła, musisz mnie skontaktować z Harriet. Zdaje się, że tym razem zagramy w otwarte karty z pułkownikiem Abbezem. I nie tylko z nim.

– Jeżeli nie będzie za późno.

– Na taką grę nie może być za późno. Im więcej faktów, tym lepiej.

– Dajesz mi do zrozumienia, że gdyby Murphy'emu coś się stało, nie płakalibyście na jego pogrzebie?

– To dałoby bezpośredni pretekst do natychmiastowej interwencji Departamentu Stanu. I wtedy wyskoczyłaby sprawa Galindeza i kilka innych, może nawet sprawa Loretty Flynn.

– Dlaczego sami nie sprowokujecie coś z Murphym, jeżeli czekacie na pretekst, za który Murphy i tak zapłaciłby życiem?

– Mike, nie bądź sentymentalny, nie rozklejaj się. Chciałbym ocalić Murphy'ego. On jeden byłby głównym świadkiem w sprawie porwania Galindeza, zależy mi na nim. I dlatego pochwalam to wszystko, co poleciłaś Harriet. Tylko taka taktyka może go ocalić.

– Na szczęście jest świadkiem. W innym wypadku nie zależałoby ci na nim. Prawda, Frank? I miałbyś jeszcze jeden fakt.

– Bierzesz mi za złe, że Murphy i Harriet poznali się dzięki mnie? Nie masz racji. Tam jest mały ruch samolotów pasażerskich i w kasynie pilotów prędzej czy później musieli się poznać. Takie było jej przeznaczenie.

– No wiesz, policjant, który wierzy w przeznaczenie! Co ty wygadujesz, Frank? Może mi jeszcze powiesz, że chodzisz do wróżki i trzymasz nad łóżkiem obrazek z Pierwszej Komunii?

– Mike, bądź ze mną w kontakcie. Postaram się przez naszych ludzi jakoś zabezpieczyć Murphy'ego w Ciudad Trujillo. Możesz także dzwonić wprost do biura. Podam twoje nazwisko sekretarce, żeby łączyła mnie z tobą o każdej porze. Najważniejsze, czy Murphy zwierzył się komuś z tych planów. Nic o tym nie wiesz?

– Harriet powiedziała, że chyba nie.

– Chyba! Za takie „chyba” oboje mogą zapłacić.

– Może uda się tego uniknąć, Frank.

– „Może” znaczy tyle samo, co „chyba”.

Nie spałem po tej rozmowie, czytałem Saroyana; jego opowiadania uspokajały mnie, kiedy byłem zdenerwowany.

O czwartej rano zadzwonił telefon.

47.

Harriet otworzyła okno na oścież i chciwie od dychała. Noc była duszna i ciężka, jakby wypompowano z niej cały tlen. Napierała na dziewczynę i lekko przywierała do całego ciała, zasklepiła pory jak woda na dnie oceanu.

Dziesięć minut, piętnaście, dwadzieścia – liczyła Harriet. Boże, jak to przekłucie długo trwa, przecież zamówiła błyskawiczną. Przeraziła ją myśl, że szalejąca gdzieś w oddali burza mogła uszkodzić kabel.

Jeszcze pięć minut – i wtedy zgłosiła się telefonistka z argentyńskiej centrali międzynarodowej.

Sprawdzała nazwę hotelu, sprawdzała numer telefonu, przy którym Harriet czekała, sprawdzała numer zamówiony przez nią w Dominikanie, a Harriet niecierpliwie powtarzała:

– Tak, tak, tak...

– Proszę mówić. Na linii Ciudad Trujillo.

Znowu przerwa i trzaski, i dźwięki, i odgłosy wielojęzycznych rozmów.

– Mówi się? – ktoś zapytał.

– Boże, przecież czekam na połączenie!

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... – liczyła w myślach Harriet. Można oszaleć z niepokoju.

– Proszę mówić.

W słuchawce odezwał się męski głos.

Wydało się Harriet, że zgłosił się Ruiz Oliveira, którego poznała w kasynie lotniska General Andrews, w dniu pierwszego spotkania z Geraldem. Razem z nimi siedział ich nawigator, Jed, i flirtował z drobniutką Nicole. Później przyszedł Octavio de la Maza... Ale to nie jego głos, widocznie Oliveira jest u Octavia.

Zapytała:

- Czy pan Oliveira?
- Kto mówi?
- Proszę do aparatu pana kapitana de la Maza.
- *Le llaman a Ud. al teléfono!* – zawołał w głąb mieszkania mężczyzna przyjmujący tę rozmowę – telefon do pana!

Jakiś szmer, przytłumiony dźwięk.

I znowu odezwał się ten sam głos, co poprzednio.

- Kto mówi?
- Harriet Claire. Pan de la Maza zna mnie i na pewno pamięta. Widzieliśmy się kilka razy.

Chwila ciszy.

I jeszcze raz ten sam głos:

- Pan de la Maza wyszedł z domu.
- Ale będzie jeszcze dzisiaj, wróci?
- Raczej nie, proszę pani.
- Czy rozmawiam z panem Oliveirą?

Chwila wahania. Harriet omdlewała z niepokoju, bała się, że z osłabionej dłoni wypuści słuchawkę. Przytrzymała ją drugą ręką.

- Nie, proszę pani. Nie wiem, kim pani jest.
- Czy zna pan może pana Murphy'ego? Pilot Gerald Lester Murphy. Czy wie pan coś o nim?
- Nie orientuję się... Zdaje się, że tak... Ale słyszałem, że jest chory. Chyba nic groźnego. Najlepiej będzie, jeżeli pani przyjedzie. Czy może pani przyjechać?

– Boże, pan coś ukrywa? Proszę mi powiedzieć, co z nim jest, bardzo proszę. Czemu pan de la Maza nie chce podejść?

Trzaski w słuchawce, przebicie zmieszanych głosów z linii międzynarodowych – i znowu wrażenie, jakby znalazła się na dnie oceanu i tam docierały do niej wymieszane dźwięki dalekich rozmów.

– Halo, halo! – wołała Harriet. – Halo! Odezwała się telefonistka z Ciudad Trujillo.

- Mówi się?
- Przerwane połączenie, może pani sprawdzi, bardzo proszę, bardzo.
- Proszę zaczekać. Po chwili:
- W centrali wszystko w porządku. Może ten pan odłożył słuchawkę. Może

myślał, że pani już skończyła rozmowę. Jeszcze raz panią połączyć?

– Tak, bardzo proszę, to taka pilna sprawa.

Po chwili ta sama telefonistka z Ciudad Trujillo:

– Pod tym numerem nikt się nie zgłasza.

Harriet powiedziała: – Dobrze, dziękuję – ale nie wiedziała, czy jakiś dźwięk wydobył się jej z krtani.

– Słucham? – zapytała telefonistka. – Skończone?

Harriet powiedziała:

– Wszystko skończone.

48.

O czwartej rano zbudził mnie telefon.

– Łączę pana z Buenos Aires. Proszę nie odkładać słuchawki.

Odezwał się drżący głos Harriet. Domyśliłem się, że płakała.

– Mike – powiedziała – stało się coś strasznego... Dzwoniłam dwa razy do Murphy'ego; już ci mówiłam, że miał czekać w nocy na mój telefon. Nie ma go w domu, dzwoniłam potem do de la Mazy, a jego boy, wiesz, boy Geralda, Escudero, kręci coś, opowiada, że wyszedł do miasta, później o jakiejś chorobie, o szpitalu, i że to kapitan de la Maza...

– Harriet, czekaj! Nie tak bezładnie. Mów powoli i po kolei.

Opanowała się, opowiedziała przebieg obu rozmów z czarnym boyem, opowiedziała o rozmowie z jakimś mężczyzną w mieszkaniu de la Mazy, i że ten nie chciał podejść do telefonu. Mężczyzna zaś, z którym rozmawiała, nie przyznał się, że jest Oliveirą.

– Boję się, że wszystko skończone. Wszystko.

– Co ci proponowali, co radzili? To ważne.

– Z dziesięć razy usłyszałam od Escudera i od tego mężczyzny, że bym przyjechała. Numeru telefonu szpitala nie chcieli podać.

– Wykluczone, Harriet. Nie możesz tam jechać.

– To nonsens, Mike, muszę jechać. Nie zwolnią mnie, jestem na służbie. Jutro rano wylatujemy do Montevideo, Sao Paulo i tak dalej, aż do Ciudad

Trujillo. Nikt mnie nie może zastąpić, zresztą muszę tam polecieć. Chyba to rozumiesz. Jestem Geraldowi potrzebna. Nie mogę go tak zostawić.

– Harriet, muszę cię zwolnić z tego lotu. Postaram się to załatwić za pośrednictwem Beesleya. Beesley zadzwoni gdzieś dalej i szef waszej załogi otrzyma za godzinę lub dwie policyjną depezę iskrową. Tam będzie napisane, że nie wolno ci lecieć do Dominikany. Polecisz z nimi tylko do Caracas, nawet nie do San Juan ani do Hawany, bo to byłoby zbyt blisko Ciudad Trujillo. Z Caracas wylecisz do Stanów jakąś inną linią, nie *Pan Am*. Są tam samoloty *Swissair*. Masz przy sobie pieniądze?

– Tak, Mike.

– I zapamiętasz wszystko, co ci powiedziałem? Harriet, będziesz pamiętać?

– Tak, ale boję się o Geralda... Boże, tak mi przykro, że właśnie do ciebie dzwonię, i w takiej sprawie, ale ty wiesz, że nie mam nikogo innego. W ogóle bez ciebie czuję się taka bezradna, Mike. Przyzwyczaiałam się, że wszystko za mnie załatwiałeś, nawet kiedy szukałam pracy. I teraz nie wiem, co zrobiłabym bez ciebie. Pomożesz mi?

– Nie martw się o Murphy'ego, tam ktoś się nim zaopiekuje.

– Wiesz, domyślałam się, o co im chodzi, i gdyby było prawdą, co mówił Murphy, nie wiem, jak to się skończy... Mike, on mi powiedział, kogo wtedy przywoził do Ciudad samolotem, jak była ta kraksa, i powiedział, że trochę się boi...

– Opowiesz mi, kiedy się spotkamy. Ale teraz chyba sama rozumiesz, że nie możesz tam lecieć? Dlaczego wcześniej nie powtórzyłaś mi, co Murphy mówił na ten temat? Dlaczego?

Płakała.

– Gerald prosił... żebym nikomu... nie mówiła... Ach, Mike, ale jest jeszcze jedna możliwość! Powiedział, że kiedy wyczuje jakieś niebezpieczeństwo, to ucieknie. Bo tam już przypuszczali, że chcemy się pobrać. Oliveira nawet z nami rozmawiał o tym, ale on na pewno nas nie zdradził. Wiesz, Oliveira ma rodzinę w więzieniu i opowiada o tym kraju straszne rzeczy, on ich nienawidzi...

– No dobrze, ale co postanowiliście?

– Że gdybym nie zastała Geralda w drodze powrotnej, to znaczy, że

wyjechał z Ciudad Trujillo i w ogóle z Dominikany. I chciał na mnie czekać w Miami Beach, tam byliśmy umówieni. Dzisiaj, telefonując do niego, miałam się zorientować.

– No więc po co ten alarm? Widocznie uciekł i czeka na ciebie w Miami Beach.

– Boże, jaka ja jestem głupia... Ten jego boy, Escudero, tak mnie przeraził, że wpadłam w panikę. Tak, Mike, on może tam czeka... I dlatego oni nie umieli wyjaśnić, gdzie jest Gerald...

Owszem, to było prawdopodobne. Ale nie uwierzyłam tak łatwo jak Harriet. Dominikana jest wielkim obozem koncentracyjnym; z takich obozów trudno uciec, zwłaszcza komuś, kto wiedział zbyt wiele, kto wiedział tyle, ile Murphy – koronny świadek porwania de Galindeza.

– Mike – mówiła Harriet – myślisz, że on tam czeka? Naprawdę tak myślisz? To znaczy, że nie muszę się zwalniać i mogę lecieć z naszą załogą?

– Harriet, bądź rozsądna. Jeżeli uciekł, tym bardziej nie możesz się tam pokazać. Zawsze widywano was razem. Mogliby ciebie oficjalnie zaaresztować. Jeżeli nie udało się uciec twojemu Geraldowi, zrobią to nieoficjalnie. Mogą się przecież domyślać, że kandydatce na żonę Murphy wszystko opowiedział. I nie pomylą się, prawda?

– Tak, Mike, masz rację – mówiła niewyraźnie, i z trudem chwytając poszczególne słowa. – Nie pojedę tam. Zrobię, jak mi każesz, kupię bilet na linię *Swissair*. Ale postaraj się, żeby mu pomóc, postaraj się, Mike...

Usłyszałem jej szloch.

– Więc z Caracas polecisz do Miami Beach?

– Do Miami... I ty tam przyjedź, dobrze? Kiedy ci zależało na mnie, przychodziłam do ciebie. Teraz ty mnie wysłuchaj...

– Jutro tam wyjadę. Słyszysz mnie? Gdzie miałaś się spotkać z Murphym?

– Tak, Mike, słyszę. Umówiliśmy się w Fort Lauderdale, w hotelu „Kolibri”. Na pewno przyjedziesz? Mike, jeżeli tam będę sama i on się nie zjawi, to chyba się zabiję... Gerald miał jakiś plan, żeby w razie czego przedostać się do Haiti i wypłynąć w Port-au-Prince na Kubę; stamtąd już bez trudu mógł lecieć na Florydę. W Dominikanie można ludzi łatwo przekupić, a on miał bardzo

dużo pieniędzy, jeszcze za, ten przelot z Linden...

– Harriet, zapłacisz strasznie dużo, odłóż słuchawkę. Każ wystawić rachunek za rozmowy telefoniczne. Beesley ci to zwróci.

– Dobrze. Dobranoc, Mike. Pamiętaj, żebyś przyjechał. Niech tylko policja wyśle depezę do mojego szefa, że ma mnie wysadzić w Caracas.

Jeszcze raz telefonowałem do Beesleya. Usłyszałem jego zaspany, zły głos. Powiedziałem:

– Nie złość się, Frank, pracuję teraz dla ciebie. Załatwiam ci ten twój pretekst, bez żadnych kosztów, chyba że zechcesz zwrócić Harriet pieniądze za kilka błyskawicznych rozmów z Buenos Aires.

– Możemy, niech tylko przywiezie rachunki. Przypuszczam, że nie po to dzwonicz, żeby zapytać, jak mi się spało?

Słuchał uważnie, zadał mi kilka pytań, ale nie na wszystkie mogłem odpowiedzieć.

– Doskonale to załatwiłeś, bezbłędnie, Mike. Powinieneś pracować tylko dla nas.

– A ty tylko dla mnie. Wyślij depezę do Buenos.

– Depezę do Buenos Aires zaraz wyślę, mam w tej sprawie pełnomocnictwo. Podaj mi jeszcze raz adres argentyńskiej centrali *Pan Am*. I kładź się, musisz się wyspać przed podróżą do Miami. Przed twoim wyjazdem musimy się jeszcze zobaczyć, koniecznie.

– Dobra, Frank. Kup mi na drogę cukierków.

– Miętowe?

– Mogą być.

49.

Przez kamienny korytarz *Carcel Municipal* przeszedł strażnik, uderzając o udo pękiem kluczy. Zatrzymał się przed jedną z cel, otworzył zamek, odciągnął skrzypiącą zasuwę i uchylił drzwi okute blachą.

– *Haga acompañarme* – rzekł do mężczyzny skulonego w kącie celi tak niskiej, że uwięziony nie mógł się w niej wyprostować ani poruszać, chyba czołgając się na kolanach – proszę pójść ze mną.

– *Tengo sed* – powiedział Gerald Lester Murphy – chce mi się pić.

Dostał na śniadanie silnie soloną, suszoną rybę, to samo na obiad. Paliło go pragnienie. Zesztywniały język z trudem uderzał o suche podniebienie, na próżno drażniąc gruczoły ślinowe.

– *Haga acompañarme* – powtórzył strażnik.

– *Adonde?* – zapytał Murphy – dokąd?

– *De aconsejo darse prisa* – powiedział ostro strażnik i pochylając się nisko, brutalnie chwycił więźnia za ramię. – Radzę pospieszyć się.

Murphy skulił się, przywarł do ściany.

– *Para qué? Para quién?* – krzyknął. – Po co? Do kogo?

– *No sé* – odparł strażnik – nie wiem.

Jezu, pomyślał Murphy, Jezu, Julio nie kłamał, oni mnie teraz rąbną, Jezu, to koniec, to już koniec...

Zginając się w pół, wyszedł z celi. Na korytarzu wyprostował się, rozprężył ramiona, napiął mięśnie zdrętwiałego karku. Strażnik prowadził go na piętro w drugim skrzydle gmachu. Zapukał do drzwi.

– *Adelante!* – usłyszał Murphy. – Proszę wejść!

Strażnik pchnął Murphy'ego.

Naczelnik więzienia stał w rozkroku na środku kancelarii i uśmiechał się przyjaźnie.

– *Buenas noches!* – powiedział piskliwym głosem – dobry wieczór.

– *Peude Ud. darne un vaso de aqua?* – zapytał Murphy – czy może mi pan dać szklankę wody?

Naczelnik skinął na strażnika. Kazał mu przynieść szklanki i butelkę wina.

Jezu, pomyślał Murphy, już wolałbym dostać w mordę niż szklankę wina. Kiedy zaczynają tak grzecznie, to zawsze źle się kończy. Ale wdepnąłem, Julio mówił prawdę, nie trzeba było gadać z tym szpiclem Octaviem o ślubie i zerwaniu kontraktu, ale mnie wrobił, Jezu, Jezu, wpadłem w to łajno na całego,

nawet uszu nie widać... Trzeba będzie żądać rozmowy z ambasadorem amerykańskim w Ciudad Trujillo, powtarzać w kółko o ambasadorze, już chyba gazety zrobiły jakiś szum, bo Harriet na pewno dzwoniła kilka razy, a ja nie czekałem w nocy na jej telefon i mogła się domyślić, że oni mnie capnęli. Powiedziałem jej, na czym polega ta cała parszywa historia z Galindezem, i ona na pewno zrobiła cholerny szum.

Strażnik wrócił z winem i trzema szklankami; naczelnik sięgnął po butelkę i napełnił je.

Murphy, nie czekając na zaproszenie, chwycił szklankę w obie dłonie, przycisnął ją do warg i opróżnił natychmiast. Dławił się płynem, który spływał mu z ust i ściekał na więzienną *tilmas*, kapotę z grubo tkanej bawełny.

Wyciągnął szybko opróżnioną szklankę w stronę butelki i wtedy zjawił się w drzwiach Octavio de la Maza.

– Ach, don Murphy! – zawołał swobodnie, szybko wchodząc do kancelarii. – *Como estai* – co słychać? – *Que tai?* – wyciągnął dłoń na powitanie – jak się panu powodzi?

Murphy teraz dopiero zrozumiał, że karmienie go słoną rybą i wzmaganie pragnienia nie było tylko chęcią dręczenia fizycznego. Szło o to, by zdeprymować psychicznie, załamać, zrobić z niego uległego i wystraszonego tchórza – bo przecież tak się zachował, kiedy strażnik wywołał go z celi. Teraz, po wypiciu wina, poczuł się o wiele lepiej, odzyskał pewność siebie.

Nie przyjął wyciągniętej dłoni Octavia.

– Co to za idiotyczne kawały? Oszaaleliście, czy jak? Czy pan wie, panie de la Maza, czym to grozi? Proszę mnie natychmiast skontaktować z moim ambasadorem.

– Murphy – zawołał de la Maza – niech pan się uspokoi! Przecież nic panu nie grozi, zaszła tu tylko karygodna pomyłka.

– Ładna pomyłka...

– Niech pan zaczeka, powoli! Wychodził pan z kina, w którym przebywał pewien zbrodniarz. Policja dostała o tym wiadomość i musiała go rozpoznać jedynie na podstawie fotografii. Policjanci zatrzymali pięć osób podobnych do przestępcy. Pech chciał, że pan jest jednym z tych pięciu.

– Bili mnie pałkami i nie dali mi wody – powiedział Murphy. – To nie ma nic wspólnego z pomyłką!

- Bo pan stawiał opór.
- Musiałem się bronić.
- Oni bronili się przed pana ciosami. Jednak mogę pana zapewnić, że będą ukarani za użycie pałek.

Murphy odetchnął z ulgą. Jezu, więc oni mnie nie wykończą; to była pomyłka i teraz przepraszają, bo boją się, że pójdę do ambasady.

Napełnił ponownie szklankę, nie zważając na naczelnika, który, nie znając angielskiego, przysłuchiwał się ich rozmowie z wybułuszonymi oczyma. Pijąc wino, powiedział:

- Panie de la Maza... Podejrzewam, że moje aresztowanie i sposób, w jaki traktowano mnie w więzieniu, ma jakiś związek z tym, co panu powiedziałem.

- Co takiego pan mi powiedział? Nie przypominam sobie co.

- Że chciałem zerwać kontrakt z *Companiá*.

- Byłem pewny, że pan wtedy żartował... I niech mi pan wierzy: gdybym wiedział, że pan będzie tego wieczoru w kinie, czekałbym na pana i nie dopuścił do tego przykrego incydentu.

- Więc jestem wolny? Zwalniacie mnie z tej smrodliwej nory?

- Oczywiście – odparł de la Maza. – Przywiozłem nakaz zwolnienia. Major Miguel Angelo Paulino jest niezadowolony, że pana zatrzymano. Niestety, trochę późno dowiedziałem się o tym. Niech mi pan wybaczy. Jeszcze jedno: major był zaskoczony pańskim zamiarem porzucenia pracy i prosił, bym pana nakłonił do pozostania u nas. Pytał, czy jego prośba ma dla pana jakieś znaczenie. Odpowiedziałem mu: – *Asco, tal vez* – być, może, przypuszczalnie.

- To już postanowione. Naprawdę muszę zerwać ten kontrakt.

- Gdybym wiedział...

- To co? Nie wypuszczono by mnie wówczas z więzienia? Chce mnie pan nastraszyć?

- To jest dziecinne, co pan mówi, Murphy. Nie mamy prawa zatrzymywać pana w więzieniu. Gdybym wiedział wcześniej, wyjaśniłbym panu majorowi, jak się sprawa przedstawia.

- Więc jak się przedstawia?

– Rozmawiałem już w *Compania Dominicana de Aviation*. Trudno – powiedziano mi – jeżeli pan Murphy upiera się, nie możemy zatrzymywać go siłą. Ale do końca pierwszego roku, w myśl naszego kontraktu, pozostaje jeszcze prawie cztery miesiące, i to pan Murphy musi odsłużyć. Tak mi powiedzieli.

– Sukinsyn – zaklął Murphy. – Przecież wyznaczaliśmy już datę ślubu w Merryville!

– Jakoś to trzeba będzie załatwić – powiedział de la Maza sięgając po szklankę z winem.

– W takim razie wezmę urlop. Chyba dadzą mi dwutygodniowy urlop na mój własny ślub! Nie brałem jeszcze urlopu..

– Tego na pewno panu nie odmówią – odparł Octavio. – Nie wierzę, żeby pan natrafił na przeszkody. W wyniku jakichś trudności poprosimy pana pułkownika Abbeza o interwencję.

– Dziękuję panu, Octavio. Jest pan pierwszorzędny facet. Słowo honoru.

– *Acaso* – uśmiechnął się de la Maza. Wzniósł szklankę z winem. – Murphy... *Deseo mucha suerte al joven matrimonio* – powiedział po hiszpańsku. – Życzę wiele pomyślności młodej parze. – Spojrzał na naczelnika. – *A su salud!* – zdrowie pana!

– *Igualmente!* – odparł piskliwie naczelnik. – Nawzajem.

50.

Jeszcze raz spotkałem mężczyznę z białymi rzęsami, który niedawno, pod willą Flynnna, przedstawił mi się jako Roney. Podszedłem do studentbackera; on stał przy wozie, jak wtedy, kiedy proponował, że umyje karoserię.

– Dobry wieczór – powiedział,

– Jak pan mnie znalazł? – zapytałem. Samochód stał przed bramą mego domu.

– Przechodziłem tędy, zobaczyłem wóz i poznałem go po numerze rejestracyjnym. Pan musi być gdzieś w pobliżu, tak pomyślałem sobie, i że zacze-kam, bo pan może znalazł dla mnie jakąś robotę. A ten numer telefoniczny,

który mi pan zostawił, nie był dobry.

Zgrywa się, pomyślałem. Śledził mnie. Już teraz wie, gdzie mieszkam, i może chce się tylko zorientować, kiedy jestem w domu, o której wychodzę i dokąd. Powiedziałem:

– Byłem wtedy zdenerwowany i może pomyliłem się, podając numer.

– Właśnie, pana żona rodziła tego dnia, i pan nie wiedział, czy to będzie syn czy córka. Można się było pomylić, jak pana zaczepiłem. Wszystko dobrze poszło?

– Doskonale. Trojaczki, wie pan? – fantazjowałem. – Trzech synów.

– Mogę tylko pogratulować. Czy nic pan dla mnie nie znalazł?

– Niestety, miałem mnóstwo pracy. I na razie nic nie obiecuję, bo za tydzień jadę do Kalifornii na kilka miesięcy. Gdyby pan zostawił adres, byłoby łatwiej skontaktować się w razie czego...

– Szkoda. – Myślałem, że pan znajdzie dla mnie jakąś robotę. A adresu wciąż nie mam, wie pan, jak jest. Bezrobotnych coraz więcej, a mieszkania drogie.

Poprawił krawat. Oba jego końce były spięte tuż pod węzłem perłą tkwiącą na szpilce. Zbliżył się do mnie.

– Ładna perła – powiedziałem, wsiadając do wozu.

– Sztuczna – odparł dotykając jej palcem. – Pamiątka. Pan naprawdę jutro wyjeżdża? – pochylił się ku mnie.

– Za tydzień, do Kalifornii. – Zatrzasnąłem drzwiczki. – Mówiłem już panu, że za tydzień.

Przeprosiłem go, powiedziałem, że się śpieszę.

Stał wciąż w tym samym miejscu, kiedy odjeżdżałem, i spoglądał za oddalającym się autem. Nie ufałem mu, wiedziałem, że coś knuje. Ale nie miałem pojęcia, co mi groziło, gdybym rozmawiał z nim minutę dłużej.

51.

Po wyjściu z *Carcel Municipal* Murphy wstąpił na pocztę i nadał depeszę do matki:

Czekaj na mnie pierwszego – stop – zabieram cię na mój ślub do Merryville – stop – gdybym nie przyjechał, zapytaj o mnie w Departamencie Stanu

i szybko porozum się z Harriet – stop – wysyłam dwieście dolarów – stop – kup sobie ładną suknię i pantofle – stop – u mnie na razie w porządku – pozdrowienia – Gerald.

Zjadł obiad w najbliższej posada – tak nazywano tu gospody – i taksówką pojechał na parking leżący obok kina „Esmeralda”. Tam stał jego wóz, kupiony na raty w Ciudad Trujillo, biały jaguar, którym kilka dni temu przyjechał tutaj, by w niecierpliwym oczekiwaniu na telefon od Harriet spędzić w „Esmeraldzie” dwie godziny przed powrotem do „Cosmosu”.

Wszedł do pokoju, drzwi były otwarte. Na jego tapczanie leżał Escudero, ściągnął długie cygaro. Ujrzawszy Murphy'ego, zerwał się natychmiast i wduł cygaro w popielniczkę.

- Nie bić Escudero, pan – powiedział cicho.
- Czy tak się zachowuje *mozo de hotel*, kiedy pan wychodzi?
- Pan de la Maza powiedziec – jękał się Escudero – pan Murphy być szpital, chorować, pan.
- Kiedy tak powiedział?
- Jak pan nie wrócić jedna noc.

Kanalia, pomyślał Murphy. Więc Octavio wiedział, że mnie przymknęli, i dopiero dzisiaj przyszedł do więzienia. Chyba że nie mógł wcześniej porozumieć się z Abbezem albo z tym majorem, diabli ich wiedzą. Dobrze zrobiłem, że w tej depeszy do matki kazałem pójść do Departamentu Stanu, na wszelki wypadek. Jak przeczytają, będą się bać. Jezu, ale mnie wrobili.

- Czy pani Harriet dzwoniła?
- Pani dzwonić jeden raz i dwa raz. Pani pytać, gdzie być pan Murphy.
- Co powiedziałaś?
- Escudero powiedziec: pani przyjechać Ciudad Trujillo, pan Murphy czekać pani.
- Dlaczego tak powiedziałaś, kto ci kazał?
- Wszystko kazać powiedziec kapitan de la Maza.
- Kiedy rozmawiałaś z kapitanem? Przed telefonem pani Harriet?
- Pani dzwonić jeden raz, Escudero nic nie wiedziec. Powiedziec: pan być miasto. Pani przestać dzwonić. Escudero dzwonić kapitan de la Maza

i pytać, gdzie być pan Murphy. Pani dzwonić dwa raz, Escudero powiedzieć: pan Murphy być szpital, pani przyjechać. Kapitan kazać...

– Dosyć. Zabierz to swoje śmierdzące cygaro, włącz wentylator i przynieś z restauracji butelkę whisky i lód. Jazda! Śpiesz się.

Escudero wyszedł.

Murphy zadzwonił do domu Juany, zapytał o Octavia. Ten zgłosił się natychmiast.

– Octavio, przecież pan wcześniej wiedział o moim aresztowaniu. Dowiedział się pan tego samego dnia.

– Kto tak powiedział?

– Escudero. Kazał mu pan powiedzieć, gdyby Harriet dzwoniła z Buenos Aires, że jestem w szpitalu, i żeby tu przyjechała. Dlaczego?

– Zgadza się, Murphy. Nie wiem, o co panu chodzi. Escudero dał mi znać o telefonie panny Harriet. Puściłem w ruch całą machinę policyjną, żeby pana znaleźć. Dowiedziałem się wreszcie, że jakiś patrol zatrzymał pana. Interwieniować mogłem dopiero następnego dnia, to znaczy zacząć moją interwencję. Tymczasem kazałem powiedzieć, że pan jest chory, nie mogłem przecież robić niepotrzebnego alarmu na temat uwięzienia. To wszystko. Nie wiem, o co panu chodzi.

– Już o nic, dziękuję.

– Może mi pan ufać, Murphy. Wszystko jest jasne i zgadza się z faktami... Złożył pan pismo w sprawie urlopu?

– Zaraz napiszę i zawiozę do biura.

– Niech pan liczy na moje poparcie. Może pan tam napisać, że jako szef naszej załogi zgadzam się na ten urlop. Dominikana jest krajem wolnych ludzi.

– Dziękuję, Octavio.

Odłożył słuchawkę.

Jezu, oni łżą, pomyślał Murphy, łżą jak pawiany. Jeszcze raz wykręcił numer Managuy. Octavio odebrał telefon.

– *Al habla!* – powiedział. – Halo!

– Panie de la Maza, przepraszam, że pana niepokoję. Czy pan nie ma nic

przeciwko temu, żebym zwolnił Escudero? Mam go dość.

– Dlaczego?

– Nie jest mi potrzebny, sam sobie radzę. Zresztą w pokoju jest dzwonek i zawsze mogę wezwać pokojówkę albo kelnera.

– Myślałem, że będzie panu wygodnie z boyem.

– Denerwuje mnie, nie chcę go tu więcej widzieć.

– Nie musi pan tego uzgadniać, przecież to pańska sprawa. Może go pan wyrzucić... Mam jeszcze prośbę. Jest pan całkowicie bezpieczny, ale pułkownik Abbez nie życzy sobie, żeby pan odwiedzał ambasadę, tylko przez tydzień. Powiem panu poufnie, że są ludzie, którzy pana by nie dopuścili... I wynikłyby nowe przykrości. Nie mam im tego za złe, pan rozumie, że jakoś muszą się zabezpieczyć. Gdyby pan poszedł, skomplikowałyby to sprawę urlopu. To wszystko?

– Tak. Rozumiem, panie kapitanie.

– Może pan jednak zostawi boya aż do swego urlopu?

– Dzisiaj go wyrzucę.

– Jak pan uważa, do widzenia... Aha, jeszcze jedno. Nasz jutrzejszy lot jest odwołany, właśnie mnie zawiadomili. Dam panu znać o nowym terminie. Do jutra – dodał wesoło – *Hasta mañana!*

– *Adiós, amigo* – powiedział Murphy – żegnaj, przyjacielu.

Escudero przyniósł whisky.

Murphy wygrzebał z portfela banknot, podał go boyowi.

– Weź to. Spakuj swoje rzeczy i idź stąd.

– Escudero nie rozumieć. Gdzie iść?

– Do diabła. Zabieraj się stąd!

– Kto tak powiedzieć, pan?

– Ja. Nie będziesz już u mnie pracować.

– Kazał pracować u pana Murphy kapitan de la Maza.

– Ja dzwonić do kapitan de la Maza – powiedział niecierpliwie Murphy, kalecząc język. – Kapitan de la Maza powiedzieć: Escudero zabrać swoje rzeczy, iść do diabła i nie wracać do pana Murphy.

– Ja...

– Ty zamknąć teraz bezczelny pysk i słuchać, co mówić pan.

Murphy czekał, aż boy wyjdzie. Ominął windę i zbiegł po schodach.

W hallu dostrzegł drzemiącego za barierą recepcji zasuszonego Alvarado. Minął jaguara stojącego przed „Cosmosem”, zbliżył się do czekającej obok taksówki, ale cofnął się i przeszedł na drugą stronę jezdni.

Skinął na przejeżdżającą taksówkę.

– *Aeropuerto General Andrews.*

– *Si* – powiedział szofer. – *Nortamericano?* – zapytał, kiedy już ruszyli.

– *Si, y no* – mruknął Murphy – tak i nie. Jedź na lotnisko.

Przyjechali, kazał szoferowi zaczekać.

Wstąpił do kasyna. Dowiedział się, że super dacota *Pan Am* lądowała wczoraj w Ciudad Trujillo, planowo. Ale w załodze brakowało Harriet Claire, zastępowała ją inna stewardesa.

Wiedział już wszystko, domyślał się tego. Harriet, zaniepokojona nocną rozmową z Escudero, zrezygnowała z tego lotu i wyjechała do Fort Lauderdale. Tak się umówili. Tam ma na niego czekać. Doskonale, pojedzie do Fort Lauderdale.

Wrócił do taksówki, kazał zatrzymać się przed pocztą i odprawił szofera. Nadał telegram do Harriet:

Floryda – Miami – Fort Lauderdale – hotel „Koliber”. Są trudności ale wszystko w porządku – biorę urlop – czekaj w umówionym miejscu – stop – Gdyby były kłopoty telefonuj do matki – Gerald.

Pomyślał, że jest przebiegle ostrożny, wspominając o urlopie. Chciał jeszcze spotkać się z Oliveira, ale przecież Oliveira powiedział mu, że tutaj nikomu nie można wierzyć. Dobrze, nie zaufa nawet Oliveirze, nie spotka się z nim.

Wrócił do hotelu. Zabrał wszystkie pieniądze; resztę miał na koncie bankowym, mógł podjąć swoje wkłady nawet w Nowym Jorku. Wziął maszynkę do golenia, papierosy, płaską butelkę whisky, którą przyniósł mu Escudero, jeszcze jakieś drobiazgi.

Położył się na tapczanie, zapalił papierosa. Za godzinę, gdy będzie już ciemno, pójdzie do Moniki Gonzales na Plaza del Congreso. Po tej pierwszej, nieudanej i pijanej nocy spotkał się z nią jeszcze kilka razy. Od niej dowiedział się, jak można stąd uciec. Przez granicę haitańską miał go przeprowadzić

zawodowy przewodnik, którego polecał gitarzysta z olbrzymią szczęką.

...Wszystko zależy od Moniki, ale ona chyba dotrzyma słowa. Ona wie, co to za kraj i jak ciężko tu żyć, i że on musi stąd uciekać. Mogła być sławną primabaleriną, ale naraziła się komuś z rodziny Trujillo i wyrzucono ją z opery. Miała i tak szczęście, Jezus, mogli ją sprzątnąć. Inne dziewczęta, które stawiały opór dyktatorowi, po prostu mordowano. Murphy pamiętał, czytał o tym jeszcze w Nowym Jorku, że Minerva Mirabel uderzyła Rafaela Trujillo w twarz, kiedy wobec niej zachował się ordynarnie. Wkrótce zginęła w wypadku samochodowym, ona i jej dwie siostry... Monika miała szczęście. Wszystko zależy od Moniki. Jezus, pomyślał, teraz już tylko od niej zależy.

Wstał, zapalił wszystkie światła, również w łazience. Wychodząc, nie zgasił lamp. Okna na pewno są obserwowane. Nie zabierze także jaguara. Zapłacił dopiero dwie raty. Niewiele tracił, ale był zakochany w tym wozie. Musi go zostawić. Szkoda, w Stanach nie zarobi na jaguara. Już czas.

Ściągnął z wieszaka płaszcz deszczowy, zwinął go i schował do kieszeni; nie zajmował w niej więcej miejsca niż w drugiej kieszeni butelka whisky.

Wysunął się na korytarz i ostrożnie zatrzęsął drzwiami, pozostawiając klucz z wewnętrznej strony.

52.

W nocy zatelefonowała Harriet. Powiedziała mi, że Murphy żyje. Skąd wie? Otrzymała depeszę. Były jakieś trudności, ale kazał jej czekać, przyjedzie, dostał urlop.

- Czy już uciekł? Skąd jest ta depesza?
- Gerald nadał ją w Ciudad Trujillo.
- Odpowiedziałas mu?
- Nie chciałam bez twojej wiedzy.
- Dobra, nie odpowiadaj mu. Czekał na mnie. Czekał cierpliwie i nic w tej sprawie nie rób.
- Myślisz, że on nie przyjedzie?

– Myślę, że nie jestem jasnowidzem. Mogę się spóźnić do Miami, dzień lub dwa, bo jeszcze Beesley ma coś do mnie, muszę zaczekać.

– Ja tu oszaleję, Mike!

– Nie oszalejesz, dam ci słowo. Mogę się założyć o sto dolarów, że nie oszalejesz. Siedź tam cicho i czekaj.

– Czy nie sądzisz, że ktoś inny nadał depeszę w jego imieniu?

– Sądzę, że za bardzo się denerwujesz, Harriet.

– Ale to wykluczone, on sam nadał. O tym spotkaniu w Miami tylko on wiedział; ja i on, nikt więcej. I on im tego nie mógł powiedzieć. Pamiętaj, Mike, to jedyna pewna wiadomość, za którą ręczę.

– Dobrze, Harriet. Nie dzwoń już do mnie, czekaj cierpliwie, nic więcej nie mogę ci poradzić. Na razie o niczym nie myślę i nic nie sądzę.

– I będziesz go szukać, Mike? Znajdziesz go gdzieś?

– Już ci raz powiedziałem. Odłóż słuchawkę, Harriet, jest mi potrzebny telefon.

Porozumiałem się z Beesleyem, powiedziałem mu o depeszy Murphy'ego. Powiedziałem mu także, że widzę w tym posunięciu jakąś grę, nie wiem tylko jaką.

Beesley myślał podobnie.

– Chcesz pomóc Harriet? – zapytał.

– Już się zdecydowałem. Zasłużyła sobie na moją pomoc. Frank, czy są jakieś nowe wiadomości?

– Jedna. Kongresman Flynn nie żyje... Rąbnęło cię, co? Czemu milczysz? Słyszałeś? Mike!

– Wiedziałem, że go sprzątną. Jak to się stało?

– Zapewne tak samo, jak z jego córką.

– W domu?

– Na Madison Square, prawie pod zegarem Metropolitan Life. Lekarze twierdzą, że to wylew krwi do mózgu, przy ataku astmy. Coś takiego. Ale wiemy, że ktoś zatrzymał jego wóz, wsiadł tam na moment i natychmiast wysiadł. Szybko zgubił się w tłumie i ludzie z ochrony Flynn'a już go nie znaleźli. Stało się to błyskawicznie.

– Prasa poda, że to wylew krwi i atak duszności?

- Takie jest orzeczenie lekarzy.
- A twoje?
- Jak w wypadku Loretty... Mike, bądź jutro u mnie o jedenastej. Przygotuj swoje papiery.
- Jakie papiery?
- Dowiesz się jutro o jedenastej.

53.

Generał Espaillat do pułkownika Abbeza:

- *Buenos dias!* Generalissimus jest zaniepokojony obrotem i rozwojem sprawy de Galindeza i tego pilota, jak mu tam...
- Murphy, panie generale.
- Sprawę Galindeza zamknąć i zniszczyć akta. Żaden ślad. Zrobić to w nocy. Jak jest z Murphym?
- Kazałem zwolnić go z więzienia, panie generale. Rozeszły się w Stanach pogłoski o jego śmierci. Kongres powołał specjalną komisję, która ma się tym zająć na wniosek Portera.
- Wiem. Generalissimus musiał zgodzić się na wjazd tej komisji do kraju i zlecił mi czuwanie nad całą sprawą.
- Czy zdementujemy pogłoski o śmierci Murphy'ego, panie generale?
- Nie.
- Ładnie. Ale on jest już na wolności, panie generale. Oczywiście pod obserwacją. Jeżeli pokażemy go komisji, Biały Dom będzie ośmieszony. Tak myślałem.
- To nie ma znaczenia. Życzę sobie, żeby te pogłoski były nadal aktualne. Proszę nie dyskutować ze mną. Niech pan przydzieli Tapurucuarę do tej skomplikowanej sprawy jako szefa operacji. Będzie moim łącznikiem w rozmowach z Athwoodem, on to dobrze zrobi. Proszę wykonać, pułkowniku.

Pułkownik Garcia Abbez do majora Paulino:

- *Buenas tardes!* Generalissimus powierzył osobiście sprawę Murphy'ego generałowi Espaillat. Tapurucuara będzie łącznikiem między generałem a komisją Athwooda i on zajmie się Murphym. Pogłosek o jego zaginięciu nie dementować.

- Jak pan pułkownik proponuje?
- Murphy jest przestraszony i zechce stąd uciec. Monika Gonzales może mu ułatwić ucieczkę.
- Rozumiem, panie pułkowniku. Jest u nas raport, że Murphy pytał ostatnio Monikę o kanały graniczne i jakie są możliwości uciezki.
- Ładnie. Niech mu Monika powie, którędy można uciekać i jak. Pan odpowiada za szczegóły planu, majorze.

Major Miguel Angelo Paulino do kapitana de la Maza:

- *Buenas noches!* Octavio, Monika Gonzales ułatwi Murphy'emu ucieczkę. Zajmij się szczegółami. Porozum się z Tapurucuarą, będzie on przewodnikiem w przejściu Murphy'ego przez haitańską granicę. Generał Espaillet mianował go szefem operacji. Zadzwoń zaraz do Moniki. Niech czeka na Murphy'ego i ułatwi mu ucieczkę.
- *Una palabra, nada ruas...* zaczął de la Maza – tylko jedno słowo... – ale major odłożył słuchawkę. Już żadne słowo nic nie może zmienić, słowa przestały cokolwiek znaczyć.

54.

O jedenastej rano zjawiłem się u Beesleya. Wprowadził mnie do gabinetu i przedstawił szpakowatemu mężczyźnie o wysoko sklepionym czole i wąskich oczach.

- Mister Daniel Athwood, przedstawiciel Komisji do Spraw Ameryki Łacińskiej w OPA – powiedział Beesley. Wymienił także moje nazwisko.
- Mister Wynn – powiedział Daniel Athwood – mamy mało czasu. W kilku zdaniach powiem, o co idzie. Niezależnie od działalności odpowiednich organów policji i wywiadu Kongres postanowił powołać specjalną komisję do zbadania sprawy porwania doktora de Galindeza, zniknięcia pilota amerykańskiego Geralda Murphy'ego i śmierci Flynnna. Kongres ma zastrzeżenia co do działalności pewnych komórek śledczych i zobowiązał kilku ludzi do zbadania całej sprawy.
- Wspomniał pan o śmierci Murphy'ego – przerwałem. – Mam pewne wiadomości, że on żyje.

– Tego nie wiem – wtrącił Beesley. – Ale wiem na pewno, że on musi zginąć. Abbez nie wypuści go z Dominikany.

– Wiesz coś więcej – powiedziałem.

– Tyle, ile powiedziałem. Dwa dni trzymali go w więzieniu, dla zastraszenia. Ale on uparł się przy swoim wyjeździe i zerwaniu kontraktu. Jest śledzony stale przez kilku ludzi z policji dominikańskiej. Prawdopodobnie zatrzymano go raz jeszcze.

– Pewna wiadomość?

– Od naszego agenta z Ciudad Trujillo. Widział się z nią, wiesz, mówię o tej tancerce. Pytał o możliwości ucieczki, ale ona nie mogła mu pomóc. Tyle nam doniosła.

– Jeżeli jest śledzony, spalił wam agenta.

– Policja wie, że ona go zna. Powiedziała policji, że Murphy przyszedł przespać się z nią, i że go wyrzuciła z domu. Nie mają do niej pretensji, są zadowoleni.

– Czego chcecie ode mnie?

Athwood odpowiedział:

– Departament Stanu otrzymał wiadomość od matki Murphy'ego, że jej syn, mimo zapowiedzianego przyjazdu, nie zjawił się w domu. Ostrzegł ją, uprzedził, że tak może się stać, i że wówczas pani Murphy powinna się porozumieć z Departamentem Stanu. W nocy dzwoniła do pani Murphy narzeczona jej syna, Claire, pytając, czy on przyjechał. Po rozmowie obie panie wysłały depesze do Departamentu. Jeszcze dzisiaj ambasador będzie interweniować w Ciudad Trujillo. Od niego przejmie to wszystko nasza komisja.

– Na co teraz czekacie? Na oficjalną wiadomość o śmierci Murphy'ego?

– Przypuszczam – powiedział Beesley – że on już nie żyje. Może zabiją go za kilka dni. Czekamy na wiadomość w prasie. Wówczas zacznie oficjalnie działać komisja Kongresu, której przedstawicielem w Ciudad Trujillo jest pan Daniel Athwood.

– I któremu – wtrącił Athwood – musi pan pomóc. To znaczy mnie. Nie znam się na intrygach policji i wywiadu. Polecono mi, bym skontaktował się z naszym rzeczoznawcą, panem majorem Beesleyem. Pan Beesley uważa, że bez pańskiej pomocy do niczego tam nie dojdziemy.

– Czy mam jechać oficjalnie jako oficer śledczy?
– Nie, Mike – powiedział Beesley... – Pojedziesz jako historyk sztuki. Tu jest twój paszport. Będziesz prowadzić dochodzenia na własną rękę, niby to angażując ludzi do badań archeologicznych, skupując potrzebny sprzęt i składając go w ambasadzie, która patronuje pracom badawczym kilku naszych uniwersytetów. Tam już zapowiedziano rychły przyjazd pewnego wybitnego uczonego, profesora Algernona de Castelfranco, który jest osobistym znajomym samego Trujillo. Ty zjawisz się w Dominikanie jako jego asystent.

– Czy profesor wie o tym?

– Tyle, ile trzeba, by ciebie nie wsypać, gdyby ich policja chciała sprawdzić. Powiedzieliśmy profesorowi, że wyślemy człowieka, który przygotowuje na miejscu wszystko, co trzeba do jego poszukiwań.

– Na kogo mogę liczyć w Ciudad Trujillo?

– Mamy na miejscu kilku pewnych ludzi. Jednak sprawa nabierze takiego rozgłosu, że tylko ktoś zupełnie nowy i przebywający tam w takim charakterze, jak ty, może się tym zająć. Przypadkiem trafisz do nocnej budy „La Habana” i sprytnie skontaktujesz się z tancerką, o której ci mówiłem; nazywa się Monika Gonzales. Właściciel tej knajpy, Mulat, pracuje dla ich policji, musisz być ostrożny. Po występie Moniki zapytasz go o piękną *bailarinę*, udasz zainteresowanie i poprosisz, żeby ci ją przedstawił. Co do reszty sam się zorientujesz. Z nikim więcej nie możemy ciebie skontaktować.

Powiedziałem:

– Wysiądę w Miami i spotkam się z Harriet. Wyciągnę wszystko, co ona wie o Murphym i Galindezie. Jak ci to przesłać?

– Dam ci nazwisko człowieka w Miami, któremu to natychmiast przekażesz. Mieszka w „The Everglades Hotel”. Harriet musi stamtąd wyjechać jak najdalej i jak najszybciej. Załatw to. Oni już znają jej adres z depechy Murphy'ego. Potem polecisz do Ciudad Trujillo. Zostań jeszcze, porozmawiamy o szczegółach... Pan Athwood musi już iść, prawda?

Daniel Athwood wstał. Wiedział, że Beesley musi omówić ze mną sprawy, którymi on nie powinien się interesować. Podał mi rękę.

– Liczę na pańską pomoc. Nie wyobrażam sobie, bym mógł cokolwiek zdziałać bez pana, chociaż w składzie komisji pojedzie kilku specjalistów.

– Także liczę na pana – powiedziałem. – Spodziewałem się, że członkowie komisji, ci specjaliści, o których pan wspomniał, i ja znajdziemy coś niecoś w Dominikanie. Obawiam się, że materiał, który dostarczymy, może spowodować umorzenie śledztwa i zakończyć działalność komisji. Gdybym nie wierzył, że pan się temu przeciwstawi, nie przyjąłbym propozycji.

– Nie zmienię mojego stanowiska. Barbarzyńskie bestialstwo władz Dominikany – jak to inaczej nazwać? – przejmuje nas nie tylko oburzeniem, ale i niepokojem o trwałość dalszego współżycia państw amerykańskich. Doprowadzę sprawę do końca.

– Chyba że pana odwołają – powiedziałem. – Wszystko może się zdarzyć.

Kiedy Beesley odprowadzał Athwooda ku drzwiom, zajrzałem do paszportu. Moje obecne nazwisko brzmiało: Andrea Castagno.

Rozmawiałem z Beesleyem o sprawach dotyczących mojego pobytu w Dominikanie. Miał olbrzymie doświadczenie i doskonale był zorientowany w taktyce wywiadu i kontrwywiadu.

Moje wtajemniczenie dobiegało już końca, kiedy Beesley powiedział:

– Słuchaj, Castagno. Ulegniesz od jutra transanimacji, metamorfozie i chwilowo Mike Wynn przestanie istnieć, przeistaczając się w Andrea Castagno. Jeżeli masz zamiar wrócić do poprzedniego wcielenia, uważaj, byś nie ujawnił się niczym przed, ludźmi, którzy zabili Loretę, Flynną, Galindeza i tych wszystkich, których nazwisk nie znajdziesz w swojej dominikańskiej teczce z wycinkami gazet. Jesteśmy już zorientowani, że zgładzili ich członkowie tajnej międzynarodowej organizacji łączącej wszystkich żyjących dyktatorów nie tylko południowoamerykańskich, ale również generalissimusa Franco i prawdopodobnie generalissimusa Czang Kaj-szeka. Centrala mieści się w Ciudad Trujillo, a organizacja nazywa się „Biała Róża” i działa jako tajne sprzyśnięcie terrorystyczne i kapturowe. Są ludzie, którzy wykonują polecenia „Białej Róży” nie wiedząc nawet o istnieniu tej organizacji. W *Tactical Patrol Force*, specjalnej jednostce policji nowojorskiej, szkolono agentów dla

dominikańskiej policji. Okazało się, że niektórzy z nich pracują dla sprzysiężenia dyktatorów.

– Czy znacie ich nazwiska?

– Tylko jedno nazwisko, lecz ten człowiek nie był ostatnio w USA i zapewne nie brał bezpośredniego udziału w porwaniu Galindeza. Może natkniesz się na niego w Dominikanie. Nazywa się Carlos Evertsz Fournier. Początkowo pracował dla G-2, wywiadu wojskowego Republiki Dominikańskiej. Przyjaźnił się z Rhadamesem, synem Trujillo, i jest pupilkiem wuja generalissimusa, Ramona Moliny Ureny, człowieka brutalnego i bezwzględnego. Umieścił on Carlosa w A-2, wywiadzie lotnictwa, jest to zarazem wyborowa jednostka Trujillo i stanowi część jego ochrony osobistej. Mówię ci o Carlosie Evertsz, bo wolałbym, żebyś go unikał. To niebezpieczny agent, raczej niebezpieczny morderca. Zresztą jeden z wielu.

– Czy Departament Stanu nie ma żadnych możliwości, by trochę zdemokratyzować życie w Dominikanie? Krytykujecie kraje wschodniej Europy, a tuż pod bokiem tolerujecie najbardziej ponury i krwawy reżim dyktatorski.

Beesley uśmiechnął się.

– Mike, nasza prasa krytykuje również to, co dzieje się w Dominikanie. Jesteś wolnym obywatelem i wolno ci myśleć o Dominikanie, co tylko chcesz.

– Tak, wszędzie można myśleć, co tylko się chce. O wszystkim. To cholerna wolność takie myślenie, nie sądzisz, Frank? Człowiek myśli sobie i myśli, co tylko chce, i nagle ginie jak Galindez, Loretta, kongresman Flynn. Wszystko przez to myślenie wolnego obywatela. A w więzieniu chyba najlepiej się myśli, prawda?

Beesley na moment odchylił dłoń, jakby tym gestem chciał uzasadnić swoją bezradność.

– Czy nie możemy zastosować żadnych sankcji wobec Dominikany? Stać nas nawet na zbrojne interwencje w granicach innych kontynentów, więc dla czego tutaj nie mo...

– Jak to sobie wyobrażasz? – uniósł się Beesley. – Czego chcesz? Żebyśmy sprzątnęli Trujillo? Przecież potępiasz tak zwany terror indywidualny.

– Ale stokroć bardziej potępiam terror władzy wobec obywateli.
– Proszę uprzejmię, zabij Trujillo.
– To niczego nie zmieni – powiedziałem – bo w tym feudalno-faszystowskim państwie władzę przejmie po nim jego najstarszy syn, Ramfis. Jeśli ktoś zabije Ramfisa, będzie rządzić jego młodszy brat, Rhadames. Jeżeli zgładzą Rhadamesa...

– I tak dalej – wtrącił Beesley. – Generalissimus ma jeszcze kilka tuzinów braci, wujów, kuzynów, zięciów, szwagrów... Wiem. Ale posłuchaj mnie, Mike: nie wtrącaj się w Dominikanie do tych cuchnących spraw politycznych. Tam żyje jeszcze garstka obywateli, którzy się zajmują takimi sprawami, jednak to tylko nie rozpracowane jeszcze niedobitki, które nie przeżyją Trujillo. Raczej nie. Właśnie ostatnio Carlos Evertsz, o którym ci wspomniałem, z bojówką Awangardy Młodzieży Trujillowskiej spalił radiostację *Radio Caribe*. Dlaczego? Bo jej dyrektor, Lamela Geler, ostrożnie skrytykował w jakimś programie Trujillo. Wiesz, jak dominikańska prasa to wyjaśniła? „Radiostację zniszczyła ludność do głębi oburzona poglądami kierownictwa rozgłośni. Był to spontaniczny wybuch gniewu naszych obywateli, obrażonych w swych uczuciach do Ojca i Wybawiciela Ojczyzny i do Kościoła, bo prokomunistyczny dyrektor Lamela Geler kilka miesięcy temu pozwolił sobie na krytykę tych dwu wielkich świętości, drogich sercu każdego Dominikańczyka”. Coś w tym stylu.

– To świetny styl, Frank. Chyba stylisko od łopaty, którym propaganda Trujillo bije po łbach, a nie styl.

– Mam nadzieję, że ciebie ta propaganda nie ogłuszy, i że nie zaczniesz popierać Trujillo ani współpracować z ich wywiadem. Nawet pod tym względem możemy na ciebie liczyć.

– Tak – powiedziałem – zwłaszcza pod tym względem. Chyba nie zapomniałeś, że nie tak dawno skończyła się ta przeklęta wojna, w której żołnierze *US Army* ginęli w walce z faszyzmem, w obronie demokratycznych ideałów. O tym zapewniał nas prezydent Roosevelt, generał Eisenhower i premier Churchill. Uwierzyłem im. Sześćdziesiąt milionów ludzi zginęło w ostatniej wojnie także po to, żeby Dominikaną nie rządzili faszyci.

- A może nie tylko po to? – mruknął Beesley.
- Może nie po to – powtórzyłem.
- Nie powiedziałem ci jeszcze – dodał po chwili Frank – że w samochodzie Flynna, obok jego zwłok, znaleźliśmy płatek białej róży. I płatek białej róży znaleźliśmy w skrzyni z piaskiem, w której leżało ciało Loretty.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Tom II

Cezar

Wysp Karaibskich

1.

Przyleciałem do Miami.

– Gerald nie przyjechał – powiedziała Harriet – i nie przysłała żadnej wiadomości... Czy można go jeszcze uratować?

Jej pierwsze słowa, jakimi powitała mnie w Fort Lauderdale.

– Teraz uratujemy to, co nie jest jeszcze w ich rękach, Harriet. Ciebie. Spakuj się natychmiast, przeniesiemy się stąd. Zresztą ty i Gerald nie znacie Miami i wybraliście złe miejsce, Fort Lauderdale o tej porze nie jest miejscem dla spotkań zakochanych.

Wypożyczyłem w hotelu samochód i pojechałem z Harriet do Palm Beach. Sezon zimowy jeszcze się nie rozpoczął i bez trudu wynająłem dla niej pokój w małym pensjonacie „Atlantyda”.

Harriet знаła dotychczas tylko miasto Miami, centrum handlowe i komunikacyjne Florydy, z jego olbrzymim lotniskiem *Airport International*. Postanowiliśmy więc, że pokażę jej wybrzeże od Palm Beach do najmodniejszego Miami Beach. Na tym siedemdziesięciomilowym odcinku powstało w ostatnich latach kilkanaście miejscowości nadmorskich, w tym cztery bardziej znaczne: Briny Breezes, tak zwane miasto na kołach, Delray Beach, odwiedzane najczęściej przez artystów i pisarzy, Fort Lauderdale opanowany przez sportowców, i Hollywood, miejscowość okupowana głównie przez wojskowych, z nazwą wypożyczoną od kalifornijskiej krainy filmu, Hollywood.

Przejeżdżaliśmy przez te miejscowości w milczeniu. Obok Hollywood zjechaliśmy z szosy 140 i ruszyliśmy biegnącą równoległe do niej autostradą nr 1, jedną z najstarszych dróg w Stanach. Był to główny szlak łączący Florydę z

północą, ciągnący się na przestrzeni trzech tysięcy mil, rozszerzający się na poszczególnych odcinkach w sześć bieżni oddzielonych od siebie gęstymi krzewami, co chroniło kierowców przed reflektorami wozów biegnących w przeciwnym kierunku.

Minęliśmy Hallandale i wjechaliśmy na najpiękniejszy odcinek drogi, Biscayne Boulevard, wpadający w centrum Miami. Zatrzymałem wóz przed wejściem do „The Everglades Hotel”, z ogromną, oszkloną i silnie oświetloną piramidą na płaskim dachu.

Zaprosiłem Harriet na kolację. Wypiłem kieliszek wina i zjadłem ostrygi. Harriet prawie nie tknęła posiłku. Była zmęczona kilkugodzinną przejażdżką i zadała mi mnóstwo pytań, na które nie umiałem odpowiedzieć.

Opowiedziała, co wie od Murphy'ego o porwaniu Galindeza. Informacje te, zgodnie z poleceniem Beesleya, musiałem przekazać komuś, kto w tym hotelu zajmował pokój.

Dowiedziałem się więc o spotkaniu z rudym mężczyzną, który w jakimś barze zaproponował Murphy'emu przewiezienie ciężko chorego w miejsce, którego nazwy na razie nie wymieniono. Dowiedziałem się o wynajęciu samolotu w Linden i o tym, że Geralda szukał „jakiś” Oswald Thoen i został za to zabity; o lądowaniu na lotnisku Lantana, gdzie Murphy uzupełnił zapas benzyny i przyjął na pokład dominikańskiego pilota, de la Mażę. Dowiedziałem się o kraksie w Ciudad Trujillo i o ambulansie, który zabrał Galindeza, przewiezionego w bagażniku maszyny. W czasie podróży był uśpiony i prawdopodobnie zakneblowany i spętany.

Ale skąd Murphy zabrał chorego i gdzie czekał na ludzi, którzy go przewieźli karetką sanitarną – o tym Harriet nie wiedziała, może nie pamiętała. A było to najważniejsze, gdyż mogło naprowadzić na ślad centrali agentów Trujillo w Nowym Jorku, na ślad morderców Loretty Flynn, jej ojca, i wielu innych.

– Nie pamiętam, nie wiem, gdzie Gerald czekał na profesora Galindeza, może mi o tym nie mówił – powtarzała Harriet.

Umówiłem się z nią, że zostanie na tę noc w „The Everglades Hotel”, rano zaś odwiezie wypożyczony samochód i wróci do pensjonatu „Atlantyda” w Palm Beach. Tam powinna czekać na wiadomość ode mnie albo od Beesleya,

któremu jeszcze stąd miałem przetelegrafować nowy adres Harriet.

- A ty? – zapytała.
- Za dwie godziny muszę być na lotnisku.
- I polecisz do Ciudad Trujillo?
- Tak. Ale o tym nikt nie może wiedzieć, pamiętaj.
- Boże, znajdź mi tylko Geralda, błagam cię, Mike... Jeżeli go odzujesz, wszystko zrobię, co tylko zechcesz. Byłbyś jedynym mężczyzną na świecie, z którym mogłabym zdradzić Geralda.

Powiedziałem:

- Dotychczas brałem honoraria tylko w dolarach albo rezygnowałem z wynagrodzenia.

Pochyliła się, pocałowała mnie w policzek.

- Jesteś cudowny, Mike.
- Nie tak bardzo, jeżeli mnie porzuciłaś.
- Ty wiesz, dlaczego, Mike. Nie mów tak.
- Dobrze, więcej nie powtórzę... Nie boisz się o mnie? Że tam mnie wykończą?

- Strasznie się boję, ale nie mogłam tego powiedzieć.

- Gdyby mnie spotkało coś takiego, Gerald by mnie nie szukał?

- On jest innym człowiekiem, bardziej trzeźwym...

- Jednak dobrze jest mieć wśród swoich znajomych jednego mniej trzeźwego.

- Nie mów tak!

- Dobrze. Muszę zaraz iść. Nie wychodź stąd, Harriet, załatwię ci pokój.

Położy się natychmiast i śpij.

- Nie zasnę, Mike. Chciałabym zostać z tobą, w tej jasnej sali, przez całą noc.

- Znudziłabyś się, Harriet. Już teraz nie mamy sobie, tyle do powiedzenia.

Po chwili:

- Nie jesteś zazdrosny o Geralda? – zapytała Harriet.

- Zazdrość wymyślono dla takich przyzwoitych szczeniaków, jak Gerald.

Nie jestem o niego zazdrosny. To polega na czymś innym.

- I już mnie nie kochasz?

- To jest bez znaczenia.

- Może polecisz jutro? Stąd jest dużo połączeń do Ciudad Trujillo.
- Nie.
- A gdybym zgodziła się zostać z tobą przez całą noc?
- Zanudziłabyś mnie opowiadaniem o Geraldzie.
- Ciebie nudzi moja miłość do Geralda? Nasza miłość? Mike, jak możesz!
- To bardzo nudna miłość. Jest tego pełno, gdzie tylko się ruszysz. Już nie mogę patrzeć na taką miłość.
- Bo powiedziałam ci, że Gerald jest przyzwoitym chłopcem?
- Może dlatego.
- Ale ty jesteś także bardzo przyzwoity, może nawet bardziej...
- Ani trochę, Harriet.
- Nie wierzysz mi?
- Chodźmy do recepcji, załatwię ci pokój. Nie mogę się spóźnić na lotnisko.

2.

Al habla! – zawołał Octavio de la Maza. – Kto?

- Tapurucuara.
- Gdzie jest Jankes?
- Siedzi u Moniki Gonzales. Czekają na gitarzystę. Ty wiesz.
- Dobrze. Ściągnij wóz i dwóch ludzi, czekajcie na najbliższym rogu. Kiedy Jankes wyjdzie od Moniki, ona do nas zaraz zadzwoni, a gitarzysta przeprowadzi Jankesa do waszego wozu.
- I co dalej?
- Dalej, jak dalej... To ma być wóz, który zawiezie Jankesa i jeszcze dwóch uciekinierów do granicy haitańskiej. Pojedziesz razem z nimi jako przewodnik i zajmiesz się tym „dalej”. Nie chcemy nic więcej wiedzieć o Jankesie, niech ucieka.
- Tak, jak mówiłeś, kiedy Jankes wyszedł z więzienia? – zapytał Tapurucuara. – Tak załatwić?
- Załatw, jak trzeba załatwić. Pułkownik Abbez przekazuje ci całą historię. Aż do końca, bo jeszcze mogą być pewne komplikacje. Odetchnąłem, jak mi

powiedział dzisiaj, że zajmie się tym Tapurucuara. Generał Esveillat kazał to powierzyć tobie.

– *La mierda* – zaklął Tapurucuara. – Wszystko, co najgorsze, zawsze przypada na najlepszego człowieka.

– Co masz jeszcze do powiedzenia? Ściągaj natychmiast wóz z uciekinierami... Co mówisz?

– *La mierda* – powtórzył Tapurucuara. – Nie rozumiesz? Gówno, i to jest wszystko, co mam do powiedzenia. Ty wiesz.

– Tapurucuara – powiedział Octavio – jesteś stary jak świat i niejedno widziałeś. Jeżeli chcesz zobaczyć jeszcze więcej, rób, co ci każą.

– Chyba zobaczę więcej niż ty – mruknął Tapurucuara. I odwieścił słuchawkę.

Tapurucuara był stary jak świat – tak o nim mówiono. Miał suchą i spaloną słońcem twarz, jakby ukrytą za przylegającą do skóry woalką drobniotkich zmarszczek. Wydawało się, że za tą siateczką skrywają się również jego oczy okrągłe, ciemne, przenikliwe. I tak stare, jak oczy kilkusetletniego karpia.

Uważał się za arystokratę La Española, nazywanej również Hispaniolą lub wyspą Haiti. Dominikańczycy nie używali tej ostatniej nazwy, ponieważ przejęło ją sąsiadujące z ich Republiką państwo. Tapurucuara twierdził, że jego ród wywodzi się w prostej linii z wytrzebionego już indiańskiego plemienia Tainos Arawakos, które w 1492 roku witało Krzysztofa Kolumba, przybijającego do poszarpanych brzegów bogatej wyspy. Był to pierwszy skrawek Nowego Świata, na jakim spoczęła stopa odważnego żeglarza i zarazem zwiastuna rzezi, której ofiarą padli później prawie wszyscy tubylcy.

Tapurucuara żywił pogardę do tej kolorowej „mieszanki” zaludniającej Dominikanę i Haiti. O Mulatach mówił, że to „bękartki białych najeźdźców, francuskich i hiszpańskich”, bękartki spłodzone z przywiezionymi z Afryki czarnymi niewolnicami.

– A Kreole? To jeszcze starsza historia – mówił Tapurucuara. – Kiedy w XVII wieku piraci morscy, flibustierzy grasujący na wodach Morza Karaibskiego, osiedlili się na stałe na La Española, nazywając ją – bezludny już wówczas, pustynny skrawek ziemi – wyspą San Domingo, wtedy rząd francuski

uznał wyspę za swoją kolonię. Wraz z dekretem o tym postanowieniu posłał flibustierom – którzy domagali się kobiet – prostytutki chwytane na ulicach Paryża, wyciągane z pokątnych domów publicznych i z więzień. One dały początek rodowi puszających się później Kreolów.

Tapurucuara tak dobrze znał historię wyspy, że mógłby ją wyklądać z katedr wielkich uczelni. Jego wyobrażenia podsuwała mu tak wyraźne obrazy z jej przeszłości, że czuł się świadkiem wszystkich wielkich wydarzeń w dziejach La Española, rozgrywających się na przestrzeni ostatnich stuleci. Mówił na przykład: pamiętam, jak w osiemnastym wieku Kreole wysłali swoje pirackie fregaty do Afryki, po „czarną kość słoniową”, po Murzynów. Wymordowano tam tysiące czarnych, resztę zawleczono na okręty. Połowa tego towaru zdychała w ciemnych ładowniach.

Ci, którzy dopłynęli, ginęli na kreolskich hacjendach i plantacjach lub pełniali samobójstwo. Aż do końca XVIII wieku nasze statki przywoziły z Afryki wciąż nowe transporty. W tym czasie południowo-wschodnia część wyspy należała jeszcze do Hiszpanów, tam Murzynom lepiej się żyło. Spali przy ogniskach swoich panów i jedli z nimi przy jednym stole.

– W 1791 roku zrobiliśmy powstanie – mówił Tapurucuara – rewoltę przeciw niewolnictwu. W rok później hiszpańska i francuska część wyspy wypowiedziały sobie wojnę i wtedy, wraz ze swą wielką armią, przeszedł na stronę hiszpańską murzyński generał Toussaint-L'Ouverture, ten sam, który później został prezydentem wyspy, i którego Napoleon oszukał, ściągając go do Francji na fregacie „Heros”. Kazał zabić generała w więzieniu twierdzy Joux.

– Pamiętam to wszystko – mówił Tapurucuara z takim przekonaniem, że podejrzewano go, iż ma naprawdę pięćset lat i żyje tak długo dzięki czarodziejskim lekom, znanym rzekomo wymordowanym Indianom z plemienia Tainos Arawakos. – Pamiętam powstania, bunty i interwencje. Pamiętam, jak Murzyni szli przeciw armii Napoleona i obie strony śpiewały *Marsylianke*... Żółta febra zabiła trzydzieści sześć tysięcy żołnierzy napoleońskich, a z sześciu tysięcy polskich legionistów wypuściliśmy stąd tylko trzystu; czterystu osiedliło się u nas, reszta to trupy... Pamiętam jeszcze, jak w 1803 roku ostatni Francuzi

uciekali stąd na angielskich okrętach... A potem, to już było w 1844 roku, ustalił się podział La Española na dwie republiki: Haiti i Dominikańską.

Kiedy w 1916 roku prezydent USA, Wilson, za namową sekretarza stanu Lansinga wysłał na La Española piechotę morską – Tapurucuara został tajnym agentem dowódcy tej ekspedycji, wsławionego okrucieństwami kapitana H. S. Knappa. On, potomek prawowitych właścicieli tej ziemi, zdobył nagle możliwość pomszczenia rzezi swych przodków, dokonanej przez Hiszpanów, i zemsty za masowe morderstwa popełnione przez Francuzów, za męczarnie zadane resztkom Indian przez Kreolów, Metysów i Mulatów.

I Tapurucuara stał się bezlitosnym mścicielem: tropił, donosił i sam zabijał. Przedstawiał dowody, na podstawie których okupacyjne władze skazywały na śmierć, deportację, wieloletnie więzienie. Nie miało dla niego znaczenia, przeciw komu występuje, za co i w czyim imieniu. Tapurucuara, osłaniany przez władze, mógł legalnie działać przeciw potomkom najeźdźców, co starli z powierzchni wyspy plemię indiańskie Tainos Arawakos.

Służył sztabowi ekspedycji USA aż do końca jej trwania, przez osiem lat amerykańskiej okupacji, do 1924 roku. W tej służbie po raz pierwszy poznał jednego z członków rodziny Trujillo, wuja Rafaela. Ten wuj Trujillo, przyjaciel Tapurucuary, nazywał się Teodulo Pino Chevalier; był zawodowym szulerem i tłumaczem w wywiadzie amerykańskich interwentów.

Tapurucuara znał prawie wszystkie książki konfiskowane przez policję dominikańską i ścigane przez cenzurę Trujillo. Autor jednej z tych zabronionych publikacji, amerykański dziennikarz William Krehm, tak pisał o starym znajomym Tapurucuary, wuju Teodulo, i jego siostrzeńcu:

Wuj Teodulo postarał się o pracę dla Rafaela Trujillo w Gwardii Narodowej zorganizowanej przez Amerykanów. Był to człowiek sprytny i brutalny, z wrodzoną skłonnością do rozkazywania. Nim rok upłynął, awansował na starszego sierżanta i ścigał partyzantów walczących z okupantem. W tym czasie przeszedł praktyczne przeszkolenie, jak należy ujarzmić naród, który wkrótce miał znosić jego panowanie. Kiedy Amerykanie wycofali się w 1924 roku, był już pułkownikiem i rychło został dowódcą armii.

Tak pisał William Krehm. Ale Tapurucuara lepiej wiedział niż Krehm, komu Trujillo zawdzięczał tak szybką karierę, dlatego wkrótce mianowano go szefem sztabu, głównym dowódcą policji, podniesiono do rangi generała brygady – i dlatego w 1930 roku był jedynym kandydatem na prezydenta Republiki Dominikańskiej. Tapurucuara stał się naocznym świadkiem tej błyskotliwej i tajemniczej kariery.

Dla sceptycznego Indianina Trujillo był tylko siostrzeńcem zawodowego szulera i synem koniokrada, którego zżarte syfilisem szczątki spoczywały w podziemiach smukłej katedry Santo Domingo, obok prochów Krzysztofa Kolumba; był dla niego tylko zuchwałym awanturnikiem, który korzystając z powszechnego analfabetyzmu Dominikańczyków i stosując najbardziej bezwzględne i drakońskie środki, wspiął się na szczyt władzy przekraczającej absolutyzm cesarów i samowolę feudałów. „Każdy stopień wiodący Trujillo do władzy jest zbryzgany krwią” – pisali emigranci dominikańscy w swoich książkach i broszurach, ale były to uogólnienia trudne do sprawdzenia. Tapurucuara wiedział, jak niepokojące wydarzenia zbiegły się z szybkimi awansami Trujillo.

Znał życie Trujillo jak swoje własne, umiał recytować je z pamięci, nie pomijając najbardziej drastycznych szczegółów. Tolerowano cynizm Tapurucuary i jego chytrą otwartość, był bowiem niezastąpionym *pistolero* Trujillo, podejmował się najtrudniejszych i najbardziej ryzykownych zadań. Jeżeli nie powiodła się jakaś akcja sabotażowa albo zamach, jeżeli wykryto morderstwo popełnione na dominikańskim emigrancie, jeżeli obca prasa dotarła do szczegółów kompromitujących reżim Trujillo – wówczas pułkownik Abbez mówił: – „Szkoda, że nie posłaliśmy tam Tapurucuary”. Tapurucuara był niezastąpiony, mimo swej ujawniającej się niekiedy pogardy dla dzielących między siebie wydartą Indianom La Española.

Tak więc tym razem wysłali Tapurucuarę, bowiem sprawa Murphy'ego przybierała niebezpieczny obrót.

Tapurucuara, otrzymawszy polecenie de la Mazy, wstąpił do prezydium policji.

Wszedł do gabinetu majora Paulino.

Powiedział mu, że wyjeżdża czarnym packardem w specjalnej misji; potrzebuje kierowcy i dwóch ludzi, ale takich – zaznaczył – żeby nie wyglądali jak notoryczni mordercy.

– Razem będzie was czterech – powiedział major. – Po co tak dużo?

– Pozory decydują o powodzeniu w każdej akcji – odparł Tapurucuara. – Dwaj będą udawać uciekinierów, takich jak Murphy.

3.

Z General Andrews kazałem się zawieźć do hotelu „Cosmos”. Dowiedziałem się od Beesleya, że tam mieszka Murphy. Mieszka? Raczej mieszkał.

W hallu przyjął mnie maître d'hôtel, wyszczerzając dwa rzędy sztucznych, jaskrawo białych zębów. Podszedł ze mną do recepcji.

– *Nortamericano?* – zapytał.

Powiedziałem, że tak, i że przyjeżdżam z Chicago. Poprosił o dokumenty, podałem mu. Kazał wpisać do książki hotelowej: Andrea Castagno, skąd przybył, numer paszportu, numer wizy, na jak długo... Widocznie ogłoszono w Dominikanie stan wyjątkowy, stąd ta kontrola.

– Ktoś polecał panu mój hotel, mister Castagno?

– Wybrałem z informatora. Podoba mi się nazwa tego hotelu. Czy chce mi pan zaproponować jakiś inny?

– Jestem szczęśliwy, że pan zamieszka tutaj, to dla nas wielki zaszczyt. W „Cosmosie” zatrzymują się głównie przybysze z południowych stanów, ale zapewniam pana, że to bardzo majątni dżentelmeni, sama elita. Bóg czuwa nad tym hotelem.

– Z Północnej Ameryki nikogo tu nie ma? – zapytałem.

– Jest trzech panów z Północy. Dwaj przedstawiciele handlowi *East Asia Transport Ltd* i bardzo sympatyczny *Nortamericano*, pilot, który pracuje na naszych liniach lotniczych.

Powiedziałem, że zadowala mnie takie towarzystwo. Przyjechałem na

dłużej do Ciudad Trujillo i cieszę się, że spotkam rodaków. Może maître d'hôtel posadzi mnie przy jednym stole z tymi panami w czasie obiadu?

Staralem się ukryć zmieszanie. Więc Murphy jeszcze tu mieszka? Nie aresztowano go, żyje? Może doszedł do porozumienia z ich policją? Zbiło mnie z tropu to zaskakujące oświadczenie.

– Ci dwaj panowie z *East Asia Transport* stołują się u nas, ale pan Murphy je tylko śniadania, zresztą u siebie w pokoju. Szkoda, bo to bardzo sympatyczny *Nortamericano*. Jego patron, święty Gerald, przynosi mu szczęście i tenże święty przywiódł go do mego hotelu.

– Czy jest u siebie? – zapytałem obojętnie.

Maître d'hôtel spojrział na przegródki z kluczami.

– Tak. Zresztą jego wóz, ten piękny jaguar, widzi pan? – wskazał oszkloną szybę hallu, za którą zobaczyłem biały samochód – stoi przed hotelem. Pan Murphy – wyszczerzył zęby w uśmiechu – cieszy się nim jak dziecko i nie wstawia wozu do garażu; chce, żeby go wszyscy widzieli. Wy wszyscy, z Północy, jesteście bardzo dziecinni, ale to przyjemna cecha.

Wysuszony jak prasowana śliwka, sztywny urzędnik recepcji wyjął z ust kościaną wykałaczkę i spojrział na mego rozmówcę.

– Pan Murphy nie oddał klucza, ale chyba wychodził – powiedział po hiszpańsku.

– I nic mi nie mówicie? – zawołał zaskoczony maître d'hôtel. – I ja nic nie wiem? Tyłki wam przyrosły do krzeseł, tak? Banda śmierdzących leniów! Czarczi pomiot, przeklęty przez dwunastu apostołów i sto tysięcy aniołów!

Gwałtownie zwrócił się w moją stronę.

– *Señor* zna hiszpański?

Bezradnie rozłożyłem ręce: – Ani słowa.

– Jak ten pójdzie na górę, połącz mnie natychmiast z panem de la Mazą. Nie, zaczekaj. Niech niebo czuwa nad moją cierpliwością! Połącz mnie z dyżurnym na drugim piętrze. – Spojrział znowu na mnie. – Pan wybaczy, chwileczkę – powiedział – *sorry, mister Castagno, just a moment...*

– *Well* – powiedziałem – niech pan sobie nie przeszkadza. – Cofnąłem się w głąb hallu i usiadłem w fotelu.

Maître d'hôtel rzucił do słuchawki:

– Nino, na Boga Ojca, sprawdź, czy pan Murphy jest w numerze. Tylko nie mów, że go nie ma.

Odczekał chwilę.

– Klucz jest w środku? Weź swój i otwórz te drzwi. Przeżegnaj się i zobacz, co tam się dzieje.

– Ty durniu – mówił tymczasem do urzędnika recepcji, czekając na odpowiedź Nino – ty parszywy mule świętego Loyoli! Czy wiesz, czym to się może skończyć? Nie licz na cud! Ty, mroczny cieniu betlejemskiej gwiazdy, będziesz gnić w więzieniu, nie ja. Ty wiesz, jak mogę ciebie zrobić? Że byłeś w spisku z tym gościem, rozumiesz? Że dlatego nie otwierałeś gęby, jak on wychodził, bo spiskowałeś razem z nim. Tak mogę ciebie zrobić. O nie, święta Maria i jej błogosławiony opiekun Józef nie pozwolą, żebym za to płacił. Ja pilnuję tego, co mi każą pilnować... Ty ścierwo haitańskie, cuchnąca padlino Piłata Ponckiego, której nawet sęp by nie ruszył, ty gnido argentyńska...

Przekleństwa piętrzyły się, stawały się coraz wymyślniejsze, ale urzędnik recepcji, widocznie oswojony już z tym słownictwem i południowym temperamentem swego szefa, siedział nieporuszony i grzebał kościaną wykałaczką w zepsutych zębach.

– Co? – zawołał do słuchawki maître d'hôtel. – Nie ma go w numerze? Wszystko przeszukałeś? A klucz był w zamku i drzwi zatrzaśnięte? O! – zawył – niech się otworzą święte rany Jezusa Chrystusa! Niech reumatyzm powykręca stawy wszystkim świętym! Niech dzikie tornado dźwignie najwyższe szczyty Sierra de Monte Christi i rzuci je na wypełniony guanem łeb tego durnia! – tu wskazał słuchawką obojętną twarz urzędnika, ocierającego kościaną wykałaczką o klapę surduta. – Zajmij się tym panem – wskazał na mnie i wybiegł z hallu.

– Co się stało? – zapytał urzędnika.

Wykałaczką narysował koło na swoim czole.

– On już jest taki – powiedział. Spojrzał na plan hotelu: – Dam panu ładny pokój na pierwszym piętrze, zwolnił go wczoraj szef sztabu armii pana Perona. Chciałem powiedzieć: były szef sztabu, byłej armii, byłego pana Perona. Co pan będzie u nas robić?

Wyjaśniłem mu, że jestem asystentem słynnego historyka sztuki prekolumbijskiej i archeologa, profesora Algernona de Castelfranco. Poprosiłem go, by przygotowano mi adresy firm dysponujących sprzętem archeologicznym i turystycznym. Zapytałem, w jakim biurze można zwerbować około trzydziestu robotników potrzebnych do zorganizowania wyprawy profesora Castelfranco. Jego pomoc, znacznie ułatwi mi przygotowania.

Położyłem na stole dwadzieścia pesos.

Słuchał mnie uważnie. Widząc banknot, zsunął go zręcznie do małej szufladki.

– Dobrze, bardzo proszę – powiedział – przygotuję panu taki spis. Mnie to bardzo interesuje. Więc profesor Castelfranco spodziewa się jakichś rewelacji?

– Profesor Castelfranco badał już wykopaliska kubańskie i jest przekonany, że natrafi u was na wpływy kultury Majów i Azteków. La Española leżała zapewne w kręgu cywilizacji meksykańskiej, w okresie jej największej świetności, to jest od 1500 roku przed naszą erą do 1500 roku naszej ery.

Urzędnik wskazał wykałaczką olbrzymi portret Trujillo.

– A więc cywilizacji, która zaczęła się na trzy i pół tysiąca lat przed Erą Trujillo.

– Mniej więcej – powiedziałem. – Ale u nas, ani w Meksyku, nie obowiązuje kalendarz stworzony przez generalissimusa Trujillo.

Urzędnik mrugnął porozumiewawczo.

– To śmieszne, nie?

– Co jest śmieszne? – zapytałem.

– Chyba ma pan poczucie humoru – odparł, zniżając głos i niby to rozglądając się podejrzliwie. Czuję, że chce mnie wybadać, że to mrugnięcie okiem i rozglądanie się było tylko prowokacją.

– Nigdy nie widzę nic śmiesznego w obyczajach i przepisach obowiązujących w jakimś kraju. Przyjechałem tutaj jako naukowiec, a nie jako obserwator polityczny czy korespondent *Associated Press*. Są plemiona, w których gospodarz domu przyjmujący na noc obcego człowieka kładzie go do łóżka z własną żoną lub córką. W japońskich hotelach pokojówka kąpie gościa. Nie widzę w tych zwyczajach nic śmiesznego.

– Pan musiał się nacytać różnych rzeczy o naszym kraju? Czasem przesadzają, ale w sumie, na ogół...

– Niech mi pan wierzy – odparłem – bardziej interesuje mnie kultura prekolumbijska. Trzy tysiące lat temu istnieli także politycy i tyrani, i były skrytobójcze mordy, sojusze wojskowe i podboje, ambitni generałowie i ograniczeni wielkorządcy. Co po nich zostało? Nic. A po kulturze Zatoki Totomaków pozostały wspaniałe rzeźby. Są tak doskonałe, jakimi były trzydzieści wieków temu. A co zostało po kulturze okresu hitlerowskiego? Śmiecie, tandeta. I właśnie po tym będzie się kiedyś oceniać jego czasy.

– To ma sens, co pan mówi. Jednak tym samym daje mi pan do zrozumienia, że po Erze Trujillo także pozostanie śmiecie.

– Nie znam waszej współczesnej sztuki.

– Nie można tego ani czytać, ani oglądać. Prawda?

Koniecznienie chciałem mnie sprowokować. Powiedziałem:

– To wasza wewnętrzna sprawa. Nasz prezydent nie wtrąca się do sztuki, bo zna się na niej, jak przeciętny amator. Nie występuje w roli eksperta, nie ma zamiaru ośmieszać się.

– Ale Trujillo ośmiesza się. Chyba tak chciał pan powiedzieć?

– Chciałem powiedzieć i mówię o tym od początku naszej interesującej rozmowy, że zajmuje mnie wyłącznie cywilizacja prekolumbijska, obejmująca tak wiele kultur najrozmaitszych szczepów, plemion i narodów, że na jej poznanie nie starczyłoby nawet pięciuset lat życia. Nie mam czasu na politykę ani na grzebanie się w wielkim śmietniku sztuki współczesnej. Tylko tyle chciałem powiedzieć.

4.

Spod prezydium policji pojechali czarnym packardem na Plaza del Congreso, zatrzymali się w bocznej uliczce. Kazali odejść policjantowi stojącemu tam na posterunku. Na Plaza del Congreso mieszkała Monika Gonzales. Z jej mieszkania gitarzysta z kanciąstą szczęką miał przyprowadzić

Murphy'ego. Ale upłynęła godzina, a Murphy nie nadchodził.

Kierowca kłął, czekali już nazbyt długo. Tapurucuara uśmiechną się. Ci wszyscy ludzie, z którymi pracował, zawsze się śpieszyli, nigdy nie mieli czasu. Dokąd? Po co? On, czuwając lub pilnując kogoś, zachowywał absolutny spokój, nigdy nie był zniecierpliwiony. Człowiek, który wiedział tak dużo jak on, nie mógł się nudzić. Wciąż od nowa porządkował wydarzenia usuwając z pamięci szczegóły, które z biegiem lat traciły znaczenie.

– Takiemu staremu jak ty – powiedział kierowca – zawsze jest wszystko jedno. Ty możesz spokojnie czekać.

Było mu wszystko jedno i to tak bardzo, że nawet nie odpowiedział kierowcy. Siedział przy nim owinięty w derę i rozmyślał...

Był stary jak świat i – tak mówił o nim pułkownik Abbez – zdeprawowany jak świat. Lecz on, był kimś, mógł być dzisiaj wodzem swojego plemienia, gdyby to plemię istniało. Abbez zaś był nikim i dopiero reżim dominikański uczynił go kimś, dając mu pieniądze i władzę nad ludźmi. Tylko tym Trujillo zdobył go dla siebie bez reszty, czyniąc z Abbeza fanatycznego wyznawcę swojej boskości.

Tapurucuara dobrze wiedział, jak poczęła się boskość generalissimusa.

– Jeszcze ich nie ma – powiedział kierowca. – Skończy się noc, a oni nie przyjdą. W karty grają, czy co... Może ich wyciągniesz?

Tapurucuara nie poruszył się. Myślał o narodzinach boga.

...24 października 1891 roku, na południowym wybrzeżu wyspy, w nędznej wiosce San Cristobal – nazwanej później Nowym Betlejem – urodził się Rafael Leonidas Trujillo y Molina.

Był czwartym z kolei dzieckiem z jedenaściorga potomków dominikańskiego chłopa i złodzieja bydła, później skromnego urzędnika pocztowego. Zapowiadał się na wielkiego nicponia. Zajmował się trochę wypasaniem stad, wałęsał się w portach, pracował jako nocny stróż. Miał szesnaście lat, kiedy nauczył się czytać i pisać. Wówczas ojciec zaczął go szkolić w zawodzie telegrafisty. Nie szła mu ta nauka, musiał z niej zrezygnować i przez pewien czas

roznosił telegramy. Za fałszerstwo dostał się do więzienia. W kilka lat później pojawił się w dużej fabryce cukru jako szef prywatnej policji właściciela rafinerii.

Rafael Leonidas miał 25 lat, kiedy w 1916 roku wylądowała na San Domingo amerykańska piechota morska. Armia USA przybyła tu w konsekwencji układu zawartego w 1907 roku z Republiką Dominikańską, zapewniającego Stanom kontrolę finansową i prawo do interwencji wojskowej. Ponieważ Dominikana przed spłaceniem swych amerykańskich długów zaciągnęła gdzie indziej nowe pożyczki, powstał pretekst do okupacji wyspy. Amerykanie głosili: „Przyszliśmy nauczyć was demokracji”.

Tapurucuara pamiętał, jak w 1801 roku, na tej samej wyspie, wówczas dymiejącej pożarami i spływającej krwią, dwie stojące naprzeciw siebie armie ruszyły do ataku śpiewając *Marsylianke*, pieśń jednak demokratyczną.

Wiedząc o tym, zgłosił się w 1916 roku do dyspozycji kapitana H. S. Knapa. Prawie w tym samym dniu Rafael Leonidas Trujillo, bezrobotny pastuch i wagabunda, za pośrednictwem swego wuja Teodula Pina Chevaliera zetknął się z majorem Mc Leanem i, jako przewodnik i stręczyciel, rozpoczął służbę w jego karnych ekspedycjach, operujących na zachodzie Española.

„Trujillo wsławił się wówczas licznymi okrucieństwami” – pisał w wiele lat później Amerykanin Sumner Welles. Tapurucuara znał szczegóły okrucieństw, którymi wsławił się Rafael Leonidas Trujillo; był wtedy agentem kapitana Merkle, który wprowadził tak straszliwy terror, że władze wojskowe musiały go aresztować za liczne morderstwa. Gdyby kapitan Merkle nie popełnił przed rozprawą samobójstwa, sąd wojenny dowiedziałby się sporo o wyczynach Trujillo. Trujillo zaś mógłby wiele opowiedzieć o samobójstwie kapitana Merkle w celi. Ale to jedna z tych rzeczy, których nigdy nikomu nie opowie.

Tapurucuara relacjonował amerykańskiemu wywiadowi przebieg wielu ekspedycji, w których brał udział Trujillo. Ich celem była nie tylko walka z oddziałami partyzantów, ale również werbunek do dominikańskiej policji i armii, którą mieli zorganizować Amerykanie. Ekspedycje karne przeistaczały się niekiedy w, walki z ludnością.

W 1919 roku Trujillo wstąpił do szkoły wojskowej, kierowanej przez *US Army*. Otrzymał po dwóch latach nauki stopień podporucznika i doskonałą opinię swych przełożonych. W 1922 roku był porucznikiem, w 1924 został kapitanem. Pracował w MP, amerykańskiej policji wojskowej.

Tapurucuara był wciąż skromnym agentem wywiadu, kiedy w 1926 roku, w związku z wykryciem spisku przeciw władzom dominikańskim, Trujillo został pułkownikiem *Policía Nationale Dominicana*. Poznał wówczas Tapurucuare; drażniła go inteligencja i wykształcenie tego samouka, ale imponowała mu jego bezwzględność i beznamiętne, jakby przyrodzone okrucieństwo.

Jeszcze rok – i Trujillo jest już generałem. Jeszcze jeden rok – 1928 – i Rafael Leonidas Trujillo y Molina zostaje szefem sztabu armii, na wniosek starego Horacio Vasqueza, pierwszego prezydenta Republiki Dominikańskiej po ośmioletniej okupacji wyspy przez Stany Zjednoczone. Awansuje na generała brygady. Ma trzydzieści siedem lat. Za dwa lata podstawi nogę zniedołężniałemu prezydentowi.

23 lutego 1930 roku skromny agent policji dominikańskiej, Tapurucuara, współdziała w przygotowaniu tajemniczej, na razie niepojętej dla obserwatorów rewolty, biorącej początek w Santiago de los Caballeros. Porozumiewa się z Trujillo, następnie przeprowadza dłuższą rozmowę z Rafaellem Estrella Ureną. Po tej naradzie Urena ogłasza się przywódcą opozycji antyrządowej. Na rozkaz Trujillo wzmocniono garnizony w Santo Domingo, Santiago de los Caballeros, Puerto Plata i w kilku innych większych miastach. Armia spiskuje. Ruchy wojsk wywołują stan niepewności i lęku.

Prezydent Horacio Vasquez i dyplomaci amerykańscy przeprowadzają kilka rozmów z szefem sztabu, Trujillo. Są zaniepokojeni sytuacją. Trujillo zapewnił ich kilkakrotnie, że nie wyłamie się spod kontroli rządu, że swojej armii nie przeciwstawi legalnej władzy cywilnej.

– Swojej armii? – pyta zaniepokojony prezydent Vasquez. – Swojej, czy dominikańskiej? Niech pan nie zapomina, że ja powołałem pana na stanowisko szefa sztabu.

- Armia musi być bezwzględnie posłuszna naczelnemu wodzowi.
- To znaczy panu?
- Tak. I tylko wtedy może być posłuszna Republice.
- Jaką rolę odgrywa Rafael Estrella Urena? – zapytał wówczas rzecznik USA. Trujillo odparł:
 - Jak panu wiadomo, stoi na czele rebeliantów.
 - Czy pan generał go popiera? – zapytał prezydent.
 - Popieram legalną władzę.
 - A Urenę?
 - Urenę popierają niektórzy oficerowie.
 - Dowiedzieliśmy się, że sztab armii współpracuje z rebeliantami i, współdziała z opozycją. Jak pan to wytłumaczy?
 - W obecnej sytuacji zmiana sztabu armii byłaby klęską dla Republiki – odpowiedział Trujillo. – Tyle mogę wytłumaczyć.
 - Co pan proponuje?
 - Nie reprezentuję opozycji, panie prezydencie.
 - Ale pan ją popiera. Grajmy w otwarte karty.
 - To są moje prywatne i bezinteresowne sympatie. Armia popiera legalny rząd.
 - Mówmy szczerze – powiedział Vasquez, wiedząc już, że Trujillo go zdradził. – Czy wystarczy panu, jeżeli, jako prezydent Republiki, powierzę Urenie tekę ministra spraw wewnętrznych? W ten sposób zabezpieczy pan sobie wpływy, na jakich panu zależy.

Kompromis został zawarty.

Stało się to 28 lutego 1930 roku. 2 marca parlament dominikański przyjął rezygnację oszukanego prezydenta Vasqueza. Vasquez wiedział, co mu grozi w rozgrywce o władzę z Trujillo – i zrezygnował z tej walki. Był już stary i chciał jeszcze żyć. Ale przed parlamentem postawił warunek: zorganizuje się ogólnokrajowe wybory bez ograniczenia kandydatur, wykluczając jedynie z listy kandydatów dwie osoby: wiceprezydenta Republiki Alfonseca i generała Trujillo. Kompromis, któremu patronowało poselstwo USA, uspokoił opinię publiczną, obawiającą się rządów junty. 3 marca w myśl konstytucji funkcje tymczasowego prezydenta objął minister spraw wewnętrznych, Estrella Urena.

Tapurucuara wiedział więcej niż prasa i opinia publiczna, więcej niż Estrella Urena i amerykańskie poselstwo. Wiedział zapewne tyle, ile – twierdzono później – wywiad USA.

Trujillo wzywa zaufanych ludzi. Stają przed nim: major Garcia Abbez, kapitan Miguel Angelo Paulino, a w grupie kilku innych spiskowców – których później zamordowano na rozkaz Trujillo – Tapurucuara.

Trujillo oznajmił zebranym, że trzeba ratować Republikę. Niedopuszczenie go do kandydowania na prezydenta może wzniecić rewoltę. Krzyknął: – Armia na to nigdy się nie zgodzi! Trzeba ratować kraj, pokój, demokrację i wolność – i wybrać jego, Trujillo, prezydentem Republiki.

Tapurucuara uśmiechnął się: przypomniał sobie dwie *Marsylianki*.

Garcia Abbez obawiał się, że Rafael Estrella Urena, tymczasowy prezydent, który tak wiele zawdzięcza poparciu Trujillo, ma największe szanse w nadchodzących wyborach. Do tego nie można dopuścić.

– Musicie się do niego zabrać, ale delikatnie – odpowiedział Trujillo. Przyjął właściwy mu, rubaszny nieco i cwaniacki sposób mówienia: – Nie takim łebkom dawaliśmy radę, nie takim frajerom podstawiało się nogi. U nas takie numery lecą raz, dwa, no nie, panowie?

– Do wyborów mamy tylko dwa miesiące – stwierdził Miguel Angelo Paulino. – Wybory są szesnastego maja. Może przesunąć ten termin?

Kapitan policji miejskiej, który przesuwa terminy wyborów na prezydenta Republiki! – pomyślał Tapurucuara. To jest jeszcze bardziej zabawne niż te dwie *Marsylianki*. Powiedział:

– Mamy dwa miesiące, czyli o miesiąc więcej niż nam potrzeba.

– Jak to rozumiesz? – ktoś zapytał.

– Tak samo jak wy – odparł Tapurucuara. – Jeżeli w ciągu miesiąca będziemy zabijając po sto osób dziennie, to za trzydzieści dni zlikwidujemy trzy tysiące wrogów kandydatury pana generała. Możemy też zabijać po dwieście dziennie. To da sześć tysięcy trupów i sześćset tysięcy przerażonych.

– Będziemy zabijać – powtórzył Trujillo. – W tym jedyny ratunek dla Republiki. Trzeba zabijać, żeby zdobyć władzę. I trzeba zabijać, żeby ją utrzymać. Ja o tym wiem. Będę zabijać; Ja jeden mogę ocalić Republikę.

Tapurucuara mówił:

– Na początek tyle wystarczy. A co tam ludzie wrzucą do urn, to nasza sprawa, byleby tylko coś wrzucali. My stamtąd wyjmujemy to, co potrzeba panu generałowi.

– Tapurucuara – powiedział Trujillo – będziesz dyrektorem policji dominikańskiej.

– Nie – powiedział Tapurucuara. – Szefów policji potrzebuje tylko jeden szef rządu. Szef policji jest jednorazowy i nie do powtórzenia, jest jak uśmiech Giocondy. Szef następnego rządu likwiduje dotychczasowego szefa policji i mianuje nowego, bo ten nowy pomógł mu zdobyć władzę, a ten poprzedni prześladował go i mógł go powiesić. Ale mądrego agenta potrzebuje każdy szef policji i każdy szef każdego rządu.

Tak poczęła się boskość generalissimusa.

...w ciemności rozległy się kroki. Z Plaza del Congreso wyłoniły się dwa cienie: Murphy'ego i gitarzysty.

Tapurucuara wysiadł z wozu. Zamienił kilka słów z gitarzystą o olbrzymiej szczęce, potwornej w refleksach światła ulicznych, i wskazał Murphy'emu miejsce na tylnym siedzeniu, między dwoma mężczyznami.

– Oni jadą tam, dokąd pan się wybiera – powiedział. – Ja jestem przewodnikiem. Podpłaciliśmy kierowcę rządowego wozu, żeby nas nikt nie zatrzymał. Zawsze tak jeździmy. Resztę pan już wie. Widział pan na mapie, dokąd jedziemy i którędy.

– Wiem – odparł Murphy podając mu zwitek banknotów.

– Proszę wsiadać – powiedział Tapurucuara. I do kierowcy:

– Jedź. Ty wiesz.

5.

Przestałem reagować na podstępne pytania urzędnika recepcji „Cosmosu”.

– Gdzie maître d'hôtel? – zapytałem.

– On zaraz wróci – powiedział. – Pan coś zobaczy, kiedy on już wróci. To będzie bardzo śmieszne.

Zjawił się wreszcie w drzwiach wiodących do pomieszczeń administracji. Chyba minutę stał z ręką wspartą o klamkę, wpatrując się w obojętnego urzędnika z takim skupieniem, jakby go chciał zahipnotyzować. Mnie w ogóle nie dostrzegął.

Ruszył powoli, stąpając na palcach stóp, odmierzając krok po kroku. Szedł jak lunatyk i gdyby nie bariera oddzielająca recepcję od hallu, zwałiby się na biurko.

– Alvarado – powiedział zdławionym głosem. – Alvarado...

Urzędnik nazwany Alvaradem wsunął wykałaczkę do ust i gapił się w olbrzymie okno hallu.

– Alvarado – zaczął patetycznym tonem – Alvarado, na wszystkie zasklepione blizny Jezusa Chrystusa, na pokłute strzałami ciało świętego męczennika Sebastiana i jego ropiejące rany, na obcięte piersi świętej Cecylii, a może Łucji – Alvarado, dlaczego nie powiedziałeś?

Alvarado przymknął oczy i ruchem języka przesunął wykałaczkę z lewego kącika ust w prawy.

– Major Miguel Angelo powiedział mi – ciągnął maître d'hôtel – że już dzwoniłeś do niego, że on już wie, że oni szukają, że nie mam się co martwić, że hotel „Cosmos” jest w porządku, i że niepotrzebnie zawracam im głowę;.. Zaklinam cię trzykrotnie na świętego patrona wszystkich hoteli świata...

– No to czego pan chce? – mruknął Alvarado.

– Ja? Czy ja coś chciałem? Czy ja mogę chcieć coś więcej prócz tego, że bym wiedział, co się dzieje w „Cosmosie”? Czy w ogóle coś mówiłem? Czy miałem jakiś żal? Czy ja się zaklinam, czy ja potrafię powiedzieć do ciebie jedno złe słowo? Alvarado, niech wszyscy święci Młodziankowie i święte Dziewice...

Spojrzał przytomniej na mnie, przypomniał sobie, że istnieje.

– Alvarado, zadzwoń po boya, niech szanownego pana zaprowadzi do numeru.

I do mnie po angielsku:

– Dałem panu pokój *de prima clase*. Zaraz przyjdzie dobry boy Escudero. Zaprowadzi pana do pokoju i pomoże rozpakować walizki. Kiedy pan zadzwoni na służbę, zawsze przyjdzie ten sam boy. On już będzie wiedzieć, co pan

lubi i czego pan nie lubi. Będzie pan z niego zadowolony. To pobożny i posłuszny boy.

O Escudero opowiadała mi Harriet.

6.

Proszę wsiadać – powiedział Tapurucuara do Murphy'ego, wsuwając do kieszeni zwitek banknotów. Zatrzasnął za Murphym drzwiczki tylnego siedzenia i zanim zajął miejsce na przednim, obok kierowcy, spojrzął na sylwetkę wozu.

El carro de la muerte, pomyślał, powóz śmierci. Tak nazywał się ten czerwony packard, którym jeździł w 1930 roku, najśłynniejszy samochód w dziejach Dominikany. Że on będzie jeździć czerwonym packardem, o tym dowiedział się na naradzie u generała Trujillo – wtedy był generałem – na tej naradzie, którą przed chwilą wspominał, owinięty w derę, nim gitarzysta przyprowadził Murphy'ego.

Wsiadł do wozu.

– Jedź – powiedział do kierowcy. – Ty wiesz. Na Azua.

Packard skoczył do przodu. Znowu można się wyłączyć, można porządkować chaotyczną, na pozór pełną przypadków historię... – Ja z moimi ludźmi – powiedział Abbez na naradzie u Trujillo – zajmę się Ureną, ale tak, żeby Urena sam zrezygnował z kandydowania na prezydenta. Mówię wam, Urena zrobi to z radością. Paulino sterroryzuje miasto aresztowaniami. Tapurucuara obejmie komendę nad *el carro de la muerte*, pojazdem śmierci. Przygotowaliśmy z polecenia pana generała czerwony opancerzony packard, który będzie ostrzeliwać gromadzące się na ulicach grupy, wiece opozycyjne, podejrzanych przechodniów.

Kości zostały rzucone.

Kampanię wyborczą rozpoczęto od ataku na Urenę: niszczone wozy, którymi jeździł na spotkania z wyborcami, konfiskowano jego artykuły, wybijano szyby w oknach jego domu. Codziennie przypominano mu serią szykan, że Trujillo jest jego patronem, że tylko Trujillo może zostać prezydentem. Nie pomogła interwencja Departamentu Stanu u generała Trujillo. Trujillo twierdził,

że nic go nie obchodzi, że nie inspiruje tych wyczynów, ale widocznie cały naród marzy tylko o takim prezydencie, jak on, Rafael Leonidas Trujillo.

W kwietniu Estrella Urena był już „miękki”. Zgodził się, że będzie kandydować na wiceprezydenta i sam zaproponował, na prezydenta Republiki „jedyne go odpowiedniego człowieka do piastowania tej najwyższej godności” – generała Trujillo.

Atmosfera tych dni: bandy *pistoleros*, które podlegały rozkazom kapitana Miguela Angelo Paulino, plądrowały miasto, przeprowadzały obławy i rewizje, aresztowały tysiące osób. Codziennie ginęli lub znikali w nie wyjaśniony sposób senatorowie i ministrowie, wielu dziennikarzy, właściciele ziemscy, przywódcy związków zawodowych, studenci, ludzie podejrzani o lewicowe poglądy,

Tapurucuara i kilku *pistoleros* przejeżdżali czerwonym packardem przez przerażone miasto, krążyli po jego wszystkich ulicach, zasypywali je seriami z ręcznych karabinów maszynowych. *El carro de la muerte* śmiać i grozę, terroryzował miasto. Plądrowano sklepy i strzelano do okien, podpalano domy i pilnowano, by ich mieszkańcy sponęli żywcem.

Tapurucuara pamięta, jak Komisja Kontroli Wyborów protestowała przeciw krwawym wyczynom popleczników Trujillo. Wtedy zamordowano kilku członków tej komisji, pozostali złożyli rezygnację. Parlament powołał nową Komisję Kontroli, jednak opozycja zakwestionowała legalność tej decyzji. Trybunał Konstytucji przyznał jej rację. Tapurucuara wiedział dlaczego i jak to się stało: pod bramą gmachu, w którym obradował Trybunał, stał czerwony packard śmierci.

Parlament bronił się jeszcze przeciw bezprawiu, apelował w sprawie orzeczenia Trybunału do Sądu Najwyższego. Piętnastego maja, kiedy Sąd Najwyższy miał zatwierdzić wyrok pierwszej instancji i zalegalizować działalność nowej Komisji Wyborów, kapitan Miguel Paulino wtargnął ze swoimi ludźmi na salę obrad. Trujillo nie potrzebował Komisji. Sędziowie, ratując życie, kryli się i uciekali, pod ostrzałem *pistoleros* skakali przez okna. Jeden z nich przebrał się w kobiece suknie... Na ulicy czekał na uciekinierów czerwony „pojazd śmierci”.

Sterroryzowane organizacje i grupy parlamentarne wycofały swoich kandydatów.

Na liście wyborczej pozostał tylko jeden kandydat: generał Trujillo.

W kilka dni później Departament Stanu USA przyjął poufną informację, że liczba głosów, które otrzymał Trujillo, jest znacznie wyższa od liczby wyborców. „Przekraczała dwukrotnie ogólną liczbę oddanych głosów”. Trujillo nie przejął się tym. Wiedział, co znaczy zdobycie władzy. Zdobywał ją w opętanej furii.

Tapurucuara pamiętał, jak w godzinę po ogłoszeniu wyniku wyborów Trujillo zarządził aresztowania wszystkich innych kandydatów. Zamordowano pierwszego kandydata opozycji, Federico Valasqueza. Drugi kandydat, Morales, zbiegł do Porto Rico, gdzie tajni agenci zorganizowali na niego serię zamachów. Zginął zbiegły z Republiki poeta Vigilio Martinez Reyna. Ministra finansów z rządu Vasqueza zabito dwoma strzałami z *carro de la muerte*, w chwili gdy wychodził z kina.

Tapurucuara celnie strzelał. Pomyślał wówczas – i teraz o tym sobie przypomniał – że posiadanie najpiękniejszych dziewcząt nigdy nie dało mu takiego upojenia, jak moment zmrżenia oka na przedłużeniu szczerbiny i muszki, jak błysk wystrzału rozdzierającego przestrzeń i celnie trafiony człowiek, kulący się, wspinający się na palcach stóp, zdumiony i przerażony, padający na ziemię. Ekscytowało go wręcz fizyczne wyobrażenie warstw skóry i tkanek otwierających się przed rozgrzanym pociskiem.

...albo historia generała Larancuerta z pierwszego roku Ery Trujillo...

10 czerwca 1930 roku popularny generał Larancuert, przywódca Partii Postępowej, zorganizował oddziały partyzanckie. Wytropiono go. Jego brygadę okrążyły wojska rządowe. Doszło do spotkania Abbeza i Larancuerta. Abbez, nakłaniając generała do zrezygnowania z bitwy, obiecał mu w imieniu Trujillo całkowite bezpieczeństwo osobiste i nietykalność. Larancuert przybył do stolicy, witany wylewnie przez Trujillo. Kiedy Larancuert udał się do hotelu, Tapurucuara otrzymał od Trujillo sekretne polecenie. Zrealizował je tego samego wieczoru: w hotelu zgasły nagle wszystkie światła i rozległo się kilka Wystrzałów. Kiedy wkręcono zluzowane bezpieczniki, znaleziono przestrelone kulami ciało Larancuerta.

Prasa dominikańska podała: „Mimo wspaniałomyślności prezydenta Trujillo wobec pokonanego wroga prawdopodobnie zamachu dokonały oburzone elementy patriotyczne, które nie mogły pogodzić się z myślą, że w stolicy przebywa wróg ludu, wolności i demokracji, generał Larancuert”. Dominikańczycy czytali – i w milczeniu patrzyli na siebie oczyma, które dla niewtajemniczonych obserwatorów nic nie wyrażały. Tapurucuara doskonale odróżniał także spojrzenia od wszelkich innych.v

Zachichotał w okrywającej go szczelnie ciemności. Dwie *Marsylianki*. Dwie wrogie armie otwierające przeciw sobie ogień i śpiewające pieśń o wolności i nienawiści do tyranów.

Minęli już uśpione San Cristobal, zbliżali się do miasta Azua. W głębi wozu panowało milczenie.

Murphy, posłuszny zleceniu gitarzysty z olbrzymią szczęką, nie rozmawiał z ludźmi, między którymi siedział. Wszystko jest w porządku, myślał, teraz jedziemy w kierunku Azua, później miniemy Duvergé, i to będzie trzeci odcinek drogi, a potem zostaje już niewiele, przejazd wzdłuż wybrzeża Lago de Enriquillo – i granica Haiti. Jezu, trudno uwierzyć, że wszystko tak dobrze idzie. Harriet czeka na Florydzie i trzeba będzie do Harriet wysłać telegram z Saltrou albo Petionville, albo już z Port-au-Prince... Może tchórz mnie obleciał, że tak się zmywam, może oni wypuścili mnie na urlop, ale nie, nie, z takimi typami nigdy nic nie wiadomo, nie dopuściliby mnie do ambasady, grozili... Jezu, ale mnie obskoczyli.

Spojrzał na zgarbione plecy przewodnika siedzącego tuż obok kierowcy. Ryzykuje własną głową, pomyślał, lecz widocznie opłaca mu się taki przerzut. Przed wejściem do wozu podał mu pięćset dolarów. Jeżeli ci dwaj, siedzący obok i cuchnący zjełczałym tłuszczem rekina, dali również po pięćset, to ten facet na czysto złapał za jeden kurs tysiąc dolarów, bo pięćset ma chyba na koszty własne i dla kierowcy. Jezu, jeżeli on zarabia tyle samo co trzeci dzień, to zahacza rocznie ładny pieniądz. Zaraz, dziesięć tysięcy miesięcznie, bo miesiąc ma trzydzieści dni, a on jeździ co trzeci dzień, czyli dziesięć razy na miesiąc, a rocznie to będzie dziesięć tysięcy razy dwanaście, bo rok ma dwanaście

miesiący nawet w tej parszywej Dominikanie, to znaczy, że ten gość z indiańskim nosem odkłada na czysto sto dwadzieścia tysięcy dolarów. To ładny pieniądz Uśmiechnął się, przypomniał sobie lot z Amityville: lepiej zarabiać na wywożeniu facetów z Dominikany niż na przywożeniu...

Było duszno mimo otwartych okien; parowała gorąca ziemia mijanych pól, bagnistych, bijących w nozdrza wonią mokrych zwierząt i gnijących roślin.

Tapurucuara dotknął wspartej o kierownicę dłoni szofera; ten zwolnił nacisk stopy na gaz i zatrzymał wóz w wąskiej kotlinie, otoczonej pędami trzciny. Obrócił twarz w stronę Murphy'ego. W ciemności zabłyśły białka jego oczu.

– Jak pan ma potrzebę, to można, wysiąść i odlać się – powiedział. – Później już się nie zatrzymamy.

Dlaczego zwrócił się tylko do niego? Murphy zapytał:

– A oni?

– Wszyscy mogą – powiedział Tapurucuara – ale tylko na kilka minut, bo zaraz odjeżdżamy.

Powiedziawszy to, wysiadł z wozu i otworzył tylne drzwiczki. Ci dwaj, cuchnący zjeżdżałym tłuszczem rekina, nie ruszyli się z miejsc. Ten z lewej odezwał się:

– *No, gracias.*

– Proszę, niech pan wysiada – powiedział Tapurucuara.

Murphy przecisnął się między oparciem przedniego siedzenia a podciągniętymi w górę kolanami jednego z towarzyszy podróży. Wtedy wysiadł z przeciwległej strony wozu ten z prawej.

Tapurucuara pozostał przy otwartych drzwiczkach, wsparty o nie lewym ramieniem.

Murphy odszedł o kilka kroków i zatrzymał się przed ścianą wysokiej trzciny. Jezu, chyba mnie teraz nie kropną, pomyślał, dałem im przecież pięćset dolarów.

Nagle przejął go obrzydliwy i obezwładniający strach, bulgocący w żołądku, paraliżujący wiotczące mięśnie, wysuszający gardło i wyciskający gałki oczne z twarzy. To przerażenie było tak silne, że przykucnął i wsparł się dłońmi o wilgotną ziemię. Jezu, mam chyba rozwolnienie – pomyślał.

7.

Zadzwoiłem na boya, zjawił się prawie natychmiast.

- Nazywasz się Escudero?
 - Tak, pan.
 - Obsługujesz zawsze gości z Północy, prawda, bo znasz angielski?
 - Escudero znać angielski. Drugi boy, trzeci boy w „Cosmosie” nie znać angielski, pan.
 - Znałeś pana Murphy?
 - Escudero nie znać pana Murphy. Drugi boy znać. Pan chceć mówić pan Murphy? Pan znać pan Murphy?
 - Nie znam i nie chcę z nim mówić. Wczoraj kierownik hotelu powiedział mi, że tu mieszka taki pan i jeszcze dwóch panów z północnych stanów.
 - Escudero poszukać pan Murphy. Pójść i powiedzieć: pan Castagno chceć mówić pan.
 - Nie rozumiesz mnie, Escudero. Nie znam tego pana i nie chcę z nim mówić. Ale przydałby się jakiś Amerykanin, który dłużej tu mieszka i pomógłby mi zorientować się, gdzie co można załatwić w Ciudad Trujillo. Pomyślałem sobie, że ułatwi mi to któryś z gości hotelowych.
 - Pan nie potrzebować gości. Escudero wszystko wiedzieć, wszystko załatwić. Alvarado mówić Escudero: pan Castagno chceć kopać ziemia, chceć znaleźć stara figura, co mieć jeden tysiąc lat, drugi tysiąc lat, trzeci tysiąc lat. Escudero wszystko załatwić, pan. *Puedo ayurdale en algo?* – chyba celowo zapytał po hiszpańsku – w czym mogę panu pomóc?
 - Zajrzałem do słownika, udając, że nie znam hiszpańskiego.
 - *Gracias mozo de hotel* – powiedziałem. – Czy tak się mówi? Jutro ci powiem, w czym możesz pomóc.
 - *Gracias* być dziękować, *mozo* być boy. Pan Castagno dobrze powiedzieć. Escudero chodzić szukać pan Murphy.
 - Odczep się z tym panem Murphy i wynoś się stąd!
 - *Su servidor, señor* – odparł – jak pan sobie życzy.
- Otworzyłem słownik, udając, że szukam tych słów.

8.

Tapurucuara wracał do Ciudad Trujillo drogą przebitą przez południowy stok olbrzymiego pasma Cordillera Central.

Z tyłu siedziało dwóch milczących mężczyzn, cuchnących tłuszczem rekina. Padlina, pomyślał Tapurucuara, taka sama padlina, jak ten Murphy, jak wszyscy zamordowani i jak wszyscy żyjący. Kolorowe ścierwo ludzkie, mściwe i załgane, z którym każdy demagog może zrobić co chce. Taki Trujillo, brutalny prymityw, który nie mógł się nauczyć alfabetu Morse'a, któremu chytry wujek musiał załatwić u Jankesów posadę przewodnika i stręczyciela. A oni, drżąc ze strachu i uwielbienia, liżą mu buty czołgając się przed nim, prześcigają się w upodlających pochlebstwach! Padlina.

Sięgnął żylastą ręką poza siebie i z załomu wnęki utworzonej między oparciem a siedzeniem wydobyl płaską butelkę whisky. Odkręcił korek, powąchał, przytknął szyjkę do ust. Kiedy odjął butelkę od wilgotnych warg, przyłożył szkło do tarczy świecącego zegarka i skostatował, że wypił połowę. Nie odwracając się, podał butelkę do tyłu; przyjęła ją dłoń wynurzająca się z ciemności. Usłyszał szept i bulgotanie.

Pomyślał, że może dlatego pamięć tak mu dopisuje, ponieważ nie traci nigdy ani chwili, wciąż rozpamiętując fakty ze swego życia i zarazem z historii Dominikany. Całe jego życie związane było jak najściślej z tym, co Republika przeżywała poza szpaltami gazet i debatami parlamentu, a więc z tą prawdziwą historią, ukrytą przed światem, dokonywaną w półmroku, rozważnie przece-dzaną i przesiewaną przez gęste sita racji stanu i oficjalnego załgania. Tapurucuara wiedział, co zostawało na dnie sita, znał cuchnący zapach tego mułu.

...na czym się zatrzymał? Rok 1930, zdobycie władzy... Więc naprzód rewolta Estrella Ureny w Santiago i ustąpienie prezydenta Vasqueza, to było w lutym. W marcu Urena zostaje tymczasowym prezydentem. W kwietniu wycofuje swoją kandydaturę, czerwony *carro de la muerte* zasypuje ulice gradem kul. W maju wycofują się wszyscy kandydaci na prezydenta, w czerwcu ginie

minister finansów i kilkanaście innych osobistości, w lipcu trzeba było sprzątać generała Larancuerta. Tak tworzy się historię. Zawsze ma zapach krwi.

We wrześniu? Coraz ostrzejsze represje – i wreszcie ten wielki numer Trujillo z wykorzystaniem tornado, które szalało nad stolicą Santo Domingo. Wykończono do reszty przeciwników Trujillo i podejrzanych o nieprzychylność do reżimu, składając liczbę ofiar na konto tornada. Oficjalnie podano, że zginęło dwa i pół tysiąca ludzi, i że osiem tysięcy odniosło rany. Ludzi niszczyło się wtedy jak szarańczę i lufa pistoletu Tapurucuary nie zdążyła ostygnąć w tych dniach.

– To było ładne tornado – mówił później Abbez.

Tapurucuary znał tajne raporty: zginęło prawie sześć tysięcy ludzi, w tym pięć tysięcy zamordowano. Na ulicach płonęły stosy trupów oblane benzyną przez *pistoleros* kapitana Paulino; ich ciała nigdy nie zidentyfikowano. To był Wielki Numer „dobroczyńcy ludu i zbawcy ojczyzny”, pana prezydenta Trujillo.

Historia rozpędza się teraz prędzej, wciąż prędzej i coraz obficie tryska krwią. Stu pięćdziesięciu siedmiu członków rodziny Trujillo obejmuje najważniejsze stanowiska w Republice. Drapieżnie i szybko zaczynają się bogacić. Trujillo ogarnia żądza totalnej władzy, rozpiera go pycha wszechmocnego tyrana. Likwiduje wszystkie partie i tworzy jedną – *Partido Dominicano*. Już w pierwszym roku swego panowania zmienia nazwę pięćsetletniego miasta Santo Domingo na Ciudad Trujillo. W trakcie opracowywania zamierzonej odbudowy stolicy po zniszczeniach dokonanych przez tornado Trujillo wyznacza na planach miejsca, w których mają stanąć jego pomniki.

W ogłuszającym dźwięku trąb, w blasku pochodni i ogni sztucznych, przy akompaniamencie armatnich salw – wprowadza się do starożytnej katedry Santo Domingo ciało swojego ojca, koniokrada, i umieszcza je obok prochów Krzysztofa Kolumba. Zaczyna się nowy okres w dziejach świata – obwieszcza dyktator – Era Trujillo.

Zmienia się nazwy miast, gór i rzek. Całe bogactwo Republiki przechodzi na własność rodziny tyrana. Ze ścian zrywa się kalendarze i wyrzuca je na śmietniki, nastął bowiem nowy czas.

Już nie liczy się lat od narodzin żydowskiego mesjasza, Jezusa z Nazaretu, lecz od dnia objęcia władzy przez Rafaela Leonidasa Trujillo. Jest pierwszy rok Ery Trujillo. Ale zegary chodzą jak dawniej i słońce wschodzi i zachodzi jak wtedy, kiedy wielką wyspą rządzą Indianie Tainos Arawakos.

Śmiech wstrząsa ciałem Tapurucuary. Era Trujillo... Ile lat jeszcze potrwa? Rok, dwa, może trzy? Wszystko, co powstaje, musi zniszczyć, wszystko, co się rodzi, zaczyna umierać, i nawet słońce kiedyś zgaśnie. Zmieniono kalendarze, lecz zegary pozostały takie same. Godziny biją jak dawniej i jak dawniej czas jest przekleństwem człowieka, ściga także dyktatorów, ściga ich okrutniej niż innych, przyspiesza śmierć.

Co będzie później? – Ty wiesz – odpowiada sam sobie Tapurucua – ty wiesz, co dzieje się potem. Nowy rząd i nowe kłamstwa. Może likwidacja Partii Dominikańskiej i utworzenie innej, do której także będą musieli należeć wszyscy ministrowie, generałowie, wielcy potentaci, urzędnicy policji i administracji... Już było kilka zamachów na Trujillo i którzy z nich wreszcie się uda. Ileż tych partii zlikwidował Trujillo? Tapurucua nie pamięta dokładnie, to stare dzieje. Powstało jeszcze kilka partii po drugiej wojnie światowej – i wszystkie natychmiast zlikwidowano, razem z ich przywódcami: *Partido Laborista*, *Juventud Democratica*, *Partido Nacional Democratico*...

Trujillo postanawia zostać cezarem Wysp Karaibskich. Oficjalnie lub konspiracyjnie ingeruje w sprawy innych państw tej strefy. W 1933 roku wysłała wojskową ekspedycję do Cayo Confites na Kubie, finansując i organizując powrót obalonego prezydenta Machado. W Organizacji Państw Amerykańskich nawołuje do zbrojnej interwencji w tych krajach, które obalają dyktatorów – w Gwatemali, na Kubie, w Wenezueli. Udziela azylu dyktatorom pozbawionym tronów, organizuje spiski, finansuje zamach na prezydenta Wenezueli. Zdobywa w parlamencie pełnomocnictwa upoważniające go do wypowiedzenia wojny każdemu państwu strefy karaibskiej, na którego terytorium przygotowuje się inwazja przeciw Dominikanie.

...Tapurucua, oszołomiony sporą dawką whisky, zapada w czujną drzemkę. Przed oczyma szybko przebiegają daty i związane z nimi wydarzenia. Myśli jeszcze o 1937 roku, kiedy broń *pistoleros* znowu nie miała kiedy

ostygnać... To był rok tak zwanej dominikanizacji strefy granicznej. Trujillo stwierdził, że na terytorium Republiki znajduje się zbyt wielu robotników i pracowników rolnych z Haiti, „zagrożających wolności, demokracji i czystości rasy”. Wydał rozkaz Gwardii Narodowej: „zabijajcie Haitańczyków”.

Zabijali.

Następnego dnia wygłasza przemówienie: „Uznałem, że Dominikanie będą szczęśliwi, jeśli pozbędą się Haitańczyków. Przeprowadzę to. Wczoraj zabito trzystu Haitańczyków w Banica. To dobry początek. Trzeba działać dalej”.

Gwardziści zamordowali około dwudziestu tysięcy Haitańczyków, siekąc ich po prostu nożami. Tapurucuara widział to – i uśmiechał się, czytając później książkę Krehma: „Główki dzieci roztrzaskiwano o skały, kobiety w ciąży rozpruwano bagnetami”. Czy tylko tyle?

Departament Stanu powołał komisję złożoną z przedstawicieli Stanów, Kuby i Meksyku. Komisja zażądała, by Trujillo wypłacił rządowi Haiti 750 000 dolarów na pomoc dla rodzin pomordowanych i uchodźców. Trujillo zapłacił bez targów. W następnym roku nie kandydował na prezydenta Republiki. Ale pozostał dyktatorem. (Czarny packard wjeżdżał już na przedmieścia Ciudad Trujillo.

– Jedzie pan do domu? – zapytał kierowca.

– Do prezydium – powiedział Tapurucuara.

Kiedy przechodził koło wartowni, zatrzymał go nagle oficer policji.

– Tapurucuara, masz wiadomość.

Podał mu zapieczętowaną kopertę.

– Czy major Paulino jest u siebie?

– Nie ma. Dlatego zostawił wiadomość. Po przeczytaniu proszę ją przy mnie zniszczyć.

„Bez względu na godzinę powrotu z operacji M, zgłoś się natychmiast u pana generała Espallata. Tam otrzymasz dalsze rozkazy. Major M. A. P.”.

9.

Wcześniej zjadłem śniadanie i zszedłem do hallu. Za ladą recepcji siedział, już inny urzędnik. Zapytałem go, czy można wynająć samochód. Oczywiście, muszę tylko wstąpić do garażu i wybrać sobie wóz. Urzędnik dał mi kartkę do kierownika garażu.

Wybrałem sportowego forda. Model był przestarzały, ale motor pracował doskonale. Wyjeżdżając, obejrzałem jaguara Murphy'ego, jeszcze wciąż stał na odkrytym parkingu przed hotelem. Spoglądając na plan miasta, zaznajamiałem się bezpośrednio z jego topografią. Przejechałem obok ambasady USA, znalazłem tawernę „La Habana” i kabaret „Aristos”.

Po godzinie wracałem do hotelu. Wjeżdżając na Plaza Libertador Trujillo, gdzie u zbiegu Avenida Corrientes i San Martin znajdował się „Cosmos”, zauważyłem, że przy kierownicy białego jaguara siedzi mężczyzna w kremowej wiatrówce i słomkowym kapeluszu. Zatrzymałem się u wylotu wąskiej uliczki La Paz. Czekałem nie wyłączając motoru.

Jaguar ostro ruszył do przodu. Postanowiłem jechać za nim, ale kiedy okrążyłem Plaza Libertador Trujillo, między mojego forda a jaguara wjechał nagle wojskowy jeep. Siedziało w nim dwóch oficerów dominikańskiej piechoty. Jeep jechał za białym wozem, utrzymując dystans dziesięciu metrów. Kim jest człowiek za kierownicą jaguara, ten w słomkowym kapeluszu? To było pewne, że nie siedział tam Murphy. Jeszcze na placu, gdy nasze wozy przejeżdżały obok siebie, dostrzegłem ciemną, pokrytą zmarszczkami twarz kierowcy.

Podjeżdżałem przez moment, że biorę udział w emocjonującym pościgu, ale po chwili zauważyłem, jak kierowca w słomkowym kapeluszu odwrócił się, sprawdził, czy ktoś jedzie za nim, a dostrzegłszy oficerów w jeepie, skinął im szybkim wzniesieniem ramienia. Działali w porozumieniu. Oba wozy utrzymywały między sobą wciąż ten sam dystans. Jaguar, mogąc wyciągnąć sto osiemdziesiąt, nie zamierzał uciekać przed jeepem, zdolnym do maksymalnej szybkości stu na godzinę.

Minęliśmy slumsy przedmieść i obskurne szopy magazynów.

Jechaliśmy wzdłuż wybrzeża Morza Karaibskiego w kierunku na San Pedro de Macoris i La Romana. Od strony północnej rozciągały się na rozległej równinie olbrzymie plantacje trzciny cukrowej; za nimi, niewidoczne stąd zresztą, gaje drzew bananowych.

Kiedy wyjechaliśmy z przedmieść Ciudad Trujillo, już mnie nie osłaniały inne samochody. Zwolniłem więc bieg forda, by kierowcy obu poprzedzających mnie wozów nie mogli się zorientować, że są śledzeni. Na poszczególnych odcinkach pełnej wybojów drogi, na którą wjechaliśmy wkrótce, traciłem ich z oczu, lecz to mnie nie martwiło. Domyślałem się bowiem epilogu tej jazdy: człowiek w słomkowym kapeluszu transportuje dokądś jaguara Murphy'ego i wróci do miasta jepeem.

Przemknęło obok parę wozów osobowych i kilka ciężarówek. Nie korzystałem nawet z ich osłony, widząc że zbliżenie się do jeepa zwiększa ryzyko. Na prostym odcinku drogi pozostałem kilka kilometrów w tyle.

Nagle zauważyłem zbliżający się w powrotnej drodze jeep. Przy kierownicy siedział człowiek w słomkowym kapeluszu i kremowej wiatrówce, na tylnym siedzeniu jeden z oficerów piechoty dominikańskiej. Drugiego zostawili zapewne przy jaguarze. Dodałem gazu i minąłem jeepa ze znaczną szybkością, pochyliwszy głowę nad kierownicą. Nie zwrócili na mnie uwagi.

Kiedy odwróciłem się, znikli mi z oczu i jeep skrył się za zakrętem drogi. Jechałem teraz powoli, rozglądając się na wszystkie strony, zaglądając nawet w wyrwy gęstych zarośli trzciny.

Jeszcze dwieście metrów – i zobaczyłem wóz Geralda. Stał na skraju stromego urwiska. Zatrzymałem forda i wysiadłem. Zajrzałem do wnętrza porzuczonego jaguara. Na przednim siedzeniu leżały dwie butelki whisky, jedna pusta, druga do połowy opróżniona; obok rękawiczki z zielonej skóry i oficerska czapka pilota *Compania Dominicana de Aviation*. Nic więcej w wozie nie znalazłem. Oficer, którego tu zostawili, musiał dokądś odejść.

Stanąłem nad krawędzią przepaści, w którą lekko zaokrąglonym klinem wbijały się wody Morza Karaibskiego. Zobaczyłem kilkanaście połyskliwych, granatowych smug przecinających powierzchnię wody. To były rekiny. Całe stado tych krwiożerczych zwierząt kotłowało się przy samym brzegu,

przewalało przez fale i ocierało się o skały, migając jasnym podbrzuszem.

Byłem przekonany, że nie wrzucono tu zwłok Geralda. Zostawili wóz kilka minut temu i gdyby cisnęli rekinom ciało człowieka, musiałbym zauważyć barwę krwi na falach, strzępy odzieży, jakieś szczątki, o które toczyłaby się walka między rekinami. Nic takiego nie widziałem, a groźne ludojady baraszkowały jak delfiny.

Zorientowawszy się, że nikt mnie nie śledzi, ruszyłem w powrotną drogę. Wtedy wyłonił się spoza odległej skały jeden z oficerów, zostawili go na straży. Musiałem jak najszybciej skontaktować się z Athwoodem, który tego dnia rozpoczął swój oficjalny występ w roli przedstawiciela komisji Departamentu Stanu.

10.

Oliveira wszedł do „Café Almendra” i zbliżył się do stolika, przy którym siedział Octavio de la Maza obok nieruchomej i sennej Juany Magnagua.

Powiedział do nadchodzącego kelnera:

– Podwójny ojen.

Kiedy kelner odszedł, Octavio wyjął z kieszeni gazetę „R. L. T. M.”, organ oficjalny Partii Dominikańskiej. Nazwa gazety składała się z czterech liter, stanowiących inicjały dyktatora: Rafael Leonidas Trujillo y Molina, i była zarazem skrótem naczelnej dewizy tej jedynej zresztą mającej tutaj wpływy partii rządzącej: *Rectitud, Libertad, Trabajo. Moralidad* – R. L. T. M.

– Czytałeś? – zapytał Oliveira.

– Nie. Co znalazłeś?

– Chcesz zobaczyć?

– Sam przeczytaj. Juana też chciałaby usłyszeć.

Octavio rozłożył gazetę, otworzył ją na drugiej stronie i złamał we czworo. Położył ją przed sobą na stoliku i czytał półgłosem:

W dniu wczorajszym, w godzinach południowych, zginął tragiczną śmiercią dwudziestotrzyletni pilot Compania Dominicana de Aviation, obywatel

amerykański Gerald Lester Murphy. Zaniepokojone władze Republiki Dominikańskiej wszczęły energiczne śledztwo.

Managua drgnęła. Jej ciężkie powieki uniosły się ukazując lekko poszerzone źrenice. Spojrzała na Octavia.

– Oliveira – powiedział Octavio – to, co usłyszysz, zostaw przy sobie. Wczoraj rozmawiałem z Murphym.

– Myślisz, że żyje?

– Nie wiem.

– Więc po co pakują się w taką ryzykowną historię? Zwariowali?

– Murphy chciał wyjechać. Pytał mnie, czy może wymówić kontrakt. Koniecznie chciał wyjechać.

– Mnie także o tym wspominał.

– Kiedy?

– Tydzień temu po raz ostatni.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś? Wiesz chyba, co do ciebie należy.

– Octavio, nie bądź ważny. Nie zameldowałem, bo wytłumaczyłem Murphy'emu, że to nie ma sensu.

– I z takim przekonaniem tłumaczyłeś, że później zgłosił się do mnie.

– I ty... Czy Murphy złożył oficjalne podanie?

– Nie. Zapytał mnie tylko, czy może zerwać kontrakt albo przynajmniej wziąć urlop na ślub z Harriet.

– A ty?

– Powiedziałem mu, że jest wolnym człowiekiem, obywatelem amerykańskim, i nikt mu nie może zabronić...

– Octavio, przecież wiedziałeś, że to bujda. Nie mógł stąd wyjechać.

– Gdybym powiedział, że już nigdy nie wydostanie się z Republiki, wówczas mógł uciec. Zapłacilibyśmy obaj za jego ucieczkę.

– Byłeś z tym u Abbeza.

– Tak. Żałuj teraz, że mnie nie uprzedziłeś. Po takim meldunku zwolniłby z więzienia twój ojciec i siostrę. Abbez czekał na jakiś wyraźny dowód twojej lojalności.

Oliveira odwrócił wzrok. Spojrzał w niebo, później na ulicę, sięgnął do

ojen. Powiedział, obracając w palcach nóżkę kieliszka:

- Nie mówmy o tym. Nie lubię sypać, Octavio.
- To nie jest problem sypania, ale wierności.
- Żeby kosztem innych ratować swoich bliskich? – zapytała Managua. –

Julio nie umie tyle zapłacić.

- Ty się nie wtrącaj – powiedział de la Maza.

– Nie mówmy o tym – powtórzył Oliveira. – Przypuszczałem, że ze śmiercią Geralda zechcą zaczekać aż do przyjazdu Harriet. Mieli się pobrać. Można było wymyślić bajeczkę, że Murphy ją uwiódł, obiecał małżeństwo i później porzucił dziewczynę. Mogliby napisać: – „Claire, doprowadzona do rozpacz, odwiedziła niewiernego kochanka w jego mieszkaniu i poderżnęła mu gardło jego własną brzytwą, zabraną uprzednio z łazienki” – recytował Oliveira, naśladując styl brukowej prasy. – „Na widok krwi buchającej z gardła nieszczęśliwa dziewczyna dostała ataku szału i wyskoczyła z okna hotelu, ponosząc śmierć na miejscu”.

- Masz za dużą gębę, Julio – powiedział de la Maza.

- Ale mój pomysł jest lepszy od waszego.

- Masz gębę dwa razy większą, niż powinienś mieć.

- Pójdiesz z tym do Abbeza?

- Żartowałem.

– Octavio, czemu udajesz oburzonego? – zapytała Managua. – I tak muszę wymyślić jakąś bajeczkę o śmierci Geralda. Zawsze wymyślają jakieś bajeczki.

- Ty się nie wtrącaj – powiedział de la Maza.

Oliveira zapytał:

- Co znaczy ten komunikat o jego śmierci?

– Otrzymaliśmy wiadomość, że Harriet nie przyleci do Trujillo. Rzekomo zachorowała w powrotnej drodze, w Buenos Aires. Wysłaliśmy tam człowieka do „Also Plaza Hotel”. Chyba Murphy także wybierał się właśnie do Buenos, ale dla zmylenia nas wysłał depeszę do Fort Lauderdale na Florydzie. Tam także pojechał nasz człowiek, na wszelki wypadek. Harriet wie chyba tyle, co Murphy; on o wszystkim jej powiedział. Tak nie może być. Galindez jest jeszcze u nas.

Oliveira przechylił do tyłu głowę i wlał do gardła zawartość kieliszka.

- Jesteś zdenerwowany? – zapytał de la Maza.
 - Pomyślałem o tym zdaniu z gazety: „Zaniepokojone władze Republiki wszczęły energiczne śledztwo”.
 - No i co z tego? Muszą tak pisać.
 - Departament Stanu USA zażąda ujawnienia nazwiska mordercy. Wybuchnie burza. Zobaczysz.
 - I co wtedy?
- Oliveira pochylił się nad stolikiem i cicho powiedział:
- Wtedy znajdą jakiegoś mordercę, muszą go znaleźć. Wiesz, gdzie go będą szukać?
- Juana Managua przymknęła oczy.
- Octavio – powiedziała – Julio się nie myli.
- De la Maza zbladł. I tak skłonił się nad stolikiem, jak przed chwilą Oliveira. Jeszcze moment i dotknąłby czołem jego twarzy.
- Nie mylisz się, Julio – powiedział.
 - Boisz się, prawda? – zapytał szeptem Oliveira. – Boisz się?
 - O ciebie, Julio. Ja należę do wtajemniczonych, mnie nie ruszą. Jeszcze teraz na pewno nie.

11.

Ambasada USA oddała do dyspozycji Daniela Athwooda obszerny apartament; w jednym z pokoiów kongresman urządził swój gabinet.

Przyjął mnie natychmiast. Opowiedziałem mu, co widziałem w Zatoce Rekinów – tak bowiem nazywało się miejsce, gdzie człowiek w słomkowym kapeluszu pozostawił jaguara.

Podąłem mu numer jeepa i wozu Murphy'ego i wszystkie inne szczegóły tego wydarzenia. Athwood nie ukrywał zdumienia i podziwu. Kilkakrotnie powtórzył: – Cóż bym począł bez pana!

Wyjaśniłem mu, że wpadłem na to dzięki przypadkowi, ale on nie wierzył w przypadki. Bo skąd mogłem wiedzieć – pytał – że jaguar należy do Murphy'ego, jak się o tym dowiedziałem, od kogo? I skąd mogłem wiedzieć, o której

godzinie zabiorą jaguara sprzed „Cosmosu”, i jak mogłem wyśledzić, dokąd jechali? Dlaczego mnie nie zauważyli?

Ponieważ Athwood za chwilę miał przyjąć oficjalnego przedstawiciela generała Espaillata, który na zlecenie Trujillo przejął sprawę zniknięcia Murphy'ego, uzgodniliśmy kilka wariantów naszego stanowiska wobec tej interpretacji, jaką przedstawi mu ów wysłannik.

Minęło pół godziny od chwili mego przyścia, kiedy sekretarz Athwooda wszedł do gabinetu i położył na biurku wizytówkę: *dr Maria Pedro de Tapurucuara – sędzia*. Nie mógł mnie tu zobaczyć.

– Mój sekretarz włączył w przyległym pokoju głośnik, który jest połączony z mikrofonem na biurku – powiedział Athwood. – Chciałbym, żeby pan słyszał naszą rozmowę. Nagramy ją na magnetofonie.

Udałem się do tego pokoju i usiadłem przy małym odbiorniku. Słyszałem, jak witali się. Wymienili kilka uprzejmych i obojętnych zdań. Po głosie poznałem, że sędzia Tapurucuara jest starym człowiekiem. Tapurucuara pytał, czy pan Athwood jadł już słynne *portico*, ciasto z kukurydzą, czy pił *comiteco*, wódkę pędzoną z agawy, czy zna smak *tortillas* i *barbacos*, wieprzowiny pieczonej w ziemi, czy grał kiedyś w ulubioną grę Dominikańczyków, *siete y medio* nie mniej emocjonującą niż poker, w której przegrywa się odzież, broń, całe rancho, żony i córki. Słyszałem uprzejme odpowiedzi Athwooda, w których starał się okazać zainteresowanie dla miejscowych potraw i zwyczajów. I wreszcie, nie wytrzymując dłużej tej gry, zapytał:

– Czy pan sędzia przyniósł odpowiedź na interwencję ambasady w sprawie zaginięcia obywatela Stanów, pilota Geralda Lestera Murphy'ego?

Tapurucuara: „Czy pan przybył do nas specjalnie w celu wyjaśnienia tej drobnej sprawy, nie mającej chyba żadnego znaczenia dla przyjaznych stosunków łączących rząd Dominikany z Waszyngtonem? Czy to możliwe, że Kongres potężnego państwa powołał aż specjalną komisję, stawiając na jej czele tak wybitnego obywatela, jakim jest mister Athwood, wszystko tylko po to, by szukać zabłąkanej mrówki, niegodnej uwagi rządu USA?”

Athwood: „Życie każdego obywatela USA jest tak samo godne uwagi rządu, jak problemy o największym znaczeniu wewnętrznym i międzynarodowym. Kongres oczekuje odpowiedzi od rządu i władz śledczych Republiki Dominikańskiej, która powinna wyjaśnić przyczynę śmierci naszego obywatela”.

Tapurucuara: „Mister Athwood, takie wyjaśnienie nie nastęca najmniejszych trudności władzom Republiki. Mamy sprawną policję, która zmobilizowała najzdolniejszych ludzi dla wyjaśnienia błahej sprawy, wnoszącej tak wiele niepokoju w nasze oficjalne stosunki, nie najlepsze zresztą w ostatnim czasie”.

Athwood: „Zgadzam się z panem i pragnę go zapewnić, że w interesie Kongresu i Organizacji Państw Amerykańskich leży jak najszybsze wyjaśnienie tego niepokojącego wydarzenia”.

Tapurucuara: „Mister Athwood, w Stanach Zjednoczonych popełnia się rocznie osiemnaście tysięcy samobójstw; tak podaje oficjalnie rządowe biuro statystyczne. Czy pragnąłby pan przekonać skromnego sędziego i władze, które delegowały mnie w tej tak żenującej sprawie, że spośród osiemnastu tysięcy samobójstw właśnie to jedno interesuje Departament Stanu? Czy w sprawie innych samobójstw, tych pozostałych siedemnastu tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu, także powołuje się komisje? Z przykrością i ubolewaniem muszę powiedzieć, że uważamy taki krok za próbę pogorszenia stosunków...”

Athwood: „Chce pan powiedzieć, że młody, zdolny pilot, cieszący się doskonałym zdrowiem i świetnym samopoczuciem, w przededniu ślubu i w kilka dni po telegraficznym zawiadomieniu matki o swoim przyjeździe, postanowił nagle popełnić samobójstwo?”

Tapurucuara: „I popełnił. Ale pan, mister Athwood, żąda ode mnie niemożliwości. Nie wiem, dlaczego pan Murphy tak postanowił, nie wiem, co go do tego skłoniło. Z polecenia pana generała Espaillata relacjonuję tylko fakt, nagi fakt. Wyjaśnienie pobudek psychologicznych przekracza nasze możliwości oraz nasze zobowiązania wobec przedstawicielstwa Departamentu Stanu”.

Athwood: „W takim wypadku ambasador, ja i mój sekretarz pragniemy obejrzeć ciało samobójcy i zarządzić przewiezienie jego zwłok do Stanów”.

Tapurucuara: „Pragnęliśmy to wszystko zorganizować na nasz koszt. Ale niestety, niestety! Jak wykazało wstępne dochodzenie, pan Murphy, w stanie mocno nietrzeźwym i prawdopodobnie pod wpływem silnej depresji, jaką wywołuje u młodych ludzi nadmiar alkoholu, udał się szosą w stronę tak zwanej Zatoki Rekinów. Zatrzymał swój wóz tuż nad jej krawędzią. Możemy tam natychmiast pojechać. Prawdopodobnie, jeżeli Departamentowi Stanu nie odpowiada wersja samobójstwa, wpadł do zatoki, wychyliwszy się z otwartego wozu. W wozie znaleźliśmy butelki po whisky, jego czapkę...”

– I jego zielone rękawiczki – przerwał mu Athwood. – Wiem o tym. Wiem także; kto i o której godzinie kierował wozem pana Murphy'ego, białym jaguarem. Wiem, że ten człowiek wrócił do Ciudad Trujillo wojskowym jeepem, którym uprzednio jechali dwaj oficerowie... Wiem także...

Słuchając odpowiedzi Athwooda, wyobrażałem sobie minę Tapurucuary.

Istotnie, jak mi później powiedział Athwood, zaskoczenie było piorunujące, jakkolwiek w posiekanej zmarszczkami twarzy Tapurucuary nie drgnął ani jeden mięsień.

Po chwili usłyszałem ochryply nieco głos Tapurucuary:

– To doprawdy zdumiewające. Czy mógłby mi pan podać źródło tak rewelacyjnych informacji?

Athwood: „Czy mógłby mi pan podać nazwisko tego bajkopisarza, który wymyślił tę fantastyczną i, niech mi pan wybaczy, niedorzeczną historię o samobójstwie Murphy'ego i jego bezprzykładnej trosce o żołądki rekinów?”

Tapurucuara: „Jestem tylko bezstronnym człowiekiem, który miał panu potworzyć to, co powiedział pan generał Espaillat. Pan pozwoli, że przekażę mu jak najdokładniej pańską odpowiedź”.

Athwood: „Proszę powiedzieć panu generałowi, że prawdopodobnie fałszywie go poinformowano, i że to dziwne nieporozumienie uważamy za niebyłe”.

Tapurucuara: „Wspomniałem, że to wynik wstępnego dochodzenia. Może ktoś z policji, pragnąc gorliwie spełnić życzenie pana generała, zbyt pochopnie podał niezbyt dokładnie sprawdzone fakty...”

Athwood: „I ja tak przypuszczam, panie sędzio. Proszę więc o dokładnie sprawdzone fakty”.

Słyszałem stłumione dywanem kroki – to Athwood odprowadzał Tapurucuara do drzwi. Przede mną stał magnetofon, na którym nagrano ich rozmowę. Siedzący obok sekretarz, nazywał się Gordon, zatrzymał taśmę.

Wiedziałem, że wymyślą teraz nową wersję, nie mniej kłamliwą. Wiedziałem, że już nigdy nie dowiemy się od nich prawdy o śmierci Murphy'ego, i że tę prawdę musimy znaleźć sami.

Athwood przypuszczał, że może Murphy żyje. Bo mogli przecież – tak twierdził – pokazać nam jego ciało ze skronią przestrzeloną niby to samobójczą kulą. Ukrywanie ciała musi się wydać bardziej podejrzane i chyba z tym liczyła się policja dominikańska.

Jednak Athwood nie znał tych książek i publikacji, które wypożyczył mi kiedyś kongresman Flynn. Athwood nie wiedział, jak zabija policja dominikańska i ile w tym znajduje radości. William Krehm pisał o Trujillo, że jego system rządzenia „...polega na przekształcaniu zbrodni w sztukę... Trujillo obmyśla krwawe zbrodnie i rozkoszuje się nimi z istic florentyńską finezją”. Jego policja była już tak znudzona zabijaniem, że musiała to robić jak najwymyślniej, przy maksymalnym współudziale zwyrodniałej wyobraźni.

Należało teraz uprzedzić następne posunięcie dominikańskiej policji i przygotować kontrę przeciw nowej, wymyślonej przez nich wersji. W tej sprawie współdziałało również z Athwoodem kilku agentów wywiadu, których nie znałem, i których nie chciano mi przedstawić. Rzekomo nie wiedzieli nic o sobie i nie znali się; każdy miał odrębne kontakty. Szefem tej grupy był van Oppens. Musiałem działać na własną rękę i wciąż jeszcze bez pomocy Moniki Gonzales. Beesley przestrzegł mnie, by z tego kontaktu korzystać tylko w

ostateczności, i że najlepiej uczynię, nie ujawniając się przed nikim. Jedynie Athwood znał moją rolę, ale nie miałem wątpliwości co do jego dyskrecji.

12.

Beesley niecierpliwie oczekiwał w Nowym Jorku wiadomości od Athwooda.

Wynn, za pośrednictwem agentów w Miami, przekazał mu relację o tym, co Murphy, powiedział Harriet o porwaniu Galindeza. Brak było najważniejszej wiadomości, mianowicie nazwy miejscowości, z której phoenix wywiózł Galindeza. Przesłuchano obsługę kilkunastu lotnisk, ale nie natrafiono na żaden ślad.

Beesley wiedział, że znalezienie tego lotniska może zadecydować o zdemaskowaniu i rozbiciu nowojorskiej agencji dominikańskiego wywiadu, czy też, jak przypuszczał, głównej filii tajnego sprzysiężenia „Białej Róży”, grupującej agentów Trujillo, Batisty i nawet generała Franco, a finansowanego przez będących u władzy i upadłych dyktatorów. Właśnie *pistoleros* z „Białej Róży”, której centrala znajdowała się w Ciudad Trujillo, dokonywali kapturowych mordów i tropili politycznych uchodźców.

Beesley był przekonany, że ambulans wjeżdżający na lotnisko, ambulans, z którego wyniesiono na noszach człowieka okrytego prześcieradłem – tak Murphy opowiadał Harriet – musiał zainteresować obsługę każdego małego lotniska, na którym taka scena rozgrywała się na pewno po raz pierwszy. Może ktoś z lotniska zapisał numer ambulansu? I pamięta twarze, kierunek jazdy?

Beesley przypuszczał, że Wynn nie zapomni o tym, i że zaryzykuje własną głowę, byle tylko odnaleźć niewiadomy odcinek (o którym kiedyś prowadzili nazbyt fachową dysputę z powoływaniem się na teorie i autorytety z dziedziny kryminologii) – odcinek metro Columbus Circle – lotnisko „X”. Znali już odcinek uniwersytet Columbia – Columbus Circle i odcinek Lantana – Ciudad Trujillo, przy czym bez znaczenia dla sprawy był odcinek lotnisko „X” – Lantana. Trzeba było odszukać lotnisko „X” i stamtąd dopiero można wrócić,

odtworząc wydarzenia w kierunku odwrotnym, do stacji metra; podobnie zresztą jak od kraksy phoenixa na lotnisku General Andrews wrócili do Linden. Może to, co mówiła Harriet o umyślnym rozbiciu wozu Oswalda Thoena, naprowadzi na ślad?

Beesley pojechał do Linden.

Szef biura wynajmu samolotów był małowówny, opryskliwy i niechętnie udzielał informacji.

– No, był tu taki, Murphy, owszem, był ten Murphy i miał prawo wynająć maszynę. Dał kaucję, podpisał co trzeba. Co powiedział, że dokąd leci? Do Chattanooga w Tennessee, tak powiedział. – Zwrócił się do młodej kobiety o silnie utlenionych włosach: – Lano, dziecko, powiedz temu natrętnemu panu z policji...

– Nie jestem z policji – wtrącił Beesley.

– No, powiedz temu panu, który nie jest z policji – podjął szef – co Murphy powiedział, że dokąd leci...

Lana, żując gumę, powoli poruszała szczękami. Nie płakałby, gdyby te szczęki skleiły się na zawsze.

– Powiedział, że leci do Chattanooga i przysięgał się, że wróci, proszę pana. Chciał mnie zabrać na potańcówkę, ale mu odmówiłam, bo jakbym się zgodziła, to poleciałby dopiero następnego dnia, albo nawet za kilka dni, ale ja mu powiedziałam, że jestem już zajęta i dlatego zaraz poleciał.

To go dobiło.

– Czy mówił pani, po co tam leci?

– Mówił, że jestem jak Lolita i że on dawniej lubił tylko kobiety pod trzydziestkę, ale od kiedy mnie zobaczył, to powiedział, że teraz przeczuci się na młodsze, takie jak ja, około dwudziestu, bo te, co jeszcze nie mają dwadzieścia, to powiedział, że są nudne, i że nic nie potrafią, a on woli sam się uczyć, niż dawać lekcje. Miał chyba rację, no nie, proszę pana?

– I ty – odezwał się szef – musiałaś z nim gadać o takich rzeczach? Ty, Lana, nigdy nie wiesz, komu masz być wdzięczna za to wszystko, co się dla ciebie zrobiło. Jakbyś mu się podobała, jak mówisz, to on wróciłby tym samolotem. Ale nie wrócił, przysłał jakiegoś kolegę i ten oddał nam kwity i odebrał kaucję. Musiałem potrącić, bo coś reperowali w podwoziu.

– Jak on wyglądał?
– Lana, dziecko, ty go widziałaś.
– Był bardzo przystojny i namawiał mnie na potańcówkę. Szefa wtedy nie było. Nasz mechanik zbadał podwozie i powiedział, że była tam reperacja, i ja potarciłam sama z kaucji, ile się należało, ale podwozie jest teraz lepsze, niż było dawniej. Szef tak powiedział.

– Jak on wyglądał? – powtórzył Beesley.
– Był dla mnie za niski – powiedziała Lana – miał szerokie ramiona i niebieskie oczy, jak dziecko, ale nie widziałam jego włosów, bo nie zdjął czapki. Pan Murphy nosił zielony hełm i zielone rękawiczki...

Beesley rozmawiał także z mechanikiem, który miał czoło wąskie na dwa palce. Pytał o Murphy'ego i o człowieka, który wrócił wypożyczonym samolotem, ale mechanik nie powiedział więcej niż Lana.

– A ty – Beesley zapytał piegowatego chłopca – widziałeś coś?
– Jak nie mam nic do roboty, zawsze lubię się na coś patrzeć – zaseplenił chłopak. – Casem stanę sobie i patzę i potem dopiero, jak się zapytam, która godzina, to wiem, że stałem sobie i patsyłem jakie dwie albo i tsy godziny.

– I co widziałeś?

Chłopak spojrzał na mechanika.

– To, co mówił pan Harry.

– I nic więcej?

– Pan Murphy szukał maszyny z bagażnikiem i wybrał phoenixa, chociaż mamy dwie lepsze turystyczne maszyny. Pan Murphy miał takie pasy i zakładał te pasy w bagażniku, a ja sobie stałem i patsyłem, bo ja lubię tak stanąć sobie i patrzeć i patrzeć. Po co mu te pasy?

Lana odprowadziła Beesleya aż na skraj łąki służącej za pole startowe. Tam Beesley zostawił swój wóz.

– Zostaje pan do jutra, panie inspektorze?

– Dlaczego pani pyta?

– Pomyślałam, że pójdziemy wieczorem gdzieś potańczyć. Nie chciałam mówić w biurze, bo szef nie lubi, jak ktoś koło mnie się kręci. On jest strasznie zazdrosny, ma już sześćdziesiąt lat, ale wygląda na sto dwadzieścia, prawda?

Czytał pan taką książkę o Lolicie...

– Nie mogę się z panią umówić, bo żona każe mnie śledzić prywatnym detektywom i nie pozwala ruszyć się ani na krok bez jej wiedzy... Do widzenia, bardzo mi przykro, ale naprawdę nie mogę – powiedział Beesley.

13.

W ciągu kilku następnych dni kupowałem nożyki, pędzelki i łopatki do oczyszczania przyszlých znalezisk profesora Algernona de Castel-franco. Nabyłem dwie lupy i mikroskop, zwoje linek, bełę woskowanego papieru, specjalny klej do spajania kamieni i glinianych skorup, zamówiłem trociny i szarpaną bawełnę. Dla upozorowania powagi tych przygotowań zabierałem na zakupy Escudera i bajałem, ile wlezie, na temat archeologii. Już po trzech dniach administracja oraz personel hotelu, podobnie jak Escudero – na czym zależało mi najbardziej – nie ukrywali swej pewności, że jestem istotnie asystentem wielkiego archeologa i znawcą prekolumbijskiej cywilizacji.

W recepcji zamawiałem katalogi odpowiednich wydawnictw, zanudzałem urzędników pytaniami o okolice, w których natrafiono na ślady starożytnych kultur. Może słyszeli o czymś od swoich krewnych, może ktoś w ich rodzinnej wiosce, może... Byłem natrętny.

Ich zainteresowanie moimi przygotowaniami zaczęło się ograniczać do unikania mnie. Odsyłali mnie do muzeów i instytutów archeologicznych, lecz tłumaczyłem im, że pociąga mnie odkrywanie wykopalisk w miejscach nie znanych jeszcze specjalistom, i że mój sukces przyniesie zarazem chwałę ich Republice.

Zabezpieczywszy sobie spokój w hotelu, mogłem zająć się sprawą Murphy'ego.

Wstąpiłem do publicznej rozmównicy i zatelefonowałem do Athwooda. Poprosił, żebym przyszedł do ambasady.

Kiedy się tam zjawiłem, Athwood powiedział, że miał pilne sprawy do mnie, lecz w myśl naszego porozumienia czekał na mój telefon. Był u niego

Tapurucuara i Athwoodowi zależało, żebym przesłuchał taśmę, na której magnetofon utrwalił ich ostatnią rozmowę. U uruchomiliśmy magnetofon.

„Panie sędzio – mówił Athwood – Departament Stanu jest bardzo cierpliwy, ale pod naciskiem prasy domaga się jak najszybciej wiarygodnej i zgodnej z faktami informacji na temat Murphy'ego. Ostrzeżono mnie, że w wypadku nieotrzymania takiej informacji, Departament poda do wiadomości publicznej pewne fakty dotyczące przyczyn tego zabójstwa, fakty uzyskane nieoficjalnie i wyjaśniające porwanie de Galindeza. Mniej więcej tej treści pismo przesłałem dzisiaj rano do generała Espailata”.

Tapurucuara: „Tak jest, pan generał zakomunikował mi o tym i jest gotów do udzielenia wszelkich wyjaśnień. Jednak nim to nastąpi, polecił mi, bym dyskretnie porozumiał się z panem w sprawie, która, jak się nam wydaje, jest bardziej drażliwa dla Departamentu Stanu niż dla władz Republiki Dominikańskiej”.

Athwood: „Czy mam to rozumieć jako próbę, proszę mi wybaczyć słowo, zastraszenia? Departament nie poczuwa się do winy, jeśli mowa o zabójstwie Murphy'ego. Pertraktowanie w sprawie jakichś tam nieporozumień w polityce zagranicznej przekracza kompetencje komisji Departamentu i moje jako jej przedstawiciela”.

Tapurucuara: „Powie panu szczerze, panie Athwood, że czułem się osobiście urażony w czasie naszej pierwszej rozmowy, nawet miałem żal do pana generała Espailata, kiedy polecił mi przekazać wersję, że się tak wyrażę, zastępczą. Kiedy pan zakwestionował ją, w głębi serca zgodziłem się z panem. Przyznaję się dziś do tej emocjonalnej niełojalności wobec pana generała Espailata”.

Athwood: „Niezmiernie mnie to cieszy, panie sędzio. Taka bezstronność wzbudza szacunek i zaufanie”.

Tapurucuara: „Dziękuję panu. Dzisiaj jednak jestem całkowicie po stronie pana generała i solidaryzuję się z jego ówczesnym posunięciem, świadczącym o niezmiernej delikatności wobec zaginionego obywatela Stanów i wobec pana jako przedstawiciela komisji Departamentu... Niestety”.

Athwood: „Nie rozumiem pana”.

Tapurucuara: „Pan generał Espailat prosi o przyjęcie pierwszej wersji z przyczyn, które, mam nadzieję, uzna pań za całkowicie usprawiedliwione. W przeciwnym razie grożą pewne komplikacje oraz nader przykra kompromitacja obywatela USA, o którego panowie walczą tak nieustępliwie i z godną podziwu troską”.

Athwood: „Proszę mówić, panie sędzio. Jestem przygotowany na przyjęcie tego ciosu”.

Tapurucuara: „Zaiste, to dotkliwy cios. Otóż pilot Gerald Lester Murphy zginął w burdzie pijackiej, którą wszczął ze swoim przyjacielem, pilotem linii dominikańskich. Zginął od ciosu noża, ponieważ nagabywał naszego pilota natrętnymi propozycjami homoseksualnymi, i to od dłuższego czasu”.

Athwood: „Chce pan powiedzieć”...

Tapurucuara: „Murphy był, zbrojcem, czy też, mówiąc delikatnie, człowiekiem o wynaturzonych skłonnościach seksualnych... Tak więc, jeżeli nie przyjmiemy poprzedniej wersji o jego śmierci, uprzejmie zaproponowanej przez pana generała Espailata, wówczas będziemy zmuszeni do opublikowania faktów, z którymi pana senatora przed chwilą zaznajomiłem”.

Chwila przerwy. Usłyszałem kartkowanie jakiejś książki czy raczej notesu, w którym Athwood wpisywał informacje uzyskane ode mnie i od agentów van Oppensa. Zabrział jego spokojny głos:

– „Nazwisko tego pilota”?

Tapurucuara: „W tej chwili nie przypominam sobie dokładnie. Razem z panem Murphy był pilotem w załodze samolotu boeing 707”.

Athwood: „Gdzie możemy obejrzeć zwłoki pana Murphy'ego, ewentualnie skąd możemy je ekshumować”?

Tapurucuara: „Morderca odmawia zeznań na ten temat. Obawiamy się, że zwłoki są zmasakrowane i morderca dlatego milczy”.

Athwood: „Jeszcze dzisiaj pragniemy porozmawiać z zabójcą pana Murphy'ego. Oczywiście w więzieniu, w jego celi, by nie sprawiać panom kłopotu”.

Tapurucuara: „To na razie niemożliwe. Toczy się surowe śledztwo, a przepisy naszego kraju nie dopuszczają osób postronnych do osobnika znajdującego się jeszcze w śledztwie.

Athwood: „Pan żartuje, panie sędzio. Mamy przecież kontakt z ludźmi, którzy ustalili te przepisy, i którzy mogą je w każdej chwili uchylić dla dobra sprawy, nie czyniąc najmniejszej ujemy ustawodawstwu Republiki i działając raczej dla dobra jej autorytetu, a więc dla dobra prestiżu organów śledczych”.

Tapurucuara: „Muszę porozumieć się w tej sprawie z panem generałem. Przykro mi niezmiernie, ale sam nie mogę decydować z uwagi na moje zbyt skromne stanowisko”.

Athwood: „Proszę się porozumieć z panem generałem. Jeszcze dzisiaj oczekujemy odpowiedzi, którą musimy przekazać do Waszyngtonu”.

Tapurucuara: „Przypominam, że te wszystkie zabiegi nie mają znaczenia dla naszej propozycji. Obojętne, co powie panu zabójca Murphy'ego. Fakt pozostaje faktem: Murphy był homoseksualistą i narkomanem. Ponieważ w interesie panów leży ukrycie tego kompromitującego faktu, dajmy spokój całej sprawie, rozmowom z więźniem i tak dalej. I przyjmijmy wersję pożarcia pana Murphy'ego przez rekiny”.

Athwood: „Panie Tapurucuara, wydaje mi się, że istotnie mam do czynienia z rekinami... Nie mówię oczywiście o panu generale ani o panu. Tę niesłychaną wiadomość, jaką pan mi przekazał, muszę potraktować jako nie mniej fantastyczny wymysł niż ten, którym poczęstował mnie pan W trakcie naszej pierwszej rozmowy. Dzisiaj znowu odczuje pan w sercu głęboki żal do pana generała Espaillata. (Słychać szelest kartek notesu). Pilot, z którym latał pan Murphy, nazywa się Octavio de la Maza. Jest kapitanem”.

Tapurucuara: „Tak, chyba tak brzmiało nazwisko człowieka, którego Murphy nagabywał”...

Athwood: „Pilot ten, w godzinach popołudniowych, przebywał ze swoją znajomą i jeszcze jednym człowiekiem, członkiem załogi pana Murphy'ego, w »Cafe Almendra«. U kelnera zamawiał hiszpański absynt, *ojen*”.

Tapurucuara: „Imponuje mi działalność pańskich informatorów. Istotnie, Octavio de la Maza był wczoraj w tej kawiarni, co nie przeszkodziło, że wieczorem został aresztowany”.

Athwood: „Nie powie mi pan jednak, że w chwilę później pożarły go rekiny. Mamy prawo do rozmawiania z ludźmi, z którymi blisko żył pan Murphy. Dalej: Murphy nie był homoseksualistą. Powiedziałbym, że wręcz odwrotnie... Rozmawialiśmy w Nowym Jorku z pewną panią, Martą N. którą Murphy znał tuż przed swoim wyjazdem do Republiki. Pani ta uważa Murphy'ego za najlepszego kochanka, jakiego w ogóle znała w swym dość intensywnym życiu seksualnym. Murphy, po wylądowaniu w Trujillo, spędził pierwszą noc (chwila ryzykownego wahania w głosie Athwooda, nadrobionego, zdaje się, przeglądaniem notesu)... Tak, z jakąś tam dziewczyną, którą poznał... na ulicy czy też w lokalu. Murphy był kilkakrotnie w miejscowych domach publicznych. Murphy zakochał się w stewardesie *Pan Am*, pani Harriet Claire, i w związku z zamierzonym ślubem postanowił zerwać kontrakt z dominikańskimi liniami. Panie sędzio, tak nie wygląda życiorys homoseksualisty. To życiorys mężczyzny zmysłowego, pełnego temperamentu i nawet skłonnego do rozpusty”.

Tapurucuara: „Panie senatorze, doskonale rozumiem pańskie obiekcje”.

Athwood: „Proszę je przekazać panu generałowi i poprosić, by nie trudił się oficjalnym przekazywaniem tak niezwyklej wersji śmierci naszego obywatela. Jego matka i narzeczona przesłały depesze do prezydenta USA z prośbą o interwencję. O tym proszę zawiadomić pana generała Espailata”.

14.

Tapurucuara pomyślał: mają dobrego informatora. Człowieka takiego, jakim sam jestem, niepozornego, nie rzucającego się w oczy, a jednak mającego wpływ na bieg doniosłych wydarzeń. On sam, Tapurucuara, mógł

odegrać znaczną, niekiedy decydującą rolę w zatargach między całymi państwami. – Ty wiesz – mruknął do siebie.

Przeszedł na przeciwległą stronę ulicy i spojrzął na gmach ambasady. Pomyślał: już kilka razy przegraliście z Tapurucuara, wszyscy przegrywają z Tapurucuara. Tym razem także musicie przegrać. Waszych ludzi już rozpracowaliśmy i wiemy, że żaden z nich nie uprzedził nas w tej historii z rekinami ani w informowaniu o znajomych Murphy'ego, ani o tym, że ten głupi de la Maza pił hiszpański absynt *ojen* w „Café Almendra”. Ja go znajduję, tego spryciarza. Dzisiaj trzeba przeczesać wszystkie hotele, domy noclegowe i pensjonaty. Jutro poszukamy dalej i zobaczymy, kto wygra: czy stary i chytry jak świat Tapurucuara, czy przemądrzały Jankes, który ma zamiar skompromitować w jego osobie policję Republiki. I na to przyjdzie czas, ale jeszcze nie teraz, jeszcze musi popłynąć trochę krwi.

Może popłynie jej tyle, ile w dniach słynnej masakry Haitańczyków? To był rok 1937 i wówczas Tapurucuara podsunął prezydentowi Trujillo, by w 1938 roku nie kandydował na głowę państwa. Odgrywał niekiedy rolę cichego, poufnego doradcy Trujillo. „Trzeba stworzyć pozory demokracji, mówił mu wtedy, pan generalissimus musi zrozumieć, że pozory więcej znaczą niż fakty. Pan generalissimus powinien sam wysunąć kandydaturę któregoś z członków rodziny lub na razie byłoby lepiej kogoś postronnego, ale godnego całkowitego zaufania. To przecież nie przeszkadza, by nadal sprawował pan całą władzę jako przewodniczący *Partido Dominicano* oraz szef sztabu armii. To wywoła dobre wrażenie”.

– Co myślisz o Jacinto Peynado? – zapytał Trujillo.

– Oto człowiek, na którego głosowałbym z uwagi na płynące stąd korzyści dla pana generalissimusa, i tym samym dla Republiki.

I Tapurucuara oddaje swój głos na Jacinto Peynado.

„Cały naród” – tak huczy propaganda – wybiera go na prezydenta, zresztą na liście kandydatów znajduje się tylko to jedno nazwisko. Jacinto Peynado znany był z dwóch świadczeń na rzecz Republiki: jedenastoletniego syna Trujillo mianował generałem, a dziewięcioletniego pułkownikiem. Drugi dowód

jego miłości do ojczyzny to wzniesienie w centrum stolicy olbrzymiego neonu z napisem „BÓG i TRUJILLO”.

Prezydentem został więc Peynado. Władzę dyktatorską nadal sprawował Trujillo.

W 1942 roku Trujillo znowu rozmawiał z Tapurucuara. Wszystkie dalsze posunięcia dyktatora były już ustalone, jednak Trujillo pragnął dowiedzieć się czegoś „o narodzie i jego opinii”.

Tapurucuara powiedział:

– Kilka ryzykownych, trudnych, przykrych, ale i koniecznych posunięć, na które pan generalissimus musiał się zdobyć w ostatnich pięciu latach, w okresie kadencji Peynado, spadły na jego konto i odebrały mu resztę popularności. Moim zdaniem, Jacinto Peynado może iść w odставку. Nadszedł czas, by pan generalissimus powrócił na tron prezydenta Republiki. Republika odżyje.

Tak się też stało. W 1942 roku, w dwunastym roku Ery Trujillo, Tapurucuara wrzucił do urny wyborczej kartkę z jednym nazwiskiem: Rafael Leonidas Trujillo y Molina. I znowu „cały naród entuzjastycznie głosował” na Trujillo. Tak samo stało się po upływie następnych pięciu lat, w 1947 roku. Tym razem trzeba było przypomnieć dyktatorowi, że już czas na wybory; Trujillo nieomal zapomniał o tej drobnej formalności...

W 1952 roku, po kilku niepowodzeniach w polityce zagranicznej i wewnętrznej, Trujillo rezygnuje wspaniałomyślnie ze swojej kandydatury na rzecz brata, generała Hektora Trujillo y Molina. I znowu „cały naród” oddaje głosy na jedyne kandydata. Sytuacja, w której można sprawować dyktatorskie rządy pod osłoną nazwiska prezydenta, członka świętej rodziny Trujillo, jest zbyt ponętna, by generalissimus nie chciał z niej skorzystać przy następnych wyborach, w 1957 roku. Tak więc Tapurucuara po raz drugi oddaje swój głos na Hektora Trujillo.

Ktoregoś dnia Tapurucuara składał raport z likwidacji kilku wybitnych generałów; raport przyjął osobiście generalissimus.

W obecności generała Espaillata i pułkownika Abbeza zapytał Tapurucuare:

– Jak myślisz, czy słusznie postąpiłem ponawiając kandydaturę pana Hektora Trujillo?

– Nie wydaje mi się – odparł Tapurucuara – by generalissimus umiał w ogóle postąpić niesłusznie.

Odezwał się Garcia Abbez:

– Pana generalissimusa interesuje, co mówią ludzie z ulicy. Interesuje nas opinia motłochu. Nasi wrogowie mogą być tylko wtedy groźni, kiedy uzyskają poparcie hołoty. Co mówi hołota?

– Pan orientuje się, panie pułkowniku – powiedział Tapurucuara – że cały naród wie, komu zawdzięcza, od narodzin Ery Trujillo aż po dzień dzisiejszy, swoje wszystkie wielkie osiągnięcia. Naród wie – zwrócił się do Trujillo – że jego zbawicielem i jedynym dobroczyńcą, stale zatroskanym o sprawy Republiki, jest tylko jeden człowiek: generalissimus doktor Rafael Trujillo.

– Chcesz powiedzieć – odezwał się Trujillo – że bez względu na to, kogo parlament uzna za prezydenta, naród nie zapomina, że rządzą tylko ja jeden, a oni są podstawionymi marionetkami?

– Zetknąłem się również z taką opinią – odparł Tapurucuara. – Dlatego moim zdaniem, jeżeli znowu miałyby kandydować pan Hektor Trujillo, byłoby lepiej, gdyby pan generalissimus sam objął urząd prezydenta.

– A więc w tym rzecz, by to nie był nikt z mojej rodziny – powiedział Trujillo. – Mam nowego kandydata: Joaquin Balaguer. Przygotujcie mi o nim szczegółowe informacje.

Tapurucuara kłamał, kłamał świadomie i pochlebnie Liczył na to, że Era Trujillo nie może trwać dłużej niż trzydzieści kilka lat. Już nie stawiał na Trujillo, wiedział, co się święci. Tym razem CIA mogła współdziałać z zamachowcami.

Nie ma znaczenia, że ten żalosny dwuizbowy parlament Republiki, wybierany obecnie zgodnie z konstytucją z 1947 roku co pięć lat, i składający się – o czym nie wspominała konstytucja – jedynie z kandydatów i krewnych Trujillo, nadał mu 11 listopada 1936 roku tytuł: *Benefactor de la Patria, salvador del pueblo*. Dobroczyńca ojczyzny i zbawca ludu – był znienawidzony przez lud.

W 1938 roku, po rzezi Haitańczyków, na wniosek Hektora Trujillo parlament uchwalił przyznanie Rafaelowi Trujillo nowego tytułu: „Pierwszy

i Największy z Szefów Państwa Dominikańskiego”. Prasa pisała:

Wielki Zbawiciel Ameryki, Ojciec Odrodzonej Ojczyzny, Przewodnik Świata i Pierwszy Wróg Komunizmu na Kontynencie Amerykańskim, Geniusz Pokoju i Naczelny Protektor Dominikańskiej Klasy Pracującej, generalissimus doktor Rafael Trujillo, został obdarzony przez parlament Republiki w pełni zasłużonym zaszczytnym tytułem... itd.

Tapurucuara wiedział, że od tego czasu coś się zmieniło: zachwiał się tron dyktatora. Są ludzie, którzy potrafią coś zdziałać, i dzięki nim znowu poleje się krew. Trujillo naraził się rządowi wielu państw, bojkotuje go cała strefa karaibska, wpadł w konflikt z Departamentem Stanu. Bogaci właściciele ziemscy i generałowie żyją w niełasce, byli współpracownicy Trujillo, obawiając się donosów i kapryśnego gniewu dyktatora, wybrali emigrację. Któregoś dnia mogą wystawić swoją armię rebeliantów przeciwko wojskom rządowym, potrafią także wygłaszać przemówienia o wolności, demokracji i szczęściu narodu, takie przemówienia, jakie wygłaszał Trujillo. I znowu zabrzmią dwie *Marsylianki*...

Tapurucuara wiedział także, że Trujillo czeka na łaskawe tornado; to najlepsza okazja, żeby do listy ofiar wścieklej burzy dopisać kilka tysięcy nazwisk tych, którzy padną ofiarą wściekłości dyktatora. Można znaleźć inne wyjście: sprowokować spisek, strajk, manifestację albo małą inwazję. Ostatnio Trujillo nie chce z tego korzystać. Mówi, że nawet taka lokalna, przez nich zorganizowana inwazja może się przerodzić w większą, która wymknie się spod ich kontroli. Trujillo boi się, zresztą bał się zawsze; dyktatorzy najlepiej wiedzą, co znaczy strach. Strach dyktatora nawarstwia się, ogromnieje z każdym rokiem, a obecnie z każdym tygodniem.

Tapurucuara zna pewnych ludzi, których mógł zaprowadzić na stryczek. Ale będą oni potrzebni, niech żyją, niech działają, bo dzięki nim znowu poleje się krew potomków tych konkwistadorów, którzy ongiś kazali sformować półdzikich i wygłodzonych psów rozszarpywać Indian.

Były już desanty morskie i lotnicze, organizowane przez grupy emigrantów,

ale prawie zawsze wpadały w sieci policji, zdumiewająco dobrze poinformowanej o liczebności i uzbrojeniu, miejscu i czasie lądowania. Był ostatnio desant czterystu doskonale uzbrojonych uchodźców politycznych, ale i ten zakończył się klęską emigracji. Ci działający z zewnątrz niewiele mają do powiedzenia, na nich nie można liczyć. Ogień musi zapłonąć tutaj, wewnątrz Republiki, i wtedy jej rzeki znowu będą czerwone od krwi, a po trupach będzie można przechodzić jak po mostach – z jednego brzegu na drugi. Może zginie Trujillo i władzę przejmie ktoś inny, ale i ten nie obejdzie się bez Tapurucuary. Batista przejął na Kubie najlepszych ludzi z policji obalonego przez siebie dyktatora Machado. Tylko Castro nie przejął ludzi Batisty...

Tapurucua przypominał sobie 1954 rok, twarze i nazwiska spiskowców, którzy myśleli podobnie jak on: interwencje emigracji nie przynoszą spodziewanego rezultatu, zamach stanu musi nastąpić w samej Republice i powinien się zacząć od zgładzenia Trujillo.

W 1954 roku spiskowcy postanowili zabić Trujillo. Wyznaczono datę zamachu: 21 stycznia. Trzy dni wcześniej policja spenetrowała domy podejrzanych, zorganizowała olbrzymie obławy. W zdeprawowanym i przerażonym społeczeństwie szpiclowanie staje się religią. Aresztowano prawie trzy tysiące osób. Akcja represji była tak rozległa i głośna, że znalazła swe nikłe odbicie nawet w miejscowej prasie. Tapurucua przeczytał wówczas, że aresztowano „123 osoby podejrzane o udział w spisku na życie największego człowieka naszej epoki”.

Sytuacja ówczesna stwarzała okazję do poprowadzenia własnej gry, poróżnienia Trujillo z Kościołem. Tapurucua przedstawił pułkownikowi Abbezowi dowody, że w spisku brał udział pewien student seminarium duchownego. Abbez wydał nakaz aresztowania, nie informując o tym władz kościelnych, co było pogwałceniem konkordatu zawartego z Episkopatem w 1954 roku.

Aresztowanie studenta, jak i bestialski sposób traktowania wielu innych uwięzionych katolików podejrzanych o udział w spisku, wywołało oburzenie i protest Episkopatu. 31 stycznia księża odczytali z ambon kościołów dominikańskich list pasterski, który kończył się słowami:

Prosimy Boga, aby rodzina Trujillo nigdy nie musiała znosić tak dotkliwych cierpień, jakie w naszym kraju dotknęły serca wielu ojców rodzin, dzieci, matek i żon.

Była to najgwałtowniejsza krytyka Trujillo od dnia objęcia przez niego rządów. Trujillo podniósł rękawicę. Do Watykanu wysłał ministra spraw zagranicznych z poleceniem, by przedłożył papieżowi żądanie odwołania monsignore Zaniniego, nuncjusza apostolskiego, którego oskarżał o inspirowanie listu pasterskiego.

I tu poniósł pierwszą klęskę: nie uzyskał zadośćuczynienia od Jana XXIII. Tak, pomyślał Tapurucuara, walka z partiami opozycyjnymi, z komunistami i socjalistami była łatwiejsza niż z Kościołem, bowiem Kościół miał ambony, mógł głośno mówić, zresztą tylko raz z tego skorzystał. Kościoła nie mógł rozwiązać nawet generalissimus obwieszczający światu, że jest pierwszym wrogiem komunizmu. Trujillo przestraszył się: nie tak dawno uderzył w kościołach Argentyny dzwon żałobny dla Perona, a w kościołach Wenezueli dzwon pogrzebowy dla rządów Jimeneza.

Policja ratowała honor urażonego dyktatora. Pod jej ochroną zorganizowano 21 lutego „żywiolową manifestację dwustu tysięcy obywateli dominikańskich, którzy wyrazili generalissimusowi swe uwielbienie i niezłomną lojalność”. To był ciężki dzień dla Tapurucuary. Dziesiątki tysięcy ludzi na ulicach Ciudad Trujillo z transparentami i olbrzymimi portretami wodza – i nad nim ryk megafonów, gwizdy, krzyki, nawoływania.

W tym tłumie tysiące, uzbrojonych funkcjonariuszy tajnej policji i on, Tapurucuara, skromny, prawie niewidoczny agent, Wielki Nikt, który mógł każdego posłać na śmierć.

Trujillo, pod ostrzałem zagranicznej prasy, postanowił zorganizować „legalną opozycję”. Sam podpisał listy wysłane do osiemdziesięciu wybitnych obywateli, wzywając ich, w imię dobra Republiki, do utworzenia partii opozycyjnej, której gwarantuje całkowite bezpieczeństwo i swobodę wyrażania swoich poglądów.

Przemawia w tych dniach:

„Stwierdzam, że w naszym szczęśliwym kraju jest miejsce dla różnych

organizacji i wielu poglądów na skomplikowane sprawy rządzenia państwem. Dla dobra narodu dźwigam ciężar władzy od wielu lat. Krytyka parlamentu, rządu i ministerstw i w ogóle wszelkiej władzy jest nam niezbędnie potrzebna dla prawidłowego funkcjonowania aparatu państwowego. Uważam, wbrew pogłoskom szerzonym przez wrogów ludu, że im surowsza jest ta krytyka, tym więcej przyniesie korzyści. Ja, największy z szefów państwa dominikańskiego, postanowiłem powołać partię opozycyjną, której istnienie jest zgodne z moim bezgranicznym umiłowaniem wolności i demokracji. Naród dominikański wie, że tym ideałom poświęciłem moje heroiczne życie. Dlatego skierowałem listy do osiemdziesięciu wybitnych obywateli Republiki...” – itd.

Tapurucuara uśmiechnął się drwiąco. Upłynął tydzień, miesiąc, rok, ale nie nadeszła ani jedna odpowiedź. Kilku z zaproszonych przez Trujillo do zorganizowania opozycji, przerażonych zaufaniem dyktatora, uciekło za granicę. Nie chcieli śpiewać drugiej *Marsylianki*...

Na czarnej liście Tapurucuary, na liście ludzi przeznaczonych do likwidacji przy sprzyjającej okazji, znaleźli się dwaj biskupi: Thomas Reily i Francesco Ramirez. Może jeszcze dzisiejszej nocy trąba powietrzna zawyje nad Ciudad Trujillo, zerwie kilka dachów, może uśmierci kilku ludzi i wówczas Tapurucuara dorzuci dwa trupy w biskupich fioletach... Tymczasem prasa Trujillo atakuje Thomasa Reily, który powiedział, że „Republika przeżywa kryzys gospodarczy”, a Ramireza, za złożenie oświadczeń sprzecznych z prawdą”. Nie podaje się tylko w gazetach, jakie to były oświadczenia i o jaką prawdę chodziło. Ale czy w ogóle istnieje prawda?

Rzucone kiedyś kości, myślał Tapurucuara, mają coraz mniej oczek. Nie będzie spokoju w Republice. Nadciąga groźne tornado, ale Trujillo nie wie skąd i z której strony. Czuje się to w atmosferze miasta, to weszło już w skład powietrza, łączy się z tlenem i wytworzy mieszaninę piorunującą...

...doszedł już do przydiurni policji.

Nie meldując się sekretarzowi, wszedł prosto do gabinetu Abbeza. Nim przebył przestrzeń oddzielającą go od biurka pułkownika, powiedział:

- Nie chwyciło.
- Dlaczego?
- Athwood ma doskonałego informatora. Nową wersję tak samo storpedował, jak poprzednią.
- Nie ustąpią? Nie pójdą na kompromis?
- Athwood nie zgadza się na żadne pertraktacje. Przyjechał tu z ramienia Departamentu Stanu jako szef komisji powołanej dla wyświeatlenia okoliczności śmierci Murphy'ego. Nic więcej go nie obchodzi. Dzisiaj musi przekazać do Waszyngtonu informację w tej sprawie.
- Ładnie. Co pan proponuje?
- Uziemić ich informatora.
- Jest jakiś ślad? Osoba?
- Tylko te informacje. Ale ja się tym zajmę.
- Zbyt szybko rozszyfrowali historię z rekinami. Ty przecież prowadziłeś jaguara i pół godziny po powrocie do Trujillo zgłosiłeś się u Athwooda, który był już uprzedzony. Ktoś musiał jechać za wami i w kilka minut po zawieszeniu wozu Murphy'ego nad Zatoką Rekinów obejrzał to i wrócił wcześniej lub tuż po was.
- Nie jechał za nami żaden podejrzany wóz. Kilkanaście różnych samochodów minęło nas w drodze, ale żaden z nich nie jechał za nami.
- Ładnie, Tapurucuara. Jednak cudów nie ma.
- Są, lecz się skończą, pułkowniku. Znajdę ich informatora i uziemię go. Musimy to wykonać szybko.
- Ładnie. Tylko że Athwood zrobi nowe piekło.
- Nie wchodzi w rachubę. Ten ktoś przebywa tu nielegalnie, to ktoś nowy. Tylko ktoś nowy mógł przejechać obok naszego jeepa, wszystkich innych poznałbym natychmiast. Jeżeli przybył tu nielegalnie, może zginąć nielegalnie. Dyplomacja nigdy nie interweniuje w takich wypadkach; obie strony siedzą cicho, obie są niewinne.
- Abbez rozpiął górne guziki bluzy, uchylił szeroko kołnierz zwilżony potem.
- Tapurucuara – zapytał – co porabia Octavio de la Maza? Już jest tam? – kciukiem wskazał ziemię.
- Tak, jak pan pułkownik sobie życzył: żaden z naszych ludzi nie tknął

go, nie było aresztowania ani strzelania. Rano wezwano go na lotnisko. Po drodze wjechał na jego taksówkę wracający z lotniska tankowiec *Compania Dominicana de Aviation*. Kierowca i de la Maza ponieśli śmierć na miejscu. To smutne. Ale robota czysta.

– Ładnie, A co przygotowaliście dla prasy? To ważne, bo jednak nie zmienimy wobec Athwooda ostatniej wersji śmierci Murphy'ego i będziemy się tego trzymać. Dlatego nikt nie może dowiedzieć się o śmierci de la Mazy w drodze na lotnisko. Dla nas i dla nich – powiesił się w więzieniu. Od dziecka przejawiał skłonność do samobójstwa.

– Teraz jest mało nieszczęśliwych wypadków i przy okazji trzeba było ten jakoś wykorzystać. Major Paulino podał dla prasy, że w wypadku samochodowym zginął kierowca i jego pasażer Alberto Como w drodze z lotniska.

– Co to za historia?

– Młody student, który w czasie ferii skontaktował się w Porto Rico z emigrantem Ramonem Castillo, założycielem *Partido Revolutionary Dominicana*. Wrócił z Porto Rico wczoraj i musieliśmy go zlikwidować. Napisze się tylko w gazetach, że taksówka, w której zginął Como, jechała z lotniska, a nie na lotnisko. I odwróci się bieg tankowca. Takie operacje nie wymagają najmniejszego wysiłku... Panie pułkowniku, Athwood czeka na odpowiedź.

– Niech czeka. Zaraz zadzwonię do generała i powiem ci, z czym masz pójść do Athwooda... Tapurucuara, czy nie czujesz się czasem zmęczony tym wszystkim?

– Trzeba unikać kobiet, jeść mało mięsa, pić dużo mleka, spać siedem godzin i mieć pistolet, który się nie zacina. Wtedy człowiek nie czuje się zmęczony.

– Ładnie. Ale to zabijanie? Historia z de la Mazą? De la Maza oddał nam duże usługi i widzisz, jak to się skończyło. Czy nic nie czujesz przy tej mokrej robocie, nie masz jakichś zastrzeżeń, wątpliwości, wstrętu do siebie samego? Wiesz, te różne rzeczy... Albo ten biedny student Como!

– Nie rozumiem tego pytania, pułkowniku. Nie wiem, o co panu chodzi. Niektórych trzeba zabijać, żeby milczeli.

– Jesteśmy z ciebie zadowoleni, Tapurucuara.

15.

Zatrzymałem taśmę, na której Gordon nagrał rozmowę Athwooda z Tapurucuara.

– Zrobiliśmy także – powiedział Athwood – zgodnie z tym, co pan sobie życzył, fotografię Tapurucuary. Proszę – podała mi kilka zdjęć.

Przyjrzałem się posiekanej zmarszczkami twarzy, indiańskiemu nosowi i okrągłym oczom; na głowie miał słomkowy kapelusz. To była ta sama twarz, którą dostrzegłem na Plaza Libertado Trujillo za kierownicą jaguara.

– Dziękuję – powiedziałem oddając zdjęcia – to ma dla mnie ogromne znaczenie i wiele wyjaśnia. Czy udało się tak sfotografować, jak zaproponowałem?

– Miał pan doskonały pomysł. Nasz człowiek przytknął do szybki wizjera umieszczonego w drzwiach ambasady obiektyw aparatu fotograficznego. Kiedy Tapurucuara wchodził na schody o umówionej ze mną godzinie, zrobiono te zdjęcia. Sędzia niczego nie zauważył.

– Czy pan wie, że Tapurucuara nie jest sędzią? Przejrzałem książkę telefoniczną i adresową, sprawdziłem także listę sędziów Dominikany.

– Sądzi pan, że to fałszywe nazwisko?

– Znalazłem takie nazwisko, zresztą dość osobliwe nawet w krajach tej strefy. Byłem pod drzwiami jego mieszkania. Na wizytówce przypiętej do futryny, pod jego nazwiskiem, jest jedno słowo: „emeryt”. Przypuszczam, że Tapurucuara jest jednym z wybitniejszych agentów tajnej policji Trujillo. To nasz przeciwnik numer jeden.

– Dziękuję za ostrzeżenie. Czy pan czuje się bezpieczny w tym mieście bezprawia?

– Nigdy nie czuję się bezpieczny. Od kiedy cała nasza nauka wszystkie swoje wysiłki koncentruje na demaskowaniu człowieka i ograniczaniu jego wolności, nawet socjologia, i od kiedy coraz bardziej uzależnia go od techniki, ułatwia masowe niszczenie ludzi i coraz silniejszą penetrację w nasze życie osobiste, człowiek nie może się czuć bezpieczny. Mój epizod dominikański

jest tylko epizodem i raczej ułatwia mi zapomnienie o powszechnym zagrożeniu.

Zabrzączał jeden z telefonów stojących na biurku.

– Czy przy telefonie mister Athwood? – zapytał kobiecy głos. – Będzie z panem rozmawiać pan generał Espailat. Proszę mówić.

Athwood trzykrotnie nacisnął dzwonek leżący na biurku, dając sekretarzowi sygnał do włączenia magnetofonu, znajdującego się w przyległym pokoju. Podał mi drugą słuchawkę; jeden z telefonów wyjściowych na miejski kabel był sprzężony z drugim aparatem.

Usłyszałem głos generała Espailata.

– Witam pana, senatorze, serdecznie witam. Jak się pan u nasz czuje?

– Doskonale, gdyby nie trudność z uzyskaniem wiarygodnej informacji o śmierci naszego obywatela.

– Wiem, wiem – odparł generał – i dla nas to jest niezmiernie przykre.

– Powiedziałem pańskiemu przedstawicielowi, panie generale, że pragniemy porozmawiać z kapitanem de la Mazą, oskarżonym o zamordowanie Murphy'ego.

– Zgadza się, oczywiście. Ale jest tak, jak przypuszczaliśmy, panie senatorze. Pan Murphy był homoseksualistą. Znaleźliśmy świadka, jest nim były boy pana Murphy'ego, czarny chłopiec, Escudero. Możemy pana senatora natychmiast z nim skontaktować. Escudero twierdzi, że pan Murphy sprowadzał kilkakrotnie do swego pokoju młodych chłopców, i że nawet jego zniewolił, okupując milczenie dwudziestoma pesos. Przypuszczam, że komisja zechce przesłuchać tego świadka, który jest najlepiej poinformowany. Myślę, że pan senator wybierze jednak pierwszą wersję śmierci.

– Panie generale – odparł Athwood – może załatwimy pierwszą sprawę, wracając następnie do tej, o której generał Wspomniał. To znaczy...

– Po co, jeżeli uzgadniamy, że obie strony trzymają się pierwszej wersji, wygodnej dla obu zainteresowanych stron.

– Nie uzgadniamy tego. Chcielibyśmy porozmawiać z panem Octaviem de la Maza.

– Czy nie powiedziałem jeszcze panu senatorowi, że Octavio de la Maza popełnił w celi samobójstwo?

– Nie. Zaskoczył mnie pan...

Sięgnąłem po leżący na stole bloczek i napisałem na nim kilka słów. Podsunąłem to Athwoodowi. Athwood przeczytał.

– Panie generale – powiedział – może pan pozwoli, że podam słuchawkę mojemu sekretarzowi, który zajmuje się w naszej misji stroną formalną przeprowadzanego w tej sprawie śledztwa.

– Proszę.

– Słucham, panie generale – powiedziałem.

Generał Espaillet, nie wiedząc, że już znam treść jego rozmowy z Athwoodem, powtórzył wszystko od początku. Zapytałem:

– Czy pozwoli pan obejrzeć zwłoki samobójcy?

– Nie przypuszczam, żeby znalazły się jakieś poważniejsze przeszkody... Zresztą musiałbym się porozumieć, to nie jest mój resort.

– Pan Athwood – powiedziałem – chciałby uprzedzić pana generała, że posiadamy zdjęcie kapitana Octavia de la Mazy. Chodzi nam więc o sprawdzenie identyczności...

Generał był zaniepokojony i zdenerwowany.

– No, nie wiem, nie wiem, jak to będzie... Jeżeli zwłoki denata nie są jeszcze spalone w krematorium, sprawa jest do załatwienia. Ale może są spalone.

Trafiłem na twardą sztukę, lecz moja fałszywa karta ze zdjęciem jednak chwyciła. Postanowiłem rzucić jeszcze jedną kartę.

– Panie generale – powiedziałem – nie mam zamiaru podawać w wątpliwość tego, co usłyszałem, jednak, o ile mi wiadomo, cela, w której przebywał Octavio de la Maza, jak zresztą wszystkie cele w Carcel Municipal, nie mają w ścianie żadnych, haków ani występów, na których można by się powiesić. Wiem także, że więźniowie nie mają dostępu do okien i głęboko wpuszczonych krat, prawie wyrzuconych na zewnątrz murów, i stale obserwowanych przez straż. A ponieważ drzwi nie mają klamek...

– Panie sekretarzu – powiedział z drwiącym i nieco urągliwym naciskiem generał – nie wiem, nigdy nie siedziałem w tym więzieniu. Ciekaw jestem, czy pan je widział i kto poinformował pana tak dokładnie. Podaję panu wiadomość, jaką przekazał mi naczelnik więzienia. Może on w każdej chwili potwierdzić to osobiście. Tyle.

– Nie wątpię, panie generale. Jest tylko jeszcze jedna sprawa, której Departament Stanu nie przyjmie do wiadomości. Otóż w myśl przepisów więzniom odbiera się nie tylko paski od spodni i krawaty, ale nawet sznurowadła. Na czym więc powiesił się zrozpaczony kapitan?

– Zdaje się – rzucił zirytowany generał – że ci idioci zostawili mu szelki. Tak słyszałem, o ile sobie przypominam.

– A o co je zaczepił? Te szelki?

– W tej chwili nie mogę panu powiedzieć.

Dobra, pomyślałem, rzucimy jeszcze trzecią kartę.

– Panie generale – powiedziałem – jest mi niezmiernie przykro, ale zrodziła się w tej chwili trzecia wątpliwość. Otóż, według zebranych przez nas informacji, kapitan de la Maza, podobnie jak większość pilotów, nigdy nie nosił szelek...

– To zaczyna być irytujące – przerwał gniewnie generał. – Nie mam panu za złe, wiem, że musi pan przedłożyć sprawozdanie w Departamencie jako ekspert komisji do spraw śledczych. Jednak zdobywanie tego rodzaju informacji nielegalną drogą...

Przerwałem mu niezbyt grzecznie.

– Panie generale, pragniemy otrzymywać wszelkie informacje jedynie drogą legalną. Jednak ich nie otrzymujemy. Na początek poczęstowano nas bajeczką o rekinach; pan generał wie, że to była bajeczka. Chcemy zobaczyć zwłoki Murphy'ego – dowiadujemy się, że ich nie ma. Zniknęły. Chcemy rozmawiać z aresztowanym, rzekomym zabójcą pana Murphy'ego – i dowiadujemy się, że w trakcie śledztwa jest to niemożliwe. Kiedy okazuje się, że mamy do tego prawo, dowiadujemy się, że popełnił samobójstwo. Kiedy chcemy zobaczyć jego zwłoki i porównać je z fotografią samobójcy – dowiadujemy się, że już spalono je w krematorium, omijając kostnicę więzienną. Wiemy, że Murphy był niepoprawnym kobieciarzem, a wy robicie z niego homoseksualistę.

Panie generale, zobowiązano nas do rzetelnego wykonania naszych zadań, mnie i pana Athwooda. I nie możemy z tego zrezygnować, mimo całej naszej prywatnej sympatii dla pana, generale, i szacunku dla generalissimusa Trujillo.

– Czy może pan poprosić pana senatora?

Athwood, przysłuchujący się tej rozmowie, skinął głową. Uśmiechał się.

– Słucham, panie generale – powiedział.

Generał mówił:

– Pański sekretarz jest zbyt zdenerwowany, żebym mógł z nim rozmawiać. Sprawa o tyle jest w porządku, o ile przestanie budzić jakiegokolwiek zastrzeżenia, ze strony komisji.

– Jak dotychczas, budzi zastrzeżenia od początku do końca.

– Wiem, wczuвам się w sytuację panów. Ale chciałem zakomunikować, panie senatorze, że Octavio de la Maza, najbliższy przyjaciel i powiernik pana Murphy'ego, zarazem jego zabójca, przed popełnieniem samobójstwa pozostawił list, w którym przyznaje się do morderstwa, nie ujawniając jednak miejsca, w którym ukrył zwłoki. Zmobilizowaliśmy całą naszą policję i wszystkie psy gończe, by odkryć to miejsce.

– Przypuszczam, że pan generał przekaże nam ów list?

– Oczywiście. I osobiście pragnę pana zapewnić, że władze Republiki dołożą wszelkich starań, żeby ostatecznie wyjaśnić tę tak przykrą dla nas sprawę.

– Będziemy ogromnie zobowiązani – powiedział Athwood.

– Wydaje mi się – odparł generał – że po przeczytaniu tego listu i po przesłuchaniu boya Escudero przyjmą panowie z zadowoleniem pierwszą wersję: o zatonięciu w Zatoce Rekinów. Tyle. Do widzenia, dziękuję.

Generał Espailat odłożył słuchawkę.

Daniel Athwood i ja uczyniliśmy to samo. I chyba pomyśleliśmy o tym samym.

– Teraz nas załatwią. Mogą się upierać, że list samobójcy z przyznaniem się do morderstwa jest wystarczającym dowodem. Odpowiedzialność za zabicie i ukrywanie ciała Murphy'ego obciąża całkowicie nieżyjącego mordercę. Po kilku naiwnych pociągnięciach przejawili wreszcie diabelski spryt. Mogli go zmusić do napisania takiego listu. Czy widzi pan jakieś wyjście?

– Musimy szybko skontaktować się z jeszcze jednym członkiem załogi, z którym, jak mi wiadomo, Murphy zaprzyjaźnił się już pierwszej nocy, jaką spędził w Ciudad Trujillo.

– Mamy zamiar opublikować, że Murphy zginął tylko dlatego, ponieważ był świadkiem porwania profesora Galindeza. Z tym wystąpi w Kongresie senator Charles Porter. I zażąda wyjaśnień.

– Proszę się wstrzymać do jutra. Skorzystam z pewnego kontaktu, jaki mi przekazał major Beesley. Jeżeli Tapurucuara przyniesie list samobójcy, po przeczytaniu proszę wstać z tym listem i powiedzieć panu sędziemu, że w przyległym pokoju stenotypistka zrobi odpis. Musi tam ktoś czekać z aparatem fotograficznym i zrobić kilka bardzo dobrych fotokopii. Jeżeli Tapurucuara zechce zostawić oryginał listu, tym lepiej. Przymiarkuję jednak, że odmówi. Ale proszę się nie upierać przy tym, fotokopia nam wystarczy.

16.

Tapurucuara stał przed Athwoodem z rozjaśnioną twarzą, wiedząc, że jego uśmiech wyraża więcej złośliwej satysfakcji niż serdeczności. Myślał o tym, czy jego mocodawcy skompromitują się również tym razem. To go bawiło, nie dbał o dobrą opinię swoich szefów. Drażnił go jedynie z powodu zawodowej ambicji spryt jego przeciwnika, który pracował dla Athwooda. Spenetrował wszystkie hotele, ale w żadnym nie znalazł człowieka, o którym można było powiedzieć, że pracuje dla Athwooda. Kilku z członków komisji, prawdopodobnie agentów wywiadu, mieszkało na terenie ambasady. Krążyli po mieście, myszkowali w różnych miejscach, ale od biedy można było zorientować się jako tako w tym, co robili. Pozostał jeszcze sekretarz Athwooda, ten, który rozmawiał z generałem Espaillatem. On mógł być owym niebezpiecznym przeciwnikiem Tapurucuary.

– Jeszcze nigdy w tak pogodnym nastroju nie odwiedzałem pana, senatorze – powiedział Tapurucuara. – Mam ten list, nareszcie, bo wie pan, w pewnym

momencie obawialiśmy się, że zginął z akt. Ale taki bezsporny dowód, rozwiązujący całkowicie to przykre nieporozumienie, nie może u nas zginąć.

– Proszę, niech pan siada, panie sędzio – odparł Athwood. – Witam pana w równie pogodnym nastroju.

Tapurucuara usiadł, ale wciąż nie wyciągał z kieszeni listu.

– Po zaznajomieniu się z treścią tego wstrząsającego pisma odczułem niezmierną ulgę – powiedział. – Ten list wyjaśnia nawet, gdzie jest ciało Murphy'ego.

– To zaczyna być interesujące, panie sędzio. Lecz pan generał Espaillet nie wspomniał o tak ważnym szczególe, kiedy mówił o liście de la Mazy.

– Naczelnik Carcel Municipal telefonicznie powiadomił pana generała o treści listu, nie przywiązując wagi do tego szczegółu, nie znalazł bowiem pańskich zainteresowań. Dla niego był ważny jeden fakt, mianowicie przyznanie się denata do morderstwa, wokół którego wytworzyła się tak dwuznaczna atmosfera.

– Nie brałem chyba udziału w wytworzeniu takiej atmosfery.

– Muszę się przyznać, że to poniekąd moja wina. *Mea culpa*, jak mówią chrześcijanie.

– Pan jest katolikiem?

– Nie mogę być katolikiem, jeżeli od pięciuset lat nie ma już bogów. Byli kiedyś na tej ziemi, władali piorunami i wichrami, sprawili, że ziemia stała się żyzna i że drzewa zrzucały nam owoce; dawali deszcz lub sprowadzali suszę, błogosławili nasieniu mężczyzn i przynosili kobietom, dobry poród. Rozmawialiśmy z naszymi bogami, panie sędzio. Ale Kolumb przywiózł nam hiszpańskich katolików i ci zabili naszych bogów, a przy swej wielkiej gorliwości zabili nawet swojego boga, z którym tu przyptynęli. – Któregoś dnia – ciągnął Tapurucuara – stanęły na tej ziemi dwie wielkie armie i obie, rozpruwając sobie brzuchy i rozbijając czaszki, śpiewały *Marsyliankę*. Wtedy umarł ostatni bóg. Od tego czasu słowa już nic nie znaczą, a jeden człowiek nigdy nie wie naprawdę, o czym mówi drugi człowiek. Od pięciuset lat nie ma już bogów, nigdzie, ani tutaj, ani na żadnej innej ziemi.

– I niektóre słowa nic nie znaczą, z tym można się zgodzić, panie sędzio. O tym mówi chociażby przykład sprawy pana Murphy'ego.

– Zwierzyłem się panu z moich prywatnych poglądów. Nasz kraj jest krajem katolickim...

– Widziałem ten napis: „Bóg i Trujillo”.

– Trujillo i Bóg, tak – powiedział Tapurucuara. – Przetawiałem szyk tego zdania, ponieważ teraz ludzie zastępują bogów. Jeżeli generalissimus pragnie załatwić pewne sprawy dotyczące Kościoła i wiary, nie szuka kontaktów z Bogiem, ale z papieżem.

Tapurucuara poruszył kilkakrotnie odwróconą na zewnątrz dłoń, zawieszoną nad biurkiem.

– Pan senator nie pyta Boga o śmierć Murphy'ego, ale rozmawia o tym ze skromnym sędzią... Sprawa jest o tyle przykra dla nas, że straciliśmy doskonałego pilota. Octavio de la Maza był znakomitym, pilotem, nadto szlachetnym człowiekiem, pełnym wielkich cnót obywatelskich, o czym świadczy pełne pokory przyznanie się do zbrodni spowodowanej zresztą przez pana Murphy'ego.

– Wspomniał pan o znalezieniu ciała...

– De la Maza wyjaśnił wszystko. Nagabywany i atakowany przez Murphy'ego, w obronie własnej musiał go zabić. Nie wiedząc, co zrobić z jego zwłokami, zawiózł je do Zatoki Rekinów i wrzucił pomiędzy kłębiące się cielska tych żarłocznych potworów.

– W takim razie musiał jechać wozem Murphy'ego. Jeżeli zostawił ten wóz w zatoce, jak wrócił do miasta?

– Może zatrzymał jakiś samochód zdążający w stronę Ciudad Trujillo...

– Czy był na tyle nieostrożny?

– ...albo – ciągnął Tapurucuara – ukrywał się w okolicy i tam wytropiła go nasza policja.

– Panie sędzio, wspominał pan przecież, że wersja z rekinami była wymysłem, mającym chronić pana Murphy'ego przed kompromitacją. Niepokoi mnie, że z taką prestidigitatorską zręcznością i łatwością...

– Dlatego powiedziałem na wstępie, że poczuwam się do winy w wytworzeniu tej nieco dwuznacznej sytuacji. To ja wspomniałem, pod wpływem pańskiej sugestii, że istniała możliwość późniejszego podstawienia jaguara przy Zatoce Rekinów. Ale tego nigdy nie powiedział generał Espailat. Tapurucuara może się mylić, generał Espailat nigdy.

– Bardzo wygodne dla generała Espailata, że rozmawia ze mną za czymś pośrednictwem. Daje to okazję do wycofania się z każdego chybionego posunięcia.

– Każde tego rodzaju przypuszczenie nie ma już znaczenia ani dla pana, ani dla mnie. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Proszę, oto ten list, tam znajdzie pan odpowiedź na każdą wątpliwość. Listy zmarłych nie kłamią. Człowiek, który popełnia samobójstwo, nie musi kłamać, ponieważ już się nie boi ludzi. Kłamstwo jest jedną z nielicznych tarcz, za którą chronią się żywi. Trupy, przeznaczone do spalenia, nie potrzebują takiej ochrony. Ale pan mnie nie słucha, senatorze.

Athwood czytał list de la Mazy.

– *Policja Nationale Dominicana* – mówił Tapurucuara – wyraża głęboki żal, że nie zdołała przeszkodzić zabójstwu pana Murphy'ego ani samobójstwu pana de la Mazy.

Athwood złożył list, położył na biurku, przykrył dłonią.

– Ten list zostaje u nas? – zapytał.

– Oryginał, bo to jest przecież oryginał, musi pozostać w aktach dotyczących tej sprawy – odparł Tapurucuara wyciągając rękę po list.

Athwood dotknął dzwonka. Otworzyły się drzwi w tylnej ścianie gabinetu i weszła ruda dziewczyna w granatowym kostiumie. Athwood podał jej list de la Mazy.

– Proszę zrobić mi odpis z dwiema kopiami.

Ruda dziewczyna wyszła.

– To potrwa kilka minut, panie sędzio. Tapurucuara szybko wydobył z kieszeni kopertę.

– Mister Athwood, nie ma potrzeby. Proszę, tutaj jest kopia; możemy natychmiast porównać ją z oryginałem.

– Jedna kopia? – zapytał Athwood przyjmując kopertę. Pomyślał, jak

dobrze postąpił, wzywając sekretarkę i nie uprzedzając Tapurucuary, że zamierza zrobić odpis.– Jedna.

– Ach, drobiazg – powiedział Athwood. – Potrzeba nam kilka kopii, dla Departamentu, OPA i dla komisji...

– Można z tej... – wtrącił Tapurucua.

– Zawsze lepiej, jak odpis sporządza się na podstawie oryginału.

– Istotnie – powiedział Tapurucua, patrząc niespokojnie na drzwi, którymi wyszła ruda dziewczyna. Dużo by dał, żeby zobaczyć, co się tam wyrabia z, listem de la Mazy. Pomyślał, że Athwood bezbłędnie to rozegrał, ale to nie był pomysł Athwooda; na takie pomysły nie wpadają kongresmani. Jego sekretarz? Trzeba będzie zaraz sprawdzić na wykazie wiz przyznanых komisji, jak nazywa się sekretarz Athwooda. Prawdopodobnie on kazał zrobić jego zdjęcie, Tapurucuary, to zdjęcie, na podstawie którego śledzono go, kiedy sprawdzał książki hotelowe. Powiedział:

– Generał Espaillet uważa sprawę zaginięcia pilota amerykańskiego za ostatecznie wyjaśnioną i prosi panów, by komisja Departamentu uznała ją również za zamkniętą.

Ruda dziewczyna weszła bez pukania i położyła list na biurku Athwooda.

– Oficjalną odpowiedź prześlemy jutro, panie sędzio. Muszę się porozumieć z panem ambasadorem i z pozostałymi członkami komisji.

– Pozwolę sobie odwiedzić pana senatora jutro o dziesiątej. Mam nadzieję, że będzie to godzina, w której z niezmierną ulgą i czystym sumieniem zrzucimy z siebie, pan i ja, ciężar tak wielkiej odpowiedzialności. Generał Espaillet pragnie wydać bankiet na cześć komisji Departamentu Stanu jutro albo pojutrze.

Athwood wstał.

– Czujemy się zaszczytzeni, panie sędzio.

Tapurucua wstał.

– Co do interesujących komisję zwłok kapitana de la Mazy, to pański przedstawiciel może obejrzeć w kaplicy więziennej urnę z jego prochami.

17.

Zauważyłem, że ktoś przerzucał moje rzeczy w szafie i walizce. Nie miałem nic takiego, co mogłoby mnie zdradzić. Teczka zawierała plan prac archeologicznych profesora Castelfranco i w niej panował największy nieład.

Domyślałem się, że rewizji dokonano nie bez udziału Escudera. Jeszcze raz starannie przejrzałem papiery oraz wewnątrz walizki i znalazłem kilka płatków łupieżu. Miałem chyba rację, bowiem kołnierz niebieskiej bluzy boya był stale obsypany łupieżem. Przeszukiwał moje rzeczy sam lub przy czymś współudziale. Tapurucuary? Przypomniałem sobie perłę wpiętą w klapę jego marynarki, widoczną wyraźnie na zdjęciu zrobionym przez wizjer ambasady. Nie dawało mi to spokoju, gdzieś widziałem coś podobnego; może taką samą perłę wpiętą w czyjś krawat? Trzeba było zastosować wypróbowaną metodę: myśleć o tym i wtedy szczegół sam odgrzebie się z zapomnienia.

W restauracji „Cosmosu” jadłem karaibskie kraby i wypłem kieliszek kastylijskiego Valdepenas. Będąc jeszcze na górze, dzwoniłem na Escudera, ale zamiast niego zgłosił się inny boy. W restauracji rozejrzałem się również, ale tutaj także go nie było. Widocznie poszedł do prezydium policji i składa sprawozdanie z wyniku rewizji. Nareszcie na coś się przydał.

Pojechałem do ambasady. Athwood zwięźle zrelacjonował swoją rozmowę z Tapurucuarą i wręczył mi fotokopię listu de la Mazy.

- Jak się nazywa pański sekretarz? – zapytałem.
- Martin Gordon. Człowiek nader skrupulatny, ale nieco lękliwy. Nie radziłbym korzystać z jego pomocy.
- Chciałbym tylko skorzystać w pewnych nadzwyczajnych okolicznościach z jego nazwiska.
- Nie mógłby pan podać byle jakiego nazwiska?
- Nie. Potrzebne jest nazwisko osoby, którą będą mogli znaleźć w kartotece wystawionych ostatnio wiz, i która jest upoważniona do interesowania się Murphym. Informacje, jakimi torpedował pan kolejne wersje śmierci Murphy'ego musiały ich zaskoczyć i na pewno szukają ich źródła. W moim pokoju zrobiono już rewizję.

- Nie jest pan tym zaniepokojony?
- Jeszcze nie.
- Dowiedziałem się od van Oppensa, że cały personel hotelu, w którym pan mieszka, pracuje dla policji i jest z nią w kontakcie.
- To można powiedzieć o każdym dominikańskim hotelu, o restauracjach, klubach i tak dalej. Era Trujillo nie dlatego trwa, że naród uwielbia generalisimusa. Policja wie najlepiej, dlaczego ta era trwa.
- Athwood powiedział:
- Mister Wynn, musimy starannie wystrzegać się komentarzy i wypowiedziania naszych opinii o ustroju Dominikany. Interesuje nas wyłącznie zamordowanie Murphy'ego.
- Takie stanowisko Departamentu – odpowiedziałem – przyczynia się również do trwania Ery Trujillo. Ale może pan być spokojny, mister Athwood, nie poprowadzę Dominikańczyków na pałac dyktatora.
- Poinformowano mnie też, że boy, który obsługuje pana, kontaktuje się z policją. Nazywa się Escudero.
- Wiem. Wiem więcej. Uprzednio był boyem Murphy'ego. Kiedy pytałem go o to, zaprzeczył. Właśnie tego małego szubrawca, Escudera, Tapurucuara wybrał na świadka przeciw Murphy'emu.
- Nie będziemy go przesłuchiwać.
- Musimy zignorować tę propozycję. Co do pańskiego sekretarza, Gordona, wolałbym, żeby nie wychodził na razie z ambasady.
- Chętnie się zgodzi. Czy mógłbym się dowiedzieć, co pan zamierza zrobić z kopią listu de la Mazy?
- Jeszcze dzisiaj panu powiem, ale nie teraz.
- Zdąży pan? Jest już późno.
- Muszę zdążyć. Mam kilka spotkań, które trzeba załatwić prawie równocześnie, w różnych punktach miasta. Przydałby się podręczny odrzutowiec.
- Może pan jednak zdecyduje się na przyjęcie jakiejś pomocy? Van Oppens myśli tak samo...
- Dziękuję, mister Athwood. Wywiad dał panu kilka dobrych informacji, jak na przykład ta, że de la Maza pił *ojen* w „Café Almendra” albo że

Escudero kontaktuje się z policją. To cenna pomoc dla pana, ale dla mnie bez znaczenia.

– Jak pan uważa. Czy potrzebne są panu pieniądze?

– Pomówimy o tym przy ostatecznym zamknięciu tej sprawy. Na razie proszę mi rezerwować, od jutra, miejsca we wszystkich samolotach *Pan Am*, lecących do Nowego Jorku przez Miami.

– Przez ile dni?

– Dwa dni.

Chciałem wyjść, ale Athwood zatrzymał mnie.

– Jeszcze jedno. Doniesiono, że Tapurucuara odwiedza kolejno wszystkie hotele w Ciudad Trujillo i sprawdza, kto się zatrzymał w nich i od kiedy. Był także w „Cosmosie”. Zaobserwowano to dzięki zdjęciom, które kazał pan zrobić przez wizjer. Tapurucuara jest znaczną osobistością w dominikańskim *Special Secret Services*. Jak pan widzi, ludzie van Oppensa wiedzą dość dużo... Jednak, jeśli idzie o zdobycie dowodów rzeczowych, liczę wciąż na pana. Tylko na pana, mister Wynn. Proszę na siebie uważać... Bardzo proszę, by pan uważał.

Pomyślałem, że Athwood gra rolę bojaźliwej dziewczyny, która lęka się konsekwencji zbliżenia z kochankiem. Ale obiecałem mu, że będę uważać...

18.

Beesley postanowił wyjechać do Linden. Wziął z sobą sporządzony przez policję drogową plan tego odcinka szosy, na którym rozbito wóz Thoena. Dowiedział się, że świadkiem „katastrofy” był dróżnik odpowiedzialny za stan tego odcinka. Podjechał pod jego domek, przy którym mieściła się stacja benzynowa.

– Zgadza się, widziałem, proszę pana – powiedział dróżnik, przykładając do wojskowej furazerki sztuczną dłoń w skórzanej rękawiczce. – Usłyszałem hałas, wybiegłem na drogę i widziałem. Wielka ciężarówka meblowa nawet zatrzymała się na chwilę przy zmiążdżonym samochodzie Thoena, ale jak tylko kierowca mnie zobaczył, dał gazu i odjechał. Ciężarówka nie miała numeru.

Mnie się zdaje, że oni specjalnie odkręcili swój numer rejestracyjny, a jak już załatwili tego faceta, to zatrzymali się kawałek dalej i znowu założyli numer. Byłem w MP, jak wykurzyliśmy Niemców z Francji, widziałem niejedno i dużo słyszałem o takich kawałach...

Beesley zdobywał wciąż więcej szczegółów. Policja stanowa przekazała policji federalnej spis osób, z którymi Oswald Thoen utrzymywał bliższe kontakty, podała im adres żony Thoena. Rozmowa z tą kobietą nic nie przyniosła, podobnie, jak nieważkie szczegóły, które zebrano od kilku innych osób. Dopiero Marta Collins, którą Beesley odnalazł w Utica, potwierdziła, że Murphy nie fantazjował, mówiąc Harriet o zabójstwie Thoena.

– Wierzę – mówiła Marta – że tak się stało, jak pan opowiadał. To moja wina, że Oswald zginął, nigdy sobie tego nie wybaczę, nigdy... Błagałam go, żeby szukał Geralda. Oswald był starym przyjacielem naszej rodziny i nigdy nie odmawiał żadnej prośbie.

– Od jak dawna znała pani Geralda?

– Spotkałam go dopiero w New Fair Haven. To był wielki wstrząs w moim życiu. Nigdy nie domyślałam się nawet, że kobieta może być tak szczęśliwa, jak ja byłam szczęśliwa z Geraldem. Musiałam wrócić do Utica w pilnej sprawie, Gerald miał na mnie czekać, ale nagle zniknął. Dostałam od niego jeden tylko list, jeszcze z New Fair Haven, i wcale nie pisał, że mnie porzuca. Miał czekać na mnie, prosiłam, żeby czekał.

– Czy można zobaczyć ten list?

– Nikt go nigdy nie zobaczy, nikomu go nie pokażę. Ale chyba pan mi wierzy. Oswald pojechał szukać Geralda. Był adwokatem i znał różnych ludzi, także przestępców, i od nich musiał się dowiedzieć w jakimś podejrzanym barze „Colorado”, że Gerald pił tam od kilku dni, i że nie znany im rudy mężczyzna rozmawiał z Geraldem o wypożyczeniu samolotu w Linden.

– To ważna wiadomość, panno Collins.

– Dla pana... Oswald wrócił do Utica i powiedział mi o tym. Prosiłam go, żeby natychmiast pojechał do Linden. Zgodził się, ale ostrzegł mnie, że już nigdzie więcej nie będzie szukać Geralda, że to ostatnia próba, bo sprawa jest podejrzana. I nie wrócił stamtąd. Reszty dowiedziałam się z gazet... Czy Gerald żyje?

- Nie, panno Collins.
- Wiedziałam, że tak się skończy: obaj nie żyją.

Powiedziała to tępo, z rozpaczliwą rezygnacją, mówiąc Beesleyowi więcej o uczuciach Marty, niż mogłyby ujawnić nawet najgwałtowniejszy szloch.

W barze „Colorado”, zgodnie z tym, czego spodziewał się Beesley, nie udzielono mu żadnych informacji. Nikt nigdy nie widział rudego mężczyzny, żaden Murphy nie pił tu przez kilka dni, oni nic nie wiedzą i nie chcą o niczym wiedzieć. Beesley pojmował, że Thoen miał tu o wiele większe szanse niż on i zrezygnował z dalszych poszukiwań.

Zdobył już sporo szczegółów popartych zeznaniami świadków, jednak cała konstrukcja poszlak i faktów mogła rozsypać się; z braku najważniejszej, głównej kłamry: przeprowadzenia dowodu, że Murphy wyleciał z ciałem profesora de Galindeza. Po uzyskaniu takiego dowodu można było włączyć do sprawy prawie automatycznie trzy dalsze morderstwa: Loretty Flynn, jej ojca i Oswalda Thoena. Zniknięcie czy też śmierć Murphy'ego spełniałoby rolę ostatecznego argumentu: mordercy albo inspiratorzy tych morderstw pozbyli się tym samym głównego świadka.

Teraz wszystko zależało od Athwooda, jego zręczności i odporności na podsuwane mu interpretacje, bardziej bezczelne niż naiwne. O Wynna Beesley był spokojny, wiedział, że nie zrezygnuje, że nie wróci z pustymi rękoma, a jeżeli nawet stałoby się z nim coś złego, Wynn zdąży mu przekazać wszystkie informacje.

Szczegóły zdobyte na trasie Linden – Utica Beesley przesłał do Athwooda w teczce dyplomatycznego kuriera, prosząc go, by przekazał ją Wynnowi.

19.

„La Habana”. Półmrok i zaduch, przytłumiony gwar. Kilku *gallegos* głośno pochlipuje, jedząc zupę z czarnej fasoli. Niekiedy przerywają? chlipanie, by sięgnąć po glinianą flaszkę i łyknąć wódkę pędzoną z agawy. W kącie sali stary peon przekomarza się z młodą dziewczyną, która piszczy i chce. Kilku obdartych włóczęgów, prawdopodobnie *viejo* – tak nazywa się

w Dominikanie emigrantów z Haiti – włóczęgów, o których nigdy nie wiadomo, czy są poszukiwani przez policję, czy też pracują dla niej – gra w *siete y medio*. Przy barze siedzą dwie młodzianki dziewczyny z wysoko podciągniętymi spódniczkami.

Pod ścianą, na tle plakatu z podobizną Trujillo, obok gitarzysty z bryłową szczęką – siedzi piękna kobieta, prawdopodobnie Monika Gonzales. A oto Mulat, o którym także mówił mi Beesley, pracujący dla policji dominikańskiej. Patrzy podejrzliwie i porusza zabawnymi wąsami, których ostre i długie końce sterczą na tle policzka.

– *Que desa Ud?* – zapytał Mulat – co pan sobie życzy?

Poprosiłem o dwie większe wódki: *Dos copas de aguardiente*.

Zapytał, czy ta druga także dla mnie. Powiedziałem, że chciałbym go zaprosić na tę drugą.

– *Con mucho gusto* – powiedział – z przyjemnością.

Przyniósł butelkę wódki i dwa kieliszki, usiadł przy stoliku.

Rozmawialiśmy nadal po hiszpańsku.

– Co mogę zrobić dla pana? – zapytał, zniżając głos.

– Wypić ze mną jeszcze jeden kieliszek – powiedziałem.

Poczułem nagle pragnienie upicia się, oszołomienia, zapomnienia o Harriet, Lorecie Flynn, Dominikanie, Galindezie i wszystkich innych sprawach, z którymi nie mogłem się oswoić i z których nie mogłem się wyplątać. Każdą z nich czułem jak guzowatą narośl na mózgu. Co tu robię, do licha, co mnie to wszystko obchodzi? Że zarobię kilka dolarów? W Nowym Jorku mogłem zarobić więcej. A ta idiotyczna historia z Harriet i Murphym, tym przyzwoitym chłopcem, który zginął, nie zdążywszy się z nią przespać? Może noc z Harriet nadałaby wreszcie jakiś sens życiu tego przyzwoitego szczeniaka. Niepotrzebnie umarł i niepotrzebnie żył. Jak ja, jak wielu innych.

Mulat znowu napełnił kieliszki. Powiedział:

– Ja wiem. Mnie nie trzeba nic mówić, ja wiem.

– Co pan wie?

– Że pan nie miał z kim wypić i dlatego. Jak człowiek pije sam, to nic dobrego z tego nie wyjdzie, bo wtedy to nie jest picie, ale zatrucie się alkoholem. Jak

człowiek pije z kimś, wtedy można powiedzieć, że naprawdę wypił, wtedy nie szkoda pieniędzy, nawet, jak płaci się za wszystkich. Pan nie ma z kim pić, a nigdy człowiek nie jest tak przegrany i smutny, jak wtedy, kiedy już nie ma z kim wypić. To koniec, nie ma nic smutniejszego. Ja wiem, mnie nie trzeba mówić.

– Pan mi się podoba – powiedziałem. – Mało jest ludzi, o których mógłbym powiedzieć, że mi się podobają. Niech pan jeszcze raz rozleje.

– Ale to będzie moja kolejka i więcej już nie mogę pić. Na wieczór muszę schować resztę wątroby. Wieczorem tutaj jest ruch i trzeba dobrze liczyć, żeby nie dopłacać za taki wieczór i wiedzieć, co się dzieje.

– I co, sam mam pić? Przecież pan mówił, że jak człowiek sam pije...

Mrugnął do mnie.

– Widział pan te dwie dziewczynki przy barze? Polecam. Z nimi może pan wypić.

Odwróciłem się, udając, że taksuję te dwie kurewki. Rozejrzałem się po sali i zatrzymałem wzrok na stoliku, przy którym siedziała Monika z gitarzystą.

– A ta? – zapytałem. – Kto to jest? Z mężem?

– Ale tam, mąż! – powiedział wzgardliwie Mulat. – To nasza *bailarina*, Monika Gonzales. Wielki talent. Chce pan zobaczyć, jak ona tańczy? Mogłaby z panem wypić. Pan nie da jej rady w piciu, mówię panu.

– Myśli pan, że tu przyjdzie?

– *Si*. Mam z nią umowę, że powinna się przysiąść do ważniejszych gości. A do cudzoziemców to już obowiązkowo. Pan nie jest z Dominikany? Ho, ho! Ale hiszpański pan zna, nie powiem.

– Pracuję tu chwilowo jako tłumacz.

– Co pan tłumaczy? Z jakiego na jaki?

– Rozmaicie bywa. Z różnych na różne.

– To dobry chleb? Można coś zarobić?

– Więcej, niż potrafię wydać.

– A łacinę też pan zna?

– Przede wszystkim łacinę.

- A taki murzyński, z Afryki?
- To moja specjalność.
- Powiem jej, żeby tu przyszła.
- Jakby jej miało być przykro, niech pan tego nie robi...
- Ale tam! – mruknął i skinął na Monikę.

Ziewnęła. Owinęła się ciemnym kaszmirowym szalem i powoli, kołyszając biodrami, podeszła do naszego stolika.

– Pan chciał z tobą rozmawiać – powiedział Mulat. – Ja muszę iść do gości i przypilnować kuchni. Co podać dla ciebie, Monika?

– *Jerez.*

Mulat odszedł. Zauważyłem, że Monika jest niespokojna i zdenerwowana. Patrzyła przed siebie, na jedną z podobizn Trujillo, i wydawało się, że żaden obcy mężczyzna nie poprosił jej, że wciąż siedzi pod ścianą, obok gitarzysty z olbrzymią szczęką.

Przypomniałem sobie kryptonim Moniki, który podał mi Beesley jako znak rozpoznawczy. Powiedziałem cicho:

– RD 112 S.

Nie zareagowała. Przestraszyłem się, że to może być ktoś podstawiony. Musiałem to natychmiast wyjaśnić, nie miałem czasu na pomyłki. Powtórzyłem:

– RD 112 S.

– *Cuidado!* – powiedziała Monika. – Proszę uważać.

Mulat postawił przed nią butelkę.

– Niech się pan nie martwi – powiedział. – Po kilku kieliszkach Monika się rozkręci. Ja wiem, jak jest. Kiedy mężczyźnie naprawdę podoba się jakaś kobieta, wtedy jest nieśmiały. Bo boi się ryzykować i dziesięć razy przesiewa każde słowo, nim coś powie. Ja wiem... A chiński także pan zna?

– Do mojej babki zawsze piszę po chińsku.

– A ona rozumie?

– Nie, ale lubi, jak piszę po chińsku.

Mulat odszedł za kontuar.

– Monika – powiedziałem – przyszła mnie centrala. Proszę mi podać swój adres. Muszę się z panią skontaktować bez świadków.

– Nie podali panu mojego adresu w centrali?

– Nie. Tylko nazwy lokali: „La Habana” i „Aristos”.

Powoli piła *jerez*, patrząc wciąż na Trujillo.

– Wie pan dlaczego? Bo nie znają mojego adresu, nie mogą go znać. Nikt od was nie może go znać, to byłoby zbyt wielkie ryzyko. Prosiłam także, żeby mi nikogo tutaj nie przysyłali. Czego pan chce?

– Jak nazywał się przyjaciel Murphy'ego?

– Czyj?

– Pani była u tego pilota w „Cosmosie”. Wie pani czyj. Przyjaciel Murphy'ego.

– Octavio de la Maza?

– Proszę mi nie mówić o umarłych. Pani wie więcej.

Zmrużyła oczy tak silnie, że nie dostrzegłem jej źrenic. Wciąż patrzyła w twarz Trujillo.

– Nie żyje? To pewne?

– Tak. Mówią, że popełnił samobójstwo po zamordowaniu Murphy'ego.

– Komu tak powiedzieli?

– Chcą to ogłosić w prasie.

– Skąd pan wie?

– Pani mi tego nie powiedziała.

– Jestem bardzo zadowolona, że on nie żyje. To był straszny skurwysyn.

Dziwi się pan, że tak mówię?

Nie zdziwiło mnie to słowo w ustach kobiety żyjącej wśród lumpów przedmieścia.

– Proszę mi podać adres narzeczonej Octavia.

– Narzeczonej?

– Może żony, może kochanki. Była tutaj z Octaviem, jeszcze jednym pilotem, i z Murphym. Była tego wieczoru, kiedy pani poszła z Murphym do „Cosmosu”.

Przysunęła w moją stronę opróżniony kieliszek.

– Ona nazywa się Juana Managua. Adresu nie znam.

Napełniłem kieliszek i podałem go Monice.

– Muszę mieć ten adres.

– Może znajdzie pan w książce telefonicznej Juana Managua.

– Więc jak nazywa się przyjaciel Murphy'ego, ten, który był z nim w „La Habana”? Pani sama przekazała nam wiadomość, że siedzieliście wtedy razem.

- Ten nazywa się Julio Ruiz Oliveira.
- Adres?
- Avenida San Cristobal, czternaście albo szesnaście. Zapamięta pan? Dobrze. Teraz moje pytanie: gdzie można pana znaleźć?
- Nieważne. Jeszcze będę u pani.
- Bardzo ważne. Sytuacja jest przerażająca. Liczę się z tym, że będę musiała uciekać. Chociażby dlatego, że spotkałam się dzisiaj z panem.
- I nie dała mi pani swojego adresu, który zna przynajmniej kilkuset ludzi.
- Nie mogę. Po co panu Managua?
- Chciałbym sprawdzić, czy Octavio ma dobry gust. Jeszcze jedno: z jakiego lotniska w Stanach wystartował Murphy z Galindezem?
- Wypożyczył samolot, ale nie wiem. Nie wiem, gdzie lądował po drodze. Nie powiedział mi tego.
- Szef nas obserwuje – powiedziałem. – Niech pani pije i uśmiecha się. Monika uśmiechnęła się, pogłaskała mnie po twarzy.
- Gdzie mam pana szukać, gdybym musiała uciekać? Przez wasz upór w sprawie Murphy'ego zginie sporo innych ludzi.
- Musi się pani przedostać do ambasady, ale tak, żeby nikt tego nie widział. Tam powie pani, kim jest i poda swój numer. Wtedy można pomyśleć o transporcie.
- Pan pracuje w ambasadzie? Może w tej komisji, która bada przyczyny śmierci Murphy'ego.
- Może.

Nie mogłem powiedzieć nic więcej. Miałem zaufanie do zdumiewającego nieraz sprytu kobiet w służbie wywiadowczej, ale nigdy nie ufałem ich wytrzymałości na ból fizyczny. Mniej krzyczą niż mężczyźni, ale szybciej się załamują.

Wypiłem jeszcze, spojrzałem na dno kieliszka i pomyślałem, że wódka nie działa już na mnie tak jak dawniej, że nie przytępiła wrażliwości ani pamięci i że straciłem jeszcze jedną możliwość zapomnienia i ucieczki. Harriet też stwarzała taką możliwość, kochałem ją również za to, ale to działało się bardzo dawno, zapomniałem kiedy...

Pogłaskałam dłoń Moniki. Ona także widziała, jak uważnie obserwował nas Mulat. Cofnęła więc swoją rękę, pogroziła mi palcem i przytknęła go do moich ust.

- Muszę już iść – powiedziałem.
- Niech pan jeszcze zaczeka.
- Proszę powiedzieć szefowi, że umówiliśmy się na jutro.
- A kiedy pan naprawdę przyjdzie?
- Chyba jutro.

Pomyślałem, że lepiej kłamać. Jeżeli zjawiłbym się tutaj jeszcze raz, to tylko dzisiaj lub za kilka dni, ale nie wtedy, kiedy ktoś będzie mnie oczekiwać.

- Chyba – powtórzyła. – Dlaczego jest pan tak przesadnie ostrożny?
- Bardzo nie lubię umierać. Dlatego.

20.

W godzinę później Monika Gonzales rozmawiała z majorem Paulino.

Opowiedziała mu o niespodziewanych odwiedzinach obcego mężczyzny. Tak, to było w „La Habana”. O co pytał? O de la Mazę i Oliveirę. I co jeszcze? Nic więcej.

Major był zaniepokojony.

– Ktoś go przysłał do ciebie. Kto? Dlaczego? Ktoś ze Stanów, czy stąd? Jak on trafił do „La Habana”?

– Nie mam pojęcia, Miguelu. Powtarzam ci tylko to, co sama wiem. Przyśiadłam się na jego prośbę i wtedy on zaczął, natychmiast. Może ktoś mu powiedział, że znam Octavia i Oliveirę?

– Nazwisko? To jest bardzo ważne, nawet gdyby było, fałszywe.

– Pytałam go, ale nie powiedział, nie chciał. Ma chyba coś wspólnego z komisją Athwooda. Szukacie kogoś, kto pracuje z Athwoodem, prawda? To chyba on.

– Kiedy można go zobaczyć? Przyjdzie tam jeszcze?

– Umówiłam się z nim na jutro, o tej samej porze. Przyślij kogoś do „La Habana”... Miguelu, powiedz, co się stało z Octaviem.

- Jak myślisz?
- Że zdmuchnęliście Octavia.
- Nie przesadzaj. Przenieśliśmy go.
- Do nieba?
- Tacy ludzie nie idą do nieba... Jutro przyjdzie do „La Habana” Tapuru-cuara, zaczeka tam na twój Jankesa... Żal ci Octavia?
- Widocznie mieliście jakieś powody, Miguelu.
- Mnie także nie żałowałabyś?
- Widocznie byłyby jakieś powody, Miguelu.
- A siebie? – zapytał major Paulino.
- Zawsze są jakieś powody, Miguelu.

21.

Poszedłem na Avenida San Cristobal. Na drugim piętrze domu pod numerem szesnastym znalazłem na drzwiach wizytówkę Oliveiry. Zapukałem. Starsza, czarno ubrana dama o arystokratycznych manierach, Kreolka, zapytała, czego sobie życzę.

Powiedziałem, że jestem z komendy *aeropuerto*. Czy zastałem Ruiz Oliveirę? Poprosiła mnie do sieni, zatrzasnęła drzwi.

- Nie ma pana Oliveiry.
- Kiedy można go zastać?
- Doprawdy, nic pewnego nie mogę powiedzieć. Sama jestem zaniepokojona. Brak niektórych rzeczy pana Oliveiry, ale jego torba, którą bierze z sobą na każdy lot, wisi na wieszaku. Także mundur jest w szafie.
- Przypuszcza pani, że wyjechał.
- Gdyby wyjeżdżał, musiałby coś powiedzieć. Zawsze tak robi. Jeżeli nie ma mnie w domu, zostawia kartkę. Jestem tylko właścicielką tego mieszkania, ale po aresztowaniu rodziny pana Oliveiry skonfiskowano im całe mieszkanie. Pan Oliveira, po wyjściu ze szpitala, wprowadził się do mnie. Byłam serdeczną znajomą jego biednego, nieszczęsnego ojca i opiekuję się Juliem jak matka.
- Czy mógłby mi ktoś udzielić jakichś informacji?

– Przyjaźnił się z dość niesympatycznym człowiekiem, kapitanem de la Mazą. On orientowałby się najlepiej. Nie mam odwagi, żeby zadzwonić do niego.

– Obawia się pani czegoś?

– Zawsze obawiałam się ludzi pokroju pana de la Mazy. Pan zna kapitana?

– Słyszałem o ich wspólnej znajomej, pannie Managua.

– Och! – zawołała – Juana Managua! Leżała w kołysce w 1930 roku, kiedy w czasie kampanii wyborczej zabito jej ojca. To była naprawdę k a m p a n i a – zaakcentowała silniej – sądząc po liczbie zabitych.

– Pani zapewne nie liczy lat według Ery Trujillo?

– Wygląda pan na człowieka, którego to także nie obowiązuje. W tym domu nie wymawia się nazwiska tego monstrum. Proszę, może pan pozwoli do salonu...

– Bardzo pani dziękuję, ale naprawdę muszę gdzieś znaleźć pana Oliveirę.

– Potrzebny jest na lotnisku? To dziwne, że tam nic o nim nie wiadzą. Może pan jednak...

– Czy zna pani adres panny Managuy?

– Ależ to kilka kroków stąd, taki dom z *portico*, wie pan, przedsiónek z kolumnadą. Jej ojciec zbudował ten dom. Zdaje się, że to numer dwadzieścia dziewięć. Gdyby pan dowiedział się o czymś, proszę mnie zawiadomić, bardzo proszę. Pan Oliveira jest młody, czasem nie wraca na noc, ale już drugi dzień mija, a wciąż nie mam od niego wiadomości. To się jeszcze nie zdarzyło.

Podjechałem wypożyczonym w hotelu fordem pod numer dwudziesty dziewięty.

Ciężkie, okute solidnie drzwi uchyliła lekko dziewczyna o spokojnej, ale drażniącej urodzie. Pomyślałem: Baby Doll. I domyśliłem się, że stoi przede mną Juana Managua. Wśliznąłem się do wnętrza, prawie ocierając się o jej piersi, bo Juana nawet nie drgnęła; stała tak samo, jak wtedy, kiedy zjawiłem się w półrozwartych drzwiach.

– Kim pan jest?

– Proszę zamknąć drzwi. Muszę z panią porozmawiać.

- W sprawie kapitana de la Mazy?
- W kilku sprawach.
- Nie wiem kim pan jest i nie mogę z panem rozmawiać.
- Jestem raczej niebezpiecznym gościem. Jestem członkiem komisji Departamentu Stanu USA, która zajmuje się zbadaniem i wyjaśnieniem okoliczności, w jakich zginął obywatel amerykański, pilot Gerald Lester Murphy.
- Czytałam o tym. Wciąż nie wiem, jak się pan nazywa.
- Czy możemy usiąść i porozmawiać?
- Nie wiem, jak się pan nazywa.
- Nazywam się Martin Gordon, jestem osobistym sekretarzem przewodniczącego tej komisji, pana Daniela Athwooda.
- Proszę, pan pozwoli.

Lekkim i pewnym krokiem ruszyła w głąb mieszkania. Weszliśmy do pokoju urządzonego w stylu staromeksykańskim. Managua wskazała ciężką, bogato rzeźbioną ławę z czarnego dębu. Sama usiadła na jednym z kilku taboretów w tym samym stylu, otaczających stojący przed ławą stół.

W przeciwległym rogu, na postumencie z ciemnego drzewa stała rzeźba boga deszczu Choc Mool, wpołożącego, trzymającego płaskie naczynie na brzuchu, z twarzą zwróconą ku nam. Z prawej strony, również w kącie i na takim samym postumencie umieszczono aztecką rzeźbę boga radości, Cuauhxicalli, w postaci leżącego jaguara. Z lewej zwieszał się z drewnianej boazerii obraz Rufina Tamayo. Czułem się jak w muzeum.

– Obraz sama kupiłam – powiedziała Managua. – To był ulubiony pokój mojego ojca, zrujnował nas, by kupić to wszystko. W 1930 roku, po śmierci ojca, ukradziono stąd w czasie rewizji sporo mniejszych przedmiotów. Moja matka twierdzi, że były o wiele cenniejsze niż to, co zostało... Przepraszam, że tak dużo mówię. Zresztą gdyby nie pomoc kapitana de la Mazy, stracilibyśmy ten dom.

- De la Maza był pani narzeczoną?

Skinęła głową.

- Często tu bywał?
- Właściwie mieszkał tutaj przez ostatnie dwa lata.
- Czy pani wie, co stało się z panem kapitanem?

– Wiem. Właściwie nie mam pojęcia, co się z nim stało, ale wiem, że nie żyje.

– Jeszcze jedno niedyskretne pytanie: skąd pani wie?

– Powiedział mi nasz wspólny znajomy, pan Oliveira. Gdzie on jest? Nie wiem, gdzie jest pan Oliveira. Obawiał się, że spotka go taki sam los... I dlatego zniknął.

– Nie zwierzył się pani, dokąd wyjeżdża?

– Na ogół wszyscy uciekają przez Haiti albo z jakiegoś dominikańskiego portu na prywatnych jachtach i rybackich kutrach... Nie powinien pan być przychodzić tutaj. Pan mnie naraża.

– Chciałbym zdemaskować mordercę kapitana. Nie zależy pani na takiej satysfakcji?

– Tym bardziej nie powinien pan przychodzić tutaj. Nie zależy mi na żadnej satysfakcji. Nie kocham Octavia.

– Trzecie niedyskretne pytanie: czy tak piękna dziewczyna jak pani musiała być skazana na przebywanie z kimś, kogo nie kocha?

– Kobiety nie muszą kochać, mężczyźni powinni kochać. Octavio mnie kochał.

– I chronił panią przed *Policia Nationale Dominicano*.

– I chronił mnie, moją matkę i nasz dom przed *Policia Nationale Dominicana*... Powinien pan już pójść, rzecz nie dzieje się w Waszyngtonie. Pan chyba rozumie moje obawy.

– Nie rozumiem tylko spokoju pani. Czy kapitan de la Maza pisywał do pani listy?

– Dlaczego pan o to pyta?

Podałem jej fotokopię listu de la Mazy, pisanego w więzieniu. Pokój był mroczny, podeszła więc do okna i tam czytała, raz i drugi. Kiedy usiadła na taborecie, oddała mi ten list.

– Rozumiem. Chcą go obarczyć tym morderstwem – powiedziała.

– Wiedziałem, że de la Maza tego nie pisał.

– Nie. Pokażę panu jego listy. W tym tylko podpis jest nieudolnie podrobiony. Widocznie nie przypuszczali, że ktoś sfotografuje ten list... To bardzo nierozsądne, że tyle mówię, nie powinnam mówić. Pan załatwi swoje sprawy i pojedzie do Stanów, a ja zostanę tutaj, na ich łasce i niełasce, do końca życia.

– Gdybym panią poznał wcześniej...

– Proszę tak nie mówić. Znam te piosenki, często je słyszałam... Mam nadzieję, że pan nikomu nie powtórzy naszej rozmowy.

– Czy może mi pani pokazać jakiś list pana de la Mazy?

Przyniosła kilka listów. De la Maza pisał do niej z wielu obcych miast i krajów. Na jednej z kopert znalazłem stempel poczty Nowy Jork, z datą: 11 marca... W dzień później porwano de Galindeza.

– Czy może mi pani zostawić tę kopertę?

– Proszę ją zabrać, I nie zapominać, że moje życie jest w pana ręku. Nie zależy mi na tym, czy ktokolwiek oskarży Octavia o morderstwo, którego on nie popełnił. Nie żał mi Octavia. Żał mi siebie, w tej sytuacji, w jakiej znalazłam się po jego śmierci... Niech mi pan powie: czy panu żal Murphy'ego? On był także zakochany.

– Nie żał mi Murphy'ego. Dlaczego więc wtrącam się w te sprawy? Bo nie mogę pogodzić się z istnieniem systemu, który zabija ludzi bez sądu, najczęściej niewinnych ludzi, który morduje bezkarnie osobistych nieprzyjaciół rządzącej rodziny. Nie po to płacimy im podatki, służymy w wojsku, pracujemy za połowę wartości naszej pracy i utrzymujemy ich – żeby nas zabijali. Z tym nie mogę się pogodzić. Gdyby Murphy umarł na zapalenie płuc albo na raka, nie miałbym do nikogo pretensji.

– Przecież mógł umrzeć na raka. Kiedy oni kogoś zabijają, wmawiam w siebie, że ci zabici umarli na raka albo wpadli pod samochód. Ich brak wśród nas ma w obu wypadkach taki sam sens: nieobecności. Mój zamordowany ojciec umarł na raka. Czy nie mam racji?

– Nie. Ale proszę się tego trzymać. To jest złudzenie, którego można się trzymać, kiedy człowiek jest bezsilny.

22.

Van Oppens był śledzony. Kiedy wchodził do domu Managuy, zauważyli go ludzie Tapurucuary. Czekali, aż wyjdzie.

Widzieli, jak stamtąd wychodził. Przeszedł przez Avenida San Cristobal i udał się wprost do mieszkania Oliveiry. Może dostał adres od Juany? Czekali na niego na dole. Jeden z agentów telefonicznie zawiadomił Tapurucuare o ruchach van Oppensa.

Tapurucuara kazał mu śledzić van Oppensa. Poleciał także, by dwaj pozostali agenci czekali na niego pod domem Managuy; on, Tapurucuara, zaraz tam będzie.

Przyjechał.

Niecierpliwie uderzył kołatką o drzwi, ale nikt nie otwierał. Odszukał dzwonek elektryczny. Całą dłonią wsparł się o guzik i tak stał.

Managua otworzyła drzwi. Miała spokojną twarz, ale jej oczy były przerażone. Zapytała Tapurucuare, z czym przychodzi, czego sobie życzy.

Odsunął ją, wszedł do środka, za nim dwaj agenci.

– Zamknij drzwi – powiedział.

Zamknęła i odwróciła się patrząc na przybyłych.

Wtedy Tapurucuara otwartą dłonią wymierzył silny cios w twarz Managuy, bijąc od dołu, w podbródek. Juana tyłem głowy uderzyła o drzwi i ześlizgnęła się po nich na kamienną posadzkę.

– Pan to ma rękę – powiedział jeden z agentów.

– Musiał pan bić? – zapytał drugi.

– Ocućcie ją – powiedział Tapurucuara: – Teraz będzie można rozmawiać z Managwą. Tam – wskazał dłonią – w tym dużym wazonie, są kwiaty. Wyrzuc to zielsko i wylej na nią wodę. Teraz już będzie mówić.

Kiedy van Oppens wracał przez Avenida San Cristobal, zauważył trzech mężczyzn opuszczających dom Managuy. Jednym z nich był znany mu z fotografii Tapurucuara.

23.

Nie chciałem tego dnia wchodzić po raz drugi do ambasady i trzeba było te odwiedziny jakoś upozorować.

W hotelu wykapałem się i przybrałem. Powiedziałem do Escudera, żeby zapakował wszystkie przedmioty, które zakupiliśmy dla profesora Castelfranco,

przedmioty wyszczególnione na sporządzonej przez niego liście. Wezwałem jeszcze jednego boya, by razem z Escudero znosił paczki do forda.

- Gdzie pan Castagno jechać? – zapytał Escudero.
- Nie bądź taki ciekawy.
- Do ambasadora jechać, pan?
- Nie pytaj się, pojedziesz razem ze mną.

Ucieszył się, przypuszczając, że nareszcie zdobędzie interesujący materiał dla prezydium policji.

Prowadząc wóz, powiedziałem do siedzącego obok Escudera, że oddamy te przedmioty w ambasadzie, bo pan profesor nie będzie mieszkać w hotelu.

- Gdzie mieszkać wielki profesor?
- Profesor przyjeżdża na zaproszenie rządu Republiki. Rząd załatwi mu jakieś mieszkanie.
- Escudero rozumieć.

Śpieszyłem się na spotkanie z Athwoodem, miałem mu mnóstwo do powiedzenia. Żegnając się z Managuą, zapytałem ją, czy wie coś o podróży Octavia, z której wrócił razem z Murphym, zakończonej kraksą na General Andrews.

– Tak – powiedziała – Octavio opowiadał mi o swoich sprawach. Gdybym nic nie wiedziała o jego życiu, wierzyłabym, że oni strasznie go skrzywdzili. Ale Octavio zasłużył na taką śmierć, jaką bardzo często obmyślał dla innych.

- Czy może mi pani podać nazwę tego lotniska?
- Lantana. Tam Octavio czekał na Murphy'ego.
- Wiem o tym. Chodzi mi o nazwę lotniska, na którym Murphy przyjął profesora Galindeza.

– Więc pan o tym wie? Octavio przypuszczał, że świetnie wszystko załatwił i zamaskował. Ale umówmy się: jeżeli nie poniosę żadnych konsekwencji za to, co panu dzisiaj powiedziałam, to po ukończeniu prac waszej komisji podam panu nazwę lotniska, na którym phoenix przyjął Galindeza.

– Informację, że list Octavia jest falsyfikatem, muszę przekazać dalej, ale zapewniam pani absolutną dyskrecję. Jednak wiadomość, o którą proszę, ma dla nas ogromne znaczenie, decydujące dla wyjaśnienia kilku morderstw i porwania de Galindeza z centrum Nowego Jorku. O powodzeniu całej sprawy

może zdecydować tylko szybkość, z jaką dostarczymy tę wiadomość. A to zależy od pani.

– Galindez umarł na raka, panie Gordon. Trzymam się tego, przecież mógł umrzeć na raka. Gdybym tak nie myślała, zwariowałabym w tym kraju...

– Pani musi mi to powiedzieć, bardzo proszę. Pani jest jedyną osobą, która może nam podać nazwę lotniska.

– Nie muszę i nie podam. Czy kilka dni opóźnienia ma jakieś znaczenie? Pan liczy się z tym, że o n i mnie zabiją, zanim wasza komisja skończy swoje prace. Proszę więc – w pana własnym interesie – wszystko tak załatwić, żebym nie umarła... na raka. Wtedy powiem. To moje jedyne zabezpieczenie.

* * *

Zatrzymałem forda pod ambasadą.

Escudero i portier wnosili pakunki, ja zaś stałem z Athwoodem w tej sali, do której Escudero wchodził co kilka minut. Zależało mi, by mały szpicel miał mnie na oku.

Powiedziałem Athwoodowi, w tych przerwach między wyjściem a wejściem Escudera, że list de la Mazy jest sfałszowany. Powiedziałem, skąd wiem o tym, i ostrzegłem przed żądaniem konfrontacji z Managuą. Pocieszyłem go, mówiąc, że znajdę chyba inne listy de la Mazy. Ludzie van Oppensa powinni także szukać takich listów, ale niech mi nie depczą po piętach.

Nie oddałem Athwoodowi koperty, którą dostałem od Managuy.

Athwood przekazał mi wiadomości, które otrzymał od Beesleya. Beesley nalega, żeby koniecznie znaleźć nazwę lotniska „X”.

Powiedziałem, że dowiem się wcześniej nazwy lotniska, wcześniej, niż obiecała Managua. W kraju, gdzie giną jak moskity przyduszone palcem, nie można czekać zbyt długo.

Wtedy Athwood powiedział, że u Managuy był Tapurucuara.

No tak, liczyłem się z tym, że będą u niej. Powziąłem ryzykowną decyzję.

– Mister Athwood, proszę szybko wezwać Tapurucuarę i powiedzieć mu, że list de la Mazy jest nieudolnie sfałszowany. Proszę zażądać natychmiast konfrontacji z Managuą.

Kiedy Escudero wchodził z ostatnią paczką, kończyliśmy naszą rozmowę.

Byłem zmęczony tym dniem, wyczerpany nieustanną jazdą z miejsca na miejsce i klimatem, do którego nie mogłem przywyknąć. Minęło już bez śladu uczucie świeżości i odprężenia, jakie ogarnęło mnie po gorącej kąpieli przed wyjazdem do Athwooda.

Pojechałem do hotelu i położyłem się, obmyślając kilka wariantów planu działania na dzień następny.

Po upływie dwóch godzin zadzwonił Athwood. Charakterystyczny trzask w słuchawce zdradzał, że ktoś nas podsłuchuje.

– Panie Castagno – powiedział – otrzymałem od pana przedmioty zakupione dla profesora Castelfranco. Niestety, nie zostawił mi pan listy zakupów...

Zostawiłem mu listę zakupów, wiedział o tym. A więc szuka pretekstu do spotkania.

– Mister Athwood – powiedziałem – na wykazie sporządzonym przez profesora podkreśliłem te przedmioty, które nabyłem, i obok każdego wpisywałem cenę. Mam tę listę w hotelu, chciałem ją oddać profesorowi...

– Gdyby pan przypadkiem przejeżdżał koło nas, proszę wpaść i podrzucić ją. Chciałbym, żeby wszystko było w porządku. Sprawa jest pilna, bo Algernon de Castelfranco przyjedzie chyba jutro.

24.

Tapurucuara obojętnie wysłuchał wywodów Athwooda. Więc list de la Mazy jest sfałszowany? Jak sprawdziliśmy, nie mając oryginału?

– Pan sędzia nie chciał zostawić oryginału. Dlatego kazałem zrobić fotokopię, bo to uniemożliwia popełnienie jakiegoś błędu przy odpisie. Proszę, oto ta fotokopia. Z jakim oryginalnym listem porównywałem?

– Tak, o to chodzi, panie senatorze.

– Czy pan sędzia zna narzeczoną pana de la Mazy?

– Nie wiem, czy pan de la Maza miał narzeczoną.

- Nazywa się Juana Managua, mieszka przy Avenida San Cristobal 29.
- To dziwne. Nic o niej nie wiemy.
- Czy możemy tam pojechać? Zaraz?
- Proszę.
- Chciałbym mieć więcej świadków przy tej konfrontacji. Jeden z naszej strony, drugi wskazany przez pana.
- Podwiózł mnie tutaj major Miguel Angelo Paulino, czeka w wozie. Możemy jechać. Kto z panem jedzie?
- Rzecznik śledczy, van Oppens. Był pan przygotowany na taką ewentualność, panie sędzio?

– Na każdą. Pan generał Espaillet pragnie jak najszybciej zakończyć tę niemiłą sprawę. Dlatego muszę być przygotowany na każdą ewentualność.

Dwa samochody zatrzymały się przed pięknym *portico* na Avenida San Cristobal. Z wozu Athwooda wysiadł razem z nim tęgi mężczyzna, nazywał się van Oppens. Był szefem sekcji śledczej, przydzielonej półoficjalnie do dyspozycji komisji Departamentu Stanu. Van Oppens również wpadł na trop Oliveiry i Managuy. W pół godziny po opuszczeniu przez Wynna Avenida San Cristobal złożył odwiedzin Juanie. Od niej dowiedział się, gdzie mieszka Julio Ruiz Oliveira i prosto stamtąd udał się do wyniosłej Kreolki, która traktowała Oliveirę jak własnego syna”.

Van Oppens powtórzył Athwoodowi, co mówiła Managua, kiedy pokazał jej fotokopię listu de la Mazy. Że już widziała taką samą kopię, że list sfalszowany, że wyjaśniła całą sprawę panu Gordonowi, który był u niej przed chwilą. Powiedziała jeszcze, że nikogo więcej nie wpuści, bo ich gonitwa naraża ją na śmierć i że ma dosyć tej całej sprawy, która jej w ogóle nie interesuje.

Weszli do mieszkania: Athwood, van Oppens, Tapurucuara i major Paulino.

Kiedy Tapurucuara przedstawił przybyłych i siebie samego, Athwood, zaskoczony urodą Managuy, zauważył na jej skroni i na kości policzkowej dwa nasiąkłe krwią sińce, silnie przypudrowane. Domyślił się, co tu zaszło.

– Proszę – powiedział Athwood, wręczając fotokopię – może pani przeczyta.

Managua przeczytała. Z doskonale udanym zdziwieniem spojrzała kolejno na wszystkich obecnych.

– Nic nie rozumiem – powiedziała. – Dlaczego mam to czytać? Od dwóch dni dzieją się rzeczy, których nie rozumiem.

Była osłabiona, słała się.

Athwood chciał coś powiedzieć, ale przeszkodził mu Tapurucuara.

– Panie senatorze, pragniemy postąpić w tej sytuacji jak najuczciwiej. Nie chcemy być posądzeni o wywieranie nacisku, czy też wpływu na osobę, którą zresztą widzimy po raz pierwszy w życiu. Dlatego wyjdziemy do hallu, a pan ze swoim sekretarzem...

– To nie jest mój sekretarz – wtrącił Athwood.

– Nie wiem, kim jest ten pan. Członek komisji Departamentu? Tak przypuszczałem. Zostawiamy więc panów... Proszę pani – zwrócił się do Juany – obecny tutaj pan major Paulino przyjaźnił się serdecznie z panem de la Mazą. Niestety, nic nie wie, że miał on tak uroczą narzeczoną. Pan Athwood natomiast twierdzi, że to prawda.

– Nie byłam narzeczoną de la Mazy.

– Przecież od dwóch lat pan de la Maza nawet tutaj mieszkał, w pani domu! – zawołał Athwood.

– Nic o tym nie wiem. Przy sposobności pragnę panu zwrócić uwagę, że takimi posądzeniami pan mnie obraża. Mieszkam z matką, która nigdy nie zgodziłaby się na podobną sytuację...

– Czy pani ojciec zginął w 1930 roku, w okresie pierwszych wyborów Ery Trujillo? – wtrącił Tapurucuara. – Tak poinformował mnie, dzisiaj pan senator.

– Mój ojciec zmarł na raka.

– Dziękuję pani – Tapurucuara skłonił głowę. Zwrócił się do milczącego majora: – Możemy wyjść.

Słychać było ich oddalające się kroki. Athwood wskazał fotokopię.

– Czy to jest pismo pana de la Mazy?

– Nie znam pisma pana de la Mazy. Spotkałam się z nim kilka razy, przypadkowo, w jakimś większym towarzystwie. Nic nas nie łączyło.

– Dlaczego pani kłamie? – zapytał van Oppens.
– Jeżeli jeszcze raz powie pan coś takiego, poproszę, żeby pan opuścił mój dom.

- Nie przypomina sobie pani moich wczorajszych odwiedzin?
- Owszem, był pan tutaj.
- Powiedziała mi pani...

Spojrzała błagalnie.

– Nic nie powiedziałam. Kazałam panu stąd wyjść i wyprosiłam sobie, by zaprzęto mi głowę podobnie nonsensownymi historyjkami. Dzisiaj jeszcze raz to powtarzam. Błagam!

– Co się z panią stało? – zapytał Athwood.

– A co z panami?

– Pan Gordon...

– Owszem, był tu także pan Gordon. Pół godziny przed wyproszeniem z mojego domu tego pana – wskazała ruchem głowy na van Oppensa – wyrzuciłam stąd pana Gordona... Do widzenia panom!

Podeszła do drzwi i zawołała:

– Panie sędzio!

Usłyszałem szybkie kroki odbite echem kilku otwartych na przestrzał pokoi. Tapurucuara wszedł pierwszy, chował coś do kieszeni. Athwood pomyślał, że to aparat podsłuchowy.

– No więc? Panowie znają już prawdę? Przykro mi, panie senatorze, ale ktoś wprowadził pana w błąd.

– Wiem kto – odparł Athwood. – Wiem tak samo dobrze, jak pan.

Tapurucuara nie odpowiedział.

– Jest mi niezmiernie przykro – zwrócił się do Juany – że niepokoiiliśmy córkę tak wybitnego i zasłużonego człowieka, jakim był señor Pedro Martinez de Managua.

Managua nic nie powiedziała. Odezwał się major Paulino:

– Proszę pani, prawdopodobnie dojdzie do rozprawy sądowej lub sprawy prowadzonej przez trybunał OPA.

– Co to jest OPA? – zapytała Juana.

– Organizacja Państw Ameryki. Czy przed sądem lub takim trybunałem powtórzy pani to, co dzisiaj usłyszał pan senator?

– Nie rozumiem pana, majorze, przecież nie mogę wymyślać czegoś innego.

– Mój sekretarz przedłożył na tej rozprawie kopertę adresowaną do pani ręką kapitana de la Mazy – powiedział Athwood.

– Nie istnieje taka koperta. Pan de la Maza nigdy do mnie nie pisał.

– Czy dlatego, że tutaj mieszkał? – zapytał van Oppens Jego basowy głos dudnił w mieszkaniu jak w studni.

– Po raz drugi zarzuca mi pan kłamstwo. Gdyby pan nie był przedstawicielem władz USA, zadzwoniłabym na służbę i kazała pana odprowadzić do drzwi.

– Co pani powie na rozprawie o sińcach na twarzy? – zapytał van Oppens.

– Czy to był ten sposób, którym zmuszono panią do milczenia? Wczoraj pani nie miała tych sińców.

– Mam je od tygodnia – powiedziała spokojnie Managua. – Tydzień temu złożyłam na policji doniesienie, że pobił mnie pewien mężczyzna. Interesują pana szczegóły? Ten człowiek, który widział mnie zaledwie kilka razy, od kilku miesięcy prześladował mnie telefonami i nagabywał, żebym się z nim zobaczyła. Odmawiałam mu, wreszcie przestałam przyjmować telefony lub odkładałam słuchawkę, kiedy usłyszałam jego głos. Tydzień temu zjawił się tutaj, ogarnięty furią, bo Dominikańczycy są bardzo porywczy, zwłaszcza wobec kobiet. Uderzył mnie wówczas. Może pan sprawdzić w komendzie policji naszego rejonu. Tam leży moje doniesienie.

– Nie będziemy tego sprawdzać – powiedział Athwood.

– Cieszy mnie, że pan mi uwierzył.

– No więc? – zapytał Tapurucuara. – Przypuszczam, że to panom wystarczy.

– Jeszcze jedno – powiedział Athwood. – Pani zapewne zna pilota Julia Ruiz Oliveirę?

Managua zamyśliła się,

– Zdaje się, że kiedyś słyszałam to nazwisko. Może w tym towarzystwie, w którym przedstawiono mi, pana de la Mazę?

Athwood zapytał Tapurucuarę:

– Panie sędzio, a pan? Oliveira był najlepszym przyjacielem pana Murphy'ego. On, a nie de la Maza.

– Nie przypominam sobie... Może pan powtórzy nazwisko? Jak? Julio Ruiz Oliveira? – wyglądał się Tapurucuara. I do majora: – A pan, majorze?

Major uśmiechnął się do Tapurucuary.

– Znałem go. Ale nie zdążyłem panu jeszcze powiedzieć, panie sędzio. Otóż Ruiz Oliveira, kiedy tylko dowiedział się o zamordowaniu Murphy'ego, ukraść jego wszystkie pieniądze i uciekł w niewiadomym kierunku. Policja dokłada wszelkich starań...

– Panie majorze – powiedział Athwood – kogokolwiek szukamy, związanego w jakiś sposób z Murphym, czy też mogącego wyjaśnić sprawę jego śmierci, wy oświadczacie: powiesił się, nie znamy go, zniknął, ukraść, uciekł.

– Życie jest pełne zadziwiających niespodzianek – wtrącił sentencjonalnie Tapurucuara – i nikt temu nie sprostą. Chcieć ścigać niewiadome, czy też nie liczyć się z nieuniknionym, to znaczy nie pojmować samej istoty egzystencji człowieka.

– Panie Athwood – odezwał się major – daję panu słowo honoru, że ścigamy Oliveirę. Nie ze względu na kradzież, ile z uwagi na to, że był on prawdopodobnie świadkiem zabójstwa.

Athwood żartobliwie potrząsnął swoją laską, jakby groził majorowi.

– Nie mówi pan prawdy. Pan Murphy miał przy sobie tylko drobną sumę pieniędzy. Wszystkie jego oszczędności, które pozostały mu po kilku przekazach do matki, umieścił na koncie bankowym. W biurze mam numer jego konta i znam wysokość złożonej tam sumy. Pan Oliveira nie mógł ukraść tych pieniędzy. Dlatego jestem zaniepokojony ucieczką tego świadka – mówił spokojnie Athwood. Spojrzał na Managuę.

– Przypomnieć pani towarzystwo, w którym, spotkała pani Oliveirę? To było w „La Habana”, w dniu przylotu pana Murphy'ego do Ciudad Trujillo.

Managua powiedziała:

– Do widzenia, panie senatorze. To przestało być irytujące i staje się zabawne, kiedy pan przedstawia się jako człowiek znający o wiele lepiej moje życie i moich znajomych niż ja sama. „La Habana” jest chyba takim podrzędnym nocnym lokalem. Nigdy w takich nie bywam. I po raz pierwszy w życiu

słyszę o jakimś przylocie jakiegoś pana Murry...

– Murphy – poprawił Tapurucuara.

Athwood przyjął wyciągniętą dłoń Juany. Poczuł, że jej ostry paznokieć wbija się w jego nadgarstek, dostrzegł jej rozpaczliwe spojrzenie. Nieostrzeżenie dla innych, żegnających się z Managuą, położył na stole srebrną zapalniczkę.

Kiedy znaleźli się w hallu, powiedział:

– Zostawiłem zapalniczkę.

Tapurucuara: – Przyniosę panu.

Athwood powstrzymał go.

– Ależ nie, dziękuję – i pośpieszył w kierunku salonu.

Wyprzedziła ich Managua, mówiąc, żeby poczekać; sama przyniesie. Tapurucuara cofnął się.

– Doprawdy, jest mi przykro, że panią fatyguję – powiedział głośno Athwood, nagle wychodząc jej naprzeciw, kiedy wracała z zapalniczką. Oślał jej twarz plecami przed wzrokiem czekających w hallu.

Kiedy przyjmował zapalniczkę, szepnęła, ledwo poruszając wargami:

– Dziękuję. Przysłać natychmiast Gordona. – I dodała głośno: – Proszę, panie senatorze.

Zatrzasnęły się za nimi ciężkie, okute drzwi. Athwoodowi wydało się, że po ich wyjściu Juana oparła się o nie i wybuchnęła płaczem.

25.

Widzisz, ty zakuta pała – powiedziałem do Escudera po telefonie Athwooda – zapomnieliśmy oddać listę zakupionych rzeczy, kiedy byliśmy w ambasadzie.

– Escudero nie widzieć taka lista, pan. Pan Athwood dzwonić?

– A co myślałeś? Że święty Caralampio dzwonił?

– Pan Castagno śmiesznie mówić. Zakuta pała i święty Caralampio. Święty znać. A co być zakuta pała?

– Twoja głowa.

Pojechałem do Athwooda. Nie byłem zadowolony z tego wezwania: miałem inne plany i nie chciałem znowu pokazywać się w ambasadzie, której wejście było na pewno obserwowane. Liczyłem na donos Escudera, który może jakoś usprawiedliwi te trzecie już dzisiaj odwiedziny u Athwooda.

Athwood był zdenerwowany.

– Dlaczego podsunął mi pan pomysł konfrontacji? Managua kategorycznie zaprzecza. Van Oppens uważa, że to było niefortunne posunięcie.

– Jeszcze dzisiaj, dzięki tej konfrontacji, dostanę nazwę lotniska, z którego wywieziono de Galindeza – odpowiedziałem. – Tutaj, w Ciudad Trujillo, chyba nic nie wskóramy, w każdym razie nic tu nie zmienimy. Mamy jednak szansę dobrania się do nowojorskiej centrali „Białej Róży” albo zdemaskowania siatki tajnych agentów policji Trujillo.

Athwood opowiedział mi przebieg odwiedzin u Managuy. Domyśliłem się natychmiast, że van Oppens ściągnął za sobą szpicla, wchodząc do domu Juany. Kiedy tylko opuścił portico, wleźli tam tajni agenci Tapurucuary, może on sam. Bijąc Juanę i grożąc, sterroryzowali ją. Kiedy Athwood przyjechał, była już „bezbłędnie ustawiona”.

Powiedziałem o tym Athwoodowi.

– Nie wiem, kogo śledzili – odparł – czy pana, czy van Oppensa. Gdzie jest koperta listu wysłanego z Nowego Jorku przez de la Maze? Van Oppens musi ją mieć.

– Nie dostanie jej, mister Athwood.

– A ja? Mnie pan ją powierzy?

– Mister Athwood, po diabła van Oppens łąził do Managuy? Co stamtąd przyniósł, co zdobył? Managua miała kilkanaście takich kopert i mógł ją poprosić o jeszcze jedną albo o wszystkie.

– Van Oppens koniecznie musi...

Przerwałem mu.

– Van Oppens koniecznie musi wybić sobie z głowy, że będę dla niego pracować.

– To jest nasza wspólna sprawa, mister Wynn.

– Nie. Van Oppens pracuje w różnych sprawach dla wywiadu działającego nieoficjalnie i nielegalnie na terenie obcego państwa...

– W Dominikanie generalissimusa Trujillo broni pan praworządności? To brzmi niepoważnie.

– Bronię moich zasad. Pracuję dla legalnie działającej komisji powołanej przez Kongres i zatwierdzonej przez Departament Stanu *United States of America*. Inna rola nie odpowiada mi.

– Co pan chce zrobić z tą kopertą? To przecież dla nas bezcenny dowód!

– Dowód bezwartościowy. Mogą powiedzieć, że właśnie koperta jest sfałszowana przez nas. Umówmy się na razie, że nie ma tego listu. Że to tylko trik, mający zmylić Tapurucuarę.

– Nie może pan tak postąpić.

– Nie mogę przyczynić się do śmierci Managuy. W moim pojęciu to jest ważniejsze.

– Panie Wynn, Beesley ostrzegał mnie przed pańskim sumieniem. Sumienie to niewygodna rzecz w takim klimacie i w takich sytuacjach. Niech pan nie bawi się z nimi w szlachetnego Apacza.

– Nie traćmy czasu, mister Athwood. Jest sytuacja, w której możemy bić w cały bank, w której rzucimy najmocniejsze karty. Van Oppens zapomniał, że musimy działać w ścisłej koordynacji. Kto wie, czy nie odnalazł domu Managuy i mieszkania Oliveiry tylko dlatego, że mnie śledził...

– Oni mają także inne sposoby kontrolowania pana.

– Nie wątpię. Czy jest pan powiadomiony przez nich, co jeszcze zamierza zrobić van Oppens?

– Miał jakiś plan, którego szczegółów nie znam, ale zdaje się, że zrezygnował. Zmienia taktykę po tej, historii z Managuą i po zniknięciu Oliveiry.

– Chyba nie przypuszczał, że Managua radośnie przyzna się do wszystkiego w obecności majora policji i Tapurucuary i że Oliveira oskarży policję o zamordowanie Murphy'ego! Co to za plan? Pan wie więcej, mister Athwood.

– Jutro panu powiem, jaki to plan. A pańskie plany, jeżeli już wyznaczył mi pan rolę koordynatora?

– Proszę uważać, mister Athwood. Za godzinę podam panu nazwę lotniska, z którego wywieziono de Galindeza. Dalej, mister Athwood. Za kilka godzin odlatuje samolot do Nowego Jorku. Tym samolotem pośle pan kogoś

bardzo zaufanego, poda mu pan uzyskaną ode mnie nazwę lotniska, i powie, żeby przekazał ją Beesleyowi. Beesley musi natychmiast tam jechać – to na pewno jakaś dziura w stanie Nowy Jork – i przeprowadzić wszechstronny wywiad. Człowiek, który z tym pojedzie, zaczeka na wynik interwencji Beesleya, przyjmie od niego telefon i natychmiast wróci z tym do Ciudad Trujillo.

– To potrwa bardzo długo – powiedział Athwood.

– Bardzo krótko. Człowiek, którego pan pośle, przekaze nazwę lotniska z Miami. Będzie miał bilet do Nowego Jorku, ale wysiądzie w Miami. Stamtąd zatelefonuje z „The Everglades Hotel”. Ułatwi mu natychmiastową rozmowę przez rządowy kabel pewien człowiek, który mieszka w tym hotelu i pracuje tam dla Beesleya, korzystałem już z jego pośrednictwa. Podam panu jego nazwisko. Pański wysłannik nie może – ale to absolutnie – być obarczony jeszcze jakąkolwiek sprawą. Żadnych innych kontaktów, żadnych rozmów, żadnych zleceń od van Oppensa. Obiecuje mi pan?

– Tak, pošlę kogoś, kto nie miał nic wspólnego z wywiadem i nie będzie podejrzany o żaden kontakt. Moją sekretarkę.

– Ta ruda dziewczyna, która miała przepisać list de la Mazy?

– Ta ruda, mister Wynn. Nazywa się Sally. Jako członek komisji korzysta z dyplomatycznego immunitetu. Kiedy wróci, natychmiast skontaktuję się z panem.

– *That's all right, mister Athwood.*

26.

Pułkownik Abbez przybył z ministerstwa do prezydium policji. Stał przed Tapurucuara w gabinecie majora Angela Paulino, parsknął gniewnie, potrząsał olbrzymią głową i wymachiwał małpimi ramionami.

– Stawiasz na bezkarność, Tapurucuara, ale kiedyś się przeliczysz.

– Liczę tylko na moje olbrzymie zasługi i łaskawą wdzięczność generalissimusa.

– Największe nawet zasługi może przekreślić drobny epizod w życiu zasłużonego. Czasem trzydzieści sekund nierozwagi unicestwia trzydzieści lat ofiarnej pracy.

– To nie jest sprawiedliwe – powiedział Tapurucuara.

– Ale tak jest. Szczycimy się naszym realizmem, liczymy się tylko z tym, co jest. Twoja bójka w „La Habana”, w obecnej skomplikowanej sytuacji politycznej, może rozgoryczyć żołnierzy Gwardii. Dlaczego rzuciłeś nożem w sierżanta Gwardii?

Wczoraj wieczorem, w „La Habana”, siedzieli przy stoliku sierżant i kapral Gwardii Narodowej im. Trujillo, stanowiącej osobistą ochronę generalissimusa, złożonej z Europejczyków, głównie z rozbitków bojówek armii faszystowskich. Tapurucuara nudził się tam, czekając od kilku godzin na zapowiedzianego przez Monikę Gonzales „Jankesa mówiącego po hiszpańsku”; przeczuwał, że będzie nim jego przeciwnik w rozgrywce o sprawę Galindeza i Murphy'ego.

Jankes jednak nie przychodził. Tapurucuara chciał przysiąc się do mocno już podpitych podoficerów Gwardii; jednego z nich znał, sierżanta, byłego członka SS, ale właśnie ten mu powiedział:

„Wynoś się stąd, ty parszywy szpiclu”.

Tapurucuara wrócił na swoje miejsce przy barze i wtedy pijany sierżant zawołał: „Jeszcze nam truciznę wsypiesz do wina, indiańska kanalio”.

– *Atención! Cuidado!* – krzyknął do sierżanta Mulat stojący za kontuarem baru, ale było już za późno. Sierżant, z nożem tkwiącym po rękojeść w plecach osłoniętych jedynie popelinową koszulą, zachwiał się, pochylił całe ciało do przodu, potem do tyłu, znowu do przodu – i wreszcie runął na podłogę, uderzając o nią tkwiącym pod łopatką trzonkiem meksykańskiego noża.

– *Que pasa?* – zawołał kapral – co się stało?

Tapurucuara skinął na dwóch ludzi siedzących przy sąsiednim stoliku i kazał im zaarrestować kaprala Gwardii, towarzysza zabitego sierżanta. Szybko wyniesiono do przyległego pomieszczenia ciało sierżanta. Tam Tapurucuara wyjął nóż z jego pleców i powiedział do Mulata, który gniewnie poruszał cienkimi węsami:

– Słyszałeś, co powiedziała ta biała świnia? Że zedrze ze ścian wszystkie portrety Trujillo i podetrze się nimi.

– Tak – odparł obojętnie Mulat – zdaje się, że właśnie coś takiego powiedział.

Tapurucuara powtórzył Abbezowi te same słowa, które wczoraj wmówił Mulatowi.

– I dlatego rzuciłem nożem. Ponieważ pan pułkownik obawia się niezadowolona Gwardii, powiemy im, że sierżanta zabił kapral, który był z nim w „La Habana”. Powiemy im, że kapral jest aresztowany i stanie przed sądem wojennym. To ich uspokoi.

– Takie historie z nożami trzeba zlecać komu innemu – wtrącił major Paulino. – Nigdy więcej nie angażuj się w coś takiego.

– Rozmawiałem dzisiaj z generalissimusem – powiedział Abbez. – W związku z sytuacją w kraju chce ciebie przenieść do swojej osobistej ochrony. Będziesz jeździć z generalissimusem i jego kierowcą, kapitanem Zacariasem de la Cruz. Musisz jak najszybciej skończyć sprawę Murphy'ego.

– To da się zrobić, kiedy rozgryziemy Gordona. Właśnie w „La Habana” czekałem na Gordona. Nie można go śledzić, bo nikt nie wie, jak on wygląda. Fotografia z wizy sekretarza Athwooda nic nam nie mówi; nie odpowiada żadnej twarzy z tych, jakie widzimy przed ambasadą. To może być ktoś inny, ale w takim razie sztuczka jest o wiele chytrzejsza, niż moglibyśmy przewidywać.

– Ma pan jakiś plan?

– Managua dostała jedną szansę ocalenia, tak jej powiedziałem: musi odzyskać kopertę, którą dała Gordonowi. To ma być pułapka. Kiedy byliśmy u niej z Athwoodem, zrobiła, jak jej kazałem: zegnając się, dała znak, że chce mu coś powiedzieć na osobności. Athwood dał się na to złapać. Wrócił do salonu niby po zapomnianą zapalniczkę i Managua poprosiła go wtedy, żeby Gordon do niej przyszedł. Gordon spodziewa się jakichś rewelacji w sprawie Murphy'ego i na pewno przyjdzie. Wtedy zobaczymy, jak on wygląda, będzie nasz. Coś tam znajdziemy, żeby go zatrzymać.

– Ładnie – powiedział Abbez – bardzo ładnie.

– Tapurucuara – wtrącił major Paulino, zachęcony pochwałą Abbeza – jest geniuszem zbrodni.

– Geniuszem lojalności – poprawił Tapurucuara.

– Jeszcze jedno – powiedział major. – Mój człowiek, panie pułkowniku, którego wysłałem do Buenos Aires dla zabezpieczenia Harriet Claire, nie znalazł jej w „Also Plaza Hotel” ani w żadnym innym. Zgadza się, że nie wróciła samolotem *Pan Am*, i już nie lata z załogą superdacoty. Dzięki małej Nicole, której pozwoliliśmy na romans z oficerem amerykańskiej załogi, Nedom, dowiedzieliśmy się, że Claire została zwolniona z pracy na podstawie depeszy przysłanej do Buenos Aires z Nowego Jorku. Nie wiadomo, co za depesza, i nie wiadomo, jak Claire wydostała się stamtąd. Mamy natomiast odpis telegramu, który Murphy wysłał do Claire na adres w Fort Lauderdale na Florydzie, pensjonat „Koliber”. Pośleliśmy agenta, ale tam jej nie ma. Chyba Murphy wysłał tę depeszę na fikcyjny adres, dla zmylenia śladów.

– Moi panowie – powiedział Abbez. – Ładnie, ale to wszystko nie jest tak ważne, jak sądzicie. Generał Espaillet uważa, że śledztwo w sprawie Murphy'ego będzie umorzona. Staramy się teraz, by być górą w finale tej rozgrywki. Jak dotychczas nieźle nam idzie. Najważniejsze to rozszyfrować Gordona. Człowiek ten ma na pewno ważniejsze zadania w Republice, niż takie głupstwo, jak znalezienie ścierwa Murphy'ego. Przewidziana jest bezpośrednia rozmowa generała Espailleta z ambasadorem, attaché wojskowym i Athwoodem. Otrzyma on odpowiednie zlecenie z Departamentu i w tej rozmowie musimy być górą. Athwood nam nie wierzy, ale jest bezsilny wobec nas. O to właśnie chodzi.

Pułkownik Abbez poczęstował ich hawańskimi cygarami, zakończonymi od strony ustnika słomką. Tapurucuara odmówił.

– Z ilu metrów trafiasz nożem? – zapytał go Abbez.

– Tym meksykańskim z piętnastu, tak żeby zabić albo przynajmniej unieruchomić.

– Ładnie. Jesteś jeszcze silny, Tapurucuara. Ile masz lat?

– Nie pamiętam. Czasem wydaje mi się, że mam pięćset lat i wtedy odczuwam zmęczenie.

– Nie widziałem jeszcze, żebyś był zmęczony albo chory.

– Bo zmęczenia ani słabości nie wolno pokazywać innym, panie pułkowniku. Tak robią biali i czarni, ale Indianie nigdy; chyba że naśladują białych.

– Zamiast zbierać skalpy, znaczysz karby na swoim nożu?

– Tak robią tylko dzieci. Dawniej zbierałem skalpy.

– Kiedy dawniej?

– To było dawniej, niż pan pułkownik może pomyśleć.

– Ciebie jednego nie mogę rozgryźć, Tapurucuara. Generalissimus powiedział mi dzisiaj, że tylko dlatego nie trzymał ciebie w osobistej ochronie, bo nigdy nie wie, o czym ty myślisz. Wie tylko, że lubisz zabijać. Zabiłeś na pewno trzy razy więcej ludzi, niż trzeba było zabić.

– Nigdy nie zabija się więcej, niż trzeba. Gdyby można było zabić więcej, niż trzeba, władcy mogliby spać spokojnie. Nie śpią spokojnie, panie pułkowniku.

– Generalissimus jest spokojny. Powiedział mi dzisiaj, że jest spokojny, ale rozgoryczony. Męczy go władza, chociaż urodził się po to, by zbawić świat i rządzić nim. Świat jest tchórzliwy, moi panowie – powiedział dzisiaj «– już nie liczy się na nim odwaga, talent ani geniusz historii. Na takim świecie Napoleon umarłby jako porucznik. Generalissimus jest geniuszem historii, którego świat trzyma w złotej klatce, którego więzi na tej wyspie, jak kiedyś Napoleona na Elbie. Przypomniał mi dzisiaj, jak Fidel Castro w 1947 roku brał udział w wyprawie przeciw naszej Republice, żeby wzniecić tu rebelię przeciw jego rządóm. To był pierwszy młodzieńczy wybryk Fidela Castro. Dzisiaj generalissimus mógłby załatwić sprawę Kuby w kilka tygodni i bez takiego pudła, jak Jankesi to zrobili. Tak mi powiedział. Ale świat otworzy swój parszywy pysk i zacznie szczeakać.

– Słyszałem, że planuje się nową inwazję na Kubę – powiedział major. – I że Republika nie może się w to angażować.

– Nie może, niestety, nie może. Republika nie może nawet podbić Haiti ani Kuby, ani innych nędznych państw strefy karaibskiej. Cała ta strefa powinna być pod panowaniem generalissimusa. Taki miał być pierwszy krok po zdobyciu przez nas władzy: Trujillo cezarem Wysp Karaibskich. Ładnie. Potem stopniowa agresja na Wenezuelę, Argentynę i całą Amerykę Południową.

– Wojna trwałaby kilka lat, nie więcej – wtrącił major.

– Generalissimus mówił – ciągnął pułkownik – że właściwie przegrał swoje życie, że nudzi go rządy dominikańską hołotą. Generalissimus dusi się tutaj. Zamiast tłumić powstania na krańcach wymarzonego imperium, gdzieś na wybrzeżach Chile czy Urugwaju, musi tłumić strajki konsumentów masła i twarogu, które produkuje jego fabryka przetworów mlecznych, Central Lechera. Oto żałosna nędza życia, moi panowie. Ta hołota, nie kupując twarogów Central Lechera, tłumaczy się, że nie ma pieniędzy, zamiast mówić, że im nie smakują. Boją się tak powiedzieć, żeby nie pójść pod sąd za szkalowanie wytwórni. I boją się powiedzieć, że robią to na znak protestu przeciw polityce generalissimusa.

„Przy pomocy tej właśnie hołoty – powiedział mi dzisiaj generalissimus – chciałem kiedyś zdobyć świat. Ludzie, którzy nie chcą mojego masła śmietankowego ani mojego twarozku, mieli być gubernatorami i dowódcami moich legionów w Wenezueli, Brazylii i Argentynie... Chyba Bóg to przewidział i dlatego odmienił moje przeznaczenie i losy tego kraju. Aleksander Wielki i Cezar mieli więcej szczęścia”. Tak powiedział generalissimus.

Cezar nie produkował twarozku, pomyślał Tapurucuara. Starożytny Rzym nie wynosił pachciarzy na tron.

– To bardzo smutne – powiedział major Paulino.

– Ale generalissimus jest dobrej myśli. Główny Urząd Bezpieczeństwa przedstawił mu pozytywną ocenę sytuacji wewnętrznej... Zgadasz się z tą oceną, Tapurucuara?

– Panie pułkowniku, czytałem ostatnio artykuł Waltera Lippmana o CIA. Lippman pisał, że wywiad, który z przyczyn swojej politycznej tendencyjności podaje własnym władzom fałszywe informacje, przynosi więcej szkody niż pożytku.

– Ty za dużo czytasz, Tapurucuara. Powinieneś mniej czytać.

– Tapurucuara myślał chyba – odezwał się major – o ostatnich sabotażach, strajkach i zamachach bombowych. Jeżeli w tym nie macza palców CIA, to trzeba zająć się bliżej emigracyjną *Partido Revolucionario Dominicano*. Działają z Wenezueli, a w Porto Rico jest centrala. Trzeba uziemić sekretarza tej partii, Ramona Castillo.

– Zawsze czekamy, aż emigracja sama się zagryzie. To jest zupełnie nowa

partia i nim się rozbuduje, mogą ją wykończyć inne grupy w rozgrywce o władzę. Jeżeli tak się nie dzieje, wtedy sami działamy – powiedział autorytatywnie Abbez. – Nie będziemy zmieniać tej taktyki.

– Urząd Bezpieczeństwa robi zbyt optymistyczne sprawozdania. Dlatego cytowałem Lippmana – wyjaśnił Tapurucuara.

– Jeżeli będzie robić pesymistyczne – warknął Abbez – generalissimus zarządzi nowe represje. Znowu przepełnione więzienia, znowu poleje się krew i wybuchną zamieszki. Musimy przeczekać obecną sytuację, nie możemy zwiększać paniki ani rozgłosu wokół tych aresztowań, które i tak są niezbędne.

– Tak, to jest słuszne stanowisko – powiedział Tapurucuara. I pomyślał: Ty rzeźniku, obecną sytuację Trujillo zawdzięcza tobie. Po zamachu na prezydenta Wenezueli, po niedonoszonym pomysle z zielonym oldsmobilem nadzianym dynamitem, który miał rozerwać Betancourta za to, że krytykował Trujillo i zapowiedział podwyżkę podatków z dochodów monopolu naftowych – po tym zamachu Rada Organizacji Państw Amerykańskich zastosowała zbiorowe sankcje przeciw Republice. Dzięki tobie.

Tapurucuare drażniło usypianie czujności Trujillo. Podjudzanie go mogłoby wywołać nawet wojnę domową i wtedy do kilkudziesięciu tysięcy zamordowanych przeciwników Trujillo, do dwudziestu tysięcy trupów Haitańczyków – mogłoby dojść przynajmniej drugie tyle nowych trupów. Taka okazja nie powtórzy się zbyt prędko. Obecnie działają w Republice dwa słabe jeszcze ośrodki partyzanckie i ludzie, których on, Tapurucuara, już wywęszył. Ale nie sypnie ich, bo zamiast tych kilkunastu trupów może doczekać się kilkunastu tysięcy. Warto zaczekać.

Nie przeszkodzi temu, co ma się stać. W ostatnich tygodniach zaaresztowano tysiące osób, setki innych zabito, w San Pedro de Macoris całą studiującą młodzież osadzono w więzieniach. Uciekali za granicę byli współpracownicy Trujillo, niepewni kapryśnych łask dyktatora, przerażeni, że posądzi się ich lada dzień o udział w spiskach i przygotowaniu zamachu na Trujillo. Może powtórzy się 1930 rok, czy też 1954, rok nieudanego zamachu na generalissimusa? Kilka tygodni temu Ramon Castillo zapowiedział w Porto Rico, że Trujillo upadnie w przeciągu dwóch miesięcy.

Drugi miesiąc dobiegał końca.

27.

Pojechałem do Managuy. Uderzyłem o drzwi ciężką kołatką w kształcie tygrysięgo łba – i drzwi otworzyły się natychmiast, jakby Managua na mnie czekała. Zatarasowała mi drogę. Zauważyłem dwa krwiste sińce na jej twarzy.

– Pani mnie wzywała.

– Niech pan lepiej odejdzie!

Staralem się jak najdelikatniej wepchnąć ją do hallu. Zatrzasnąłem drzwi.

– Ten dom jest pod obserwacją – powiedziała.

– Za chwilę wyrzuci mnie pani i zacznie krzyczeć, żebym się tu nigdy więcej nie pokazywał. Może pani nawet kląć, ale tak głośno, by tajni agenci usłyszeli.

– I będę musiała zadzwonić na policję, że pan tu był. Kazali mi.

– Zgoda, ale kiedy wyjdę. Jak się nazywa to lotnisko?

– Czy ma pan przy sobie kopertę, którą panu dałam?

– Tak.

– Powiedziałam im o tej kopercie, bili mnie, musiałam powiedzieć. Zabijają mnie, jeżeli jej nie oddam. Muszę ją mieć.

Podalem Juanie kopertę.

– Obiecałem, że nie narażę pani.

– A jednak mnie pobili.

– Przez kogoś innego. Kiedy panią odwiedziłem, dom nie był jeszcze obstawiony szpiclami. Jak się nazywa lotnisko?

– Amityville, na Long Island.

Nie znałem takiego lotniska i nigdy bym nie pomyślał, żeby szukać go na Long Island.

– Jest pani pewna?

– Octavio mnie nie okłamywał, wszystko opowiadał. Chciał mi zaimponować swoim wtajemniczeniem w sekretne sprawy Republiki.

– Amityville – powtórzyłem głośno.

– Tak. Teraz moja prośba do pana. Powiedziałam im, że pan przeglądał listy, i że nie wiem na pewno, czy pan wziął kopertę, chyba że w tajemnicy

przede mną. Nie przyznałam się, że sama ją dałam. Zagrozili, że zabiją mnie, jeśli jej nie odzyskam.

– No więc odda im pani.

– Nie wiem komu. Przeraza mnie sama myśl, że mogłabym pójść do prezydium policji. Mogą mnie już nie wypuścić. Kaprys jakiegoś funkcjonariusza może mnie zgubić i wtedy nic nie pomoże koperta.

– Czy pani sobie wyobraża, że ja tam pójde?

– Ach, nie! Ale jest wyjście. Odwiedziła mnie wczoraj znajoma moja i Octavia, Monika Gonzales. Opowiedziałam jej wszystko. Powiedziała, że chyba zna pana, bo pan zdaje się pytał ją o mój adres. Ale ona nie wie na pewno, czy jest pan tą samą osobą. Czy to prawda, że pan o mnie pytał?

– Nie przypominam sobie.

– Monika tańczy w „La Habana”. Tam przychodzą różni ludzie z policji, ona zna niektórych i obiecała mi, że odda kopertę komu trzeba. Bo ją także ktoś przesłuchiwał w sprawie Octavia i wspomniał jej, że już ze mną rozmawiał. Ona go zna i odda mu kopertę. Tak będzie najlepiej.

– Niech pani pošle kopertę przez kogoś ze służby.

– Nie, nikt nie może o tym wiedzieć. Nie mam zaufania do służby, to są ludzie, których polecił Octavio. Pan powie Monice, że koperta się znalazła, nic więcej.

– Będą mnie śledzić, jeżeli dom jest obstawiony.

– Pan ma samochód. Pan im ucieknie, można kluczyć po mieście. Zresztą, jeżeli tutaj pana poznają, wtedy nie ma już znaczenia, że zobaczą pana w „La Habana”. Przed chwilą pana widzieli i wiedzą, że pan zabrał kopertę. Nic pan nie ryzykuje.

– Może tak zrobię... Chciałbym zresztą poznać Monikę Gonzales. Czy wspominała jej pani, że pytałem o nazwę lotniska?

– Ależ nie! Prędzej umarłabym ze strachu. Moja matka dostała ataku serca, nie wiem, czy z tego wyjdzie... Widział pan moją twarz? Na ciele mam kilkanaście takich sińców. Błagam, niech pan to odda Monice.

Włożyła kopertę do, bocznej kieszeni mojej marynarki.

– Dobrze.

– Teraz wypchnę pana za drzwi. Dziękuję panu za wszystko. Proszę tu więcej nie przychodzić, pod żadnym pozorem!

Wsiadłem do wozu i, nie obejrzawszy się, odjechałem spod domu Managuy. Wjechałem na hałaśliwe ulice śródmieścia, skręcałem wciąż w wąskie zaułki i wyjeżdżałem z nich, by w nagłym wirażu znowu zniknąć w jakiejś bocznicy. Po dwudziestu minutach zatrzymałem wóz na jednej z ulic starej dzielnicy Ciudad Trujillo, w pobliżu „La Habana”.

Obok baru, przy ukośnie przystawionym do ściany stoliku, siedziała Monika Gonzales. Mulata ani gitarzysty nie zauważyłem.

Ukloniłem się i zapytałem głośno, czy można przy niej usiąść.

Skinęła głową.

– Gdzie Mulat?

– Razem z moim akompaniatorem w prezydium policji. Zeznają w sprawie zabicia jakiegoś sierżanta Gwardii Trujillo.

– Kto go zabił?

– To się jeszcze okaże, kto go zabił. Miał pan przyjść do mnie wczoraj...

– Jeżeli ta awantura działa się wczoraj, dobrze się stało, że nie było mnie w „La Habana”. Monika, przyjeżdżam od Managuy. Prosiła, żebym wręczył pani kopertę...

– Ach, tak! Więc to pan! Rozmawiałam z nią o tym. Miała ogromne przykrości przez pana. Jest pan bezwzględny i narazi pan wszystkich, byle tylko zdobyć jakiś mało ważny szczegół.

– Managua nie cierpi przeze mnie.

– Przecież pan jest Gordonem, sekretarzem Athwooda.

– Nie.

– Teraz już nic nie rozumiem.

– Managę odwiedziło dwóch zainteresowanych tą samą sprawą – celowo dezorientowałem Monikę. – Ja jestem tym drugim, a kopertę dał mi ten pierwszy.

– Nie mógł sam przyjść do Managuy?

– Nie. Musiałem go wyręczyć – kłamałem dalej, by jeszcze bardziej skomplikować możliwość identyfikacji mojej osoby.

– Byłam przekonana, że pan jest Gordonem. Więc kim pan jest? Jak się pan obecnie nazywa, gdzie pana można znaleźć?

– To zbyteczne, jeżeli ja wiem, gdzie panią można znaleźć. Załóżmy jednak, że jestem Gordonem. Pozostajmy przy tym.

– Po zabiciu sierżanta Gwardii „Habanie” grozi zamknięcie. Prawdopodobnie wszystkie nocne lokale będą zamknięte. Orientuje się pan chyba w sytuacji?

– Widziałem w mieście mnóstwo patroli policji i wojska, słyszałem o licznych aresztowaniach. Nie wiem, o co tu chodzi.

– Zapowiedziano zamach na Trujillo. Czy pan nie domyśla się, kto tym razem inspiruje całą zabawę?

– Nie wiem.

– Nikt nic nie wie. To straszne: żyć w kraju, w którym nigdy nic się nie wie.

– Wie się, że rządzi Trujillo. I to wyjaśnia wszystko.

– U nas zatracono zdolność tak łatwego rozpoznania. Czy zrobiono fotokopię tej koperty?

– Nie. Gordon nie przekazał jej Athwoodowi. Oddaje ją na własną odpowiedzialność, ponieważ nie chce narażać Managuy.

– Juana ma szczęście, że jest taka ładna. Ale to zabawne. Czy wasz wywiad rezygnuje z dotychczasowych metod?

– Może dali się nawrócić misjonarzom – powiedziałem. – Muszę już iść. Gdyby pytali o mnie, powie pani, że chciałem panią namówić na intymne spotkanie, u mnie, i pani odmówiła. Dlatego wyszedłem urażony odmową. Do zobaczenia, może się jeszcze zobaczymy.

– Czy znalazł pan nazwę lotniska „X”?

– Nie.

– Może ja się coś dowiem. Niech pan uważa, „La Habana” może być obserwowana.

– Jeżeli tak, dlaczego pani chciała ściągnąć tutaj prawdziwego Gordona?

– Miałam coś bardzo ważnego do przekazania w związku z sytuacją wewnętrzną Dominikany i ostatnimi aresztowaniami. Poprosiłam o to spotkanie jeszcze przed wczorajszym zabiciem sierżanta, wtedy „La Habana” nie była obstawiona. Mam coś ważnego dla Gordona.

– Proszę mnie powiedzieć.

– Pan zajmuje się wyłącznie sprawą Murphy’ego.

– Pani wie więcej.

– Centrala zawiadomiła mnie krótkofalówką, że zgłosi się do mnie ktoś, kto poda mi mój numer. I że ten ktoś interesuje się wyłącznie sprawą Murphy'ego, niczym więcej. Mniejsza z tym. Jeżeli nie mogę niczego przekazać ambasadzie za pośrednictwem Gordona, podam to bezpośrednio do Centrali, pojutrze. To zarezerwowany dla mnie dzień kontaktu. Żegnam, proszę na siebie uważać.

28.

Tapurucuara wyszedł z prezydium policji. Jego umysł systematycznie porządkował i utrwał fakty dotyczące dziejów Dominikany. Tapurucuara rozpatrywał przeszłość w kategoriach współczesnych, teraźniejszość zaś w historycznych z dystansem nie obserwatora, ale badacza, który zajmie się nią za sto lat.

W historii nie liczą się zbrodnie, myślał Tapurucuara, historia w kilku wierszach kwituje masowe morderstwa, a od życiorysów ludzi tworzących historię odejmuje liczbę ich ofiar. Trupy zamieniają się w proch nie tylko w ziemi, zamieniają się w popiół również w pamięci potomnych. Ale o głupocie wodzów historia pamięta.

Trujillo jest ograniczony. To chciwy dorobkiewicz nabijający kabzę, szef państwa o mentalności pokątnego maklera giełdowego i gangstera, kupczyk o sprycie koniokrada, któremu nieograniczona władza ułatwiła fantastyczne bogacenie się.

Ta bezgraniczna, zdumiewająca chciwość! Kiedy obejmował władzę, miał uposażenie generała i mnóstwo długów. Dzisiaj jest właścicielem kilku monopolu, jego własnością jest cała sól Dominikany i cały jej tytoń, monopol mleczarski Central Lechera i folwark La Fundation, obejmujący dwieście tysięcy akrów ziemi, rancho San Cristobal i wiele innych, kilkanaście pałaców...

Trujillo jest właścicielem przedsiębiorstw autobusowych i dominikańskich linii lotniczych, stadionów wyścigowych, fabryki obuwia, cementowni, wytwórni mebli, jedyne w kraju browaru, jedynej fabryki pasteryzacji mleka, wielkich hoteli, olejarni, towarzystwa ubezpieczeniowego, monopolu radiowego, telewizji dominikańskiej, przemysłu zbrojeniowego, gazet codziennych, monopolu zapalczanego i drzewnego.

Trujillo zapewnił sobie udziały w przedsiębiorstwach swojej rodziny. Razem z bratem – Arismendi Trujillo y Molina – monopolizuje eksport mięsa i owoców do krajów karaibskich, z bratem Romeo dzieli się dochodami z domów publicznych i lokali rozrywkowych, z bratem Hektorem wpływami z wydawnictw prasowych.

Dzisiaj Abbez, w rozmowie z nim, Tapurucuara, i majorem Paulino powiedział, że oni trzej i kilkuset innych Dominikańczyków, dopuszczonych do współudziału w rządach, dopuszczonych do historycznej misji współtworzenia Ery Trujillo – byłiby niczym, gdyby nie generalissimus. Trujillo dał im władzę i pieniądze, piękne mieszkania i samochody.

„Tak, moi panowie – powiedział Abbez – gdyby nie generalissimus, chodzilibyśmy w sandałach z surowej krowiej skóry, nosilibyśmy lniane albo cągowe portki i sarapy – dery z otworem na głowę – i śmierdziałyby nam nogi”.

On, Tapurucuara, nie miał samochodu ani pięknego mieszkania, ani pieniędzy. Nie dbał o to; to nie przedstawiało dla niego wartości. Chciał zabijać głównie tych uprzywilejowanych przy każdej nadarzającej się okazji i także ich wrogów, wszystkich, których można było bezkarnie zabić. Gardził nimi, jak gardził próżnym i tępym dyktatorem; nie za jego okrucieństwo, wierzył bowiem, że każda władza musi być okrutna, ale właśnie za próżność, tępotę i chciwość, chciwość nędznego peona, który rabuje rancho swojego pana.

Trujillo, myślał Tapurucuara, jest chytry w walce przeciw zbuntowanym konsumentom swojego twarożku, przejmując na własność cały monopol mleczarski. Ale nie starcza mu chytryści w walce z Kościołem, z którym przecież można się dogadać. Jest pomysłowy, nie pozwalając na uruchomienie jeszcze jednej, poza jego własną, konkurencyjnej fabryki obuwia wojskowego – ale brak mu mądrości w walce z komunistami i socjalistami.

I wielki był w marzeniach o panowaniu nad światem, o których wspominał dzisiaj Abbezowi, ale zbyt mały, by rządzić dwoma milionami Dominikańczyków, dwoma, bo reszta to starcy i dzieci. A w tych dwóch milionach pół miliona przerażonych tchórzy, drżących o swoje pesos, o własną skórę, i pół miliona jawnych lub zamaskowanych konfidentów.

Tapurucuara kupił od handlarki owoców duży granat. Rozbił skorupę trzonkiem meksykańskiego noża i, idąc dalej, wydlubował paznokciami ziarnka, które mimo kanciastych ścianek przypominały świeży kawior. Wznosił je do ust, rozgniatał zębami i słyszał trzask tych ziarenek, czuł, jak cierpki sok spływa na suche dziąsła i orzeźwia je.

Zbliżał się moment ostatecznej rozgrywki z człowiekiem, który przedstawiał się jako Gordon. Athwood powtórzył mu, że Managua wzywa go w sekrecie, a kiedy Gordon przyjdzie do Managuy, ta poprosi, żeby kopertę adresowaną przez de la Mazę Gordon odniósł do Moniki Gonzales. Może Gordon nawet nie przyjdzie do Managuy, może tylko zatelefonuje? Z tym trzeba się liczyć i czekać raczej pod „La Habana”. Bo Managuę może pominąć, ale Monikę musi zobaczyć; telefonicznie nie można przekazywać koperty.

Tylko Gordon mógł rozmawiać z Moniką w „La Habana”. Nie przedstawił się, ale pytał przecież o adres Oliveiry. Był później w mieszkaniu Oliveiry, dostał tam adres Managuy i rozmawiał z nią, więc właśnie on jest Gordonem, tak się przedstawił, i ona wezwała go przez Athwooda. Jeżeli tak – rozumował Tapurucuara – to nie musi oznaczać, że Gordon dowiedział się od kogoś o przypadkowej znajomości Moniki z Murphym, Managua, Oliveira i Octaviem... Ktoś z Nowego Jorku mógł skierować Gordona do Moniki Gonzales. To jest myśl! Trzeba się bliżej przyjrzeć temu, co robi Monika. I jej gitarzysty...

I jeszcze jedna myśl: Gordon pytał Monikę o nazwę lotniska, z którego przetransportowano Galindeza. Tapurucuara uśmiechnął się: kiedy go już rozszyfruję, pošlę do niego Monikę, której on nie podał swego nazwiska ani adresu. Niech go odwiedzi i powie, że samolot wyleciał z Amityville. Wtedy Gordon zrozumie, że już mamy go w garści.

I to będzie szach. Groźniejszy niż szach Gordona, kiedy ujawnił trik z Zatoką Rekinów i kilka innych. Po takim szachu daje się mata ruchem dwóch figur. Albo jednym, może nawet tylko tym jednym, zdejmując figurkę z szachownicy... Dzisiaj Gordon wpadnie w pułapkę, musi wpaść.

...Pojechał czarnym packardem do „La Habana”, zatrzymał wóz w pobliskim zaułku.

29.

Dotarłem do bocznej ulicy, na której zostawiłem forda. Kiedy zapuściłem motor, usłyszałem warkot innej maszyny: z sąsiedniego zaułka wyjeżdżał czarny packard. Jadąc, tak nastawiłem lusterko, by obserwować, co dzieje się za mną, i za każdym razem widziałem odbicie packarda.

Rozszyfrowali mnie, pomyślałem, to musiało się wreszcie stać. Znają już mój wóz. W jakimś urzędzie sprawdzą, kto rejestrował tego forda, i tak trafią do „Cosmosu”. Muszę forda gdzieś podrzucić, byle gdzie. Później na piechotę albo autobusem dostać się do ambasady i już jej nie opuszczać... Nie, to na nic. Trzeba podrzucić gdzieś forda i zgłosić w hotelu, że ktoś ukradł. To odwlecze moment zdemaskowania. Może pomyślą, że człowiek, który był u Juany i później u Moniki, dla zmylenia tropu ukradł mój wóz, i po przeprowadzeniu swego planu porzucił maszynę.

W takim razie można na konto tego wymyślonego Gordona zrobić coś jeszcze, coś nader ryzykownego, ale zabezpieczającego mnie przynajmniej do jutra. Dobra, pomyślałem, zaraz to zrobię. Gra wymagała coraz większej precyzji i opanowania.

Spojrzałem w lusterko, packard wciąż trzymał się w znacznej odległości od forda i to oddalenie, jak i szerokie okulary na oczach mego prześladowcy, uniemożliwiły mi zobaczenie jego twarzy. Prócz kierowcy w ścigającym mnie wozie nikogo nie było. A mój plan można przeprowadzić. Nie obejrzałem się ani razu, nie śpieszyłem się – niech mu się zdaje, że go nie widziałem, niech się cieszy!

Skręciłem raptownie w nędzną, prawie wyburzoną dzielnicę, zatrzymałem forda o kilkanaście metrów za rogiem ulicy. Wskoczyłem do najbliższej bramy i ukryłem się za uchylonymi drzwiami.

Usłyszałem szum motoru packarda i nagły zgrzyt hamulców. Trzasnęły drzwiczki, rozległy się szybkie kroki. Szpicel chciał się przekonać, kogo tu odwiedzam, po co się zatrzymałem. Na to czekałem.

Jego dłoń lekko pchnęła drzwi, za którymi stałem. Wcisnąłem się głębiej w kąt utworzony między futryną a zmurszałą ścianą.

Zobaczyłem tył wąskiej czaszki przysłonięty dłonią, która dwoma kościstymi palcami chwyciła klamrę lotniczych okularów, żeby je zdjąć.

Uderzyłem – celując w miejsce ponad dłonią – rękojęścią colta. Ciało zachwiało się, opadło na drzwi i osunęło się na ziemię. Zdarłem z twarzy okulary: u moich stóp leżał sędzia Tapurucuara. Odgiąłem klapę jego bluzy, szukając znaczka tajnej policji – i dotknąłem główkę szpilki wielkości małej perły. Szarpnąłem ją, lecz ukryty zaczep, przymocowany do ostrza szpilki i skierowany zębem ku górze, stawiał opór. Wyrwałem szpilkę razem z kilkoma nitkami bawełny. Obejrzałem ją szybko – i wtedy przypomniałem sobie, że taka sama sztuczna perła była wpięta w krawat „białego Roneya”, tego, który stał kiedyś przed willą Flynna i proponował umycie wozu. Dałem mu wtedy dolara. Później spotkałem go jeszcze raz, pod moim domem...

Wpiąłem szpilkę pod klapę, wyszedłem z bramy. Wyjąłem kluczyk ze stacyjki ford. Wsiadłem do czarnego packarda. Na poduszcze przedniego siedzenia leżał pistolet automatyczny Thompsona, owinięty w starą *tilmas*. Na tylnym siedzeniu zobaczyłem *walkie-talkie*, wojskowy przenośny aparat nadawczo-odbiorczy.

Pojechałem do śródmieścia i zostawiłem packarda w jednej z bocznych ulic. Stamtąd piechotą ruszyłem w kierunku ambasady.

30.

Tapurucuara nasłuchiwał, czekał, aż ford odjedzie. Zaniepokoił się: to zagrał motor packarda, a nie ford. Strzelać za nim? Nie miał przy sobie rewolweru, a szybkostrzelny pistolet automatyczny został w wozie.

Cios Gordona – jeszcze wciąż nazywał tego nieuchwytnego agenta Gordonem – był silny, lecz czaszka Tapurucuary nie pęka od takich uderzeń. Dotknął rany na głowie, wyczuł pod palcami krew. Przytknął chusteczkę do skaleczonej skóry, pozostawił ją tam, po czym wyjął z kieszeni płaskie pudełko z czarnej laki. Otworzył je: wewnątrz była ciemna maść o silnym, ziołowym zapachu. Zanurzył w niej wskazujący palec i starannie wysmarował ranę szczyptą maści.

Lek miał chyba sto lat, może więcej; Tapurucuara odziedziczył po ojcu gliniany garnek wypełniony tą maścią, która jeszcze nigdy go nie zawiodła. Leczył nią rany postrzałowe i zadane nożem, wrzody i ukąszenia zwierząt; miał na ciele kilkanaście dobrze zagojonych blizn.

Wyszedł z bramy i zbliżył się do forda. Klucza w stacyjce nie było.

Teraz kolej na mnie, pomyślał, teraz przyjdzie moja seria. Już wiem, jak Gordon wygląda, gdzie mieszka i jakim posługuje się nazwiskiem. Hotel „Cosmos”, Andrea Castagno. On jest Gordonem. I wiem, że temu Jankesowi pali się grunt pod stopami, że Jankes śpieszy się, że się boi – bo tylko człowiek, który się boi, mógł tak zaryzykować, jak on przed chwilą.

Tapurucuara wiedział, że Gordon zaryzykowałby więcej i dlatego, kiedy się ocknął, udał zemdłego. Gdyby się poruszył, Gordon mógł go zastrzelić, zastrzeliłby na pewno. Teraz trzeba zatrzymać packarda. Wyjść na główną ulicę, złapać pierwszy lepszy samochód, pojechać do prezydium policji...

Zapewne tak się stało, że Athwood oficjalnie wprowadził do Dominikany swojego sekretarza, Gordona, i później ulokował go pod nazwiskiem Castagno w hotelu „Cosmos”. Trzeba przyznać, że to znakomity manewr. Prawdziwy Gordon rzekomo przebywa w ambasadzie, ale przecież nikt go nie widział, chyba obserwatorzy nie mogli go przeoczyć. Więc ten jest Gordonem.

Jeszcze jedno olśnienie: przed przyjazdem komisji Athwooda Abbez otrzymał meldunek z Nowego Jorku, że niejaki Mike Wynn, prywatny detektyw, zajął się sprawą Galindeza i Loretty Flynn, że odwiedza Flynną i kontaktuje się z członkami Komisji do Spraw Ameryki Łacińskiej. Informację taką przysłał sprytny agent, który działa na papierach Alberta Roneya, agent sprzysiężenia „Białej Róży”, pracujący w Stanach dla kilku wywiadów państw Ameryki Środkowej.

Roney otrzymał od Abbeza polecenie zlikwidowania Wynna, jeżeli ten nie odczepi się od sprawy Galindeza. Wkrótce przekazał nową informację: po śmierci Flynną zastraszone Wynn prawdopodobnie wycofał się z imprezy i wyjechał do Kalifornii. Wynn mówił Roneyowi coś o żonie i dzieciach, ale to nie była prawda; nie miał żony ani dzieci, Roney sprawdził. Może chciał

wzruszyć Roneya i uciec? A może zmylił go Kalifornią i przyjechał tutaj? W takim razie gdzie jest Gordon? Nie, niemożliwe; Wynn odpada. Jest tylko jedna możliwość: Castagno wjechał do Republiki jako Gordon i tu przeistoczył się w zainteresowanego cywilizacją prekolumbijską mieszkańca hotelu „Cosmos”, tego właśnie hotelu, z którego zniknął Murphy. Wszystko się wyjaśnia.

I wszystko spełni się do końca.

Tapurucuara dotknął klapy, zaniepokoił się: nie było w niej szpilki z perłą. Przykucnął, obejrzał płaskie kamienie przedsionka, paznokciem przesunął po szczelinach. Lecz nie, tu szpilki nie ma, przecież nie mogła wypaść. Jeżeli nawet, to sama perła, ale ostrze zabezpieczone kolcem musiało zostać w klapie. Wydarł ją Gordon, kiedy Tapurucuara uległ pierwszemu oszołomieniu. Gordon musi umrzeć, bo nikt nie może dowiedzieć się, że zginęła szpilka z perłą. To był najcenniejszy cios Gordona, stokroć bardziej udany niż ten zadany kolbą rewolweru i wszystkie poprzednie. On, Tapurucuara, daje mu podwójny wyrok śmierci. Po takim wyroku nikt jeszcze nie ocalał.

31.

Sekretarka Athwooda, Sally, podała mu plik lewicowych gazet Kuby i Chile, poświęcających sporo miejsca sprawom Republiki Dominikańskiej, i dołączyła do tej porcji wewnętrzny biuletyn Departamentu oraz ukazujący się w Porto Rico informator *Partido Revolucionario Dominicano*.

– Pan Athwood prosił, żeby pan przejrzał – powiedziała ruda sekretarka. – Pan Athwood, mister Castagno, będzie zajęty jeszcze przez pół godziny. Jest u niego van Oppens.

Przejrzałem stos zadrukowanego papieru, wyłapując informacje dotyczące Dominikany. Dowiedziałem się, że senator Charles Porter wznowił atak na Trujillo za porwanie Galindeza i wyjaśnił związek między tą aferą a tajemniczą śmiercią Murphy'ego i de la Mazy.

Senator Porter – czytałem w kubańskiej gazecie – który referował szczegóły zawikłanej sprawy w Kongresie, otrzymał już kilka anonimowych pogróżek.

Po śmierci kongresmana Flynna i jego córki, Loretty Flynn, którzy zginęli w nie wyjaśniony dotychczas sposób – prawdopodobnie za posiadanie i chęć opublikowania dzieła Galindeza pt. *Era Trujillo* – senator Porter chodzi uzbrojony i jest stale otoczony dyskretną opieką policji. Władze obawiają się, że, również Portera może osiągnąć ręką mściwego dyktatora. Niepojęte prawa historii – kończył artykuł – sprawiły, że dwaj inni ludzie wyróżnieni tytułem generalissimusa, a więc hiszpański dyktator Franco i Czang Kaj-szek są tak samo jak Trujillo splamieni krwią wielu ofiar i otoczeni powszechną nienawiścią.

Dowiedziałem się też o strajkach, sabotażach i zamachach bombowych w Dominikanie, o czym oczywiście milczała miejscowa prasa.

Zatelefonowałem do „Cosmosu”, zawiadamiając kierownictwo hotelu, że ukradziono mi wypożyczony u nich samochód. Podałem przypuszczalną godzinę kradzieży i wymyślone naprędce miejsce.

– Doskonale, że pan dzwoni, señor Castagno – mówił maître d'hôtel – bo właśnie jest u nas przedstawiciel policji drogowej w sprawie tego wozu... Tak, dobrze, zaraz mu powtórzę, że pan od dwóch godzin nie jeździł fordem. Cieszy nas, że unikniemy przykrego nieporozumienia. Wóz już znaleziono, ale brak kluczyka...

– Zostawiłem w stacyjce...

– No, jakoś sobie poradzimy, proszę się nie przejmować. Mamy w garażu zapasowy kluczyk... Więc pan od dwóch godzin jest w swojej ambasadzie? To wyjaśnia wszystko, Escudero właśnie mówił, że miał pan telefon z ambasady w sprawie listy zakupów i że musi pan tam przyjechać. Mówiłem panu, señor, że dobry Bóg czuwa nad „Cosmosem”...

Athwood poprosił mnie do gabinetu.

– Van Oppens – zaczął z miejsca – niech mi pan tylko nie przerywa, skontaktował się z panną Harriet Claire jeszcze przed tą nieszczęsną konfrontacją u Juany Managuy... Otóż...

Można powiedzieć, że ścierpła mi skóra. Przerwałem mu:

– To był doskonały pomysł, panie Athwood.

– Otóż – mówił Athwood – van Oppens stawiał na zaskoczenie. Był przekonany, że ściągnie do ambasady Oliveirę oraz Managuę i zaprosi Tapurucuarę w asyście świadków. Chciał zorganizować „uderzeniową” konfrontację o charakterze spięcia, bo przecież Claire spotykała się często z Managuą, de la Mazą i Oliveira. Wyszłoby na jaw, że doskonale się znali z Murphym... Managua i Oliveira mieli pozostać w ambasadzie na prawach azylu, przierzucilibyśmy ich stąd do Nowego Jorku. Van Oppens jeszcze dzisiaj rano był na tropie Oliveiry, który gdzieś się ukrywa...

– To był pierwszorzędny pomysł, panie Athwood – powiedziałem.

– Pomysł ten stwarzał jedyną szansę rozwikłania sprawy. Niestety – ciągnął Athwood – ucieczka, czy też zamordowanie Oliveiry (o czym doniesiono nam przed chwilą), jak i zmiana frontu, dokonana przez przerażoną Managuę, czyni przyjazd panny Claire zbędnym.

Powiedziałem:

– Może nawet nie, jeżeli ludziom Tapurucuary uda się sprzątnąć pannę Claire. Grozi jej śmierć, grozi bardziej niż innym ofiarom tej afery. Oni wiedzą, że Murphy wygadał się przed Harriet o porwaniu de Galindeza.

– Pomyśleliśmy o tym. Panna Claire zawsze przebywała tutaj w mundurze stewardesy. Tym razem przyjedzie w sukni. Zmieni fryzurę, może nawet kolor włosów. Pan wie, jak uczesanie i barwa włosów przeinaczają twarz kobiety... Zjawi się z dokumentami żony jednego z pracowników ambasady. I tak dalej. Nikt jej nie pozna i nikt nie podejrzewa, że odważyłaby się na przyjazd do Ciudad Trujillo. Na to stawiał van Oppens.

– To był cholerny pomysł, panie Athwood.

– Van Oppens wolałby teraz uniknąć przyjazdu pani Claire, ale nie ma mowy o odwołaniu. Wyjechała do innego stanu i stamtąd przyleci do Ciudad Trujillo. Van Oppens nie wie, jak usprawiedliwić w nowej sytuacji manewr zaplanowany w zupełnie innej.

– Może mu pan powiedzieć, że biorę to na siebie. Ja również muszę się dostosować do nowej sytuacji i już wiem, że będę mógł liczyć tylko na pomoc panny Claire.

- Co pan zamierza?
- Poprosić pana, żeby ktoś z ambasady, ktoś nie śledzony jeszcze przez agentów policji dominikańskiej, pojechał na dworzec, po pannę Claire. Niech ją przywiezie do „Cosmosu” i zaprowadzi wprost do mojego pokoju, nie zatrzymując się nigdzie. Będę tam czekać. Van Oppens może zorganizować jakąś dyskretną ochronę na lotnisku i pod hotelem. O której przylatuje samolot?
- O dwudziestej trzeciej. To dobra pora, będzie już ciemno.
- Doskonała pora i doskonały pomysł. Dalej, mister Athwood. Samolotem, który odlatuje za dwie godziny do Miami, wyśle pan sekretarkę z wiadomością dla Beesleya. Już panu przedstawiłem ten plan. Sekretarka przekaże mu nazwę tak zwanego lotniska „X”, z którego wywieziono Galindeza. Następnym samolotem, po telefonie Beesleya, sekretarka wróci tutaj. Może Beesley poda nam coś takiego, co pozwoli szybko skończyć z tą historią. Przygotował pan bilet lotniczy dla sekretarki?
- Wszystko jest załatwione... Jeszcze nie deptają panu po piętach?
- To może się zacząć lada moment. Dzisiaj wolałbym już nie wychodzić. Zamknę się w hotelu i będę czekać na wiadomość od pana. Może pan przyśle gońca z telegramem albo boya z kwiatami i niech on przyniesie mi wiadomość od Beesleya. Wolałbym do pana nie przychodzić.
- Nam także na tym zależy. Jeżeli pana śledzą i dojdą do tego, że właśnie pan zajmuje się sprawą Murphy'ego, znajdziemy się w kłopotliwej sytuacji. Nie zgłosiliśmy pana na oficjalnej liście członków komisji. Czy nie ryzykuje pan zbyt wiele, posługując się nazwiskiem mojego sekretarza?
- Jak dotychczas tylko to mnie ratuje. Ktoś inny zjawia się w różnych miejscach i ktoś zupełnie inny uzyskał wizę na to nazwisko. To musiało ich zdezorientować. Po mojej dzisiejszej rozmowie z pewną tancerką, w pewnym kabarecie, wezmą mnie chyba za van Oppensa.
- Van Oppens nie pochwała tych mistyfikacji.
- Zupełnie tak samo jak ja. Także ich nie pochwalam. Ani pomysłów van Oppensa.

Pojechałem do hotelu.

Wyjąłem szpilkę ze sztuczną perłą, z której obrabowałem dzisiaj Tapurucuarę, i przyjrzałem się jej dokładnie. Na nieco grubym ostrzu, tuż przy nasadzie perłowej główki, było coś w rodzaju mikroskopijnego harpuna, zabezpieczającego szpilkę przed wysunięciem się z materiału, w który ją wpinano. Trzymając za ten kolec, szarpnąłem główkę. Poruszyła się mimo uwięzienia ostrza między palcami. Jeszcze jeden obrót – i perła oddzieliła się od ostrza, wysunęła się, jak z pochewki, w której wydrążeniu ukryte było drugie ostrze, elastyczne i cienkie jak włos.

Nacisnąłem główkę szpilki wspartą o kartkę papieru. Cienki drucik wsunął się o milimetr do wnętrza perły. Na końcu wydrążonego ostrza ukazała się kropelka szarej cieczy. Sprawdziły się moje podejrzenia.

Wyszedłem na korytarz, po którym często wałęsały się koty. Właśnie jeden z nich przykucnął pod moimi drzwiami, wynosiłem mu niekiedy resztki śniadania. Zadarł główkę ku górze. Jedną rękę położyłem mu na karku, a drugą, w której trzymałem główkę szpilki, dotknąłem miejsca za uchem. I lekko, bardzo lekko nacisnąłem.

Kot obnażył zęby, wspiął się na tylnych łapach, przednimi uderzył się po nosie i nagle upadł z wyciągniętymi jak patyczki kończynami.

Zamknąłem drzwi. Już wiedziałem, jak zginął Sergio Bencosme, jak zabito Lorette i jej ojca. Ktoś, pod jakimś pretekstem lub bez powodu, usiadł obok Flynnna w wozie, taką szpilką dotknął jego głowy i wysiadł. W każdym ze znanych mi wypadków tajemniczych śmierci morderca nakłuwał owłosioną skórę głowy i dlatego nigdy nie znaleziono śladu nakłucia. Nie znaleziono by go również u mnie, gdyby nie pośpiech w rozmowie z Roneyem, pod moim domem. Roney dotknął szpilki tkwiącej w krawacie i zbliżył się, ale wsiadłem do wozu i zatrzasnąłem drzwiczki.

Przekonałem się też, że sztyft igły, zaopatrzony w ostry ząbek skierowany ku górze, pozostawał w tym materiale, w jaki był wpięty; wystarczyło dwoma obrotami przekręcić samą perłę – i wtedy wysuwało się z pochewki ostrze napełnione koncentratem jakiejś niezwykle silnej trucizny, działającej gwałtowniej niż kurara i szybko absorbowanej przez organizm.

Czy posiadanie takiej perły było przywilejem wtajemniczonych w sprzysiężenie „Białej Róży”? Czy „biały Roney”, którego spotkałem dwukrotnie w Nowym Jorku, należał również do sprzysiężenia?

Ostrożnie wsunąłem ostrze w sztyft szpilki i przekręciłem dwukrotnie perłę. Wpiąłem ją w wewnętrzną stronę marynarki, tuż pod pachą. Zatrzasnąłem okno i zamknąłem drzwi. Wkręciłem w otwór zamka automat zabezpieczający przed włożeniem klucza lub wytrychu z zewnątrz. Wsunąłem colta pod poduszkę i położyłem się spać.

32.

Beesley nie miał chwili spokoju. Członkowie przeróżnych komisji OPA zadreęczali go nierozsądnymi pytaniami i fantastycznymi pomysłami. Od czasu do czasu przeżywał nalot reporterów, lecz nie był upoważniony do informowania ich bez zgody Rady Komisji. Kilkakrotnie rozmawiali z nim ludzie z CIA i CIC, i tym musiał przedstawić aktualny stan śledztwa. Ale nie dowiedział się od nich, o czym wiedzą sami i co zamierzają. Zorientował się tylko, że w Ciudad Trujillo wykorzystują dzięki pośrednictwu Athwooda materiały zebrane przez Wynna i że obserwują go tam.

Dowiedział się też, że niesłychana afera z porwaniem Galindeza, śmiercią Flynna i jego córki oraz zaginięcia Murphy'ego – z pominięciem sprawy Thoeny – zakończy się zapewne rozprawą sądową przeciw trzeciorzędnym figurkom, epizodycznym statystom wielkiego morderstwa. Ale finał najmniej go interesował; nie był szefem FBI ani Dullesem, ani przewodniczącym Sądu Najwyższego USA. To były ich sprawy.

Agent z Miami, zbierający poufne materiały dotyczące państw strefy karabskiej, doniósł telefonicznie o przybyciu do „The Everglades Hotel” sekretarki Athwooda i przekazał mu uzyskane od niej informacje wraz z nazwą lotniska „X”: Amityville. Powiedział, że razem z sekretarką Athwooda czeka przy telefonie na wynik jego interwencji w Amityville. Beesley ucieszył się: nareszcie

błysk światła w tej ciemności, nareszcie nitka, która wskaże im drogę do nowojorskiej centrali „Białej Róży”. Natychmiast zawiadomił tak zwaną ekipę operacyjną; mieli po niego przyjechać trzej agenci. Czekając na nich, połączył się z lotniskiem.

- Kto przy telefonie?
- Henry Kowalsky, lotnisko Amityville. O co chodzi?
- Halo! Czy pan jest dozorcą lotniska?
- Mamy tu jednego dozorcę, on mieszka w dyżurce, przy bramie. Właśnie pan dzwoni do dyżurki. Ale on wyszedł i ja tymczasem siedzę za niego.
- Kim pan jest?
- Mechanik. A o co chodzi?
- Jak nazywa się ten dozorca? Gdzie on jest?
- Ralph Bulloch. Tak się nazywa. On poszedł coś zjeść. Jakie dwieście metrów stąd mamy bar, gdzie można coś zjeść. Mam iść po niego, czy nie trzeba iść?
- Nie trzeba, dziękuję, Henry. Jak nazywa się ten bar?
- „Niagara”. Mam numer telefonu „Niagary”. Jak Ralph jest potrzebny, to się do niego dzwoni i on zaraz przychodzi. Dać panu?

Beesley zapisał ten numer.

Zadzwoił do „Niagary”, poprosił pana Bullocha.

- *Morning, mister Bulloch, how do you do* – zapytał Beesley.
- *How do you do* – odparł Bulloch. – Kto mówi?
- Panie Ralph, czy nie przypomina pan sobie takiego dnia, w którym na wasze lotnisko przyjechał ambulans, wie pan, samochód sanitarny...
- Tak, raz zdarzyło się coś takiego rok temu. Myślę, że to było dwunastego marca.
- Tak, świetnie, o to chodzi. Niech pan zaraz wraca na lotnisko i tam czeka na mnie. Ale natychmiast proszę tam iść.
- Tak będzie, już idę. Ja pamiętam nawet numer ambulansu. Wynosili jakiegoś gościa na noszach, a ten pilot phoenixa...
- Dosyć! Bulloch, niech pan nic nie mówi przez telefon! Proszę natychmiast iść do dyżurki.

Beesley spojrział przez okno. Wóz ekipy operacyjnej już czekał, w nim kierowca i dwaj agenci.

Niecierpliwiał się, przeklinał natłok wozów. Nie tak łatwo przedrzeć się na Long Island przez ruchliwe ulice Brooklynu. Był jednak w doskonałym nastroju.

Nareszcie, Amityville. Wjechał w bramę lotniska, na którym stały dwie sportowe maszyny, częściowo okryte pokrowcami.

Beesley zapukał do dyżurki.

Nikt nie odpowiadał.

Pchnął drzwi, otworzyły się. Pochylił głowę – futryna była nisko sklepiona – i wszedł do wnętrza.

Na wyplatany fotelu siedział Ralph Bulloch, z głową opuszczoną na ramię. Jego wargi były nienaturalnie zwężone i ściągnięte bólem. W źrenicach utrwaliło się przerażenie. Nie żył.

Beesley powiedział do agenta, który stał za nim:

– Jed, podjedź do baru „Niagara”, który minęliśmy przed wjazdem na lotnisko. Zobacz, kto tam jest i dowiedz się, kto tam był, kiedy Bulloch odbierał mój telefon.

– Tak, szefie.

Beesley wezwał drugiego agenta.

– Biegnij do hangaru i przyprowadź ludzi, którzy tam są. Będzie tam jakiś Henry Kovalsky. Dawaj go tutaj.

Został sam. Obejrzał dokładnie szyję zmarłego, jego dłonie, każdy obnażony skrawek skóry. Ralph był łysy. Beesley spojrział na lśniąca skórę jego głowy i dostrzegł kropelkę krwi, tuż przy uchu.

Rozejrzał się. W kącie dyżurki, nad umywalką, leżała brzytwa obok słoika z jakimiś tabletkami. Na małym, szczelnie zamkniętym słoiku zauważył napis: *Delta-Butazolinide Geigy*. Pod spodem ktoś dopisał ołówkiem, koślawymi literami: „Na reumatyzm i lumbago”. Wysypał tabletki do zlewu i chusteczką wytarł dokładnie wnętrze słoika.

Otworzył brzytwę i głęboko naciął skórę czaszki Ralpha wokół kropli krwi. Skrawek skóry oderwanej od kości wrzucił do słoika i zamknął go szczelnie.

Przesłuchał obu mechaników. Henry zeznał, że natychmiast po przybyciu Ralpha z „Niagary” poszedł do warsztatu; wchodzi się tam przez hangar. W warsztacie grał w karty z kolegą. Nic nie wie, nic nie słyszał, nikogo nie widział. Prócz Beesleya nikt więcej nie telefonował do dyżurki i nikt o Ralpha nie pytał.

Drugi mechanik powiedział, że Bulloch nie miał wrogów. Nie miał także żadnej rodziny. Do dyżurki chyba nikt nie wchodził; on tak myśli, że nikt nie wchodził, bo w warsztacie było otwarte okno i oni usłyszeliby skrzypienie bramy albo drzwi, albo jakiś krzyk, a już na pewno warkot silnika samochodowego. Obaj, on i Henry, mają doskonały słuch; byli wywiadowcami na Okinawie.

Agenci przeszukali dokładnie dyżurkę, hangar i wszystkie inne zakamarki lotniska. Niczego nie znaleźli. Beesley zawiadomił o śmierci Bullocha policję federalną, sprawa Galindeza im podlegała.

Wrócił Jed. Powiedział, że w „Niagarze” od kilku godzin siedzi kilku stałych bywalców tego baru, mieszkają na Long Island. Od dwóch dni zaglądał tam jakiś obcy gość, był w kapeluszu, ale miał chyba białe włosy Barman powiedział, że czasem prztykał palcami, i że ten biały facet był także wtedy, kiedy Bulloch odbierał telefon i mówił o ambulansie, o dwunastym marce, i że zaraz wraca na lotnisko... Nie, ten biały nie wyszedł z Niagary za Ralphem. Wyszedł wcześniej, kiedy Ralph stał przy telefonie i rozmawiał.

Wracając z lotniska, Beesley sam sprawdził w „Niagarze” informacje, które uzyskał za pośrednictwem Jeda. Nikogo więcej nie trzeba szukać, pomyślał, mordercą jest „biały facet” i trzeba szukać białego, który strzela palcami. Przejrzeć wszystkie kartoteki, zażądać od FBI, by wypuściła na miasto kilkuset swoich ludzi. Obserwować mosty i przystanie Long Island.

Musi dostać białego, który strzela palcami. Z dyżurki lotniska dzwonił już po ekipę śledczą i był przekonany, że lekarz poda takie same nieokreślone przyczyny zgonu, jak w wypadku Sergia Bencosme, Flynna i Loretty.

Zastanawiał się, kto w Amityville mógł go uprzedzić? Trzeba zacząć od tych, z którymi kontaktował się Wynn. Może Juana Managua, która podała mu nazwę lotniska? Raczej nie. Czy Wynn był na tyle nieostrożny, by wspomnieć komuś, że szukają nazwy lotniska „X”? Wiedział o tym Athwood, wiedziała jego sekretarka i wiedział człowiek z „The Everglades Hotel”, który przekazał mu z Miami wiadomość przywiezioną przez sekretarkę Athwooda.

Może jego telefon do „Niagary” spowodował lub przyspieszył śmierć Bullocha? Nonsens. Ten biały i tak czekał na odpowiedni moment, czekał już od dwóch dni, obserwował rozkład zajęć Bullocha, zorientował się, kiedy Ralph wychodzi do baru i kiedy wraca, gdzie przebywają mechanicy i kiedy dozorca jest sam. Wiadomość o tym, że Wynn znalazł nazwę lotniska, dotarła tutaj wcześniej niż do Beesleya ten „cynk” z Miami. A więc?

Człowiek, który dowiedział się, że Wynn już znalazł nazwę lotniska, nie zdążyłby przekazać jej do Nowego Jorku, bo przecież biały czatował dłużej. Mógł to zrobić ktoś, kto dowiedział się, że Wynn szuka tej nazwy. I właśnie wśród tych wszystkich ludzi Wynn musi rozejrzeć się w Ciudad Trujillo. Jemu, Beesleyowi, pozostało jedno zadanie: znaleźć białego faceta, który strzela palcami.

Pojechał do biura i zażądał bezpośredniej rozmowy z Miami.

Człowiek z „The Everglades Hotel” zgłosił się natychmiast.

– Doskonale, że pan dzwoni... Dobrze, proszę dyktować, przekażę, to do Ciudad Trujillo... Tak, ta pani czeka, jest u mnie, nigdzie stąd nie wychodziła... Za godzinę odlatuje samolot do Dominikany, mamy zarezerwowane miejsce... Doskonale, że tak szybko pan zatelefonował.

Uproszczonym szyfrem przekazał zwięzłą relację ze swoich odwiedzin w Amityville i w barze „Niagara”. Wspomniał o białym, polecił sprawdzić wszystkich, którzy wiedzieli, że Wynn szuka miejsca, z którego wywieziono de Galindeza.

W godzinę później z lotniska International w Miami odleciała do Ciudad Trujillo sekretarka Daniela Athwooda.

33.

Posłaniec z kwaciarni przyniósł do „Cosmosu” bukiet *jacintos*. Nie zgłaszając się w recepcji wszedł, wprost do mojego pokoju. Upewniwszy się, że jesteśmy sami, wręczył mi zalakowaną kopertę.

Odesłałem go. Sprawdziłem klej i pieczęcie. Koperta była nienaruszona. Znalazłem w niej pismo Athwooda i przeznaczone dla mnie sprawozdanie

Beesleya. Kiedy przybył do Amityville, Ralph Bulloch już nie żył. To było najważniejsze. A więc ktoś mnie uprzedził, ktoś, kto wiedział, że szukam tej nazwy, a nie, że już znalazłem. W ambasadzie nikt nie wiedział o moich poszukiwaniach, nawet van Oppens. Athwoodowi powiedziałem, że dowiem się, ale dopiero na dwie godziny przedtem, nim ją dostarczyłem. Że szukam tej nazwy, wiedziała Managua. I Monika Gonzales. Ona pierwsza o tym usłyszała, kiedy Mulat przywołał ją do mojego stolika w „La Habana”.

Przywołałem Escudera i zapytałem go, czy zna panią Monikę Gonzales. Dodałem, że przedstawiono mi ją w „La Habana”, i że chciałbym zjeść z nią kolację.

– Escudero nie znać pani Gonzales, nie znać „La Habana”. Escudero znać jedna ładna pani, inna druga ładna pani. Pan chceć, Escudero przyprowadzić ładna pani. Mieć wielka przyjemność z ładna pani, pan.

Łże, pomyślałem, jakby mu za to płacili. Zresztą płacili. Za pośrednictwem Escudera Murphy posyłał kwiaty Monice i zrobił to prawdopodobnie rano, po nocy spędzonej z nią w „Cosmosie”. Jeżeli posyłał kwiaty przed południem, Escudero zanosił je zapewne do domu Moniki, znał więc jej prywatny adres.

Kazałem mu się wynosić.

Przeczytałem kartkę od Athwooda. Pisał, że otrzymał z Departamentu Stanu szyfrogram, który nakazuje mu zakończyć, raczej umorzyć śledztwo prowadzone przez Komisję Kongresu. W Stanach przygotowuje się proces przeciw ludziom wmieszanym w porwanie Galindeza. Tutaj nic więcej nie osiągniemy, to oczywiste; spójrzmy wreszcie nieco realniej na sprawę. Powinienem najpóźniej jutro wieczorem opuścić Ciudad Trujillo, razem z Harriet. Bilety są zarezerwowane na każdy lot, jak prosiłem. Dzisiaj przylatuje Castelfranco, tym samym samolotem, co Harriet.

Mój wyjazd jest tym pilniejszy – pisał Athwood – ponieważ nie można dopuścić do mojego spotkania z profesorem Castelfranco. Profesor był uprzedzony, że ktoś z polecenia ambasady poczyni pewne przygotowania do jego badań, nie wtajemniczano go jednak, że pan Castagno występuje oficjalnie jako jego asystent. Tak więc Athwood poleca zlikwidować wszystkie sprawy związane z powierzoną mi przez Komisję Kongresu misją i zerwać wszelkie kontakty. Dalej: Athwood spotka się z generałem Espaillem, który uzyskał

pełnomocnictwo Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Dominikany dla samodzielnych pertraktacji z komisją.

Jeszcze kilka słów na zakończenie: Athwood dziękuje mi za bezcenną pomoc okazaną komisji; wynagrodzenie przekażą mi w Nowym Jorku. Wolałby uniknąć w Ciudad Trujillo jeszcze jednego ze mną spotkania, z uwagi na dobro sprawy. Prosi też, bym natychmiast zniszczył oba pisma, jego i Beesleya. Wystarczy rozżarzoną papierosów dotknąć koperty i obu kartek; pozostanie z nich taki popiół, jak po wypaleniu cygara.

Dotknąłem tych papierów rozżarzoną papierosów. Pozostał sypki i jasny popiół, jak po wypaleniu dobrego cygara.

Więc już „zlikwidowali swoje sprawy”, może się dogadali, może tylko zaczęli się na jakiś czas.

Ja natomiast miałem jeszcze coś niecoś do załatwienia w stolicy Republiki Dominikańskiej.

34.

Abbez otrzymał wiadomość, że generalissimus opuszcza stolicę i wróci zapewne po północy. Zawiadomił go o tym kapitan Zacarias de la Cruz.

- Czy generalissimus jedzie z panem?
- Tylko ze mną, panie pułkowniku! Ładnie. Koniec rozmowy.

Abbez o nic więcej nie pytał: dokąd, do kogo, którędy, po co... Nawet jemu, Abbezowi, nie wolno było zadawać takich pytań. Do obowiązków kapitana de la Cruz należało przekazywanie lakonicznych informacji, o resztę zaś musi się martwić Główny Urząd Bezpieczeństwa Rządu, szef sekcji osobistej ochrony generalissimusa, Gwardia im. Trujillo oraz agenci służby wywiadowczej A-2.

Abbez wiedział, że jeśli Trujillo wyjeżdża w asyście kapitana Zacarias de la Cruz, bez osobistej ochrony, to znaczy, że jedzie do jakiejś kobiety; spotykał się z nimi – lub z kimś innym – w jednej z dwunastu swoich rezydencji położonych wokół stolicy. W każdej z nich oczekiwały go różne typy limuzyn i

szafy z pełnym kompletem uniformów, ubrań, obuwia, kapeluszy, czapek, orderów, broni... W każdej z dwunastu wspaniałych rezydencji, pilnie strzeżonych i zatrudniających liczną służbę, trzy razy dziennie przyrządzano ulubione potrawy Trujillo. Prasa zagraniczna komentowała naiwnie, że chodzi tu o kaprysy dyktatora, który zajeżdżając do jednej z tych rezydencji, pragnie zastać na stole to, co lubi.

Abbez wiedział, że szło o stokroć ważniejsze sprawy niż fantazja generalissimusa. Załogi i obsługa w każdej z tych willi nigdy nie powinny były orientować się, kiedy Trujillo tam się zjawi. W niektórych pałacach pokazywał się raz na kilka miesięcy, w innych przebywał co kilka dni i po kilka dni z rządu, jeszcze inne omijał przez pół roku i stale zmieniał ten rozkład. Ale w każdej minucie dnia i nocy oczekiwano go w dwunastu rezydencjach.

Z tej także przyczyny kierowca jego i zarazem adiutant, kapitan de la Cruz, w interesie całkowitego bezpieczeństwa Trujillo podawał jedynie, że generalissimus wyjeżdża i określał przypuszczalny czas powrotu. Nawet specjalne wydziały policji nie były informowane o szczegółach, ponieważ Trujillo nikomu tak dalece nie ufał. Tym bardziej że dość częste wyjazdy do okolicznych rezydencji należały do strefy intymnych przeżyć prawie siedemdziesięcioletniego generalissimusa.

W tajnych aktach GUB – Głównego Urzędu Bezpieczeństwa – zgromadzone już kilkaset nazwisk bohaterów jego jednodniowych, czy też dłużej trwających miłostek. Trujillo był rozpustny i sprośny, był także niebezpieczny i mściwy, jeżeli natrafił na opór upatrzonyj dziewczyny.

Tak więc Abbez wiedział, że generalissimus wyjeżdża do kobiety, wiedział także do której i wiedział, gdzie ma nastąpić spotkanie. Trujillo jechał turkusowym chevroletem, prowadzonym przez kapitana Zacariasa de la Cruz, do dziewiętnastoletniej, smagłej i zachwycająco zgrabnej Moni Sanchez. Czekala na niego w oddalonym od stolicy o pięćdziesiąt kilometrów rancho San Cristobal.

Trzeba było o tych spotkaniach wiedzieć jak najwięcej, bo gdyby wydarzyło się cokolwiek, Abbez musiałby nieomylnie sięgnąć po ludzi, których można

uznać za sprawców tego wydarzenia.

Jakiego wydarzenia? – myślał Abbez. Na przykład: młoda dziewczyna o niezwykłej urodzie, młoda i doskonale zbudowana – na to generalissimus był szczególnie wrażliwy – otrzymuje obietnicę, że za uprzedzenie kogoś zainteresowanego jej spotkaniem z Trujillo, otrzyma sto tysięcy dolarów. Nic więcej nie musi robić, tylko poinformować... To niewiele, rozmyślał Abbez, są bowiem ludzie, dla których śmierć Trujillo warta była milion dolarów i więcej. Dalej: taką dziewczynę podsuwa się po prostu generalissimusowi, przedstawia ją, korzystając chociażby z jakiegoś bankietu czy nawet przyjęcia dyplomatycznego. Ładnie.

I teraz kolej na najzwyklejszą i najłatwiejszą operację: Trujillo umawia się z piękną damą. I dama ta o miejscu i godzinie spotkania z generalissimusem zawiadamia tego kogoś, kto ją wynajął, kto ją przekupił, kto obiecał jej pieniądze i zagwarantował bezpieczeństwo. Trzydziestoletnia kobieta może się zawahać przed takim krokiem, ale młoda dziewczyna zdecyduje się natychmiast. Ostatecznie sto tysięcy dolarów nie chodzi piechotą, za taki pakiecik można się jakoś urządzić...

To był ten numer, na który Abbez stawiał, kiedy otrzymał od Trujillo polecenie „zdmuchnięcia” prezydenta Wenezueli. Ale numer z dziewczyną nie chwycił, Betancourt nie leciał na te rzeczy i trzeba było pójść na inny, z materiałem wybuchowym umieszczonym w zielonym oldsmobilu, z detonatorem kierowanym falami radiowymi... Tamten numer nie chwycił a ten się nie udał, doprawdy, co za świat, czasem trudno załatwić nawet taki drobiazg. Jedno pocieszenie: że Romulo Betancourt nie jest już prezydentem.

Abbez sięgnął po raporty swoich agentów.

Między nimi była notatka przekazana tego dnia na polecenie generalissimusa: Abbez otrzymał ją po południu. Dotyczyła generała Diaza. Trujillo nie ufa generałowi. Dlaczego, co mu zarzuca? Nie wiadomo. Wiadomo tylko, że mu nie ufa. Geniusz wie, komu można ufać, Abbezowi ufał. Geniusz wspomniał w czasie dzisiejszego obiadu, że pragnie zdymisjonować generała. „Zdymisjonować” – uśmiechnął się Abbez. Już on sam „zdymisjonuje” generała Diaza – radykalnie i raz na zawsze. „Widocznie są jakieś powody” – jak mówi

Monika Gonzales. Notatka o nieufności Trujillo była wystarczającym powodem do unicestwienia generała. Potrzebny jest tylko pretekst, raczej zorganizowanie nieszczęśliwego wypadku. Później, jeżeli Trujillo się zgodzi, można urządzić przepyszny pogrzeb zasłużonego generała, z fanfarami i biciem w werble, z pochodniami i wieńcami na armatniej lawecie. Dzieci będą rzucać kwiaty, kobiety zapłaczą... Można go nawet udekorować pośmiertnie. Ładnie. Ach, pomyślał Abbez, jak łatwo być szlachetnym i wspaniałomyślnym dla tych, co umarli! Dopiero wtedy można ich naprawdę kochać.

Już upłynęła godzina od chwili, gdy kapitan Zacarías de la Cruz zawiadomił Abbeza o wyjeździe generalissimusa. Trzeba w San Cristobal sprawdzić ich przyjazd.

Połączył się z San Cristobal.

Telefon przyjął agent GUB, zatrudniony w rancho jako rządca. Abbez dowiedział się, że generalissimus nie przyjechał.

- Czy Moni Sanchez jest w rezydencji? – zapytał.
- Jest. Generalissimus przyjedzie, panie pułkowniku?
- Niech Moni Sanchez czeka – odpowiedział. – Niech czeka tak długo, aż cię zawiadomię, żeby przestała czekać.

Abbez kazał połączyć się z Tapurucuarą.

Odpowiedziano mu po chwili, że Tapurucuary nigdzie nie można znaleźć. Ale będą jeszcze szukać.

35.

Wyszedłem z pokoju dopiero w porze obiadowej i udałem się do różowej sali „Cosmosu”. Usiadłem przy stoliku, który zazwyczaj zajmowałem, i wtedy, sięgając po menu, zauważyłem po przeciwległej stronie sali Monikę Gonzales.

Nie miałem ochoty na dalszą maskaradę. Jeżeli ktoś mnie obserwował w tej sali, wiedział, że już znam Monikę. Podszedłem do niej.

- Co za spotkanie – powiedziałem.
- Nie przypuszcza pan chyba, że przypadkowe. Dowiedziałam się, że pan tutaj przychodzi na obiady.

- Nie boi się pani?
- Dość często jem tutaj, mają znakomitą kuchnię. Dzisiaj przyszłam specjalnie do pana.
- Martwiłem się właśnie, jak panią znaleźć o tej porze.
- Już teraz o żadnej. „La Habana” jest zamknięta, jak wszystkie nocne lokale. W mieście ogłoszono stan wyjątkowy, chyba spodziewają się rozruchów.
- Proszę powiedzieć, jak pani mnie znalazła.
- Wezwano mnie do prezydium policji. Pytali, czy znam pana i jak się pan nazywa. Wyjaśnili, że chodzi o mężczyznę, który zaprosił mnie tego a tego dnia do swojego stolika w „La Habana”, i który mnie później ponownie odwiedził.
- Przecież pani nie zna mojego nazwiska.
- Oni sądzą, że pan nazywa się Gordon. Ale znaleźli gdzieś na przedmieściu porzuconego forda, tego samego, w którym jeździł mężczyzna odwiedzający mnie w „La Habana”. Rozumie pan?
- Później dowiedzieli się – podjąłem – kto wypożyczył ten wóz w „Cosmosie”. Okazało się, że pan Andrea Castagno. Rozumiem.
- Takie podali nazwisko. Zmusili mnie, żebym czekała w różowej sali. Gdyby pan Castagno nie zjawił się w porze obiadowej, miałam zadzwonić do pańskiego pokoju i umówić się z panem w roli spragnionej pieszczot dziewczyny.
- Po co to wszystko?
- W jednym tylko celu. Miałam sprawdzić, czy Castagno jest tym, który mnie odwiedzał. Sprawa zawikłana, bo pan Castagno zgłosił, że ukradziono mu forda. Idzie o to, czy pan istotnie jest tym tajemniczym Gordonem.
- Jeżeli dowiedzą się od pani, że przywozłem kopertę od Managuy i że interesuję się sprawą Murphy'ego, wówczas nie poprzestaną na wersji, że mój wóz ukraść w wiadomych sobie celach tajemniczy pan Gordon.
- Przecież tego im nie powiem! Ale teraz pan wie, dlaczego nie obawiam się spotkania z panem w miejscu tak otwartym. Kazali mi tu przyjść. Są przyuczyni, dla których zrobiłam to z entuzjazmem.
- Jakie?

– Dowiedziałam się, z którego lotniska wywieziono Galindeza. Zdobyłam to z ogromnym trudem, wiem jednak, jak bardzo wam na tym zależy.

– Z Amityville – powiedziałem. – Człowiek, który podał pani nazwę lotniska, wiedział, że od wczoraj ta wiadomość straciła jakąkolwiek wartość.

– Nic nie rozumiem.

– Pani wie więcej.

– Na Boga, o czym?

– Kto pani podał nazwę lotniska?

– Ktoś z policji. Był przyjacielem de la Mazy. Chyba pan nie dziwi się, że mam takie znajomości. Gdyby nie one, w ogóle nie mogłabym dla was pracować. Zdarza się nawet, że niekiedy, dla pozorów, informuję ich policję o jakimś fakcie bez większego znaczenia.

– Proszę ich poinformować, że jeszcze dzisiaj wyjeżdżam z Ciudad Trujillo do Santiago de los Caballeros. Wracam stamtąd za kilka dni i natychmiast odlatuję do Stanów.

– Naprawdę? Czy też mam ich tylko zmylić?

– Naprawdę. Zresztą... nie musi im pani tego mówić.

– Kto zajmie się sprawą Murphy'ego?

– Dzisiaj przyleci specjalny agent. Gruba ryba wywiadu z Centrali.

– Przeraził mnie pan wiadomością o Amityville... Czy chciał się pan ze mną widzieć z powodu przyjazdu tej ryby?

– Tylko dlatego. Agent ten zechce skontaktować się z panią. Na podstawie danych, jakie posiada, rozszyfruje sprawę do ostatka i dotrze do wszystkich grobów. Zadanie będzie miał ułatwione, ponieważ sprawa Galindez-Murphy zostanie umorzona.

– Jak go rozpoznam? Poda mi jakieś nazwisko?

– Przyleci dzisiaj o dwudziestej pierwszej samolotem *Pan Am* jako profesor Algernon de Castelfranco.

– To będzie ktoś podstawiony, ale z papierami profesora?

– Dla szyszek z wywiadu najwygodniejsze są autentyczne dokumenty. Proszę mi zostawić swój adres.

– To zbędne, jeżeli pan dzisiaj wyjeżdża. Castelfranco – czy tak się nazywa? – na pewno dowiedział się w Centrali, gdzie może mnie znaleźć.

– Słusznie. Czy to wszystko, o czym pani wie?
– Chyba tak. Miałam trzy sprawy: powiedzieć, żeby pan nie przychodził do „La Habana”, przekazać nazwę lotniska i ostrzec pana, że policja interesuje się tożsamością Gordona z panem Castagno. Co mam powiedzieć w prezydium policji?

– Jak nazywa się oficer, który panią tu przysłał?

– Miguel Angelo Paulino. Major.

– Proszę mu powiedzieć, że jednak nazywam się Andrea Castagno, że z polecenia instytutu archeologicznego kierowałem przygotowaniem do wyprawy i zakończyłem je pomyślnie. Proszę mu powiedzieć, że przypadkowo poznałem pana Gordona; jest on sekretarzem komisji, o której istnieniu dowiedziałem się z prasy i która wcale mnie nie interesuje.

– I że pan dzisiaj wyjeżdża z Ciudad Trujillo?

– I że dzisiaj wyjeżdżam do Santiago de los Caballeros, by spotkać się tam z pewnym historykiem sztuki, znawcą tak zwanych kultur Zatoki, zwłaszcza kultury Totomaków, która powstawała między siódmym a dwudziestym wiekiem naszej ery. Nie wiem, jak to obliczyć według kalendarza Ery Trujillo. Pokój w hotelu na razie zatrzymam, bo wracam pojutrze i stąd odlatuję do Stanów.

Przy naszym stoliku zjawił się maître d'hôtel.

– Pan wybacz – powiedział. – Przyszedł funkcjonariusz policji drogowej i chciałby z panem porozmawiać w sprawie forda.

– Przecież wóz znalazł się.

– Ten urzędnik musi spisać protokół.

– Niech zostawi adres komisariatu i swoje nazwisko. Będę u niego jutro rano, o dziesiątej.

Maître d'hôtel odszedł w stronę hallu.

– Przecież pan dzisiaj wyjeżdża – powiedziała Monika.

– Właśnie dlatego umówiłem się na jutro. Niech mi nie zwracają głowy głupimi formalnościami.

– Wołałabym jednak powiedzieć w prezydium policji, że pan wyjeżdża, i dokąd... Jakieś prawdziwe informacje powinnam im przekazać. Byle jakie, ale prawdziwe.

– Jeżeli to pani ułatwi życie, bardzo proszę...

– Pan jest pierwszym mężczyzną, który przyjeżdża z północy i nie stara się ze mną przespać.

– Pani zna mojego boya, Escudera?

– Przyniósł mi kiedyś kwiaty od Murphy'ego.

– Do domu? Tak przypuszczałem. Otóż Escudero, kiedy poprosiłem go o adres pani, proponował mi aż dwie ładne kobiety zamiast pani i zapewniał, że dostarczą mi mnóstwo przyjemności.

– Nie skorzysta pan? W Ciudad Trujillo są piękne kobiety. Ale pan jest bardzo ostrożny, już to zauważyłam.

– Bardziej, niż pani zauważyła.

Pożegnałem Monikę Gonzales.

Wstąpiłem do garażu i wypożyczyłem mercedesa, model sprzed trzech lat. W recepcji zapłaciłem rachunek, zarezerwowałem pokój na następne trzy dni i powiedziałem, że wyjeżdżam do Santiago de los Caballeros. Señor Alvarado przypomniał mi, że rano muszę się zgłosić w komisariacie policji drogowej.

– Dobrze – powiedziałem – w takim razie wyjadę po spisaniu protokołu. To opóźnienie nie ma znaczenia.

– Wychodzi pan jeszcze do miasta?

– Dlaczego pan pyta?

– Tak sobie, z grzeczności, panie Castagno – odparł Alvarado.

– Jej nadmiar jest raczej szkodliwy – powiedziałem.

Poszedłem na gorę i zamknąłem się w pokoju.

Pukał Escudero i pytał, czy ma przygotować kąpiel. Kazałem mu przyjść o dwudziestej pierwszej.

– Potrzebować pan wieczór ładna pani?

– Nie, Escudero, idź sam do tej pani – powiedziałem przez drzwi.

36.

Abbez był szary ze strachu. Jego olbrzymie dłonie dygotały, nie mógł opanować ich drżenia. Dławiła go apoplektyczna wściekłość, paraliżowana przerażeniem. Zrobił wszystko, co do niego należało, wszystko, co tylko można było zrobić, i nikt nie może mu zarzucić jakiegoś przeoczenia,

niedbalstwa. Czy to jego wina, że Trujillo miał ochotę na Moni Sanchez?

Nieufność generalissimusa do generała Diaza spadła z nieba. Teraz, żeby siebie ocalić, Abbez musi wskazać winnego. Wskazał generała Diaza. Aresztowanie, przesłuchanie, śledztwo, proces? To było zbyt ryzykowne, ten numer mógł nie wyjść w krwawej loterii Abbeza. Diaz musi zginąć przed przesłuchaniem.

Wczoraj tak się zaczęło: turkusowy Chevrolet nie dotarł do rancho San Cristobal. Co za niezwykły zbieg okoliczności: w wiosce San Cristobal, w tym Betlejem nowożytnej historii, urodził się największy człowiek naszej epoki, generalissimus Rafael Leonidas Trujillo y Molina. I właśnie w drodze do San Cristobal...

Turkusowy Chevrolet jechał do rancho, w którym czekała piękna Moni Sanchez.

Trujillo był w doskonałym humorze, nucił jakąś frywolną piosenkę. Tym razem miał na sobie jeden z najskromniejszych mundurów, bez ciężkich złotych, nie obciążony kilogramem orderów.

Obok kapitana Zacariasa de la Cruz leżał pistolet automatyczny, drugi obok generalissimusa. Tego wymagał regulamin ochrony, nie było w tym nic niezwykłego.

Nagle zaszło coś nie przewidzianego przez regulaminy, zdumiewającego, coś, co przypominało wyczyny sławnego *el carro de la muerte* i setki późniejszych organizowanych przez Trujillo „operacji”.

Z bocznej drogi wyjechał na asfaltową autostradę czarny packard i pomknął za turkusowym wozem generalissimusa. Był już blisko, kiedy Trujillo odwrócił się i dojrzał przez tylną szybę czarną karoserię ścigającego go wozu.

– Co to jest? – zapytał. – Co to ma znaczyć?

– Jedzie coś za nami?

– Czarny packard. Co to jest? Zobacz!

Kapitan mocniej ujął kierownicę, wyrzął przez boczną szybę.

– Co pan generalissimus każe?

– Jedź szybciej. Tam są chyba dwa wozy.

I wtedy w tylną szybę, na tle której siedział Trujillo, uderzyła seria z pistoletu automatycznego. Rozprysło się szkło. Trujillo krzyknął.

Pierwszy pocisk zranił go w szyję, inny trafił go w plecy. Z karku trysła krew.

Bóg zawył i zaklął ordynarnie, jak pijany peon. Skulił się na poduszkach, zsunął się w dół, przykucnął.

– Zabij ich! – krzyknął do kierowcy. – Zabij ich!

Sięgnął na siedzenie po pistolet, szybko odbezpieczył zamek – i z przerażeniem odsunął od siebie broń.

Kapitan de la Cruz wcisnęła pedał gazu aż do deski.

Kule gęsto biły w karoserię, gwizdały, odskakiwały od opon. Wydawało się, że ostrzeliwuje ich batalion karabinów maszynowych.

Czarny packard, ziejąc otwartym ogniem automatów, zajechał gwałtownie turkusowy samochód, zahamował, zagroził mu drogę. Z tyłu zatrzymał się jeszcze jeden samochód.

Kapitan de la Cruz zjechał z autostrady i zahamował na paśmie trawy. Porwał automatyczny pistolet. Słyszał skowyt Trujillo skulonego na dnie wozu.

– Zabij ich! O Boże! Zabij!

Zamachowcy otworzyli ogień do kapitana.

Wypadł z wozu, rzucił na ziemię automat i wzniosł do góry obie ręce. Za późno. Z pięcioma kulami w ciele runął na asfalt. Spiskowcy nie mogli pozostawić wśród żywych świadka zamachu. Trujillo także nie zostawiał świadków. Od niego nauczyli się, jak zabijać.

Dwaj mężczyźni wybiegli z czarnego wozu i, wciąż strzelając, zbliżyli się do turkusowej limuzyny.

Jeden z nich gwałtownym ruchem szarpnął drzwiczki, dojrzał skulonego dyktatora: wyglądał jak olbrzymi rozgnieciony chrząszcz. Skurczył się, zmalął, ramionami osłonił głowę.

– Nie zabijajcie – skomlał generalissimus – na miłość boską, nie, nie!

Mężczyzna spojrział na leżący obok Trujillo pistolet automatyczny. Wziął go do ręki, cofnął się o kilka kroków i w skulone ciało wystrzelił co najmniej dwadzieścia kul. Bogowie trudniej umierają niż zwykli śmiertelnicy, bogów trzeba zabijać starannie i kilkakrotnie, żeby nie zmartwychwstali.

Wywlekli go później na asfalt, trafionego dwudziestoma siedmioma kulami.

Jeden z mężczyzn zapytał:

- A de la Cruz?
- Gotów.
- Możemy jechać.
- Ładujcie to ścierwo do bagażnika. Szybko!
- I do willi generała?
- Tak będzie.

Z tego, co dowiedział się Abbez, mogło to tylko tak wyglądać.

Ale będzie wyglądać inaczej.

Abbez, dowiedziawszy się, że generalissimus nie przybył do San Cristobal, zaalarmował oddział operacyjny GUB. Natychmiast wyjechało kilka wozów. Zatrzymali się przy posiekanych kulami turkusowym chevrolecie. Na asfalcie leżał w kałuży krwi kapitan de la Cruz. Jeszcze oddychał, czołgał się, kiedy podeszli bliżej. Przewieziono go do szpitala. Martwego.

Ciała generalissimusa nie znaleziono.

Kapitan de la Cruz rzekomo odzyskał przytomność i zeznał, że zamachowcy wymienili nazwisko generała Diaza. Tego samego dnia, w czasie obiadu, Trujillo powiedział, że nie ufa generałowi. Powiedział tak w obecności kilku amerykańskich przyjaciół, zaproszonych na ten obiad... Więc Amerykanie słyszeli nazwisko generała, dowiedzieli się, że Diaz jest w niełasce. Można założyć...

Lecz po co komplikować sprawę?

Dopiero o czwartej rano, kiedy już wszystko było postanowione i przygotowane, grupa *pistoleros* otoczyła willę generała Diaza.

Wtargnęli do wnętrza, urządzili jatkę. Żaden z domowników ani nikt ze służby nie ocalał w tej masakrze. Generała nie zastali w domu. Kilkanaście grup wywiadowczych ruszyło na poszukiwanie generała. Każda z nich otrzymała rozkaz: nie aresztować, zabić.

Znaleźli generała i zabili go.

37.

Wieczorem pojechałem na General Andrews. Wmieszany w tłum pasażerów stanąłem przy oknie poczekalni. Widziałem, jak ląduje samolot *Pan Am*, jak pasażerowie schodzą powoli po stromych schodkach. Kilkanaście osób przeszło do odprawy celnej, zostawali w Ciudad Trujillo.

Z trudem poznałem Harriet – w zgrabnym kapelusiku i beżowym kostiumie, z parasolką i płaskim neseserem. Miała złocistorude włosy. Zbliżyła się do niej Sally, sekretarka Athwooda. W myśl mojej umowy z Athwoodem powinna ją odwiedzić do „Cosmosu”.

Dwóch mężczyzn podeszło do siwego pana z marsową twarzą. Obserwowali go w czasie odprawy celnej. Wiedzieli, jak się nazywa.

- Pan profesor Algernon de Castelfranco?
- Tak. Czy panowie na mnie czekają?
- Owszem... Pan pozwoli z nami.
- Panowie są z instytutu, z ambasady, czy z pałacu?

Spojrzeli na siebie. Jeden z nich powiedział:

- Z instytutu... Pan pozwoli z nami, samochód czeka?

Widziałem, jak pchnęli go do wnętrza samochodu. Na to właśnie czekałem.

Harriet stała przy kiosku dewizowym obok Sally i wymieniała dolary na pesos.

Przywitałem się z nią, dając do zrozumienia, żeby przyjęła to obojętnie i nie zadawała pytań. Sally powiedziałem, że sam zawiozę Harriet do „Cosmosu”. Poprosiłem ją jeszcze, żeby Athwood zostawił u portiera ambasady dwa bilety lotnicze na piątą rano.

Zawiozłem Harriet do hotelu. Nie zatrzymując się w hallu, udaliśmy się wprost do mojego pokoju. Dyżurny siedzący w recepcji mógł co najwyżej zauważyć jej plecy. Do gości „Cosmosu” przychodziło tak wiele kobiet, że nie zwracano na to uwagi.

Powiedziałem Harriet, że Murphy nie żyje. Nie rozpaczała, zdążyła się oswoić z tą myślą. Powiedziałem jej, że jego śmierć pociągnęła za sobą śmierć

kilku innych osób. W komplecie nieboszczyków brakuje nas obojga, jej i mnie. Na nią i na mnie wyrok śmierci już zapadł.

– Nie rozumiem, jak mogłaś zgodzić się na tak idiotyczny pomysł, żeby tu przyjeżdżać.

– Zmusili mnie do tego. Powiedzieli, że jeżeli Gerald żyje, tylko ja mogę go ocalić.

– Wiedziałaś chyba, że Gerald nie żyje. Tacy przyzwoici chłopcy młodo umierają... Nie mów nic. Van Oppens chciał z ciebie zrobić przynętę dla agentów dominikańskiej policji, ciebie zaś okłamał, że musisz przyjechać na konfrontację. Z kim? Z kim, jeżeli zabili kapitana de la Mazę? Z wystraszoną Managua? Już ją nauczyli posłuszeństwa. A Oliveira zniknął.

– Bili ją?

– Tak, Harriet. Juana jest śmiertelnie przerażona.

– A ty? Tobie coś grozi? Domyślają się, kim jesteś? Powiedz, Mike! Tobie nic nie może się stać, to byłoby przeze, mnie, ja ciebie namówiłam. Ty wiesz, że Geralda nie mogłabym tak kochać, jak ciebie kochałam, nigdy. Robiłam to wszystko na złość tobie, na złość tobie flirtowałam z Geraldem i spotykałam się z nim. I nagle okazało się, że jestem zakochana i że mamy się pobrać.

– Także ze złości na mnie... Harriet, wykąp się teraz, musisz odpocząć. Mam coś do załatwienia i jeżeli zdążę, odlecimy stąd wcześniej rano. Pomożesz mi.

– Zrobię wszystko, co zechcesz, Mike. Mam ciągle wyrzuty sumienia, że prosiłam cię o pomoc... To straszne miasto. Co tu się dzieje? Prawie nikogo nie ma na ulicach, ludzie kryją się za storami albo chyłkiem przemykają z domu do domu. Na każdym rogu wojsko i policja... Dawniej tak nie było.

– Zapowiedziano zamach na Trujillo.

Podałem jej rewolwer, który nosiłem w futerale umieszczonym pod pachą.

– Umiesz się z tym obchodzić?

– Chyba tak... Iglica jest napięta? A tu jest bezpiecznik, prawda? To ten sam rewolwer, który pokazywałeś mi w Nowym Jorku. Myślisz, Mike, że będą do nas strzelać? Naprawdę?

– Myślę tylko o tym, jak uniknąć strzelaniny. Ty wiesz, że nie lubię się bawić w strzelanie do ludzi.

Spakowałem walizkę, kiedy Harriet była w łazience.

Wyszła stamtąd. Wtedy zapukał Escudero. Wpuściłem go do pokoju, zamknąłem drzwi. Wiedziałem, że boy jest sprytny i bezczelny, musiałem więc działać przez zaskoczenie. Kiedy zbliżył się do mnie, trzepnąłem go w twarz. I jeszcze raz, w drugi policzek. Niezbyt mocno.

– Pan, pan! – zawołał, osłaniając twarz przedramieniem. – Nie bić Escudero, pan!

Tym razem dostał w ucho.

– Byłeś boyem pana Murphy, ale skłamałeś, że nie. Pytałem cię, czy go znasz, a ty skłamałeś, że nie. Pytałem o adres Moniki Gonzales. Skłamałeś, że nie znasz adresu, a zanosieś jej kwiaty.

– Escudero nie wiedzieć...

– Wiedzieć, ale kłamać. Chciałeś także świadczyć, że pan Murphy był homoseksualistą i że nawet ciebie zgwałcił. Obiecałeś to policji, czy nie?

– Escudero...

– Escudero musi mówić prawdę albo zamknę mu na zawsze bezczelny pysk kłamczucha. Pracujesz dla tych łajdaków i przeszukiwałeś nawet moje papiery. Stale informowałeś policję, dokąd wychodzę, co robię i kiedy odwiedzam moją ambasadę.

Jeszcze raz go uderzyłem. Zatoczył się pod ścianę.

– Wyrośnie z ciebie takie samo bydło, jak oni wszyscy. Jak się nazywa oficer, który kazał ci szpiclować?

– Nie wiedzieć, Escudero być dobry boy...

Wyjąłem rewolwer. Escudero skulił się pod ścianą. Uderzyłem go jeszcze raz.

– Mike, przestań! – zawołała Harriet.

– Zamknij się, Harriet – powiedziałem,

– Pan, nie zabijać, pan!

– Zabijać, jeżeli nie powiesz prawdy. Nie bój się, nie zdradzę policji, że dowiedziałem się o czymś od ciebie.

– Pan nie kłamać?

– Odpowiadaj teraz na moje pytania, nie mam czasu. Jeżeli skłamiesz, zastrzelę.

– Escudero powiedz prawdę. Pan nie bić, pan puścić Escudero?

– Dobrze. Jak się nazywa ten oficer z policji, któremu donosiłeś?

- Major Paulino. Prezydium policja.
 - Miguel Angelo Paulino. Dobra. Gdzie mieszka Monika Gonzales?
 - Plaza del Congreso, dom być siedem. Pan iść jedna brama, iść podwórze, iść druga brama. Pan iść jeden piętro, dwa piętro.
 - Gdzie jest pan Murphy? Gdzie go zabili?
 - Escudero słyszeć: policja wozić ludzi droga do Azua, tam zabić. Escudero nie widzieć taka śmierć. Pan nie zabić. Escudero dobry boy, mówić prawda.
- Posadziłem boya w fotelu i paskiem od walizki spiąłem jego ramiona z oparciem. Harriet kazałem usiąść na tapczanie, dałem jej rewolwer.
- Escudero, jeżeli się ruszysz, pani ciebie zastrzeli. Masz siedzieć cicho, nie wolno ci powiedzieć ani słowa. Pójdę teraz sprawdzić, czy powiedziałeś prawdę. Jeżeli skłamałeś, wrócę i zabiję Escudero. Rozumiesz?
 - Tak, pan.
 - Gdybym nie wrócił za trzy godziny – powiedziałem szeptem do Harriet
- zatelefonuj do ambasady.
Zatrzasnąłem drzwi, wsunąłem zabezpieczający automat do zamka.
Wyszedłem z hotelu i pojechałem do Moniki Gonzales.

38.

U zbiegu Avenida Corrientes i San Martin czekali w starym cadillacu trzej *pistoleros*.

Ten, który siedział przy kierowcy, wskazał mu mężczyznę wychodzącego z hotelu; szybko przemierzył chodnik i wsiadł do mercedesa.

– To ten – powiedział. – Widziałem, jak wychodził z „Cosmosu”. Jedź za tym w mercedesie.

Kierowca dotknął biegów.

– Trzeba go było zdmuchnąć tutaj, pod hotelem. Jeżeli ktoś ma być zdmuchnięty, to wszystko jedno, gdzie go się zdmuchnie. Nas za to nie przy-
mkną.

– Nie bądź taki uczony – powiedział ten trzeci, siedzący za kierownicą. – Jak nie wiesz, to nie gadaj. Nie kazali się śpieszyć. Kazali czekać, aż on wyjdzie z hotelu. Kazali iść za nim i zdjąć go daleko od hotelu. Bo pod hotelem mogą być ludzie van Oppensa. Carlos tak powiedział.

– Ty masz dobrą pamięć – powiedział kierowca. – Ja nigdy nie pamiętam tak dokładnie, co kazali zrobić. Ale ja bym nie ryzykował, bo jak on się zatraci i my go nie zdmuchniemy, to wiesz, co oni mogą zrobić. Z nami. Słyszałeś, jak było z de la Mazą? No, ja wiem. Prowadziłem ten tankowiec z lotniska.

Mercedes zatrzymał się na Plaza del Congreso. Mężczyzna, którego mieli zabić, wysiadł z samochodu i wszedł do bramy.

Zatrzymali cadillaca tuż przy mercedesie.

– Tutaj? Tak blisko?

– Nic nie rozumiesz. On już i tak nigdy nie zobaczy tego mercedesa. Zdejmujemy go w bramie. Nie ma lepszego miejsca, jak ta ciemna brama. Carlos powiedział.

– Ty idź – powiedział jeszcze do kierowcy – i siadaj w jego mercedesie, żeby nie było żadnych cudów. A my zaczekamy w bramie. Będziemy czekać, aż on wyjdzie i zrobimy, co trzeba zrobić. A potem ty przyjdiesz i zaniesiemy go do mercedesa i podpalimy wóz. Odczep jego kanister z benzyną i wszystko przygotuj. Jesteś tu dwadzieścia lat kierowcą i wiesz, jak to się robi. Carlos ciebie także uczył.

Zaśmiał się, sądząc, że powiedział dobry kawał. Lecz kierowca ani drugi agent nie podjęli tego śmiechu, nie spojrzeli mu w twarz. Wiedzieli: któregoś dnia sami spłoną. Świadkowie i wykonawcy są najbardziej zagrożeni.

39.

W oficynie domu na Plaza del Congreso, na drugim piętrze, znalazłem mieszkanie Moniki Gonzales. Zadzwoiłem. Nikt nie pytał, kto dzwoni, nie zajrzał przez wizjer. Po prostu w otwartych drzwiach zobaczyłem Monikę z wachlarzem w dłoni, w cienkim podniszczonym szlafroku.

– To pan? – uśmiechnęła się wprowadzając mnie w głąb mieszkania. – Czy mam te odwiedziny traktować jako rewanż za to, że znalazłam pana w „Cosmosie?”

– Z małą poprawką: że ja nie dostałem pani adresu w prezydium policji.

– Złośliwość?

– Mniejsza, niż aresztowanie profesora Castelfranco.

– Nie rozumiem. Czy profesora aresztowano?

– Pani wie więcej, Monika.

– Nie otrzymałam takiego polecenia, by mówić panu o wszystkim, co wiem.

– Dzisiaj na lotnisku aresztowano profesora Castelfranco. Tylko pani, pani jedna wiedziała, że Castelfranco przyjeżdża z polecenia wywiadu. Mówiąc o tym, chciałem się przekonać, czy potrafi pani zachować to przy sobie, czy też wyśle go pani na śmierć. Gdyby naprawdę był z wywiadu, musiałby zginąć. Nasz wywiad potrafi współdziałać także w brudnych sprawach, ale tym razem, jak pani wiadomo, szło o znalezienie dowodu przeciw wielokrotnym zbrodniarzom. Pani stanęła po stronie morderców. Tylko to mnie obchodzi, nic więcej.

– Musiał ktoś jeszcze wiedzieć... to niemożliwe.

– Nikt, bo to był mój wymysł. Przyjechał autentyczny profesor Castelfranco, zaproszony przez wydział historii waszego uniwersytetu, były przyjaciel Mussoliniego i Perona, bliski znajomy rodziny Trujillo. Okłamałem panią, bo chciałem sprawdzić moje domysły. Tylko pani znała bajeczkę o tajnej misji profesora.

Usiadła, zapaliła papierosa. Była zdumiewająco spokojna.

– Pan jest bardziej niebezpieczny, niż przypuszczałam.

– Spowodowała pani śmierć starego dozorca z lotniska Amityville, Alpha Bullocha. Tylko pani wiedziała, że szukam nazwy lotniska.

– Z kimś musiał pan to uzgodnić, nie ja jedna...

– Pani jedna. Uzgodniłem sposób przekazania tej wiadomości, ale dopiero kiedy ją zdobyłem. W tym czasie Bulloch był już pod waszą obserwacją. Pani go zabiła.

– Pan nie ma pojęcia, w jakiej jestem sytuacji... Nie chcę zaprzeczać, pan na pewno wie o wszystkim. Może nawet miał pan polecenie z Centrali, żeby mnie sprawdzić i zdemaskować. Liczyłam się z tym od dawna. Albo oni, albo wy. Wolę was, bo oni torturują.

– Dlaczego pani grała fałszywymi kartami?

– Pracowałam dla was, bo nienawidzę ich, nienawidzę Trujillo, nienawidzę jego rodziny i jego policji.

– Dlaczego pracowała pani dla nich?

– Bo się ich boję. Gdyby nie oni, byłabym dzisiaj pierwszą baletnicą obu Ameryk. Odebrali mi to i chcieli mnie zabić. Żyję dlatego, bo zгодиłam się, że będę dla nich pracować... Co pan chce ze mną zrobić?

– Jeszcze nie wiem. Gdzie pani trzyma nadajnik?

– Jest u mojego gitarzysty, ale on mieszka na przedmieściu.

– I wie, że pani pracuje na obie strony?

– On pracuje razem ze mną, tak samo.... Czy pan ma rewolwer?

Nie miałem, zostawiłem Harriet. Powiedziałem:

– Mam dwa.

– Niech pan je wyrzuci, nim pan stąd wyjdzie. Oni pana śledzą i musieli zauważyć, że pan wchodził tutaj. Zrewidują pana na ulicy i zaarrestują pod pretekstem posiadania broni. Wiedzą wszystko o panu, prawie wszystko. Wiedzą, że pan ogłuszył Tapurucuare.

– Myślałem, że ten stary rozchoruje się trochę po moim uderzeniu.

– Tapurucuara jest najwytrzymalszym człowiekiem w policji. Może nawet udawał zemdlonego, kiedy pan go uderzył, bo obawiał się, że pan go zastrzeli. Dlatego tak szybko znaleźli packarda, którym pan uciekł. Gdyby pan zostawił kluczyk w stacyjce fordą, Tapurucuara ściagałby pana i zabił...

– Ta śmierć również obciążałaby pani konto. Od pani policja dowiedziała się, że mam przyjść do „La Habana”. Ta historyjka z listem de la Mazy i Managua. Prawda?

– Musiałam to zrobić. Kiedy jestem w matni, muszę robić coś takiego, żeby siebie ocalić. Tylko skazańcy mogą zrozumieć podobne uczucie. Pan nie

wie i nie może wiedzieć, jak skazańcy trzymają się życia. Ja jestem skazana, może dlatego...

– Nie mam zaufania do takich zlepków łajdackiej filozofii z tanią psychologią. Każdy z nas jest skazany, każdy jest w jakimś sensie niewinny, każdy prędzej czy później umrze, ale to nie usprawiedliwia zbrodni, zwłaszcza politycznych.

– Inaczej nie umiem tego wytłumaczyć. Co pan chce ze mną zrobić?

– Czy ma pani jakąś broń?

– Dwie. Truciznę w ampułce, którą dostałam z Centrali. I pistolet.

– Gdzie?

– W zielonej torebce. Na konsoli, która stoi za panem.

Otworzyłem torebkę. Znalazłem w niej mały bębenkowiec, inkrustowany kością słoniową i wykładany srebrem. Był nabity. Schowałem go do kieszeni.

– Ampułka jest wgnieciona w kredkę do ust, której nie używam – powiedziała. – Poprawiając usta, można to łatwo rozgryźć. Tak sobie wymyśliłam moją własną śmierć.

Podąłem jej kredkę w srebrnej oprawce.

– Przypuszczam, że dostarczyła pani obu stronom przynajmniej po dziesięć osób do zabicia.

– Chciałabym się teraz rozplakać, ale niech mi pan wierzy, nie potrafię...

Czy pan pozwoli, żebym się ubrała? Nie chciałabym umierać w takim łachmanie... Niech się pan nie obawia, już wiem, że przegrałam. Przez wiele dni budziłam się z myślą, że to stanie się właśnie tego dnia. Dzisiaj rano także o tym pomyślałam i dzisiaj trafiłam... Przebiorę się przy panu. Jest pan ostatnim mężczyzną, który zobaczy moje ciało.

Odwrociłem się. Słyszałem szelest bielizny i sukni.

– Już – powiedziała po chwili. – Włożyłam moją najlepszą suknię... Jednak ostatnim, który mnie widział bez sukni, był Gerald. On nie spał z Harriet, wie pan? Przychodził do mnie. Na tydzień przed jego śmiercią byliśmy z sobą ostatni raz. Murphy oszczędzał Harriet na później, chciał zrobić na niej dobre wrażenie.

– Tak – powiedziałem – był bardzo przyzwoitym chłopcem. Zawsze to powtarzałem Harriet.

Tapurucuara także chciał zabić Harriet. Szukali jej w Buenos Aires i w Miami.

- I mnie chciał zabić, przy pani pomocy.
- On spełnia swoje zamiary, proszę pamiętać. Co pan chce ze mną zrobić, panie Castagno?
- Jeszcze wciąż nie wiem, panno Gonzales. Gdybym wiedział, zrobiłbym to i wyszedł stąd. Mam mało czasu.
- Tylko tyle, ile stąd do bramy. Tam na pana czekają ludzie Carlosa. Dać panu moją szminkę z ampułką?
- Bardzo nie lubię rozgryzać takich ampułek.
- I ja nie miałabym odwagi.
- Czy wyobraża sobie pani, że za takie numery nie trzeba płacić? Gdybym pracował dla waszej Centrali, musiałbym panią zastrzelić. Nie pracuję dla nich i nie chcę pani zabijać. Czy ma pani numer telefonu Tapurucuary?

Podawała mi ten numer.

Podszedłem do telefonu i połączyłem się z Tapurucuara. Zgłosił się natychmiast.

- *Al habla!* – powiedział – halo!
- Pan Tapurucuara? Dobry wieczór. Chciałem pana zawiadomić, że wasz agent, Monika Gonzales – mówiłem po hiszpańsku – pracuje dla nowojorskiej centrali wywiadowczej, gdzie ma numer rejestracyjny RD 112 S. Nadajnik krótkofalowy przechowuje u swego gitarzysty, który akompaniuje jej w „La Habana”. W tej chwili przygotowuje się do ucieczki. Musi pan ją zatrzymać.

Tapurucuara zaklął. Nie orientując się z kim mówi, powiedział:

- Podejrzewałem, że tak jest... Ale skąd wezmę teraz ludzi?
 - Może pan ich ściągnąć spod domu Moniki Gonzales. Są na dole. To ludzie Carlosa.
 - Oni tam czekają na tego... – zawahał się.
 - Już wymknął się. Nie mają na co czekać. Proszę zaraz przyjechać.
 - Kto mówi? Skąd mówi? Gdzie pan jest? *Al habla! Al habla!*
- Odwiesiłem słuchawkę. Monika powiedziała:

– Musiałam przyjść dzisiaj do „Cosmosu”, żeby pana wskazać. Byli zdeorientowani pana grą, bo Gordon działał, a jednak nie opuszczał ambasady. Albo w ogóle go tam nie ma. Ja pana wskazałam. Niech pan mnie zabije, bo oni będą mnie torturować.

– Proszę do tego nie dopuścić.

– Mam rozgryźć ampułkę?

– Oddam pani pistolet. Proszę drzwi wejściowe zostawić otwarte i nie wychodzić na głos dzwonka. Proszę czekać tutaj, za szafą, z pistoletem skierowanym na drzwi. Kiedy wejdzie Tapurucuara – jeżeli pani nie zareaguje na dźwięk dzwonka, on na pewno wejdzie pierwszy – wystrzeli pani w niego cały magazynek. Wtedy agenci panią zastrzelą. To nie jest takie straszne. Przez panią także strzelano do ludzi. Prawda? Czas, żeby samej skosztować...

– Nie umiałam sobie tego wyobrazić. Teraz już wiem, jak to jest, kiedy musi się umrzeć.

– Już czas, żeby pani umarła. Ma pani szansę, żeby umrzeć z sensem. Proszę mi wybaczyć szczerłość. Czy można jeszcze raz zatelefonować? Rachunku i tak nie będzie pani płacić. Nędzne pocieszenie, ale jednak.

Uśmiechnęła się. Jeszcze wciąż była spokojna.

– Ani czynszu, ani podatków za ten miesiąc. To chyba jedyne pocieszenie. Zatelefonowałem do Athwooda. Sam się zgłosił.

Powiedziałem mu, żeby za godzinę przyjechał do prezydium policji, po mnie... Po co tam idę? Spodziewam się, że za chwilę będę aresztowany... Nie, bez broni, bez żadnego dowodu przeciw mnie. Ambasada ani komisja nie będą skompromitowane... Jeszcze jedno: dzisiaj wieczorem na lotnisku General Andrews policja dominikańska aresztowała profesora Castelfranco.

– Pan żartuje! Niby z jakiego powodu?

– Otrzymali fałszywe doniesienie, że ktoś z USA przylatuje dzisiaj i będzie się posługiwać dokumentami profesora. I że jest wybitnym szpiegiem wywiadu, który ma zorganizować dywersję w Republice.

– Jesteśmy ogromnie zaniepokojeni brakiem wiadomości od profesora Castelfranco. Pani Trujillo dzwoniła już do nas dwukrotnie i pytała o profesora. W jaki sposób mogli go aresztować?

– Nie wszystkie aresztowania są uzgadniane z panem Trujillo, to zrozumiałe. Jego policja udzieli wszelkich informacji.

– Właśnie rozmawiam z generałem Espailatem. Dochodzimy wreszcie do porozumienia. Prawdopodobnie otrzymam nazwisko kierowcy ambulansu, którym zawożono Galindeza do Amityville. Generał Espailat uważa, że porwali go członkowie jakiegoś tajnego sprzysiężenia.

– Finansowanego przez generalissimusa Trujillo.

– Na to nie mamy takiego dowodu, który można by przedłożyć naszym sądom. Musimy zadowolić się tym, co zdobyliśmy tutaj i co wykryto w Nowym Jorku... Gdzie jest panna Claire? Nic jej nie grozi?

– Jest w bezpiecznym miejscu. Mister Athwood, proszę już kończyć. Jeżeli u pana jest generał Espailat, niech wyda rozkaz zwolnienia profesora Castelfranco i jego asystenta, Andrea Castagno, których zatrzymano na skutek prowokacji i nieporozumienia. Oba nazwiska trzeba wymienić w jednym piśmie do prezydium policji jako tę samą sprawę. Adresować do majora Paulino.

– Zaraz powiem generałowi.

– Wykluczone, mister Athwood! Jeszcze nie jestem aresztowany. Za godzinę proszę wyjść z pokoju, gdzie jest generał Espailat, wyjść pod pretekstem, że przyniesiono pilną wiadomość. Później pan powie o tym aresztowaniu i zażąda interwencji. W przyjaznych rozmowach dyplomatycznych takie drobności załatwia się od ręki, zwłaszcza, kiedy przedmiotem interwencji jest przyjaciel rodziny generalissimusa.

– A jeżeli pana nie zaaresztują?

– Wówczas przed upływem godziny zatelefonuję do pana i trzeba będzie ratować tylko profesora.

– Zgoda. Jednak bardzo proszę, nawet nalegam i żądam, żeby w wiadomej sprawie pan w ogóle nie działał. Jest zamknięta. Niech pan uśpi swoje sumienie aż do chwili odlotu. Proszę na tym poprzestać i już nic nie załatwiać. Zaszły bardzo poważne wydarzenia.

– Załatwi ktoś inny. Dziękuję panu, mister Athwood.

Podziwiałem spokój Moniki Gonzales. Siedziała przy stole, wsparła głowę na splecionych dłoniach i patrzyła na mnie.

Wyjąłem scyzoryk i przeciąłem przewód telefoniczny.

– Pan jest genialny w swej przewrotności – powiedziała. – Mam propozycję: proszę tu zostać i razem ze mną strzelać do Tapurucuary. Pan także ma z nim porachunki.

– Mniejsze niż z panią. I nigdy nie bawiłem się w śmierć, tak jak pani.

– Niezależnie od pana wyroku i tak musiałabym zginąć. Jeżeli Castelfranco jest przyjacielem rodziny Trujillo, musiałabym zapłacić głową za jego aresztowanie.

– I ja tak myślę... Czy orientuje się pani, skąd taki niepokój w mieście?

Od czasu do czasu słyszeliśmy wybuchy odbijane echem pustych ulic, wycie silników, przemarsz patroli. Wzmagały się odgłosy odległej strzelaniny.

– Zdaje się, że był zamach na jakiegoś dygnitarza, może tylko próba zamachu. Ale takiej paniki nie przeżywaliśmy już od dawna. Coś się przygotowuje, coś groźnego i ta groza udzieliła się całemu miastu. Albo już coś się stało.

Zatrzymałem się przy uchylonym oknie i obserwowałem podwórze. Dostrzegłem na nim dwa cienie. Usłyszałem bliskie, gasnące wycie motoru; to rozpędzony samochód hamował pod główną bramą. Pomyślałem, że przyjechał Tapurucuara i że to właśnie on zbliżył się do dwóch cieni ukrytych pod sklepieniem wewnętrznej bramy podwórza i rozmawiał z nimi. Powiedziałem:

– Za minutę może pani zaczynać. Proszę stanąć za szafą i czekać, aż wejdą do pokoju. Kiedy będą zupełnie blisko, proszę strzelać. Z tego cacka można trafić z odległości kilku metrów.

Mówiąc to, obserwowałem trzy cienie na podwórzu. Przypuszczałem, że Tapurucuara przyjechał sam. Jeżeli nikogo nie zostawił przed główną bramą, byłbym ocalony. Przyjechał, bo przestraszył się mojego telefonu; mógł dzwonić ktoś z kontrwywiadu, może chciał go sprawdzić. Monika podlegała jemu i był za nią odpowiedzialny jako szef ekipy operacyjnej, czy też oddziału do zadań specjalnych. Może sam miał kontakty z obcym wywiadem?

Położyłem rewolwer Moniki na parapecie okna.

– Monika, teraz. Niech pani to weźmie. Dobrze, że pani jest spokojna.

Jeżeli uda się zaskoczenie, jeżeli strzały będą celne, kto wie, czy nie przedrze się pani przez tych trzech ludzi i nie ucieknie...

– Nie chcę uciekać – powiedziała. – Mam już dosyć, wystarczy. Rozumie pan, co znaczy dosyć?

Po układzie trzech cieni na podwórzu domyśliłem się, że narada jest skończona. Otworzyłem drzwi na klatkę schodową, wyłączyłem zatrask automatycznego zamka i przymknąłem je za sobą.

Wspiałem się po schodach o piętro wyżej. Kiedy przylgnąłem tam do płytkiej wnęki, usłyszałem kroki na schodach. Szli ostrożnie. Skrzypienie ucichło pod drzwiami Moniki. Ktoś głośno zapukał. Jeszcze raz. Chwila ciszy. I znowu pukanie, głośniejsze. Wreszcie uderzenie pięścią.

– Tu jest dzwonek – odezwał się przytłumiony głos.

Usłyszałem gwałtowny dźwięk, przerywany jak jęk syreny.

I po chwili głośny szept:

– Otwarte...

– *Hijo de puta* – ktoś zaklął. – Może uciekła razem z Jankesem.

– Chyba przez okno i po rynnie, od tamtej strony. Tam nikt nie pilnuje.

Zapomniałem o tej rynnie i z dwóch możliwości ucieczki wybrałem bardziej ryzykowną. Może po moim wyjściu Monika tamtędy uciekła? Co prawda, trzymałem ją do ostatniej chwili, ale kto wie...

Ktoś pchnął drzwi. Ucichły szepty i oddechy, widocznie wszyscy trzej weszli do środka.

Usłyszałem trzy wystrzały, głośny krzyk, dwa strzały, jeszcze jeden. Po sile detonacji poznałem, że to kaliber pistoletu Moniki, a po ich liczbie, że opróżniła już cały bęben. Ostatni strzał, szósty, wyprzedził tylko o ułamek sekundy kilka głośniejszych i szybkich wybuchów, pistoletu automatycznego i bezładne strzały wielkokalibrowego rewolweru. To wszystko słyszałem już na parterze, już w bramie, bo kiedy Monika strzelała, zbiegałem szybko po schodach.

Chyłkiem okrążyłem podwórze i zatrzymałem się w cieniu pierwszej bramy, tej wychodzącej na Plaza del Congreso. Kilka metrów dalej stały trzy

wozy: mój, Tapurucuary i Chevrolet agentów. Przy kierownicy mojego mercedesa siedział jakiś mężczyzna.

Powoli, krok za krokiem, przemykałem się pod murami, oddalając się od samochodów. Zamierałem, kiedy mężczyzna przy kierownicy poruszał się, widocznie obserwował ulicę.

Na niebie wybuchło kilka rakiet. Usłyszałem szum motorów i zobaczyłem pikujące samoloty. Leciały nisko, prawie muskając skrzydłami co wyższe domy. Od kilku dni wciąż widziałem te pikujące samoloty, przelatywały nad całą Republiką.

Kiedy wybuchły rakiety, pomyślałem, że człowiek w mercedesie w pierwszym odruchu zadrze głowę ku górze. Tak się stało. Przebiegłem kilkanaście kroków i znowu znieruchomiałem.

Tak posuwając się, przejęty obawą, że za chwilę wynurzy się z bramy Tapurucuara lub któryś z agentów ocalałych w wymianie strzałów z Moniką – dotarłem do pierwszej przecznicy. Chciałem biec. Wtedy zobaczyłem przed sobą żołnierzy z karabinami w dłoniach, posuwających się pod murami prawej i lewej strony ulicy. Kilku szło środkiem jezdni. Zauważyli mnie.

Usłyszałem okrzyk: – *Alto!* Stój – i drugi, żebym podniósł ręce.

Zatrzymałem się, podniosłem ręce.

Podszedł dowódca patrolu. Żołnierze z obu stron ulicy skierowali ku mnie lufy karabinów. Powiedziałem, że jestem cudzoziemcem. Wręczyłem im paszport i podałem nazwę hotelu, w którym mieszkam. Oficer pokazał ten paszport jednemu z żołnierzy, kazał mu zadzwonić ze stojącej tuż obok budki telefonicznej i sprawdzić.

– Co pan tu robi? – zapytał. Przesunął dłońmi wzdłuż mojego ubrania. Sprawdzał, czy nie mam broni. – Ogłoszono stan wyjątkowy. Nikomu nie wolno chodzić o tej porze.

– Nic o tym nie wiedziałem. Cały dzień byłem w hotelu i dopiero teraz wyszedłem. Czy stało się coś?

– Jeżeli coś się stało, przeczyta pan jutro w gazetach.

Z budki telefonicznej wyszedł żołnierz.

– *Mi capitan!* – powiedział – zgadza się. Numer pokoju i numer paszportu. Mieszka w „Cosmosie”.

Z Plaza del Congreso dobiegł odgłos zapuszczanego motoru. Kapitan oddał mi paszport.

– Kapitanie – powiedziałem – może pan wyznaczy żołnierza, który odprowadzi mnie do hotelu.

– Nie mogę osłabiać patrolu.

– Można to zrobić pod pretekstem sprawdzenia, czy naprawdę mieszkam w tym hotelu, i dla zabezpieczenia mnie jako cudzoziemca.

Mówiąc to, wsunąłem mu w dłoń banknot.

Skinął na żołnierza, który przed chwilą telefonował.

– Odprowadzisz pana do hotelu.

Szliśmy dość szybko. Mijały nas liczne patrole policji i wojska, ale nie zatrzymywały cywila eskortowanego przez żołnierza. Dotarliśmy bez przeszkód do bramy hotelu. Pomyślałem o Harriet siedzącej na wprost Escudera, z odbezpieczonym rewolwerem. Pomyślałem, że muszę natychmiast telefonować do Athwooda i powiedzieć mu, że uniknąłem aresztowania.

Przed wejściem do „Cosmosu” stali dwaj mężczyźni. Jeden z nich zagroził mi drogę.

– *Señor Castagno?* – zapytał.

– *Ira Ud. a dar un pasco con nosotros?* – zapytał drugi. – Czy poszedłby pan z nami przejść się?

– *Tengo mucha prisa* – powiedziałem – śpieszę się bardzo.

Chciałem go wyminąć. Na górze czekała Harriet.

– *Pronto* – powiedział ten pierwszy i pchnął mnie w kierunku otwartego wozu policyjnego. Jeszcze coś krzyknął do zdumionego żołnierza.

40.

Major Miguel Angelo Paulino zerwał się z fotela i ustąpił miejsca wchodzącemu do gabinetu pułkownikowi.

Abbez usiadł za biurkiem. Miał ziemistą cerę i silnie podkrążone oczy, wybałuszone ze zdenerwowania i strachu.

– Gdzie jest ten człowiek?

– Posłałem go do ambulatorium na opatrunek. Ma przestrzelone ramię. Posłałem także lekarza do mieszkania Gonzales, zaraz tam pojedzie. Człowiek, który wrócił z tej jatki, powiedział, że kule z automatu rozniosły Monikę na strzepy. Tapurucuara dostał w pierś, w żołądek i jedną kulę w gardło, kiedy się pochylał. Nie żyje. Drugi agent, jeden z tych, co śledzili Gordona, ma przestrzelone płuco w dwóch miejscach. Z tej zabawki – wskazał leżący na biurku mały bębenkowiec inkrustowany kością słoniową i srebrem – wystrzeliła sześć razy. I sześć razy trafiła.

– Ładnie. Ale nic nie rozumiem. Zupełnie zwariowana historia. Gonzales ślicznie pracowała. Po co Tapurucuara tam jeździł? Kto mu kazał?

– Może Monika wezwała go telefonicznie?

– Po co?

– Obaj agenci, panie pułkowniku, ten co ocalał w strzelaninie, i ten co czekał w mercedesie, wyjaśnili, że zatrzymali się pod bramą domu Gonzales, bo tam właśnie wszedł Gordon. Nagle zjawił się Tapurucuara. Jednego agenta zostawił na dole, przy samochodach, a dwóch wziął na górę.

– Przecież polecałeś Monice, żeby utrzymywała kontakt z Gordonem. Dała mu swój adres?

– Tego nie wiem. Rozmawiała z nim w południe, przysłała do „Cosmosu”. Przyniosła nam kilka ważnych wiadomości. Po pierwsze, że Gordon tam mieszka jako Andrea Castagno. Po drugie, rewelacyjną wiadomość o Castelfranco, którego zdjęliśmy zaraz po lądowaniu z lotniska, i który uparcie powtarza, że jest profesorem. Zagadkowa sprawa, panie pułkowniku. A tamta, z kapitanem de la Cruz...

– A co profesor ma powtarzać? Że jest szpiegiem? Śmieszne. Zbyt wiele wymagasz od pracowników wywiadu.

– Odgraża się, że zna rodzinę generalissimusa. Może istotnie ten prawdziwy Castelfranco zna, ale głowę daję, że ten ma tylko jego papiery. Połaskoczemy go trochę, wtedy puści farbę. Jeszcze dzisiaj trzeba go połaskotać... A w tamtej sprawie, kapitana de la Cruz... Czy pan pułkownik...

– Niech to trąd obsypie! Wszystko w takim dniu!

– Cała sprawa może mieć jakiś związek z tym, co się wczoraj stało.

– Może... Kim jest ten Castagno?

– Castagno jest na pewno Gordonem. Znamy ludzi, którzy wchodzą i wychodzą z ambasady, ale nikt nie widział żadnego Gordona. Widzieli natomiast Castagno.

– I ja tak myślę. Historia z Gordonem i z Castelfranco zakrojona była na dużą operację. Dlatego nie rozumiem, co Monice uderzyło na mózg. Dzięki jej pomocy paraliżowaliśmy dotychczas całą akcję. I nagle taki epilog.

– Ktoś musiał mylnie poinformować Tapurucuarę. Wiem tylko tyle, że ktoś telefonował do niego i że Tapurucuarą natychmiast pojechał do Moniki. Treści tej rozmowy nikomu nie przekazał.

– Szkoda go – powiedział Abbez. – Piękny i wybitny człowiek, wyjątkowy charakter. Dzięki niemu poznaliśmy, jak wielkie idee generalissimusa silnie przemawiają do ludzi, jak nimi wstrząsają i do jakich skłaniają ofiar. Powinno się mówić w Republice nie „wierny jak pies”, ale „wierny jak Tapurucuarą”. Powiem ci, Miguelu, że śmierć jego i Moniki urasta do miary symbolu. Zginęli oboje właśnie teraz...

– Tak, panie pułkowniku, to zaiste symboliczna śmierć. Słyszałem, że kobiety jakiegoś plemienia indiańskiego rzuciły się w płonący stos, na którym palono ich umarłych lub poległych mężów... A jak ta sprawa z kapitanem de la Cruz?

Z sąsiednich pomieszczeń dobiegały ich co chwila krzyki i jęki katowanych ludzi. Pod oknami rozbrzmiewał stukot podkutych butów, na schodach tupotały szybkie kroki. W całym gmachu odzywały się dzwonki telefonów i nawoływania. Trzaskały drzwi. Z podwórza dochodziły od czasu do czasu detonacje pojedynczych wystrzałów. W mieście terkotały karabiny maszynowe.

– Co za noc – powiedział pułkownik Abbez – co za noc, co za noc – potwarzał tępo. Spojrzał na majora.

– Chciałeś się o coś zapytać?

– O okoliczności tej tragedii, jeżeli można, panie pułkowniku. Sprawa kapitana de la Cruz... Strasznie to przeżyłem, bolesny cios...

– No cóż – powiedział Abbez. – Żył jak bohater i zginął jak bohater. Kiedy czarny packard zajechał im drogę, generalissimus, mimo otrzymanych już ran, wyskoczył z wozu i otworzył ogień na tych skurwysynów. De la Cruz chciał go

osłonić własnym ciałem, ale trafili go pięciokrotnie i upadł. Nim stracił przytomność, leżąc już na szosie, widział, że generalissimus stoi jak marmurowy posąg, że kule, które w niego biją, nie zwalają go na ziemię. Musieli oddać dwadzieścia siedem strzałów, żeby rozbroić generalissimusa... Wyobrażasz to sobie? Dwadzieścia siedem kul. W tym jest coś nadprzyrodzonego. Zwyczajnych ludzi zabija się jedną.

– Czy tamci mają jakieś straty?

– Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? Dziwne pytanie. Muszą mieć, jeżeli generalissimus strzelał. Na pewno kilku zabił, a ten jeden, który ocalał, wywiózł i gdzieś podrzucił trupy swoich zbirów czarnym packardem.

– Czarnym packardem?

– Tak. Ale milcz i pamiętaj, że o śmierci generalissimusa wie tylko pięć osób w Republice. Znaleźliśmy ten wóz w willi generała Diaza. W bagażniku leżały zwłoki generalissimusa... Co za okropny widok! Nie zapomnę tego do końca życia. Miguelu, to było straszne. Jestem żołnierzem i widziałem niejedną śmierć. Ale w tym bagażniku...

– Czy generał Diaz był na tyle nierozsądny, żeby parkować wóz przed swoją willą? To szaleństwo.

– A gdzie miał zaparkować? Kapitan de la Cruz rozpoznał generała wśród napastników. Dla mnie to jest oczywiste. Diaz zorganizował zamach.

– Czy de la Cruz jeszcze żyje?

– Chyba nie... Miguelu, to straszne, co widziałem w bagażniku...

– W jakiej formie ogłosi się tę tragiczną wiadomość?

– Nic nie wiem. Cała Republika nic nie wie o śmierci naszego Ojca i Dobroczyńcy. Jutro Ramfis powie, co trzeba z tym zrobić. Natychmiast po tym wypadku połączyłem się z Paryżem i zawiadomiłem Ramfisa o śmierci jego wielkiego ojca. Wynajął samolot *Air France* za dwadzieścia osiem tysięcy dolarów i w pół godziny później już leciał do nas. Nie opuścił nas w tak ciężkiej chwili... I jeszcze ta idiotyczna historia z Murphym. Generał Espaillet jakoś to załatwi, takie było ostatnie zlecenie Zbawiciela Ojczyzny... Słyszałeś już, że Ramfis po przylocie udał się do więzienia i ładnie oczyścił kilka cel?

– Sporo z tych więźniów aresztowaliśmy o wiele wcześniej, panie pułkowniku, przed zamachem.

- Ładnie. Ale co to ma za znaczenie, Miguelu? To nie ma znaczenia. Zabrzęczał dzwonek telefonu. Abbez niedbałym gestem wskazał majorowi aparat. Major Paulino ujął słuchawkę.
- Tak, major Paulino... Co? Dawać go tutaj! Odłożył słuchawkę i powiedział do Abbeza:
- Mamy tego szpicla.

41.

Zaprowadzili mnie do gabinetu majora Paulino, uprzedzając, że czeka tam sam pułkownik Abbez.

Domyśliłem się, że to ten, który siedzi za biurkiem i nerwowo uderza owłosioną dłoń o szklaną płytę. Obok siedział ktoś jeszcze, zapewne major Paulino.

– Pan nazywa się Martin Gordon i jest sekretarzem przewodniczącego Komisji Departamentu Stanu? – zapytał major.

– Chyba nie jest w porządku – powiedziałem – że panowie siedzą, a ja stoję.

Major spojrział na pułkownika.

– Można siadać – rzucił gburowato Abbez.

– Pan nazywa się Martin Gordon – powtórzył major.

Rzuciłem na biurko mój paszport.

– Nic podobnego. Od razu zorientowałem się, że zaszła pomyłka i tłumaczyłem to obu głupcom, którzy mnie zatrzymali.

Pułkownik przeglądał paszport. Major powiedział:

– Proszę nie nazywać głupcami funkcjonariuszy policji dominikańskiej. Dlaczego stawiał pan opór?

– Bo nikt nie ma prawa aresztować mnie bez powodu.

– Przekroczył pan wszelkie granice naszej gościnności. Jest pan, między innymi, oskarżony o pobicie sędziego.

– Poproszę o konfrontację z tym sędzią.

Wiedziałem, że Tapurucuara nie żyje. Przed chwilą, kiedy pilnowano mnie w poczekalni, jeden z oficerów opowiadał kolegom: „Tapurucuara dostał od niej trzy śliwki, wszystkie celne.

Major znowu spojrzął na pułkownika.

– Ładnie. Zrobi się więc konfrontację – odezwał się Abbez. – Dlaczego Gordon bił sędziego?

– Chętnie bym go pobił, gdyby za mną łąził. Zawsze biję tych, którzy pilnują mnie bez mojej zgody. Ale tym razem nic takiego nie zaszło. Nie znam pana sędziego.

– Dlaczego podawał się pan za Martina Gordona? Jaki w tym cel? – pytał major. – Jest pan oskarżony także o to, że chciał pan zwerbować do pracy w komunistycznym wywiadzie panią Monikę Gonzales. Złożyła takie oświadczenie.

– Na piśmie? Nie? Poproszę o konfrontację z panią Gonzales. To kłamstwo. Nazywam się Andrea Castagno i z polecenia moich władz zajmowałem się przygotowaniem wyprawy archeologicznej profesora Algernona de Castelfranco.

– Castelfranco jest groźnym szpiegiem.

Spojrzałem na pułkownika, który, wstydząc się swojej angielszczyzny, nie zabierał głosu.

– Panie pułkowniku, to nonsens. Kto tak powiedział? Castelfranco pozostaje w zażyłej przyjaźni z rodziną generalissimusa.

– On też tak mówi. Ale to nie powód, żebyśmy dali temu wiarę. Obaj pracujecie dla bolszewickiego wywiadu.

– Może pan zacznie rozmawiać ze mną poważnie – powiedziałem majorowi. – Nie mamy dziesięciu lat i nie bawmy się w wymyślanie oskarżeń. Nie mam zamiaru brać udziału w tej naiwnej zabawie. Nic mi nie zrobicie. Pan dobrze wie, że po zamordowaniu przez waszą policję amerykańskiego pilota, Departament Stanu jest przewrażliwiony na punkcie „znikania” obywateli USA.

Major uśmiechnął się zjadliwie.

– Nikt nie powie, że pan zniknął. Sfotografujemy pańskie zwłoki, możemy je także wystawić na widok publiczny. Są ludzie, którzy przysięgną, że wzywali pana trzykrotnie do zatrzymania się, po godzinie policyjnej, ale pan uciekał i ostrzeliwał się. Musieli pana zabić, są usprawiedliwieni. Jeżeli tego nie robimy, to tylko z uwagi na to, że oczekujemy od pana pewnych informacji. Jest pan między innymi oskarżony o potrójne morderstwo popełnione w mieszkaniu

pani Gonzales. Pan tam był. Niech pan uszanuje prawo tego kraju i nam nie utrudnia szanowania tych praw i legalnego przesłuchania.

– Pan znowu bawi się w ciuciubabkę. W tym kraju rządzi policja, a nie prawo. Strach i terror znaczą tu stokroć więcej niż prawo. Przed chwilą niedorzecznymi oskarżeniami i groźbami chciał mnie pan również sterroryzować.

Nie przerywali mi, nie wiedziałem dlaczego. Słuchali uważnie, nie patrzyli na siebie. Czekali na dalszy ciąg.

– Może jeszcze mówić – powiedział pułkownik.

Mówiłem. Przydało mi się to, co wyczytałem w książkach i broszurach pożyczonych od Flynna, co zebrałem w teczce z wycinkami, co przeczytałem w stosie gazet, które Athwood dał mi wczoraj do przejrzania.[^]

Mówiłem ironicznie, że Departament Stanu USA jest bardzo zatroskany o sprawę wolności i swobód demokratycznych, głównie w Europie, Azji i Afryce. Spodziewam się jednak, że któregoś dnia pomyśli wreszcie o wolności i demokracji na własnym kontynencie. Już dzisiaj opuścił was, obawiając się opinii całej Ameryki Łacińskiej. Może kiedyś Trujillo stanie przed trybunałem jako oskarżony numer jeden. Jeżeli wcześniej ktoś go nie zabije, stanie obok takich ludzi, jak wy.

– Co pan wie o tym? – szybko wtrącił Paulino.

– Co wie o zamachu? Jaki zamach, jakie zabicie? – zawołał Abbez.

– Wiem – powiedziałem – że załamał się wasz terror w Dominikanie. Wiem, że w Republice mnożą się zamachy bombowe, sabotaże, strajki. Wyszadzono ostatnio doki portowe. Zburzono most nad Rio Vallejuelo. Zorganizowano zamach na Urząd Bezpieczeństwa w San Juan de la Maguana. W teatrze San Francisco de Macoris podłożono bomby przed galowym przedstawieniem. W La Vega zabito szefa policji, w Montecristi zatopiono policyjne łódzie, w Puerto Plata wysadzono siłownię...

– Pan wie bardzo dużo. Tyle może wiedzieć tylko szpieg.

– Każdy czytelnik prasy kubańskiej, argentyńskiej, chilijskiej.

– Pan bardzo dużo czyta i pan wie, co wybrać do czytania...

– Panom także nie zaszkodziłoby czytanie. Wówczas wiedzielibyście, że jedną nogą stoicie pod szubienicami... Ameryka wie, jakie stosujecie represje.

W San Pedro de Macoris aresztowaliście wszystkich studentów. Rząd, który nie ma poparcia młodzieży, który ją oszukuje, musi upaść. W przerażeniu oczekujecie tego dnia.

– Słucham pana – powiedział zachęcająco major. – Proszę mówić.

– Wydaliście rozkaz, by szpitale przygotowały się na przyjmowanie rannych w bieżącym tygodniu. Od kilkunastu dni wasze samoloty patrolują teren całej Republiki, bez ustanku krążą nad Ciudad Trujillo. Czekacie na coś – i to coś stanie się, tym razem się stanie. Może już się stało. Przebraliście wszelką miarę.

– Niech pan mówi – powiedział major.

Mówiłem, nie miałem innego wyjścia; musiałem coś mówić. Trzeba było opóźnić ich decyzję w mojej sprawie, licho wie, co mogło im wpaść do głowy. Trzeba było czekać na tę chwilę, w której Athwood powie generałowi Espailat, że omyłkowo aresztowano profesora Castelfranco i jego asystenta, Andrea Castagno.

Mówiłem im o załganiu dominikańskiej propagandy, o niszczeniu każdego przejawu opozycji i krytyki, o drapieżnej chciwości Trujillo i jego rodziny, o nie spełnionych obietnicach generalissimusa, o zdławieniu radia, telewizji i prasy, a tym samym opinii publicznej. Mówiłem o skrytobójczych morderstwach i nieustannym szpiclowaniu wszystkich przez wszystkich, o zarażeniu obywateli Dominikany podłością i cynizmem, o nędzy chłopów, strachu urzędników, zakłamaniu dziennikarzy, o zniewoleniu sztuki, i o tym straszliwym apatycznym milczeniu obywateli, o przerażającym milczeniu, którym podmi-nowana jest dyktatura Trujillo...

Nie pytając o pozwolenie, zapaliłem papierosa. Byłem zmęczony. Chyba nic tak nie męczy, jak mówienie w próżnię.

– Koniec? Już nie mówi? – zapytał Abbez.

– Koniec będzie inaczej wyglądać – powiedziałem.

– Niech pan wyłączy magnetofon – powiedział po hiszpańsku Abbez.

Major Paulino dotknął bocznej szuflady biurka i nacisnął klawisz wstrzymujący obrót taśmy.

– Nagraliśmy to wszystko – powiedział. – Wystarczy, żeby pana uciszyć na zawsze.

– Mógłbym wam jeszcze opowiedzieć, jak porwaliście w Nowym Jorku profesora Galindeza, jak zabiliście Flynna i jego córkę, Loretę, jak szukaliście rękopisu książki *Era Trujillo*. Mógłbym coś powiedzieć o zabijaniu przy pomocy szpilki, w której główce, zrobionej ze sztucznej perły, mieści się trucizna. Tak zamordowaliście w samochodzie senatora Flynna, a Loretę Flynn w garażu, tak samo usunęliście Ralphi Bullocha z lotniska Amityville.

Pułkownik dławił się apoplektycznie własnym oddechem, szarpnął za górne guziki bluzy.

– Za wcześnie wyłączył pan magnetofon – powiedziałem do majora. Zauważyłem, że przeląkł się, tak samo jak Abbez.

Musieli być zadowoleni, że magnetofon jest wyłączony. Jeżeli ktoś wie o nich tak wiele, znaczyłoby to, że są partaczami. To mogło ich zgubić.

Major starał się opanować drżenie głosu.

– Zbyteczne. Po co nam brednie o szpilkach z trucizną? To, co pan wcześniej powiedział, wystarczy, żeby wytłumaczyć pańską śmierć.

– Niepotrzebnie się pan rozpędził z tą śmiercią. Na takim, stanowisku trzeba mieć mocniejsze nerwy. Umrę dopiero za dwadzieścia albo trzydzieści lat.

– Oszczerstwa – mówił major – na które nie może pan przedłożyć żadnych dowodów, wystarczą również na karę śmierci.

Spojrzałem na zegarek. Piętnaście minut temu upłynęła godzina ustalona z Athwoodem na interwencję generała.

– Przesłuchanie skończone, panie pułkowniku – powiedział major. – Moja propozycja: kara śmierci.

– Niech pan poda formularz – powiedział po hiszpańsku Abbez – podpiszę ten wyrok. Wykonać w trybie doraźnym.

Gdyby im się udało, pomyślałem, co pocnie Harriet z tym boyem i z rewolwerem? Kto ją uwolni? Ostatecznie mogłaby wyjść, bo automat zabezpieczający zamek założyłem od zewnątrz, a zatrask przekręca się od wewnątrz. Ale wtedy Escudero zawiadomi policję. Jeżeli zatrzymają mnie dłużej, na co się zanosilo w najlepszym wypadku, Harriet nie wytrzyma nerwowo i popełni

jakieś głupstwo. Znowu luka w rzekomo precyzyjnym planie przygotowanym na moją ostatnią noc w Ciudad Trujillo, luka, za którą może zapłacić Harriet, jak niegdyś za podobne niedopatrzenie zapłaciła Loretta Flynn.

– Panowie nie są przy zdrowych zmysłach – powiedziałem. – Co to za wyrok? Jakim prawem? Bez powiadomienia mojej ambasady? Od kiedy to policja wyřęcza sąd?

– Pan stąd nie może wyjść – powiedział major. – Nigdy.

– Wiem więcej, panie majorze.

– Chce pan złożyć dodatkowe zeznanie? Proszę.

– Pan mnie nie zrozumiał. Wiem więcej, bo wy twierdzicie, że nie wyjdę stąd, a ja wiem, że wyjdę.

– Do piwnicy, pod ścianę – rzucił pułkownik. – Ładnie.

– Umówiłem się z panem Athwoodem, żeby przyjechał po mnie do prezydium policji. Powinien już być tutaj.

– Niech pan nie uważa nas za głupców. Skąd pan wiedział, że zaaresztujemy pana?

– Powiedzmy, że sam postanowiłem przyjść do was, ale zatrzymali mnie przed hotelem dwaj agenci. Powiedziałem o moim zamiarze Athwoodowi i prosiłem, żeby po mnie przyjechał do prezydium.

– Gdyby nawet tak było, Athwood ani ambasador nie mają prawa wstępu do gmachu prezydium policji.

– Przewidziałem także to. Dlatego pan Athwood przyjedzie tutaj z panem generałem Espaillatem.

– On oszalał ze strachu – powiedział Abbez. – On bredzi.

– Możecie zadzwonić do ambasady i zapytać.

Major uśmiechnął się wyrozumiale.

– Aha! Rozumiem ten podstęp. Żeby w ten sposób dać znać o miejscu pańskiego pobytu?

– Nic nie rozumiecie! Oni wiedzą, gdzie jestem i gdzie jest Castelfranco... Zdaje się, że nadjechał jakiś wóz. Może to oni?

– Tu wciąż przyjeżdżają samochody. Niech pan nie fantazjuje. Proszę, pan pójdzie ze mną.

Major wziął z biurka arkusz podpisany przez Abbeza.

– Ostrzegam was, żebyście zaczekali!

- Nie mamy czasu. Z panem sprawa jest skończona. Teraz łagodnie nakłoniemy do szczerości następnego asa wywiadu, pana Castelfranco. Wyjdzie pan sam, czy mam zawołać straż?
- Proszę zawołać straż.

42.

Był już na granicy, tam gdzie przecinałaby się z nią linia wykreślona z dominikańskiej Barahony do haitańskiego miasteczka Saltrou, w pobliżu olbrzymich plantacji kawy ciągnących się aż do Port-au-Prince.

Ścigali go przez całą noc. Dzień spędził kryjąc się w stosach przegniłej trzciny cukrowej, w gąszczu krzewów, w opuszczonych szałasach. Na zapadnięcie zmroku czekał w cuchnącej jamie wiejskiej cegielni.

Nie było chwili, w której opuściłoby go uczucie grozy i zaszczucia, w której oddaliłyby się aż do granicy słyszalności odgłosy pogoni. Z godziny na godzinę dobiegało go ujadanie psów i zmieszane głosy ludzi. Dopiero kiedy zmrok odgrodził go również od tego, co widział w jamie cegielni – zapadła cisza.

Kluczył, przedzierał się nie uczęszczanymi, dziko zarosłymi ścieżkami. Przerazał go szeleszczący bieg jaszczurek, lot flamingów, krzyk kruków; raniły go karłowate krzewy, odbijał się o pnie olbrzymich drzew, potykał o korzenie.

Upłynęła godzina, która trwała nieskończenie długo. Wydawało mu się, że wciąż słyszy za sobą odgłosy ludzi i psów. Poprzez mgłę osiadłą na oczach dostrzegł światełka haitańskiej wioski, usłyszał bębny i gwar głosów.

Domyślał się, że mieszkańcy lepianek i baraków wzniesionych na skraju olbrzymiej plantacji kawy należą do sekty Vaudou i zgodnie z jej obrządkiem przygotowują się do tańca.

Przemknął się między krzewami migdałowego gaju i ujrzał okrągłą polanę, na niej poruszających się leniwie ludzi, kołyszących ciałami o rozluźnionych mięśniach.

Muskali ziemię lekkim dotknięciem stóp, wygładzali ją plaskaniem brązowych palców i pięt. Rytm bębnow był powolny, przytłumiony i tak utajony w

ich głębi, jakby wydobywał się z czarnych brzuchów tancerzy. Włączyły się inne instrumenty: *cza-cza*, *bongos* i *maraca*, gitara i *manubao* o grubych, stalowych strunach.

Stopy mężczyzn i kobiet szurały po udeptanym klepisku, odrywały się coraz wyżej i uderzały w szybszym rytmie; wydawało się, że przed tańcem, który miał się dopiero zacząć, pragną napiąć powierzchnię ziemi jak skórę olbrzymiego bębna, żeby później dudnieniem i echem wydartym z wnętrza rezonowała każdy krok tancerzy.

Wyczerpany mężczyzna pomyślał – i zdziwił się, że myśli o tym bez spodziewanej radości – że granicę ma już poza sobą i nie dosięgną go ścigający. Ale wciąż dygotał z wycieńczenia utrwalonego w każdym włóknie ciała i z lęku, który paraliżował go odbitymi w pamięci odgłosami pogoni. Rozejrzał się w poszukiwaniu osłony i miejsca, w którym odpocznie, powściągnie rozdygotanie ciała, uspokoi nerwy.

Ominął kilka krzewów i zbliżył się do drzewa *mapu*. Wsparł się o pień, w którego wnętrzu, gdyby był wydrążony, mogłoby zamieszkać kilkanaście osób. Dławił go oddech krótki i urywany, pobudzający serce do gwałtownych skurczów. Uciekłem, pomyślał, uciekłem, ale strach nie przemijał, oni mogą tu przyjść, przychodzą wszędzie i wszędzie zabijają. I zawsze.

Zmierzch skłębiał się tumanem fioletowej mgły i noc zapadła tak nagle, jak nagle pękający granat rozbija ciszę. Pękający granat... Widział kiedyś pękający ananas, rozłupany kulą na piersi Manuela Jezusa Hernandeza. To było w Hawanie, w samo południe. Hernandez upadł z tym ananasem na bruk wąskiej uliczki z sercem przestrzelonym na wylot dwiema kulami. Stojący obok rozstąpili się, w obawie, że otrze się o nich ciało Hernandeza. I wtedy Tapurucuara – miał na sobie białe spodnie i kraciastą koszulę – podszedł bliżej i trzecią kulę wstrzelił w czaszkę leżącego. To było niepotrzebne, Hernandez już nie żył.

Tak jak teraz stoi pod drzewem *mapu* – tak stał wtedy na ulicy, obok otwartego baru ukrytego przed słońcem w wykuszu murów, pachnącego aromatem silnie palonej kawy. Opierał się o ścianę; kazali mu tak stanąć, kiedy Tapurucuara zaczynał strzelać, i kazali uważać, żeby nikt nie strzelił do Tapurucuary. Miał go ubezpieczać.

Nikt nie strzelał do Tapurucuary, bo właściwie w tym tłumie otaczającym Hernandeza padającego z ananasem przytulonym do piersi tylko on jeden chciał strzelić do Tapurucuary; on, który miał go ochraniać. Ale nie strzelił. Był odważny, jednak zawsze brakowało mu czegoś więcej niż odwaga. Może decyzji, tak szybkiej i odruchowej, że nie zdążyłby zastanowić się nad nią, że nie miałby nawet ułamka sekundy, w którym zdołałby skontrolować pobudki takiej decyzji i jej konsekwencje.

Stał wtedy pod ścianą hawańskiego domu, patrzył jak Tapurucua strzela. Oślepiało go słońce odbite w olbrzymich oknach. Stał tam w samo południe, on, Julio Ruiz Oliveira – przerażony i zbuntowany – jak dzisiaj stoi wsparty o pień drzewa *mapu*, w haitańskiej wiosce... Noc gęstniała, dyszała odurzającą wonią, wibrowała płomieniem ogniska rozpalonego przez tancerzy. Stała się parna, lepka i była jak ciało spoconej, drżącej z podniecenia kobiety. Wąż zaszeleścił pod stopami Oliveiry i zygakiem przemknął wśród traw w stronę ogniska.

Usłyszał łopot skrzydeł. Stado spłoszonych pelikanów zatoczyło kilka kręgów nad drzewami *ylang-ylang* i odleciało w kierunku zatoki. Kogut zapiał wysokim crescendo, odpowiedział mu inny i jeszcze inny. Na Haiti koguty pieją przez całą noc.

Skulił się pod drzewem, kiedy rozległo się donośne, wstrząsające *abobo* – rytualny krzyk wyznawców tajemniczej sekty Vaudou; odpowiedział mu przenikliwy zaśpiew mambo, kapłanki obrządku Vaudou. Na pobliskim przedmieściu zerwała się dzika pieśń, wydzierająca się z gardel ochryplych z przepicia żołnierzy.

...Trzeba będzie stąd uciekać, na zachód, do Port-au-Prince. W czasie pogoni stracił orientację i nie wiedział dokładnie, gdzie znajduje się teraz. Ale na pewno jest blisko wybrzeża, widział pelikany i flamingi.

Pod tym samym drzewem zatrzymała się handlarka podążająca z wioski w stronę murzyńskich baraków. Tacę wspartą o biodro, na której połyskiwał stos malutkich rybek *pisquites*, położyła na ziemi i usiadła obok niej. Mężczyzna był głodny, ale odór bijący od rozkładających się *pisquites* przyprawił, go o mdłości.

43.

Powiedziałem majorowi, że sam stąd nie wyjdę. Niech zawołają straż.

Nie miałem innego wyboru. Wszystko było dobre, co odwlekało chwilę sprowadzenia mnie do jakiegoś lochu na podwórzu, skąd dobiegały nas strzały kolejnych egzekucji. Pomyślałem, że mam jeszcze jeden atut, najpewniejszy; trzeba im opowiedzieć o Monice Gonzales, to ich zainteresuje. Zaproponuję, żebyśmy pojechali do mieszkania gitarzysty; tam pokażę im szpiegowski nadajnik. Tapurucuara nie zdążył im powiedzieć. Musiałem jak najdłużej grać na zwłokę, jeżeli Athwood nie dotrzymał umowy, jeżeli się spóźni.

Major chciał wyjść po policjantów, którzy mieli mnie wyprowadzić. Był już na progu otwartych drzwi, kiedy zawołałem:

– Panie majorze!

Odwrócił się, ale drzwi nie zamknął.

– Panie majorze – zacząłem – chciałem panu powiedzieć coś rewelacyjnego, dotyczącego działalności obcego wywiadu w Ciudad Trujillo. Ale w zamian zażądam...

Młody porucznik dominikańskiej żandarmerii stanął w półrozwartych drzwiach gabinetu. Na jego obsypanej orderami piersi kołysał się srebrny sznur adiutanta. Niedbale zasalutował.

– Do pana majora Paulino – zameldował – z poleceniem od pana generała Espaillata.

– Co pan chciał mówić o centrali? – zapytał pułkownik.

– Żartowałem.

Major sięgnął po kopertę podaną mu przez porucznika, rozerwał ją. Przeoczytał słowa nakreślone na wizytówce i podał ją pułkownikowi. Abbez czytał tekst kilkakrotnie. Obaj spojrzeli na mnie.

– Poruczniku, kiedy pan generał wysłał ten bilet? – zapytał major.

– Dziesięć minut temu. Pan generał czeka na profesora w ambasadzie USA. Jego asystent może odejść, dokąd sobie zyczy.

– To niemożliwe! Niedopuszczalne! – krzyknął Abbez. – To... Pan generał nie jest zorientowany!

– Pan generał jest doskonale zorientowany w tej sprawie, panie pułkowniku – powiedział adiutant.

– Czy pan generał wie...

– Wie o wszystkim, panie pułkowniku.

– W tym jest jakaś dyplomatyczna gra, ale ja...

– Pan generał pragnie osobiście przeprosić pana profesora Castelfranco.

– Nikogo nie będę przepraszać – hardo powiedział Abbez.

– Pan generał przyjmie pana pułkownika jutro przed południem, o jedenastej. Przekazał już telefonogram do ministerstwa dla pana.

Pułkownik spojrzał na mnie.

– Castagno, czy zna pan hiszpański? Ładnie. Tak mi łatwiej mówić. Dowiedziałem się, że pan zamierzał wyjechać na kilka dni do Santiago de los Caballeros. Czy to jest aktualne? Nie? Ładnie. W takim razie, kiedy pan chce wyjechać z Ciudad Trujillo?

– Pojutrze, panie pułkowniku – powiedziałem. Było już po północy, miałem wyjechać tego samego dnia. Musiałem wyjechać, nim jeszcze pułkownik zacznie rozmowę z generałem Esipaillatem. Nie miałem takiego poparcia, jak Castelfranco, podobnie Harriet, o której jeszcze nic nie wiedzieli. Musiałem opuścić Ciudad Trujillo za kilka godzin.

Porucznik zapytał:

– Pan nazywa się Andrea Castagno? – i podał mi zaklejoną kopertę. – Pan senator Athwood prosił, bym panu to przekazał. Pan generał Esipaillat upoważnił mnie, żebym złożył panu wyrazy ubolewania... za ten przykry dla nas incydent. Pan generał jest przekonany, że potraktowano pana w prezydium z pełnym uszanowaniem.

Pomyślałem, że w koperce są na pewno bilety lotnicze dla mnie i dla Harriet.

– Proszę podziękować panu generałowi za troskę i powiedzieć, że nie mam zastrzeżeń co do sposobu, w jaki mnie przyjęto.

Pułkownik wstał, szybko wyszedł z gabinetu.

Major Paulino powiedział:

– To był żart i ostrzeżenie, panie Castagno, proszę tego inaczej nie traktować. Musieliśmy pana trochę nastraszyć, no nie?

Zwrócił się do porucznika:

– Czy pan orientuje się, poruczniku, w jaki sposób pan generał dowiedział się o zatrzymaniu profesora Castelfranco i pana Castagno?

– W mojej obecności mówił o tym pan Athwood. Pan generał wyjaśnił, że zawiniło tu ogłoszenie stanu wyjątkowego w stolicy, i że w takiej sytuacji przeczuleniu na punkcie czujności i podenerwowani funkcjonariusze policji muszą popełnić błędy.

Wszedł pułkownik Abbez.

– Wydałem polecenie uwolnienia z celi profesora Castelfranco. Poruczniku, zgodnie z treścią pisma generała zabierze go pan do ambasady. Pan – zwrócił się do mnie – może pojechać swoim mercedesem, który przywieziono tutaj z Plaza del Congreso. Dokąd pan chce jechać?

– Pan generał postanowił, że Castagno może odejść dokąd chce – powiedział major Paulino – ja odpowiadam za to. Wystawię panu nocną przepustkę, ważną tylko na dzisiaj, panie Castagno. Do siódmej rano obowiązuje policyjna godzina i miałbym nowe kłopoty, gdyby pana zaaresztowano na ulicy.

Usiadł, wypełnił przepustkę. Podał mi ją wraz z paszportem. Pułkownik podszedł do telefonu, wykręcił jakiś numer.

– Ambasada? Proszę pana generała Espaillata. Mówi pułkownik Abbez. Abbez! – zawołał niecierpliwie. – Pułkownik. Pilna sprawa.

Spojrzał na mnie z wściekłością.

– Mam nadzieję, że pan jednak zostanie pod naszą ochroną. Muszę tylko poinformować generała o pewnych szczegółach, szpilkach z trucizną i kilku morderstwach.

Przycisnął słuchawkę do ucha, słuchał czyjś głos. Adiutant uśmiechał się. Major zapytał:

– I co?

Pułkownik odłożył słuchawkę.

– Generał kazał mi powiedzieć, że czeka na mnie jutro o jedenastej – odparł Abbez. I do mnie: – Może pan iść. Nie żegnam pana, jeszcze się zobaczymy. Niech pan szybko stąd odjeżdża. – Mruknął do siebie: – Co za noc, co za noc...

Uśmiechnięty policjant, przynaglany przez Abbeza, wyprowadził mnie na

ulicę. Adiutant, który schodził wraz ze mną, zatrzymał się przy wartowni, czekając na doprowadzenie Castelfranco.

Mój mercedes stał w pobliżu. Przejechałem kilkanaście metrów. Na płycie kanału podskoczyła karoseria. Usłyszałem dzwonienie blachy: to maska okrywająca motor stukotała o nie domknięty zatrzask. Kto go otwierał?

Zatrzymałem wóz. Uniosłem maskę i skierowałem w stronę motoru umieszczony na błotniku reflektor. Do ściany chłodnicy przymocowany był walec długości dwudziestu centymetrów, zalutowany z obu stron, skręcony w środku olbrzymią mutrą. Z grudki cyny wybiegał izolowany przewód, podłączony do akumulatora. Usłyszałem cichutkie, drewniane tykanie.

Już wiedziałem, po co Abbez wychodził z gabinetu. Zegar mógł być nastawiony na dziesięć lub piętnaście minut, tak żeby wybuch nastąpił w drodze do hotelu, która powinna trwać co najmniej dwadzieścia minut. Ale na szczęście „pirotechnik” Abbeza niedbale zatrzaskał maskę w pośpiechu.

Na tylnym biegu cofnąłem się pod komisariat i wysiadłem z wozu, zostawiając motor na chodzie, obok kilku innych samochodów. Jeżeli Abbez tak bardzo lubi wybuchy, niech to się stanie pod jego oknem. Właśnie wychodził adiutant generała Espaillata, wyprzedzając siwego, przeklinającego mężczyznę. Wsiedli do limuzyny z wojskowym porucznikiem na błotniku. Podbiegłem i otworzyłem przednie drzwiczki.

- Proszę mnie podrzucić do hotelu „Cosmos” – powiedziałem.
- A pański wóz? – zapytał adiutant.
- Nie mogę zapalić motoru. Wóz może tu zostać do jutra. Marzę tylko o tym, żeby się wyspać. Jedźmy już, dobrze?

Odwrociłem się do profesora.

– Pan pozwoli, jestem Andrea Castagno. Przygotowywałem sprzęt potrzebny dla pańskiej wyprawy. Wszystko jest złożone w ambasadzie wraz z listą.

- Co, ci idioci pana zamknęli? Co za bałwany, co za durnie!
- Ponieważ podejrzewali pana, musieli mnie także zaarrestować jako pańskiego współnika.
- W takim razie przepraszam. Ale zapewniam pana, że dobrze za to zapłacę.

Przejechaliśmy kilkaset metrów, kiedy powietrzem wstrząsnęła silna detonacja. W pustym i uśpionym mieście zabrzmiała jak wybuch tonowej bomby.

- Co, u diabła? – powiedział adiutant.
- Co to było? – zapytał Castelfranco. – Pięknie mnie tutaj witają!
- Właśnie, panie profesorze – powiedziałem, zastanawiając się, ile wozów wyleciało w powietrze razem z moim mercedesem i na jaką wysokość. Zaaplikowali mi ładną porcję.

Wysiadłem przed hotelem, pożegnałem profesora i adiutanta.

Minąłem główne wejście i przeszedłem pod boczną kolumnadą w stronę garażu. Dozorca spał. Obudziłem go. Powiedziałem, że potrzebuję forda; miałem przy sobie poprzednią kartę, wypisaną w recepcji na ten wóz. Nie zażądano jej ode mnie, kiedy dostawałem nową na mercedesa.

Dozorca przeraził się.

- Mario Przenajświętsza i Jezusie Nazareński! O tej godzinie? Nikomu nie wolno chodzić ani jeździć, dopiero o siódmej rano.

Pokazałem mu nocną przepustkę. Spojrzał na podpis majora Paulino.

- Nie wiedziałem, że pan jest z policji... Proszę, wóz naszykowany, jeszcze tylko sprawdzę benzynę.

Podąłem mu dwadzieścia pesos, chyba tyle wynosił jego tygodniowy zarobek. Objechałem hotel i zatrzymałem forda w bocznej ulicy La Paz, przy postoju, tuż za pięcioma zamkniętymi taksówkami.

Wróciłem do hotelu.

Kiedy wszedłem do pokoju, Harriet drżała, rewolwer dygotał w jej ręce. Escudero, skulony na fotelu, spał.

- Mike – powiedziała cicho – Mike... Tak strasznie się bałam, myślałam, że już nie wrócisz.
- Natychmiast położy się spać – powiedziałem, wyjmując rewolwer z jej zaciśniętej dłoni. Kolba była wilgotna od potu.
- Nic ci się nie stało, nie narażałeś się niepotrzebnie?
- Byłem na przyjęciu u bardzo sympatycznego pułkownika.
- A ja wyobrażałam sobie nie wiadomo co.

– Połóż się, Harriet. Za trzy godziny... – umilkłem, patrząc na Escudera. Mógł udawać, że śpi. – Za trzy godziny już świt – poprawiłem – a w południe musimy być u majora Paulino.

– Kto to jest?

– Wyśpij się, później opowiem.

Rozpuściłem w soku pomarańczowym trzy tabletki luminalu i zbudziłem Escudera.

Otworzył oczy i łokciem osłonił twarz, spodziewając się uderzenia.

– Escudero nie kłamać, pan. Pan nie bić.

– Powiedziałaś prawdę. Nie bój się.

– Escudero dobry boy. Pan Castagno mówić: Escudero mówić prawda, Escudero iść. Chcieć iść, pan.

– Zostaniesz tutaj. Rano pojedziemy do Santiago.

– Escudero mieć swoja rzeczy w pokój wszystkich boy, pan.

– Teraz tam śpią. Pójdiesz rano i zabierzesz swoje rzeczy.

Spojrzał na czerń za oknami.

– Pan Castagno chodzić noc? Policja nie pytać, po co pan chodzić noc?

Pokazałem mu przepustkę, przeczytał ją.

– Pan teraz być wielki pan, pan być *señor alcalde*... Escudero chcieć iść jeść i pić.

Podąłem mu paczkę czekolady, przywiezioną przez Harriet, i szklankę soku pomarańczowego. Wypił ją chciwie, czekoladę schował do kieszeni.

Wziąłem haftowaną poduszkę leżącą na fotelu i kapę z tapczanu. Zaprowadziłem go do osłoniętej kotarą wnęki, w której prawdopodobnie stał niegdyś drugi tapczan. Położył się, ciało okręcił kapą. Kiedy po kilkunastu minutach zajrzałem za kotarę, Escudero chrapał. Po takiej dawce luminalu nie obudzi się wcześniej, jak za dziesięć godzin.

Harriet spała. Miała zmęczoną, cierpiącą twarz, podkrążone oczy i niespokojnie oddychała. Położyłem się ostrożnie obok niej. Nakręciłem podróżny budzik i włożyłem go pod poduszkę. Mieliśmy trzy godziny na sen.

Nie mogłem zasnąć.

Kiedy budzik zabrzączał, przyduśiłem guzik alarmowy. Była czwarta. Wziąłem w łazience zimny prysznic. Zbudziłem Harriet. Błagała żebym ją zostawił, zapewniała, że jest nieprzytomna, że nie zrobi ani kroku. Kazałem jej

usiąść i na obnażoną szyję wylałem szklankę lodowatej wody. Dopiero wtedy oprzytomniała.

Zajrzałem do Escudera, potrąciłem go. Nie zareagował. Miał ciężki, chrapliwy oddech.

Wziąłem moją walizkę i torbę podróżną Harriet. Wyszliśmy z pokoju. W zamek włożyłem zabezpieczający automat od strony korytarza. Prowadziłem Harriet do żelaznych schodów dla służby. Kokosowy chodnik tłumiał kroki.

Schody spadały do małego pomieszczenia, skąd jedne drzwi prowadziły do hallu hotelowego, drugie do kuchni, trzecie zaś, założone żelazną sztabą, na podwórze. Zdjąłem sztabę szczelnie przylegającą do kutych zaczepów, przekręciłem zatrzask.

Okrążyliśmy budynek hotelowy od tyłu i przeszliśmy na ulicę La Paz, do postoju taksówek. Przy moim fordzie stał policjant. Postawiłem walizkę i zatrzymałem dłoń na klapie marynarki, w pobliżu rewolweru.

– Czego tu chcesz? – zapytałem.

Nie dał się zbić z tropu moim tonem.

– Tu nie wolno parkować prywatnych wozów. Co się robi o tej porze na ulicy?

– Zatelefonuj do pułkownika Abbeza, on ci powie.

Podąłem mu przepustkę. Taki papierek musiał wiele u nich znaczyć i chyba mało kto legitymował się tej nocy podobnym druczkiem. Zasalutował, uśmiechnął się życzliwie.

– Pan jedzie z panią?

Bąłem się, że zapyta o drugą przepustkę.

– Major Paulino chce z nią rozmawiać – powiedziałem poufnie. I do Harriet: – Proszę wsiadać. Pani walizki przegładniemy w prezydium policji.

Policjant zasalutował.

Ruszyliśmy osiemdziesiątką na lotnisko General Andrews. Jechaliśmy przez przerażone i wymarłe miasto.

Na wschodzie przezierwały przez czerń pierwsze smugi brzasku. Noc przecierała się, płowiąła – moja ostatnia noc w Ciudad Trujillo. Ale czy na pewno ostatnia?

Na lotnisko dotarliśmy bez przeszkód.

44.

Dudniły bębny w rytmie *kata*. Stopy tańczących poruszały się coraz prędzej, wyglądały w blasku ognia jak groteskowo wydłużone ramiona, opadające na wypolerowaną i napiętą skórę ziemi, obrzeżoną na krańcach zwartym kręgiem widzów; siedzieli wokół tancerzy z wysoko podciągniętymi kolanami i kołysali się w prawo i w lewo, akcentując takt ruchami głowy.

Rozległ się wrzask sowy i wydało się, że był on umówionym sygnałem dla bijących w bębny; już nie uderzali luźno opadającymi dłońmi, ale napiętkiem, wystukując końcami palców echo tych prędkich uderzeń. Odrywali ręce od bębnów wciąż szybciej i opuszczali je w zgięciu wysoko wzniesionych łokci. Spośród innych instrumentów wybijał się kontrabasowy dźwięk stalowych strun *manubao*, rytm wchłaniał monotonną melodię.

Odgłosy nocy haitańskiej zanikały w tym magicznym dudnieniu.

Mężczyzna wsparty o pień *mapu*, zafascynowany szaleństwem tancerzy, poruszał ciałem w takt punktowany falowaniem siedzących wokół ogniska. Drażniący zmysły niepokój udzielił się całej naturze, noc bulgotała wokół płomieni, falami ciemności biła o niebo, ziemię i dźwięki.

Ten szum wzmagał się, wzmocniony nagle łopotem skrzydeł. Spojrzał w górę: przeleciała nad nim chmura spłoszonych kruków. Sylwetki ptaków odcinały się na niewidocznym tle nieba, były czarniejsze od nocy. Tuż obok jego stóp, prawie ocierając się o buty, prześlizgnął się wąż, w trawie zaszeleściły przestraszone jaszczurki, zaskomlało jakieś zwierzę, rozległo się szczekanie i odezwał się chór kogutów piejących na najwyższych tonach. Zasłuchane i senne ptaki krzyczały teraz histerycznie i nim jeszcze ucichł ten wrzask, oślepiająca błyskawica przestrzeliła na wylot noc. Na parującą ziemię runęły strugi ciepłej wody. Stało się to tak nagle, jak nagle spada tutaj ciemność, jak nagle rozlega się w ciszy wybuch granatu.

Przytulił się do pnia. Widział, jak tancerze z wyciem pomknęli w stronę grupy mangowców, jak biegli za nimi muzycanci, przytulając do siebie instrumenty, roztrącając w popłochu tłum zaskoczonych i spłoszonych gapiów.

Skulił się pod drzewem, chociaż korona szerokich liści osłaniała go przed ulewą. Nie słyszał w szumie wody, jak pochylone cienie biegną ku niemu z kilku stron, nie tylko od ogniska. W świetle błyskawicy dostrzegł, że stoi obok kilku kobiet przyodzianych w *huípi*, kolorowe bluzki, i mężczyzn w kubrakach *robozo*. Jeden z nich przylgnął do Oliveiry i zajrzał mu w oczy, rzucając jakieś słowo drugiemu, który wyglądał jak typowy haitański wiejo. Oliveira pomyślał, że szli za nim od granicy, tropiąc jego ślady lepiej niż psy gończe.

Ten w kubraku pchnął go na przeciwległą stronę pnia i teraz Oliveira stał przy nim i przy tym wiejo, oddalony od reszty stłoczonej grupki ludzi.

– Ach, don Ruiz Oliveira. *Que tai? Como esta?* – powiedział zaczepnie wiejo. – Co u pana słychać, jak się panu powodzi?

– *Buenas noches!* – pozdrowił go ten drugi.

I znowu wiejo:

– *Haga el favor de volverse* – rzucił ostro – proszę się odwrócić.

Teraz, teraz, myślał mężczyzna; teraz wyjąć rewolwer szybciej niż oni wyciągną noże, tego z prawej kopnąć kolaniem w krocze, do drugiego strzelić, teraz, bo to ostatnia sekunda... Może oni trzymają już noże lub rewolwery przyłożone do mojego ciała? Nie, nie, na co czekać? Teraz!

Zabrakło mu znowu tej ostatecznej, błyskawicznej decyzji, zsynchronizowanej z ruchem, decyzji instynktownej, nie kontrolowanej przez świadomość. To samo działo się z nim w Hawanie, kiedy postanowił, że strzeli do Tapurucuary. Ale zaczął analizować swój zamiar i nie strzelił do Tapurucuary. Dzisiaj Tapurucuara dosięgnął go przez swoich ludzi.

– Odwróć się – powtórzył wiejo.

Teraz, teraz! Jednak było już za późno. Na tej samej zasadzie brutalny i prymitywny pozbawiony skrupułów napastnik zawsze zwycięża w bójce ulicznej z człowiekiem silniejszym od siebie, ale wrażliwym i inteligentnym, który nigdy nie wymierzy pierwszego ciosu. I dlatego musi przegrać.

Odwrócił się.

45.

Długo nie otrzymywaliśmy sygnału do startu. Wciąż trwała, nie kończąca się moja ostatnia noc w Ciudad Trujillo. Noc na wylękłych ulicach, pod niebem grzęącym od motorów wywiadowczych samolotów, noc aresztowania Castelfranco, śmierci Moniki Gonzales i Tapurucuary, noc w prezydium policji i noc bomby wybuchającej w moim wozie i jeszcze inna noc, chociaż ta sama – kiedy na wąskim hotelowym tapczanie leżałem obok śpiącej Harriet i odsuwałem się na skraj materaców, uważając, by nie przytulić się do niej, bo każde zetknięcie się z jej ciałem, nawet gdy dotknęła policzkiem mego ramienia, wydobywało krople potu na powierzchnię skóry.

Słyszałem ciężki oddech Escudera, przytłumiony kapą, w którą był owinięty, i niewyraźne słowa majaczącej Harriet. Objęła mnie i płakała przez sen. Czekałem na dźwięk budzika leżącego pod poduszką, czekałem niecierpliwie i w takim napięciu, jak czekałem na odgłos pierwszych strażów w pokoju Moniki, kiedy stałem na schodach domu przy Plaza del Congreso. Mogła im por wiedzieć, że jestem w korytarzu, mogła uciec, mogła nie strzelać.

– Dlaczego nie odlatujemy? – zapytała Harriet.

Szef załogi awanturował się jeszcze w biurze z komendantem *aeropuerto*. Prócz mnie i Harriet – legitymowałem się przepustką prezydium policji – nikt więcej nie przybył na lotnisko, a pasażerowie, którzy wysiedli tutaj, byli poddani osobistej rewizji i musieli czekać aż do siódmej na autobus z biura *Pan Am*, które mieściło się na Calle el Conde.

Mimo paszportu Harriet, wystawionego na nazwisko żony jednego z sekretarzy ambasady, i mimo mojej nocnej przepustki z budzącym respekt podpisem majora Paulino, z notatką, że wydano ów dokument z polecenia generała Espallata – czyniono nam trudności z wejściem na General Andrews. Obawiałem się, że dowódca ochrony lotniska skontaktuje się telefonicznie z komendą policji. Nie miałem pojęcia, co sądzili o wybuchu pod gmachem prezydium i jakie były jego skutki. Chyba pomyśleli, że wróciłem po coś jeszcze lub opóźniłem odjazd i rozerwało mnie na strzępy.

Jedno było pewne: jeżeli wiedzą, że żyję, to po rozmowie Abbeza z generałem, która miała się odbyć o jedenastej, użyliby wszelkich środków, by mnie unicestwić. Na razie ratował mnie charakterystyczny w takich momentach brak koordynacji między wprowadzonymi do akcji oddziałami.

Wystartowaliśmy z godzinnym opóźnieniem.

Minęliśmy granicę Republiki Dominikańskiej, później jej strefę przybrzeżną. Kończyła się moja ostatnia noc w Ciudad Trujillo. Mogłem rozładować rewolwer.

Pomyślałem, że w Trujillo przygotowują do spalenia kilka trupów, także zwłoki Moniki Gonzales i Tapurucuary. Pomyślałem, że Escudero jeszcze śpi i że po jedenastej policja straci przynajmniej godzinę, nim na polecenie Abbeza wydbufie z drzwi mojego pokoju automat blokujący zamek. Wciąż powracały myśli o Monice Gonzales i jej przerażającym spokojem, który załamał się gwałtownie w momencie wejścia Tapurucuary, przeistaczając się w zimną furję.

...Kiedy w kilka dni później rozmawiałem w Nowym Jorku z Beesleyem, powiedział mi:

- Zginął nasz najlepszy człowiek w Ciudad Trujillo.
- Tak? Kto? – zapytałem.
- Ta piękna tancerka. Monika Gonzales. Czy nie przypuszczasz, że zginęła przez ciebie, że przez nieostrożność sam ją spaliłeś?
- Kto ci o tym doniósł?
- Jej pomocnik obsługiwał krótkofalowy nadajnik. Akompaniował Monice na gitarze.
- Frank, zrezygnuj z tego faceta – powiedziałem. – Widziałem go w prezydium policji, pracuje dla nich. Tylko on mógł wsypać Monikę Gonzales.
- Podejrzywałem go o to. Jego komunikat o śmierci Moniki był bardzo zamgmatwany. Podał mi także, że ciebie rozszarpał wybuch bomby w samochodzie, pod prezydium policji, i że nie można było znaleźć twoich szczątków wśród rozszarpanych ciał kilkunastu policjantów... Musieli zauważyć, że wysiadłeś z mercedesa i w panice podbiegli, by zepchnąć go w dół stromą ulicą. Ponieważ ci wszyscy zginęli, Abbez nie dowiedział się, że ciebie w tym wozie już nie było. Tak sobie to wyobrażam.

Minęliśmy spłaszczony obwarzanek wyspy Great Inagua, okrążający płaszczynę olbrzymiego jeziora. Lecieliśmy wzdłuż ciągnącego się od Hispanioli aż do Florydy szerokiego pasma wysp Bahama. Harriet wsparła głowę na moim ramieniu, zasnęła.

...Kiedy w kilka dni później rozmawiałem z Beesleyem, powiedział mi, że zbadali zawartość perły wmontowanej w ostrze szpilki, którą wyrwałem z kłapy Tapurucuary. Porównali skład tej trucizny z wynikiem analizy chemicznej skrawka skóry, którą Beesley w porę wyciął z czaszki Ralphi Bullocha.

Z płynu wydobytego ze sztucznej perły starano się przy licznych próbach wydzielić brucynę, strofantynę i strychninę, a więc trucizny pochodzenia roślinnego. Chemiczna analiza wykryła drobne cząstki ekstraktu sporządzonego z wyciągu kory i pędów lian gatunku *strychnos*, mającego właściwości kurary. Jednak większość drobin nie poddawała się tym próbom i wykazywała pochodzenie zwierzęce.

„Pewien wybitny ichtiolog – opowiadał Beesley – zajmujący się toksykologią świata podwodnego, wyjaśnił ostatecznie pochodzenie tej trucizny. Zawierała – prócz wspomnianego ekstraktu – silnie stężony wyciąg z ryby *Ballistodes Conspicillum*, tak zwanej *ryby-muchomora*, której spożycie, nawet po ugotowaniu, powoduje paraliż dróg oddechowych, ślepotę i porażenie zmysłów tego rodzaju, że zimno odczuwa się jak gorąco, wysoka zaś temperatura wywołuje uczucie zamarzania”.

„Sporządzona z tej mieszanki trucizna – mówił Beesley – podobnie jak kurara, zachowująca swe trujące właściwości nawet przez dwieście lat (o czym przekonano się, badając stare strzały indiańskie), nie działa na serce i mięśnie gładkie. Dawkowana nawet w minimalnej ilości, uderza piorunująco i natychmiast rozprzestrzenia się w systemie krwionośnym. Mordercy nakłuwali głowę nie tylko dlatego, że wśród włosów nie można znaleźć śladu ukłucia, ale także dlatego, że natychmiast po tym zabiegu paraliż obejmował przede wszystkim mięśnie twarzy, ust i szyi, zaciskał przełyk i aortę. Rozkurczenie mięśni następowało dość szybko, trucizna docierała do kończyn, brzucha i przepony.

Ponieważ proces ten zaczynał się od nakłutej skóry głowy, pozostawał zawsze grymas przerażenia na twarzach zamordowanych”.

Przypomniałem sobie twarz Loretty Flynn, kiedy leżała w skrzyni z piaskiem; przypomniałem ją sobie, kiedy Beesley opowiadał o działaniu trucizny, i także wcześniej, kiedy leciałem nad wyspami Bahama, obok drzemiącej na moim ramieniu Harriet. Tęskniłem do Loretty, chciałem ją jeszcze kiedyś zobaczyć.

Myślałem o tym niemożliwym spotkaniu z Loretą także wtedy, kiedy Beesley pokazał mi rybę *Ballistoides Conspicillum*, pływającą w akwarium Muzeum Oceanicznego. Miała pół metra długości i fantastycznie piękne, zmieniające się jak w kalejdoskopie kolory. Żółtozłoty, mały i drapieżny pysk, obrzeżony idealnie narysowaną czerwoną obwódką, purpurowe i żółte pręgi na czole, pomarańczowe plamy na grzbiecie i duże białe grochy na złocistym brzuchu. Może dla tych białych kropek nazwano ją „rybą-muchomorem”. Jej płetwy były przezroczyste i symetrycznie marszczone, jak plisowana spódniczka.

Ale to działo się w tydzień później.

Na razie przelatywaliśmy nad Andros, największą z wysp archipelagu Bahama. Harriet zbudziła się. Rozmawialiśmy o jej dalszej pracy: pozostanie w *Pan Am*, lecz przeniesie się na linię *Hawaii Alaska Services* i będzie latać na trasie Nowy Jork-San Francisco-Honolulu.

Nasz samolot lądował w Miami. Harriet chciała wyjść, ale to było zbyt ryzykowne. Czekaliśmy na odlot w samolocie.

Wkrótce lecieliśmy w kierunku West Palm Beach wzdłuż wybrzeża Florydy. Nałożyłem słuchawki radiowe, trafiłem na koniec dziennika, nadawano jakieś błahe informacje. Czekałem, aż pierwsze wiadomości powtórzą w skrócie. Nagle włączył się drugi spiker, przerywając audycję informacją z ostatniej chwili.

– *Radio Nationale Dominicano* – mówił spiker – doniosło przed chwilą, że rząd Republiki Dominikańskiej potwierdza wiadomość ogłoszoną przez rzecznika Departamentu Stanu USA. Oficjalny komunikat RD podajemy w oryginalnym brzmieniu:

„*W trzydziestym drugim roku szczęśliwej ery Trujillo, dnia 30 maja 1961 roku, benefactor de la patria, salvador del pueblo, największy z szefów państwa*

dominikańskiego, naczelny protektor dominikańskiej klasy pracującej, dobroczyńca narodu i ojciec odrodzonej ojczyzny, geniusz pokoju i najwybitniejszy mąż stanu na kontynencie amerykańskim, pierwszy wróg komunizmu i zbawiciel ludu, generalissimus doktor Rafael Leonidas Trujillo y Molina – zginął tragiczną i bohaterską śmiercią w zamachu przygotowanym przez zwyrodniałych spiskowców, których zbrodniczą dłońią kierowali podli zdrajcy ojczyzny, wrogowie wolności i demokracji. Naród nasz, pogrążony w bezbrzeżnym smutku i nieutulonym żalu, nie zapomni w dniach żałoby, że zbrodniarze i ich plecznicy muszą ponieść zasłużoną karę”.

– Wiadomość o śmierci dominikańskiego dyktatora – komentował spiker – o której pogłoski dotarły do nas już wczoraj, agencja dominikańska podała ze znacznym opóźnieniem, z przyczyn dotychczas nie wyjaśnionych. Nie znane są również okoliczności zamachu. W Dominikanie ogłoszono stan wyjątkowy, liczne patrole wojska i policji kontrolują cały obszar Republiki Dominikańskiej. Nasz specjalny wysłannik donosi o masowych aresztowaniach. W nocnych godzinach dokonano zamachu bombowego pod gmachem prezydium policji, w którym przebywał szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa, pułkownik Abbez.

Włączył się inny spiker

– Rzecznik Departamentu Stanu USA, powiadomiony już wczoraj o śmierci Rafaela Trujillo, wyraził nadzieję, że naród dominikański uzyska obecnie możliwość stworzenia w swym kraju takich warunków, które pozwolą mu na zajęcie należnego miejsca w łonie demokratycznego, ogólnoamerykańskiego systemu współżycia i pokojowej współpracy.

– To oświadczenie – podawał drugi spiker – nasz komentator polityczny uważa za zapowiedź zniesienia zbiorowych sankcji, zastosowanych wobec Dominikany po zamachu na prezydenta Wenezueli.

– Senator George Smarthers ze stanu Floryda zaproponował wysłanie do Republiki Dominikańskiej sił zbrojnych OPA, celem zapobieżenia wojnie domowej. Senator Porter uważa taki krok za pogwałcenie suwerenności Dominikany i domaga się przeprowadzenia w tym kraju wolnych wyborów przy

współdziałale emigracji dominikańskiej. Senator Ellender wypowiedział się, że życzy sobie, by w każdym kraju Ameryki Łacińskiej znalazł się taki człowiek, jak Trujillo. Twierdzi on, że w Dominikanie panował rygor i porządek, że pod względem szkolnictwa, opieki zdrowotnej i ogólnego poziomu życia Republika Dominikańska przodowała w strefie karaibskiej. Średni roczny dochód na głowę mieszkańca Republiki wynosił 225 dolarów, a więc więcej niż przeciętna w całej Ameryce Środkowej. Porter natomiast uważa, że w tej statystyce pominięto fakt, iż z każdego 225 dolarów przynajmniej sto przypadało na członków rodziny dyktatora i prominentów reżimu.

I znowu głos pierwszego spikera:

– Władzę w Dominikanie przejął szef sztabu generalnego, Rafael Trujillo, syn zamordowanego dyktatora, zwany Ramfisem. W chwili zamachu Ramfis bawił w Paryżu i z tej prawdopodobnie przyczyny władze dominikańskie powstrzymały się z opublikowaniem wiadomości o śmierci Trujillo. Ramfis przybył natychmiast do Dominikany specjalnym samolotem *Air France*, wynajętym za sumę 28 tysięcy dolarów.

Objęcie władzy przez Ramfisa zgodne jest z życzeniem jego tragicznie zmarłego ojca. Ramfis był ulubieńcem Trujillo i najbardziej zaufanym człowiekiem z jego rodziny i otoczenia. Trujillo powierzył mu kilkanaście najwyższych stanowisk w Republice, zmieniał dla niego ustawy, wybaczał mu najpoważniejsze przekroczenia i niesłychaną rozrzutność. Krytyka, z jaką spotkało się zachowanie Ramfisa w czasie jego pobytu w Stanach, doprowadziła do poważnego konfliktu między Departamentem Stanu. USA a rządem Dominikany.

Ramfis, pełniący najwyższe funkcje w armii dominikańskiej, przybył do Stanów, by studiować w szkole sztabu generalnego. Spędzał jednak swój czas głównie w Hollywood, otoczony atmosferą nieustannych skandali, lub na pokładzie swego jachtu z osiemdziesięcioosobową załogą i własną orkiestrą jazzową. Do głośniejszych romansów Ramfisa należała zażyła znajomość ze znaną aktorką Kim Novak i Zsa-Zsa Gabor, która otrzymała od niego specjalnie zamówiony model mercedesa oraz futro szynszylowe wartości osiemnastu tysięcy dolarów. Tak hojne podarunki dla licznych przyjaciółek nie należały

do wyjątków i ogółem, w czasie swego pobytu w Stanach, młody Rafael Trujillo stracił ponad milion dolarów. Komisja egzaminacyjna wyższej szkoły sztabu generalnego nie wydała Ramfisowi dyplomu ukończenia akademii. Rozgniewany tym dyktator mianował go generałem-pułkownikiem, a więc pierwszym marszałkiem armii, po którym to stopniu następny jest tytuł generalissimusa. Ramfis dziedziczy po ojcu majątek obliczany na miliard dolarów.

– Według nie sprawdzonych jeszcze wiadomości – mówił spiker – Ramfis prosto z lotniska udał się do miejskiego więzienia i, zatrzymując się w drzwiach otwartych cel, przepełnionych aresztowanymi, wystrzelał ich sam z pistoletu automatycznego.

Taki był pierwszy krok po objęciu władzy przez szefa sztabu generalnego, syna zamordowanego dyktatora, Rafaela Trujillo.

Zdjąłem słuchawki i spojrzałem na twarze współpasażerów słuchających radia. Nic nie wyrażały. Ci ludzie byli znudzeni, czekali na program rewiowy, na piosenkę o czarnych majteczkach małej Maud, na notowania giełdy.

- Było coś ciekawego? – zapytała Harriet.
- Spiskowcy zabili Trujillo.
- Co za spiskowcy?
- Jeszcze nic nie wiadomo.
- Dobrze, że wyjechaliśmy. Może w Dominikanie wybuchnie rewolucja.
- Departament Stanu nie lubi rewolucji, wystarczy im na razie kubańska.
- Już rozumiem, dlaczego wczoraj panika ogarnęła Ciudad Trujillo.

Nareszcie rozumie. Szkoda, że tylko tyle. „Dobrze, że wyjechaliśmy” powiedziała! Stał się cud, że jednak wyjechaliśmy. Szansa ucieczki była znikoma. Ocalił nas przypadek, zbieg okoliczności. Dla mnie było niepojęte, że znaleźliśmy się w samolocie.

Wkrótce Harriet dowie się, jakie piekło rozpętała w Dominikanie śmierć generalissimusa. Wszystkie ośrodki policji i wywiadu szukają winnych, stwarzają ich, preparują. Dowiemy się, bombardowani zewsząd sprzecznymi informacjami, że zamachowców było siedmiu. Rzekomo pięciu złapano, a trzech spośród nich zabił własnymi rękoma Ramfis.

A dwaj pozostali wymieniani przez prasę, generał Luis Amiana Tio i generał Antonio Imbert Barreras? Ci znajdą schronienie w ambasadzie amerykańskiej. Czy byli zamachowcami strzelającymi bezpośrednio do Trujillo, czy organizatorami spisku? Może inspiratorem był ktoś inny, nie ujawniony wówczas ani później? Czy ci dwaj generałowie uczestniczyli w przyjęciu, na którym padło nazwisko znajdującego się w niełasce generała Diaza? Czy oni polecili, by samochód ze zwłokami dyktatora podrzucić w garażu willi Diaza, czy też Uczyniła to policja dominikańska? A może ktoś inny?

Tajny agent A-2, Carlos Evertsz Fournier, kiedy już popadnie w niełasce nowego prezydenta, oświadczy: „CIA postanowiła doprowadzić do zamordowania Trujillo, ale chciała wykorzystać w tym celu ludzi z jego otoczenia. Powiedział mi o tym mój wuj, który jeszcze wciąż pracuje dla CIA w Santo Domingo, Freddy Evertsz”.

Nie tylko wuj Freddy tak mówił.

Konfident A-2 zawiadamia Evertsza, że kochanką jednego z zamachowców była pewna szesnastoletnia dziewczyna. Podaje jej nazwisko. Carlos Evertsz powie później: „Nie miałem pojęcia, czy była wmieszana w spisek czy nie, ale kiedy dostała się w nasze ręce, zabiliśmy ją”. I doda: „Mam głęboką odrazę do ludzi, którzy zabijają dla zabawy. To nie są ludzie, lecz zwierzęta. Zabijają dla żartu, a nie po to, by wykonać zadanie”.

Carlos Evertsz, podobnie jak kilka dziesiątków lat wcześniej ludzie Himmlera, nie żartował, kiedy, zabijał, lecz poważnie wykonywał zadanie. Zabijali wszystkich podejrzanych o udział w spisku i zamachu na Trujillo.

Doña Maria Trujillo na wieść o śmierci swego męża chciała wymordować wszystkich dominikańczyków. Ogarnęła ją rozpacz, zaślepiła wściekłość. Wydała rozkaz by zatruć wszystkie zbiorniki, z których doprowadzano wodę do stolicy. Ramfis na to nie pozwolił, nie mógł narazić się na gniew swoich ludzi. Zresztą chciał rządzić miastem żywych, nie miastem umarłych. Nad umarłymi nie można się znęcać, nie można ich torturować, umarłych nie sposób zabić po

raz drugi. A on chciał rządzić i zabijać.

– Mike – zapytała Harriet – dlaczego nie chciałeś, żeby z lotniska odwiozła mnie do hotelu ta ruda sekretarka z ambasady?

– Prosiłem o to, żeby zmylić policję dominikańską. Z lotniska sam ciebie zabrałem, bo zginęłabyś na pewno razem z sekretarką.

– Niepotrzebnie cię narażałam.

– Niepotrzebnie.

– I zamiast siebie ratować, musiałeś także o mnie myśleć.

– Nie mówmy o tym.

– Ale o czymś trzeba mówić.

– Po co?

Zastanawiała się nad moim pytaniem. Po chwili:

– Bo nie mogę tak cicho siedzieć – odparła. – Już wiesz?

– Już wiem, Harriet.

– Jesteś zmęczony, prawda?

Co za sens rozmawiać z Harriet o moim zmęczeniu? Powiedziałem:

– Nieprawda. Nic takiego się nie stało, żebym mógł być zmęczony.

– Przecież w ogóle nie spałeś! Chyba żartujesz?

– Żartuję, jak zawsze.

Uśmiechnęła się.

– Z tobą dobrze się rozmawia, Mike. Powiedz, czy wiedziałeś wcześniej, że przygotowuje się zamach na Trujillo?

– Nie pracuję w CIA.

– Myślisz, że to CIA?

– Jeszcze nic nie wiadomo.

– Ty wiesz więcej, Mike... Sam tak mówisz do innych, kiedy powiedzą ci mniej, niż wiedzą... Czy w Nowym Jorku pojedziemy do ciebie?

– Tak.

– Dobrze, Mike.

– Chyba masz już dosyć przywoitych chłopców. Co, Harriet?

- On był naprawdę bardzo przyzwoity.
- Jedna pani w Trujillo tak samo o nim mówiła.
- Czy coś ich łączyło?
- Nigdy o to nie pytam kobiet, zwłaszcza, kiedy idzie o przyzwoitych chłopców. Tymi sprawami zajmuje się Beesley.
- Gdyby nie ty, Mike, nie zainteresowałabym się Geraldem. To wszystko przez ciebie. Chciałam ci zrobić na złość. Ze złości na ciebie mogłam nawet wyjść za niego. Ale ty nic a nic nie rozumiałeś.
- Na pewno nie. Harriet, jeżeli jeszcze kiedyś zrobisz coś podobnego, także nic a nic nie zrozumiem. Już teraz umówmy się, że w takich sytuacjach nie potrafię ciebie zrozumieć.
- Z tobą strasznie trudno rozmawiać... Tęskniłeś do mnie? Było ci żal, że mnie stracisz? Powiedz, Mike, czy jeszcze trochę mnie kochasz? Tak jak dawniej, czy jeszcze więcej? Ja do ciebie bardzo tęskniłam...

Szczebiała tak jeszcze przez pół godziny.

A przecież coś się skończyło i ten epizod Harriet-Gerald odcisnie się na wszystkim, co jeszcze nas czeka. Pomyślałem o bezlitosnej funkcji pamięci, o śladach, jakie w niej pozostaną wbrew naszej woli, wbrew wysiłkom zmierzającym do ich zatarcia.

Nie było w tym ani uncji zazdrości, ale żal, że na Harriet także się zawiodłem. Również na nią nie można było liczyć. Harriet myślała podobnie, zarzucała mi w myślach to samo i dlatego jej miłość będzie już skażona aż do dnia wygaśnięcia.

To na pewno nie była zazdrość. Nię odczuwałem jej, pijąc *whisky on the rock* i godzinami przesiadując po naszym rozstaniu w barze na tym samym miejscu, gdzie Harriet jadła pod Dry Martini swoje ulubione *cheese cake*.

To była pewność, że poniosłem jeszcze jedną klęskę i załątek świadomości tego, o czym myślałem lecąc nad Florydą: że cokolwiek ze sobą pocniemy i jakkolwiek ułoży się nasze współżycie, nie pozbędę się już wrażenia obcości; poczucia nieuniknionej samotności i tego rozpaczliwego i niewyrażalnego oddalenia, które będzie rozdzielać nawet nasze splecione ciała.

46.

Nie wyjął rewolweru, nie zastrzelił ich. Odwrócił się, jak mu kazali.

Ty głupcze – pomyślał o sobie – jeszcze przed sekundą mogłeś ich wykończyć.

Ulewa biła o ziemię z siłą spadających kamieni.

– Ty jesteś Julio Ruiz Oliveira – powiedział viejo, przytulając wargi do konchy jego ucha. – Chodziliśmy za tobą od granicy i widzieliśmy, jak czekasz na nas pod drzewem *mapu*.

– A ty kim jesteś? – zapytał Oliveira.

– Mam ciebie zabić.

– Za co, dlaczego?

– Nie zadawaj takich pytań. Ani ja nie wiem, ani nie wie ten drugi.

– Puść mnie. Powiesz im, że zabiłeś. Ucieknę z Haiti i nigdy nikt o mnie nie usłyszy. Przysięgam. Puśćcie mnie, *hombres*.

– Uszy świata są wielkie – powiedział viejo. – Kiedy ktoś o tobie usłyszy, wtedy nas zabiją, a my nie zapytamy, dlaczego nas zabijają, bo będziemy wiedzieć, za co zabijają.

– Dam ci dużo pieniędzy, wszystko, co mam.

– Nie umiesz myśleć – powiedział viejo. – Kiedy ciebie zabijemy, zabierzemy wszystko, co masz, a tym, co kazali ciebie zabić, oddamy tylko twoje papiery. Oni nie chcą twoich pieniędzy, oni mają dużo pieniędzy. Pomódl się teraz, señor Oliveira. Zaczynij się modlić i wtedy nic nie poczujesz.

Odezwał się ten w *robozo*, który dotychczas milczał. Mówił cicho, miał ochrypy głos i trudno go było usłyszeć w szumie ulewy.

– Totoye – mówił do swego towarzysza – powiedz mu jeszcze coś. Powiedz mu, niech wie. Może mu będzie lżej umierać, jak mu powiesz. Może on woli o tym pomyśleć, kiedy go będziesz zabijać. Powiedz mu, Totoye.

– Co możesz powiedzieć? – zapytał spokojnie Oliveira. Już nie czuł strachu. Zrozumiał, że ci dwaj nie są źli, że zmuszono ich do zabijania tak samo, jak jego kiedyś zmuszono, żeby pojechał do Hawany i ochraniał tam Tapurucuarę,

kiedy ten będzie strzelał do Jezusa Hernandezza. Pojechał, sądząc, że posłuszeństwem i uległością okupi uwolnienie ojca i siostry. Ale nie okupił. Pozostaną w więzieniu i już nigdy stamtąd nie wyjdą. I nie dowiedzą się, że on już nie żyje. Pomyślą, że o nich zapomnieli, że ich opuścił w lęku o siebie samego... Za chwilę będzie jasno.

– Możesz mi wszystko powiedzieć, Totoye.

– Mówisz do mnie Totoye – odezwał się viejo. – On – wskazał na towarzysza – nazywa się Consuelo. Wiem, co chce Consuelo. Mam ci powiedzieć, że dzisiaj spiskowcy zabili naszego dobroczyńcę i ojca, generalissimusa Trujillo.

– To nie był wasz dobroczyńca ani ojciec, ale wasz kat. Nie wiesz o tym?

– Nie mówisz prawdy, *señor* Oliveira. Trujillo powiedział, że jak będziemy zabijać jego wrogów, to on nas nie zabije i da nam jeść. Nie zabił nas i dał nam jeść. Zawsze byliśmy głodni, a on dał nam jeść. Powiedz mu, że tak było, Consuelo.

– Było, jak mówi Totoye – potwierdził Consuelo.

– Słuchajcie – powiedział Oliveira – jeżeli Trujillo nie żyje, nie musicie mnie zabijać. Rozkaz, który dostaliście, już nie jest ważny, przysięgam wam. Byłem wrogiem Trujillo; jeżeli on nie żyje, to znaczy, że już nie jestem jego wrogiem. Zmarłych nie rani wrogość żywych. Teraz będzie rządzić ktoś inny.

– Śmiesznie mówisz – powiedział Consuelo. – Nie może rządzić ktoś inny. Nie chodziliśmy do szkoły, jak ty, ale wiemy, że nie może rządzić ktoś inny.

Szumiała ulewa, biła o ziemię jak wodospad. Ziemia nie przyjmowała nadmiaru wody i stopy Oliveiry pogrzyły się w niej do kostek. Czuł, że ma silną gorączkę, ciało ogarnęły dreszcze, kąśliwe jak mrówki. Ale jakie to ma znaczenie na sekundę przed śmiercią? Jakie to ma znaczenie, że za minutę, może za kilka minut, deszcz przestanie padać tak nagle, jak zaczął, jak nagle zapada tutaj noc, jak nagle wybucha granat...

...nie, to niemożliwe, żeby tak umrzeć, tutaj, pod drzewem *mapu*, po koszarnej ucieczce, po drugiej stronie granicy! Jest jeszcze nadzieja, że im wytłumaczy, że ich przekona. Trzeba tylko rozważyć każde słowo. Powie im, że Era Trujillo już się skończyła, że Dominikańczycy dostaną dawne kalendarze i

znowu będą liczyć czas od dnia narodzin tego Boga, w którego wierzyli, którego odwiedzali w kościołach.

Chciał im to powiedzieć, ale przeraziła go nagle niewzruszona pewność tych zawodowych *pistoleros*, że on zginie. Nie zrewidowali go nawet, nie odebrali rewolweru. Po co, jeżeli za chwilę opróżnią kieszenie zabitego? Jak zachwiać ich tępą pewnością, jak wyjaśnić, że nie wolno go mordować, bo ten, kto obejmie władzę w Republice, upomni się o niego, a jeżeli dowie się, że Oliveiry nie ma wśród żyjących, każe ich obu powiesić... Jakie to naiwne, pomyślał, nikt nie upomni się bezinteresownie o umarłych, nikt nie ściga morderców.

– Powiedz mu jeszcze – odezwał się chrapliwie Consuelo – kto teraz rządzi. Powiedz mu, niech wie. Myślałem, że on będzie łatwo umierać, jeśli mu powiesz to pierwsze, ale on chce usłyszeć to drugie. I teraz już nie będzie łatwo umierać. Sam tak chciał.

– *Compañeros* – powiedział Oliveira z rozpaczą wzbierającą w głosie – słuchajcie mnie. Jeżeli Trujillo nie żyje, nie wolno mnie zabijać, *muchachos*, słuchajcie mnie, już nie ma Ery Trujillo.

– Jest – powiedział viejo. – Ty nie rozumiesz historii. Dzisiaj zaczął rządzić jego wielki syn, Ramfis Trujillo...

– To właśnie miałeś mu powiedzieć – cicho zachrypiął Consuelo. – Niech wie.

– Powiedziałem – podjął Totoye. – *Señor Oliveira*, trzeba się modlić. Już czas.

– *Amigos...* – zaczął i urwał gwałtownie.

Z lewej strony ciała, pod ostatnim zębrem, poczuł ukłucie skierowanego od dołu ostrza. Rzucił się w bok, ale wąska klinga przeniknęła już przez warstwy skóry, ślizgała się ku sercu.

Słyszał wzmagający się łoskot ulewy i poprzez jej plusk jeszcze jakieś słowa.

Chyba Consuelo to powiedział albo Totoye, a może on sam:

– Era Trujillo trwa.

Deszcz ustał.

1960–1961; 1972 r.

Posłowie

Ostatnią noc w Ciudad Trujillo – po prawie sześcioletnim zbieraniu i porządkowaniu materiałów – skończyłem w połowie maja 1961 roku, opisując w ostatnim rozdziale przygotowanie zamachu na generalissimusa Trujillo. W dwa tygodnie później rzecznik Departamentu Stanu USA podał pierwszą wiadomość o śmierci dyktatora, przeszytego 27 kulami przez nie ujętych do dziś zamachowców. W dzień później agencja dominikańska potwierdziła tę wiadomość. Rafael Leonidas Trujillo y Molina zginął 31 maja 1961 roku, na szosie wiodącej z Ciudad Trujillo do San Cristobal.

Uzpełniłem więc powieść o udany zamach na Trujillo i objęcie władzy przez Ramfisa, syna zabitego dyktatora i szefa sztabu sił zbrojnych Dominikany – zamykając tym samym opis 31-letniej „Ery Trujillo”; los okazał się wyjątkowo łaskawy dla mojej książki.

W oszałamiającym tempie potoczyły się dalsze wypadki. Generał José Ramon, przewidziany przez konspiratorów na szefa nowego rządu, oświadczył, że jak długo nie zobaczy zwłok dyktatora, nie chce mieć nic wspólnego z opozycją ani spiskiem przeciw reżimowi Trujillo. Ostrożny generał nie ujrzał tych zwłok: zamachowcy ukryli je w bagażniku swego wozu i podrzucili w willi generała Diaza, będącego w niełasce, by na niego skierować podejrzenie. Zresztą José Ramon na wieść o zamachu uciekł z Dominikany. Zabito go w kilka dni później poza granicami Republiki. Spisek „Białej Róży” działał bezbłędnie.

* * *

Władzę dyktatorską objął Ramfis, rozpoczynając rządy od rzezi wszystkich podejrzanych o niechętny stosunek do rządów rodziny Trujillo; dysponował jeszcze wtedy stutysięczną armią i monstrualnie rozbudowanym aparatem policji.

Rządy jego trwają zaledwie kilka miesięcy. Demonstracje, protesty, sabotaże, palenie portretów i niszczenie pomników generalissimusa Trujillo – niepokoją Ramfisa, zagrażają jego życiu. Na nic salwy do tłumów, wzmożenie terroru, masowe aresztowania, deportacje – przykład Kuby napawa otuchą Dominikańczyków. Ramfis stara się o uzyskanie poparcia

Waszyngtonu. Ale ambasador amerykański w Ciudad Trujillo odmawia błogosławieństwa członkom rodziny Trujillo.

Wkrótce sekretarz Star.u USA, Rusk, oświadcza nieco dwuznacznie: „Wobec możliwości powstania niebezpiecznej sytuacji rząd Stanów Zjednoczonych ustali, jakie jeszcze mógłby podjąć kroki, które byłyby usprawiedliwione nieprzewidzianym rozwo-

jem wydarzeń” w Dominikanie”.

Waszyngtońscy korespondenci UPI d AP podają do wiadomości, że amerykański lotniskowiec „Franklin Roosevelt” otrzymał rozkaz opuszczenia portu Mayport na Florydzie i skierowania się na „ćwiczenia” u brzegów Dominikany... Korespondent AFP donosi, że na redzie portu Ciudad Trujillo ukazały się cztery niszczyciele US-Navy.

Bracia dyktatora są ostrożni i przezorni: generał Hector Benwenido Trujillo i generał-porucznik José Arismendi Trujillo, właściciele olbrzymiej części bogactw Republiki i jej wszystkich domów publicznych, pozostawiają ciężar władzy Ramfisowi i odlatują na Bermudy, by tam przeczekać najgorętsze dni. Nie wierzą w zmierzch „Ery Trujillo”. Polskie źródła przemilczają ten fakt.

Na nic wszystkie obietnice i groźby Trujillo-juniora: rząd USA odmawia mu poparcia, domaga się „abdykacji”.

Komu przekazać władzę?

Przejmie ją dr Joaquín Balaguer, ustanowiony przez Trujillo-seniora prezydentem Dominikany. Wystraszony i osamotniony Ramfis rezygnuje ze stanowiska najwyższego dowódcy sił zbrojnych Republiki.

Balaguer – jak doniosła agencja *Prensa Latina* – „nie podjął żadnych kroków celem obrony interesów narodu dominikańskiego i, grożąc interwencją obcych wojsk, zapewnił Ramfisowi i innym członkom rodziny Trujillo swobodne opuszczenie granic Republiki”.

Klan Trujillo traci grunt pod nogami. Wówczas bracia dyktatora, Hektor i José, opuszczają Bermudy i w osłepiających od złoceń mundurach lądują na dominikańskim lotnisku General Andrews. Postanowili, że obejmą władzę w Dominikanie.

Dominikańczycy protestują, organizując piętnaście wielkich strajków robotniczych i studenckich, żądają demokratycznych reform. 18 listopada odbywa się w stolicy olbrzymia demonstracja młodzieży. Policja otwiera ogień do manifestantów, kilku z nich zabija, wielu rani.

W tydzień później miasto jest zrewoltowane, uczestnicy nowych manifestacji niosą narodowe sztandary unurzane we krwi zabitych przez policję towarzyszy. Demonstranci domagają się ustąpienia Balaguera i wolnych wyborów. W północnych okręgach Dominikany Wybucho bunt armii, która żąda wydalenia z kraju braci generalissimusa. Zawiązuje się demokratyczna partia „Ruch Rewolucyjny 14 czerwca”.

Balaguer żąda kablogramem natychmiastowej interwencji Stanów. Amerykański krążownik „Little Rock” i trzy niszczyciele rzucają kotwice u portowych wybrzeży Ciudad Trujillo, kierując działa na miasto. Na krążowniku 1800 żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej oczekuje rozkazu wkroczenia do stolicy.

Agencja AFP podaje, że USA zdecydują się na „bezpośrednią interwencję w Dominikanie, jeżeli bracia Trujillo dokonają zamachu stanu przy poparciu armii”.

Balaguer ogłasza stan wyjątkowy; jego dekret pulsuje stylem charakterystycznym dla Trujillo:

„Zawiesza się wszystkie prawa ludzkie z wyjątkiem prawa do życia”.

Co zrobić, by zachować to ostatnie prawo? O tym powtarzają co godzinę rozgłośnie dominikańskiego radia: utrzymać absolutny spokój, w ogóle nie opuszczać domów, zaufać rządowi Balaguera. Ale gwałcono również prawo do życia.

Dla uspokojenia nastrojów rząd wydaje dekret o wydaleniu z kraju dwóch członków rodziny zgładzonego dyktatora: Pedra i Joségo Luisa Trujillo, doradców delegacji dominikańskiej w ONZ. Kongres Dominikany przywraca stolicy starą nazwę – Santo Domingo – ustanowioną jeszcze przez brata Krzysztofa Kolumba, Bartolomeusza, a zmienioną w 1936 roku ku chwale dyktatora na Ciudad Trujillo (Miasto Trujillo). Jednak to nie zadowala Dominikańczyków: protestują przeciw interwencji Stanów. Równocześnie Kuba składa w Radzie Bezpieczeństwa skargę przeciw Stanom Zjednoczonym „o zbrojną ingerencję w sprawy Dominikany”.

Szulc, specjalny korespondent „New York Times”, nie wykazuje zbytniej lojalności wobec Departamentu Stanu. Pisze w swoim dzienniku:

„Interwencja USA wiąże się z decyzją podjętą przez prezydenta Kennedy'ego w maju br. gdy zabito generalissimusa Trujillo. Kennedy postanowił wówczas, że nie wolno dopuścić do wytworzenia się w Dominikanie sytuacji rewolucyjnej, która mogłaby doprowadzić do zagarnięcia władzy przez elementy skrajnie lewicowe, sympatyzujące z premierem Kuby, Fidelem Castro”.

„Wszyscy mieli nadzieję – oświadcza w kilka dni później «New York Times» – że czasy jawnej i jednostronnej interwencji piechoty morskiej USA należą już do przeszłości... Nadzieje te były przedczesne”. Dziennik „Daily News” posuwa się dalej w demaskowaniu pewnych kół amerykańskich, pisząc otwarcie:

„Było dla nas zawsze sprawą bezsporną, że Trujillo nigdy nie stanowił groźby dla Stanów Zjednoczonych, podczas gdy komunizm Fidela Castro na Kubie stanowi taką groźbę, i to na całej półkuli zachodniej. Jedynie przez totalną blokadę z morza i powietrza Stany Zjednoczone uzyskają doskonałą szansę zniszczenia komunizmu na tej wyspie”. Plan ten ujawnia również prawnik „Panama American”, łącząc interwencję amerykańską w Dominikanie ze sprawą Kuby: „Następny krok – to desant piechoty morskiej na Kuiu...”.

Bracia Trujillo przegrali. Ich obecność w Dominikanie mogłaby wywołać rewoltę. W Fort Lauderdale na Florydzie ląduje wkrótce samolot *Pan American World Airways*, przywożąc na pokładzie – w grupie dwudziestu dziewięciu emigrantów dominikańskich – Hektora i Arismendi Trujillo, 96-letnią matkę zabitego dyktatora (doię Julię Molina Trujillo), kilkunastu innych członków tej znakomitej rodziny i co ważniejszych promiuentów obalonego reżimu. Wszyscy są milionerami; Arismendi zdążył jeszcze podjąć w banku dominikańskim 7 milionów dolarów, Hektor Bienvenido – 90 milionów.

Równocześnie Rafael Leonidas Trujillo-junior żegluje na wypełnionym mnóstwem bogactw pokładzie luksusowego jachtu „Angelita” – ku brzegom Europy; w jej bankach i północnoamerykańskich posiada na swym koncie dwieście milionów dolarów.

Przed opuszczeniem Dominikany polecił wywiadowi lotnictwa A-2 огоłosić banki Republiki. W dwóch akcjach bierze udział agent Carlos Evertsz. Agenci A-2 zjawiają się w banku i rozkazują dyrektorowi otworzyć skarbiec. Uzbrojeni są w pistolety automatyczne. Ze skarbcza zabierają wszystko: kosztowności, sztaby złota, dolary i inne dewizy. Łup składają na pokładzie i w ładowniach jachtu Ramfisa, „Angelita”. Niektóre źródła podają, że zagrabił wówczas osiemset milionów dolarów, inne, że tylko trzydzieści milionów. Ale co myśleć o świecie, który za kradzież dziesięciu dolarów zamyka do więzienia, a przebacza wspaniałomyślnie kradzież kilkuset milionów? Ohyda.

Solidarna rodzina zatroszczyła się również o narażone na zbeszczeszczenie zwłoki „Ojca, Zbawcy, Dobroczyńcy i Odnowiciela Ojczyzny”. Zabalsamowane ciało dyktatora złożono w olbrzymiej skrzyni z mahoniowego drzewa i specjalnie wynajętym samolotem *Pan Am* przewieziono na paryskie lotnisko Orly. Sprawy celne załatwił francuski ambasador Dominikany, jego ekscelencja Carlos Rosenberg.

Francuscy celnicy zażądali trzech dokumentów: świadectwa zgonu Trujillo, potwierdzenia urzędowego, że zwłoki nie stanowią źródła zakaźnej choroby oraz pozwolenia francuskiego ambasadora w Dominikanie na przewiezienie do Francji zwłok obcokrajowca.

Rosenberg nie posiadał żadnego z tych dokumentów; złożono więc mahoniowy sarkofag w kostnicy lotniska. W kilka dni później oficer francuskiej policji obejrzał zwłoki i potwierdził ich identyczność z zabitym dyktatorem; dopiero wtedy władze francuskie zezwoliły na pochowanie tyrana w ziemi nasiąkniętej krwią komunardów.

Spadkobiercy miliardów pozostawionych przez generalissimusa ufundowali mu nagrobek kosztem 230 tysięcy nowych franków. Tylko trzy osoby z jego najbliższej rodziny towarzyszyły ostatniej drodze absolutnego władcy Dominikany: 59-letnia żona doña Maria, 32-letni najukochańszy syn Rafael Leonidas (Ramfis) oraz drugi syn, 29-letni Neti Trujillo.

Ze starożytnej katedry Santo Domingo usunięto w tym czasie spoczywające obok szczątków Krzysztofa Kolumba prochy koniokrada i analfabety, ojca generalissimusa Trujillo.

Tak więc można było sądzić, że nastąpił kres koszmarnego „Ery Trujillo” w trzydziestym drugim roku jej trwania. Jednak w ostatnim zdaniu mojej powieści świadomie pozostawiłem słowa „Era Trujillo trwa”. Trwa, ponieważ rządy Joaquina Balaguera, jednego z najbardziej zaufanych ludzi zabitego dyktatora, raczej nie dają gwarancji na dopuszczenie do władzy tych, którym ona się należy: przedstawicielom dominikańskiego narodu, przez ten udręczony naród wybranym.

Tak przedstawiała się sytuacja w 1961 roku.

Joquin Balaguer, chcąc uspokoić wzburzone społeczeństwo, obiecuje złagodzenie rządów. W grudniu powołuje siedmioosobową Radę Państwa. W styczniu 1962 roku odbywa się jej zaprzysiężenie. Rada ma działać jako najwyższy organ wykonawczy do czasu wyborów prezydenta i parlamentu, wyznaczonych na grudzień. Przewodniczącym Rady zostaje skompromitowany politycznie Balaguer. W jej skład nie wchodzi przedstawicieli, ciele opozycji.

Tuż po zaprzysiężeniu Rady Państwa junta wojskowa obala rządu Balaguera i rozwiązuje Radę. Oficerowie lotnictwa, wspomagani przez działający nadal wywiad A-2, dokonują kontrzamachu stanu, przywracając Radę Państwa w zmienionym nieco składzie. Przewodniczącym zostaje jej dotychczasowy wiceprzewodniczący, Rafael Bonelly, przedstawiciel UCN (Narodowa Unia Obywatelska). Przewodniczący wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, ale nie kapituluje. Jego zwolennicy zakładają Partię Czynu Społecznego. Wkrótce załamuje się nowy spisek i zamach stanu inspirowany przez pułkownika Rafaela Ramona Rodrigueza Echeverrie, podobnie jak po śmierci generalissimusa Trujillo.

Liczba bezrobotnych przekracza już trzysta tysięcy (dziesięć procent ludności kraju!). Ceny na żywność i inne niezbędne towary wzrastają o czterdzieści procent. W tej sytuacji Rada Państwa podpisuje z USA układ o pomocy wojskowej, wydała z Dominikany siedmiu najwybitniejszych działaczy demokratycznych ugrupowań, podwyższa podatki. W lipcu dwadzieścia siedem związków zawodowych ogłasza strajk generalny.

W grudniu kraj ogarnia powstanie chłopskie, stłumione brutalnie przez armię. Odbywają się też pierwsze od 1924 roku wolne wybory na prezydenta i członków parlamentu, uczestniczy w nich dwadzieścia pięć partii i ugrupowań politycznych, również partia zwolenników Trujillo, *Partido Dominicano*. Kandydują na urząd prezydenta m. in. Juan Bosch i przywódca UCN Fiallo. Zwycięża Bosch, reprezentujący PRD (Dominikańską Partię Rewolucyjną). Bosch w kampanii wyborczej obiecywał reformę rolną. Teraz nadaje specjalnym dekretem pięćset tysięcy hektarów państwowej ziemi (jej właścicielem mianował się dawniej Trujillo) siedemdziesięciu tysiącom bezrolnych chłopów.

Rządy Boscha trwają zaledwie siedem miesięcy, w 1963 roku obala go junta wojskowa. Bosch opuszcza Dominikanę. W 1965 roku wybucha krwawo stłumione powstanie. W 1966 roku najsilniejsza w Republice Dominikańska Partia Rewolucyjna wysuwa kandydaturę Boscha, jednak w wyborach na prezydenta wygrywa popierany przez armię Balaguer, w korzystnej dla niego sytuacji rozproszenia sił lewicy i skłóconej opozycji. Bosch ponownie opuszcza Dominikanę. Generalnym sekretarzem PRD zostaje po wyjeździe Boscha trzydziestoletni José Francisco Pera Gomez. Balaguer staje na czele PR

(*Partido Reformista*). Zwalcza najbardziej reakcyjne ugrupowania w armii i zarazem lewicę, osłabia związki zawodowe, zarządza czystkę w administracji państwowej.

W styczniu 1967 roku policja dominikańska aresztuje kilkuset działaczy radykalnej lewicy i skrajnej prawicy. Balaguer wciąż poszukuje złotego środka. Wydaje nakaz aresztowania zwolenników pułkownika Caamano, zwalczających prawicę i uzależnienie Dominikany od Stanów Zjednoczonych. Aresztuje zwolenników byłego szefa junty wojskowej, prawicowego generała Barrery, którzy zarzucają prezydentowi nazbyt liberalny stosunek wobec ugrupowań postępowych. W tym czasie działa już partyzantka w górskich rejonach kraju.

Balaguer stara się o kredyty, zatwierdza plan melioracji prowincji Puerto Plata, ogranicza import, zmusza administrację do oszczędności i zarządzą roboty publiczne, zmniejszając bezrobocie. Ale policja wyszkolona przez dyktatora Trujillo nadal działa. Szefem tajnej policji jest pułkownik Jorge Antonio Valderas, absolwent akademii szkolącej ludzi dla A-2.

W 1970 roku Bosch powraca do Dominikany, by wziąć udział w wyborach na prezydenta. W swoich wystąpieniach proponuje teorię „dyktatury aprobowanej przez lud”. Popierająca go Dominikańska Partia Rewolucyjna jest zaniepokojona tym programem: pojęcie „dyktatury” trudno pogodzić z jej postulatem zwalczania dyktatorskich rządów. Sekretarz PRD, Gomez, jest zaskoczony taktyką Boscha.

Bosch traci pewność zwycięstwa. Apeluje do ludności, by zbojkotowała wybory. Balaguer stosuje zręczniejszą taktykę, nawołując do stworzenia rządu „jedności narodowej”. Czterdzieści procent wyborców podporządkowało się apelom Boscha i nie bierze udziału w głosowaniu. Mimo to, a może dzięki temu, Balaguer wygrywa wybory. Kilku przywódców opozycji otrzymuje rządowe stanowiska, co osłabia jej siły. Inni przeciwnicy Balaguera, przedstawiciele armii, otrzymują kosztowne podarunki i intratne posady. Prezydent demaskuje prawicowe sprzysiężenie, którym kieruje notoryczny spiskowiec, generał lotnictwa Elias Wesin y Wessin, zaprzysiężony wróg lewicy. Gomez opuszcza Dominikanę.

Wpływowi generał major Enrique Pérez y Pérez otrzymuje od Balaguera stanowisko szefa *Policia Nazionale Dominikano*, a znieawidzony przez Pereza generał Niet Nivar Seijas zostaje jednym z dowódców armii. Równowaga jest utrzymana, wzajemna kontrola sił policyjnych i wojska zapewniona. Bosch pozostaje w Santo Domingo, reorganizuje partię, ale podobnie jak inni przedstawiciele opozycji, znajduje się pod nadzorem policyjnym. Armia i polieja – to największa troska prezydenta Joaquina Balaguera, tym problemom poświęca mnóstwo czasu. Jednak życie prawie dziewięćdziesięciu pięciu procent mieszkańców Republiki Dominikańskiej nie uległo zmianie. Era Trujillo trwa.

* * *

Niektóre osoby występujące w tej powieści są postaciami autentycznymi. W poszczególnych wypadkach, kiedy na podstawie kilku faktów odtwarzałem lub zmyślałem ich życie prywatne, zmieniałem imiona. Np. Harriet Claire, której przeżycia związane z fikcyjną postacią Mike Wynna są wymyślone, w rzeczywistości była narzeczoną zamordowanego pilota Geralda Murphy'ego i nazywała się Sally Claire. Jezus Fernandez de Galindez nazywał się naprawdę Jezus Maria de Galindez i nie znał wymyślonej Loretty Flynn, Szczegóły dotyczące porwania i zamordowania profesora Galindeza są autentyczne.

Prawdziwe są nazwiska ludzi wymienionych w pierwszym rozdziale i w następnych, zamordowanych przez agentów Trujilla: Gerald Lester Murphy, Octavio de la Maza, Manuel Jesus Hernandez, Fracuelo Morales, Rafael Estrella Urena, Andreas Requena, Sergia Bencosrne, Maurizio Baez, Vigilio Martinez Reina, gen. Larancuert, Marrero Arista, Ventura Simo, Juan Morales, Teofilo Guerrero, Ralph Bulloch. Istnieje naprawdę „Biała Róża”, tajne sprzysiężenie grupujące agentów żyjących dyktatorów. Prawdziwe są też nazwiska: sen. Porter, gen. Espailat, Miguel Angelo Paulino, Carlos Evertsz – i kilka innych.

Nie znając przyczyny, dla której miałbym uczynić któregoś z agentów CIA głównym bohaterem, wymyśliłem postać detektywa i narratora zarazem, Mike Wynna. Do postaci „powieściowych”, fikcyjnych, należą również: Juana Managua, Loretta Flynn, Marta Collins, Monika Gonzales, Julio Ruiz Oliveira, Daniel Athwood, Algernon de Castelfranco, Escudero, Frank Beesley, Oswald Thoen, Tapurucuara, van Oppens, ludzie z obsługi hotelu „Cosmos” (w rzeczywistości Murphy mieszkał w hotelu „Jaragua”).

Ze względów kompozycyjnych przesunąłem o kilka lat zniknięcie dr. de Galindeza i towarzyszące mu wydarzenia: z 12 marca 1956 roku (data porwania) w okres poprzedzający zamach na generalissimusa Trujilla

Ważniejsze źródła wymieniłem w tekście, jak np. publikacje Alberta Hicksa, Williama Krehraa, pisma „Free Labour World” i in.

Pierwszy obszerny artykuł o Republice Dominikańskiej opublikowałem w 1957 roku („Przemiany” nr 24) pt. „W klimacie dyktatury”. W cztery lata później podane tam fakty ujawnił w cyklu artykułów paryski „Le Monde”, uzupełniając je o nowe ważne szczegóły (Claude Julian: „Trzydzieści lat dyktatury w rejonie Karaibów”). Fragmenty tej publikacji powtórzyło sporo polskich pism i gazet; do tego czasu kilkunastowerszowe wzmianki o tajemniczej Dominikanie zawierały niekiedy kilkanaście błędów i nieścisłości.

Do wiarygodnych[^] źródeł w polskiej prasie należą m, in, dwa artykuły zamieszczone w „Polityce”: Beaty Babad „Zbrodnia przekształcona w system rządzenia”; i późniejszy, Mariana Michalskiego, pt „Skończona Era?”, Michała Kasprzyckiego „Jak zginął Trujillo” („Przekrój”) oraz powtórzone za „Le Monde” dwie publikacje w „Głosie Tygodnia”.

Przygotowując trzecie wydanie powieści posiadałem o wiele obszerniejszy materiał niż przed dziesięciu laty. Napisana wówczas wersja wy

magala drobnych zmian. Ukazało się sporo omówień aktualnej sytuacji w Dominikanie, niektóre z nich powracały do sprawy zamachu na dyktatora Trujillo.

Najważniejsze publikacje, z których częściowo korzystałem opracowując nową edycję powieści, to m. in, zwierzenia Cariosa Evertsza opublikowane w dominikańskiej gazecie „El Nacional” (18.X.1968), rzeczowy i wnikliwy artykuł Alana Ridinga zamieszczony w „Financial Times” (1.X.1972), wywiad Chrisa Robbinsa z byłym agentem dominikańskiego wywiadu Evertszem, zamieszczony w piśmie brytyjskim „The Observer” (2–9.V.1971), oraz pośmiertne i niezbyt zgodne z faktami wspomnienie o zmarłym Ramfisie Trujillo, ogłoszone przez tygodnik francuski „France Dimanche”. Trzy ostatnie z wymienionych artykułów wybrał raczej nieomylnie z powodzi wielu innych materiałów prasowych i opublikował tygodnik „Forum”.

Najcenniejszą pomoc w mojej pracy stanowiły drobne wzmianki zamieszczane do 1961 roku – głównie w prasie zachodniej, które złożyły się na obraz stosunków panujących w Dominikanie i wzbogaciły go o niezbędne dla tej powieści szczegóły.

A. W. (1962)

Dominikana i świat

Przygotowując piąte polskie wydanie CIUDAD TRUJILLO, na życzenie Wydawcy i Czytelników uzupełniam je w lapidarnym, lecz uporządkowanym chronologicznie eseju o dalszych dziejach Republiki Dominikańskiej (do 1980 roku) po śmierci „Cezara Wysp Karaibskich”, generalissimusa Trujillo. Ponieważ chciałem zachować łątkę do sprawdzenia obiektywizm w opisie tych i innych wydarzeń oraz w ocenie sytuacji – opieram się prawie wyłącznie na źródłach amerykańskich, a więc na publikacjach wybitnych reporterów, publicystów, historyków i polityków USA. Fakt, że musiałem korzystać nie tylko z rozproszonych informacji w polskiej prasie, lecz również z kilkudziesięciu obcojęzycznych i niekiedy trudno dostępnych źródeł – sprawił, że praca nad tym krótkim esejem trwała prawie pół roku.

Wojna trwa nadal

Chociaż upłynęło osiemnaście lat od pierwszego wydania CIUDAD TRUJILLO, powieść ta, zdaniem Czytelników, krytyków i wydawców nie tylko nie traci na aktualności, lecz staje się coraz bardziej rzeczywista i istotna. Wolałbym – a jest to wyznanie szczere – by przedstawione w niej problemy i sytuacje przestały być wreszcie aktualne, i żeby nastąpił kres zjawiska, które sformułowałem w ostatnim zdaniu wszystkich kolejnych wydań: „era Trujillo trwa”.

Dzieje się jednak inaczej, nie tylko w Dominikanie. Trwa era Trujillo, era terroru i gwałtów, zamachów, masowych mordów, ekstremistycznych „operacji” i akcji, oraz nieprzerwanych konfliktów zbrojnych i zniewalania sumień.

I nie tylko trwa ta przeklęta era, lecz rozprzestrzenia się, utrwała, a w pewnych rejonach świata dominuje niwelując demokratyczny ład społeczny, w imię którego zginęło w ostatniej wojnie pięćdziesiąt milionów ludzi – obywatele siedemdziesięciu państw – w działaniach wojennych prowadzonych na terytorium czterdziestu krajów.

Można by pomyśleć, że ci ludzie daremnie zginęli, ponieważ bilans wojennych lat „pokoju” jest nie mniej przerażający niż hekatombiczne ofiary mionowej wojny. Sztokholmski Instytut dla Spraw Pokoju stwierdził, że w latach

1945–1980 w różnych miejscach naszego globu toczyło się r ó w n o c z e ś n i e – przeciętnie – dwanaście konfliktów zbrojnych.

Szybko zapominamy o tych „powojennych” wojnach domowych i między państwami, o buntach, rebeliach, powstaniach i agresjach, o krwawych zamachach stanu i masakrach bezbronnej ludności, o publicznych i skrytobójczych egzekucjach. Na przykład w Gwatemali dwukrotnie wymordowano całe kierownictwo Gwatemalskiej Partii Pracy, a ciała zabitych zrzucono z samolotu do oceanu. Ogółem, z przyczyn politycznych, zamordowano tam w ostatnich dwudziestu kilku latach siedemdziesiąt tysięcy osób. Lecz to tylko część popełnionych zbrodni, dlatego też w naszej tak bardzo ułomnej pamięci chciałbym wskazać tylko niektóre z nich:

– w Indochinach, już w pierwszym dziesięcioleciu po II wojnie światowej zginęło przeszło sto tysięcy ludzi. W Chinach w czasie wojny domowej dwieście tysięcy, a za rządów boskiego Mao – 50 milionów. W 1947 roku w konflikcie Indie-Pakistan zginęło milion ludzi, a w 1971 roku pakistańska armia wymordowała następny milion, zanim Indie opanowały Bangladesz i zmusiły generała Abdullaha Khana Nazi do poddania swoich wojsk w Dhace.

Wojna koreańska w latach 1950–1953 pochłonęła prawie dwa miliony ofiar. W Kolumbii zginęło sto tysięcy w 1948 roku. W Wietnamie, od 1955 do 1975 roku, milion dwieście tysięcy. 1959 r.: powstanie w Tybecie – dwadzieścia tysięcy ofiar, a w rok później w Kongu Belgijskim – sto tysięcy. 1965 r.: powstanie w Indonezji – sto tysięcy. 1967 r.: wojna arabsko-izraelska – dwadzieścia jeden tysięcy, a w Nigerii i Biafrze – dwa miliony. W Kampuczy w latach 1970–1975 – milion zabitych, później obłąkańczy reżim Pol Pota wymordował jedną trzecią ludności tego kraju.

I tak dalej, i znowu, i wciąż więcej i więcej: Argentyna, Paragwaj, Urugwaj, Kolumbia, Grecja, Cypr, Kenia, Tunezja, Boliwia, Maroko, Algieria, Chile, Kamerun, Liban, Irlandia, Irak, Laos, Wenezuela, Gwinea, Etiopia, Salwador, Nepal, Portugalia, Syria, Ekwador, Peru, Panama, Aden, Pakistan, Indie, Rodezja, Jemen, Uganda, Mozambik, Jordania, Nikaragua, Filipiny, Tajlandia, Afryka Zachodnia, Zair, Egipt, Izrael, Afganistan, Angola, Iran, Czad, Boliwia... i oczywiście – między wielu innymi – jeszcze kilkakrotnie wciąż niespokojna Dominikana, gdzie Trujillo wymordował przeszło pół miliona swych współobywateli.

Jeśli dodamy do ofiar wspomnianych i innych „konfrontacji” również miliony tych, którzy zmarli z głodu, miliony samobójców oraz wzrastającą ilość

ofiar akcji dokonywanych przez potężniejącą z roku na rok międzynarodówkę – najczęściej ponadnarodowych – grup i organizacji terrorystycznych, jeśli doliczymy jeszcze ofiary akcji paramilitarnych dokonywanych przez specjalne sekcje wywiadowcze wielu państw, wówczas ogarnia nas – ale czy na pewno ogarnie? – przerażenie: od zakończenia II wojny światowej do 1980 roku zginęło w sposób tragiczny prawie sześćdziesiąt milionów ludzi, a więc wielokrotnie więcej, niż pochłonęła I wojna światowa i już prawie tyle, ile pochłonęła ta druga wojna, nazywana przez nas „ostatnią”. Ale czy istnieją wojny „ostatnie”? Wciąż i wciąż zaczynają się nowe wojny.

Przedstawione tu fakty stanowią jedną z głównych przyczyn, dla których powieść CIUDAD TRUJILLO cieszy się nadal tak wielkim zainteresowaniem u nas i w innych krajach i dlatego nadal odbija obraz świata, w jakim wciąż żyjemy, utrwalający się coraz wyraźniej i groźniej – chociaż dyktatorzy giną zabijani przez swych następców, umierają albo odchodzą, najczęściej pozostawiając swój tron innym tyranom.

Zapewne z tej przyczyny pisał ostatnio Marek Rymuszko w tygodniku „Prawo i Życie”:

„Każde kolejne wydanie CIUDAD TRUJILLO... błyskawicznie zniknęło z półek księgarskich. Powieść ta z pewnością więc zasługuje na miano bestsellera wydawniczego. Jednak określenie przebój wydawniczy niczego jeszcze nie wyjaśnia, a nawet, powiedziałbym, zaciemnia całą sprawę. Bestsellerem wydawniczym może być bowiem zarówno *Pocztą do nigdy nigdy* Lucjana Wolanowskiego, jak i sto pierwsza edycja przygód *Koziółka Matołka*. Wyznaczników trzeba więc szukać gdzie indziej. Fenomen czytelniczy książki A. Wydrzyńskiego polega po pierwsze na tym, iż jest ona powieścią polityczną ze znakomicie poprowadzonym wątkiem sensacyjnym, po drugie zaś, mimo że fabuła dotyczy okresu sprzed kilkunastu lat – nie straciła w niczym na aktualności, jeśli chodzi o ukazanie mechanizmu władzy terroru, który władzę tę ma umacniać... Bo przecież główny walor CIUDAD TRUJILLO polega na tym, że książka ta – mimo upływu lat – jest ciągle a k t u a l n a . Dzieje się tak dzięki zdumiewającej wręcz przenikliwości i precyzji, z jaką autor „fotografuje” społeczno-polityczne rusztowania, które służąc pozornie odnowieniu frontonu kamienicy z napisem „Bóg i Ojczyzna”, opasują ją szczelnym pierścieniem granatników, narzędzi tortur i gumowych pał... Tak: era Trujillo trwa i trudno jeszcze przewidzieć moment, w którym przestanie przybywać mogił, które są jej przewodnikiem” (nr 41, 1979).

Ta nazbyt pochlebna ocena zawiera dla mnie jedną przejmującą prawdę: aktualność powieści wynikająca z ukazania „mechanizmu władzy terroru, który władzę tę ma umacniać”.

Od Trujilla do Balaguera

A oto w skrócie opisane dzieje Republiki Dominikańskiej po zamordowaniu (30 V 1961) generalissimusa Trujillo, który na rok przed śmiercią obdarował urządzeniem prezydenta Joaquina Balaguera (ur. 1906), pozostając nadal faktycznym dyktatorem Dominikany, raczej, wraz ze swoją liczną rodziną, jej właścicielem. Wspomniałem już w innym miejscu o krótkotrwałych i krwawych rządach Trujillo-juniora, zwanego Ramfitem i o wygnaniu „klanu Trujillo” z Republiki, za zgodą Waszyngtonu, nawet na żądanie Białego Domu. Pan każe – trawestuję stare przysłowie – a Balaguer musi. Ten uśmiechnięty dobrodusznie dżentelmen, Balaguer, którego już dzisiaj nie ma. Ale – jak jeszcze to opiszę – będzie ktoś inny, który również poznał sztukę rządzenia, sztukę niezwykle przewrotną, zwłaszcza w strefie karaibskiej.

„Więc po śmierci „Cezara Wysp Karaibskich” i „Syna Boga” – jak sam się nazwał – prezydentem pozostaje Balaguer. Dominikanę – jak pisze historyk – „ogarnęła fala ruchu demokratycznego i antyimperialistycznego. Pod jego naciskiem prezydent J. Balaguer złagodził system dyktatury”.

Nie życząc nikomu tego rodzaju „łagodności”, bo przecież ten najbardziej oddany rodzinie Trujillo prezydent, do utworzonej przez siebie siedmioosobowej Rady Państwa nie powołał ani jednego przedstawiciela partii opozycyjnych (np. Ruch 14 Czerwca, Narodowy Związek Obywatelski, Rewolucyjna Partia Dominikany), ani utworzonej przez socjalistów i komunistów (1942) Dominikańskiej Partii Ludowo-Socjalistycznej. Tak więc znowu decydowała mniejszość: członkowie utworzonej jeszcze przez Trujilla Partii Dominikańskiej.

Mimo tak wielkiej rozwagi i ostrożności, w styczniu 1962 roku obala go junta wojskowa i rozwiązuje Radę Państwa. Jednak w kilka miesięcy później oficerska elita lotnictwa dokonuje kontrzamachu stanu, przywracając rządy siedmioosobowej Rady Państwa. Miejsce usuniętego Balaguera zajmuje Rafael Bonnelly, dotychczasowy wiceprzewodniczący Rady Państwa, człowiek ambitny lecz bezradny w kotłowisku ścierających się sił i interesów.

W tym roku Bonnelly ogłasza nowe wybory, od prawie czterdziestu lat pierwsze demokratyczne wybory, w wyniku których prezydentem obrano w grudniu 1962 roku Juana Boscha, pisarza i intelektualistę z *Partido Revolucionaria „Dominicana* (Rewolucyjna Partia Dominikany). Bosch był jedynym

kandydatem o „czystych rękach”, który przebywając na emigracji w okresie dyktatury Trujillo nie splamił się współpracą z jego rządem. W jego wypowiedziach czuło się przygnębienie i niewiarę w zdemokratyzowanie życia politycznego Republiki.

W interesującym posłowie do niemieckiego wydania CIUDAD TRUJILLO, które ukazało się w Berlinie pt. „Niewidzialna śmierć” („Der unsichtbare Tod”, Verlag Neues Leben, 1980) – Kurt Keiser niesłusznie ocenia Boscha jako reprezentanta „mieszcząsko-reformistycznych tendencji”. W kilka lat później Bosch sam o sobie powiedział: „polityka Waszyngtonu w Dominikanie i Wietnamie zmusiła mnie do przejścia z pozycji liberalnych na marksistowskie”.

W okresie jego rządów amerykańscy publicyści nie ukrywali, jak bardzo Waszyngton jest zaniepokojony demokratycznymi poczynaniami Juana Boscha u progu jego czteroletniej kadencji – zwłaszcza po obaleniu Batisty na Kubie i przejściu rządów przez Fidela Castro (1959). Nie ukrywali również, że w okresach „bezczynności Balaguera i jego odpoczywającej chwilowo ekipy, rząd USA wypłacał im ich dawne uposażenia”... To samo powtórzyło się w 1965 roku – jak podaje, między innymi, znane amerykańskie czasopismo *The People Almanac*.

Nic więc dziwnego, że Bosch sprawował rządy w Dominikanie zaledwie siedem miesięcy, od grudnia 1962 do sierpnia 1963 roku, kiedy to obaliła go junta wojskowa zjednoczona z prawicowymi ugrupowaniami i właścicielami przeszło połowy ziemi uprawnej, którzy stanowią zaledwie jeden procent ludności Republiki Dominikańskiej...

Rozpoczynają się brutalne rządy oficerów-arystokratów wzbudzając powszechne niezadowolenie, rozruchy, strajki oraz protesty patriotycznie nastawionej średniej klasy oficerskiej, która wraz z lewicą dominikańską domaga się powrotu obalonego przemocą Juana Boscha. Tym protestom i żądaniom demokratów przeciwstawia się zdecydowanie nie tylko junta, lecz również Waszyngton, twierdząc: „Bosch powinien pozostać na wygnaniu, nie może wrócić do Dominikany ahi objąć urzędu prezydenta”.

Nie zważając na ostrzeżenia opinii światowej i prawie całej prasy amerykańskiej, obaleniu rządów junty zapobiega lądująca na wyspie piechota morska USA (1965). Przyspiesza to wybuch wojny domowej. Organizacja Państw Amerykańskich powołuje tzw. Komitet Międzyamerykańskich Sił Pokoju i przyczynia się do, utworzenia w okupowanej Dominikanie rządu tymczasowego. Pod pre sją chaosu, biedy, zniszczeń i reprezentantów Waszyngtonu –

obie walczące strony, a więc junta i powstańcy, podpisują „akt pojednania”.

W rok później następuje koniec interwencji zbrojnej USA, kiedy prezydentem zostaje ponownie – niezastąpiony – Joaquin Balaguer, tym razem już bardziej doświadczany w trudnej sztuce rządzenia i łatwej sztuce fałszowania na swoją korzyść bojkotowanych przez społeczeństwo wyborów.

Po kilku latach” Bosch oświadczy dziennikarzom USA: „Okupacja amerykańska zaczęła się w 1965 roku i trwa do dzisiaj, ponieważ Balaguer odda Amerykanom wszystko, czego tylko zażądata, byle tylko utrzymać się przy władzy”.

Pisał wówczas w dzienniku *France-Soir* (19 VIII 1968) Robert Guye: „W trzy lata po ludowej rebelii w 1965 roku, mała Republika Dominikańska stała się spokojnym krajem, czasem tylko wstrząsanym przez krwawe porachunki; i tylko od czasu do czasu znika człowiek, albo znajduje się gdzieś ciało podziurawione kulami... Amerykańscy marines zmusili lewicę do porozumienia się z armią i wyrażenia zgody na takie wybory, w których zwyciężył obecny prezydent Balaguer”.

Odbyły się właśnie takie „wybory”, a Balaguer zaczął swoje rządy od masowych aresztowań wśród przedstawicieli opozycji lewicowej i prawicowej oraz od okazywania szczególnych względów oficerom-arystokratom. Byli mu potrzebni, bo dzięki nim znowu zasiadł on na tronie Trujillolandu, pozwolił im więc na akty krwawej zemsty wobec pokonanych przeciwników, na bezprawie i zuchwałą, nieomal jawną korupcję.

Balaguer wiedział na kogo stawia w tej grze, bo właśnie oficerska elita w dwu kolejnych następnych wyborach (1970 i 1974 r.), dokonanych w klimacie terroru i gwałtów, ale bojkotowanych przez połowę ludności uprawnionej do głosowania, znowu obwołała go zbawcą narodu, orędownikiem wolności, postępu i pokoju.

Na ulicach Santo Domingo, zwłaszcza tych najpiękniejszych jak Bulwar Waszyngtona (dawniej oczywiście Bulwar Trujillo), podobnie jak na arterii handlowej El Conde w starej dzielnicy miasta i w gąszczu nędznych uliczek przedmiejskich ze sparszywiałymi slumsami – pojawiły się plakaty z czarująco uśmiechniętym Balaguerem, ozdobione napisami: „Odnowiciel Republiki”, „Największy przyjaciel klasy pracującej”...

A tymczasem w „klasie pracującej”, również za czasów trzeciej kadencji prezydentury tego jej największego przyjaciela – zastraszająco wzrasta ilość bezrobotnych: stanowią jedną trzecią mieszkańców Dominikany.

Szerzy się więc bandytyzm, wzrasta ilość kradzieży i innych przestępstw, zabójstw i gwałtów. Ulice roją się od żebraków, agentów tajnej policji, czarnogieldziarzy, prostytutek, stręczycieli, sprzedawców pornografii i narkotyków: Wciąż działają w zniechęconej przez ludność armii i siłach bezpieczeństwa dawni agenci najbardziej, bestialskiej z policji świata, tzw. SIM, oraz byli funkcjonariusze osławionej, tajnej policji z A-2, bazy „Dziewiątego kilometra”

I trwa to do wiosny 1978 roku – ale o tym w ostatnim rozdziale tego eseju, po wyjaśnieniu i ustaleniu innych okoliczności.

Golpe de Estado

Wielu myślicieli zdumiewa fakt, że po tylu wiekach „cywilizowania człowieka”, zachował on w sobie większe okrucieństwo wobec osobników własnego gatunku, niż dzikie zwierzęta wobec innych osobników tego samego gatunku.

„Człowiek jest jedynym kręgowcem, który niszczy własny rodzaj – pisał Anthony Storr w *Sunday Times Magazine* – i ujawnia okrucieństwo w stosunku do przeciwników, nad którymi posiada władzę. Lew, jelen lub wąż pozwalają pokonanemu uciec z pola walki i wylizać swoje rany; natomiast człowiek upokarza, torturuje i nawet zabija tych, których rozbroił albo uczynił bezsilnymi... Jednym z przykrzejszych objawów natury ludzkiej jest fakt, że słabość i bezbronność nie tylko nie zmniejszają skłonności do okrucieństwa, lecz nawet mogą ją spotęgować... Wynika to z przeświadczenia o własnej bezsile, która powoduje, że gdy zdobędzie się władzę absolutną, okrucieństwo wobec podwładnych staje się tak bardzo ponętne”.

Nie tylko ponętne. Raczej niezbędne, nawet nieuniknione. Tak sądzą dyktatorzy, pragnąc za wszelką cenę – cenę, którą na ogół płacą inni – utrzymać się przy władzy. Cała historia – również historia omawianych w tym eseju lat, udowodniła, że jest to nie tylko okrucieństwo jawne tzw. stanów wyjątkowych, któremu służą lub patronują przekupni, cyniczni lub sterroryzowani sędziowie – lecz jest to również, a niekiedy przede wszystkim, okrucieństwo samowolne, przed nikim nie ujawniane, popełniane skrycie przez oficjalnych przedstawicieli władz administracyjnych i policji.

Stąd drwiące uwagi zagranicznych dziennikarzy: „po każdej zmianie rządu w Dominikanie panuje okres stabilizacji i spokoju, i tylko od czasu do czasu znika człowiek, którego ciało znajduje się później podziurawione kulami”

Dodajmy: najczęściej nie znajduje się tych podziurawionych, ciał. A te znalezione noszą ślady najwymyślniejszych tortur, albo są tak zmasakrowane,

żeby nikt nie rozpoznał kim jest i kim był zamordowany.

Nie wspominam tu o gwałtach i morderstwach popełnianych przez ekstremistów należących do skrajnie lewicowych lub neofaszystowskich ugrupowań, organizacji czy też gangsterskich band i mafii. Nam, Europejczykom, nie narażonym na zamachy stanu dokonywane przez junty wojskowe, trudno zrozumieć mechanikę tych działań tak bardzo rozpowszechnionych w strefie karaibskiej i południowoamerykańskiej. Tam takie zdarzenia przyjmowane są i interpretowane w specyficzny sposób, przekraczający granice naszego zbiorowego doświadczenia.

W Europie nawet opór sfer wojskowych i policyjnych wobec szaleńczych poczynań Hitlera, nie zdołał się przeciwstawić jego mocarstwowym urojeniom. Zamachy przedstawicieli armii na Hitlera były nieudolną i naiwną parodią w zestawieniu z tymi zamachami, jakie na przestrzeni kilkudziesięciu lat dokonywane są w Ameryce Środkowej i Południowej. Latynosi żyją tymi problemami od początku ubiegłego wieku, a Europejczykom nigdy w sposób zdecydowany nie zagrażał wojskowy „Golpe de Estado”, jakkolwiek poparcie w niektórych krajach, udzielane przez szefów armii, decydowało niekiedy w krytycznych momentach o rozwoju sytuacji politycznej.

Golpe de Estado – w języku francuskim *coup d'etat*, czyli zamach stanu – w Ameryce Łacińskiej ma kilka synonimów, na przykład, *cuartelazo*, *pronunciamiento*, *cuartelada* – subtelnie rozróżniających te zamachy w sposób dla nas niedosłyszalny. Terminologia ta określa zakres i zasięg oraz technikę politycznej działalności wojska. Ale tu przecież – wbrew pozorom, nazewnictwu i komentarzom – nie idzie o wojsko, lecz tylko o kilku czy kilkunastu wojskowych: szefów lotnictwa, marynarki, wywiadu lub sił lądowych. Oni decydują. I oni obejmują rządy rzekomo w imieniu armii, tej samej armii, która za rok lub kilka lat znowu będzie popierać następnego, organizatora Golpe de Estado – generała, pułkownika, porucznika albo sierżanta...

W poszukiwaniu bogów

Fanatycznie pobożni obywatele tego obszaru naszego globu – wyznawcy różnych religii i wielu sekt – potrzebują bogów nie tylko w zaświatach, w niebie, w piekle i kosmosie, ale również na ziemi. Mówi się, że dla Dominikańczyków i innych narodów Ameryki Łacińskiej, po tylu latach doświadczeń, które przeniknęły w ich świadomość nieomal jako tradycja, nie ma już życia bez tyranów. I chyba dlatego Trujillo kazał się nazywać nie tylko zbawicielem

ojczyzny, ale również „Synem bożym”. Lecz nie, ma dla nich również życia bez wolności graniczącej niekiedy z anarchią. Ta antynomia zmusza ich nie tylko do charyzmatycznej uległości, ale także do rewolucji, buntów i rebelii, których źródłem jest terror, wyzysk, korupcja, drastyczna nierówność społeczna i głód. W odpowiednich momentach powołują się na to sprytni przywódcy – kandydaci na następnych dyktatorów, wykorzystując następnie dla własnych celów tzw. stabilizację, wywołaną wyzwoleniem energii rebeliantów.

Tak więc zamachy stanu organizowane od czasu niepodległościowych wojen XIX wieku, są na tym kontynencie zjawiskiem powszechnym i nader często praktykowanym. Na przykład w Boliwii było ich sto osiemdziesiąt. W Dominikanie, w latach 1844 do 1930 rządziło pięćdziesięciu prezydentów-dyktatorów, odbyły się trzydzieści cztery rewolucje i zamachy stanu. Od 1961 roku Dominikana przeżyła jedenaście kolejnych rządów..

W latach pięćdziesiątych na dwadzieścia republik Ameryki Łacińskiej aż w trzynastu władzę zagarnęły przemocą junty wojskowe, notorycznie uzasadniając te kolejne zamachy „koniecznością zachowania ładu i porządku” oraz „walki z korupcją i samowolą biurokracji”. Na takich oświadczeniach prawie zawsze kończył się cały program wojskowych dyktatorów, którzy wbrew humanitarnym intencjom wyrażonym w swych pompatycznych proklamacjach i deklaracjach, rozpoczynali rychło swoje rządy od burzenia ładu społecznego, samowoli, korupcji, milionowych nadużyć.

Celem ostatecznym, który sprawdzał się nieuchronnie za każdym razem, było przejęcie władzy w państwie i korzystanie przez nowe kliki z jego bogactw, władzy zdobytej przez silniejszych i lepiej uzbrojonych, względnie przez tych, którzy mieli oficjalne lub nieoficjalne poparcie obcych rządów, przedsiębiorstw wielkoprzemysłowych i międzynarodowych koncernów.

Trafnie sformułował ten problem w odniesieniu do Ameryki Południowej i Dominikany – amerykański senator William Benton: „Jest sprawą bezsporną, że jak długo system społeczny pozwala armii na kontrolę aparatu państwowego, tak długo demokracja jest i pozostanie ideałem nieosiągalnym” (*The voice of Latin America*).

I pozostała ideałem nieosiągalnym, doprowadzając niekiedy do sytuacji absurdalnych, raczej paradoksalnych. Oto w Boliwii, kiedy po dwóch kolejnych zamachach stanu władzę prezydencką zdobył w 1966 roku generał Romero Barrientes Ortuno (z jego polecenia zamordowano Che Guevarę), założył równocześnie – dla stworzenia pozorów demokracji – aż pięć partii politycznych, mianując się samozwańczo przewodniczącym, tych wszystkich partii... po jednej z nich

należeli górnicy boliwijskich kopalń, których później w kilku operacjach wojskowych zmasakrowano na rozkaz Barrientosa Ortuno.

Po tym „przejął” władzę jego wierny naśladowca, kapitan Ramon Castro Jijón, oświadczając: „armia przejmuje całą odpowiedzialność za losy narodu i jego rehabilitację”.

Podobne metody, niejako już utrwalone w świadomości społecznej i tradycyjnej politycznej nieobyčajności, stosowali także imi dyktatorzy, również generalissimus Trujillo w Dominikanie, Alfredo Stroessner (od 1954 r.) w Paragwaju, generał Julio Ongania w Argentynie, „Papa Doc” (François Duvalier) i później jego syn J. C. Duvalier – „Baby Doc” – w sąsiadującej z Dominikaną Republice Haiti, terroryzowanej przez tajną policję „Tonton-Macoute”; w Nikaragui, po zamordowaniu generała Augusta Cesara Sandino, dokonał zamachu stanu (1936) generał policji Anastasio Somoza i zdławił wszelką opozycję, a po jego zabójstwie rządu przejął syn Anastasia, Luis Somoza Debayle.

W Gwatemali zamachu stanu dokonał w 1954 roku pułkownik Castillo Armas, zamordowany w 1957 roku, a – po kilku innych zamachach stanu – w 1970 roku obalił prezydenta z wyboru, pułkownika Carlos Arana Osorio. Na Kubie dyktatorskie i krwawe rządy sprawował przez osiem lat G. Machado y Morales, obalony w 1933 roku w wyniku rewolty podoficerów, a w latach 1940–1959 naczelnym dowódcą sił zbrojnych lub prezydentem był przywódca tej rewolty, sierżant Fulgencio Batista y Zaldivar.

W Ekwadorze po licznych zamachach stanu i po obaleniu liberalnego prezydenta Jolio Cariosa Arosémene (1963), władzę przejął siłą kapitan Ramón Castro Jijón, a po dalszych przewrotach – zamachu stanu dokonuje (1972) generał Rodriguez Lara, szef armii lądowej, powołując nowy rząd złożony w większości z oficerów. W Salwadorze nieustannie nękanym kryzysami, bezrobociem i represjami, od 48 lat rządzą wojskowi dyktatorzy zdobywając władzę poprzez „pronunciamento”; osiemnastym z nich był generał Romero.

W Chile generała Augusto Pinocheta, od kilku lat szaleje jedna z najbardziej okrutnych policji świata, słynna DINA, działająca w porozumieniu z tajnymi służbami bezpieczeństwa (może raczej: „służbami niebezpieczeństwa”?) wielu innych państw i na kilku kontynentach – mordując demokratycznych działaczy, którzy po brutalnym obaleniu rządu prezydenta Allende, ratowali się przed torturami i śmiercią uciekając masowo do wielu państw, między innymi do Argentyny, Brazylii, Urugwaju, Dominikany, Kuby, Włoch i do innych krajów Europy Zachodniej. Krwawą likwidacją przeciwników klikki Pinocheta zajmuje się przede wszystkim szef działu operacyjnego DINA, pułkownik Pedro

Espinoza, oraz jego „boss”, szef sztabu i przyjaciel Pinocheta, generał Manuel Contreras.

Dokumenty dotyczące międzynarodowej działalności terrorystycznej DINA przechowuje Departament Sprawiedliwości USA, jednak są one chronione ścisłą tajemnicą na mocy sekretnego porozumienia obu państw, w zamian za ekstradycję z Chile do USA najważniejszego łącznika międzynarodowego tajnych policji i najgroźniejszego agenta DINA, zawodowego mordercy Michaela Townleya, obywatela amerykańskiego, który „likwidował” demokratycznych działaczy chilijskich również na terenie Stanów Zjednoczonych (stąd, spełnione zresztą przez Chile, żądanie ekstradycji Townleya, i stąd „dżentelmeńska” umowa obu państw o zachowaniu w tajemnicy treści wspomnianych wyżej dokumentów).

Lecz to jeszcze nie wszystko, ani o wszystkich. Zdaniem amerykańskich rzeczoznawców, jedno jest pewne: „bez przewrotów wojskowych Ameryka Środkowa i Południowa – skreśliłaby na lewo – podobnie jak Kuba w 1959 roku, pod rządami Fidela Castro”.

„Fidelizm” – tak nazywa się w dokumentach, w prasie i w potocznym obiegu tej strefy świata – największa groźba dla znajdujących się na tym obszarze państw rządzonych przez dyktatorów. Twierdzą oni, że „fidelizm” także propaguje system rządów dyktatorskich, nie dopuszczając opozycji ani do głosu, ani do współrządzenia. A przeciętni lub nieprzeciętni obywatele uciekają z krajów rządzonych przez junty wojskowe, ale uciekają również z Kuby... „Rzeczy tego świata – jak pisał Camus – nie są takie, jakie być powinny”.

I tylko na jeden kontynent prawie identyczny model dyktatur wojskowych przeniósł się z Ameryki Łacińskiej: do Afryki.

W lipcu 1963 roku wojskowi rządili w Afryce w dwóch krajach (Egipt i Sudan), a w 1968 roku, a więc w kilka lat później – już w dwudziestu dwóch krajach afrykańskich. Szybko to poleciało, ale – po latach kolonializmu – raczej wstecz niż do przodu.

Genialnie rozumiał te problemy i genialnie przewidział nasz wielki rodak, Joseph Conrad. W powieści „Nostromo” pisał o rejonie Ameryki Łacińskiej: „W tym kraju nieustannych zamieszek słowo patriotyzm zostało wytarte i zbrukane, stając się hasłem ciemnoty i barbarzyństwa, osłoną bezprawia, zbrodni, drapieżnej chciwości i pospolitego złodziejstwa” W tych krajach – pisał Conrad – „jedyną moralnością jest powodzenie” Niestety, to ostatnie zdanie można odnieść również do kraju, w którym żyjemy i umieramy.

Escuadrón de la Muerte

Jedna z wielu sekcji komisji spraw zagranicznych Senatu USA omawiała w grudniu 1971 roku, na podkomisji do spraw półkuli zachodniej, raport dotyczący Republiki Dominikańskiej i Gwatemali. Dokument ten zawierał takie oto znamienne sformułowanie: „policja jest zaangażowana w terrorystyczną działalność, a niektóre jej akcje przypominają metody stosowane przez gangsterów z Chicago”.

Opinię taką przedłożyli amerykańskiemu rządowi wybitni eksperci – politycy, prawnicy, ekonomiści i socjologowie. I dalej fragment z tego nieznanego w Polsce raportu:

„Jest sprawą bezsporną, że prawicowi terroryści działają tak w porozumieniu z rządem, istnieje jednak możliwość, że wymykają się oni spod jego pełnej kontroli. Przedstawiciele prawicy, należący zresztą do partii rządzącej, skłonni są bardziej do samowolnego stosowania terroru, niż do nieustannego zwracania się po pomoc do wojska i policji. Terroryzm jest autentyczną łamigłówką i nigdy nie wiadomo, jakie siły kryją się za tym, co dzieje się w kraju”.

Opierając się na niemniej obiektywnej ocenie sytuacji, można odpowiedzieć: kryją się za tym siły działającej samowolnie policji, której nielegalnymi poczynaniami manipuluje rząd i dowództwo armii. Tak zwane szwadrony śmierci w tych krajach – również w Dominikanie – zgodne są w treści swoich oświadczeń i listów wysyłanych do ludzi skazanych przez te bojówki na zaginięcie bez śladu: „Jeżeli dla likwidacji jakichkolwiek objawów komunizmu [...] będziemy musieli zabić dziesięciu niewinnych, z których tylko jeden jest sympatykiem komunizmu, to zabijemy dziesięciu”.

Podobnie oceniał ówczesną sytuację w Dominikanie wielki dziennik amerykański *International Herald Tribune*, pisząc, że gdyby nie pomoc Stanów Zjednoczonych, reżim Balaguera nie mógłby przetrwać, i podkreślając: „wciąż narasta niezadowolenie spowodowane represjami i korupcją konserwatywnego reżimu Balaguera oraz pomocą, jakiej udziela mu jawnie rząd USA”.

Tak więc w realiach codziennego życia Dominikany, każda rewolta i kolejny „Golpe de Estado”, inspirowany jest na ogół przez ośrodki nie zainteresowane losem Dominikańczyków ani lepszą przyszłością ich ojczyzny.

Ci wszyscy zamachowcy-cudotwórcy nie mają prawie nigdy żadnego konkretnego programu politycznego i gospodarczego, oprócz nienawiści do komunizmu zwalczanego tak, jak określi! to dosłownie tygodnik *Newsweek*: „W Dominikanie chciano ocalić demokrację przed komunizmem, likwidując przy tym demokrację”.

I chyba po to toczy się od kilkudziesięciu lat nedorzeczną i okrutną walkę kosztem wszelkich swobód demokratycznych i dlatego „zawiesza się” – jak ogłosił kiedyś Balaguer – „wszelkie prawa oprócz prawa do życia”. Lecz nawet w tak krańcowym stadium stanu wyjątkowego, odbierano Dominikańczykom również prawo do życia. Przede wszystkim prawo do życia.

Istnieje jeszcze niezmiernie interesujący aspekt terroru panującego w krajach środkowej i południowej Ameryki, rządzonych przez dyktatorów i junty wojskowe, który w miarę upływu lat utrwała się coraz bardziej w polityczno-gangsterskich i na ogół zakamuflowanych akcjach. Akcje te są tajne, jednak po pewnym czasie stają się głośne i skandaliczne.

Otóż, podobnie jak w Dominikanie za czasów Trujilla istniały tak zwane *Carreros de la Muerte* – „wozy śmierci” – z których strzelali „nierozpoznani osobnicy” do niewygodnych i podejrzanych – od pewnego czasu w tych krajach i w Dominikanie działają nielegalne rzekomo organizacje funkcjonariuszy policji kryminalnej i politycznej, nazywane „Escuadras de la Muerte” – Szwadronami Śmierci.

Organizuje się je na wzór osławionego „Szwadronu Śmierci” w Brazylii, terrorystycznej organizacji utworzonej przez najsłynniejszego już na świecie policjanta, szefa wydziału służby bezpieczeństwa, który przez dziesięć lat terroryzował osiedla nędzarzy i zabijał działaczy lewicy, partyzantów i przestępców, pod pretekstem – jak sam stwierdził – że „musi z pistoletem maszynowym w rękę nadrabiać opieszałość organów sądowych”. Nazywał się Sergio Paranhos Fleury, zginął przypadkowo w 1979 roku.

O urugwajskich „Escuadros de la Muerte” już w 1972 roku pisał największy dziennik USA *Excelsior* (9 VII) oraz argentyńska *Panorama*.

Dowiadujemy się z tych publikacji, że od kilku lat nikogo już nie dziwi – na przykład w Urugwaju – pozbawienie więźniów pożywienia i wody, bicie, porażanie prądem elektrycznym, przypalanie genitaliów (mężczyzn i kobiet) rozpalonym żelazem. Lecz po ogłoszeniu przez prezydenta Juana Marii Bordaberry „stanu wojennego” – najwymyślniejsze metody tortur uległy znacznemu wzbożeniu. Władze Urugwaju coraz chętniej korzystają z usług „nielegalnych” Szwadronów Śmierci. Uprowadziły one dotychczas setki osób, po których zginął wszelki ślad. Między innymi zaginął bez śladu, 13 czerwca 1972 roku, korespondent *Panoramy* Jorge Damseaux, uprowadzony w Montevideo przez ośmiu uzbrojonych mężczyzn. Dziennikarzowi demokratycznemu Luisowi Martinezowi (po egzekucji ośmiu członków tajnej organizacji TUPAMAROS)

wyłupiono oczy, a następnie na jego żywym ciele publicznie przeprowadzono „sekcję zwłok”. Jego żonie odstrzelono seriami z pistoletu automatycznego piersi...

Tym brutalnym, na ogół publicznie dokonywanym morderstwom podlegają nie tylko działacze lewicy z *Fronte Amplio*, lecz również studenci, księża, działacze związków zawodowych. Zdymisjonowani generałowie urugwajscy interweniowali w sprawie tych prześladowań u prezydenta Bordaberry, lecz ten spokojnie i z uśmiechem oświadczył im: „w ciągu kilku miesięcy liczba aresztowanych podwoi się, raczej potroi”.

Na podstawie dekretu zatwierdzonego na rozkaz Bordaberry przez urugwajską izbę deputowanych, przedłużono 6 lipca stan wojenny i zatwierdzono „dekret o bezpieczeństwie państwa” – uprawniający siły bezpieczeństwa, policję i wojsko do zatrzymywania każdego podejrzanego, dokonywania rewizji w dowolnym miejscu i czasie bez żadnej sankcji prokuratorskiej i nakazów sądowych, również do wykonywania „wyroków śmierci na „wywrotowcach”. A przecież Bordaberra był najgroźniejszym „wywrotowcem”.

Dla przykładu wspominam tu o Urugwaju, lecz takie same „dekrety o bezpieczeństwie państwa”, narażające obywateli tego państwa na największe niebezpieczeństwa, wydano oficjalnie lub poufnie również w Dominikanie generalissimusa Trujillo i w innych państwach tej strefy, także w Chile po upadku rządu prezydenta Allende.

Znak swastyki

W Dominikanie, podobnie jak w wielu innych państwach Ameryki Południowej, ukrywali się po zakończeniu drugiej wojny światowej byli dygnitarze hitlerowskiego rządu oraz pomniejsi przestępcy z Gestapo i SS, organizując różne formacje policji i sił bezpieczeństwa, biorąc udział w akcjach policyjnych i masakrach ludności.

Ci spadkobiercy przerażającej ideologii Himmlera i Hitlera utworzyli tam tajną i jeszcze wciąż potężną organizację o światowym zasięgu, nazwaną „LA ARANA” (hiszpańska nazwa tajnej organizacji byłych członków SS i Gestapo „Die Spinne”, czyli „Pająk”). Powstała ona w Glassenbach, 1948, w alianckim obozie (RFN). Jej szefem był wówczas generał SS Paul Mausser. Szefostwo w Europie przejął osławiony porwaniem Mussoliniego Skorzeny (współtwórca tajnej organizacji ODESSA), a w skali światowej i głównie w Ameryce Południowej kierował nią Martin Bormann, o którym Hitler powiedział kiedyś: „bez Bormanna nie wygram tej wojny”.

Jest faktem udowodnionym, że Bormann żyje, znane są jego wszystkie kolejne pseudonimy, numery paszportów itd. Potwierdza i udowadnia te fakty wybitny znawca spraw zbrodniarzy wojennych Ladislas Farago, a generalny prokurator frankfurcki dr Fritz Bauer wyznaczył nagrodę 100 000 marek za informacje o miejscu pobytu Bormanna (1964 r.), oraz szef argentyńskiej komórki śledczej nadinspektor Jose Juan Velasco z SIDE (*Secretoria de Informaciones de. Estado*), którego za ujawnienie tych tajemnic (działalność „La Arany” i stałej inwigilacji Bormanna) aresztowano w 1962 roku i prawdopodobnie zamordowano. Zgadza się z faktem życia Bormanna prokurator RFN – specjalista od tej sprawy, Wilhelm Metzner, oraz były zastępca prokuratora USA przy Trybunale Norymberskim Robert Kempner; potwierdza to też, między innymi, wiedeńskie biuro Wisenthala i pewne źródła ekspertów radzieckich. Nie zaprzecza temu siedem państw Ameryki Południowej, gdzie przebywał Bormann i inni zbrodniarze.

Otóż Bormann, dr Mengele, generał SS Muller, kat Lyonu Klaus Barbie (obecne nazwisko Altaian, Boliwia), twórca komór gazowych Standartenführer SS Walter Rauff, bankier „La Arany” Friedrich Schmendt (szef „Operacji Bernhard”, której celem było masowe fałszowanie funtów i dolarów dla załamania systemu walutowego USA i Anglii w czasie wojny) – otóż ci ludzie spotykali się w Ameryce Południowej i Środkowej, a w jej bankach znajduje się część baśniowego wręcz skarbu „Wilkołaka”, przywiezionego przez łódź podwodną U-235 (1945 r.) do Argentyny. Z tego skarbu finansowano wydawanie gazet i ulotek oraz akcje kierowane tam przez byłych hitlerowców.

Na przykład: po porwaniu Eichmanna z Argentyny „La Arana” zorganizowała tam, w Urugwaju i w innych państwach, hałaśliwe demonstracje protestacyjne. Wbrew obowiązującej dotychczas wersji i nieobalonej również u nas, grupie izraelskich wywiadowców „Błękitne Sokoły” nigdy nie udałoby się porwać stale pilnowanego Eichmanna, gdyby nie sekretna pomoc dyrektora generalnego tajnej służby argentyńskiej (*Coordination Federal de la Polizia Federal*) komandora Jorgo Alberto Messimy. Nazwał on tę akcję, uzgodnioną z prezydentem dr. Frondizi, kryptonimem „Intercambio”.

Na osiem miesięcy przed przybyciem „Błękitnych Sokołów” z Izraela do Argentyny, dr Horatio A. Perillo z polecenia Frondiziego skontaktował się z RFN w sprawie wydania Eichmanna – lecz RFN odmówiło, obawiając się nowego, skandalicznego dla Niemców procesu. Prokurator Fritz Bauer, wbrew zastrzeżeniom Bonn, przekazał informację o Eichmannie Ben Gurionowi. Prezydent Antonio Frondizi, wróg byłych hitlerowców, zawarł tajne porozumienia

z Ben Gurionem. Dopiero wtedy przybyli izraelscy komandosi do Argentyny (zamieszkali w hotelu Alvear Palace) nic nie wiedząc, że czuwa nad ich operacją tajna policja Argentyny, która porwanie Eichmanna przygotowała już w sierpniu 1959 r. (a porwano go dopiero 11 V 1960 r.). Eichmann pracował wtedy w zakładach Mercedesa w Rucman, na polecenie prawej ręki Bormanna – włoskiego faszysty Benito Sternoniego (zakłady te należą również do Borman-
na). Wywieziono go z wojskowej bazy lotniczej pod Buenos Aires samolotem linii „El-Al”, znaki 4 X – AGE. Na pokładzie czekał, między innymi, minister spraw zagranicznych Abba Eban i generał Meir-Zorea...

Członkowie „La Arany”, do której należą dzisiaj również młodzi ludzie, urodzeni już po klęsce Hitlera i kapitulacji III Rzeszy, finansują i organizują różne akcje ekstremistyczne oraz faszystowskie bojówki w kilkudziesięciu krajach i na kilku kontynentach. Lecz to odrębny i nazbyt obszerny temat, by omówić go tutaj nawet w lapidarnym skrócie.

Nielaskawy rok dla dyktatorów

Najmniej łaskawy dla dyktatorów był 1979 rok.

W Ugandzie „abdykował” ponury błazen Idi Amin, który beztrąsko wymordował przeszło czterysta tysięcy ludzi: większość z nich zginęła w tajemniczych okolicznościach, lub bez wieści.

Upadł nieobliczalny w swych poczynaniach były kapitan Bokassa I, który na swoją kiczowato-operetkową koronację wydał przeszło sto milionów franków – prawie tyle wynosił roczny dochód narodowy Cesarstwa Środkowoafrykańskiego. Wsławił się pod koniec swych rządów masakrą dzieci szkolnych w Bangi, które nie chciały kupować mundurków sprzedawanych przez jedną z dziewięciu żon Bokassy.

Po czterdziestu sześciu latach rozpadł się w Nikaragui rodzinny klan Somozy. Antonio Somoza Debayle uciekł z kraju po zdziętkowaniu ludności w bratobójczych walkach. Po wylądowaniu w Paragwaju, Somoza skromnie oświadczył: „mój osobisty majątek wart był zaledwie sto milionów dolarów, które zarobiłem uczciwie i dzięki ciężkiej pracy...” Istotnie, potrzebna była bardzo ciężka praca, by wymordować setki tysięcy ludzi.

Z Salwadoru musiał uchodzić generał Romero, który przy poparciu armii i nielicznej lecz potężnej ziemiańskiej oligarchii, mordował i porywał podejrzanych o spiski i zabijał „profilaktycznie” nie podejrzanych; również tam kilka tysięcy obywateli zaginęło bez śladu.

W tym tak pechowym dla dyktatorów roku upadł w Kampuczy makabryczny reżim Pol Pota i jego zwyrodniałych „Czerwonych Khmerów” – lecz upadł dopiero wtedy, kiedy wszechwładny dyktator zdążył wymordować jedną trzecią swoich współobywateli. Również i tym razem ukazały się nazbyt późno w prasie całego świata wstrząsające publikacje na temat straszliwych

spustoszeń dokonanych przez Pol Pota i o całkowicie wyludnionych miastach, spalonych wsiach i setkach masowych grobów.

W Gwinei Równikowej upadł bajecznie bogaty i bajecznie skąpy dyktator Francisco Matias Nguema, obalony przez zbuntowanych żołnierzy, którym przewodził jego bratanek, Teodor Oblang Nguema. Prezydent Matias Nguema w okresie swych jedenastoletnich rządów kazał zabijać nie tylko przedstawicieli lub sympatyków opozycji oraz żołnierzy domagających się wypłaty zaległego żołdu, nie tylko członków własnej rodziny, księży, prawników, lekarzy i dziennikarzy (którym z uporem maniaka zawsze zarzucał „notoryczną zdradę stanu wynikającą z ich profesji”) – lecz zabijał również właścicieli samochodów, pałaców lub jakichś cennych przedmiotów, które chciał zagarnąć dla siebie. Jeżeli ktoś z umiarkowanym entuzjazmem lub bez entuzjazmu śpiewał hymn państwowy, również podlegał karze śmierci. A słowa tego hymnu były godne generalissimusa Trujillo; „Bóg stworzył Gwineę, bo tak chciał Matias, nasz ojciec. Bez Matiasa nie byłoby Gwinei...”

Boskiego ojca Matiasa już nie ma, a Gwinea jest: straszliwie wyniszczona i wyludniona, z opustoszałymi miastami i osiedlami, z ulicami i wrakami maszyn zarastających tropikalną roślinnością, z tysiącami młodziutkich dziewcząt zgwałconych na rozkaz Matiasa, który w obawie przed całkowitym wyludnieniem kraju nie życzył sobie – jak sam powiedział – „widoku kobiety bez brucha”. Musiały rodzić dzieci, żeby Matias miał kogo mordować.

I to działo się również w tym samym roku i w tym samym naszym wspaniałym XX wieku, wieku wypraw w kosmos i oszałamiających odkryć i wynalazków, w wieku walki o ochronę środowiska, w którym żyjemy – i w którym – niekiedy straszliwie – umieramy bez żadnej ochrony ludzkiego środowiska i przy wtórze nieustannych apeli o ochronę środowiska naturalnego...

Również w tym samym roku, chyba jako jeden z pierwszych na tej liście, stracił w Iranie władzę szach Reza Pahlawi, mający na sumieniu tysiące istnień ludzkich i setki obywateli zaginionych bez wieści i tych, których zmasakrowane ciała wyławiano z rzek i kanałów, lub znajdowano w przydrożnych rowach.

Boliwia pobiła chyba wszelkie rekordy w ilości zamachów stanu. W 1956 roku prezydent Paz Estenssoro przeprowadził nacjonalizację wielkiego przemysłu, kopalń cyny i reformę rolną, rozwiązał armię i utworzył milicję robotniczo-chłopską. Musiał więc upaść. Rządy przejął Silese Suazo, likwidując skrupulatnie wszelkie zdobycze rewolucji. W 1960–1964 r. prezydentem zostaje ponownie Estenssoro. Dochodzi do walk między wojskiem a milicją ludową. Odbywa się generalny strajk powszechny – i wówczas generał R. Barrientes Ortuno i generał A. Ovado Candia – przejmują władzę. 1966–1969: prezydentura Bairrientosa Ortuno.

Pomijam dalsze liczne zmiany rządu i zamachy stanu w tym kraju, gdzie w ciągu stu czterdziestu lat odbyło się sto osiemdziesiąt siedem rewolucji. W 1971 roku kontrrewolucyjnego zamachu stanu dokonał pułkownik H. Banzer Suarez, a w 1979 roku „autorem” nowego zamachu stał się Alberto Natusch Busch, który po szesnastodniowych rządach upadł, obalony przez generała Ovando. Ovando wzorem wszystkich dyktatorów, oświadczył w wywiadzie udzielonym wybitnemu pisarzowi włoskiemu Alberto Moravii (*L'Espresso*, 18 I 1980): „W gruncie rzeczy celem każdej polityki jest szczęście człowieka”. Tłumy wiwatują, słysząc takie słowa, ale jak długo w to wierzą? Czy tylko w dniach zamachów i rewolucji? Tylko wtedy.

I wreszcie, w tym samym roku, w Korei Południowej, po osiemnastoletnim i nieco burzliwym panowaniu (zamach stanu w 1961 roku) zginął dożywczo obrany (1962) prezydent, generał Pak Dzong Hyi. Zastrzelił go człowiek, którego zadaniem była jak najczujniejsza ochrona prezydenta Paka – mianowicie dyrektor Koreańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej (KCIA) związanej ściśle z amerykańską CIA – Kim Dzai Kiu, współdziałając z sekretarzem Paka i sześciu oficerami podległej mu służby” bezpieczeństwa. Wtajemniczeni w ten zamach byli również wyżsi oficerowie koreańscy, którzy wraz z szefem KCIA mieli przejąć władzę.

„Cichociemny” terror

Udział CIA w zabójstwie Paka w Korei, generalissimusa Trujillo w Dominikanie, Ngo Dinh Diema w Wietnamie południowym, prezydenta Allende w Chile – są to fakty bezspornie dowiedzione przez specjalne komisje Kongresu Stanów Zjednoczonych, powołane dla zbadania działalności CIA i FBI, i przedstawione w tajnych raportach, z których tylko nikła część informacji

(pomijając między innymi ujawnione zabójstwo prezydenta Allende) – dotarła do publicznej wiadomości.

Istnieją jednak potężniejsze siły niż CIA (wielokrotnie oskarżana i kompromitowana przez Waszyngton i amerykańską prasę), FBI oraz wszelkie inne i chyba nazbyt liczne służby wywiadowcze. Tą najpotężniejszą siłą jest strzeżona „zasadą bezwzględnej tajemnicy” NSA – (*National Security Agency*) (Krajowa Agencja Bezpieczeństwa) z główną siedzibą w Fort George C. Meade, stan Maryland, objęta nazwą SIGINT wraz z tzw. według kryptonimu „starszym wspólnikiem” czyli Wielką Brytanią – a więc działającym w Cheltenham, hrabstwo Gloucestershire, Anglia, głównym biurem totalnego podsłuchu i zbioru informacji w skali światowej – *Government Communications Headquarters* (Rządowe Biuro Łączności – GCHQ), dysponujące między innymi własnymi, supernowoczesnie wyposażonymi samolotami wywiadowczymi; w porównaniu z nimi osławione szpiegowskie U-2 należą już do maszyn zabytkowych...

Właśnie wspomniana NSA ma decydujący głos we wszystkich akcjach i operacjach, również paramilitarnych, którymi zajmowała się Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA) oraz Federalne Biuro Śledcze (FBI). Dysponuje ona dziesiątkami tysięcy agentów „rozsianych” na wszystkich kontynentach. Również Republika Dominikańska znajduje się w bezpośrednim zasięgu SIGINT, jej radiowego i telefonicznego podsłuchu oraz elektronicznych transmisji dla celów wywiadowczych.

CIA – kompromitowana i atakowana przez dziesięć lat, wyklinana przez komisję Franka Churcha, skrępowana przez nadzór komisji Kongresu USA – jak podaje *Journal de Geneve* (22 XI1980) – nie przewidziała rewolucji w Iranie, pomyliła się w swych prognozach dotyczących wyniku wojny domowej w Nikaragui, w przypuszczeniach na temat wydarzeń w Angoli, Etiopii, Jemenie Południowym, Kampuczy, Afganistanie, i nie mogła pochwalić się w tym okresie żadnym znaczniejszym sukcesem operacyjnym – odzyskuje utraconą popularność wśród amerykańskich sfer rządzących.

Sfery te stwierdzają, że CIA „miała nałożone kajdany” i była ograniczona w swych działaniach i planach. Senacka podkomisja do spraw wywiadu przedłożyła projekt tzw. Karty CIA, unieważniający poprawkę Huguesa-Ryana (1974), która uniemożliwiała Centralnej Agencji Wywiadowczej organizowania tajnych operacji bez bezpośredniej aprobaty prezydenta USA. Z ośmiu komisji

Kongresu kontrolujących działalność CIA, według wspomnianej karty, powinny działać tylko dwie i tylko one mają obecnie prawo wglądu do akt, planów i informacji CIA.

Jeszcze dalej zmierzała grupa sześciu senatorów, której rzecznikiem był kongresmen Moynihan, proponując wyłączenie CIA spod jurysdykcji ustawy dotyczącej swobodnego dostępu do informacji o tajnych – wewnętrznych i międzynarodowych – operacjach i akcjach tej agencji, która to ustawa umożliwiała amerykańskiemu społeczeństwu, prasie, politykom i historykom dostęp do szczegółowych informacji. Prezydent Carter opracował własny projekt dotyczący CIA, dający jej o wiele większe możliwości prowadzenia tajnych działań bez kontroli Kapitolu. Na fali powszechnej rehabilitacji Agencji, Carter powiedział: „Pragnę, żeby CIA była potężna i zdrowa dla dobra ojczyzny”.

„Można wątpić – pisał w odpowiedzi jeden z amerykańskich publicystów – czy CIA zdoła powstrzymać albo w innym kierunku poprowadzić bieg historii, lecz amerykańska opinia publiczna na to liczy”.

Rzecz znamienita i zastanawiająca, że w żadnym raporcie komisji i podkomisji, ani w informacjach prasy, nie padło ostatnio nawet słowo o działalności SIGINT i wspomnianej na wstępie NSA – głównego informatora i inicjatora operacji dokonywanych dawniej i dzisiaj przez CIA.

O CIA można odnaleźć nieco wiarygodnych informacji w polskich broszurach i w prasie, natomiast o NSA i SIGINT, pomijając artykuł zamieszczony w *Prawie i Życiu* – panuje całkowite milczenie. Trzeba więc wyjaśnić jak doszło do ujawnienia działalności strzeżonych „bezwzględna tajemnicą” NSA i SIGINT i podać kilka niezbędnych informacji o CIA. Działalność tych służb miała olbrzymi wpływ na losy i sytuację nie tylko Dominikany, lecz wielu innych państw. Może nawet Polski?

National Security Agency

Wspominałem już, że w Chaltenham, hrabstwo Gloucestershire, Anglia, działa sztab *Government Communications Headquarters* (Rządowe Biuro Łączności – GCHQ), które zajmuje się również podsłuchem sygnałów radiowych i elektronicznych transmisji dla celów wywiadowczych (SIGINT – *signals intelligence*). Działalność tego ośrodka i jej skutki są o wiele groźniejsze w skali światowej, również dla Dominikany, niż wszelkich innych służb wywiadowczych, lecz prawie się nie pisze o tym najpotężniejszym ośrodku

totalnego podsłuchu i łamania szyfrów – strzeżonego zasadą bezwzględnej tajemnicy. Tajemnica ta obowiązuje nadal.

Dziesiątki tysięcy osób zatrudnionych w SIGINT „wtajemnicza się” wyłącznie w sprawy działu, w którym mają pracować, a przenosząc ich do innego działu – „odtajemnicza” się je. Żaden z licznych działów nie ma prawa „wtajemniczenia” pracowników innego działu w podległe im sprawy.

Dopiero w 1974 roku, jednemu z najsurowszych „przestrzegaczy” tajemnicy, angielskiemu kapitanowi Winterbothamowi z osławionego M-16, udało się, po dramatycznej bitwie z władzami, wydać pamiętniki z lat wojny – był wówczas deszyfrantem. W ten sposób tylko cząstkowe sekrety SIGINT dotarły do wiadomości publicznej.

Winterbotham uzasadniał zamiar wydania pamiętników „koniecznością złożenia hołdu chwalebnyemu i bohaterskiemu epizodowi w dziejach narodu, o którym dla uczczenia tego heroicznego zmagania, nigdy i nikt nie powinien zapomnieć”. Przedstawiciel władz sądowych (niezależnych od żadnej innej władzy), uznał argumentację kapitana za „niepodważalną” – i władze wywiadowcze musiały ustąpić przed taką decyzją. Decyzja Sądu Najwyższego stworzyła tzw. precedens dla tych, którzy również swoimi wspomnieniami chcieli uczcić „chwalebne epizody w dziejach narodu” – ukazało się więc sporo relacji „z lat wojny”, dotyczących między innymi SIGINT i GCHQ.

Niezwykle żmudna i „czasochłonna” analiza kilkunastu takich opowieści pozwala na zasadzie „mozaikowej analizy” (terminologia wszystkich wywiadów i kontrwywiadów świata) – ustalić bezbłędne fakty dotyczące totalnego podsłuchu na całej kuli ziemskiej i konsekwencji wynikających z tego podsłuchu (na przykład śmierć Guevary, prezydenta Allende i innych).

Oceniając nie sumę tych publikacji, lecz poszczególne książki, broszury i artykuły – zainteresowane w zachowaniu tajemnicy władze nie zorientowały się w metodzie prywatnych lub wywiadowczych „analiz mozaikowych”, łamiących. Obecnie zmieniły taktykę, tak więc obowiązuje zakaz wszelkich publikacji, nawet takich, jakie przedstawiam tu Czytelnikom.

Co z tych publikacji – po mozaikowej analizie – wynikało? Że: GCHQ jest współudziałowcem „międzykontynentalnego porozumienia podsłuchowego” – a więc globalnego podsłuchu na całej kuli ziemskiej. W 1974 roku USA i Wielka Brytania podpisały tzw. pakt UKUSA, do którego włączały się stopniowo Australia, Nowa Zelandia i Kanada.

Akt ten ustanowił, że całością prac kieruje *National Security Agency* – NSA (USA), siedziba Fort George C. Meade, stan Maryland (Krajowa Agencja Bezpieczeństwa). GCHQ ma kryptonim „Starszy Wspólnik”, a trzy wymienione wyżej kraje „Młodszy Wspólnik”. Kryptonim „Członkowie Stowarzyszeni” – to poszczególni (nie wszyscy!) członkowie NATO: Norwegia, RFN, Francja, Szwecja, Finlandia oraz Brazylia, Argentyna i RPA. Jednak główni członkowie paktu UKUSA – to australijski *Defense Signals Division* (Wydział Sygnałów Ministerstwa Obrony Australii) oraz kanadyjski CEBRC (Wydział Łączności Krajowej Rady Badawczej).

Te centrale zajmują się wyznaczonym im (badaniem, nasłuchiowaniem i rozszyfrowywaniem) rejonem naszego nieuniknionego świata. I tak: GCHQ – Afryka i Europa. (Ilość zatrudnionych – 25 tysięcy). Działania baz na Malcie, Mauritiusie, w Turcji, Iranie (o czym nie wiedział imam Chomeini), Australii, na Wyspach Wniebowstąpienia i gdzie indziej. Dwa samoloty miliardowej wartości typu „NIMROD” stale (na zmianę) startując z baz angielskich, w pobliżu granic Europy Wschodniej, podsłuchują wszelkie sygnały radiowe i nawet rozmowy telefoniczne państw socjalistycznych. Prawdopodobnie w wyniku kontrwywiadowczych działań tych państw, zaginął „na zawsze” w tajemniczych okolicznościach na Morzu Norweskim statek „Gaul” – przed czterema laty. Słuch – jak to się mówi – po nim zaginął.

Zaginęły również bez wieści dwa samoloty RAF-u nad Morzem Kaspijskim. Od 1945 roku zniszczono 75 wywiadowczych samolotów USA. Na wody DRW wpłynął statek NSA „Maddox” – Zatoka Tonkińska, i tak zrodził się pretekst do militarnych operacji w Wietnamie. Izraelczycy (przybrzeżne wody Gazy) w 1967 roku zaatakowali statek NSA „Liberty”, który podsłuchiwał zaszyfrowane informacje i rozkazy izraelskiej armii w czasie tzw. sześciomiesięcznej wojny. Zabito wówczas czterdziestu „marines” i agentów NSA. Interwencji dyplomatycznej nie było. KRL-D – sprawa przybrała międzynarodowy rozgłos – uwięziło statek podlegający NSA „Pueblo”. Morskie jednostki podlegające NSA wdzierają się często na wody terytorialne ZSRR. Stąd tzw. liczne kolizje łodzi podwodnych US-Navy z radzieckimi statkami... Prasa o większości tych spraw milczała i milczy – u nas i na Zachodzie.

Według prawa, GCHQ podlega w Wielkiej Brytanii ministrowi spraw zagranicznych. Lecz kierownictwo „zjednoczonych sił podsłuchu” jest niejako niezależne od koordynatora dla spraw Bezpieczeństwa i Wywiadu (Biuro

rtządu) i Fort Meade (USA). NSA wtargnęło również na obszar Wielkiej Brytanii: Chicksands, Ezzell (Szkocja, Mennith Hill, łączność satelitarna), i w Walii miasto Brawdy (wykrywanie okrętów podwodnych). Szczegóły działalności tych ośrodków są „ściśle tajne”.

Te i inne ośrodki śledzą też swoich sojuszników. Pewien porucznik NSA (oczywiście już „były”) zdradził, że w Chicksands podsłuchiowano dyplomatyczne zaszyfrowane rozmowy Francji oraz ... sieci łącznościowej rządu Wielkiej Brytanii. Także podsłuchiowano wszelkie rozmowy dotyczące EWG, a przez bazy podsłuchowe na Cyprze i w RFN – wszystkich sojuszników NATO. Pomijam mnóstwo innych szczegółów.

Komitet Churcha w Senacie USA ujawnił między innymi kontakty obywateli amerykańskich, międzynarodowe – przychwycone przez NSA. Kryptonimy tych akcji, to „Shamrock” i „Minaret”. Kartoteki obejmują 90 tysięcy obywateli USA (1974).

Cała korespondencja, rozmowy telefoniczne, telegramy z USA do wszystkich krajów świata – były kontrolowane w Menwith Hill (NSA) a nie przez brytyjskie GCHQ, której stacja w Earl Court podsłuchuje rozmowy radiowe i telefoniczne – także dyplomatyczne – w rejonie Londynu.

Rząd Wielkiej Brytanii uczciwie wyjaśnia pracownikom GCHQ, że konieczność zachowania przez nich absolutnej tajemnicy, wynika z nielegalności ich pracy (wbrew konwencji o przywilejach dyplomatycznych z 1961 r, zgodnej z tzw. Wiedeńską Konwencją o Stosunkach Dyplomatycznych). Członkowie angielskiego parlamentu i średni pracownicy ministerstwa obrony i spraw zagranicznych mają zakaz wstępu do ekskluzywnego klubu pracowników GCHQ. Oni decydują jakie informacje można dostarczyć nawet premierowi.

Na przykład Richard Mail w książce poświęconej australijskiemu sojusznikowi SIGINT pt. „The Secret State” (Tajemnice państwowe) ujawnił, że SIGINT prowadzi wobec ministrów „działalność rozrywkową” i uszczęśliwia ich wyłącznie marginesową informacją wywiadowczą, zwłaszcza dotyczącą prywatnego życia innych ministrów...

SIGINT znacznie silniej niż wszelkie inne służby wywiadowcze wpływa na politykę zagraniczną niektórych państw, zwłaszcza USA i Anglii, na ich politykę wobec ZSRR (np. kontrowersje na temat SALT II) i wobec państw socjalistycznych. Ma również wpływ na tzw. politykę dywersji kulturalnej. Orientuje się na przykład w korespondencji i rozmowach telefonicznych przedstawicieli świata artystycznego przebywających na Zachodzie – i wie, kogo można

kupić nie dla działalności szpiegowskiej, ale dla specyficznej działalności w pracy artystycznej poszczególnych twórców – wykonywanej za pieniądze rządów państw socjalistycznych i innych. I właśnie NSA jest podstawowym elementem sojuszu – dzięki swym powiązaniom z GCHQ – między USA a Wielką Brytanią.

William Colby, były dyrektor CIA, zeznał bez przekonania przed komisją senatora Churcha, że NSA więcej zawdzięcza wykradaniu książek kodowych z wielu ambasad świata, niż półprzewodnikowym i elektronicznym wynalazkom. NSA posiadała w Turcji kilkanaście baz podsłuchowych skierowanych na ZSRR, stworzyła trzy gigantyczne bazy w Maroku, posiada w Urugwaju bazy skierowane na Argentynę i Brazylię, a w Argentynie bazy skierowane między innymi na Urugwaj, w Etiopii dwie znakomicie wyposażone bazy podsłuchowe. Po dojściu Allende do władzy w Chile, błyskawicznie rozmontowano wielkie bazy na Wyspie Wielkanocnej – ale NSA nie wybaczyła tego i Allende musiał upaść, musiał zginąć. CIA i Pentagon wykonały tylko zalecenia NSA...

W Iranie, po dojściu Chomeiniego do władzy, likwidowano urządzenia wywiadowcze, którymi NSA kierowała wraz z tajną policją irańską SAVAK. Wielka Brytania ma niemniej tajne zadania, na przykład w Synopie (nad Morzem Czarnym, Turcja) głównie antyradzieckie, ale obejmujące również Izrael i kraje arabskie, na Cyprze (i tu kieruje polityką Anglii wobec Cypru).

W Synopie zabito czterech brytyjskich techników z GCHQ, którzy działali tam jako rzekomi przedstawiciele firmy angielskiej *Cable and Wirelles Ltd* (1972 r.). W Australii „upadł” premier Gougha Whitlam, ponieważ zbyt interesował się stacją podsłuchową Pine Gap, podlegającej NSA, i zmusił do likwidacji ich stacji w Singapurze. Jako prokurator generalny, przy pomocy oddziału policji, skonfiskował informacje zatajone przed nim przez wywiad australijski współpracujący z NSA – i wtedy wkroczyła CIA doprowadzając do upadku Whitlama...

Wielkie i poczytne pismo *New Statesman* opublikowało niektóre z tych faktów, informując o istnieniu podsłuchu w gabinecie Harolda Wilsona na Downing Street i w salach Izby Gmin. Wie o tym koordynator dla spraw wywiadu w Biurze Rządu, sir Leonard Kooper, były szef GCHQ (34 lata pracy w wywiadzie) i właśnie on zredagował dementi zaprzeczające podanym wyżej faktom, a podpisane przez premiera Callaghana...

Ale olbrzymia ilość informacji, jaką otrzymuje NSA, utrudnia jej działania. Nim zdążono przeczytać tysiące informacji o możliwości wybuchu wojny na Bliskim Wschodzie i o przygotowaniach syryjsko-egipskich – wojna wybuchła. Ustalił to w 1976 roku komitet Pike'a, powołany przez Izbę Reprezentantów. Ustalono też, że, na przykład, roczny budżet tylko „sekcji angielskiej” NSA – wynosi przeszło 200 milionów funtów rocznie. Sporo szczegółów dotyczących globalnej działalności NSA ujawniło dwóch jej byłych agentów na konferencji prasowej w Moskwie (1960), podając nazwy czterdziestu państw, których szyfrzy tajne złamał SIGINT. Ale to było w 1960 roku...

W ostatnich dwudziestu latach rozrosły się agencje podsłuchowo-wywiadowcze *National Security Agency*. W jednostkach RAF (w Lincolnshire), w Berlinie Zachodnim, w Hongkongu, RFN, Devon, Kornwalii i innych pracuje – przeszło – po tysiąc osób. Ogółem NSA zatrudnia około 130 tysięcy osób wojskowych i cywilnych – a w Dominikanie – około 300 osób. I właśnie te osoby kierowały większością operacji i wpływały na ich przebieg.

Ujawnienie działalności CIA

Teraz zajmijmy się sprawą działalności CIA: do wybuchu I wojny światowej, podobnie jak CAC (już nie istniejąca), konsekwentnie uprawiała politykę izolacjonizmu, nie wtrącając się w sprawy europejskie, chociaż w tym czasie całym obszarem

Europy zajmowały się: brytyjska *Intelligence Service*, we Francji DRUGI WYDZIAŁ, a w Niemczech ODDZIAŁ II B. Po wojnie uległo to radykalnej zmianie – i działania CIA objęły cały świat.

Pomijam tu historię narodzin CIA od czasu, kiedy prezydent Roosevelt utworzył Biuro Koordynacji Informacji, które objął William J. Donovan. Zreorganizowano je jeszcze w czasie wojny – i tak powstał Urząd Służb Strategicznych (3 tysiące pracowników, w tym 100 profesorów różnych specjalności). Urząd ten rozwiązał prezydent Truman (pod presją FBI) w 1945 r. wrzesień. W styczniu 1946 r. Truman powołał Narodowy Urząd Wywiadowczy i podlegającą mu Centralną Agencję Wywiadowczą. David Binder pisał: „CA W jest niezbędnym instrumentem do wykonywania globalnej władzy” (1947).

Ustawa o bezpieczeństwie państwa z tegoż roku zleciła CIA wykonywanie „innych tajnych funkcji i zadań w obcych państwach, operacyjnych i paramilitarnych” (1948), z zastrzeżeniem: „operacje należy prowadzić w sposób eliminujący możliwość obciążenia odpowiedzialnością rządu USA”. I tak działano.

CIA zatrudnia obecnie około 18 tysięcy stałych pracowników oraz 100 tysięcy osób na całym świecie jako tzw. agentów kontraktowych. Kosztuje to około 3 miliardy dolarów rocznie. Trzydziestolecie istnienia CIA – to trzydziestolecie wzrostu jej wpływów na rząd USA w jego polityce wewnętrznej i zagranicznej. Żadne skandale nie utrudniły jej działalności, począwszy od fiaska operacji w Zapata (Zatoka Świń, Kuba). Ujawniono, że prezydent Kennedy zaakceptował tę próbę inwazji.

Allen Dulles, wbrew dementi rządu USA, po odejściu ze stanowiska dyrektora CIA, oświadczył: „CIA nigdy nie przeprowadzała żadnej operacji natury politycznej bez aprobaty na wysokim szczeblu w naszym rządzie”.

Były wicedyrektor CIA w latach 1958–1962 Richard Bissel, w opublikowanym tajnym raporcie wymienia kilka sposobów interwencji CIA w innych państwach, między innymi: „obalenie rządu w innym państwie, niewygodnego dla USA... ale tak, by zaangażowanie USA nie było ujawnione”.

Przeprowadzono wiele takich operacji, również w Dominikanie.

W tego rodzaju informacji o tych sprawach wystarczy oprzeć się wyłącznie na autentycznych źródłach amerykańskich. Dla przykładu – Thomas Karamasines, zastępca do spraw planowania CIA, ujawnił, że kiedy Allende dochodził do władzy w Chile (1970 r.), prezydent Nixon, Kissinger, sekretarz sprawiedliwości John Mitchel i dyrektor CIA Richard Heimsem – zażądali od CIA obalenia Salvadora Allende, przeznaczając na to 10 milionów dolarów. Nixon powiedział wówczas: „Nie obchodzi mnie ryzyko. Należy do tej operacji zaangażować najlepszych ludzi”.

I zaangażowano „najlepszych”. Tym razem, podobnie jak w wypadku generalissimusa Trujillo, Guevary, Ngo Dinh Diema w Wietnamie Południowym, Lumumby w Kongo, Schneidera w Chile itd. – agenci CIA nie wyciągali spluw ani sztyletów. Oni przygotowywali operację – ale mordował ktoś inny.

Potwierdził to główny doradca komisji Kongresu USA do spraw zabójstw, FAO Schwartz (oraz wielu innych) stwierdzając: „niewątpliwie wiele tysięcy ludzi zginęło w wyniku tajnych interwencji paramilitarnych CIA w różnych krajach świata – od Laosu do Kuby i Kongo.” Liczby ofiar Komisja Churcha nie podała na żądanie CIA (Colby i Rogovin, którzy uzgodnili z komisją senatora Franka Churcha, że jeśli idzie o tajne akcje i zabójstwa, członkowie tej komisji ujawnią tylko jeden przypadek, dotyczący Chile – zaś członkowie komisji złożyli przysięgę, że nie ujawnią interwencji CIA w innych państwach).

Sprawą najbardziej tajemniczą, a więc działalności SIGINT, komisje Kongresu raczej w ogóle się nie zajmowały – jakkolwiek informacje SIGINT i NSA inspirowały działalność CIA. O tym fakcie nie wspomina też *The New York Times Magazin*, z którego to pisma zaczerpnąłem niektóre cytowane tu informacje.

Cień posągów Trujilla

Wiosną 1978 roku obalono w Republice Dominikańskiej rządu prezydenta Balaguera. Ten wytrawny gracz polityczny – znany takich nie tylko z Dominikany – przegrywa wybory, lecz nie chce ustąpić. Uroki władzy absolutnej i niekontrolowanej są nazbyt ponętne i korzystne. Przygotowuje więc przy pomocy junty nowy zamach stanu. I znowu groźba wojny domowej, strajki, rebelie, ruina gospodarcza. Lecz Balaguer nie przejmuje się tym, chce aż do śmierci zostać przy władzy.

Jednak: pod naciskiem Departamentu Stanu USA, rządu Wenezueli i nawet swoich własnych wpływowych przyjaciół – wyniki wyborów „utrzymano w mocy”. Balaguer ustępuje, a prezydentem zostaje Antonio Guzman. Tak więc na ulicach, w portach lotniczych, biurach, szkołach, urzędach, szpitalach – wielkie portrety uśmiechającego się życzliwie i dobrotliwie Balaguera – zastąpiono portretami Uśmiechniętego Guzmana. Tym razem wygrał wybory Departament Stanu USA. Amerykańscy „marines” nie będą okupować Dominikany. Guzman nie zawiedzie nadziei Waszyngtonu, można na nim polegać.

Don Bohning pisał w lipcu 1978 roku: „Nowy prezydent, farmer-biznesmen Antonio Guzman, przystąpił niezwłocznie do umocnienia swojej władzy, wysyłając opozycyjnie nastawionych wojskowych dowódców na zagraniczne placówki dyplomatyczne” To także rozumiemy i także znamy – z innych źródeł i z innych doświadczeń wielu państw...

I dalej: „Gospodarka kraju cierpi na mnóstwo bolączek – pisał Bohning – tak charakterystycznych dla tego rejonu. Spadek cen na cukier, kawę i nikiel – był gospodarczym wstrząsem. Rozwijająca się turystyka nie zrównoważy strat. A Guzman ma dopiero przedłożyć swój plan gospodarczego rozwoju Dominikany... Musi rozwiązać wiele skomplikowanych zagadnień... Lecz nie zagraża to jego pozycji. Jeśli idzie o ten kraj, stanowi to już postęp”, (*US News World Report*).

Jednak amerykański dziennikarz ze wspomnianego wyżej pisma – pomylił się pisząc o „niezagrożonej pozycji” Guzmana. Po kilku wielkich strajkach i

demonstracjach, 27 września 1980 roku, agencje światowe doniosły z Santo Domingo, że w Dominikanie udaremniono nowy zamach stanu. Oto tekst tej depechy:

„SANTO DOMINGO. 27.9. W Republice Dominikańskiej został wykryty spisek mający na celu obalenie rządu prezydenta Antonio Guzmana. Poinformował o tym w Santo Domingo rzecznik sił zbrojnych generał Rafael Valdez Hilario stwierdzając, że władze utrzymują pełną kontrolę w kraju. Aresztowano wiele osobistości wmieszanych w spisek”.

Tak więc nadal, wbrew przypuszczeniom i nadziejom wielu postępowych amerykańskich publicystów i polityków, nie ma w Dominikanie stabilizacji, postępu, pokoju i praworządności. Jest natomiast stabilizacja niepokoju i terroru. Setki i tysiące aresztowanych i zamordowanych, przepełnione cele i lochy straszliwego trujillowskiego więzienia *La Cuarenta* przy 42 ulicy w Santo Domingo, więzienia, które we wszystkich minionych latach po tragicznej śmierci „Zbawcy Ojczyzny” i „Dobroczyńcy narodu”, generalissimusa Trujillo, omijane było i jest do dzisiaj omijane przez przechodniów, z lękiem i trwogą. Instynktownie czują ci przechodnie, o czym pisał kiedyś czeski pisarz Milan Kundera: „Wszystko zostanie zapomniane i nic nie będzie naprawione”. Lecz nie omylił się wspomniany powyżej amerykański dziennikarz, pisząc:

„Prezydent jest wprawdzie nowy, lecz zmora trapiąca ten kraj jest zawsze ta sama, jak dawniej”.

Zwalono pomniki „Bożego syna”, jednak ukazuje się coraz więcej książek i broszur o Trujillo; niektóre z nich starają się „wybielić” dyktatora, przypisując mu znaczne zasługi. Na opróżnione cokoly licznych pomników Trujillo, na miasto nazwane kiedyś jego imieniem i na całą nieszczęsną Republikę Dominikańską, z opróżnionych cokołów jego niezliczonych posągów wciąż pada złowrogi cień Rafaela Leonidasa Trujillo y Molina.

Tak więc jeszcze raz muszę powtórzyć nie przemijające do dziś przesłanie mojej powieści: era Trujillo trwa, lecz tym razem powtarzam te słowa jeszcze głośniejszy i z przejmującym niepokojem.

A.W. – 1980

Spis rzeczy

Tom I.

Biała róża 29

Tom II.

Cezar wysp karaibskich 253

Posłowie 437

Dominikana i świat 445